

Alison Croggon

Dar

Księga pierwsza Pellinoru

The Gift: The First Book of Pellinor

Tłumaczyła

Paulina Braiter



KILKA UWAG O TEKŚCIE

Niniejszy tom to pierwsze pełne tłumaczenie *Naraudh Lar-Chanë* (czyli *Zagadki Drzewnej Pieśni*), jednej z najważniejszych legend zaginionej cywilizacji Edil-Amarandhu. Moim zdaniem to klasyczne arcydzieło literatury annaryjskiej zasługuje na to, by trafić do znacznie szerszego grona czytelników niż uczeni akademicy, których dotąd interesowało.

Ta książka jest zatem adresowana do zwykłego czytelnika, nie naukowca specjalisty. Do tej pory *Naraudh Lar-Chanë* ceniono przede wszystkim jako bogate źródło informacji, rzucające światło na kulturę Edil-Amarandhu, mnie jednak podczas pierwszej lektury uderzyły jego walory jako romansu. Wówczas to w mojej głowie zrodził się plan jednocześnie skromniejszy i bardziej ambitny niż pierwotny zamiar napisania rozprawy na temat społeczeństwa Annaru: zapragnęłam oddać ten barwny dramat i wyjątkową magię we współczesnej angielszczyźnie. Jeśli dzięki wyteżonej pracy udało mi się uchwycić choćby dziesiątą część uroku oryginału, będę szczęśliwa.

Aby to osiągnąć, zrezygnowałam z przypisów, które zakłócałyby rozwój akcji. Zamiast tego dla zainteresowanych czytelników przygotowałam podstawowe informacje na temat społeczeństwa i historii Edil-Amarandhu, a także wskazówki co do wymowy annaryjskich nazw i imion. Znajdziecie je Państwo w dodatkach na końcu książki. Mam jednak nadzieję, że opowieść obroni się nawet bez tych uzupełnień, a czytelnika zainteresowanego przede wszystkim czystą przygodą zadowoli sama historia.

Wiele napisano na temat sensacyjnego odkrycia Pism annaryjskich w jaskini odsłoniętej podczas trzęsienia ziemi w centralnym Maroku w 1991 roku. Od owego wydarzenia sporo mówiło się o alarmujących implikacjach tego odkrycia dla całej współczesnej archeologii, o zagadkach datowania, które dotąd opierają się wszelkim próbom wyjaśnienia, i o mozolnej, niekończącej się pracy lingwistów i tłumaczy. Dla zainteresowanych najbardziej użytecznymi źródłami podstawowej wiedzy o *Naraudh Lar-Chanë* są *Wiedza bez kategorii: trzy sztuki Gwiezdných Ludzi* Claudii J. Armstrong i niezastąpiona *L'Histoire de l'Arbre-chant d'Annar* Christiane Armongath.

Na *Dar* składają się dwie pierwsze księgi *Naraudh Lar-Chanë*. Pierwotny tekst, który przetrwał w jednym egzemplarzu, napisano po annaryjsku, w najpowszechniej używanym języku Annaru. Przekładając oryginał, przede wszystkim starałam się zachować żywość

tekstu. Jeśli zmusiło mnie to do podjęcia pewnych nienaukowych czy wręcz kontrowersyjnych decyzji, mogę na swoje usprawiedliwienie przytoczyć klasyczną wymówkę tłumacza: czasami nie da się dochować wierności zarówno literze, jak i duchowi obcego języka. Gdy natrafiałam na nierozwiązywalny problem, zazwyczaj decydowałam się na zachowanie ducha. Zapewne wiele przyjętych przeze mnie rozwiązań wymagałoby wyjaśnienia, ale ze względu na ograniczenia miejsca postanowiłam przedstawić jedynie najważniejsze: wybór słowa bard.

Posłużyłam się nim do przetłumaczenia występującego w Mowie pojęcia *Dhillarearë*. Dosłownie oznacza ono „Gwiazdnych Ludzi”. Ze względu na swój rezonans artystyczny i duchowy, nie ma odpowiednika w naszym języku. Uwzględniłam także fakt, że w annaryjskim słowo *dhillë* to czasownik oznaczający śpiewanie bądź nucenie, i owa dwuznaczność sprawiła, iż *Dhillarearë* powszechnie nazywano „pieśniarzami Daru”. Słowo „bard” wydało mi się najbardziej przejrzyste i stosowne do oddania statusu politycznego, społecznego i kulturowego określanych nim ludzi.

Wiele osób zauważyło, że zastosowanie tego akurat wyrazu wywoła nieuniknione i niebezpieczne skojarzenia z tradycją irlandzką i walijską. Bardowie w Edil-Amarandzie cieszyli się zupełnie inną pozycją polityczną i autorytetem niż ich imiennicy w owych późniejszych społecznościach, jednakże w książce można znaleźć intrygującą zapowiedź tego, jak w przyszłości miał wyglądać zdegenerowany status barda: kronikarza i pochlebcy, podobnego do zatrudnionego przez Gilmana barda Mirlada, wspomnianego na początku opowieści. W społeczeństwie annaryjskim zajęcie to uważano by za poniżej godności *Dhillarearë*, a dzisiejszy spadek prestiżu poetów, których wszak uznajemy za współczesnych potomków bardów, byłby czymś nie do pomyślenia.

Wielu osobom jestem winna podziękowania, choć mogę tu wspomnieć zaledwie kilka. Nicholas, Vernon, Jan, Richard i Celeste Croggon czytali rękopis na wstępnym etapie pracy i ich wspaniała reakcja niezwykle mnie zachęciła. Podziękowania należą się także Danowi Spielmanowi, z entuzjazmem wspierającemu projekt, i Sopic Levy z Corpus Christi College w Cambridge, za to, że podczas wielu fascynujących dyskusji zdołała rzucić światło na liczne mniej znane aspekty społecznego życia bardów. Jestem także wdzięczna Alphonse’owi Calorge z Wydziału Literaturoznawstwa Porównawczego Uniwersytetu Paryskiego - Sorbony, za nieocenione wskazówki dotyczące niuansów translatorskich, oraz Davidowi Bircumshawowi za porady co do prozodii wierszy, często niezwykle trudnych do oddania w języku angielskim. I w końcu chciałabym też podziękować mojemu mężowi, Danielowi Keene, za niezłomne wsparcie, celne uwagi na temat pewnych osobliwości annaryjskiej

składni i korektę rękopisu, a także mojej redaktorce Suzanne Wilson za doskonałe, bardzo drobiazgowo porady co do wszelkich aspektów tej książki. Wszelkie pozostałe w niej błędy i pomyłki to naturalnie wyłącznie moja wina.

Alison Croggon
Melbourne, Australia, 2002

Pierwsze to pieśniarz, przed słońcem ukryty
Drugie - wędrowiec, co przed cieniem zmyka
Trzecie to podróż w wielkim zagrożeniu.
Czwarte - zagadki, Drzewna Pieśń odpowie.
Ziemia, powietrze, ogień, woda
Teraz ty!

Tradycyjny annaryjski wierszyk dziecienny
Zwoje annaryjskie, Biblioteka Busk

CZEŚĆ PIERWSZA

GILMANOWE SIOŁO

Przemówże, dziewczyno!
I nie odchodź stąd,
Och, jakież to smutek z oczu twoich spłynął
Tą żalobną łzą?

Matka w ziemi leży
Ciemny ojca dwór
Dziś wilki i wrony straż pełnią przy wieży
Pod powalą chmur.

Fragment Pieśni o Andomianie i Beruldh

I

UCIECZKA

Odkąd Maerad sięgała pamięcią, tkwiła uwięziona za murami. Była niewolnicą w Gilmanowym Siole, co oznaczało nędzne, żalosne życie, niekończący się błędny krąg morderczej harówki, zmęczenia i tępego strachu.

Gilmanowe Sioło było niewielką górską wioską, leżącą poza granicami rozległych krain Wewnętrznego Królestwa Annaru. Przycupnęło u wylotu ponurej doliny po wschodniej stronie gór Annova, w miejscu gdzie górskie pasmo rozszczępiało się na dwoje i niczym skalne szpony okalało północny kraniec doliny. W opinii tana Gilmana główną zaletę sioła stanowiło jego odosobnienie: tu mógł rządzić niczym tyran, nie obawiając się niczyjej władzy. Choć nikt nigdy nie atakował jego dworu, był on doskonale bronioną fortecą. Na tyłach sioła znajdowało się kamienne urwisko Muru Zewnętrznego, opadającego tysiąc stóp od zbocza Landrostu, najwyższego szczytu tej części łańcucha. Samo sioło otaczały mury z grubo ciosanego kamienia, wznoszące się na wysokość trzydziestu stóp z podstawy szerokiej na dwadzieścia. U szczytu zwężały się do zaledwie czterech stóp szerokości, nadal jednak dwaj zbrojni mogli maszerować tam obok siebie. Dostępu do środka broniła solidna drewniana brama, dość szeroka, by przepuścić ośmiu mężów bądź wóz z koniem. Nocą i przez większość dnia pozostawała zamknięta; wyjątek stanowiły okresy polowań oraz dni, gdy mieszkańcy wzgórz przybywali na swych wielkich wozach, by wymienić solone mięso, sery i suszone jabłka na miecze, strzały, cebry i gwoździe.

W siole mieszkało sto pięćdziesiąt dusz: tan Gilman wraz z żoną, z której po urodzeniu dwanaściorga dzieci pozostał jedynie cień (z owej dwunastki przeżyła zaledwie piątka), jego wojowie, ich kobiety i bękarty. Resztę stanowili niewolnicy tacy jak Maerad, schwytani podczas młodzieńczych wypadów Gilmana, kupieni od przybyszów bądź po prostu urodzeni w niewoli. Mieszkali w barakach, długich chatach stojących w cieniu murów. Same budynki były stare, starsze nawet, niż przypuszczał Gilman: wzniesli je w zapomnianych czasach ponurzy ludzie północy, aby chronić się przed wilkami i jeszcze gorszymi stworami. Za czasów Gilmana mury służyły głównie więzieniu ludzi w siole. Niewolnicy orali i zbierali plony z niewielkich pól w obrębie twierdzy; ich pracy zawdzięczał swe stoły, ubrania,

sery i kwaśne trunki i nie życzył sobie, by mu uciekli. Liczni strażnicy umacniali jego tyranie i tym samym podnosili i tak wysokie mniemanie, jakie miał o sobie. Podobnie jak wielu władców rządzącym znacznie większymi ziemiami, Gilmanowi nie było obce małostkowe poczucie próżności.

Jeśli nawet ktokolwiek uciekał, tak naprawdę nie miał się dokąd udać: najpewniej padał ofiarą dzikich bestii żyjących w puszczy, która ciągnęła się u podnóża gór. Nawet do odosobnionego sioła docierały czasem nowinki ze świata zewnętrznego: szept o bezimiennych cieniach krążących w leśnym mroku, o zapomnianym złu, które przebudziło się z długiego snu i śmiało wędruje pod słońcem. I choć życie w Gilmanowym Siole było ciężkie i ponure, owe opowieści o nieznannej grozie działały równie dobrze jak mury, powstrzymując niewolników przed ucieczką.

Maerad była wciąż zbyt młoda, by porzucić nadzieję na wolność, choć gdy osiągnęła wiek dorosły i zaczęła lepiej pojmować własne ograniczenia, zrozumiała, że to jedynie dziecinne mrzonki. Wolność była fantazją, którą w nielicznych wolnych chwilach przeżuwała obsesyjnie niczym starą kość z zaledwie mikroskopijną resztką mięsa i która jak wszystkie złudzenia jedynie podsycala głód, sprawiając, że dziewczyna jeszcze wyraźniej czuła, jak jej dusza powoli kona, a nieużywane skrzydła zanikają w rozpacz.

*

Wiosenne święto rozpoczęło się jak każde inne w życiu Maerad: od żelaznego głosu porannego dzwonu, który wyrwał ją ze snu i wyrzucił na brzeg świadomości ociężałą, obolałą i ślepa. Jej sny odpłynęły w mrok umysłu, jakby nigdy nie istniały.

Ziewając, wyłoniła się z baraku niewolników i powędrowała do studni na dziedzińcu, czując mrowienie skóry w zetknięciu z lodowatym powietrzem. Szczelniej opatulila się płaszczem i nie zwracając uwagi na mroczne sylwetki budynków dokoła, napełniła naczynie wodą i wylała ją sobie na głowę. Łapiąc głośno powietrze, strząsnęła krople z gęstych włosów; oddech białymi pióropuszcami ulatywał jej z nozdrzy i spomiędzy szczękających zębów. Ręce i nogi wciąż miała ciężkie jak ołów, twarz zdrętwiała niczym cegła, ale przynajmniej już się obudziła.

Właśnie wycierała się płaszczem, gdy usłyszała za plecami ciężkie kroki. Obróciła się szybko niczym dziki pies, od razu zjeżona, okazało się jednak, że to tylko Lothar, rosły i tępy osiłek zawiadujący mleczarnią.

- Późno się położyłaś, co? - rzucił drwiąco.

Maerad z pogardą odwróciła się do niego plecami.

- Panowie hałasowali aż do kurów - dodał. - A któż to wziął sobie ciebie zeszłej nocy?

- Zamknij wstrętą gębę, półgłówku - warknęła krótko - albo potraktuję cię złym okiem.

Obróciła się ku niemu, patrząc wściekle, i uniosła ręce. Lothar zbladł jak ściana i skrzyżował dłonie przed oczami.

- A kysz! A kysz! - krzyknął. - Nie miałem nic złego na myśli, Maerad!

- W takim razie nie powtarzaj paskudnych plotek - syknęła. - Idź stąd! Już!

Lothar odszedł pośpiesznie i Maerad pozwoliła sobie na ponury uśmiech, napawając się cenną chwilą samotności. Sioło dopiero zaczynało budzić się do życia; kur jeszcze nie zapałał i miała chwilę, póki nie zabrmi dzwon przywołania. Większość niewolników nadal kuliła się na ogrzanych pryczach, żegnając się z nimi dopiero w ostatniej chwili.

Maerad uniosła głowę i odetchnęła głęboko, wpatrując się w odległe gwiazdy, maleńkie punkciki lodowatego ognia wysoko nad górami. Jak zawsze poszukała wzrokiem gwiazdy zarannej, Ilionu, płonącej jasno nad wschodnim horyzontem, i powęszyła w rześkim powietrzu. Zaczyna się wiosna - pomyślała. Mimo znużenia poczuła nagłą radość. Potem spojrzała na pokryte odciskami dłonie i westchnęła. - Ale nie dla mnie, ja już zaczynam więdnąć. Co ze mną będzie?

Z tępą nienawiścią wpatrywała się w otaczające ją nędzne zabudowania. Pomijając siedzibę tana i pański dwór, utrzymany lepiej niż reszta, na sioło składały się nędzne budynki z klepiskami, pokryte gnijącym gontem. Wiele waliło się ze starości; niewolnicy łatali szczeliny okładami z gliny i słomy, przez co baraki nabrały osobliwie chorobliwego wyglądu. Cuchnęły gnijącym łajnem i ludzkim potem. Słyszała dobiegający ze środka słaby, piskliwy płacz chorego dziecka. Ktoś inny krzyknął gniewnie, odpowiedziało mu głuche szlochanie kobiety. Co ze mną będzie? - powtórzyła bezradnie, a potem z zamyślenia wyrwał ją dźwięk dzwonu. Otrząsnęła się, pomaszerowała do wspólnej sali na skąpe śniadanie, złożone z cienkiej szarej owsianki, i czekała na przydział dzisiejszych zajęć.

Tego ranka posłano ją do mleczarni, do sekcji Lothara. Skrzywiła się, myśląc, jaki to pech. Po porannej utarczce będzie musiała stykać się z nim cały dzień, a dziś była wyjątkowo zmęczona. Zeszłej nocy w pańskim dworze odbyła się jedna z libacji tana Gilmana, specjalne przyjęcie z okazji pierwszych wiosennych łowów. Jego ludzie wrócili z nich głodni, rozczochrani, zbryzgani krwią i rozdrażnieni, głośnie domagając się piwa, woki, pieczystego i muzyki. Dla Gilmana dzień ten był jednym z najważniejszych świąt w roku, toteż wszystkich niewolników zagoniono do wytężonej pracy. Maerad odsłużyła dodatkową zmianę w kuchni, obracając i polewając sosem truchła jeleni na żelaznych roznach. A potem, ponieważ w całym siole tylko ona знаła się na muzyce, całą noc siedziała w pańskim dworze, grając ballady,

które śmiertelnie ją nudziły - opowieści o zabijanych jeleniach, odwadze mężów i ogarów - a potem pieśni pijackie i rubaszne przyśpiewki, których nie znosiła najbardziej.

Pański dwór to było górnolotne określenie budowli bardziej przypominającej wielką stodołę, o belkowanym stropie, z poczerniałą dziurą w dachu wypuszczającą dym z wielkiego paleniska na środku podłogi. Maerad przycupnęła w kącie ze swą lirą, pod obojętną miną ukrywając wzgardę, a tymczasem dwudziestu mężczyzn zasiadło przy długim, ledwo heblowanym drewnianym stole pod ścianą i gołymi rękami odrywało mięso od kości, i piło do nieprzytomności wokę - ostry, palący trunek z rzepy i brukwi, od którego do oczu napływały łzy. Nawet się nie umyli i ich ostry odór w połączeniu ze smrodem dymu sprawiał, że piekły ją oczy. Ku wielkiej uldze Maerad nikt nie próbował jej obmacywać, lecz mimo wszystko poczuła się brudna pod ostrzałem lubieżnych spojrzeń. Z czasem we dworze robiło się coraz goręcej i duszniej i Maerad kręciło się w głowie od smrodu i zmęczenia. Grała źle, co w takich okolicznościach zdarzało się jej rzadko, lecz i tak nikt tego nie zauważył.

Libacja zakończyła się niedługo przed świtem, gdy ostatni pijany osiłek osunął się na stół i zachrapał pośród reszty śliniącej się we śnie bądź leżącej w kałużach rzygowin. Wówczas, dygocząc ze zmęczenia, Maerad zabrała lirę i potykając się, szła między śpiącymi psami, rozrzuconymi kośćmi i śmieciami, rozlaną woką i chrapiącymi biesiadnikami, by w końcu odetchnąć słodkim nocnym powietrzem. Śmierdziała, ale była tak zmęczona, że ruszyła prosto do baraku kobiet i padła na cienki siennik, aby choć na godzinę się zdrzemnąć.

*

W oborze oparła czoło o ciepły bok ciemnookiej krowy, która stała cierpliwie, przeżuając, podczas gdy Maerad rytmicznie uciskała pełne wymiona. Mleko tryskało miarowo do cebrzyka. Maerad prawie zasnęła, gdy nagle krowa, wierzgnąwszy, o mało jej nie kopnęła. Wyrwana z otępienia ledwie ocaliła cebrzyk - rozlane mleko oznaczało chłostę - i usiłowała uspokoić zwierzę. Zazwyczaj wystarczało jedno słowo, lecz dziś krowa sapała i tupała głośno, szarpiąc łańcuchy przypięte do tylnej nogi i głowy, jakby coś zdenerwowało ją lub spłoszyło.

Maerad poczuła, jak jeżą się jej włosy na głowie. Odniosła dziwne wrażenie, jakby zbliżała się burza i powietrze trzeszczało elektrycznością. Rozejrzała się po oborze.

Zaledwie dziesięć stóp od niej stał mężczyzna, obcy, którego nigdy wcześniej nie widziała. Wstrząśnięta, straciła na chwilę oddech. Był wysoki; surowa twarz kryła się w cieniu ciemnego kaptura z szorstkiej wełny. W słabym świetle sączącym się z otwartych drzwi dostrzegła zarys orlego nosa i błysk oczu. Wstała i sięgnęła po trzciniową pochodnię, niepewna, czy powinna wzywać pomocy.

- Kim jesteś? - rzuciła ostro.

Mężczyzna milczał.

Maerad poczuła, jak ogarniają strach.

- Kim jesteś? - powtórzyła. Czy był to łak z gór? Upiór? - Odstąp, mroczny duchu!

- Nie - rzekł w końcu. - Nie jestem duchem. Ani łakiem w ludzkiej skórze. Nie.

Wybacz mi. - Westchnął ciężko. - Jestem zmęczony i ranny. Nie jestem w pełni sobą.

Uśmiechnął się, lecz bardziej przypominało to grymas i gdy światło pochodni wniknęło pod kaptur, oświetlając rysy przybysza, Maerad przekonała się, że poszarzał z wyczerpania. Jego twarz przyciągała wzrok: wydawała się ni to młoda, ni to stara; na oko była to twarz najwyżej trzydziestopięciolatka, lecz odznaczał się w niej autorytet starca. Mężczyzna miał wystające kości policzkowe, stanowcze usta i duże, głęboko osadzone oczy. Przygwoździł ją wzrokiem.

- A kim ty jesteś, młoda czarodziejko? Trzeba bystrych oczu, by wypatrzeć takich jak ja, choć być może zawiodła mnie sztuka. Podaj swoje imię!

- Kim jesteś, by mnie o nie pytać? - rzuciła wojowniczo Maerad.

W nagłym zdumieniu zauważyła, że się nie boi, choć, jak pomyślała przez ułamek sekundy, może powinna.

Mężczyzna przyglądał się jej uważnie, wbijając w nią wzrok. Zachwiał się lekko i natychmiast zeszywniał, po czym znów uśmiechnął się przepaszająco.

- Jestem Cadvan ze Szkoły Lirigonu - oznajmił. - A teraz waćpanna powiedz, jak cię zowią.

- Maerad - odparła niemal szeptem.

Nagle poczuła się kompletnie zagubiona, oszołomiona jego uprzejmością.

- Maerad z Gór? - spytał nieznajomy z cierpkim uśmiechem.

- Ze... ze stancji Gilmana - odparła, zająkując się, a potem dodała pośpiesznie: - Jestem tu niewolnicą.

- Niewolnicą?

Na zewnątrz zabrzmiały kroki; potężna sylwetka Lothara przesłoniła światło.

- Gdzie jest mleko? Co ty wyprawiasz, straciłaś rozum? Stęskniłaś się za batem? Jeśli masło nie wyjdzie, będę wiedział, czyja to wina.

Po porannej utarczce nie traktował jej przyjaźnie. Maerad znów straciła na moment oddech ze zdumienia: choć nieznajomy stał na środku obory, Lothar zdawał się patrzeć wprost przez niego.

- Ja... przepraszam - wyjąkała. - Bydło się płoszy.

Usiadła na stołku i ponownie pochyliła się przy krowie, teraz stojącej spokojnie.

Lothar przyglądał się, jak doi. W myślach prosiła, by sobie poszedł. Po jakimś czasie usłyszała oddalające się kroki i odprężyła się nieco. Doiła dalej, bo potrzebowała czasu, żeby pozbierać myśli. Nieznajomy przyglądał się jej w milczeniu.

- Maerad - rzekł w końcu cicho - nie mam wobec ciebie złych zamiarów. Jestem zmęczony i muszę się przespać. Dlatego tu przyszedłem.

Przetarł dłonią czoło i oparł się o ścianę obory.

- On cię nie widział - oznajmiła głucho, wciąż dojąc miarowo, aby ukryć zdumienie.

- Nie. To drobiazg... - odrzekł z roztargnieniem. - Zwykły drobny urok. Znacznie ciekawsze jest to, że ty mnie zobaczyłaś.

Znów omiotło ją to samo przenikliwe, niepokojące spojrzenie. Maerad ogarnęło nagle onieśmienie, jakby była naga. Odwróciła twarz. Czowała jego wzrok na sobie, a potem ulgę, gdy się odwrócił. Mimowolnie wzdrygnęła się: usłyszała, jak mężczyzna porusza się i siada.

- Gdybym tylko nie był taki zmęczony... - rzekł w końcu, po czym spytał: - Nie zawsze byłaś niewolnicą, prawda?

- Moja matka nie była niewolnicą - Maerad mówiła niechętnie, jakby wbrew woli. - Gilman ją kupił i sprowadził tutaj, kiedy byłam bardzo mała. Myślę, że liczył na okup, ale nikt się nie zjawił... - Urwała, po czym dodała beznamiętnie: - A potem umarła. - W nagłym przeblysku gniewu obróciła się ku niemu. - Co cię to w ogóle obchodzi? - rzuciła ostro. - Kim jesteś, żeby mnie o to pytać?

Nieznajomy nie zareagował, spokojnie patrząc jej w oczy.

- Jak nazywała się twoja matka?

- Milana. Milana z Pellinoru, Pieśniarka Daru, Córa Pierwszego Kręgu. Mój ojciec... - przerwała dojenie, unosząc w zdumieniu rękę do ust. - Och!

- Istotnie, och - odparł Cadvan.

- Chciałam powiedzieć, że matka miała na imię Milana, to wszystko, co pamiętam... - Maerad urwała oszołomiona. - Ona... umarła, kiedy miałam siedem lat... Nic nie wiem o... o tej reszcie. Czy to ty kazałeś mi to powiedzieć?

- Kazałem? Nie, niczego nie mogę ci kazać. Zadałem pytanie i drzwi twego umysłu otwały się. W tej skarbnicy kryje się więcej, niż podejrzewa większość ludzi. Szkoła Pellinoru - mruknął jakby do siebie - została splądrowana wiele lat temu. Sądzono, że wszyscy zginęli.

Umilkł. Maerad, wstrząśnięta, doiła nadal. O czym on mówił? Czyżby mieszał jej w głowie, jak to mają w zwyczaju niesforne duchy, oszalałając zmysły, a potem porywając ludzi? Nie wydawał się jednak zły.

- Jakim prawem przychodzisz tu i mówisz... mówisz takie rzeczy? Mogłabym wezwać ludzi tana - zająknęła się i umilkła.

W jakiś sposób wiedziała, że nie zawoła strażników.

Nieznajomy oparł twarz na rękach i nie odpowiedział. Maerad zerknęła na niego gniewnie. Skończyła doić, odwiązała krowę i przyprowadziła następną. Cadvan nadal siedział nieruchomo w tej samej pozycji.

- Jeśli jesteś z Pellinoru, nie możesz tu zostać - oznajmił w końcu.

Spojrzała na niego z nagłą szaleńczą nadzieją. Czyżby znał jakiś sposób, by ją uwolnić? Ale nikt nie mógł uciec z sioła...

Spojrzał na nią.

- Czy mogłabyś poczęstować mnie mlekiem?

Bez słowa podała mu cebrzyk. Pociągnął kilka długich łyków, a potem otarł usta i uśmiechnął się.

- Bądź błogosławiona, ty i twój dom.

Maerad niecierpliwie kiwnęła głową, lekceważąc uprzejme słowa.

- Czy przyjdiesz jeszcze do obory? - spytał. - To znaczy dzisiaj.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Tak, przydzielono mnie dziś tutaj do pracy - rzekła w końcu. - Przyjdę wieczorem na dojenie krów. Dlaczego pytasz?

- To świetnie - przeciągnął się i ziewnął. - Teraz się prześpię. Pomówimy później, kiedy będę mniej zmęczony.

Rzucił się na siano i niemal natychmiast zasnął. Maerad patrzyła na niego z góry, zastanawiając się, czy obudzić przybysza kopniakiem i zmusić, by odpowiedział na jej pytania, czy może wezwać strażników. Lecz z przyczyn, których nie umiała określić, nie zrobiła niczego takiego. Skończyła dojenie i zostawiła go tam.

Zarobiła chłostę za brakujące mleko.

*

Tego dnia Maerad była tak roztargniona, że tylko cudem uniknęła drugiej chłosty. Krzątając się w mleczarńi, ubijając masło i rozlewając mleko do mis, by skwaśniało, nie myślała o tym, co robi. Z początku nie wiedziała, co sądzić o nieznajomym w oborze. Jej umysł, wyćwiczony w unikach niezbędnych do przeżycia, odmawiał skupienia się na przybyszu, jakby nie mogła o nim myśleć. Lecz momentami przed jej oczami pojawiał się obraz ciemnej twarzy, a wraz z nim niepokojące doznanie, którego nie umiała nazwać: budzące dreszcz przeczucie, nie do końca nieprzyjemne, ale też nie miłe. Gdyby była dzieckiem przywykłym do świętowania

dnia imienin, mogłaby je porównać do wyczekiwania na prezent, nie znała jednak podobnych zwyczajów. Jednocześnie tępa, obojętna maska, pod którą się skrywała, nagle jakby zniknęła, pozostawiając ją odsłoniętą i nieco przerażoną. Zupełnie jakby nieznajomy otworzył długo zamknięte drzwi w jej umyśle, wpuszczając do środka zimny, świeży wiatr, który przebudził ją z odrętwienia. Zastanawiała się, kim jest, i to sprawiało jej ból.

Przywykła do własnej odmienności. Często stanowiła ona nie tylko przekleństwo, ale też i ochronę. Z powodu jej niebieskich oczu i czarnych włosów jasnowłosi ludzie północy nazywali ją wiedźmą, a Maerad od wczesnego dzieciństwa nauczyła się odgrywać tę rolę, wykorzystując cechy, które ją odróżniały. Rzeczywiście dysponowała mocą przeklinania: jeśli spojrzała na kogoś gniewnie, potykał się i wywracał bez powodu, z półki spadał dzbanek, rozbijając mu się na głowie, a kiedyś na trzy dni oślepiła pewnego człowieka. Znakomicie też radziła sobie ze zwierzętami, co stanowiło kolejną cechę czarownicy; te, których doglądała, szybko przybierały na wadze i dawały dwakroć więcej mleka niż inne. Większość niewolników bała się jej i unikała, a ludzie Gilmana... No cóż, wojowie tana także nauczyli się, że lepiej zostawić ją w spokoju.

Gilman był człowiekiem głęboko przesądnym i, podobnie jak większość brutalni, w swej istocie pozostawał tchórzem. Wierzył, że gdyby Maerad zamordowano, jej duch doprowadziłby go do paskudnej śmierci: być może wzbudziłby w nim obłęd, zmuszając do skoku w środek stada wilków, albo przeszywał powoli niewidzialnymi, ognistymi ostrzami. Maerad unikała więc najgorszych zajęć, co budziło wśród niewolników zawiść i głęboką niechęć. Niedawno niechęć owa przemieniła się w otwartą wrogość: miesiąc wcześniej sześć kobiet rzuciło się na nią i próbowało utopić w kaczym stawie. Prawie się im udało, lecz Gilman, poczerwieniały z paniki, wypadł z dworu i wyciągnął ją z wody. Choć Maerad też się dostało za wywołane kłopoty, jej prześladowczynie wychłostano i przez trzy dni głodzono. Ocalona przez Gilmana! Na tę ironię uśmiechnęła się bez cienia rozbawienia. Na razie interwencja tana powstrzymała dalsze ataki, teraz jednak nikt z nią nie rozmawiał, oprócz idiotów takich jak Lothar.

Gdyby nie muzyka, mogłaby się zabić albo pozwolić demonom w głowie doprowadzić się do szaleństwa. Albo też mogłaby zamienić się w kamień i upodobnić do reszty, tak odrętwiałej, że pozbawionej wszelkich uczuć. Cały jej majątek stanowiła lira, jedyna rzecz, którą odziedziczyła po matce. Niewielka, pasowała do jej objęć niczym dziecko - prosty drewniany instrument bez ozdób, prócz nieczytelnych rzeźb, ton jednak miała wyraźny i czysty. Jednym z najwcześniejszych wspomnień Maerad była matka grająca na lirze, trącająca struny i śpiewająca; zgadywała, że musiała być wtedy bardzo mała, bo na

twarży matki nie widziała jeszcze smutku.

Maerad umiała grać jak prawdziwy minstreł: miała świetne ucho i wystarczyło, że raz usłyszała melodię, by ją powtórzyć. Po śmierci matki jej talent odkrył Mirlad, bard Gilmana. Miała wówczas zaledwie siedem lat i Mirladowi w jakiś sposób udało się przekonać władcę, by zwolnił ją z porannych obowiązków, żeby on mógł ją uczyć. Był jej szorstkim, ponurym, czasem okrutnie surowym nauczycielem, do czasu kiedy skończyła trzynaście lat. Wówczas Gilman zażądał, by znów zaczęła pracować w polu. Maerad pamiętała, jak nieszczęśliwa czuła się wtedy, pamiętała też osobliwą wypowiedź Mirlada.

- Nauczyłem cię wszystkiego, co wiem o muzyce - rzekł, obojętnie wruszając ramionami. - Pewne nauki tylko by się tu zmarnowały. Zresztą możesz grywać wieczorami.

Talent muzyczny podsycił jeszcze jej samotność, stanowił jednak kolejny powód, dla którego Gilman ją tolerował. Mirlad zmarł dwa lata wcześniej - jedynie Maerad opłakiwała jego odejście - i teraz tylko ona w całym siole umiała grać na libacjach. Gdy mogła, grywała też dla siebie i owe wykradzione chwile stanowiły jedyną pociechę w jej ponizającym życiu.

Milana. Moja matka. Od jak dawna o tobie nie myślałam? Co wieczór zaplatałaś mi włosy, nawet gdy twoje ręce trzęsły się ze zmęczenia. A kiedy czułam się smutna albo ktoś mnie pobił, grałaś mi piękne melodie i całowałaś tu, w czoło...

Myśli Maerad zmroziły się na wspomnienie śmierci matki, jej choroby, trawiącej ją gorączki, bólu i żalu. Umarła, to wszystko, i od tej chwili Maerad została sama.

Odkąd pamiętała, śniła o ucieczce z Gilmanowego Sioła. Lecz lata mijały, przynosząc z sobą jedynie świadomość, że ucieczka jest niemożliwa. Nadzieja umierała powoli i Maerad wiedziała, że w końcu jej twarz przybierze ten sam wyraz smutku, który zapamiętała na pięknym obliczu matki. A teraz ten Cadvan - wymówiła bezdźwięcznie jego imię - zjawiał się znikąd, jakby mury, strażnicy i psy nie istnieli.

W miarę jak upływał dzień, z coraz większą niecierpliwością raz po raz odtwarzała w myślach poranną rozmowę. Czasami wmawiała sobie, że tylko wyobraziła sobie przybysza, że był złudzeniem wynikającym ze zmęczenia, mroczną projekcją trawiącej ją tęsknoty. Sądziła, że nadzieja w niej już umarła, teraz jednak uświadomiła sobie, że jedynie zapadła w sen, niczym szare popioły, w których wciąż kryje się ogniste serce, i wystarczy jedynie lekki podmuch, by znów przebudzić płomień.

*

Godziny wlokły się niemiłosiernie, w końcu jednak nastał wieczór. Nim jednak Maerad wróciła do obory, wiedzioną nagłym impulsem wśliznęła się do swego baraku i zabrała lirę, ukrytą do tej chwili pod siennikiem i owiniętą w parciany worek.

Cadvan wciąż tam był; leżał w oborze na wznak z rękami splecionymi za głową. Sprawiał wrażenie, że uważnie przygląda się sufitowi. Jego twarz straciła nieco szary odcień, choć pod oczami wciąż pozostawały czarne sińce. Kiedy Maerad weszła, uśmiechnął się do niej, ale na widok świeżych śladów po chłóście na jej nogach jego uśmiech zniknął. Popatrzyła na niego bez wyrazu, czekając, aż się odezwie. Westchnął i wstał.

- No cóż, Maerad, miałem nieco czasu do namysłu - oznajmił. - To ohydne, odrażające miejsce, zwierzęta traktuje się tu lepiej niż ludzi. Nie znacie tu sprawiedliwości... - Zamilkł na chwilę. - Chcesz odejść?

Maerad o mało się nie roześmiała. Strażnicy strzegli sioła dzień i noc i zawsze byli czujni. Czasami zdarzało się, że niewolnik próbował uciec, lecz nigdy nie słyszała, by komuś się udało, za to widziała wiele morderczych chłost, a także mężczyznę rozszarpanego na kawałki przez sforę psów Gilmana. To wspomnienie wystarczyło, by ją zniechęcić.

- Odejść stąd?

- Mówię poważnie, Maerad.

- Od wielu lat nie marzę o niczym innym. Ale to niemożliwe. Jak sądzisz, dlaczego wciąż tu jestem?

- A zatem chcesz odejść? - Cadvan umilkł i wbił wzrok w ziemię. - Właściwie nie powinno mnie to dziwić. Teraz mam więc drobny dylemat i muszę zdecydować, co robić dalej. Bardzo niemądrze byłoby zabrać cię z sobą. Uciekam z niebezpieczeństwa w niebezpieczeństwo i zaczyna mi brakować sił.

Maerad, zawiedziona, spuściła głowę. Mimo swego sceptycyzmu nie zdawała sobie sprawy, jak uparta jest jej nadzieja. Ale Cadvan jeszcze nie skończył.

- Lecz jeśli w istocie jesteś córką Milany i rzeczywiście pragniesz odejść, nie mogę cię tu zostawić. Może wróciłbym po odzyskaniu sił, ale mam obowiązki, których nie wolno mi porzucić, a zajmą mi one najbliższe miesiące. A serce mówi mi... - Znow umilkł, wbijając wzrok w ziemię, jakby rozważał w duchu ważką decyzję. - Muszę odejść już teraz. Jeśli chcesz pójść ze mną, to proszę. Odejście nie będzie trudne. Inne rzeczy - owszem. Ale na razie nie ma się co martwić.

Maerad nagle zabrakło tchu, głos uwiązał jej w gardle.

- Zatem tak? - spytał nieznajomy. - Czy nie?

- Dlaczego zadajesz mi te pytania? To niemożliwe! Chcesz mnie oszukać?

Cadvan spojrzał na nią bez słowa. Wpatrywała się w niego z uporem, nie odwracając oczu.

- W życiu człowieka rzadko zdarzają się chwile, gdy ma przed sobą jasny wybór -

powiedział w końcu Cadvan. - Różnica między ludźmi polega na tym, jak do niego podchodzą. - Po krótkiej chwili milczenia niecierpliwie machnął ręką. - Nie mam czasu. Złożyłem ci propozycję, możesz zostać lub odejść, wedle woli. Pytam tylko, czego pragniesz. Jeśli sama nie wiesz, to już nie moja sprawa.

Strzepnął z płaszcza źdźbło słomy i odwrócił się do wyjścia.

Maerad poczuła nagle coś bliskiego panice. Przez sekundę miała wrażenie, że znów tonie, tyle że tym razem niczyja ręka nie wyciągnie jej na brzeg.

- Zaczekaj! - zawołała. - Zaczekaj.

Cadvan odwrócił się ku niej.

- Pójdę z tobą - oznajmiła.

Spojrzał na jej owiniętą lirę.

- Czy jest jeszcze coś, co musisz z sobą zabrać? - Maerad pokręciła głową.

- Doskonale. Zatem ruszamy już teraz.

- Teraz? A co z krowami?

Rzeczywiście, muczały cicho, domagając się, by ulżyła przepelnionym wymionom.

- Ktoś inny wydoi je dziś wieczór - odparł Cadvan. - Nie sądzę, by Gilman pozwolił swym zwierzętom cierpieć: są na to zbyt cenne. A teraz szybko. Chodź tutaj.

Maerad podeszła do niego ostrożnie, a on kazał jej stanąć naprzeciwko. Położył dłonie na jej ramionach i przemówił. Jego słowa wzbudziły w Maerad dreszcz, zupełnie jakby zanurzyła się w zimnej świeżej wodzie ze źródła bijącego o poranku świata.

- *Larnea il oseanna, lembel Maerad inasfrea!* Mniej więcej oznacza to: „Odwróć spojrzenia ludzi od Maerad, by mogła wędrować niewidziana” - wyjaśnił, opuszczając ręce. - Teraz nikt cię nie zobaczy, nawet jeśli będziesz stać o piędź od jego nosa. Urok nie zadziała na przedmioty, jeśli je upuścisz. Trzymaj zatem swój tobolek przy sobie! A teraz musimy wspiąć się na mury.

Podniósł sakwę, której Maerad wcześniej nie zauważyła, i ruszył w stronę niskich drzwi. Gdy to uczynił, ponownie ogarnęła ją panika. W pewien sposób czuła, że nie może już zmienić swojej decyzji, choć sama nie wiedziała, na co właściwie się zgodziła. Dlaczego miałyby zaufać temu człowiekowi? Nie знаła go przecież. Lecz wątpliwości przegrały z palącą tęsknotą, jakby pragnienie wolności, przez tyle lat tłamszone poczuciem beznadziei, powróciło nagle wielką wszechogarniającą falą. Nigdzie nie może być gorzej niż tutaj, bo tu z pewnością umrę. A tam, na zewnątrz - kto wie? Odetchnęła głęboko i w ślad za Cadvanem wyszła z obory.

- Musimy się śpieszyć - rzekł. - Nic nie mów. Nie mogę sprawić, by nas również nie

słyszeli.

Zostawiając za sobą oborę, skierowali się w stronę południowego muru. Z trudem przychodziło jej nie kulić się na otwartych placach, na których wojowie tana stali oparci o ściany, zabawiając się bronią. Nie mogła uwierzyć w swą niewidzialność, czuła się przecież tak bardzo widoczna!

Po drodze minęli pański dwór. Psy na łańcuchach uniosły głowy i zaczęły węszyć, gdy je mijali, lecz ludzie spoglądali przez nich na przestrzał.

Trzymała się tuż za Cadvanem, mimo woli skradając się na palcach. W końcu dotarli do najmniej strzeżonej części zewnętrznych fortyfikacji. Sama wspinalczka okazała się całkiem łatwa. Maerad już wcześniej często zastanawiała się, jak to zrobić, lecz pod czujnym okiem strażników, którzy widzieli każdy cal muru i doskonale rozumieli, że gdyby komuś udało się uciec, zapłaciliby życiem, było to zadanie niewykonalne. Cadvan postawił stopę na murze, a Maerad bezradnie pokazała mu owiniętą w worek lirę, której nie mogła zarzucić na plecy. Zatrzymał się, chwilę pomyślał, wziął ją i schował do swej sakwy. Potem znów ruszyli. Gdy dotarli na szczyt, Cadvan przystanął, rozglądając się na obie strony w poszukiwaniu patrolujących strażników. Starannie wybierając moment, chwycił Maerad za rękę i pchnął na drugą stronę wąskiej ścieżki; potem razem zsunęli się na ziemię. Nie dotarli jeszcze na dół, gdy Maerad usłyszała dzwon: zadzwieczał raz, drugi, trzeci, a potem zaczął dzwonić nagłoco. Był to sygnał, że ktoś uciekł. Zadrżała, czuła, że jest zupełnie odsłonięta. Lothar musiał już odkryć jej nieobecność - stało się to bardzo szybko: bez wątpienia chciał się zemścić za jej poranne słowa i sprowadzić na nią chłostę za niepotrzebne zamieszanie. W siole nastąpiło poruszenie. Maerad na wpół zsunęła się, na wpół spadła z muru, wyprzedzając Cadvana.

- Teraz się śpieszysz! - rzekł ze śmiechem. - Sądziłem już, że nigdy cię stamtąd nie wyciągnę.

- Poślą za nami psy! - wyszeptała, dysząc ze strachu. - Ogarom Gilmana nie można uciec. Potrafią tropić jelenia przez tydzień i w minutę rozszarpać rosnącego męża!

- Z psami łatwo sobie poradzić - odparł Cadvan. - Nie bój się, Maerad. Jeśli psy są najgorszym, z czym przyjdzie nam się zmierzyć, to mamy szczęście. Ale teraz musimy ruszać. Widzisz koniec doliny? Nim nastanie świt, chcę go mieć za sobą. Obawiam się, że dziś wieczór czeka nas długi marsz. Potem odpoczniemy.

Maerad spojrzała na dolinę, w której tkwiła uwięziona przez większą część swego krótkiego życia. Ziemia przed nią opadała równomiernie, zbocze zaścielały głązy i odłamki skalne porośnięte rzadką, niską trawą, pośród której gdzieniegdzie sterczało karłowate drzewo, pokrzywione przez potężne wichury z gór Osidh Annova, wschodniej granicy

Wewnętrznego Królestwa. Środkiem doliny biegł ubity trakt, tu i tam zasłany kamieniami pozostawionymi przez lawinę.

Nagle poczuła się bardzo mała i przerażona. Spojrzała na stojącego obok mężczyznę i przełknęła ślinę. Twarz miał mroczną i skrytą; wielkie psy, które dręczyły ją w sennych koszmarach, ogary o donośnych głosach i szybkich łapach, dla niego były zaledwie drobnostką. Bez wątpienia zetknął się z gorszymi rzeczami. Teraz sprawiał wrażenie niedostępnego, przepełnionego ukrytą mocą, którą zaledwie wyczuwała. Nie chciała wydać się niemądra komuś takiemu. Wyprostowała się i odetchnęła głęboko.

- A zatem ruszajmy - rzekła, odwracając się w stronę niewyraźnej ścieżki.

Za jej plecami i za siołem wznosił się Landrost; zachodzące słońce zabarwiło jego wierzchołek szkarłatem. Skalny masyw rzucał cień na całą dolinę.

II

LANDROST

Nie przeszli nawet pół mili, gdy Maerad usłyszała przeciągły jęk myśliwskiego rogu i ujadanie ogarów Gilmana. Serce ścisnęło się jej w piersi. Wkrótce brama sioła otwarła się na oścież i wyłoniło się z niej trzech ludzi tana dosiadających pośpiesznie osiodłanych koni. Za nimi zjawily się psy, biegnące szybko w dogasającym świetle dnia. Z nosami przy ziemi szukały tropu, w ich oczach płonęła żądza krwi. Maerad walczyła z narastającym strachem i nieświadomie przysunęła się do Cadvana, kuląc ramiona. Zerknął na nią szybko.

- Maerad, nic nam się nie stanie - rzekł cicho. - Ci ludzie nas nie widzą.

Przytaknęła i dreptała dalej, starając się opanować. Nagle ujadanie zabrzmiało głośniejsz: ogary odnalazły trop i puściły się biegiem. Jeźdźcy pomknęli za nimi, spinając ostrogami wierzchowce. Cadvan nadal maszerował spokojnie.

- Ale przecież psy nas widzą - wyszeptala ochryple Maerad. - Psy nas widzą i...

- Nie zrobią nam krzywdy - uciał Cadvan. - To dzikie i groźne bestie, ale niewinne.

Nie służą mrocznym celom. Więcej wiary.

Ogary doganiały ich bardzo szybko. Gdy się zbliżyły, Cadvan przystanął i obrócił się na pięcie. Uniósł rękę; Maerad wydało się nagle, że wokół lub wewnątrz niego zapłonęło światło, choć nie dostrzegła jego źródła.

- *Lemmach!* - rzucił.

Biegnący na czele ogar zatrzymał się, tak że następny wpadł na niego. Sfora zamarła niepewnie.

- *Lemmach ni ardrost!*

Pies przewodnik podszedł do Cadvana i otarł mu się o łydki. Cadvan pogłaskał go po pysku.

- *Ni ardrost* - powtórzył łagodnie.

Psy obwąchały go kolejno, a potem, zupełnie jakby przybiegły tylko po to, by napić się wody ze stawu, lekkim truchtem wróciły do jeźdźców.

Maerad wciąż stała nieruchomo z twarzą wykrzywioną zdumieniem.

- Co im zrobiłeś?

- Powiedziałem, żeby się zatrzymały, i poprosiłem, by wróciły do domu - wyjaśnił Cadvan. - A że to przyjazne stworzenia, chętnie posłuchały. Nie będą już na nas polować, nieważne, co zrobią im panowie. Są posłuszne starszym prawom.

Maerad słyszała za sobą przeklinających jeźdźców i skowyt bitych psów. Nagle uświadomiła sobie, że dygocze. Ogarnęła ją fala obezwładniającego zmęczenia. Potknęła się. Cadvan z zatroskaną miną złapał ją za łokieć.

- Przepraszam, że tak cię poganim, Maerad, lecz nie możemy tu odpocząć dziś w nocy - oznajmił. - Ogary Gilmana nam nie zagrażają, ale inne istoty owszem. To nieprzyjazne miejsce. A zmrok już zapada.

Maerad odtrąciła rękę swego towarzysza. Inne istoty? - powtórzyła w myślach. Jakie inne istoty? Nagle przypomniała sobie niedawne pogłoski o łakach i innych stworach nocy i zadrżała.

- Nic mi nie jest - oznajmiła nadąsanym tonem.

- Bezpieczniej będzie, jeśli ruszymy w drogę - odparł Cadvan.

Noc przyniosła z sobą chłód, lecz ze względu na wczesną porę było jeszcze całkiem jasno i przyjemnie. Jakiś czas maszerowali w milczeniu, a kiedy Maerad pokonała pierwszą falę zmęczenia, zaczęli rozmawiać. Maerad spytała Cadvana, co robił w Gilmanowym Siole, on jednak unikał odpowiedzi, wypyując o jej życie i o to, czy ma jakieś dawne wspomnienia z Pellinoru. Na ten temat nie miała zbyt wiele do powiedzenia.

- Tylko fragmenty - rzekła. - Pamiętam mężczyznę; chyba to był mój ojciec: przystojny, wysoki i roześmiany, o długich czarnych włosach. Pięknie rzeźbione krzesło, na które padało dziwne kolorowe światło z wysokiego okna. Parę urywków muzyki. Sądziłam, że to wszystko tylko mi się przyśniło.

- To nie był sen. Szkoły to siedliska wiedzy i piękna - rzekł ze smutkiem Cadvan, jakby mówił o czymś, co kochał i utracił. - Strzegą mądrości, a na wszystkich ich mieszkańców pada Światło. Teraz jednak ich moc słabnie, ciemność wnika do Annaru.

- Czym są te szkoły? - Maerad czuła się jak ignorantka. - Czy to tam nauczyłeś się zaklęć?

Zerknął na nią i ku jej zdumieniu wybuchnął śmiechem.

- Maerad, przepraszam, ale to takie dziwne, że ktoś dysponujący Darem zupełnie nic nie wie o szkołach.

- Darem? - powtórzyła Maerad.

Spojrzała w dół na dolinę i rozciągającą się przed nimi daleką drogę, w miejsce gdzie między skalnymi ostrogami widać było migoczące gwiazdy. Tam właśnie otwierało się

wyjście na szeroki świat, o którym nie miała pojęcia. Nagle poczuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek przedtem, nigdy też jeszcze nie odczuwała podobnego zmęczenia. Gardło ścisnęło się jej z żalu, nie mogła wykrztusić ani słowa.

- Proszę, wybac mi, Maerad - powiedział Cadvan. - Nie chciałem drwić z twojej niewiedzy. Może gdybyś odebrała więcej nauk, już byś nie żyła, a brak szkolenia ochronił cię przed wzrokiem tych, którzy w przeciwnym razie zrobiliby ci krzywdę. - Uśmiechnął się do niej i Maerad, nie do końca rozumiejąc, odpowiedziała słabym uśmiechem. - Może na jakiś czas powinienem stać się Piewcą Mądrości? - zaproponował. - Już dziś moglibyśmy odbyć pierwszą wstępną lekcję. To nam pomoże zabić czas.

- No dobrze. - Maerad spojrzała na mroczną sylwetkę mężczyzny maszerującego obok. - Opowiedz mi o Darze.

Czekała ich długa wędrówka, lecz szli całkiem szybko mimo gładów i skalnych odłamków nieustannie grozących skręceniem kostki. Ostatnie światło dnia zniknęło sponad gór, wokół nich zapadła ciemność przed wschodem księżyca. Nogi Maerad miała ciężkie i obolałe ze zmęczenia, lecz rozmowa pozwalała zająć myśli.

- Od czego tu zacząć? - rzekł Cadvan. - Czym jest Dar? Jak na to odpowiedzieć, skoro tak naprawdę nikt nie wie?... - Zamilkł, jakby chciał zebrać myśli. - No cóż, ludzie obdarzeni Darem są jak Piewcy Mądrości z Afnilu. Wszyscy bardowie mają Dar, co oznacza, że dysponują pewnymi mocami i zdolnościami. Najważniejsza z nich jest Mowa... - Urwał. - Bardowie nie uczą się Mowy, przychodzą na świat z jej znajomością żyjącą w umyśle. W ustach ludzi obdarzonych Darem Mowa ma własną wewnętrzną moc; to źródło naszej wiedzy i w znacznym stopniu potęgi. Obdarzeni Darem żyją także trzykrotnie dłużej niż zwykli ludzie. Wedle normalnej miary jestem już starcem, choć ty zapewne tak nie sądzisz.

- Starcem? - Maerad spojrzała na Cadvana z powątpiewaniem.

Wcale nie wydawał się jej stary; na oko oceniła, że ma najwyżej trzydzieści pięć lat. Rozważała przez chwilę, czy sobie tego nie wymyślił, ale potem przypomniała sobie, jak uczynił ją niewidzialną.

- Nie stary wedle miary bardów - odparł Cadvan z uśmiechem - lecz dostatecznie stary. Wierz mi, długie życie ma swoje wady. Są też inne znaki: bard rozpoznaje innych bardów, dlatego właśnie poznałem cię. Dziś rano przez sekundę sądziłem, że moce całkowicie mnie zawiodły, kiedy stawiałaś mi czoło. - Teatralnym gestem przycisnął dłoń do piersi. - Serce mi zamarło! Ale potem ujrzałem twoje oczy...

Maerad spojrzała na niego, znów niepewna, co ma na myśli i czy powinna się roześmiać. Zauważyła, że nawet podczas rozmowy Cadvan jest stale czujny, lecz w dziwny,

nieznany sposób. Ani razu nie oglądał się za siebie, za to wydawał się nasłuchiwać czegoś, czego nie słyszała, jakby wewnątrz niego rozbrzmiewała ciągła muzyka, która czasami domagała się pełnej uwagi. Wyglądało to trochę dziwnie, zupełnie jakby był z nią jedynie połowicznie.

- Musisz dowiedzieć się wielu rzeczy o bardach i Świetle. Posiadanie Daru bez wiedzy, co on oznacza, może być rzeczą straszną.

Teraz przemawiał dziwnie uroczystym tonem, niemal z zaśpiewem. Z początku omal się nie uśmiechnęła. Przed jej oczami pojawiła się nagle wizja kamiennej sali o wysokich oknach i wielu ludzi siedzących w kręgu, skłaniających w skupieniu głowy. Potem wizja zniknęła i Maerad znów ujrzała mroczną pustkę i cienie górskiego zbocza. Lecz głos Cadvana nadal jednostajnie rozbrzmiewał w ciemności.

- Wiedz tedy, Maerad, że w Annarze i Siedmiu Królestwach bardom powierzono pieczę nad Światłem. Szkoły to ośrodki wiedzy, lecz nie zawsze tak było. Wiele pokoleń temu ośrodek mądrości mieścił się w Afinilu, w Cytadeli Pieśni wzniesionej, gdy pierwsi Piewcy Mądrości przybyli do Annaru. Niektórzy mówią, że strasliwe mrozy przegnały ich z domu, inni twierdzą, że przyżęglowali wielkimi statkami z zatopionej krainy. Jeszcze inni uważają, że zjawili się tu po prostu pośród ludzi. Tak czy inaczej, nasze pochodzenie skrywa legenda. Bardowie zatem zjawili się w Annarze, przywożąc z sobą pozostałości pradawnej wiedzy z samego zarania świata: Dar Mowy, Czytanie, Tworzenie i Opiekę. Umiejętności i wiedzę, zwane Sztukami Światła. I tu wzniesli wielkie miasto Afinil, w starożytnych czasach stanowiące ośrodek wiedzy.

Wiele pieśni śpiewano o niezrównanej urodzie Afinilu, nieokolonych murami wieżach wznoszących się niczym lilie nad jeziorem, ponad przezrystą taflą błogosławionej wody. A wewnątrz tej cytadeli mieszkali Piewcy Mądrości, ci, którzy kochali i strzegli piękna tego świata. Wszyscy przemawiali do siebie w Mowie i wszyscy się rozumieli.

Słowa Cadvana nabrały kadencji pieśni. Serce Maerad zabiło szybciej: nie pamiętała, kiedy ostatnio usłyszała nową pieśń. Mimo radosnego zaskoczenia tkwiący w niej muzyk zauważył chłodno, że Cadvan ma bardzo piękny baryton.

Zepchnięty w ciemność, w otchłań rozpaczy,

Oplakiwany wszema głosami,

W mowie drzew, zwierza, ludzi i bardów

Oplakiwany owoc poranka.

Kwiat lodu, który czaruje słońce,

*Księżycyca promień zaklęty w marmur,
Gardziel dnia, w której łączą się głosy,
O Afinilu, dziś w murach twych
Umilkły pieśni, umknęły sny,
Gdzie wieże - dzika róża się płoży
I zgasły gwiazdy w mrocznym jeziorze.*

- Tak właśnie zapamiętano go w pieśni: jako ból, wspomnienie czegoś cudownego, obecnie utraconego na zawsze. Historia o jego upadku to szkaradna opowieść, musisz ją jednak poznać, jeśli masz zrozumieć bardów. Niestety, Dary Światła stały się bowiem jego zgubą.

Maerad znów się potknęła; tym razem upadła, lecz natychmiast podniosła się z ziemi. Cadvan przystanął.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Nie - warknęła zawstydzona, zaciskając otarte o kamienie dłonie.

Cadvan spojrzał na nią ostro.

- Nie odpoczęłaś ani chwili, i to bez wątplenia po dniu ciężkiej pracy - zauważył. - Musimy iść naprzód, może jednak zrobimy krótki postój, by później maszerować szybciej. - Usiadł na ziemi w miejscu, gdzie stał; Maerad z wdzięcznością opadła obok niego. Nogi jej dygotały. Cadvan otworzył sakwę i wyciągnął z niej flaszkę. - To pomaga zwalczyć znużenie - oznajmił.

Pociągnął łyk i podał Maerad. Napój smakował jak woda, tyle że z lekkim posmakiem ziół. Po całym jej ciele przebiegło gorące mrowienie i zmęczenie wyraźnie zelżało. Dolina wokół wydawała się przytłaczająco cicha i Maerad drgnęła, gdy Cadvan znów przemówił.

- Jak już wspomniałem, Afinil upadł, po części z powodu własnej szczodrości. Pewien władca z południa obawiał się śmierci zwyczajnych ludzi i łaknął życia bez końca, wyrwania się z nieuchronnego kręgu świata. Zazdrościł bardom mocy Światła i pragnął ją zdobyć dla własnych celów. Skrywając swe zamiary, zwrócił się do łagodnych bardów z Afinilu, prosząc o naukę, a oni, pozbawieni podejrzliwości, z chęcią mu jej udzielili. Okazał się bystrym uczniem i z czasem stał się potężniejszy w swej znajomości Mowy, subtelniejszy we władaniu Mądrością, zręczniejszy w sztuce tworzenia i unicestwiania niż ktokolwiek przed nim. Kiedy uznał, że nauczył się dosyć, powrócił do własnej krainy na południu, królestwa Dén Raven. Znajomość Światła ma służyć czynieniu dobra i piękna, wzrostowi, utrzymywaniu uświęconej Równowagi, lecz ów król nagiął tę wiedzę do własnych celów.

Jego pierwszym złym uczynkiem było odrzucenie imienia.

- Jak można odrzucić własne imię? - zdziwiła się Maerad, zupełnie zaskoczona. - W takim razie jak go nazywali?

Cadvan roześmiał się.

- Ów czarownik nadal ma formalne imię, choć rzadko się je wymienia. Zazwyczaj nazywają go Bezimienny. Każdy bard ma też tajne imię - dodał. - Nie znasz mego imienia. Nie znasz nawet własnego. Imię barda zostaje nadane podczas powołania, kiedy w pełni uzyskuje on swoje moce. Można rzec, że to twoje prawdziwe imię w Mowie. Określa, kim jesteś. Odrzucić je to jak odrzucić samego siebie.

- Ale to przecież niemożliwe! - zaprotestowała Maerad. - Jak można nie być tym, kim się jest?

- Niestety, wcale nie niemożliwe - odrzekł Cadvan. - Król odrzucił swoje imię, bo tym samym mógł odrzucić śmierć. Lecz wraz z darem śmierci odrzucił też wiedzę tych, którzy umierają, i odkrył, że serce ma puste i czuje ból ostrzejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Nie należał bowiem do grona nieśmiertelnych i nie miał prawa do wiecznego życia. Spojrzał na świat i oczy miał mroczne. Zapragnął wówczas władzy nad całą ziemią, zniszczenia wszystkich, którzy sprzeciwiali mu się jej pięknem. Rzucił wyzwanie Prawu Równowagi i złamał je. A potem z ogromną armią, wspierany przez Mrocznych Magów - zdeprawowanych bardów, których nazywamy Próżnymi - pomaszerował na cudowną cytadelę Afinilu, obalił jasne wieże i zmaćcił jezioro, tak że księżyc już się w nim nie kąpał, a gwiazdy umknęły z pozbawionej życia tafli. Tak właśnie zaczęła się Wielka Cisza, kiedy w rozległych krainach Annaru nie słyszano już pieśni. Nie było to całe zło, które uczynił, lecz jedno z najgorszych. Wówczas utraciliśmy wiele rzeczy, których nie udało się odzyskać.

Cadvan westchnął. Maerad słuchała w milczeniu, oszołomiona i zadziwiona nie tylko opowieścią, lecz słodkim napięciem, jakie zaczęły budzić w niej wymieniane nazwy: Afinil, Piewca Mądrości, Światło. Przywoływały zapach i dźwięk głosu matki, jej śpiew, kiedy trącała struny liry, ciemny wodospad włosów, gdy ją całowała, i inne wspomnienia, których nie potrafiła określić. Ona także westchnęła i rozejrzała się dokoła. Pokonali już ponad połowę drogi w głąb doliny; nad nimi płonęły gwiazdy otaczające jasnym pierścieniem księżyc bliski pełni. Wypatrzyła Pięć Cór w Klejnotach, wiszących wysoko nad nimi i zastygłych w beztroskim tańcu. Ilion skrył się już za horyzontem.

Cadvan wstał.

- Powinniśmy ruszać - rzekł.

Maerad dzwignęła się ciężko z ziemi i ponownie podjęli wolny marsz w głąb doliny.

Poczuła, jak jej zmęczenie wraca, zmusiła się jednak do dalszej wędrówki. Cadvan zaś powrócił do lekcji.

- Historia upadku Bezimiennego jest długa, mroczna i pełna rozpaczy, wiele jej fragmentów pochłonęła ciemność - podjął. - Wystarczy rzec, że w końcu został pokonany. Po jego klęsce bardowie założyli szkoły, które przechowują wiedzę o Świetle i uczą jej w całym Annarze i Siedmiu Królestwach. Ośrodkiem najwyższej wiedzy jest teraz Norloch, piękne miasto pełne ogrodów, wspaniałych dworów i nauki. Lecz pod jednym względem różni się od Afilu: Norloch otaczają mury, a bezpieczeństwa miasta strzeże liczny garnizon, tak by niewinność stanowiąca zgubę Afilu nie stała się teraz jego słabością. I to być może największa strata spowodowana przez Bezimiennego, choć niektórzy twierdzą inaczej i mówią, że w swej wielkości Norloch przerasta nawet pradawną cytadelę.

- Byłeś tam? - spytała Maerad, kiedy umilkł.

- Tak - odparł Cadvan - wiele razy. Nie należę już bowiem do żadnej szkoły i wedle potrzeby podróżuję między nimi. Światłu ponownie grozi niebezpieczeństwo, a bardów wysłała się na niebezpieczne tajne misje, by szpiegowali posunięcia Mroku, miast śpiewać na dawną modłę o wiosennych liściach i wciągać w płuca woń kadzideł.

- Czy to dlatego znalazłeś się w pobliżu Gilmanowego Sioła?

Po twarzy Cadvana przemknął cień bólu.

- Jesteśmy jeszcze za blisko, by o tym mówić - uciął, po czym milczał bardzo długo.

W ciszy Maerad ponownie poczuła ciężar otaczającej ją doliny. Od zachodu słońca minęły już trzy godziny; promienie księżyca oświetlały ostre krawędzie górskich szczytów, pokrywając je białą rosą i pograżając przepaście w nieprzeniknionym mroku. Wydało się jej, że w oddali słyszy słabe wycia i wrzaski. Miała też wrażenie, że na twarzy Cadvana dostrzega ślady wielkiego napięcia, choć jego głos nie zdradzał niczego. Przypomniała sobie, jak bardzo był znużony jeszcze tego ranka; wspominał też, że jest ranny. Nie zauważyła jednak ani śladu rany.

W końcu odważyła się zadać pytanie.

- Sądzisz, że mogłabym zostać bardem?

- Nie słuchałaś tego, co mówiłem? - odparł krótko Cadvan.

Maerad posłała mu nieprzychylnie spojrzenie. Jej stopy pulsowały bólem; maszerowała w milczeniu, zastanawiając się, czy kiedykolwiek opuszczą przeklętą dolinę. Nagle Cadvan zatrzymał się i sapnął głośno; dostrzegła perlące się na jego czole krople potu.

- Maerad - rzucił - muszę cię prosić o cierpliwość. Zmagam się z wolą duchów tego miejsca, które nie chcą pozwolić nam odejść. To mnie przytłacza, a im bardziej się oddalamy,

tym większy staje się nacisk.

Po krótkiej chwili znów ruszył naprzód, lecz tym razem wolniej, jakby brodził w głębokiej wodzie. Maerad z niepokojem odkryła, że wciąż jeszcze czeka ich długa droga, nim dotrą do wylotu doliny. Sama nie czuła niczego prócz narastającej grozy. Nie ważyła się odezwać. Szli z trudem, bo musieli stawiać stopy pośród potrzaskanych głazów i stosów kamieni zsuwających się z górskich zboczy; czasami ścieżka niemal zupełnie zniknęła. Maerad całkiem zniszczyła buty, stopy miała posiniaczone i obolałe i po raz pierwszy tej nocy zaczął doskwierać jej chłód. Zdawał się przenikać ją do szpiku kości, tworząc w stawach kryształy, które utrudniały każdy ruch. Powoli pogrążyła się w tępych koszmarze wyczerpania i w końcu myślała tylko o tym, by unosić na zmianę stopy i stawiać je przed sobą. Wylot doliny zbliżał się i zbliżał, lecz chłód także narastał i Cadvan zwolnił kroku.

W końcu zatrzymał się zupełnie. Teraz pot ściekał mu strużkami po twarzy, kąciki ust drżały.

- Maerad - powiedział ochryple - muszę chwilę odpocząć.

Miała wrażenie, że powoli osuwa się na ziemię. Odruchowo sięgnęła ku niemu i chwyciła go za rękę. I wtedy ją poczuła: zimną, okrutną wolę, miazdzącą umysł niczym imadło. Wypuściła dłoń Cadvana, jakby jej dotyk ją oparzył.

- Co to? - wyszeptała.

Towarzysz spojrział na nią ze zdumieniem.

- Czujesz to? - spytał.

- Coś - skrzywiła się. - Coś okropnego.

- Weź mnie za rękę - polecił.

Maerad spojrziała na niego z lękiem i wzdrygnęła się. Kiedy dotknęła Cadvana, miała wrażenie, że w jej umysł wtargnęła obca, złowieszcza świadomość, niezłomna i przerażająca. Cadvan głośno wypuścił powietrze, po czym zaczerpnął go z trudem, niczym człowiek cierpiący nieznośny ból. Ponownie wyciągnął ku niej dłoń.

- Maerad - rzekł powoli - w tej chwili powstrzymuję całą górę przed zawaleniem się na nasze głowy. Może zdołasz mi pomóc. Weź mnie za rękę.

Maerad niechętnie chwyciła znów jego dłoń. Palce miał zimne jak lód. Uczucie powróciło, tym razem jeszcze gorsze. Cadvan ścisnął ją mocno, jakby tonął.

- Odepchnij to - rzekł. - Każ mu się cofnąć.

Maerad spojrziała na niego oszołomiona. O co mu chodziło?

Odepchnij to!

Tym razem polecenie zabrzmiało jedynie wewnątrz jej głowy. To był głos Cadvana. I

w owej wrogiej ciemności, która spowiła jej umysł, jego głos wydał się światłem, małym białym płomieniem...

Odwróciła się ku niemu, walcząc z ogarniającą ją grozą. Skupiła myśli. *Odejdź!* - krzyknęła; nie wiedziała, czy wymówiła to głośno. - *Precz stąd!*

Miażdżąca, złowieszczą groza nagle osłabła. Cadvan westchnął głośno.

- Na Światło, Maerad, niezwykły masz Dar. Teraz może uda nam się odejść.

Wstał powoli, ściskając jej dłoń tak mocno, iż miała wrażenie, że pękają jej kości.

Szli wolno dalej, pochyleni jak pod ciężkim brzemieniem. Maerad miała kłopoty z jednoczesnym skupieniem się na marszu i osłanianiu umysłu. Raz skręciła kostkę na kamieniu i niemal upadła, krzycząc z bólu, lecz Cadvan nie wypuścił jej ręki i kuśtykając, ruszyła dalej. Wylot doliny zbliżał się morderczo wolno.

W końcu gdy góry zaczęły szarzeć, srebrzyć się i różowić w łunie nadchodzącego świtu, dotarli do wylotu. Gdy zostawili za sobą ostatnie wzniesienie, Maerad poczuła, jak obca wola zatrząskuje się za nią niczym wrota. Nagle znów mogła iść swobodnie. Roześmiała się z ulgą.

- Wyszliśmy! - zawołała, po raz pierwszy odwracając się ku Cadvanowi ze szczerym uśmiechem.

Towarzysz zerknął na nią z powagą.

- Ale nadal musimy iść! Nawet poza doliną Landrost wciąż ma władzę.

Jakby na podkreślenie tych słów zza jego pleców dobiegł niski grzmot i wielka lawina głazów i kamieni stoczyła się z górskiego zbocza, lądując w pyłe na dole. Maerad odwróciła się, po raz ostatni patrząc na dolinę. To dziwne - pomyślała; niczego nie czuła, ani radości, ani żalu. Niczego.

A potem się odwróciła.

Przed sobą ujrzała karłowate górskie drzewa schodzące ku gęstej puszczy przesłoniętej mgłą, która powoli wznosiła się ku niebu. Nad zielonymi wzgórzami wschodziło słońce: jasne światło padło na jej twarz.

III

WNIKANIE

Maerad kuśtykała naprzód; nogi ciążyły jej niemiłosiernie, ciało łaknęło snu. Godzinę po wschodzie słońca, gdy wylot doliny zniknął już pośród górskiego łańcucha, lecz nim dotarli na skraj lasu, Cadvan zatrzymał się obok niewielkiego zagajnika drzew o białej korze. Maerad przekonała się, że są bardzo stare, mają szerokie, pokryte szramami pnie i rosną blisko siebie w ciasnym kręgu.

- Brzoza to drzewo wielce szlachetne - oznajmił Cadvan. - Nawet tu możemy spać w spokoju. To krąg zasadzony w dawnych czasach przez bardów z północy. Nazwali go Irihel, Lodowy Dom; zatrzymują się tu podróżujący bardowie. Doskonały dla nas!

Przeszli pomiędzy gęsto rosnącymi pniami i Maerad przekonała się, że trawa wewnątrz kręgu jest krótka, gęsta i tworzy miękką, pachnącą wyściółkę ziemi opadającej ku środkowi niczym misa. Nad ich głowami splatały się gałęzie, a światło przenikające przez młode liście nabierało zielonozłocistej barwy. Cadvan usiadł, rzucił sakwę na ziemię i wyprostował nogi.

- Nie wolno nam palić tu ognia - oświadczył. - Wielka szkoda. Przemarzłem do kości.

Maerad ostrożnie usiadła obok niego. Brutalne życie w siole nauczyło ją wystrzegać się mężczyzn: potrzebowała całego swego sprytu i umiejętnego wzbudzania lęku czarami, by uniknąć zakusów osilków Gilmana. Widziała, co robili z innymi, słabszymi od niej. Nagle z pełną mocą uświadomiła sobie, że jest zupełnie sama w głuszy, całkowicie zdana na łaskę tego Cadvana. On jednak nie przypominał znanych jej do tej pory mężczyzn, nawet Mirlada, ponurego i oschłego pieśniarza z sioła.

Cadvan przyjrzał się jej ze współczuciem.

- Jeśli chcesz się umyć, w pobliżu płynie ruczaj - rzekł. - Pokażę ci i zostawię cię tam samą na chwilę. Będiesz w zasięgu głosu, na wypadek gdybyś mnie potrzebowała. Jeśli nie zdołasz zawołać, wykrzyknij moje imię w myśli. Usłyszę cię.

Maerad pokiwała głową i pozwoliła się poprowadzić do zimnej, czystej strugi spływającej z gór. Za wysokimi krzakami jeżyn i kolcolistu ujrzała wąskie trawiaste nabrzeże wznoszące się nad niewielkim rozlewiskiem, idealnym do kąpieli. Cadvan zostawił ją i

Maerad umyła się po raz pierwszy od poprzedniego dnia, chwytając głośno powietrze, gdy czuła na skórze dotyk lodowatej wody. Wymoczyła spuchniętą w kostce nogę. Zwichnięcie nie było zbyt dokuczliwe, za parę dni przejdzie.

Potem wróciła na polanę, gdzie Cadvan wyciągnął z sakwy koc i jej lirę, nadal owiniętą w stary worek. Przygotował także posiłek: suszone owoce i mięso oraz twardy suchar.

- Jedz - polecił - ja wrócę za chwilę.

Maerad podniosła lirę, zrzuciła z niej okrycie i przytuliła ją do siebie, była jednak zbyt zmęczona, żeby trącać struny. Gdy dziesięć minut później Cadvan wrócił, spała już głęboko, okryta kocem, przyciskając do siebie lirę niczym dziecko. Nawet nie tknęła jedzenia. Bard uśmiechnął się cierpko, zjadł kawałek suchara, a potem owinął się płaszczem i także zasnął.

*

Maerad obudził kurczący się z głodu żołądek. Słońce zniżało się na niebie. Cadvan siedział zwrócony do niej plecami; gdy się poruszyła, obrócił się. Właśnie jadł i poczęstował ją obiadem. Spożyli go w milczeniu. Proste jedzenie, przyprawione jedynie głodem, rozplywało się na jej języku niczym wolność. Maerad miała wrażenie, że całe jej ciało jaśniej smakiem słońca, wiatru wiejącego na wyżynach i drzew wyciągających ciężkie ramiona ku bezkresnemu niebu.

Kiedy skończyli posiłek, Cadvan niemal pedantycznym ruchem strzepnął z płaszcza okruchy.

- A teraz, Maerad - rzekł, nie patrząc na nią - musimy przemyśleć nasze plany. Czeka mnie wieleset mil podróży przez niebezpieczne krainy, bardzo szybkiej podróży. A mam towarzyszkę i za mały zapas prowiantu. Zauważyłem też, że nie masz koca ani żadnej strawy, ani nawet zapasowych ubrań - jedynie lirę, jak prawdziwa bardka. Co zatem zrobimy?

Maerad spojrzała na niego, nakazując twarzy, by niczego nie wyrażała.

- Skąd mam wiedzieć? To ty prosileś, żebym z tobą poszła.

Nagle jednak ogarnął ją strach. Rzeczywiście, co ma teraz zrobić? Nie знаła niczego i nikogo. Wiedziała, że cała jej rodzina nie żyje. Nie miała domu. Dla tego człowieka, który ją uwolnił, mimo że jemu samemu groziło niebezpieczeństwo, mogła być tylko ciężarem. Czy ją porzuci?

Cadvan odezwał się szybko, zupełnie jakby czytał w jej myślach:

- Oczywiście, że cię tu nie zostawię. Ale musimy zastanowić się, dokąd się udać. Moja ścieżka wiedzie do Norlochu, tam muszę złożyć meldunek przed Kręgiem. Mogę cię zabrać albo do najbliższej szkoły, gdzie odpoczniesz i wyzdrowiejesz, albo do Norlochu.

- Nie chciałam być przeszkodą - rzekła z lekkim sarkazmem.

- Maerad, bardowie wiedzą, że to, co ich spotyka, rzadko jest kwestią przypadku. Nieczęsto spotyka się ludzi błogosławionych Darem, zatem to niezwykle, że zetknęliśmy się w oborze w tak dziwnych okolicznościach. Wątpię też, czy wy dostałbym się z doliny bez twojej pomocy. To dla mnie jasne. Zdumiewa mnie także odnalezienie podobnej mocy całkowicie surowej i niewyszkolonej. Gdybym sam tego nie przeżył, nie uwierzyłbym. Jest dużo spraw, o których powinienem ci powiedzieć, musisz poznać tak wiele. Podobny Dar to obosieczne ostrze: użyty niewłaściwie może ci zaszkodzić. Jesteś zagadką.

Uśmiechnął się do niej, Maerad jednak siedziała nadąsana i nie odpowiedziała uśmiechem. Zapadła krótka cisza.

- Mógłbym obejrzeć twoją lirę? - spytał w końcu. - Zaintrygowała mnie.

Maerad podniosła instrument, nieświadomie gładząc go palcami, i podała mu. Cadvan wziął lirę i obejrzał uważnie z rosnącym zainteresowaniem; jego długie smukłe dłonie badały jej ciężar i wyważenie. Przesunął ręką po strunach, wygrywając cichy akord. Dźwięki zabrzmiały słodko i zawisły w powietrzu. Cadvan zagwizdał pod nosem.

- Czy ta lira - zapytał - należała do twojej matki?

Maerad przytaknęła. Jej towarzysz siedział zamyślony, obracając instrument w dłoniach, przesuując palcami po rzeźbionym napisie.

- Czy kiedykolwiek musiałaś ją stroić? Przypuszczam, że nigdy nie wymieniałaś strun.

- Nie - rzekła. - A powinnam? Nie wiedziałam... Mirlad nigdy nie wspominał...

Zdumiała się, słysząc śmiech Cadvana.

- Och, Maerad - rzekł, gdy w końcu odzyskał oddech. - Czy powinnaś zmienić struny?

- Zaśmiał się ponownie, cicho, z wyraźnym zadziwieniem. - To przedmiot cenniejszy niż królewski okup. Co by uczynił Gilman, gdyby wiedział, że w jego siole kryje się podobny skarb? Jest warta dziesięć, nie: tysiąc tysięcy razy więcej niż wszystko w jego dworze. Takich lir nie robiono od wielu długich lat, od czasów Afinilu. Wyrzeźbił ją wielki artysta. Nie znam tego pisma, a poznałem wiele dziś zapomnianych; bez wątpienia podaje imię tego, kto ją zrobił. Podobne instrumenty nazywamy dhylicką robotą; ich tworzeniu towarzyszyła wielka moc. Umiejętność wytwarzania podobnych strun już dawno zaginęła. Czytałem o tych instrumentach, ale nigdy żadnego nie oglądałem. Uważa się, że wszystkie zaginęły. Och, jakąż jesteś zagadką!

Spojrzał na nią, wciąż szeroko uśmiechnięty.

Maerad nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Była oszołomiona. Jej skromna lira instrumentem z legendy! Nagle jednak Cadvan spowaźniał i poklepał ją po dłoni.

- Skoro mamy razem podróżować, musimy zostać przyjaciółmi - rzekł. - I musimy sobie ufać. Nie przejmuj się moimi docinkami. Jednak wciąż trzeba zdecydować, co robić.

Maerad spojrzała niepewnie na swe ręce; milczała. Nie wiedziała, co odpowiedzieć temu człowiekowi: czy miał wobec niej złe zamiary? Skąd miała wiedzieć?

- Tak czy inaczej, dzisiejszą noc spędzimy tutaj - podjął Cadvan. - Przyznaję szczerze, że wciąż jestem bardzo zmęczony. I muszę pomyśleć. Tu chwilowo będziemy bezpieczni. Odpoczynek żadnemu z nas nie zaszkodzi. A niezależnie od decyzji czeka nas długa droga.

Otworzył sakwę i wyjął z niej lirę.

- Ma mniej szlachetne pochodzenie niż twoja, lecz wystarczające, by dotrzymać jej towarzystwa - orzekł. - Nadal brzmi pięknie i pozostaje mą pierwszą miłością.

Zagrał kilka akordów, dostrajając lirę, a potem wypuścił w powietrze kaskadę dźwięków, które przeszły serce Maerad. Dobrze znała tę pieśń, początek tragicznej historii Andomiana i Beruldh; Mirlad nauczył ją jej wiele lat wcześniej. Cadvan czystym, pięknym głosem zaczął śpiewać rolę Andomiana.

Przemówże, dziewczyno!

I nie odchodź stąd,

Och, jakież to smutek z oczu twoich spłynął

Tę żalobną łzę?

Umilkł, trącając struny, i Maerad zrozumiała, że czeka na jej odpowiedź. Trzymała w dłoni swą lirę, toteż zaczęła grać antyfonę, wyśpiewując w odpowiedzi następną zwrotkę. Nie grała w duecie od śmierci Mirlada. Dalej śpiewali na zmianę starożytną pieśń: baryton Cadvana i kontralt Maerad wypełniały zagajnik muzyką. Maerad miała dziwne wrażenie, że drzewa ich słuchają, pochylają się ku nim, by lepiej chłonąć melodię.

Matka w ziemi leży

Ciemny ojca dwór

Dziś wilki i wrony straż pełnią przy wieży

Pod powalą chmur.

Zostań, ulecz duszę

Złóż ciężącą skroń

Od dzisiaj swe serce, wciąż skrywane, muszę

Złożyć w twoją dłoń.

Karak przeklął mnie i

Braci więzi mych

Porzucam więc radość, ruszam bez nadziei

W kleszcze murów złych...

Nagle urwała, zająkując się lekko. Cadvan przestał grać i gdy muzyka ucichła, nastąpiła przejmująca cisza.

- I tak Andomian i Beruldh spotkali się i dotarli wśród znojów do lochów Bezimiennego, a tam zginęli, pozbawieni nadziei i pomocy Światła - powiedział. - Lecz żadna z legend nie wspomina o jego żalu. - Nagle zagrał ostry, niecierpliwy akord. - Masz rację, Maerad, to nieodpowiednia pieśń do takiego miejsca w ciemności, gdy w dali wyją łąki. Dobrze grasz, widać wyraźnie, że odebrałaś solidną naukę, choć zdarzają ci się osobliwe wariacje... Teraz widzę w tobie więcej, niż pokazujesz światu. Powinienem być się tego spodziewać. Porozmawiamy o tym później.

Odłożył lirę i jakiś czas milczał; jego czoło zmarszczyło się i zachmurzyło. Maerad siedziała niepokieszona, zastanawiając się, czy nie okazała się źle wychowana bądź niegrzeczna. Ten mężczyzna przewyższał wszystkich, których znała: wydawał się patrzeć na nią z tolerancyjnym rozbawieniem, a potem nagle zmieniał mu się nastrój i stawał się zamknięty w sobie, milczący. Zupełnie nie przypominał mężczyzn z Gilmanowego Sioła, którymi kierowały prymitywne, gwałtowne odruchy, ani Mirlada, szorstkiego, lecz pod drażliwą maską kryjącego niezwykle dobre serce. Instynkt podpowiadał Maerad, że Mirlad był głęboko nieszczęśliwy, wybaczała mu zatem jego cynizm i dziwaczne nastroje. Nigdy nie wspominał jej o historii Annaru, Mądrości bądź Mowie, choć nauczył ją wielu pieśni, mówiąc lekceważąco, że pozwalają zabić czas. Powróciwszy myślami w przeszłość, odgadła, że podobnie jak ona Mirlad nie wierzył w ucieczkę z sioła, starał się zatem chronić ją przed marzeniami o innym życiu, które być może i jego nawiedzały. O życiu, w którym pieśni i bardów traktuje się z szacunkiem i nie zajmują się oni jedynie zapewnianiem rozrywki na prymitywnych zabawach.

A potem tam umarł. Odkryła, że na myśl o upokorzeniu, upadku Mirlada i jego samotnej śmierci narasta w niej nowe współczucie.

Cadvan jednak wydawał się zupełnie inny, zdecydowanie trudniej było go wyczuć. Był bardziej zmienny, jak płynne srebro: twarz miał ruchliwą, a myśli przepływały po niej

niczym odbicia słońca na pomarszczonej wodzie. Paradoksalnie jednak sprawiał wrażenie bardziej skrytego, pełnego sekretów głębszych nawet niż te, o których oględnie wspominał. Może - pomyślała Maerad - wszyscy prawdziwi bardowie tacy właśnie są, jednocześnie obecni i odlegli. No i w końcu pomógł jej wydostać się z sioła; nie miała jednak pojęcia, co z sobą począć, chyba że pójdzie za Cadvanem. Sam wspominał, że to niebezpieczny kraj, a ona nie знаła dotąd żadnych zagrożeń oprócz chłosty i nadmiernego zainteresowania ludzi tana. Byłaby bezbronna niczym króliczy osesek.

Oparła się o jedną z brzoź, patrząc w górę przez gałęzie, które splatały się na tle ciemnego wieczornego nieba. Przez liście przeświecało kilka wczesnych gwiazd, białych klejnotów uwięzionych w misternej siatce. Nie rozumiem tego wzoru - pomyślała Maerad ze zmęczeniem. Lecz przynajmniej gwiazdy pozostawały niezmiennie.

W końcu Cadvan rzekł szorstko, że powinna odpocząć, toteż skuliła się na ziemi owinięta kocem. Wkrótce zasnęła mimo nieuporządkowanych myśli.

*

Maerad obudziła się nagle; na moment zapomniała, gdzie jest, i zastanawiała się, czemu nie słyszy dzwonu, a potem promień światła przesywający barierę gałęzi zaświecił jej w oczy i gdy zamruła, wydarzenia ostatnich dwóch dni powróciły gwałtowną falą. Usiadła, przecierając twarz dłońmi, i przekonała się, że Cadvan przygotował już śniadanie. Umył się też w strumieniu: mokre ciemne włosy lepiły mu się do czoła.

- Dzień dobry - przywitał ją z ukłonem. - Pani tego domu musi mi wybaczyć to jadło, takie samo jak zeszłej nocy, lecz mimo swej monotonii zdrowe. Czy moja pani chce najpierw się ubrać, czy też zjeść śniadanie?

Maerad roześmiała się.

- Chyba najpierw śniadanie. Jest lepsze niż to, do czego przywykłam!

Zjedli w przyjaznej ciszy. Potem Cadvan spakował ich rzeczy. Maerad owinęła lirę w worek i pozwoliła, by ją schował.

- Musimy dziś ruszyć w drogę - rzekł Cadvan. - Postanowiłem nieco zmienić marszrutę i odwiedzić znane mi miejsce około sześćdziesięciu mil stąd. W dobrym tempie, jeśli dopisze nam szczęście, dotrzemy tam w ciągu tygodnia. Potrzebujemy zapasów, a ty także ubrań. W dzisiejszych czasach nie wszędzie chętnie witają bardów i będziemy musieli się przebrać. Sądzę jednak, że nie odmówią wędrowcom w potrzebie!... - Zamilkł, jakby nie do końca pewny tego, co mówi. - Chciałbym cię prosić o przysługę. Maerad, jesteś dla mnie nierozwikłaną zagadką, a zważywszy na wagę mojej misji... Chciałbym cię prosić, byś pozwoliła mi w siebie wnikać.

- Wniknąć? - powtórzyła Maerad. - Co to właściwie znaczy?

- Jeśli nie wiesz, trudno to wyjaśnić. Ale muszę uprzedzić, że jeżeli odmówisz, uszanuję twoją decyzję i nie będę przykładał do niej wagi. Wnikanie to trudna sprawa, żaden bard nie podejmuje się go lekkomyślnie. Oznacza, że chcę wejrzeć w ciebie i przekonać się, kim jesteś naprawdę.

- Och. - Maerad wciąż nie miała pojęcia, o czym mówił. - Czy to boli? - spytała z powątpiewaniem.

- No cóż. Owszem, w pewien sposób tak. To trochę jakbym poprosił, żebyś zdjęła ubranie i stanęła przede mną, żebym mógł cię oglądać przez szkło widzenia.

Maerad przyglądała mu się pełna sceptycyzmu. Oczy miał szeroko otwarte i szczerze; wyglądało na to, że jego prośba nie kryje w sobie żadnych podtekstów. Mimo to Maerad miała wątpliwości.

- Brzmi to tak, jakbyś chciał mnie zczarować - rzekła podejrzliwie. - Nie ufasz mi? O to chodzi?

Roześmiał się.

- To nie czar, nie całkiem. A poza tym niczego bym ci nie zrobił, jedynie spojrział.

Maerad milczała.

- Nie lubię prosić - dodał. - Wyprowadziłem cię stamtąd w dobrej wierze i nie wspominałbym o tym, gdyby niebezpieczeństwo groziło tylko mnie.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Wówczas tego nie zrobię - odrzekł. - I podejmiemy przerwana podróż.

Nagle jego twarz stała się nieprzenikniona, pochylił się nad sakwą.

- Jak to wygląda?

Cadvan zastygł bez ruchu.

- Patrzę ci w oczy. Zaglądam w umysł. To wszystko.

- To wszystko? - Maerad zastanawiała się krótką chwilę. Wiedziała, że Cadvan uważa to za ważne. Nie wierzyła też, by mógł jej zrobić krzywdę: gdyby o to mu chodziło, miał już wiele lepszych okazji. - No dobrze. - Wzruszyła ramionami. - Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej... Co musisz zrobić?

- Jesteś pewna?

- Chcesz to zrobić czy nie?

Cadvan znów upuścił sakwę.

- W takim razie stań przede mną dokładnie tak, jak wtedy w oborze. I połóż mi dłonie na ramionach.

Posłuchała; on także powtórzył jej gest. Stali naprzeciw siebie, Cadvan patrzył jej w oczy. Maerad ogarnęło nagle przemożne rozbawienie.

- Nie śmieć się, Maerad - rzekł Cadvan cicho. - Opróżnij umysł.

Zaczął przemawiać w Mowie, tak szybko, że nie dosłyszała poszczególnych słów. Wydało się jej, że otaczające ich światło przygasa; widziała tylko oczy Cadvana. Były ciemnoniebieskie i płonęły wewnętrznym ogniem, który z początku wydawał się zimny, potem jednak odkryła, że w jego wnętrzu kryje się gorąco dość mocne, by sparzyć. I skąd w nich ten smutek? Głęboki smutek, rana. Ukochana twarz, niemal ją widziała... I coś jeszcze, ciemność, niczym blizna... Wtedy jednak nagle porwał ją prąd wspomnień z własnego życia: wspomnień, które zapomniała albo zepchnęła w najdalsze zakamarki umysłu. Teraz napłynęły gwałtownie, nieuporządkowane, zupełnie jakby całe jej życie rozgrywało się ponownie w ciągu jednej sekundy. Niektóre jednak wyróżniały się spośród innych.

Kolejne wspomnienia z Gilmanowego Sioła, otepiające zmęczenie, nuda i ból, poniżenie libacji i chłost, lekcje gry z Mirladem, kiedy była mała i słuchała jego ponurych nauk... Jej matka i stara kobieta o błękitnych oczach, tuląca ją w ogrodzie pełnym słodko pachnących kwiatów... Śpiew, muzyka i śmiech we wspaniałej sali pełnej mężczyzn, kobiet i dzieci w pańskich strojach, oświetlonej wielkimi świecznikami... Matka przyciskająca ją do siebie w przerażeniu, grozie i rozpacz, na darmo próbująca uciec... Mały stolik, na którym piętrzyły się owoce... Matka tuląca małe dziecko, jej brata Caia, gaworzącego i sięgającego po czerwone kwiaty... Rozpacz i śmierć matki. Twarz matki, wychudzona i pożółkła, jej ciało leżące na pryczy, popękane, owrzodzone wargi, głos, ledwie szept, dłoń odgarniająca jej włosy i słowa: „Maerad, bądź silna. Bądź silna”... i ostatnie tchnienie. Wrony kołujące na ciemnym niebie, krzyki mężczyzn i straszliwe wrzaski... Człowiek, w którym rozpoznała ojca, powalony ciosem maczugi, jego ciało leżące pośród wielu... Wysoka wieża płonąca w mroku nocy i krzyk, gdy zawalił się dach, posyłając w niebo długi jezior ognia...

Nagle Maerad ogarnęła nieznośna rozpacz, przewyższająca nawet tę, którą poczuła po śmierci matki: zupełnie jakby cały ból, którego kiedykolwiek doświadczyła, zebrał się w jednym, rozżarzonej do białości punkcie w samym centrum jej umysłu. A potem owa kula gorąca zaczęła się rozszerzać i rozszerzać, ogarniając swym ogniem całe jej jestestwo, aż w końcu Maerad nie mogła już tego znieść. Zupełnie nieświadomie krzyknęła: „Nie!” i wybuchnęła szaleńczym, palącym płaczem.

Przez jakiś czas nie zdawała sobie sprawy z niczego innego. Po dłuższej chwili zorientowała się, że leży na ziemi i płacze na ramieniu Cadvana, a on gładzi jej włosy. W końcu opanowała szloch i usiadła, odpychając swego towarzysza i ocierając twarz grzbietem

dłoni.

Cadvan był blady i wyraźnie poruszony.

- Maerad, naprawdę mi przykro - rzekł. - Bardzo, bardzo przykro.

Nie była pewna, czy przeprosza za wnikanie, czy za to, co ono ujawniło. Czuła się ociężała, w głębi czaszki pojawiło się pierwsze pulsowanie bólu. Ukryła twarz w dłoniach.

- To naprawdę bolało - rzekła stłumionym głosem.

- Nie powinienem był cię prosić - powiedział Cadvan po chwili ciszy. - Mimo całej swej mocy jesteś wciąż niemal dzieckiem, a nawet najzdolniejszym trudno jest znieść wnikanie. Obawiałem się jednak, że jesteś duchem Mroku przysłanym, by mnie zwieść.

- Ja miałabym cię zwieść? - spojrzała na niego zaskoczona.

Cadvan posłał jej krzywy uśmiech.

- Może pocieszy cię to, że zapłaciłem za swą chwilę zwątpienia. Twój krzyk odrzucił mnie aż do tamtych drzew. Mam szczęście, że nie skręciłem karku!

- Ja to zrobiłam?

Gapiała się na niego z otwartymi ze zdumienia ustami.

- W istocie. Ale to nie twoja wina - skrzywił się, pocierając głowę, i Maerad dostrzegła ślad na jego czole. - Musisz się nauczyć panować nad swą mocą.

- Będziesz miał guza - zauważyła.

- Owszem, będę.

- Czyli wyszło dobrze?

- Co?

- No, wiesz, czy to wyszło dobrze?

- O tak - odrzekł niemal z roztargnieniem. - Nie ma w tobie Mroku, jeśli o to pytasz. Wiem to, choć nie mogłem dokończyć wnikania. Gdyby tam był, natknąłbym się na inne mury i inne środki obrony. - Popatrzył na nią osobiwie, niemal nieśmiało. - Wnikanie to niezwykła rzecz, rzadko to robię. Musisz jednak wiedzieć, Maerad, że nie wniknąłem jeszcze w nikogo, kto kryłby w sobie tak wiele rozpaczy. Nieprędko to powtórzę, a ty prawie wniknęłaś we mnie!

Pokręcił głową; przez jakiś czas oboje siedzieli w milczeniu. Ból głowy Maerad ustał. Czuła się pusta, oszołomiona, lecz uczuciu temu towarzyszyła dziwna ulga, jakby ktoś przeciął w końcu nabrzmiały wrzód.

Nagle Cadvan wstał i otrzepał się. Wyglądał, jakby odnalazł w sobie nową stanowczość i odrzucił dręczące go wcześniej wątpliwości.

- Musimy ruszać - oznajmił. - Słońce weszło już wysoko, a czeka nas daleka droga.

Maerad przyjrzała mu się, mrużąc oczy.

- Dokąd właściwie idziemy?

- Myślę, że powinienem cię zabrać do Norlochu, ale to daleko stąd. Najpierw musimy znaleźć stawę i może konie.

Staął pośrodku polany i skłonił się drzewom, gestem nakazując Maerad uczynić to samo. Dźwignęła się z ziemi.

- Musimy podziękować drzewom za gościnę - oznajmił. - Były dla nas dobre.

Podniósł sakwę i wyszedł z kręgu.

Maerad zwlekała chwilę, nim opuściła brzozywe schronienie, by raz jeszcze spojrzeć na poranne słońce przenikające przez wiosenne liście. Pomyślała, że ów zagajnik to najpiękniejsze miejsce, jakie w życiu oglądała. Światło padało na ziemię, tworząc na niej srebrzyste i złociste cętki, a misternie splecione cienie gałęzi tańczyły pośród nich w miękkiej trawie, która falowała łagodnie w powiewach lekkiego wiatru. Dziękuję - rzekła w myślach i skłoniła się; gest ów wydał jej się dziwnie stosowny, bo brzozy sprawiały wrażenie bardziej żywych niż większość drzew. Przez moment sądziła niemal, że zaraz do niej przemówią - zaszeleściły z lekkim smutkiem niczym przyjaciele na pożegnanie.

IV

BITWA Z ŁAKAMI

- Dlaczego jest tak cicho? - spytała Maerad. - Czy zawsze panuje tu taka cisza?

- Nie, nie zawsze. Nie podoba mi się to - odparł Cadvan. - Na niebie krążą ptaki, wysoko, nie widzę jakie. Możliwe, że nas obserwują. Przypomina to ciszę przed burzą, tyle że dziś wieczór burza nie nadejdzie. Może jutro. Nie, to coś innego.

- Domyślasz się co?

- Tak. Ale mogę się mylić. Przypuszczam, że Landrost wysłał swoich posłańców i rozpoczął łowy. Widziałem dziś wyłącznie wrony, wszystkie inne ptaki się pochowały.

- Łowy?

Maerad zachwiała się na nogach. Uświadomiła sobie, że Cadvan miał rację co do wron: przez cały dzień nie dostrzegła innych ptaków.

Kierowali się na południowy wschód; góry mieli po prawej, a puszcę po lewej. Niebo było czyste, zimne i jasnoblękitne, przez cały ranek słońce ledwie grzało. Wszędzie wokół budziło się życie: z ziemi wychylały się jasnozielone kielki, przebiśniegi i żonkile przeciskały się przez płataninę suchych traw i ziół, a rozgniatane pod stopami liście dzikiej mięty i lebiodki uwalniały słodkie zapachy. U podnóża wzgórz wyrastały niskie cierniste drzewa i kępy karłowatych sosen przygiętych przez wiatr, okolonych płataniną jeżyn i kolcolistu. A wszędzie wokół rozkwitały jasnoniebieskie kwiatki w kształcie gwiazdy; Cadvan twierdził, że nazywają się *aëlgorgen*.

- W Mowie oznacza to kwiat świtu - wyjaśnił. - Rośnie jedynie tutaj, na dalekiej północy.

Maerad próbowała powtórzyć tę nazwę, lecz język jej się zaplątał, a potem w ogóle nie mogła sobie przypomnieć tego słowa.

Okolica była piękna, lecz Maerad wydała się dziwnie pusta. Ich kroki rozbrzmiewały głośno w głuchej ciszy; jak okiem sięgnąć wydawali się we dwójkę jedynymi ruchomymi istotami. Nigdzie wokół nie dostrzegła śladów obecności ludzkiej, choć jej stopy wciąż potykały się o osobliwe, porośnięte trawą krawędzie i pagórki, zbyt regularne, by były dziełem natury; być może stanowiły pozostałości dawno zburzonych budynków. Nie widziała

też żadnych zwierząt - jedynie uciekające w dali króliki, nic więcej.

- Zdawało mi się, że Landrost to zwykła góra. - Obejrzała się na ośnieżony szczyt. -
Mówisz o nim jak o człowieku... I co to za łowy?

- Landrost to istota obdarzona mocą. Góra jest jedynie jego siedzibą. Ale to nie
człowiek, nigdy nim nie był.

- Tak jak Bezimienny? - spytała Maerad.

- Nie tak potężny, choć Bezimienny był kiedyś człowiekiem. Landrost to zaledwie
jeden z jego niewolników. Nie wymienię tu jego imienia, choć je znam... - Cadvan urwał i
Maerad ponownie dostrzegła na jego twarzy wyczerpanie. Prawdziwe, głębokie wyczerpanie,
owoc długiej walki i bólu. - Schwycił mnie i uwięził w swej fortecy głęboko pod korzeniami
góry. Ujrzałem tam rzeczy, o których wolałbym nie wiedzieć, bo w swej pysze chciał
sprawić, bym ukorzył się i zadrzał ze strachu przed śmiercią. Ja jednak uciekłem i teraz on
pragnie się zemścić, a my wciąż pozostajemy w jego zasięgu. W dolinie ledwo go
powstrzymałem, z twoją pomocą; gdyby się nie udało, w morderczej złości zwaliliby nam na
głowy cały masyw. W miarę jak się oddaliśmy, jego moc słabnie, lecz wciąż jesteśmy zbyt
blisko. Niełatwo mu się pogodzić z tym, że ktoś uszedł z jego szponów. Myślę, że wysłał za
nami swoje łaki, stąd właśnie ta cisza. Ich cienie nas ścigają, choć póki słońce świeci,
niewiele mogą zdziałać. Kiedy zapadnie zmrok, przybiorą własne kształty. Czeka nas ciężka
noc.

Jakiś czas milczał. Jego słowa jeszcze uwypukliły panującą wokół ciszę i bezruch;
Maerad znów rozejrzała się nerwowo. Świat wokół wydawał się spokojny i niegroźny, lecz
coś subtelnego mówiło jej, że jest inaczej. Powoli zaczęła ją ogarniać nieokreślona groza.

- Maerad - rzekł w końcu Cadvan. - Chyba powinienem cię zostawić, nie wystawiać
na grożące mi niebezpieczeństwo. Nie przemyślałem tego, kiedy natknąłem się na ciebie w
siole. Byłem zbyt zdumiony i zbyt znużony. A teraz już za późno, żeby zawrócić.

- Nie - odparła ciepło Maerad. Przypomniała sobie dławiącą rozpacz w Gilmanowym
Siole. Tu przynajmniej mogła swobodnie oddychać. - Nie, dobrze zrobiłeś, pytając, czy chcę
odejść. Wolałabym umrzeć, niż tam zostać.

- Całkiem możliwe, że umrzesz.

- Przynajmniej nie umrę jako niewolnica - odpowiedziała.

Dumne słowa - pomyślała w duchu, ale mówiła poważnie.

*

Cadvan przyśpieszył kroku. Maszerowali w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach.

Maerad wciąż nie do końca mogła uwierzyć, że uciekła z sioła. Od czasu do czasu

przyłapywała się na myśli, że powinna się czymś zająć - wrywać chwasty na polu, ubijać masło, prząść szorstką wełnę, z której szyto ich stroje - a potem nagle z lekkim wstrząsem wracała do rzeczywistości: może już nigdy nie będzie musiała robić podobnych rzeczy. Nawet pomimo narastającego odczucia, że są szpiegowani, że każdy kamień śledzi ich kroki, świadomość chwili obecnej ją oszałamiała. Nie mogła sobie wyobrazić czegoś bardziej zdumiewającego niż sam fakt, że odzyskała wolność. Nie zastanawiała się nawet nad tym, dokąd zmierza i dlaczego. A ten Cadvan - kim właściwie był? Dlaczego wbrew sobie czuła, że może mu zaufać? Nic o nim nie wiedziała. Nigdy wcześniej nie ufała mężczyźnie - oprócz Mirlada, a nawet to zaufanie wymagało wielu lat. Dlaczego zatem robi to teraz?

W południe zatrzymali się na odpoczynek w pobliżu jednego z licznych strumyków spływających z gór. Kostka Maerad zaczynała puchnąć; dziewczyna wysunęła stopę z buta i przytrzymała w dłoniach, masując nadwerżony mięsień.

- Boli? - spytał Cadvan. - Pokaż.

Ujął jej stopę w dłonie i obrócił delikatnie.

- Jest nieco spuchnięta. Nic strasznego. A teraz odetchnij.

Przycisnął mocno dłoń nad kostką; Maerad sapnęła z bólu, a potem ponownie, ze zdumienia, bo opuchlizna i ból zniknęły.

- Już nie boli! - zawołała. - Jesteś też uzdrowicielem?

- Wszyscy bardowie to uzdrowiciele - odrzekł miękko Cadvan, nadal trzymając jej stopę. - Powinnaś była pokazać mi to wcześniej.

Uśmiechnął się do niej i Maerad w nagłym niepokoju gwałtownie cofnęła nogę, z ulgą kiwając palcami.

- Co się dzieje? - spytała. - Tak wielu rzeczy nie rozumiem. Może mogłabym pomóc?

- Spojrzała na niego spod płataniny włosów. - Mówiłeś, że jesteś ranny, ale nie dostrzegam u ciebie żadnych ran. Siebie także uleczyłeś?

Cadvan wstał i mrużąc oczy, spojrzał w słońce.

- Powinniśmy ruszać - rzekł. - W stosownej porze powiem ci wszystko, Maerad. Przysłano mnie tu z tajną misją i na razie nie wolno mi niczego zdradzić. Ale owszem, byłem ranny i nie, nie mogłem sam siebie uzdrowić. Nie jest to rana, którą widać gołym okiem. Jestem słabszy niż zwykle, pozbawiony ochrony w głuszy.

- Ale przecież możesz mi zaufać - Maerad zaczęła ogarniać złość. - A jeśli tobie grozi niebezpieczeństwo, to i mnie także, bo z tobą podróżuję. Jesteś mi to winien.

- Nic ci nie jestem winien, Maerad.

Cadvan przemawiał spokojnie, lecz Maerad dostrzegła błysk w jego oczach.

- Beze mnie nie wydostałbyś się z doliny - przypomniała. - Sam tak mówiłeś.

- Cisza! - rzucił szorstko, a jego twarz zamknęła się przed nią. - Maerad, jesteś jeszcze dzieckiem. Nie zdręczaj mnie pytaniami, przynajmniej nie teraz. Czeka nas daleka podróż.

Maerad nagle ogarnęła wściekłość.

- A kim ty właściwie jesteś? - Nie obchodziło jej, że krzyczy, choć jej głos odbijał się głośnie echem wśród pustkowi. - Zjawiasz się znikąd w łachmanach i oczekujesz, że uwierzę, iż jesteś ważną osobistością z zachodu. Gadasz tylko o bardach i magii! Równie dobrze mógłbyś być zwykłym sztukmistrzem i oszustem. A potem mówisz, że jestem dzieckiem, mam stanąć w kącie i być cicho.

- Zamknij się, Maerad, dowiesz się później!

- Nie jestem dzieckiem! Mam już szesnaście wiosen.

- Istnieją ważniejsze rzeczy niż próżność młodej dziewczyny - powiedział zimno Cadvan.

Maerad uświadomiła sobie, że stoi przed nim z zaciśniętymi pięściami, dygocząc ze złości. Zarumieniła się.

- Nie jestem dzieckiem - powtórzyła, lecz z mniejszym przekonaniem, i natychmiast poczuła się strasznie dziecinnie.

Cadvan sprawiał wrażenie znużonego, lecz wzrok miał twardy. Odwrócił się i ruszył przed siebie. Maerad odczekała chwilę, po czym podążyła za nim, obawiając się, że zostanie sama w owej niesamowitej ciszy. Maszerował bardzo szybko: musiała podbiec, by go dogonić. Kiedy to zrobiła, nie zrównała się z nim, lecz szła za jego plecami. Wściekłość zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, ale Maerad nie miała ochoty przeproszać.

Ponad dwie godziny szli naprzód w upartym milczeniu. Teraz promienie słońca padały im na plecy, a Maerad męczyła się coraz bardziej. Cadvan utrzymywał tempo, a ona mimo ciężkiej harówki w siole nie przywykła do tak morderczych marszów. Była zbyt dumna, aby prosić, żeby zwolnił; zacisnęła jedynie zęby. Zaczynała nienawidzić jego prostych, nieugiętych pleców, zawsze przed nią, pozbawionych litości i zrozumienia. Do zachodu słońca wciąż dzieliło ich kilka godzin; zakładała, że wtedy się zatrzymają, choć całkiem możliwe, iż teraz Cadvan będzie nalegał, by wędrowali całą noc. Zamieniła po prostu jednego tyrana na drugiego. Kiedy dotrą w miejsce, do którego zmierzają, do Norlochu, czy jak tam się nazywa, może sama znajdzie sobie miejsce w świecie, na razie jednak była na niego skazana. Po twarzy ściekał jej pot. Chciało jej się pić, a to Cadvan niósł flaszkę z wodą.

- Dobrze nam idzie - oznajmił, odwracając się w końcu.

Maerad skrzywiła się gniewnie, a on odpowiedział wyraźnym zdumieniem.

- Nadal się złościysz? Odrzuć gniew, dziecko. Na nic ci się nie zda.

- Mówiłam już: nie jestem dzieckiem - rzekła nadąsana. - Przestań traktować mnie jak idiotkę.

- Jeśli nie jesteś dzieckiem, nie zachowuj się jak dziecko - warknął Cadvan. Odwrócił się, by odejść, po czym zamarł, westchnął i znów na nią spojrzął, wyciągając rękę. - Maerad, to śmieszne. Przepraszam. Przywykłem do samotnych podróży. Jeśli byłem nieuprzejmy, wybacz, proszę. Jestem zmęczony, czeka nas daleka podróż bez dachu nad głową. A to miejsce mnie niepokoi, nie chcę spędzić dzisiejszej nocy na pustkowiu. Przestańmy się sprzeczać, dobrze?

Maerad powoli ujęła jego wyciągniętą dłoń i przełykając ślinę, pokiwała głową. Pod poważnym wzrokiem Cadvana poczuła się nagle spocona, niewdzięczna i nadąsana.

- Potrzebuję twojej pomocy - dodał. - Maerad, bądź pewna, że kiedy nadejdzie właściwa chwila, powiem ci o pewnych sprawach. Nie mówię teraz dlatego, że nie mogę ich znieść, a nie dlatego, że uważam cię za nieważną. A innych rzeczy nie mogę ci zdradzić, bo mi nie wolno.

- Jak sobie chcesz.

Nagle przestało ją to obchodzić. Niech ma swoje sekrety.

Wskazał ręką na południe.

- Przed zmierzchem chcę dotrzeć w pewne miejsce, które znam. Nie ochroni nas tak jak Irihel, ale będziemy tam bezpieczniejsi niż na otwartej przestrzeni. To wciąż ponad staję stąd, a południe już dawno minęło. Dlatego właśnie się śpieszę.

- Czy mogłabym napić się wody, zanim znów ruszymy? Proszę.

Wyciągnął z sakwy flaszkę i podał jej, po czym sam pociągnął łyk. Następnie podjęli wędrówkę.

*

Cadvan poprowadził ich bliżej gór i gdy zaczęło się ściemniać, skręcił ku, jak z początku sądziła, skalnej iglicy bądź wydłużonemu kamieniowi stojącemu wysoko na małym, dziwnie okrągłym wzgórzu. Kiedy się zbliżyli, Maerad odkryła, że to ruina, nawet nieporośnięta mchem. W ścianach ziały puste szczeliny okien. Robiło się coraz później: słońce rzucało już na nich długie cienie gór i poczuła chłód wczesnej rosy. Wokół panowała nieprzenikniona cisza, która ją przerażała; czuła, że niewidoczni łowcy zbliżają się, czają, szykują do ataku. Pomyślała, że byłoby lepiej, gdyby ich ujrzała. Niewidzialni prześladowcy budzili większy lęk.

Wspinając się na zbocze i ślizgając na gładkiej trawie, spytała, co to za ruiny.

- Kiedyś mieściła się tu strażnica - odparł Cadvan. - W promieniu wielu mil nie ma niczego prócz niej. Dobrze się spisaliśmy, docierając tu na czas.

- Czego strzegła? - zdumiała się Maerad.

- Wielkiego miasta. Jego nazwę już dawno zapomniano. Przed Ciszą był to bogaty, gęsto zaludniony kraj. Bezimienny zniszczył nawet pamięć o tym miejscu. Zburzył wszystkie pałace i ogrody, nie pozostał z nich kamień na kamieniu, prócz tej jednej wieży. Może była mu do czegoś potrzebna?

Przeszli pod ciężkim granitowym nadprożem i znaleźli się w pozbawionej dachu ruinie. Wieża nie była obszerna: czternaście na czternaście stóp; kiedyś schody wiodły na dach, skąd gwardziści wypatrywali wroga. Mury, zbudowane z wielkich kamieni sprytnie dopasowanych bez jakiegokolwiek zaprawy, wciąż wznosiły się wysoko, choć dach się zawalił, a schody i podłogi już dawno spróchniały; wysoko na ścianach pozostały ślady palenisk w miejscach, gdzie kiedyś mieściły się pokoje. Wieża miała tylko jedne drzwi i wąskie okna, otwierające się wysoko w murach.

Cadvan zrzucił z pleców sakwę.

- Mamy niewiele czasu; musimy dobrze go wykorzystać, jeśli mamy przetrwać tę noc - oznajmił. - Naszą nadzieją jest ogień. Potrzebujemy drewna, szybko, nim zrobi się ciemno.

Wyszli z wieży i udali się na poszukiwanie drewna. Wzgórze otaczały cierniste drzewa, dwa z nich zimowa wichura wyrwała z korzeniami.

- Idealne suche drewno - powiedział Cadvan. - Myślę, że wystarczy.

Maerad otworzyła usta, by spytać, jak mają je porąbać gołymi rękami, w tym momencie jednak jej towarzysz spod płaszcza dobył miecz.

- Wybacz mi, Arnoście, że użyję cię do takich celów! - rzekł i zaczął rąbać suche drwa równie łatwo, jak gdyby kroił chleb.

- Nie wiedziałam, że masz miecz - mruknęła Maerad. - Nigdy wcześniej go nie widziałam!

Nagle serce zabiło jej mocno, zupełnie jakby szykowali ognisko na zabawę.

- Wielu jeszcze rzeczy o mnie nie wiesz. Módl się, abyś miała okazję je odkryć! A teraz szybko!

Słyszac naglacy ton w jego głosie, Maerad zaczęła wciągać wiązki drewna na górę. Cadvan dołączył do niej, gdy tylko rozszczepił pnie. W krótkim czasie usypali wewnątrz murów starej strażnicy wysoką stertę drewna. Bard przyjrzał się jej krytycznie.

- Wystarczy - orzekł. - Musi wystarczyć. Już niemal ciemno. Póki się da, nazbieraj jeszcze trochę gałęzi. Ja muszę załatwić coś innego.

Wydobył niewielki sztylet o dziwnym kształcie i zaczął kreślić głęboką linię wokół podstawy wzgórza. Ona tymczasem taszczyła do strażnicy kolejne wiązki drewna. Słyszała, jak Cadvan nisko, monotonicznie nuci rytmiczne słowa w Mowie. Kiedy okrążył całe wzgórze, stanął bez ruchu i uniosł ręce ku niebu. Ponownie odniosła wrażenie, że oświetlił go dziwny blask: na sekundę ujrzała pierścień białego ognia strzelający wokół wieży. Potem jednak zamrugła i obraz zniknął, uznała zatem, że to jedynie dziwne załamane światła.

Weszła do strażnicy. Stos drewna był wysoki, a słońce zniknęło właśnie za horyzontem. Wewnątrz panowała niemal zupełna ciemność.

Cadvan dołączył do niej, natychmiast ukląkł i położył przy drzwiach stosik gałązek. Potem wyciągnął rękę z dwoma sterczącymi palcami.

- *Noroch!* - rzucił.

Mały biały płomyczek zamigotał wśród drzazg i zaczął rosnąć. Cadvan uważnie i zręcznie dokładał do ognia i wkrótce Maerad musiała stanąć przy przeciwległej ścianie, by uniknąć żaru.

- To trochę tak, jakbyśmy mówili wszystkim, że tu jesteśmy - rzekła. - Nie sądzisz?

- A uważasz, że tego nie wiedzą?

- Co się stanie po zmierzchu?

- W ciemnościach łaki zyskują moc - wyjaśnił Cadvan. - Ale boją się ognia. Nie mogą zburzyć kamieni. Nie sądzę, by udało im się przełamać wzniesioną przede mną barierę. Myślę, że mamy dość drewna, by wytrzymać do ranka. No dobrze, Maerad, wiem, że to nie najlepszy moment, by cię pytać, ale czy walczyłaś kiedyś nożem?

Maerad rzeczywiście miała własny sztylet, który ukradła jednemu z ludzi tana i przechowywała w ukryciu pod paskiem tuż przy skórze.

- Mogę spróbować. Nigdy jeszcze nie walczyłam.

Pokazała Cadvanowi sztylet, a on obejrzał go szybko.

- Prymitywna robota, ale się nada; jest też odpowiedniej wielkości - uznał. - Gdyby cię zaatakowały, jeśli dasz radę, celuj w oczy i pamiętaj, aby trzymać go mocno w garści, o tak, żeby wbił się dobrze. Później, w bardziej sprzyjających okolicznościach, będę musiał udzielić ci lekcji walki mieczem.

Maerad poczuła, jak ściska się jej żołądek.

- Co nas zaatakuje? - spytała. - I jak wiele może zdziałać nóż przeciw cieniom?

- Jeszcze nie wiem - odparł. - Pamiętaj jednak: choć łaki to stworzy z Mroku, można je zabić. Ich najmocniejszą bronią jest strach. Wszelkimi siłami odpychaj od siebie strach. I walcz tylko wtedy, kiedy cię zaatakują. Jeśli tego nie zrobią, walkę pozostaw mnie.

Dobyl miecza i lekki brzęk odbił się echem od otaczających ich kamieni. Ogień trzeszczał głośno, rzucając na starożytne ściany dziwne zniekształcone cienie, które sięgały ku górze i znikwały w otchłani nad ich głowami. Maerad nie widziała w górze nieba, jedynie nieprzeniknioną ciemność. Cadvan przeciągnął się, a potem sięgnął po sakwę.

- Teraz jednak konam z głodu.

Rzucił Maerad suchara, garść owoców i orzechów i zjedli oparci plecami o ścianę, wyciągając stopy do ognia. Ich twarze jaśniały w blasku płomieni. Maerad słyszała ciszę zalegającą w pustej krainie wokół nich, ciągnącą się na wiele mil od przyjaznego potrzaskiwania ogniska. Przytłaczała ją niczym ciężar. A potem rozległ się dźwięk, którego się obawiała: długie, przeciągłe wycie. Niemal upuściła suchara ze strachu, Cadvan jednak nie zareagował.

- Słońce zaszło - rzekł.

- Łakowilki? - wyszeptała.

- Tak, przynajmniej na razie. Zaczynają się łowy. Będą potrzebowały kilku chwil, by obmyślić, co zrobić z barierą. To biały ogień. Mrok nie może go przekroczyć, nie przełamując jego mocy, a to niełatwe. Powinnaś się przespać.

Wycie znów rozbrzmiało; odpowiedziało mu kolejne.

- Przespać? Teraz?

- Czemu nie? Ja będę czuwał.

Cadvan odwrócił się i uśmiechnął do niej szeroko.

- Bądź pewna, że nie pozwolę ci przegapić fajerwerków. Pamiętaj, ich najmocniejszą bronią jest strach.

Maerad posłusznie położyła się i zamknęła oczy. Próbowwała zachowywać się tak, jakby się nie bała, odprężyć się, ale nie szło jej to łatwo w głuszy, na potrzaskanej kamiennej posadzce, pośród wycia spragnionych jej krwi łaków posłanych przez Mrocznego Maga... Po forsownym marszu bolało ją całe znużone ciało, a ogień był taki ciepły, lecz wibrowało w niej napięcie, nie pozwalając zasnąć. Po jakimś czasie poddała się i usiadła, przysuwając się bliżej Cadvana, który skinął głową bez słowa.

Bard siedział obok bez ruchu, starannie podsycając ogień. Twarz miał odprężoną: wydawałoby się, że śpi, gdyby nie czujne spojrzenie oczu. U stóp ułożył nagi miecz.

Łaki krążyły wokół wzgórze. Maerad i Cadvan słyszeli ich dobiegające z zewnątrz ciche kroki: próbowały znaleźć przejście przez barierę. Cadvan wytężył słuch i naliczył może dwadzieścia. Od czasu do czasu któryś z nich przystawał i wył ponuro, przeciągłe, głosem mrozącym krew w żyłach, przesyconym absolutną rozpaczą zrodzoną z długich lat grozy i

puszki. Krzyki owe trafiały Maerad w samo serce. Wydały się jej odgłosem braku życia, głosem istot ani żywych, ani umarłych, lecz uwięzionych w morderczej otchłani pomiędzy życiem a śmiercią, skazanych na zazdrość i nienawiść wobec wszystkiego, co czerpie radość z istnienia. Zadrżała, czując wzbierające w gardle mdłości. Cadvan, na pozór niewzruszony, nadal podsyczał ogień. Potem usłyszeli, jak łaki zbierają się razem, i jej towarzysz sięgnął po miecz.

- Zaraz rzucą się na barierę - wyszeptał.

Maerad słyszała pulsowanie własnej krwi. Ścisnęła sztylet w dłoni tak mocno, że zbieleły jej kostki. Łowiła uchem donośne odgłosy łap łaków i ich oddechów, a także zderzeń, gdy rzucały się naprzód; bariera jednak wytrzymała i odskoczyły z wyciem. Cadvan odprężył się, znów usiadł.

- Wygraliśmy pierwszą rundę.

Maerad mimo głębokiego cienia dostrzegła błysk jego zębów w uśmiechu.

Atak łaków na barierę trwał ponad godzinę: rzucały się raz po raz na magiczną przeszkodę, próbowały przebić się przez nią zębami i pazurami. Przez ten czas Cadvan i Maerad siedzieli w milczeniu. Bariera Cadvana wytrzymała; stwory nie były dość silne, by się przez nią przebić, a bard chciał, by zmęczyły się podczas bezowocnych ataków. Miał nadzieję, że całą noc będą rzucać się na przeszkodę. Nagle jednak uspokoiły się i Cadvan usłyszał, jak jeden z łaków, najpewniej przywódca, zaczyna wyć. Tym razem dźwięk był inny: przypominał niemal ludzkie zawodzenie, coraz głośniejsze i bardziej natarczywe.

- Przywódca szykuje przeciwzakęcie - oznajmił. - Mamy pecha. Rzadko się zdarza, by łak znał jakąś magię.

Maerad spojrzała mu prosto w oczy; strach powrócił z nową siłą.

- Co to oznacza?

- Że moje zakęcie albo wytrzyma, albo nie. Nic nie możemy zrobić, pozostaje tylko czekać.

Cadvan podniósł miecz i trwał w napięciu. Maerad poczuła narastającą wokół moc. Zebrała się w najsłabszym miejscu bariery, w którym jej końce łączyły się z sobą, i niczym złowieszcze czarne ostrze usiłowała wbić się w umysł Cadvana. On jednak walczył, zaciskając zęby; na czoło wystąpiły mu krople potu. Maerad patrzyła z rosnącym niepokojem. Głos wznosił się w upiornym crescendo, nieznośnie piskliwym, a potem nagle przekształcił się w bezdźwięczną eksplozję, rozbłysk czarnego światła. Cadvan z grymasem bólu upadł na ścianę. Lecz bariera wytrzymała. Łaki nie zdołały jej przebić.

Wówczas nastąpiło coś, czego Maerad obawiała się jeszcze bardziej: cisza. Łaki coś

szykowały.

Cadvan odłożył broń i zaczął grzebać w sakwie.

- Wypij coś - podał jej butelkę zawierającą ziołowy napój. - Teraz musimy być czujni.

- Czego mamy wypatrywać?

- Czegokolwiek. Wszystkiego. Usiądź plecami do ognia. Pamiętaj, że wieża nie ma dachu. Teraz mogą się tu dostać tylko górą. Ogień je odstrasza, ale to nie wystarczy.

Maerad ścisnęła w dłoni sztylet i usiadła obok Cadvana, wytyżając słuch. Słyszała tylko tętnienie własnej krwi. W jej sercu wzbierała groza, aż w końcu zaczęła marzyć, żeby coś się wydarzyło, cokolwiek, co przełamałoby nieznośne napięcie. Zerknęła ukradkiem na Cadvana. Sprawiał wrażenie spokojnego i pogodnego, twarz miał odprężoną, oczy czujne. Odetchnęła głęboko.

Miała wrażenie, że siedzą tak w ciszy wiele godzin. Od czasu do czasu poruszała się, aby ulżyć obolałemu ciału, lecz Cadvan nawet nie drgnął.

- Może sobie poszły - rzekła w końcu. - Od wieków niczego nie słyszeliśmy.

- Cii - syknął Cadvan. - Możemy być pewni tylko jednego: że sobie nie poszły. Słuchaj.

- Ale przecież nie mam czego.

- Będą czekać. Chcą, by strach osłabił naszą wolę. Karmią się naszym strachem. To ich życie, ich chleb. Odmów im go! Poślij umysł w noc. Użyj swojego Daru. Poślij go w noc. Wówczas usłyszysz.

Maerad zastanawiała się, co miał na myśli. Może powinna... Zebrała myśli na próbę i wyobraziła sobie, że jej umysł przesuwają się poza mury strażnicy. Natychmiast poczuła chłód, choć wciąż siedziała zwrócona plecami do ognia. Zupełnie jakby wyszła na zewnątrz, chociaż widziała jedynie przeciwległą ścianę. Usłyszała jednak powolny łopot skrzydeł, skrzydeł stworów, których nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, skrzydeł pozbawionych piór, ciężkich i szponiastych, a także syki, niczym lodowate podmuchy wciągane i wypuszczane przez zimne skórzaste miechy.

- Skrzydła - wyszeptała. - Ale olbrzymie! To nie są nietoperze albo może nietoperze wielkie jak wilki.

- Owszem. Są blisko. Bariera ich nie zatrzyma. Nie mogę wznieść jej dość wysoko.

- Ale ja niczego nie widzę, Cadvanie, niczego nie widzę. - Maerad odwróciła się ku niemu z szeroko otwartymi oczami. - Są takie wielkie, słyszę, jakie są wielkie. Co my...

- Cisza! - Cadvan zareagował wściekle niczym atakujący wąż. - Nie mogę trzymać cię za rękę jak przerażone dziecko. Jeśli mamy przeżyć tę noc i ujść cało, musisz pamiętać, kim

jesteś. Masz Dar. Dorośnij albo oboje tu zginiemy.

Maerad głośno przełknęła ślinę. Cadvan, znów skupiony, nie zwracał na nią uwagi: słuchał i obserwował, unosząc w gotowości miecz. Odetchnęła głęboko i odepchnęła grozę, która zaczynała już zaciskać kleszcze na jej umyśle, wnikać do mięśni, podstępna i zimna niczym trująca mgła. Serce waliło jej jak młotem, zmusiła się jednak do rozluźnienia. W dłoni trzymała swój nędzny sztylet. Wydawał się taki mały. Pożałowała, że nie ma miecza i że nie umie nim władać. Może wówczas czułaby się bardziej jak wojowniczką. Znów posłała umysł poza mury, nie wiedząc, co innego może zrobić, i usłyszała skrzydlate stwory: teraz były dalej i wyżej. Frunęły ku szczytowi bariery. Z czego właściwie była zrobiona? Nie wiedziała, ale stwory zamierzały przefrunąć nad nią i opaść na nich z góry, była tego pewna. Instynktownie wstała i przekonała się, że Cadvan także stoi, zapatrzony w górę, gdzie nie sięgał blask ognia i poza granicą cieni zalegała nieprzenikniona ciemność. Maerad podeszła bliżej ogniska. Cadvan dorzucił do niego kilka szczap, podsycając tak, że płomienie strzeliły wysoko. Było nieznośnie gorąco. Popatrzyła w górę, wyężając wzrok; nerwy miała napięte jak struny.

I w końcu coś usłyszała, coś tak słabego, że sama nie wiedziała już, czy to nie wiatr. Oddech Cadvana ulatywał ze świstem przez zęby. A potem tak szybko, że prawie to przeoczyła, z góry rzuciła się na nich czarna postać. Wpadła w ogień i umknęła zeń, wrzeszcząc rozdzierająco. Cadvan ruszył naprzód, odrąbał jej mieczem głowę i odskoczył, gdy runęła na ziemię, tryskając wokół strumieniami czarnej krwi.

Maerad przekonała się ze zdumieniem, że stwór nie był tak wielki, jak sądziła: jego ciało rozmiarami dorównywało kozie. Nie miała jednak czasu przyglądać mu się bliżej, bo nagle w powietrzu zaroilo się od szponów, skrzydeł i syków. Jeden stwór pomknął wprost na nią: ujrzała oczy płonące czerwienią w blasku ognia. Sztylet okazał się bezużyteczny, toteż wiedzona nagłym natchnieniem upuściła go i wyciągnęła z ogniska płonącą gałąź. Uderzyła nią stwora, który skręcił gwałtownie i zderzył się z murem. Runął na ziemię ze skrzyknięciem karkiem.

Natychmiast zastąpił go kolejny, lądując na ziemi i unosząc się na tylnych łapach, aby zaatakować szponami. Maerad zamachnęła się gałęzią; od siły ciosu zabolęła ją ramię. Stwór syknął wściekle, czując dotyk płomieni, i jego długa szyja wygięła się ku niej. Uderzyła ponownie i gałąź pękła z trzaskiem. Uskoczyła na bok, chwytając kolejną, i w tym momencie łak trafił szponami w jej głowę. Nie poczuła żadnego bólu; strach nagle zniknął, zastąpiony gwałtowną wściekłością. Złapała gałąź oburącz i zaczęła wymachiwać nią na oślep: było tak mało miejsca, że musiała w coś trafić. Wiedziała, że po prawej stronie stoi Cadvan: atakowany przez trzy stwory ciał i dźgał mieczem. Po chwili zastąpiły je kolejne trzy,

następne wisiały nad ich głowami. Maerad nie opuszczała gałęzi, pamiętając, by celować w oczy, i stwory umykały przed ogniem, skupiając atak na jej towarzyszu.

A potem jeden z nich wylądował przed nią i ze zgrozą ujrzała, jak jego sylwetka faluje i rozmywa się. Z początku sądziła, że oszukują ją oczy, lecz potem z niedowierzaniem przekonała się, że łak przemienia się w człowieka, zaskakująco białego w ciemności. Krzyknęła i pchnęła go gałęzią prosto w twarz. Upadł do tyłu, ale potem rzucił się na nią: skrzydła wtopiły mu się w plecy, twarz miał pustą, wykrzywioną morderczym grymasem, w szponiastej dłoni trzymał czarny miecz. Maerad uskoczyła przed ciosem i ze wszystkich sił rąbnęła mężczyznę płonąca gałęzią w korpus. Płomienie wystrzeliły w górę, lizały mu szyję, podpalając włosy. Wydał z siebie upiorny okrzyk, zwinął się i runął na ziemię, próbując zgasić ogień, ten jednak przywarł do niego niczym śmiercionośny klej, rozszerzając się, aż w końcu łak zapłonął cały niczym wrzeszcząca pochodnia.

Maerad patrzyła ze zgrozą; na sekundę niemal zapomniała o groźącym niebezpieczeństwie, wtedy jednak na ziemi wylądował następny stwór i jej przerażenie znów zamieniło się w furję. Tym razem uderzyła gałęzią, nim jeszcze rozpoczął przemianę: ogłuszony upadł na ziemię mokrą od parującej krwi. Maerad postąpiła krok naprzód, by zadać mu kolejny cios, lecz w tym momencie Cadvan sięgnął ponad nią i odrąbał stworowi głowę. I nagle w strażnicy zapadła cisza.

Stali razem, zdyszani; Maerad rozesłała myśli, sprawdzając, czy nie nadlatują kolejne skrzydła, usłyszała jednak tylko zwykłe dźwięki nocy. Wokół piętrzyły się martwe stwory. Zachłysnęła się nagle, czując gwałtowne mdłości.

Cadvan dołożył do ognia i zaczął wywlekać truchła za drzwi. Maerad cofnęła się chwiejnie, wciąż walcząc z mdłościami. Smród śmierci przenikał wszystko; zaczynała dygotać. Zorientowała się, że gałąź, którą wciąż trzymała, zaraz poparzy jej rękę. Odrzuciła ją z powrotem do ogniska, a potem, z trudem powstrzymując wymioty, pomogła Cadvanowi uprzątnąć z wieży martwe bestie, wyrzucając je za drzwi i w dół zbocza, choć nie mogła się zmusić, żeby dotknąć tego, który spłonął i który wciąż był w połowie człowiekiem. W końcu uprzątnęli ostatnie truchło i wokół zrobiło się pusto, choć powietrze nadal cuchnęło palonym mięsem, włosami oraz krwią. Ani Cadvan, ani Maerad już nie usiedli.

- Czym oni byli? - spytała w końcu.

- Gadzim pomiotem - odparł Cadvan. - Łaki mogą przybrać dowolną postać. Lecz wszystko to złowieszcze postaci, szyderstwa z natury. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się ponuro. - Dobrze się spisałaś, choć raz o mało mnie nie trafiłaś. Dzielna wojowniczką, chociaż nieco niezdiscyplinowana.

Maerad spróbowała odpowiedzieć uśmiechem.

- Myślisz, że jest ich więcej?

- Nie wiem. Nie przypuszczam. Naliczyłem dziewiętnaście, a słyszałem około dwudziestu. Może jeden nie zaryzykował zbliżenia się do ognia. A zresztą niedługo zacznie świtać.

Wyszli na zewnątrz i usiedli w drzwiach, wciąż czujni, lecz zbyt zmęczeni, by rozmawiać. Cadvan nie pozwolił sobie na ani jedną chwilę odpoczynku, a Maerad mimo znużenia czuwała wraz z nim. Tej nocy nie usłyszeli już niczego i w końcu horyzont na wschodzie zaczął jaśnieć, a słońce nieznacznie powoli wyłoniło się zza krawędzi ziemi, posyłając ku nim ukośne promienie nad lasem. Maerad pomyślała, że nigdy jeszcze tak bardzo nie ucieszyło jej nadejście nowego dnia. Odwróciła się do Cadvana i niemal się roześmiała. Nie wyglądali pięknie: oboje umazani i obryzgani ohydą krwią łaków, z twarzami czarnymi od sadzy.

- No cóż - powiedział Cadvan z ciężkim westchnieniem. - Przeżyliśmy.

V

PRZEZ GÓRY

Nie zatrzymali się, by odpocząć, umyć się czy nawet cokolwiek zjeść. Maerad unikała wzrokiem sterty trupów u stóp wzgórza.

- Powinniśmy je spalić - rzekł Cadvan. - Ale nie mamy czasu. Naszą jedyną szansą jest nieustanny marsz.

Maerad nigdy w życiu nie czuła się tak wyczerpana. Przejmujące zmęczenie przerastało jedynie pragnienie zostawienia jak najdalej za sobą strażnicy śmierci. Maszerowali naprzód. Próbowala nie zwracać uwagi na bolącą głowę i piekącą ranę zadaną przez łąka, lecz skupić się wyłącznie na dalszej wędrówce. Nie miała pojęcia, dokąd zmierzają. Zaczynała już sądzić, że Cadvan zamiast mięśni ma metal i druty: nie zdradzał szczególnych oznak zmęczenia, choć dla niej marsz z każdym krokiem stawał się coraz większą, niekończącą się torturą. Powoli, boleśnie dotarli do iglicy wysuwającej się z górskiego łańcucha i okrążyli ją. Gdy to uczynili, kraina wokół nich nagle ożyła. Ptaki śpiewały poranne apele w niskich krzakach przy drodze, przeskakując z gałęzi na gałąź, a trawy drżały od niewidocznych poruszeń małych zwierzątek. Natrętny nacisk na piersi, którego Maerad do tej pory nawet sobie nie uświadamiała, zniknął bez śladu. Nieco dalej po stromym zboczu spływał mały bulgoczący strumyk, tworząc w dole jezioro okolone gładkimi płaskimi kamieniami. Ku niewymownej uldze Maerad Cadvan zatrzymał się tam.

- Wydostaliśmy się poza zasięg Landrostu - oznajmił. - Jego szczyt nie rzuca już cienia na naszą drogę. Nic więcej nie może nam zrobić.

Ukląkł przy sadzawce, ochlapując głowę wodą i myjąc ręce: zaschnięta krew i popiół zniknęły ze skóry, rozpluwając się w czystej wodzie. Maerad przysiadła ciężko w trawie nieopodal: w tej chwili nie była w stanie zrobić niczego. Od wschodu słońca minęły zaledwie trzy godziny, ale miała wrażenie, jakby od poprzedniego dnia upłynęło całe życie. Nawet nie myślała o śnie: mimo wyczerpania mięśni jej umysł był nienaturalnie pobudzony. Jakiś czas po prostu słuchała śpiewu ptaków i szumu strumienia, dźwięków, które koily niczym balsam. Tymczasem Cadvan wyciągnął z sakwy prowiant i Maerad z nagłym zdumieniem odkryła, że kona z głodu.

- Jeszcze nie zdziczeliśmy zupełnie - mruknął i zerknął na nią. - Najpierw musisz się umyć.

Uklękła na kamieniach i zmyła brud z twarzy i rąk. Woda była zimna i przejrzysto czysta. Maerad zerwała pęk suchej trawy i kierowana nagłą gwałtowną odrazą zaczęła się szorować najmocniej, jak umiała, bezskutecznie trąc poplamione ubranie. Potem usiedli i zjedli, a Cadvan powęszył w powietrzu. Na wschodzie zbierały się chmury, wysokie ciemne chmury widoczne z daleka.

- Nadciąga burza - oznajmił. - Możliwe, że to nam pomoże. Musimy zatrzeć nasze ślady. Poza Landrostem wiele innych oczu zobaczy, że ktoś walczył z łakami zeszłej nocy, i może zechcieć nas wytropić. Od najbliższego schronienia wciąż dzielą nas co najmniej cztery dni marszu, a i to jeśli wszystko pójdzie gładko.

- Nie wiem, jak daleko zdołam jeszcze zajść - przyznała Maerad.

Jej ręce drżały.

- Ja też nie, Maerad. Jak dotąd niosła nas siła woli. Ale ja też muszę odpocząć, i to koniecznie. To byłaby doprawdy ironia: przetrwać wszystkie niebezpieczeństwa tylko po to, by paść ze zmęczenia na progu azylu.

Jakiś czas jedli w milczeniu. Walczyłam z łakami i nie bałam się - pomyślała Maerad z ponurą radością. Może teraz Cadvan przestanie mnie traktować jak dziecko. W jej głowie pojawiły się obrazy z nocnej bitwy i ponownie ujrzała tego, który zapłonął i przemienił się w coś podobnego do człowieka. Zadrżała. Zabiłam go. Stwierdzenie to uderzyło ją niczym włócznia strachu. W siole wiele razy zarzynała kury i króliki na pański stół, w ogóle się nad tym nie zastanawiając. Raz jeden chciała zabić człowieka i odczuła to w głębi duszy jako mroczną, nieugiętą furję, lecz nigdy wcześniej nikogo nie zamordowała. Albo on, albo ja - powiedział w jej głowie głos. Co by to dało, gdybyś stała bezradnie, pozwalając, aby on cię rozszarpał? On nie miał wątpliwości... Wiedziała, że to prawda, lecz ta świadomość nie przegnała niepokoju z jej serca, odczucia, że niezależnie od usprawiedliwienia zabijanie jest czymś złym, że sam ten akt zranił ją w szczególny sposób. Potrząsnęła głową, by uwolnić się od tych myśli, przeciągnęła się i ziewnęła.

- Jakżebym chciała zjeść coś innego! - mruknęła.

Cadvan uniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Tak, prowiant podróżny jest użyteczny, ale szybko się przykrzy.

- Piezonego ptaka z korzeniami. I pieczone jabłka nadziewane orzechami i jagodami.

- Grzyby! - rzucił niespodziewanie Cadvan. - Powoli smażone w maśle. Prawie czuję ich zapach!

Podał jej flaszkę wody z ziołami.

- Wypij trochę. Nie za dużo, kończą mi się zapasy.

- Co to? - spytała Maerad i pociągnęła łyk.

- Medhyl - odparł Cadvan. - Przepędza zmęczenie. Niestety, nie może go usunąć, ale pomaga. Bardowie warzą go właśnie na takie okazje.

- Czy musimy iść dalej?

- Myślę, że możemy odpocząć, ale krótko. Niedługo trzeba poszukać schronienia. Spójrz na te chmury! Nadchodzi gwałtowna burza. Nie zajdziemy dziś zbyt daleko. W okolicy roi się od jaskiń, choć musimy uważać na to, co w nich mieszka.

Wkrótce spakował swoją sakwę, przekroczyli strumień i ruszyli dalej na południe. Po drodze Cadvan nieustannie przebiegał wzrokiem górskie zbocza. Maerad czuła na plecach zbliżającą się burzę. Ilekroć się odwróciła, chmury były coraz bliższe i ciemniejsze, tryskały z nich języki piorunów; wkrótce zaczęła też słyszeć grzmoty. Niedługo potem chmury przesłoniły słońce i zrobiło się ciemno.

Cadvan przystanął, wskazując ręką ledwie widoczną dziurę nad skalną krawędzią, około dwudziestu stóp nad ich głowami.

- Tam! Szybko, za mną.

Wdrapali się po stromym zboczu, a potem, uprzedziwszy Maerad, Cadvan dobył miecza i wszedł do jaskini, pochylając głowę, bo sklepienie wisiało zbyt nisko. W środku było sucho, pod stopami miał piasek. Jaskinia sięgała około dwunastu stóp w głąb, a potem skręcała ostro. Cadvan ostrożnie pokonał zakręt i przekonał się, że po kolejnych dziesięciu stopach zamyka ją skalna ściana. Wyszedł i dołączył do czekającej cierpliwie Maerad.

- Idealna - oznajmił. - Chociaż coś tu mieszka: widziałem kości. Obawiam się, że kiedy nas zastanie, nieco się zirytuje, ale to raczej nie jest zły stwór. Nie możemy rozpalić ognia, ale przynajmniej nie zmokniemy.

Znaleźli jaskinię dosłownie w ostatniej chwili. Gdy do niej wchodzili, nad ich głowami zagrzmiało ogłuszająco, a zaraz potem spadły pierwsze ciężkie krople. Wewnątrz pachniało pleśnią i wilgocią. Maerad usiadła na piasku przy zakręcie, by móc nadal obserwować jej wylot, krąg światła przesłonięty kurtyną deszczu.

- Powinieneś się położyć - rzekła. - Ja będę czuwać. Obiecuję, że nie zasnę.

Ku jej zdumieniu Cadvan nie protestował.

- Użyj umiejętności słuchania - polecił. - Wiesz jak. I obudź mnie, jeśli usłyszysz bądź zobaczysz coś dziwnego. Cokolwiek. To nic, jeśli będzie to fałszywy alarm.

A potem z niepokojącą szybkością, którą zaobserwowała już wcześniej, położył się i

niemal natychmiast zasnął.

Maerad siedziała otulona ciasno płaszczem, obejmując rękami kolana i słuchając deszczu i grzmotów. Dźwięki te z niewiadomych przyczyn dodawały jej otuchy, nawet w zimnej jaskini pośrodku dzikich gór. Jakiś czas przyglądała się uśpionej twarzy Cadvana, jaśniejącej słabo w półmroku pod gąszczem ciemnych włosów. Powiedział jej, że jest już stary, przynajmniej wedle normalnej rachuby, lecz w żadnym razie na to nie wyglądał. Jego usta miały w sobie jednak coś surowego, sugestię dawno pokonanego bólu bądź rozpaczyny świadczącej o tym, że jej nie oszukał; oblicze zdradzało ślady bogatych przeżyć. A jednak czasami, zwłaszcza teraz, bezbronny i uśpiony wydawał się znacznie młodszy, niewiele starszy od niej. Wiedziała już, że świetnie walczy mieczem: najlepsi wojownicy tana nie mogli równać się z jego szybkością i umiejętnościami, a wytrzymałość miał doprawdy zdumiewającą. Zeszłej nocy widziała, jak stawiał czoło strachowi i zagrożeniu. Ani razu jednak nie przechwalał się swą sprawnością, traktował ją lekceważąco, uważając śpiew i mądrość za znacznie ważniejsze. Nigdy przedtem nie spotkała nikogo podobnego i wszystkie wydarzenia ostatnich kilku dni nie wymazały jeszcze jej pierwszego zaskoczenia. Może z czasem do niego przywyknie. Teraz już odrobinę jej ufał. Może nawet zostaną przyjaciółmi. I co takiego powiedział dziś rano? „Dobrze się spisałaś”...

Wzdrygnęła się na wspomnienie nocnej bitwy i przypomniała sobie, że pełni wartość. Burza szalała na dobre: ulewa wzmogła się tak bardzo, że tworzyła teraz szarą, nieprzeniknioną ścianę u wylotu jaskini, od czasu do czasu rozświetlaną blaskiem błyskawic. Wiatr wył i chłostał zbocza góry; niekiedy zagłuszały go potężne, gromkie grzmoty. Maerad cieszyła się, że znaleźli schronienie: w porównaniu ze światem zewnętrznym jaskinia wydawała się bezpieczna, wręcz przytulna. Czuwała, niczego jednak nie widziała ani nie słyszała, a po kilku godzinach, gdy zmęczenie zalało ją nową falą, obudziła Cadvana i zwinęła się w kłębek na podłodze jaskini. Było jej tak wygodnie, jakby spała na puchowym piernacie.

*

Obudził ją dźwięk głosu Cadvana. W jaskini było ciemno; Maerad zamrugła i przeciągnęła się, próbując wzrokiem przeniknąć cienie. To, co ujrzała, sprawiło, że usiadła gwałtownie i przysunęła się do skalnej ściany, ściskając dłońią płaszcz.

Cadvan stał twarzą w twarz z olbrzymią bestią. Widziała tylko ciemną sylwetkę: potworną masę przysłaniającą światło, długi ogon kołyszący się powoli. Towarzyszył jej ostry smród podobny do zapachu kota. Zwierzę wyciągnęło pysk do Cadvana i odpowiedziało na jego słowa grzyącym odgłosem z gardła. Maerad zastygła w bezruchu. Cadvan wskazał ją

gestem, mówiąc coś, i posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Bestia ruszyła naprzód i obwąchała ją. Maerad zbladła, bez protestu jednak poddała się badaniu, choć długie zakrzywione kły i oddech zwierzęcia - ostry, cuchnący oddech mięsożercy - sprawiły, że serce zabiło jej szaleńczo. Najwyraźniej zdała egzamin i bestia odwróciła się z powrotem do Cadvana, wydając z siebie kolejne grzmiące pomruki, które dla Maerad zabrzmiały tak, jakby się z niej śmiała. Następnie zwierzę obróciło się kilka razy w kółko, udeptując sobie miejsce, i ułożyło się na ziemi. Cadvan spojrział na nią z uśmiechem.

- Brawo - powiedział. - Niełatwo obudzić się niespodziewanie w towarzystwie górskiego lwa, a gdybyś wpadła w panikę, mogłoby zrobić się nieprzyjemnie. Uznał jednak, że jesteś nieszkodliwa, i pozwolił nam spędzić tu noc. Zapewnia, że nas nie zje, mówi też, że i tak stanowiłabyś mizerny posiłek.

- Och - mruknęła oszołomiona Maerad. - Jakie to miłe z jego strony.

- Powiedział mi też kilka bardzo użytecznych rzeczy; gdybyś wytężyła rozum, może także byś je zrozumiała. Usłyszał wieści o naszej bitwie z łakami i twierdzi, że to zaszczyt gościć podobnych wojowników. Właśnie polował: w krainie panuje zamęt, wszystkie zwierzęta dręczy strach. Nie podoba mu się woń niesiona wiatrem. Mówił, że wędrówka na południe wzdłuż wschodniego pasma Annovy jest dla nas ryzykowna, i zaproponował bezpieczne przejście przez góry. Będzie to droga na skróty i pozwoli nam zgubić wszystkich, którzy nas tropią.

- Bezpieczne przejście? - rzekła z powątpiewaniem Maerad. - I możemy mu zaufać?

- Tak - odparł Cadvan. - Jeśli w ogóle możemy czemukolwiek ufać. To znacznie więcej, niż się spodziewałem.

Maerad nie miała wyboru, musiała ustąpić osądowi Cadvana. Zresztą rzeczywiście bestia jej nie pożarła. Na razie. Przypomniała sobie ogary Gilmana i jej niepokój nieco zelżał.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że ja też mogłam usłyszeć jego wieści? - spytała po krótkiej ciszy.

- Kiedy w końcu się przebudzisz? - rzucił niecierpliwie Cadvan. - Owszem, są rzeczy, których musisz się nauczyć. Ale są też inne, które już w tobie śpią, stanowią część twego Daru, dziedzictwa. Jedną z nich jest zdolność rozumienia mowy zwierząt.

- We mnie?

- Tak, dziewczyno. Masz watę w uszach?

Maerad poczuła, jak rodzi się w niej nowy strach, strach przed nią samą, i ów strach wywołał też gniew. Zaczęła mówić, cicho, by nie zbudzić bestii, lecz wściekłym tonem.

- To język czarownic. Nigdy mi o nim nie wspominałaś. To nieprawda!

Cadvan nie przejął się jej zdenerwowaniem.

- Maerad, najgorsze, co możesz zrobić, to odrzucić własne moce. Dopóki o nich nie wiedziałas, to nie była twoja wina. Teraz nie masz już tej wymówki.

Maerad, zbyt poruszona, by się spierać, odwróciła się nadąsana ku skalnej ścianie. To śmieszne. Czemu Cadvan tak o niej mówił? Była tylko zwykłą dziewczyną, do niedawna niewolnicą. Owszem, umiała grać na lirze, ale... Z pewnością się mylił.

Odetchnęła głęboko i zerknęła na górskiego lwa. Leżał zwinięty w kłębek, z nosem przy ogonie, zupełnie jak kot przy palenisku, nie zwracając uwagi na swych gości. Burza minęła, lecz na zewnątrz wciąż padał mocny deszcz; pomyślała, że to miły, przyjazny dźwięk. Zapadała noc i Maerad uświadomiła sobie, że robi się głodna.

- Na razie nigdzie nie pójdziemy, prawda?

- Prawda - odparł Cadvan. - Mogę więc obejrzeć zadrapanie, które ci zrobił łak.

Delikatnie, fachowo odszukał ranę na jej czole; Maerad zwalczyła odruch nakazujący ucieczkę.

- Siniak i skaleczenie, ale bez trucizny - orzekł. - Obawiam się, że parę dni będzie cię boleć głowa. Nie mogę tu tego uleczyć. Ale nie zostanie żadna blizna. Właściwie ci się upiekło. - Przycisnął mocno dłoń do jej czoła i ból częściowo ustąpił. Potem posmarował ranę słodko pachnącą maścią z małego słoiczka dobytego z sakwy. - Powinniśmy zjeść, a potem odpocząć, póki możemy - dodał. - Nie musimy czuwać: górski lew nawet we śnie strzeże swej jaskini.

Maerad kiwnęła głową. W istocie kości nadal bolały ją ze zmęczenia, a w głębi siebie czuła spóźniony wstrząs po wczorajszej walce, dygot ogarniający całe ciało. Przyda jej się odpoczynek.

*

Następnego ranka była tak zeszywniała z zimna, że ledwie się ruszała; miała wrażenie, jakby cała się potłukła. Dzień był pochmurny i ponury, do jaskini wnikało zaledwie słabe światło; teraz legowisko lwa wydało jej się surowe i niegościnnie. Przekręciła się z jękiem. Cadvan wciąż spał, toteż usiadła ostrożnie, szukając wzrokiem górskiego lwa. Nigdzie go nie było.

To tyle, jeśli chodzi o przewodnika - pomyślała. Co teraz?

Poczołgała się do wylotu jaskini i wyjrzała. Sięgała wzrokiem ponad górami, aż na równiny, lecz puszcę przesłaniała zasłona mgły bądź deszczu. Cały świat zdawał się pozbawiony wszelkich barw. Siedziała z ponurą miną, obserwując góry i próbując rozmasować obolałe ręce i nogi, gdy dołączył do niej Cadvan.

- Śniadanie? - spytał pogodnie.

- Ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, jest jedzenie - odparła. - Nasz przewodnik najwyraźniej zniknął.

- Wróci. I musisz coś zjeść. Nadal czeka nas daleki marsz, a nie można wędrować z pustym żołądkiem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wkrótce posilimy się pieczystym i smażonymi grzybami.

- I korzeniami?

- Marchwią, rzepą, burakami i czym tylko zechcesz. Pieczonymi, smażonymi, opiekanymi, duszonymi, gotowanymi, kandyzowanymi i wędzonymi! - Cadvan wrócił do jaskini i wyciągnął z sakwy suszone owoce i suchary. - I kąpiel! Na Światło, dobrze będzie znów poczuć się czystym. Nie pamiętam już, kiedy brałem kąpiel.

Kończyli właśnie śniadanie, kiedy górski lew powrócił. Cadvan powitał go z powagą w Mowie. Wielkie zwierzę przysiadło na tylnych łapach i czekało cierpliwie, aż człowiek się spakuje. Potem lew pochylił głowę i wydał z siebie warkliwe dźwięki. Cadvan pokiwał głową.

- Każe nam iść za sobą - poinformował Maerad. - Pilnuj każdego jego kroku. I śpiesz się.

Górski lew wskoczył na nawis nad jaskinią i zaczął wdrapywać się po zboczu, podążając wzdłuż skalnej półki na skraju coraz głębszego jaru. Cadvan poszedł za nim. Maerad przystanąła wystraszona wysokością, potem jednak, uświadomiwszy sobie, że nie ma wyboru, wgramoliła się za nimi; serce podeszło jej do gardła.

- On ma cztery nogi - wymamrotała do Cadvana. - Oby pamiętał o tym, że ja mam tylko dwie.

- Po prostu się skup - polecił Cadvan.

Na początku półka była dość szeroka, by iść wygodnie, i Maerad zaczęła oddychać swobodniej, choć po lewej ręce miała coraz głębszy jar, a po prawej pionowe urwisko, coraz wyższe, im dalej się zagłębiali. Tu i ówdzie rosły kępy szorstkiej trawy, a także ciemiernika, arniki oraz puszystych białych kwiatów, z którymi wcześniej się nie zetknęła. Poza tym jednak nie dostrzegała roślinności. Droga była ciężka i mozolna. Promienie porannego słońca ogrzewały im plecy, wkrótce jednak na ścieżkę padł cień i pot zaczął chłodzić skórę Maerad. Teraz wspinali się po stromiznie, a półka zaczęła się zwężać; w niektórych miejscach zniknęła całkowicie. Bardzo wolno szli naprzód. Maerad czuła się trochę jak pajak wspinający się po ścianie, tyle że pozbawiona pocieszającej wizji sieci, która powstrzymałaby jej upadek. Gdy spojrzała w dół, zakręciło się jej w głowie, toteż wbiła wzrok w podążającego przodem Cadvana i skupiła się na przesuwaniu rąk i stóp dokładnie tam, gdzie on. Nie widziała

górskiego lwa.

Właśnie uznała, że nie zdoła wspiąć się ani kroku dalej, gdy półka skręciła ostro i zmieniła się w wyraźną ścieżkę wiodącą zygzakiem w górę zbocza. Teraz znów maszerowali gęsiego i Maerad dostrzegła na przodzie idącego cierpliwie górskiego lwa: pysk pochylał ku ziemi, potężne kończyny poruszały się z naturalnym wdziękiem. Wspinali się tak coraz wyżej i wyżej, powietrze zdawało się coraz zimniejsze i zimniejsze, aż w końcu zaczęła mieć problemy z oddychaniem. Wówczas ścieżka zupełnie zniknęła. Górski lew odwrócił się i przemówił do Cadvana; Cadvan przekazał jego słowa Maerad.

- Mówi, abyśmy trzymali się bardzo blisko. Cokolwiek zrobisz, nie wpadaj w panikę. Nie mogę rozpaść światła, chyba że nie będziemy mieli wyboru, bo mógłby sprowadzić na nas kłopoty. Używaj słuchu. I uważaj na nietoperze.

- Nietoperze? - powtórzyła oszołomiona Maerad.

Co nietoperze miałyby robić na szczycie góry? Zaraz jednak odkryła, że ścieżka, zamiast urywać się bez śladu, wiodła do otworu w skalnym zboczu. Wyraźnie nie była to naturalna jaskinia: ściany miała regularne i gładkie, a wokół wylotu widniały zwietrzałe ślady runów.

Nie miała jednak czasu, by się nad tym zastanawiać; zagłębili się w tunel i maszerowali dalej. Ich kroki odbijały się od ścian głuchym echem. W świetle padającym z wylotu Maerad przekonała się, że jaskinia ciągnie się prosto jak strzała, wnikać w samo serce góry. Była dość szeroka, by mogły nią iść dwie osoby z wyciągniętymi na boki rękami. Po zaledwie paru minutach marszu gęsta ciemność pochłonęła wszelkie światło. Była tak nieprzenikniona, że Maerad nie widziała nawet własnej dłoni uniesionej do oczu. Ich kroki rozbrzmiewały nienaturalnie głośno i odbijały się osobliwym echem; słyszała nawet odgłos aksamitnych łap wielkiego kota.

- Cadwanie - zagadnęła wystraszonym głosem i wzdrygnęła się, bo słowo powróciło do niej kaskadą drwiących ech.

- Ciii - syknął.

- Ciiiiii - odparł tunel.

Ku niewymownej uldze Maerad Cadvan ujął ją za rękę i uściśnął zachęcająco, by już nie wypuścić. Szli powoli, rytmicznie, przesuwając koniuszkami palców po gładkich ścianach; miała wrażenie, że to trwa całe wieki. Z przodu cały czas dobiegały ciche, miarowe kroki górskiego lwa.

Nagle Maerad wstrzymała oddech. Boczna ściana zniknęła, a ona sama niemal runęła w pustkę. Twarz omiółł im lodowaty, cuchnący powiew, który na moment poruszył

nieruchomym powietrzem tunelu. Po trzech krokach ściana powróciła: najwyraźniej od głównego tunelu odchodził w bok mniejszy. Wkrótce boczne tunele występowały coraz częściej i Maerad uświadomiła sobie, że muszą tworzyć sieć przenikającą wewnątrz całego masywu. Czasami napływało nimi powietrze z góry, czasami z dołu: domyślała się, że prowadzą we wszystkie strony. Zanim zatrzymali się na odpoczynek, naliczyła ich czterdzieści pięć i na podstawie zmian powietrza uznała, że po stronie Cadvana od głównego korytarza odchodziło ich równie wiele. Główny tunel nadal wiódł prosto jak strzała przez środek góry.

Zastanawiała się, kto go zbudował i czym jest, choć nie miała ochoty badać bocznych odgałęzień: zadrżała na myśl o tym, że mogłaby zabłądzić wewnątrz góry, błakając się w bezkresnej ciemności. Może było to coś w rodzaju miasta, choć nigdy nie słyszała o mieście wykutym wewnątrz góry. Wydawało się stare, niewiarygodnie stare. Od czasu do czasu, gdy muskała palcami coś, co w dotyku przypominało rozsypujące się płaskorzeźby bądź misterne dekoracje okalające któreś z bocznych wejść, żałowała, że Cadvan nie pozwalał zapalić światła: chętnie obejrzałaby to, co mijali. Z pewnością kiedyś było piękne. Może nadal takie było mimo opuszczenia?

Pomimo ciemności miejsce to nie budziło strachu. Nawet jeśli nawiedzały je duchy - pomyślała Maerad - z pewnością już dawno odeszły. W miarę jak zagłębiali się w górski masyw, ogarniał ją coraz większy podziw. Wszystko było takie wielkie, o wiele, wiele większe niż Gilmanowe Sioło, może nawet dorównywało wspaniałością miastom opiewanym w pieśniach, których nauczył ją Mirlad. Zdawało się też emanować smutkiem, przejmującym poczuciem nieobecności. Czyżby jego mieszkańców zaatakowała choroba i przegnała ich stąd? A może po prostu odeszli, postanawiając wznieść nowe miasto w innym, cieplejszym miejscu? Kiedyś mieszkali tu ludzie, może nawet byli szczęśliwi, a teraz odeszli i korytarze za nimi tęskniły, tęskniły za ich śmiechem, śpiewami i światłem. Zakładała bowiem, że kiedyś w tej ciemności musiało płonąć światło.

Posłała przed siebie myśli. Jej umysł wypełnił szelest niewielkich skrzydeł i tupot maleńkich stóp - czyżby ptaków? - oraz piski, wysokie gwizdy, kapanie wody na kamień i szepty bezokich ryb krążących leniwie w zimnych jeziorkach, do których nigdy nie dotarły nawet pogłoski o świetle. Poza tym jednak nie usłyszała nic.

Zatrzymali się na kolejny posiłek i jeszcze jeden, i następny. Przez niezliczone godziny sypiali na nagiej skale; czy ich sen trwał minutę, czy cały dzień? Maerad nie miała pojęcia. Owe postoje stanowiły jedyne przerwy w długim marszu. Tu, w niezmiennej ciemności, nie dało się stwierdzić, która jest godzina w świecie światła i kolorów.

Zatrzymywali się, kiedy poczuli głód albo zmęczenie tak wielkie, że nie mogli iść dalej. Siadali w dowolnym miejscu korytarza. Dziwnie się czuła, jedząc prowiant, którego nie widziała; z niewiadomych przyczyn był pozbawiony smaku, jakby jadła popiół. Odzywali się jak najmniej, bo każdemu słowu towarzyszyły niepokojące echa. Górski lew nie jadł nic, choć czasami pił wodę ze strumyków płynących pod ich stopami, ściekających z górnych tuneli.

W pewnym miejscu przewodnik zatrzymał się nagle i mruknął. Byli tak blisko, że na niego wpadli.

- Mówi, że jest tu dziura w podłożu - wyszeptał Cadvan i jego szept rozbiegł się wzdłuż ścian niczym złowieszczy śmiech. - Twierdzi, że to dobry znak: oznacza, że dotarliśmy do połowy drogi. Z jednej strony biegnie bardzo wąska skalna półka. Nie potknij się! Ty pójdziesz pierwsza, ja tuż za tobą. Przyciśnij się do ściany.

Maerad z wahaniem podążyła za górskim lwem, który szedł miarowo, i przywarła do ściany, wymacując sobie drogę. Natychmiast poczuła powiew zimnego powietrza i zakręciło jej się w głowie od wrażenia przerażającej głębi. Zachwiała się. Cadvan syknął coś, czego nie usłyszała, i odzyskała równowagę, oparta o ścianę z walącym w piersi sercem. Potem uspokoiła oddech i skupiła się na stawianiu jednej stopy przed drugą, krok za krokiem. Wędrówka wzdłuż otchłani zdawała się trwać całe wieki; w końcu Maerad poczuła, że powiew słabnie, i wiedziała, że to już koniec. Przeszła jeszcze parę kroków i zatrzymała się, dysząc ciężko, aż dotarł do niej Cadvan, wymacał jej rękę i poprowadził ją w niekończącą się ciemność.

Czas stracił jakiegokolwiek znaczenie. Maerad miała wrażenie, jakby całymi dniami, latami, tysiącleciami maszerowała przez ten korytarz. Zupełnie jakby ktoś oślepił nawet ich umysły, jakby wzrok, kolor, kształt stanowiły jedynie niewyraźne sny z dawnych czasów. Czy przez całe życie szła w ciemności? Oczy co chwila ją zwodziły, rozkwitały przed nimi czerwone, różowe i niebieskie gwiazdy, a kiedy je zamykała, barwne błyski nie znikwały, lecz przekształcały się w inne, osobliwe obrazy. Sprawiały, że ciemność wydawała się jeszcze bardziej nieprzenikniona.

Kiedy ujrzała w dali słaby blask światła, z początku uznała, że to kolejne złudzenie. Już dawno przestała wierzyć, że tunel kiedyś się skończy. Potarła oczy ręką, lecz światło wciąż tam było i wtedy uświadomiła sobie, że widzi idącego przed nimi górskiego lwa. Obróciwszy się, ujrzała stąpającego obok Cadvana. Miała ochotę rozplakać się z ulgi albo krzyczeć z radości.

Mrugając, wyszli na szeroką skalną półkę położoną wysoko na górskim zboczu. Maerad wdrygnęła się jak po uderzeniu: po tak długim pobycie w ciemności światło

oślepiało. Przez chwilę stała bez ruchu, osłaniając twarz, czekając, aż wzrok przywyknie. W końcu spojrzała przed siebie i westchnęła ze zdumienia.

Przed nimi rozciągała się rozległa zielona kraina, pełna łagodnych wzgórz i ciemnych lasów. Czerwone słońce, zachodzące w chwale w wieńcu złocistych chmur, rzucało blask na ich twarze.

- Spójrz, oto piękno Annaru! - powiedział Cadvan. - Sądziłem już, że nigdy go nie zobaczę.

Dostrzegła łzy błyskające na jego rzęsach i odwróciła wzrok, nagle uświadamiając sobie, że towarzysz wciąż trzyma ją za rękę. Lecz Cadvan ze śmiechem obrócił ją do siebie.

- Maerad, jesteśmy prawie na miejscu!

- W Norlochu?

- Och nie, nie, nie, on leży wiele staj na zachód. Niedaleko posiłku i kąpieli! Pieczystego! Pamiętaj, obiecałem ci to.

Wypuścił ją i cofnął się z uśmiechem.

Maerad odpowiedziała tym samym, zaraziwszy się jego radością. Lecz Cadvan rozmawiał już z górskim lwem, pokłonił mu się nisko. Zwierzę także pochyliło głowę i przemówiło, a potem odwróciło się do Maerad, powtarzając ten sam gest. Maerad instynktownie ukloniła się w odpowiedzi.

Wielkie zwierzę, nie oglądając się za siebie, posuwając się w tym samym powolnym tempie, zniknęło w tunelu.

- Oto prawdziwy władca zwierząt - rzekł Cadvan. - Jakże często zapominamy o najlepszej możliwości; nawet wedle najbardziej optymistycznych rachunków nie mieliśmy szans tak szybko znaleźć się w pobliżu schronienia. Trwałoby to wiele dni, a i tak nie wiadomo, czy w ogóle byśmy tu dotarli.

Maerad zadrżała na myśl o długiej wędrówce górskiego lwa do domu poprzez mroczne trzewia góry.

- Ale nie mogłabym jeszcze raz przeprowić się przez ten tunel, nawet gdyby ścigały mnie wszystkie łaki Landrostu! - rzuciła.

- Nie mów pochopnie o podobnych sprawach - odparł szybko Cadvan. - Zrobiłabyś to, gdyby zaszła prawdziwa potrzeba. I nadal musimy zejść z tej góry, i to szybko, nim zapadnie zmrok.

*

Wąska kręta dróżka wiodła z półki na dół kapryśnymi zakolami, okrążając skalne występy i szczeliny i tworząc dziwne pętle. Zaledwie dziesięć stóp dalej Maerad podniosła wzrok i

odkryła, że tunel jest doskonale ukryty; wątpiła, by nawet z tej odległości zdołała ponownie go odnaleźć. Potem musiała całkowicie skupić się na marszu w dół. Okazał się bardzo wyczerpujący, a ręce miała już i tak pokaleczone i pokryte pęcherzami. Zaciśnęła zęby, nie zważając na dolegliwości. Cadvan znów zachowywał się, jakby właśnie ocknął się z długiego odświeżającego snu i wybrał się na lekką przechadzkę. Jeśli on to potrafi - pomyślała - to ja także. Raz pośliznęła się i zjechała ponad dwadzieścia stóp w dół skalistego zbocza, lądując w chmurze pyłu na stosie kamyczków na dnie niewielkiego jaru. Cadvan przechylił się przez skalną krawędź, niespokojnie patrząc w mrok. Kiedy dostrzegł, że do niego macha, uśmiechnął się szeroko i zsunął po zboczu, dołączając do niej.

- Tak jest szybciej - zauważył, lądując obok - ale zdecydowanie mniej wygodnie. - Wstał, otrzepał się i zerknął w głąb jaru. - Myślę, że powinniśmy nim pójść. Już niedługo zejdziemy z tej góry. A potem szybki marsz i kolacja!

Dalsza droga okazała się znacznie łatwiejsza. Zapadła już ciemność, lecz noc była pogodna, a zza horyzontu wyłonił się krągły księżyc, dość jasny, by pojawiły się ostre cienie. Jakiś czas szli w milczeniu.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - spytała w końcu Maerad.

Miała dziwne wrażenie, że zna tę okolicę. Czyżby znaleźli się nieopodal Pellinoru?

- Owszem - przytaknął Cadvan. - Jesteśmy o godzinę szybkiego marszu od Innailu, najbardziej na wschód wysuniętej szkoły. Wzniesiono go w cieniu Annovy setki lat temu. To potężna Szkoła, która wykształciła wielu znakomitych bardów! Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę. Choć oczywiście jeszcze nie dotarliśmy na miejsce. Na razie los nam sprzyjał, poszło nam lepiej, niż się spodziewałem. Myślę, że wrogowie zgubili nasz trop podczas burzy i już go nie odnajdą. Gdybyśmy musieli podróżować drogą, którą zaplanowałem wcześniej, mogłoby się to dla nas źle skończyć. Nie tylko Landrost czuwa nad ową pustą krainą.

- A co to za tunel przez górę? - Maerad postanowiła wykorzystać nagłą gadatliwość towarzysza. - Wiedziałeś, że tam jest?

- Nie. Swego czasu często podróżowałem po tej krainie, nigdy jednak nie słyszałem żadnych pogłosek ani opowieści o podobnym miejscu. Wedle mojej wiedzy najbliższa przeprawa przez góry leży co najmniej sześćdziesiąt staj na południe stąd, na niebezpiecznych ziemiach. Nie wiem, kto zbudował ten tunel i kto tu mieszkał w pradawnych wiekach. Odniosłem wrażenie, że znaleźliśmy się we wspaniałym mieście: w skale wykuto setki komnat, pustych i porzuconych. Być może cała góra jest ich pełna niczym pszczeli plaster. Nie rozpoznałem runów wrytych wokół wejść. Zastanawiam się, kim byli ci ludzie! Z

pewnością wielce wprawnymi rzemieślnikami, skoro umieli złobić tak proste korytarze w litej skale. Nie wyczułem stęchłego powietrza ani żadnych uszkodzeń. W dzisiejszych czasach niewielu by to potrafiło!

Maerad zaskoczyło radosne przyznanie się Cadvana do niewiedzy. Nagle świat, w który wkroczyła, wydał się jej jeszcze dziwniejszy i bardziej niebezpieczny. Pomyślała o Gilmanowym Siole: zaledwie parę dni temu stanowiło ośrodek całego jej istnienia, dla Cadvana jednak było nieistotne, ot, drobna osada wśród wielu innych. A teraz okazało się, że są rzeczy, których nawet on nie wie. Poczula się bardzo mała i nieważna; nie zadawała więcej pytań.

Roślinność wokół nich zaczęła się zmieniać: mijali zagajniki brzozowe i sosnowe, pod stopami mając trawę i zioła. Zbocze opadało coraz łagodniej; porastała je sprężysta trawa, dająca ulgę nogom po wcześniejszych skalnych odłamkach i kamieniach. Cadvan zwrócił twarz na południe: po ich lewej ręce, niczym mroczne ostrza strącające z nieba gwiazdy, wyrastały potężne cienie Osidh Annovy. Nozdrza wypełniły im zapachy zdeptanej trawy i kwiatów, wiosennego miodownika i krokusów, cierniste gałązki dzikich róż ciągnęły za płaszcz. W słabym blasku księżycy kraina wokół srebrzyła się tajemniczo, Maerad jednak z niezrozumiałych przyczyn wydała się znajoma. Szła dalej jak we śnie. Nagle Cadvan krzyknął głośno i wskazał ręką. W oddali ujrzała światło.

- Innail! - rzucił. - A od zachodu słońca minęły zaledwie trzy godziny!

W miarę jak się zbliżali, Maerad czuła coraz większe zdenerwowanie. To była Szkoła, a ona nic nie wiedziała o podobnych miejscach. Co sobie pomyśla, kiedy zjawi się z włosami splątanymi niczym końska grzywa, cuchnąca, brudna i głupia? Z każdą chwilą jej lęk narastał, a kiedy ujrzała wyłaniające się z mroku zarysy budynków Innailu, zrobiło jej się słabo, bo były tak dumne i szlachetne: wieże rozświetlone soczystym blaskiem sączącym się z okien, wznoszące się wdzięcznie w nocne niebo za wysokim murem z gładkiego białego kamienia, który odbijał światło gwiazd. I podczas gdy Cadvan radośnie przyśpieszał kroku, ona coraz bardziej się wahała. Jak na jej gust zdecydowanie zbyt szybko stanęli przed wysoką bramą, potężnymi dębowymi wrotami okutymi czarną stalą.

Cadvan przyłożył do ust zwinięte dłonie.

- *Lirean!* - krzyknął. - *Lirean noch Dhillarearë!*

Wysoko nad bramą otwarła się okiennica i ujrzeli mężczyznę.

- *Lirean? Ke sammach?*

- *Cadvan Lirigon na, e Maerad Pellinor na!* - odparł Cadvan, mrugając porozumiewawczo do Maerad, która uśmiechnęła się niepewnie.

- *Langrea i* - odrzekł głos i zatrzasnął okno.

- Wpuszczą mnie tutaj? - spytała Maerad.

- O tak, w końcu wpuszczą - odparł Cadvan. - Ale w dzisiejszych czasach muszą zachować ostrożność, zwłaszcza po zmroku. Poszedł powtórzyć nasze imiona.

Po upływie pięciu minut okiennica otwarła się ponownie i kolejny mężczyzna wysunął głowę.

- Cadvan? - zawołał. - To ty?

- We własnej osobie. Podróżuję trudnymi drogami w ciemnościach i błagam bardów Innailu o schronienie, zgodnie z dawnymi prawami gościnności.

- Co robisz w tej części świata?

- Malgornie! - Cadvan uniósł głowę i krzyknął głośnie: - Zejdź tu i wpuść nas!

- I kto to jest z tobą? Z Pellinoru? Sądziłem, że wszyscy nie żyją! Na Światło! Ale zaczekaj, otworzę bramę.

Zatrzasnął okno, a Cadvan zwrócił się do Maerad.

- Jesteśmy już bezpieczni.

- Znasz go?

- To Malgorn. Znam go od dzieciństwa. Przysłano go tu blisko dwadzieścia lat temu. Mieli kłopoty w tej części świata i potrzebowali jego umiejętności. To dobry człowiek. Jeden z najlepszych.

W tym momencie brama otwarła się szeroko i wyłonił się zza niej jasnowłosa, mocno zbudowany mężczyzna, szeroko rozkładając ramiona.

- Cadvanie! - Niczym niedźwiedź chwycił go w objęcia. - Jak dobrze cię widzieć! Ile to czasu minęło?

- Zbyt dużo, stary druhu - odparł Cadvan. - I nie potrafię wyrazić, jak się cieszę na twój widok.

Malgorn cofnął się, badając wzrokiem jego twarz.

- Wyglądasz na trochę sfatygowanego - zauważył. - Widzę, że kryje się w tym niezła opowieść. Co porabiałeś? Ależ wejdźcie, wejdźcie.

- To jest Maerad z Pellinoru, moja towarzyszka podróży. - Cadvan odsunął się, przepuszczając ją. - Maerad, to mój stary przyjaciel, Malgorn, łotr i łajdak, a także najgorszy gracz w karty w Siedmiu Królestwach. Ale ma też zalety.

Malgorn z uśmiechem ujął jej dłoń i skłonił się z nagłą powagą.

- To zaszczyt cię poznać, Maerad z Pellinoru. Sądziłem, że nikt z twojej Szkoły nie przeżył. Ma ona szczególne miejsce w moim sercu, była też jedną z najpiękniejszych w

Annarze.

Maerad spojrzała w ciepłe piwne oczy i przelknęła ślinę. Skłoniła się niezgrabnie i Malgorn wypuścił jej dłoń. Przeprowadził ich przez bramę do niewielkiego pomieszczenia, a stamtąd na pierwszy dziedziniec Szkoły Innailu.

Tam Maerad chętnie by się zatrzymała, żeby patrzeć z zachwytem, gdyby Malgorn im na to pozwolił. Promienie księżyca padały na wypielęgnowane ogrody okolone dużymi gładkimi kamieniami. Pośrodku tryskał migotliwy wóal fontanny. Mężczyźni i kobiety spacerujący po dziedzińcu patrzyli na nich z chłodną ciekawością. Gdzieś daleko w budynku ktoś grał na flecie, z innej strony Maerad usłyszała głosy złączone w pieśni. Coś w głębi niej mówiło, że ją zna.

Nie miała jednak czasu na podziwianie widoków, bo Malgorn pośpiesznie prowadził ich krętymi uliczkami między pełnymi wdzięku budynkami i przez kolejne dziedzińce do wielkiego kamiennego domostwa o wysokich, wąskich oknach, z których wylewało się światło żółte jak masło. Otworzył pchnięciem bogato zdobione podwójne drzwi i wmaszerował do holu, wołając:

- Silvia! Silvia! Mamy gości.

Maerad nie zobaczyła nic więcej, bo nagle ogarnęła ją fala ciemności i zemdlona osunęła się na ziemię.

CZEŚĆ DRUGA

INNAIL

Cieszył się świat i zielony las złocił
W czasach zarania Ulnaru bez zmayı
Gdy Złotoręki Mercan śpiewał w słońcu
Władca dumnego i dzielnego duchem
Ludu pieśniarzy z Maldan, mistrzów magii.
Lecz nad wszystkimi stał Mercan Stworzyciel
Najmędrszy z mędrców, wykształconych w wiedzy,
As Arestora, arcymag artystów,
Pan gwiazdnej mowy, piewca pór przemiennych
Sławiący źródle srebrnych Liru źródeł
Długie to były dni, drzewiej dzielone
I długie dwory pełne dumnych mężów,
Dziś zagubione w legendach, lamentach,
Wśród gorzkich gruzów w pomrokach pamięci.
O, wielkie wieże, wypiętrzone w chwale
Nad jasną tonią złotego jeziora
Dworców majestat, Mercana domostwo,
W utraconego Lirionu krainie.

Fragment *Wyprawy Mercana*

VI

BŁĘKITNA SUKNIA

Maerad otworzyła oczy i mrugnięciem przegnała czarne mroczki. Szumiało jej w głowie; dopiero po kilku sekundach zdołała skupić wzrok i zobaczyć, gdzie jest. Ktoś posadził ją na krześle; Cadvan pochylił się ku niej ze szklaneczką pełną złotego płynu w dłoni.

- Wypij - polecił.

Maerad nigdy wcześniej nie dotykała szkła. Ujęła je ostrożnie, jakby w obawie, że zaraz pęknie. Było chłodne i przejrzyste. Napój spłynął w głąb gardła niczym jedwabisty płomień, parząc podniebienie; zakrztusiła się i poczuła w ustach piekący smak owocowej eksplozji. Jej ciało aż po palce u nóg zalała fala gorąca; przez sekundę zastanawiała się, czy zaraz nie zwymiotuje. Nawet w takim stanie nie zdołałaby znieść dodatkowego poniżenia. Potem jednak odczucie to minęło.

- Jeszcze jeden - rzucił Cadvan.

- Co to takiego? - spytała.

Mimo początkowego pieczenia trunek zupełnie nie przypominał ostrej woki z Gilmanowego Siola.

- To laradhel, specjalność domu. - Cadvan uśmiechnął się szeroko. - Destylowany z wybranych ziół i owoców, zwłaszcza moreli, zgadza się, Malgornie? - Uniósł pytająco brew, spoglądając na Malgorna, który pokiwał głową.

- W dodatku to dzieło obecnego przy tym stole konesera. Malgorn zawsze bardzo interesował się sztuką warzenia i destylowania trunków, zarówno dla przyjemności, jak i do celów medycznych.

Maerad pociągnęła kolejny łyk; tym razem się nie zakrztusiła. Powoli opróżniła szklankę i oddała ją Cadvanowi. Zawroty głowy ustąpiły, choć nadal czuła się lekko skołowana. Niepewnie rozejrzała się po pokoju.

Komnata, w której się znalazła, wydała się jej oszołomionemu umysłowi wizją z barwnego snu. Miała wysoki sufit i wdzięczne proporcje, w rzeźbionym kominku za kratą migotał ogień. Ze sklepienia zwieszała się srebrna lampa w kształcie lilii, z której sączyło się łagodne światło. Ściany miały barwę jasnożółtą, strop i rzeźbione gzymsy pomalowano we

wzór stylizowanych lilii i liści bluszczu, nakreślonych na czarno i subtelnie pokolorowanych. Wokół wielkiego paleniska ustawiono wygodne drewniane fotele, na których piętrzyły się stosy czerwonych poduszek. Pod ścianami i przy meblach stały najróżniejsze instrumenty muzyczne. Miejsce pod ścianą naprzeciwko zajmował wielki rzeźbiony regał pełen oprawnych w skórę ksiąg; jeden z tomów, zapisany zgrabnym gotykiem, iluminowany złożonymi miniaturami, leżał otwarty na stole. Maerad ponownie zamrugła ze zdumienia.

- Jest blada jak upiór - zauważył Malgorn. - Co ty robiłeś z tym dzieckiem, Cadvanie? Gdzie ją znalazłeś?

- Nie jestem dzieckiem - zaprotestowała Maerad z większym wyrzutem, niż zamierzała. - Mam już szesnaście wiosen!

Nagle zarumieniała się skrępowana i umilkła.

- Z pewnością nie jest dzieckiem. - Cadvan uśmiechnął się łobuzersko. - Walczyła sama z dwudziestoma łakami uzbrojona jedynie w kij. Ale nie dziwię się, że zemdlą na twój widok.

Malgorn wybuchnął śmiechem, po czym spojrzał pytająco na Maerad.

- Dwadzieścia łaków, co? W tej chwili wygląda tak, jakby nie mogła poradzić sobie z dwudziestoma ómami! To musiało być godne pieśni albo dwóch.

- Nie sama! - Maerad z trudem usiadła. - Cadvan przesadza!

Do komnaty weszła kobieta, dźwigając tacę.

- Oprzytomniała już? Dzięki za to Światłu. - Odstawiła tacę na stolik i podeszła szybko do Maerad, wyciągając rękę. - Witaj, Maerad, jestem Silvia. Mam tego pecha, że zostałam żoną tego tu Malgorna i muszę cały czas znosić jego pomysły. - Uśmiechnęła się i Maerad odpowiedziała uśmiechem. Nigdy w życiu nie widziała równie pięknej twarzy: jednocześnie życzliwej, wesołej i mądrej. - Chodź, zostawmy tych dwóch samych - dodała. - Musimy cię umyć. I porządnie nakarmić! Jesteś taka chuda; czy Cadvan cię głodził?

- Czemu wszyscy obwiniają akurat mnie? - wtrącił Cadvan. - I gdzie współczucie dla mojej chudości?

- Współczucie? Dla ciebie? - zdziwiła się Silvia. - Bez wątpienia zjadałeś też i jej racje. Nigdy w życiu nie widziałam podobnej chudziny. A teraz, Malgornie, przestań gadać i pokaż biedakowi jego pokój.

- I łazienkę! - dodał Cadvan. - Nade wszystko łaknę kąpieli.

Lecz Silvia, obejmując ramiona Maerad, wyprowadziła ją już na długi korytarz.

- Czy jesteś bardzo głodna? - spytała.

- Nie - wymamrotała Maerad. - No, nie w tej chwili.

- Jeśli nie umierasz z głodu, to przyszykowano ci kąpiel. I musimy ci znaleźć ubranie. To trzeba spalić! Co ten Cadvan z tobą wyprawiał? Bez wątpienia włóczył cię po głuszy, ścigając jakieś potwory. Co on sobie myślał? Za młoda jesteś na takie sprawy, powinnaś siedzieć bezpiecznie w szkole, uczyć się gam i tym podobnych. Doprawdy! - Niecierpliwie zacmokała.

- To nie jego wina! - rzuciła Maerad zapalczywie, uznawszy, że jej towarzyszka niesprawiedliwie oskarża Cadvana. - Naprawdę! On mnie uratował! Byłam niewolnicą w Gilmanowym Siole, a on zabrał mnie stamtąd. Wcześniej i tak nigdy nie miałam dość jedzenia.

- Naprawdę? - Silvia zatrzymała się i ujęła Maerad pod brodę, patrząc jej w oczy z niepokojącą powagą. - Nie traktuj tak serio naszych żartów, Maerad. Cadvan to bliski przyjaciel, stary druh, jeden z najgodniejszych ludzi, jakich znam. Niewielu jest bardów jemu podobnych. Wierz mi, dobrze o tym wiemy.

Maerad kiwnęła głową. Znow poczuła się niemądrze: wcześniej nie zetknęła się z podobnymi łagodnymi drwinami i odkryła, że trudno jej je interpretować. Silvia ruszyła dalej i nim Maerad się obejrzała, znalazła się w zaporowanym pomieszczeniu pachnącym lawendą. Kamienną wannę, wpuszczoną w posadzkę, napełniono już wodą. Maerad nigdy nie widziała podobnej. Zdumiona zatrzymała się w progu. Silvia spojrzała na nią bystro.

- Chciałabyś, żebym została? Jeśli wolisz, mogę wyjść, ale czasami miło jest, gdy ktoś umyje plecy.

- Ja... ja nie wiem - wyszeptała oszołomiona Maerad. - Co tu się zwykle robi?

- Tym razem, moja słodka, zostanę i pomogę ci - zdecydowała Silvia. - Mam nadzieję, że nie zemdlejesz w wannie. Wyglądasz na zbyt zmęczoną, by kąpać się samotnie.

Ostrożnie pomogła Maerad zdjąć cuchnące ubranie i wrzuciła je do kosza. Następnie wprowadziła ją do wanny, wlawszy do niej uprzednio słodko pachnący olej z niebieskiej butelki. Potem zaczęła ją szorować miękką ściereczką i lawendowym mydłem, umyła też jej włosy. Maerad ze wstydem patrzyła, jak bardzo brudna robi się woda, lecz Silvia zdawała się tym nie przejmować, jedynie zacmokała nad skaleczeniem na jej czole, siniakami i bliznami pokrywającymi ciało. Kiedy uznała, że wymyła już każdy paznokieć, pomogła jej wstać, wytarła i okryła jej ramiona ciepłą, miękką szatą. Posmarowała skaleczenie maścią, potem wyjęła z szafki grzebień o szeroko rozstawionych zębach, kazała jej usiąść na niskim drewnianym stołku w kącie i cierpliwie rozczesła splątane włosy. Trwało to dość długo. Maerad oparła się o nią, rozgrzana i senna. Nigdy jeszcze nie czuła się tak odprężona. Skórę miała gładką jak jedwab.

- Twoja komnata powinna już być gotowa - orzekła Silvia. - Chodźmy.

Poprowadziła ją kolejnymi korytarzami i schodami na górę, w końcu otworzyła drzwi niewielkiej sypialni. Na palenisku płonął ogień, przez łukowe okno Maerad słyszała śpiewny bulgot fontanny na dziedzińcu. W rogu stało łóżo nakryte brokatową kapą; na nim ułożono barwne stroje. Zobaczyła, że ktoś postawił w kącie jej lirę. Stała niepewnie w drzwiach, oszołomiona bogatymi kolorami.

- To wszystko dla mnie? - wyszeptła.

Silvia spojrzała na nią z ogromnym współczuciem.

- Owszem, Maerad, to wszystko dla ciebie. Czy pomóc ci się teraz ubrać? Niektóre szaty mają dość skomplikowane zapięcia.

Maerad kiwnęła głową bez słowa. Nigdy nie oglądała podobnych sukien, uszytych z miękkich tkanin w mocnych barwach, zarówno ciepłych, jak też wygodnych i pięknych. Czowała się głupia i nieokrzesana. Silvia wybrała prostą błękitną szatę ze srebrnymi haftami wokół szyi i na rękawach.

- Wkrótce zapewne się położysz - zauważyła praktycznie - i będziesz wołała nie siłować się z tym zanadto. Ale najpierw musisz coś zjeść. Dobrze się czujesz? Myślisz, że znów zemdlejesz?

Maerad zawstydzona pokręciła głową. Im więcej dobroci okazywała jej Silvia, tym bardziej odbierało jej głos. Czowała się tak, jakby zaszła pomyłka: wkrótce dowiedzą się, że nie jest prawdziwą bardką, i wyrzucą ją. Silvia wybrała wełnianą bieliznę i podała Maerad, a ją zdumiała jej miękkość. Miała wrażenie, że śni. Usiadła na łóżku zatopiona w myślach, gładząc tkaninę palcami. Kobieta łagodnie odebrała jej halkę, zdjęła szlafrok i nałożyła bieliznę, zupełnie jakby ubierała dziecko albo lalkę. Maerad milczała.

Skończywszy ją ubierać, Silvia poprowadziła dziewczynę do lustra.

- Myślisz, że to ci pasuje? - spytała, opierając brodę na ramieniu Maerad.

- Powinnaś nosić się na niebiesko, to podkreśla kolor twoich oczu. Jesteś taka ładna!

Maerad zamrugała, patrząc bez słowa. W Gilmanowym Siole nie było luster, mogła się przejrzeć tylko w błyszczącej metalowej tarczy albo nieruchomej wodzie w cebrzyku. W lustrzanym odbiciu nie rozpoznała siebie; jedynie lekka biała linia na szyi, wążutka blizna, pozostałość dawnej zapomnianej rany, wydała jej się znajoma. Nagle w umyśle ujrzała jednocześnie wyraźny i niewiarygodnie odległy obraz twarzy matki pochylającej się nad nią, być może po to, by ją pocałować. Z lekkim wstrząsem uświadomiła sobie, że bardzo przypomina Milanę. Ogarnął ją przejmujący smutek i tęsknota.

- Czas coś zjeść - rzekła szybko Silvia, wyczuwając to. - Zaraz zemdlejesz ze

zmęczenia. Malgorn i Cadvan z pewnością już na nas czekają, pośpieszmy się.

Poprowadziła ją w dół schodów; Maerad stąpała po nich ostrożnie, rozglądając się w zachwycie. Dom kompletnie ją przytłaczał: zbyt wiele komnat, zbyt wiele drzwi, zbyt wiele korytarzy wiodących do niewiadomych celów. Przywykła do jednoizbowych budynków bez schodów, w których ludzie mieszkali ze zwierzętami. Nawet pański dwór składał się z jednego dużego pomieszczenia z komórkami z boku, które służyły za sypialnie.

W końcu dotarli do niewielkiej jadalni, w której czekał stół z ciemnego drewna, zastawiony świecami i pięknymi prostymi talerzami. Pośrodku ustawiono misy ze stosami warzyw i półmisek pełen krojonych mięs. Maerad uświadomiła sobie nagle, że kona z głodu. Cadvan i Malgorn siedzieli już przy stole; kiedy weszły, unieśli wzrok. Przez moment Cadvan sprawiał wrażenie zaskoczonego i Maerad zawahała się, onieśmielona w nowym stroju, potem jednak mężczyźni wstali i uprzejmie skłonili głowy. Silvia odpowiedziała podobnym ukłonem; Maerad, zerkając kątem oka, poszła za jej przykładem. Następnie wszyscy usiedli.

- Pieczyste, Maerad. - Cadvan zajął miejsce obok niej. - Czyż ci go nie obiecałem? I tyle marchwi i rzepy, ile zechcesz. Na moją prośbę znaleźli nawet trochę grzybów. - Nałożył jej hojną porcję, a potem zgarnął na swój talerz stos jadła. - Malgorn uprzedził mnie stanowczo, że nie możesz siedzieć zbyt długo ani za dużo jeść, bo mogłabyś się rozchorować. Powiedziałem im, że to nie ma nic wspólnego ze mną.

Uśmiechnął się; Maerad zaczęła się odprężyć.

- Rzeczywiście jestem zmęczona - odparła. - Rozumiem już, czemu tak lubisz kąpiele! Ale po niej zachciało mi się spać.

- Spróbuj tego. - Cadvan uniósł szklaną karafkę pełną wina jasnego jak słońce. - Malgorn otworzył dla nas dobre wino, nie możemy pozwolić, by się zmarnowało. Po nim zaśniesz jak niemowlę.

Napełnił jej kieliszek i Maerad pociągnęła ostrożny łyk, pamiętając reakcję po laradhelu. Ku jej zdumieniu wino gładko spływało po języku, cierpkie i słodkie. Skupiła się na jedzeniu, słuchając, jak tamci rozmawiają. Silvia i Malgorn nie sięgnęli po jadło; domyśliła się, że zjedli kolację wcześniej, a teraz jedynie dotrzymują im towarzystwa. Delikatnie przyprawione jedzenie całkowicie różniło się od prostych potraw, do których przywykła, tak jak wszystko w tym cudownym miejscu; mięso doprawiono ziołami i czosnkiem i upieczono tak starannie, że rozpływało się na języku, a marchewki były słodkie jak polane miodem. Cadvan spojrzał na nią i poczęstował się kolejną porcją grzybów.

- Jeszcze ich nie próbowałaś - zauważył. - Lepiej się pośpiesz, bo nic nie zostanie.

- Mówiłam, że zjadał wszystkie twoje racje - rzekła z uśmiechem Silvia.

Maerad spojrzała z powątpiewaniem na ciemny stos grzybów na talerzu, ociekający żółtymi struzkami stopionego masła.

- Nie lubię grzybów - rzekła.

- Ale tych nie próbowałaś - zaprotestował Cadvan. - Skosztuj choć odrobinę. Dla smaku.

Nałożył jej widelcem na talerz. Maerad z niechęcią trąciła grzyby, wybrała najmniejszy kawałek i wsunęła do ust. Poczowała mocny, bogaty smak, smak lasu i ciemnej ziemi rozgrzanej słońcem.

- Och - westchnęła zdumiona - są pyszne!

- A nie mówiłem? - mruknął Cadvan. - Nic nie smakuje tak dobrze jak zasłużony posiłek. Weź jeszcze trochę. Ale się pośpiesz!

Rozmowa była lekka, na razie nikt nie wspominał o ich niedawnych przygodach ani nie zadawał dalszych pytań o to, co przeszli. Choć Cadvan miał mocno podkrążone oczy, a na jego twarzy wciąż były widoczne ślady napięcia, wydawał się wesoły i pełen energii, żartował i przekomarzał się z Malgornem i Silwią. Maerad odetchnęła z ulgą, widząc, jak ciepło go traktują. Gospodarze sprzątnęli półmiski i cała czwórka przeniosła się na wygodne fotele ustawione wokół kominka. Malgorn wrócił ze szklaną karafką pełną wiśniowego kordiału, lśniąca niczym wielki rubin, i półmiskiem słodczy. Nalał każdemu niewielki kieliszeczek. Maerad nigdy jeszcze nie widziała słodczy, lecz ośmielona doświadczeniem z grzybami poczęstowała się kasztanem w cukrze. Gdy go ugryzła, jej oczy się rozszerzyły. Sięgnęła po następnego.

- Jeśli będziesz je jadła, niedługo pozostaniesz chuda. - Cadvan wyciągnął się leniwie w fotelu, prostując długie nogi. - To także specjalność Innailu. Tutejsza dolina szczyci się swoją kuchnią.

Maerad z radością siedziała w fotelu, popijając wiśniowy kordiał, który niezwykle jej smakował. Nie zaprotestowała, kiedy Malgorn ponownie napełnił kieliszek. Była czysta, najedzona i rozgrzana - trzy zupełnie nowe doznania w jej życiu. Sennie słuchała, jak rozmowa schodzi na inne tematy.

- Jak zwykle wykazałeś się świetnym wyczuciem chwili - mówiła Silvia.

Cadvan uniósł brwi.

- Co masz na myśli?

- Sądziłam, że przybyłeś na Zgromadzenie - zdziwiła się. - Ale może nie dotarły do Ciebie wieści.

- Zgromadzenie? - Cadvan wyprostował się, patrząc na nią z powagą. - Nie, nic o nim

nie słyszałem. Posłańcy zazwyczaj nie odwiedzają Landrostu.

- Landrostu? - Brwi Silvii powędrowały wysoko na czoło. - A co tam robiłeś? - Cadvan w odpowiedzi wykonał niejasny gest, więc wzruszając ramionami, wróciła do tematu Zgromadzenia. - Owszem, największe, odkąd pamiętam. Są tu bardowie z niemal wszystkich szkół w Północnym Annarze. Niektórzy przybyli aż z Gentu, mamy też wysłannika z Turbanska na południu. Jutro wieczorem odbędzie się powitalna uczta.

- A z jakiej to okazji?

Malgorn poruszył się i pochylił naprzód.

- Równie dobrze jak ja wiesz, że w Annarze krąży coraz więcej pogłosek o Mroku. No, pewnie nawet lepiej ode mnie. Z całą pewnością ludzie coraz częściej widują łaki i inne stwory, wiele regionów nękają też choroby, rabusie i głód. Niektórzy mówią, że to wszystko jest częścią Równowagi i wkrótce szala się przechyli. Inni uważają inaczej. Co więcej, pojawiły się też problemy w szkołach: niby nic konkretnego, ale są powody do niepokoju.

- Wiemy o tym od lat - zauważył Cadvan. - Skąd zatem ta nagła narada?

Malgorn pochylił się jeszcze bardziej, zniżając głos niemal do szeptu.

- Powiadają, że niektóre szkoły zeszły na złą drogę.

Cadvan uśmiechnął się ponuro.

- Mój przyjacielu, to dla mnie nie nowina. Nie wszystkie szkoły są tak szlachetne jak Innail i równie wierne Światłu.

Malgorn zmarszczył brwi z lekką irytacją.

- Nie powinieneś lekceważyć podobnych spraw. Krążą nawet pogłoski... - Zawahał się i rozejrzał, jakby w obawie, że ktoś mógłby ich podsłuchać. Znów zniżył głos: - Jak słyszałem, istnieją obawy, że trucizna przeniknęła do samej Mowy, źródła, z którego wypływa nasza moc! Wiem, wiem, to nie do pomyślenia. Ale jednak tak mówią, choć sam w to nie wierzę.

- Oron uważa, że przez ostatnie dwa, trzy lata owe pogłoski stały się zbyt niepokojące.

- Silvia z łagodnym wyrazem twarzy odwróciła się do Maerad i wyjaśniła: - Oron to Pierwsza Kręgu Innailu. Dzięki swej mocy i olbrzymiej wiedzy zalicza się do najważniejszych osób w Annarze. - Maerad kiwnęła głową, nie pojmując, czemu rozmawiają przy niej o podobnych sprawach. Silvia podjęła przerwany wątek: - Niektórzy mówią, że Mrok przesłania Światło, że czasy pokoju minęły. Powiadają także, że Bezimienny znów powstaje. Oron zwołała Zgromadzenie, by razem rozważyć wszystkie plotki i nowiny i ustalić, jak w istocie przedstawia się sytuacja i co można zrobić, jeśli jest tak źle, jak sądzą ludzie.

- A to akurat wątpliwe - przerwał jej Malgorn. - Jak to mówią, plotka jest jak żaba,

tylko pije i gada, a w historiach każda złowiona ryba robi się większa.

- Jest źle - oznajmił krótko Cadvan.

Wyglądał, jakby mógł dodać coś więcej, ale nie chciał. Marszcząc brwi, obejrzał się na stół. Silvia popatrzyła na niego pytająco, ale nie naciskała i zmieniła temat.

- Maerad, Malgorn mówił mi, że jesteś z Pellinoru. To zdumiewające wieści! Sądziliśmy, że nikt nie przeżył splądrowania Szkoły. Znałam kiedyś Milanę, tamtejszą Pierwszą Kręgu, i jej męża Dorna.

Zaskoczona Maerad spojrzała jej prosto w oczy.

- Milana była moją matką - rzekła głucho i usłyszała, jak zaskoczona Silvia wciąga głośno powietrze. - Nie zginęliśmy, zostałyśmy schwytane i sprzedane w niewolę. Milana zmarła... później.

Zapadła krótka cisza.

- Był tam też chłopiec, prawda? - spytał Malgorn. - Może źle zapamiętałem. Cai? Carin?

- Tak, miałam młodszego brata, Caia. Został zabity, tak jak mój ojciec.

Odruchowo zamknęła oczy; w umyśle znów pojawił się obraz powalonego ojca.

- Cóż, niewątpliwie masz Dar, to pewne. Nic dziwnego w podobnej rodzinie - powiedział Malgorn po chwili niezręcznej ciszy. - Ale jakiego rodzaju? To dziwne, że Cadvan przypadkiem się na ciebie natknął...

- Skąd wiecie, że mam Dar? - Maerad spojrzała na nich niemal z oburzeniem.

- To zmysł właściwy wszystkim bardom - wyjaśniła powoli Silvia. - Trudno to wyjaśnić... Nauczysz się tego z czasem. Można to poznać po pewnym świetle... w samej istocie człowieka. Ty masz to światło, Maerad, nie da się zaprzeczyć.

Cadvan zmusił się, by wstać.

- I to wielce niezwykły Dar! - Opowiedział im o mocy ujawnionej przez Maerad podczas ucieczki przed Landrostem; Silvia i Malgorn słuchali w nagłym skupieniu. - Nigdy jeszcze nie czułem niczego podobnego - zakończył. - Zwłaszcza u kogoś nieszkolonego. To zdumiewające.

Malgorn patrzył na nią z powątpiewaniem.

- Wydaje się to niezwykłym zbiegiem okoliczności - rzekł powoli. - Zbyt niezwykłym. Nie uważasz, Cadvanie?

Popatrzył na niego znacząco.

- Też się nad tym zastanawiałem. - Cadvan sięgnął po karafkę i nalał sobie kordiału. Uniósł kieliszek przed oczy, podziwiając kolor. - Wniknąłem w nią. Nie mam wątpliwości, że

jest tym, za kogo się podaje.

- Wniknąłeś? - krzyknęła przerażona Silvia. - Cadvanie, jak mogłeś?

- W tamtym momencie uznałem, że nie mam wyboru. Musiałem spytać. - Cadvan zerknął szybko na Maerad. - Byłem jak ogłupiały, zupełnie nie wiedziałem, co robić. Ale to tylko połowa historii, bo ona omal nie wniknęła we mnie i nie wymazała mojego umysłu. Mówiłem poważnie o jej Darze. Co więcej, ma też lirę, dhylickiej roboty.

- Nie! - rzekli jednocześnie Malgorn i Silvia.

- Owszem, tak. To musiał być największy skarb Pellinoru, a ja znalazłem go w nędznym siole, na pozór zwykłą chłopską harfę.

- Jesteś pewien, Cadvanie? - spytał z powątpiewaniem Malgorn. - Ostatecznie nie istnieje żadna inna, z którą mógłbyś ją porównać. Skąd zatem wiesz?

Cadvan spojrział na niego.

- Nie na darmo przez długie lata zgłębiałem dhylicką wiedzę. Nauczyłem się rozpoznawać znaki, choć ich znaczenie zaginęło na zawsze. Nie mam żadnych wątpliwości. - Wszyscy umilkli. - Jest coś jeszcze - dodał powoli Cadvan. - Coś, co nie dawało mi spokoju. To jak przeznaczenie... Nie przypadek sprawił, że się spotkaliśmy.

Nagle zawiesił głos.

- W każdym razie - dodał w końcu - uważam, że jest zbyt ważna, by tu zostać. Myślę, że w jakiś sposób stanowi klucz. Według mnie powinna się udać do Norlochu. Chciałbym wiedzieć, co powie o niej Nelac.

- Nie możesz jej ciągać po całym kraju! - oburzyła się Silvia.

- Mimo to uważam, że zostawienie jej tu byłoby niebezpieczniejsze niż zabranie z sobą.

- Niebezpieczniejsze? - wtrącił ostro Malgorn. - Jest tu bardziej bezpieczna niż gdziekolwiek indziej. Wybacz, że to mówię, Maerad, ale rozmawiamy tu o młodej dziewczynie, nie wielkim magu.

Cadvan nagle uśmiechnął się szeroko.

- A dlaczego jedno nie może być też drugim?

Maerad słuchała w milczeniu, czując lekką niechęć. O czym oni gadali? Do czego miała być kluczem? Zupełnie jakby jej tu nie było.

Malgorn pochylił się znowu; twarz miał skupioną i poważną.

- Bzdury gadasz, stary druhu. Strzeż się wnyków Mroku.

- Chyba znasz mnie wystarczająco dobrze - odparł cicho Cadvan. - Chyba nikt w Annarze i Siedmiu Królestwach nie zna pułapek Mroku lepiej ode mnie.

Malgorn odchylił się w fotelu.

- Mimo wszystko jest jeszcze dzieckiem - odparł z uporem. Maerad już miała zaprotestować, ale zrezygnowała. - I może powinniśmy jej pozwolić, by dorosła do własnego losu, jeśli rzeczywiście los nią kieruje.

W jadalni zapanował ponury nastrój; Maerad czuła dławiący lęk.

- W innych czasach być może łatwiej byłoby stwierdzić, co mamy robić - powiedziała ze smutkiem Silvia. - Jednak teraz, niestety, wielu sprawom nie możemy pozwolić, by dorastały we własnym tempie. Zostaną zakończone, zanim dojrzeją. - Zadrżała i zapatrzyła się w ogień z niespokojną twarzą. Malgorn ujął jej dłoń. - Myślę, że wkrótce wszyscy dowiemy się więcej o Mroku - powiedziała. - Świat robi się coraz mniejszy. Nadciąga groźna zima.

VII

UCZTA POWITALNA

Następnego dnia Maerad obudziła się późnym popołudniem. Było jej tak ciepło i wygodnie, że z początku nie miała ochoty otwierać oczu. Obawiała się, że to tylko sen i że poza zamkniętymi powiekami czeka ponury świat, do którego przywykła; potem jednak przypomniała sobie, gdzie jest, i usiadła rozczochrana, na wpół przytomna, pocierając oczy. Ukośne promienie popołudniowego słońca wnikały przez otwartą okiennicę, powlekając wszystkie przedmioty w komnacie nieruchomym złotym blaskiem. Słyszała dobiegające z zewnątrz szmery i pluski fontanny, a także odległe dźwięki muzyki. Za oknem ujrzała gałęzie drzewa pokryte pękami różowych kwiatów; łagodny wietrzyk omiół jej policzki cudownym zapachem. Mroczne wizje poprzedniego wieczoru wydały się nagle koszmarnym snem.

- Dzień dobry - powiedział Cadvan. - Mam nadzieję, że dobrze spałaś.

Wzdrygnęła się i odwróciła gwałtownie. Cadvan siedział w fotelu w kącie sypialni; na kolanach miał otwartą wielką, oprawną w skórę księgę. Teraz zamknął ją ostrożnie i odłożył na stół.

- Ktoś powinien był mnie obudzić...

- Obudzić cię? Niech Światło broni! Silvia bardzo przejmuje się twoim zdrowiem, Maerad. Uważaj! Siedziała tu cały ranek, potem jednak wezwały ją obowiązki, a chciała mieć pewność, że ktoś będzie przy tobie, gdy się ockniesz. A że ja nic nie muszę robić, mnie powierzono to zadanie.

- Nie chciałam nikogo kłopotać - mruknęła onieśmielona.

Cadvan przeszedł przez pokój i usiadł na łóżku, biorąc ją za rękę.

- Maerad - rzekł z powagą - znalazłaś się teraz w innym świecie, w którym uważa się, że każda ludzka istota warta jest tego, by się o nią troszczyć. Nieważne, kim jest. Masz Dar, wyjątkowy Dar, toteż tym bardziej ciekawisz ludzi. Musisz to zrozumieć.

Milczała przez chwilę, wbijając wzrok w kołdrę.

- Malgorn i Silvia są bardzo, bardzo mili - wymamrotała niewyraźnie. - A ty byłeś dla mnie dobry.

- Nieszczerólnie dobry - odrzekł cierpko.

- Ależ byłeś. Zabrałeś mnie z Gilmanowego Sioła. Choć nie musiałeś. Ale nie wiem, jak się tu zachowywać. W ogóle nic nie wiem. To nie moje miejsce.

Poczuła wzbierający w gardle płacz i gwałtownie przełknęła ślinę.

- Z czasem znajdziesz swoje miejsce. Bądź cierpliwa. Dopiero tu przybyłaś. Musisz zrozumieć, Maerad, że ja też nigdzie nie przynależę. Moim domem jest muzyka. Tak jak i twoim.

Maerad miała wrażenie, że nie zniesie jego wyrozumiałości; w pewnym sensie wolała nawet szorstkość. Znów głośno przełknęła ślinę, lecz po nosie spływała już łza. Nim Cadvan w nią wejrzał, przez wiele lat nie płakała: od śmierci matki nie opłakiwała już nikogo ani niczego. Świat, w którym żyła, był zbyt surowy na łzy. Teraz miała wrażenie, że żal, który wzbierał w niej przez te wszystkie lata, napiera na tamę, gotów rozlać się szeroką falą, a każde ze słów Cadvana jeszcze osłabia zapory. Patrzył w jej twarz z troską, ona jednak odwróciła wzrok, wbijając go w pościel. Paliły ją policzki. Nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymała łzy.

- Chyba powinnam się ubrać - rzekła w końcu.

- Ubranie jest tam. - Cadvan wskazał ręką rzeźbioną skrzynię; leżała na niej szata, którą miała na sobie poprzedniego dnia. Wstał niezgrabnie. - Teraz odniosę książkę. Jeśli chcesz, wróć, gdy się ubierzesz, i oprowadzę cię po Szkole. Jeżeli jesteś głodna, pójdziemy do kuchni i zobaczymy, co mają dla ciebie na popołudniową przekąskę. Czy to ci odpowiada?

Przytaknęła i wyszedł z komnaty. Wstała z łóżka i podniosła lirę. Gdy tylko instrument zaciążył jej w dłoniach, poczuła się lepiej. Należał do niej; to jedyna rzecz, która kiedykolwiek do niej należała. Co powiedział Cadvan? Moim domem jest muzyka. Trąciła kilka strun i już miała zagrać, gdy nacisk, który czuła w brzuchu, nagle przerodził się w potworne skurcze. Zupełnie jakby szpony niewidocznego potwora wbiły się w jej wątpia i rozdzierały je na strzępy. Z największym trudem odłożyła lirę w bezpieczne miejsce, a potem opadła na podłogę, jęcząc. Poczuła, jak coś spływa po jej nodze. Skurcze osłabły odrobinę, więc popatrzyła: to była krew, wielkie czerwone krople krwi. Przesiąkała przez płócienną nocną koszulę, plamiąc błyszczącą drewnianą podłogę. Co się z nią działo? Zgięta wpół podczołgała się do łóżka, ale nie mogła się na nie wdrapać. Skupiła się na oddychaniu, tak jak wtedy gdy ją chłostano, by nie myśleć o bólu, ale ten nie minął. Zapłakała głośno ze strachu.

Cadvan trzy razy pukał do drzwi, nim go usłyszała; w końcu wszedł bez pozwolenia, wołając jej imię. Kiedy ujrzał ją na podłodze, podbiegł do niej, uniósł i położył na łóżku.

- Co się stało?

- Ja... ja nie wiem - powiedziała pomiędzy szlochami. - Tak bardzo boli. Krwawię i to

boli.

Zajęczała w paroksyzmie bólu.

- Krwawisz? - spytał ostro Cadvan. - Gdzie?

- Mam krew na nogach. Nie pamiętam, żebym się zraniła...

Znów jęknęła i ścisnęła jego dłoń tak mocno, że zbieleły jej palce.

Cadvan spojrział w jej bladą spoconą twarz i pomacał czoło, sprawdzając, czy nie ma gorączki.

- Maerad, powiedz mi - rzekł - czy to spotkało cię już wcześniej?

Pokręciła głową. Popatrzył w dół i mimo bólu Maerad zawstydziała się nagle. Sądziła już, że nie potrafi się rumienić.

- To chyba menstruacja - rzekł po długiej ciszy. - Wiesz, co to jest?

Znów pokręciła głową.

- Powinienem zawołać Silvię.

W panice złapała go za rękę i Cadvan usiadł niechętnie, gdy znów zgięła się wpół. Przemknęło mu przez głowę, że wolałby mieć do czynienia z dziesięcioma łakami niż dziewczyną przechodzącą pierwszą menstruację.

- Czy ja umrę? - wyszeptała Maerad z nieskrywanym przerażeniem. - Jestem przeklęta, prawda?

Odetchnął głęboko.

- Nie, nie umrzesz i nie jesteś przeklęta. To coś, co spotyka kobiety, wszystkie kobiety. U ciebie nadeszło po prostu nieco później. To nie znaczy, że jesteś chora.

- Więc dlaczego tak boli?

- Nie wiem, Maerad, czasami tak bywa. Powinienem poszukać Silvii.

- Nie zostawiaj mnie samej!

Cadvan westchnął i ponownie usiadł na łóżku.

- Zaczekam chwilę - obiecał.

Powoli rozluźnił uścisk jej ręki, bo miał wrażenie, że miażdży mu dłoń, lecz Maerad natychmiast chwyciła go za przedramię. Przywołując na pomoc całą swą cierpliwość, czekał. Wkrótce wyprostowała się.

- Chyba mija - wyszeptała niepewnie.

Uświadomiła sobie, że trzyma rękę Cadvana tak mocno, iż jej paznokcie wbiły mu się w ciało. Puściła go. Miała wrażenie, że nieco pobladł.

- Nic ci nie będzie - przyrzekł. Po krótkiej chwili ciszy wstał. - Teraz zawołam Silvię. Będzie wiedziała, co zrobić.

Maerad kiwnęła głową i Cadvan wybiegł z sypialni.

Wkrótce zjawiła się Silvia, wyraźnie rozbawiona; w rękach niosła butelkę eliksiru i ubranie. Kazała Maerad wypić porcję leku, który smakował gorzko, lecz całkiem przyjemnie, a potem pomogła jej się ubrać. Jej praktyczne podejście uspokoiło poruszoną Maerad; gdy się ubrała, stwierdziła, że się uśmiecha. Wówczas Silvia usiadła z nią na łóżku i wyjaśniła, skąd bierze się krwawienie kobiet. Dziewczyna, czerwona jak burak, pokiwała głową.

- Myślałam, że to spotyka tylko te kobiety, które ktoś przeklął - wyznała zawstydzona.
- Nazywały to przekleństwem. Zawsze się modliłam, żeby mnie się nie przydarzyło.

Gdyby Silvia uśmiechnęła się choć odrobinę, Maerad skuliłaby się ze wstydu, lecz ta odpowiedziała z powagą:

- Nic dziwnego, że wcześniej nie krwawiłaś, skoro jesteś taka chuda. Tutejsze kobiety uważają to za błogosławieństwo, nie klątwę. Niektóre nazywają to rozkwitem.

Maerad w milczeniu przetrawiała jej słowa.

- To oznacza, że jeśli zechcesz, możesz teraz mieć dzieci, że jesteś dorosłą kobietą, która odkrywa swoją moc - podjęła Silvia. - To straszne, jeśli dziewczyna nic nie wie o własnym ciele. Ale przecież nie masz matki. - Ucałowała ją w policzek, a potem, nie mogąc się powstrzymać, zaczęła chichotać. Maerad przyjrzała się jej czujnie. - Nigdy jeszcze nie widziałam tak bladego Cadvana. Wpadł do kuchni, jakby ścigało go stado upiorów. Sądziłam, że gdzieś wybuchł pożar!

Maerad także się roześmiała.

- Myślałam, że umieram. O mało nie złamałam mu ręki...

- Trudno było z niego wyciągnąć, co się stało. - Silvia otarła załzawione oczy. - Mówił tak oględnie, iż uznałam, że to z nim jest coś nie tak. Przez ostatnie lata niewiele miał do czynienia z kobietami. - Wzięła butelkę i wstała. - Tak czy inaczej, z całą pewnością musisz się posilić. Chodź, poszukamy ci czegoś do jedzenia.

W rozświetlonym blaskiem słońca korytarzu Maerad po raz pierwszy miała okazję naprawdę się rozejrzeć. Kamiennych murów nie zdobiły żadne dekoracje prócz wdzięcznych rzeźb wokół drzwi i okien; niemal poziomy promień wpadający przez wysokie okno nad schodami nadawał ścianie ciepłą różową barwę.

- Na górze mieszczą się sypialnie i parę pokoiów muzycznych - wyjaśniła Silvia po drodze. - Na dole kuchni, jadalnie i biblioteki. To skromny dom, ale go pokochałam.

Maerad zamrugnęła zdumiona, słysząc, że ktoś nazywa ten szczyt luksusu skromnym, nic jednak nie powiedziała.

Na dole Silvia poprowadziła ją do wielkiej kuchni o kamiennej posadzce, w której

dominował długi, wyszorowany do czysta, drewniany stół. Na poprzeczkach przymocowanych do sufitu wisiały miedziane i żelazne rondle i patelnie. Pod ścianami ustawiono słoje pełne nasion, olejów i mąki, a także wekowanych owoców i warzyw; wyżej na hakach rozwieszono pęki suchych ziół, warkocze czosnku i cebuli. Pod jedną ze ścian pysznił się wielki kominek, obok stał duży czarny piec. Mężczyźni i kobiety krzątający się przy posiłkach przeznaczonych na wieczorną ucztę uśmiechnęli się do Maerad, parę osób powitało też Silvię. Ta pozdrowiła je skinieniem głowy i ruszyła do spiżarni, gdzie nałożyła na talerz pajdy świeżego chleba, kawałki sera, plastry zimnej pieczeni i sałatę. Wręczyła talerz Maerad, a potem przeszła do maślarni. Z wysokiego zielonego dzbana nalała mleko do dużej szklanki. Następnie krótką zadazoną uliczką wyprowadziła dziewczynę z kuchni na dziedziniec. Maerad pojęła nagle, że otacza je cały dom zbudowany na planie kwadratu i że wszystkie wewnętrzne okna wychodzą właśnie na tę stronę. Po kratkach przymocowanych do ścian wspinały się jaśmin i miodownik, a na grządkach, z rozmysłem rozmieszczonych tak, by sprawiały wrażenie naturalnego nieładu, drzemały wiosenne kwiaty: nasturcje i dzwonki, margerytki, żonkile i krokusy. Pośrodku ciągnął się przystrzyżony trawnik z rumiankami, a w narożniku na kamiennym postumencie stała niewielka świnka z brązu; z jej ryjka wylewała się woda, tworząc małą sadzawkę - Maerad dostrzegła w niej srebrzystopomarańczowy połysk rybich łusek pośród nenufarów. Brukowana ścieżka wiodła do kamiennego stołu i ławy pośrodku trawnika; tam właśnie Silvia postawiła mleko i poprosiła Maerad, by usiadła.

- Musisz zjeść sałatę i pieczyste - oznajmiła, przycupnąwszy obok. - Po tym poczujesz się lepiej.

Usadowiła się wygodniej. Maerad dotychczas nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest głodna, lecz onieśmielona obecnością Silvii posilała się tak powściągliwie, jak mogła. Jedzenie było pyszne. Dotąd znała tylko twarde, przesolone gomółki sera wyciskane w Gilmanowym Siole i rozplwający się na języku miękki biały ser, którego nakroiła jej Silvia, stanowił zupełnie nowe doświadczenie. Warzywa także okazały się zdumiewającym odkryciem. Jadała kapustę, zwykle gotowaną pod postacią kwaśnej zupy, a także zielone liście rzepy i kalarepy, również gotowane, lecz nigdy surowizny. Skosztowała jej zatem podejrzliwie i zachwycała się mieszaniną ostrych świeżych smaków: piekącej rzeżuchy i przyjemnie gorzkiej fioletowej sałaty zmieszanej z pachnącymi ziołami: cząbrem, bazylią i miętą. Jedząc, pytała Silvię o nazwy roślin i usiłowała zapamiętać odpowiedzi. Wcześniej jedynym znanym jej ziołem była mięta.

- Widzę, że muszę się wiele nauczyć o najróżniejszych rzeczach - zauważyła smętnie, gdy skończyła posiłek. - Rzeczywiście czuję się lepiej.

Po raz pierwszy otwarcie uśmiechnęła się do Silvii.

- Raz-dwa zrobimy z ciebie smakoszkę - odparła tamta. - Powiadają, że przyjemność to ważny element nauki. Przynajmniej twoja twarz nabrała nieco rumieńców. Teraz będziesz mogła wytrzymać do obiadu.

- Ale... sądziłam, że to był obiad - zdumiała się Maerad.

- Nie, moja droga. Jedynie przekąska, by złagodzić pierwszy głód. Pamiętaj, że przespałaś pierwsze i drugie śniadanie. Jeśli masz dość sił, dziś wieczorem możesz iść na ucztę z okazji Zgromadzenia. Jak się czujesz? Wciąż jesteś zmęczona?

- Nie, wszystko dobrze - odparła Maerad. - Prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie czułam się lepiej. Czuję się... och, taka, taka... szczęśliwa. - Nagle znów ogarnęła ją niepewność, jakby przyznanie się do tego ujawniało słabość. Zerknęła szybko na Silwię. - Co to jest Zgromadzenie?

- Spotkanie bardów; słyszałaś o nim wczoraj wieczorem. To jest szczególnie istotne, bo mamy na nim ustalić, jak postępować w Północnym Annarze. To sprawa bardów, a tym samym sprawa Światła. Przez następnych kilka dni możesz oczekiwać wielu śpiewów i rozmów. Bez wątplenia ty także będziesz stanowić ich przedmiot.

- Ja?

- Tak, moja droga. Lepiej do tego przywyknij. Wieści o twoim przybyciu rozeszły się po Szkole lotem błyskawicy. Słyszałam już, że Cadvan ocalił cię przed magicznym lwem i że znalazł cię w kurniku, że wtargnął do lochów Władcy Cieni i samotnie przebił sobie drogę, niosąc cię na ramieniu. W Szkole mieszka wiele osób obdarzonych bujną wyobraźnią, które przy braku faktów chętnie stworzą zajmującą historię, by zapełnić luki. To nasza siła i jednocześnie słabość. - Widząc skrępowanie Maerad, zmieniła temat. - Ale teraz opowiedz mi, skąd pochodzisz. Dużo pamiętasz z Pellinoru?

Łagodnie wypytywana przez Silwię Maerad opowiedziała jej wszystko, co wiedziała o sobie i swej rodzinie, a także opisała życie w Gilmanowym Siole. Kobieta słuchała uważnie, marszcząc czoło.

- Często cię bili? - spytała, gdy Maerad powiedziała o tym, jak kobiety próbowały ją utopić.

- Tam wszystkich biją. Nawet kobieta Gilmana miała zazwyczaj podbite oko - odparła lekceważąco Maerad. - Mnie rzadziej niż innych. Udawałam, że jestem wiedźmą. - Zerknęła z ukosa na Silwię, zastanawiając się, jak zareaguje, lecz jej twarz pozostawała nieprzenikniona.

- Widzisz, bali się bić mnie zbyt dotkliwie. Myśleli, że ich przeklnę.

- W Innailu nikogo się nie bije - oznajmiła Silvia.

- Nikogo? - Maerad otworzyła usta ze zdziwienia.

- Nikogo. A zwłaszcza dzieci. Rozmyślne zadawanie bólu dziecku uważa się za zbrodnię.

Maerad przetrawiła tę informację. Zdumiała ją ona.

- W takim razie jak karzecie ludzi, którzy nie słuchają tana? - spytała, po czym dodała z powątpiewaniem: - Przypuszczam, że tu nie ma tana.

- Mamy namiestnika Innailu, który mieszka w Tinagelu, mieście leżącym pięć mil stąd, i oczywiście bardów - wyjaśniła Silvia. - Razem rządzą Fesse, to znaczy regionem i ludźmi. To trochę skomplikowane. Mamy prawa, lecz ludzie rzadko je łamią. Jeśli to robią, otrzymują kary: człowiek, który na przykład zabije innego, staje przed trybunałem bardów i mieszczan. Oni decydują, co z nim począć. Zazwyczaj to jakaś forma zadośćuczynienia: może zostać skazany na służenie rodzinie, którą skrzywdził, przez określoną liczbę lat albo zapłatę grzywny. Jeśli jest chory bądź szalony, co czasem się zdarza, zapewniamy mu opiekę. Ktoś, kto kradnie, musi zwrócić ukradzione przedmioty. W najgorszych wypadkach wyrokiem jest wygnanie z Innailu. Nie więzimy tu ludzi.

- Ale jakim cudem ma to powstrzymać morderców i złodziei? - Maerad zdumiała się jeszcze bardziej. - Jeśli ktoś nie boi się kary, to zrobi to ponownie, prawda?

- Tak twierdzą niektórzy. Lecz w istocie rzadko dochodzi tu do zbrodni - odparła Silvia. - Ludzie sypią przy otwartych drzwiach. W dolinie nie ma głodu, toteż nic nie popycha mieszkańców do desperackich czynów. Prawo głosi, że głodnych należy nakarmić, bezdomnym zapewnić dach nad głową, a chorych leczyć. Taka jest ścieżka Światła.

Maerad milczała chwilę, przyswajając nowe idee. Słowa Silvii bardziej niż cokolwiek, co oglądała bądź słyszała wcześniej w Innailu, uświadomiły jej, że znalazła się w innym świecie. Musiała uczciwie przyznać, że wątpi w skuteczność ich metod, zwłaszcza gdy przypomniawsza sobie wojów Gilmana, ale zachowała swe wątpliwości dla siebie.

Silvia skierowała rozmowę na temat muzyki, a kiedy Maerad wspomniawsza jej o Mirladzie, wyraźnie się zainteresowała.

- Uczył cię? - spytała.

- Tak, ale tylko muzyki. Nie miałam pojęcia o szkołach, Darze czy Mowie, zanim Cadvan mi o nich powiedział. Mirlad twierdził, że pieśni służą temu, by milej spędzać życie, póki nie zakończy go śmierć.

Nagle ujrzała wyraźny obraz twarzy Mirlada: orli nos, surowe usta otoczone bruzdami - trudno orzec czego: smutku? goryczy? - głęboko osadzone, znużone oczy, w których czasami dostrzegawsza błysk nieoczekiwanej zyczliwości.

- Musiał być bardem - orzekła Silvia. - Może zszedł z właściwej drogi? Takie rzeczy się zdarzają. Ciekawe, skąd pochodził, jaka była jego historia? Musiała być smutna. A twoja matka? Czy ona cię uczyła?

- Ona... Niewiele pamiętam. Nauczyła mnie kilku pieśni. Miałam zaledwie siedem lat, kiedy umarła. - Twarz Maerad spochmurniała; Silvia czekała, wstrzymując oddech. - Nie pamiętam, by kiedykolwiek wspominała o Pellinorze. Ale gdy Cadvan mnie spytał, po prostu wiedziałam. Jak to możliwe?

- Cadvan to Prawdomówca - odparła z powagą Silvia. - Jak sama się przekonasz, są różne rodzaje bardów. Tacy jak Cadvan są najrzadsi, a ich ścieżki najniebezpieczniejsze. Potrafi wydobyć z człowieka prawdę, zadając mu pytania, nawet jeśli jego rozmówca sam jej nie zna.

- Tak - mruknęła z namysłem Maerad. - Rozumiem. Czasami bywa surowy i chłodny. Ale nigdy mnie nie okłamał.

- I nie okłamię, jeśli uzna cię za przyjaciółkę. Choć bywa też podstępny i świetnie zna się na sztuce kamuflażu. Trudno dobrze go poznać. Jak większość bardów.

Umilkły, patrząc na cienie wydłużające się na dziedzińcu.

- Czy ty jesteś bardką, Silvio? - spytała nagle Maerad.

- Owszem, jestem - przytaknęła kobieta. - Zajmuję się głównie wiedzą o ziołach i medycyną. Nie zgłębiałam wysokiej wiedzy o dawno wymarłych ludach, historii Annaru i Siedmiu Królestw czy wielkich bitew Światła i Mroku, jak Cadvan. Specjalność Malgorna to zwierzęta, zarówno te gospodarskie, jak i żyjące dziko. Niewielu wie tyle co on o sekretach zwierząt i nikt mu nie dorówna w uprawie ziemi. Istnieje wiele ścieżek, którymi stąpają bardowie, lecz wszystkie są równie istotne dla życia tej krainy i wszystkie spotykają się w pieśni, która spleta razem różne wątki wiedzy, tworząc rozległą, subtelną muzykę, muzykę życia. - Silvia patrzyła przed siebie, jakby zapomniała o obecności Maerad. - Dar barda to wielki Dar - dodała miękko. - A także wielka miłość i brzemię. Bo wszystko, co kochamy, musi umrzeć. I czyż nasze pieśni nie są lamentem oplakującym to, co zielone i piękne, co musi odejść niczym cienie na równinie, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów? Jakaż pieśń, choćby najpiękniejsza, może stłumić ten ból?

Maerad dostrzegła głęboki smutek na twarzy kobiety; zastanawiała się, jakież to wydarzenia wyrzeźbiły jej urodę, tak łagodną, a jednak pod spodem twardszą niż kamień. Silvia otrząsnęła się i uśmiechnęła: znów wyglądała na praktyczną, pogodną kobietę. Maerad zaczynała już ją kochać, jej wygłodniałe serce otworzyło się przed miękkim uśmiechem Silvii. Teraz pod jej wesołością dostrzegła pokłady głębokiego smutku, niezbadane głębie

wody pod migotliwą taflą i zdumiała ją złożoność tych ludzi. Moich pobratymców - rzekła do siebie, sprawdzając, jak to zabrzmiało. Moi pobratymcy. Lecz Silvia zdążyła już wstać.

- Niestety, nie mamy czasu, żebyśmy dziś pokazała ci Szkołę. Sądziłam, że zwiedzimy sale śpiewów i domy innych bardów, a także inne ciekawe miejsca. Teraz powinnaś się umyć. Wkrótce zjemy, lecz nie na osobności: podczas uczyty powitalnej bardowie posilają się wspólnie. Jutro rozpocznie się właściwe Zgromadzenie.

Maerad wbiła wzrok w ziemię i Silvia klasnęła w dłonie.

- Nie bądź nieśmiała! - Ucałowała ją w oba policzki. - Chodź, pomogę ci wybrać strój. Potem sama muszę się przygotować. Uczta powitalna to radosny czas, nikt nie będzie na niej rozmawiał o interesach. Jeśli jednak poczujesz zmęczenie albo z jakichkolwiek przyczyn uznasz, że musisz wyjść, uprzedź mnie, zgoda?

Maerad przytaknęła. Silvia poprowadziła ją z powrotem przez kuchnię, w której nad paleniskami na roznach obracały się mięsiwa, a na żelaznym piecu bulgotały i parowały rondle. Maerad dostrzegła ludzi wyciągających z pieców bochny chleba i układających je do wystygnięcia na płachtach czystego płótna. Z każdego zakątka dochodził inny przepyszny zapach, a kucharze byli poważni i wyraźnie zajęci. Silvia zostawiła w pomywalni talerz i szklankę i pośpiesznie poprowadziła Maerad na górę, do jej pokoju. Tam z drewnianej skrzyni wyjęła suknię barwy głębokiej czerwieni, bogato haftowaną złotą nicią wokół dekoltu i na rękawach. Położyła ją na łóżku. Maerad spojrzała na nią nerwowo.

- Och, to dla mnie za bardzo pańskie i bogate.

- Nie, nie, Maerad. Mamy dzień uczyty. Wierz mi, będzie na ciebie pasować. To piękna suknia; kiedyś należała do mnie. Uwielbiałam ją nosić, gdy byłam niewiele starsza od ciebie. Załóż ją; to dowód mojej przyjaźni. A teraz biegnij do łazienki. Później wrócę i pomogę ci się ubrać.

Wcisnęła jej do rąk szlafrok i zniknęła w głębi korytarza.

Maerad, stojąc w drzwiach, rozejrzała się bezradnie po komnacie. Po jej bolesnej przygodzie zdążono już posprzątać: łóżko zasłano świeżą pościelą, na nowo rozpalono ogień. Jej ręce łaknęły dotyku liry, pamiętała jednak, że Silvia niedługo wróci i spodziewa się zastać ją gotową, ruszyła więc do łazienki i umyła się miękką ściereczką i mydłem, myśląc, że chętnie znów wzięłaby kąpiel. Potem wróciła do siebie, zamknęła drzwi i usiadła na łóżku, czekając na Siliwę. Nie zjawiała się, toteż Maerad podniosła lirę i zaczęła grać, nucąc do wtóru. Przechodziła z jednej melodii do drugiej, pogłębiając harmonie i wzbogacając wariacje, i gdy Silvia zastukała w końcu do drzwi, była zupełnie zatopiona w muzyce. Zdumiona przestała grać.

- Maerad? - zawołała Silvia.

- Tak?

- Mogę wejść?

- O tak, oczywiście.

Maerad była w połowie drogi do drzwi, gdy Silvia stanęła w progu.

- Pięknie - rzekła ciepło. - Cadvan mówił, że masz niezwykle talent muzyczny. Z pewnością pobierałaś nauki u barda. Musisz dziś wieczór zabrać z sobą lirę. Ale, Maerad - nagle jej głos spoważniał - nie wolno ci wspominać nikomu, że to dhyllicka robota. Cadvan zorientował się, bo zgłębił pradawną wiedzę, lecz tylko nieliczni bardowie rozpoznaliby ją bez uprzedzenia. Takich spraw najlepiej nie ujawniać. A teraz - podjęła - ubierzemy cię, dobrze? Nie miałam tyle zabawy, od kiedy moja córka była w twoim wieku.

- Masz córkę? - zdumiała się Maerad.

Silvia nie wyglądała na tyle staro, by mieć dorosłe dzieci.

- Tak. Miałam.

Twarz kobiety nagle spoważniała, jakby pytanie to sprawiało jej ból. Coś mówiło Maerad, że nie powinna więcej pytać.

Silvia miała na sobie wspaniałą suknię: z wyszywanego maleńkimi perełkami w misterny kwiatowy wzór gorsetu zielona jak mech tkanina opadała bogatymi fałdami na podłogę. Jej kasztanowe włosy, zwykle ciasno spięte, spływały na plecy rzeką złocistych i rudych kosmyków, podtrzymywane jedynie cienką złotą przepaską, z której na czoło zwisał samotny biały klejnot. Na prawej ręce nosiła złoty pierścień z białym kamieniem; do piersi przypięła osobiście kutą broszę w kształcie galopującego rumaka.

- Wyglądasz przepięknie - powiedziała nieśmiało Maerad i cień zniknął z twarzy Silvii.

Kobieta roześmiała się i podniosła szkarłatną suknię, którą wybrała dla Maerad.

- Ty także, a jeszcze nie zdążyłaś się ubrać! Czy mogę zapleść ci włosy? Bardzo chciałabym to zrobić. Będziesz też potrzebowała koszuli. Tak, właśnie tak. I, jak mówiłam, te guziki trudno zapiąć.

Suknia ciasno otulała ramiona i pierś Maerad, rozluźniając się na biodrach i opadając ciężko szeroką falą na podłogę. Rękawy rozszerzały się od łokcia; uznała, że przypominają kwiaty lilii. Silvia miała rację: w sukni czuła się przepięknie; materiał falował wokół jej kolan z cudownym szelestem. Z rosnącym podnieceniem zawirowała w miejscu, unosząc spódnicę.

- Wiedziałam, że będzie do ciebie pasować. Jak się czujesz, dobrze? Gdyby ci się pogorszyło, to znaczy skurcze powróciły, musisz powiedzieć mnie albo Cadvanowi. Mam

ochotę podać ci drugą dawkę, ale możesz zrobić się przez to senna, więc zaryzykujemy. Będę trzymać eliksir pod ręką. A teraz włosy!

Kazała Maerad usiąść na stołku i splotła jej włosy, upinając je na głowie małymi złotymi grzebieniami. Potem pozwoliła jej przejrzeć się w lustrze. Maerad zarumieniła się: nawet poprzedni wieczór nie przygotował jej na taką przemianę. Zręcznie ułożony kosmyk włosów przesłaniał skaleczenie na czole; nic innego nie wskazywało, że niecały tydzień temu była niewolnicą podłego brutalnego tyrana, przywykłą do spania na sienniku, nędznej strawy i chłosty.

Fryzura wymyślona przez Silwię odsłaniała delikatne rysy twarzy i przyciągała uwagę do pełnych ust. Odbicie spojrzało na nią poważnymi oczami.

- Dobrze jest przywdziać piękny strój i posilić się z przyjaciółmi - powiedziała uroczyście Silvia. - Aby uczcić gospodarza, gdy jesteś gościem, lub gości, gdy jesteś gospodarzem. Jedni i drudzy są ozdobą uczty, w ten sposób oddając cześć darom tego świata.

- Co mam robić podczas uczty? - spytała nerwowo Maerad.

Zapomniany niepokój, który wcześniej ścisnął jej żołądek, znów powrócił.

- Po prostu bądź sobą. - Silvia mrugnęła porozumiewawczo. - Pamiętaj, że ludzie wiele ci wybaczą. Wczoraj wieczorem świetnie sobie poradziłaś. I nie zapomnij liry!

Ścisnąc ją w dłoni, Maerad podążyła za Silwią; serce waliło jej jak młotem. Miała wrażenie, że zbiera siły na czekającą ją mękę. Sukienka pomaga - zauważyła chłodna, rzeczowa część jej umysłu. Możesz udawać, że jesteś kimś innym. Nie Maerad, o nie. Udawanie, że jest kimś innym, stanowiło dla niej chleb powszedni: w siole często odgrywała różne role. Odetchnęła głęboko, starając się stapać niczym elegancka dama, tak jak kiedyś chodziła jej matka.

Najpierw przeszły do sali muzycznej na dole, pięknego pomieszczenia, w którym Maerad dochodziła do siebie po omdleniu tuż po przybyciu. Cadvan i Malgorn siedzieli przed kominkiem pogrążeni w rozmowie; kiedy weszły, obaj wstali i skłonili się. Mężczyźni zadali sobie równie wiele trudu jak kobiety i nosili wspaniałe stroje: Cadvan prosty i czarny, z długim czarnym płaszczem oblamowanym misternymi srebrnymi plecionkami. Teraz otwarcie przypasał miecz i Maerad przekonała się, że skrywa go srebrna pochwa zdobiona runami i wzorami. Na jego piersi jaśniała srebrna brosza w kształcie czteroramiennej gwiazdy. Malgorn nie nosił broni. Podobnie jak Silvia wybrał zielony strój, także ozdobiony srebrnym znakiem galopującego konia. Na jego prawej dłoni dostrzegła pierścień z białym kamieniem.

Cadvan bez cienia zawstydzenia uśmiechnął się do Maerad.

- Dwie czarodziejki! - rzucił. - Gdybym musiał wybierać, nie potrafiłbym - bo któż umiałby dokonać wyboru pomiędzy jesienią a wiosną?

- Na moje szczęście wybór nie należy do ciebie - odparł Malgorn. - Jesień jest moja. - Zdjął ze ściany lutnię i ujął Silwię pod łokieć. - To jest, oczywiście, jeśli się zgodzi. - Pozdrowił ją z powagą skinieniem głowy, a ona ucałowała go w policzek. - Dziś wieczór byłaby ozdobą samego Afinilu, najdroższa.

- Wielce dziękuję miłemu panu - odparła Silvia z udawaną powagą. - Ale teraz musisz popodziwiać moją protegowaną. Pamiętaj, to jej pierwsze Zgromadzenie.

- Istotnie, jest bardzo piękna - powiedział Malgorn dosyć oficjalnym tonem.

Przez kilka sekund cała trójka bardów przyglądała się jej obojętnie niczym rzeźbie. Maerad poruszyła się niespokojnie pod ich wzrokiem. Za kogo ją mieli? Za jakieś trofeum? Cadvan ocalił ją przed dalszymi oględzinami, występując naprzód i ujmując jej dłoń.

- Będę zachwycony - rzekł - jeśli uczynisz mi ten zaszczyt i zgodzisz się towarzyszyć mi na uczcie powitalnej.

Maerad zawahała się, niepewna, jak powinna odpowiedzieć.

- Zgadzam się z radością - rzekła sztywno po chwili milczenia.

- A zatem jesteśmy gotowi? - spytał Malgorn. - No to ruszajmy!

- Silvia dokonała cudu - wymamrotał Cadvan do Maerad, wychodząc z sali. - Co by teraz powiedzieli w Gilmanowym Siole?

- Powiedzieliby: zawsze lubiła zadzierać nosa - odparła Maerad. - Z pewnością dostałabym kolejną chłostę. Ale najpewniej w ogóle by mnie nie poznali.

- Bardzo prawdopodobne - uznał. - Choć mimo wspaniałych strojów nadal widzę w tobie tę samą dziewczynę, która przeraziła mnie w oborze!

- Dzięki! - rzuciła sarkastycznie Maerad.

- Chcę powiedzieć, Maerad, że nawet niewola nie zdołała ukryć tego, kim jesteś. Nie bądź taka przewrażliwiona - dodał pośpiesznie. - Pamiętaj, to twoje pierwsze Zgromadzenie i zapewne nie okaże się zbyt łatwe, lepiej więc poszukaj sobie zbroi. Nie wszyscy bardowie są tacy jak Malgorn i Silvia. W istocie niektórzy tak bardzo się od nich różnią, że ledwie zasługują na to miano. Obawiam się, iż Malgorn miał rację, mówiąc, że niektóre szkoły zeszyły na złą drogę. Pytanie brzmi: jak daleko i co je tam sprowadziło? Czasem pewnie zwykła przyziemna chciwość i inne grzechy. A czasem... - Urwał i pokręcił głową. - Tak czy inaczej, wszyscy będą bardzo ciekawi twojej osoby, tym bardziej że wyglądasz jak prawdziwa księżniczka. Uwważaj! I trzymaj się blisko mnie!

- Uczepię się ciebie jak rzep - obiecała Maerad.

- Silvia uprzedziła mnie także, że mam cię posłać do łóżka, gdy tylko zaczniesz blednąć. Jest surowsza, niż się wydaje, i nie śmiem się jej sprzeciwić. Raz już uciekłem, to wystarczy.

- Niezupełnie uciekleś.

Maerad miała ochotę się roześmiać, ale się nie odważyła.

- Przyznaję się do tchórzostwa. Ja, Cadvan, zostałem pokonany przez młodą dziewczynę! Jak to możliwe? Ale istotnie, nie przywykłem do podobnych spraw. - Uśmiechnął się do Maerad, która nagle rozluźniła się i odpowiedziała śmiechem. - Tak lepiej - dodał. - To uczta, nie przesłuchanie. Pamiętaj też, że jesteś już dorosłą kobietą. Nigdy więcej nie nazwę cię dzieckiem.

Maerad zarumieniała się ze wstydu i radości i wyżej uniosła głowę. Zostawili już za sobą dziedziniec i minęli kilka ulic pełnych domów podobnych do siedziby Malgorna i Silvii. W końcu dotarli do wielkiego brukowanego kręgu w otoczeniu wypielegnowanych ogrodów. Pośrodku, na wysokim postumencie, stał wspaniały biały posąg wierzgającego konia pozbawionego uzdy i wędzidła. Jego grzywę rozwiewał niewidoczny wiatr.

- Lanorgrim! - Cadvan wskazał ręką posąg. - Tak wyglądał, gdy pojawił się na północy u zarania świata, dziki i swobodny. Nikt nie mógł go okiełznać prócz Maninaego, Zaginionego Króla. W bitwie jego grzywa była jak ogień, a oczy jak włócznie, grzmot kopyt siał trwogę w sercach wszystkich wrogów. Wątpię, by Annar ujrzał jeszcze kiedyś podobnego rumaka. Pasał się w dolinie Innailu, toteż ta Szkoła czci jego pamięć. Koń stanowi jej symbol.

Maerad przypomniała sobie brosze noszone przez Silię i Malgorna.

- Czy walczył z Bezimiennym? - spytała.

- Tak, jako jeden z wielu. W ostatniej bitwie trafiła go zła strzała, która zatrzała mu krew i zginał w męczarniach. To jedna z wielu niepowetowanych strat. Wzniesiono mu wielki kopiec, a jego potomkowie cieszą się szacunkiem w całym Annarze.

Dziesiątki ludzi maszerowały przez krąg, zmierzając do kamiennej budowli po przeciwnej stronie, wielkiego dworu Innailu. Jego podwójne drzwi, trzykroć wzrostu rosłego człowieka, stały otworem; wylewało się z nich światło wielu świec, a w ciepłym powietrzu rozbrzmiewały dźwięki muzyki. Maerad nigdy nie widziała tak różnorodnych ludzi: mężczyzn, kobiet i całkiem licznych dzieci, a wszystkich w bogatych strojach. Większość nosiła symbol konia, dostrzegła jednak także wiele innych: liść koniczyny, oset, różę, żołędź, trzy złączone gwiazdy. Kilka osób w tłumie miało ciemne włosy i błękitne oczy jak ona, lecz większość była jasna jak Malgorn. Ze zdumieniem ujrzała mężczyznę o ciemnej skórze, odzianego w złoto i czerwień, z przypiętym do szaty złotym słońcem o wielu promieniach.

Wraz z Cadvanem dotarli do drzwi w tym samym czasie; mężczyzna roześmiał się i uściśnił dłoń jej towarzysza.

- Dobrze cię widzieć, stary druhu! - zawołał. - Nie sądziłem, że zapuścisz się tak daleko na południe.

- Salimanie! - odparł Cadvan. - Istotnie, dobrze cię widzieć. Co cię tu sprowadza?

- Wieści, jak zawsze wieści. Gromadzenie i powtarzanie. Jestem posłańcem losu, wędrującym tu i tam, wedle kaprysu wydarzeń. - Odwrócił się do Maerad. - Ale nie przedstawiłeś mnie swej uroczej towarzysze.

- Moja towarzyska jest groźniejsza, niż mogłoby się wydawać. - Cadvan mrugnął porozumiewawczo do Maerad. - Sam wolałbym nie zadzierać z podobną wojowniczką. Oto Maerad z Pellinoru. - Na wzmiankę o Pellinorze oczy Salimana rozszerzyły się ze zdumienia. - Maerad, poznaj mojego starego przyjaciela Salimana z Turbanska daleko na południu. Miej jednak baczenie, to łotr.

- Widzę, że Cadvan się nie zmienił. - Saliman ukazał zęby w uśmiechu. - Oskarża tylko po to, by ukryć własne wady. Z Pellinoru? - podjął, zwracając się do Maerad. - To znaczy, że komuś udało się uciec? Doprawdy, wspaniałe to wieści. Tym bardziej się cieszę, mogąc cię poznać, Maerad. - Uroczyście skłonił głowę; Maerad odpowiedziała ukłonem, szczęśliwa, że formalność pozwoli ukryć jej skępowanie. Zawsze sądziła, że wszyscy ludzie mają jasną skórę, jak ona, i ponownie poczuła, jak wielkie ma braki w wiedzy.

- Znałeś Pellinor? - spytała.

- Odwiedziłem go tylko raz. To było piękne miejsce; wiadomość o jego losie wielce mnie zasmuciła. Niestety, w dzisiejszych czasach podobne historie słyszymy coraz częściej, toteż mniej nami wstrząsają. Cóż, Pellinor był pierwszy. Odwiedziłem Jerr-Niken po jego splądrowaniu: to jeden z najsmutniejszych widoków, jakie w życiu oglądałem. Tyle piękna w ruinie, tak wiele śmierci. - Pokręcił głową. - Uważam, że to nie było dzieło zwykłych bandytów. Bandyci nie zniszczyliby wszystkiego z taką zaciętością. Ten czyn nosił na sobie piętno Mroku.

- Sądzę, że masz rację - odparł Cadvan. - Występki te otacza aura szczególnej złej woli, ale nie czas teraz na rozmowy o podobnych sprawach.

- Może poznałeś moją matkę? - wtrąciła śmiało Maerad. - Na imię miała Milana.

- Milana? - Saliman uśmiechnął się. - O tak, pamiętam Milanę; jak mi wiadomo, była Pierwszą Bardką Kręgu. Znakomicie grała. Czy ona także przeżyła?

- Jakiś czas.

Maerad umilkła. Przed oczami ujrzała wyraźny obraz matki: Milanę taką, jaką była

przed upadkiem Pellinoru, wysoką, dumną i łagodną, z uśmiechem stojącą przed wielką rzeszą ludzi z lirą w dłoni i białym kamieniem lśniącym na czole niczym gwiazda. Nagle poczuła przeszywającą tęsknotę, na moment zapomniała o udawaniu i maskach: świat był zbyt okrutny na podobne zabawy. Wizja minęła równie szybko, jak się pojawiła, i Maerad zamrugła, ponownie uświadamiając sobie obecność Salimana.

- Widzę, że kryją się w tym historie - rzekł. - Ale historie pełne smutku, więc nie chcę zakłócić miłego wieczoru dalszymi pytaniami.

- Właśnie - zgodził się Cadvan. - A teraz musimy znaleźć sobie miejsca. Zechcesz usiąść z nami?

Twarz Salimana pojaśniała.

- Z przyjemnością - rzekł. - Nie znam tu zbyt wielu osób.

Teraz Maerad rozglądała się z zachwytem po sali, próbując w oszołomieniu uporządkować pierwsze wrażenia barw, ruchu i dźwięków. Pomieszczenie było bardzo wysokie; w gładkich białych ścianach otwierały się wysokie, zakończone łukiem okna wypełnione małymi szybkami w kształcie rombów, podobne do tych w domu Silvii i Malgorna, tyle że większe. Środkiem biegły dwa rzędy strzelistych czarnych kolumn, rzeźbionych niczym drzewa, których rozłożyste ramiona podtrzymywały łukowate sklepienie. Połyskujące w migotliwym blasku świec czarne kamienne obramowania okien i gzymsy wyrzeźbiono udatnie we wzory ze splecionych owoców i kwiatów: bluszczu, jabłek, gruszek, lilii, śliwek, róż i innego kwiecica.

Wzdłuż sali ustawiono w rzędach długie stoły, każdy nakryty ciemnoczerwonym obrusem i zastawiony pięknymi, szkliwionymi na niebiesko misami i talerzami, a także szkłem i srebrem. Na każdym stole stał potężny, bogato zdobiony srebrny kandelabr pełen wysokich świec; podobne zwisały z sufitu, napieniając salę łagodnym blaskiem. Stoły ozdobiły bukiety wiosennych kwiatów w osobliwych czarach z błękitnego szkła; między nimi ustawiono misy ze stosami owoców i orzechów, ze świeżymi chlebami różnych kształtów, przyprawionymi ziołami, białymi bądź ciemnymi, a także z pachnącymi serami i piklami oraz zimnym mięsiwem - pieczonym, wędzonym, marynowanym w ziołach i przyprawach. Były tam też placki, ciasta, konfitury i słodkości. Maerad nigdy w życiu nie oglądała tak wiele jadła.

W najdalszym końcu sali na wielkim kamiennym palenisku płonął ogień. Przed nim wznosił się podest, na którym zasiadało trzech muzyków: jeden grający na lirze, dwaj pozostali - na instrumentach, których wcześniej nie widziała: długim drewnianym flecie i cytrze. Nie знаła jeszcze podobnej muzyki, misternego splotu złożonych harmonii i

kontrapunktów. Odruchowo przystanęła, zachwycona muzyką bardziej nawet niż dotychczasowymi wrażeniami atakującymi wszystkie zmysły; Cadvan musiał pociągnąć ją za łokieć i wyrwać z transu.

- Usiądziemy tam.

Skinieniem głowy wskazał stół.

Do tej pory większość ludzi zajęła już miejsca, jedynie kilku spóźnialskich wciąż stało w drzwiach. Ku radości dziewczyny usiedli niedaleko muzyków. Maerad i Cadvan oparli swoje instrumenty o ścianę. Zobaczyła Malgorna i Silwię przy stole najbliższej przejścia; Silvia pomachała do niej z uśmiechem.

- Siedzą przy najwyższym stole, bo należą do Kręgu Szkoły - wyjaśnił Cadvan. - To naprawdę doskonałe wino. Przypuszczam jednak, że sprowadził je Malgorn, więc trudno oczekiwać czegoś innego. - Nalał Maerad, Salimanowi, a potem sobie. Nagle muzyka umilkła, a sami muzycy opuścili podest i zajęli miejsca wśród gości. Siedząca za najwyższym stołem wysoka kobieta w prostej białej szacie podniosła się i w sali zapadła cisza. Stalowszare włosy okalały surową twarz; w prawej dłoni dzierżyła długą laskę, którą trzykrotnie uderzyła o posadzkę. - To Oron, Pierwsza Bardka Kręgu - wyszeptał Cadvan do ucha Maerad.

- Witajcie, po trzykrotnie witajcie - rzekła Oron głosem, który rozbrzmiewał w całej sali. - Za zdrowie wszystkich nam bliskich, a także obcych, tych, którzy powracają, i tych, którzy przekroczyli te progi po raz pierwszy, wychylam powitalny kielich! - Uniosła wysoko srebrny puchar; wszyscy wstali i uczynili to samo. Maerad naśladowała ich pośpiesznie. - Wypijmy za przyjaźń. Oby błogosławiło nas Światło, bliskich i obcych, oby sprawiło, że nasze języki będą prawe, jeszcze bardziej prawe serca, a najbardziej - uczynki.

- Niech nas błogosławi Światło! - odparli bardowie jak jeden mąż i wszyscy wypili zawartość kielichów.

Oron ponownie trzy razy uderzyła laską i usiadła, tym samym kończąc część oficjalną. Teraz znów zaczęły się rozmowy, coraz głośniejsze; ludzie sięgali po owoce i chleb. Cadvan i Saliman pogrążyli się głęboko w dyskusji na temat wydarzeń na południu, a Maerad nie miała ochoty im przeszkadzać.

- Czy ty jesteś Maerad z Pellinoru?

- Tak.

Odwróciła się i ujrzała drobną, ciemnowłosą kobietę o niebieskich oczach.

- Tak sobie pomyślałam, kiedy weszłaś tu z Cadvanem - powiedziała. - Jestem Helgar, przyjechałam na Zgromadzenie z Ettinoru. Wybacz moją śmiałość: słyszałam o twoich

przygodach od Silvii. Muszę przyznać, że nie wyglądasz jak ktoś, kto wałęsał się po górach.

- Wyłącznie dzięki Silvii - wyjaśniła Maerad. - Gdzie leży Ettinor?

- Tydzień jazdy na zachód i jeszcze dalej. Przywożę wieści i szukam porady; myślę, że podobnie jak większość tu zebranych. Żyjemy w ciężkich czasach. A ostatnio wszystkie wieści są złe.

- Tak - mruknęła Maerad. Znowu boleśnie odczuła brak wiedzy: dorastała do tego stopnia odcięta od świata, że nie orientowała się w niczym. - Jakie wieści przywozisz?

- Usłyszysz podczas rady - odpowiedziała gładko Helgar. - Ale tymczasem opowiedz mi o sobie. To znacznie ciekawsze.

- Nie wydaje mi się. Czemu tak wszystkich interesuję? Ja nic nie wiem. Co robią bardowie na Zgromadzeniach?

Helgar wzruszyła ramionami.

- Głównie rozmawiamy.

- No tak, ale o czym?

- O sprawach Światła. O tym, co wpływa na Równowagę. O strategiach politycznych mających wpływ na wszystkie szkoły. O takich właśnie sprawach.

- Ale co to jest Równowaga?

Maerad poczuła się lekko sfrustrowana rozmową z Helgar. Zauważyła, że oczy kobiety spoglądają gdzieś poza jej ramieniem i że słucha jakby tylko jednym uchem. Unikała odpowiedzi w inny sposób niż Cadvan i gdzieś w głębi Maerad wezbrała nagła nieufność, choć sama nie potrafiła określić dlaczego.

Helgar zasypała Maerad pytaniami o jej przygody, ta jednak odpowiadała ostrożnie, mówiąc jak najmniej o sobie i w ogóle nie wspominając o Cadvanie. Zauważyła, że Cadvan szybko zerknął na jej rozmówczynię, a potem powrócił do dyskusji z Salimanem. Mimo to ucztą upływała bardzo przyjemnie. W końcu kiedy Maerad uznała, że żadną miarą nie zdoła już zjeść ani kęsa, służba zabrała talerze. Wówczas, ku jej zdumieniu, Cadvan wstał i wśród oklasków wspiął się na podwyższenie.

- Cadvan to uznany znakomity śpiewak - poinformowała ją Helgar. - Sama jeszcze nigdy go nie słyszałam. Dziwię się jednak, że przypadło mu pierwsze miejsce.

Lecz w tym momencie Cadvan zaczął mówić.

- Jeśli pozwolicie, dziś zaśpiewam pieśń z pradawnych dni, pierwszych lat utraconego królestwa Lirionu, kiedy świat nękał Lodowy Czarnoksiężnik: *Wyprawę Mercana*.

Wziął akord i zaczął śpiewać.

- Ciekawy wybór - wyszeptała Helgar, lecz Maerad słuchała jak urzeczona.

Nie знаła tej pieśni; opowiadała historię długich poszukiwań, które podjął Mercan, by odnaleźć swą ukochaną Tirian porwaną przez sługusów Lodowego Czarnoksiężnika. Znalaziono ją w śnieżnych dworcach północy i sprowadzono do domu, lecz serce Tirian zamieniło się w bryłę lodu i milczała, pozbawiona głosu. Serce Mercana pękło z rozpaczy, a widok umierającego ukochanego stopił lód. Tirian zapłakała, jej łza spadła na twarz Mercana, a on otworzył oczy i powróciło do niego życie; skuwający krainę mróz minął, zagłodzone drzewa rozkwitły kwiatami, długa zima dobiegła końca.

Głos Cadvana wznosił się i opadał i Maerad, słuchając, ujrzała przed sobą wizję pięknego miasta, okrętów wypływających z białej przystani pod zimnym niebem pełnym roziskrzonych gwiazd i surowych brzegów odległego kraju. Muzyka wnikała do jej umysłu niczym słodki deszcz; Maerad westchnęła z radości, jak gdyby była wilgotną ziemią opiewającą radość wiosny. A potem pieśń dobiegła końca, rozległy się oklaski i dziewczyna zamrugła, wyzwolona z transu. Ku swojemu zdumieniu odkryła, że rzęsy ma mokre od łez.

Bardowie domagali się więcej; Cadvan spojrzał na nią i skinął ręką. Przerazona pokręciła głową, on jednak nalegał i w końcu, wypchnięta przez Salimana, niechętnie podniosła lirę i ruszyła na podest. Przełykając ślinę, spojrzała na zebranych. Cadvan popatrzył na nią i zagrał pierwsze takty *Pieśni o Andomianie i Beruldh*, którą śpiewali wcześniej na polanie Irihel. Maerad miała wrażenie, że od tej chwili minęły całe lata. Teraz odruchowo odpowiedziała antyfoną. Gdy tylko zadźwięczały pierwsze nuty, jej zdenerwowanie minęło: pod skrzydłami muzyki mogła być naprawdę sobą. Zaśpiewali jedynie pierwszą, wprowadzającą balladę, po czym wśród wiwatów zeszli między ludzi.

- Pozostawmy im niedosyt, co? - mruknął Cadvan, zmierzając ku ich stołowi. - Świetnie się spisałaś. Jeśli wolno mi zauważyć, masz bardzo indywidualny styl. Sądząc po reakcji tłumu, spodziewam się, że właśnie zapoczątkowałaś nową modę w Innailu.

- Zachowałeś się okropnie, wyciągając mnie tam - zaprotestowała gwałtownie. - Miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

- Teraz spełniłaś już swój obowiązek wobec gospodarzy i więcej nie musisz się martwić - odrzekł beztrąsko. - Dowiodłaś też, że jesteś prawdziwą bardką z Pellinoru. Teraz trudno to będzie podważyć.

Kiedy dotarła na miejsce, Saliman wciąż klaskał.

- Gdzie jest to sioło? - spytał. - Muszę zapisać się tam na lekcje.

Maerad zauważyła, że Helgar wstała ze swojego krzesła i nieco dalej rozmawia z kilkoma osobami. Dostrzegłszy jej spojrzenie, odwróciła się. Saliman także to zauważył.

- Twoja przyjaciółka nie ufa południowcom.

- Tak? - zdziwiła się Maerad. - Dlaczego?

- Tak daleko na północy nie ma nas zbyt wielu, więc stanowią ciekawostkę. - Saliman mówił lekkim tonem, lecz Maerad widziała twarde błysk w jego oczach, niemal niedostrzegalne skrzywienie warg. - A czasy mamy ciężkie.

- Nie przejmuj się - wtrącił Cadvan. - Widziałem, jak Helgar próbowała wyciągać z ciebie informacje. Świetnie sobie poradziłaś w obliczu takiej impertynencji.

- Mówiła, że jest przyjaciółką Silvii - wyjaśniła Maerad.

- To duża przesada. Mam wrażenie, iż nie ucieszyła się, że zaśpiewałaś tak dobrze i tak wielu zachwyciłaś.

- Znasz ją?

- Powiedzmy, że w przeszłości coś między nami zaszło. Ale widzę, że trochę zbladłaś. Uczta będzie się ciągnąć całą noc, nie odważę się jednak pozwolić ci zostać dłużej, bo Silvia obdrze mnie ze skóry.

Istotnie, Silvia z błyszczącymi oczami zmierzała już do ich stołu.

- Dobra robota, Maerad - rzuciła. - Jestem z ciebie dumna. Twoja gra zaszczyciła tę salę. Jesteś zmęczona? Wyglądasz trochę blado.

Maerad przyznała się do znużenia i Cadvan wyprowadził ją z sali. Trochę to trwało: ludzie uśmiechali się i chcieli z nimi pogawędzić, jednak Cadvan uprzejmie unikał dłuższych rozmów.

- Wiem, że nie pomyliłem się, przyprowadzając cię tutaj - oznajmił, kiedy dotarli do jej komnaty. - Dzisiejszy wieczór był dla mnie zaszczytem.

Ucałował ją w policzek; Maerad niepewna, jak odpowiedzieć, skłoniła się niezgrabnie, po czym pośpiesznie zniknęła za drzwiami. Ostrożnie odłożyła lirę na skrzynię, zrzuciła nowe stroje, rozpuściła włosy i z ulgą padła na łóżko.

Mimo zmęczenia nie zasnęła od razu: w głowie szumiało jej od wina i podniecenia. Wpatrywała się w sufit, a przed oczami jej duszy tańczyły przypadkowe obrazy: Cadvan śpiewający na podwyższeniu, niezadowolenie Helgar z jej gry, naszywana perłami suknia Silvii, miękki, cudowny blask świec odbijający się od kolumn owej pięknej sali... lecz przede wszystkim ciemna twarz Salimana, zagniewana grubiaństwem Helgar. Na myśl o kobiecie po skórze Maerad przeszedł ostrzegawczy, instynktowny dreszcz. „Nie wszystkim bardom można ufać” - powiedział jej Cadvan i teraz w końcu zrozumiała, co miał na myśli.

VIII

RADA INNAILU

Następnego dnia Maerad obudziła się późno z głębokiego snu. Po raz pierwszy od czasu ucieczki z Gilmanowego Sioła ocknęła się bez lęku, że usłyszy dzwon niewolników. Przeciągnęła się rozkosznie w łóżku, leniwie rozpoznając odgłosy dobiegające przez okno: niewyraźne rozmowy ludzi przechodzących przez dziedziniec, szczebiot dzieci bawiących się tuż pod jej komnatą, świergot ptaków i szczekanie psa. Na dole ktoś stroił instrumenty. Czowała się znacznie lepiej; wciąż dolegały jej skurcze, ale do zniesienia. Narzuciwszy szlafrok, przemknęła przez korytarz do łazienki, gdzie spędziła przyjemną godzinę, bawiąc się znalezionymi olejkami i pachnidłami. W drodze powrotnej spotkała Cadvana.

- Pachniesz jak po najeździe na wonne ogrody Il Arunedh - rzekł z szerokim uśmiechem. - Właśnie cię szukałem. Dziś po południu, tuż po dzwonach, odbędzie się narada; masz wziąć w niej udział. To wysoka rada, w której zasiadają jedynie bardowie z Kręgu. Powinnaś się czuć zaszczycona.

- Dlaczego muszę tam iść? - zdziwiła się Maerad. - Niczego im przecież nie powiem. Ja nic nie wiem.

- To nie całkiem prawda. Przede wszystkim przeżyłaś zniszczenie Pellinoru: to ważne wieści dla bardów. A jeśli masz poznać Sztuki, musisz zostać młodszą bardką. To w istocie czysta formalność.

- Młodszą bardką?

- Powinnaś nią zostać, gdy miałaś jakieś siedem lat; to dotyczy każdego, kto przejawia oznaki Daru - wyjaśnił Cadvan. - Ale też biorąc pod uwagę szczególne okoliczności, w jakich dorastałaś, rada musi zdecydować, jak najlepiej przekazać ci wiedzę Światła.

- Wszystko to brzmi strasznie skomplikowanie - mruknęła onieśmielona Maerad.

Kiedy Cadvan wspominał o sprawach takich jak wiedza, kulila się w sobie: wydawała się jej ciężką chmurą nad głową, niewyraźną, lecz groźną.

- I tak, i nie - odparł Cadvan. - To nie takie straszne, przestań się zachowywać jak spłoszony zając. Najważniejsze, że teraz zapadną właściwe decyzje. W zwykłych okolicznościach zostałabyś mianowana młodszą bardką przez Krąg Innailu, składający się z

zaledwie sześciu bardów, w tym Malgorna i Silvii, lecz tym razem przesłuchają cię przedstawiciele około dziesięciu szkół. Pod tym względem masz prawdziwego pecha! Ale teraz pora na drugie śniadanie, powinnaś coś zjeść. A potem pokażę ci Szkołę, to jest, jeśli wystarczy ci sił. Przynajmniej masz dziś rumieńce.

Tłumiąc podejrzenia, że Cadvan wypowiada się tak lekko o radzie, by ją uspokoić, Maerad ubrała się i po posiłku rozpoczęli zwiedzanie Szkoły. Opowiedział jej o tym, że wszystkie najstarsze szkoły, takie jak Innail, zbudowano wedle tego samego wzorca. Przypominały koło: pośrodku mieścił się Krąg Lanorgrimu, z którego odchodziły cztery główne drogi, połączone przez okrężne ulice stanowiące najważniejsze trakty. Krąg Lanorgrimu okalały najważniejsze budynki Szkoły. Po jednej stronie wznosił się wielki dwór, na lewo od niego - bogata biblioteka, w której Maerad przyjrzała się pracy kaligrafów i poważnych bibliotekarzy w czarnych płaszczach, Strażników Książek, cieszących się w mieście niezwykłym szacunkiem. Po prawej stał dom muzyki, w którym mieszkali mentorzy udzielający nauk starszym dzieciom i doświadczonym muzykom. W domu naprzeciwko dworu mieszkała Oron i tam właśnie tego popołudnia miała odbyć się rada.

Starsi bardowie, ich rodzice i uczniowie mieszkali w domach podobnych do siedziby Malgorna i Silvii, blisko wewnętrznego kręgu. Cadvan powiedział, że w Innailu łącznie z uczniami mieszka około dwustu bardów.

- Ich liczba różni się w zależności od szkoły - wyjaśnił. - Podobnie grono tych, którzy tworzą rządzący Krąg: czasami jest ich sześcioro, czasami dziewięcioro, w niektórych szkołach istnieją nawet dwa kręgi, Krąg Wewnętrzny bądź Pierwszy i Zewnętrzny albo Drugi. Tu, w Innailu, rządzi tylko jeden Krąg, złożony z sześciorga bardów.

- A czym zajmują się pozostali? - spytała zafascynowana Maerad.

- Wszyscy pracują dla Szkoły. Uczą, piszą, tworzą, śpiewają, hoduja... Bardem można być na wiele sposobów. To także wygląda inaczej w zależności od szkoły, od ludu, wśród którego mieszkają. Innail, jak już się pewnie domyśliłaś, słynie zwłaszcza z wiedzy o ziołach i kuchni, które darzy się tu wielkim szacunkiem; lecz Fesse słynie także z innych rzeczy. W całym Annarze i Siedmiu Królestwach nie ma dwóch identycznych szkół. Mam nadzieję, że pewnego dnia odwiedzisz je wszystkie i przekonasz się sama. Łączy je tylko jedno, a przynajmniej powinno: wszystkie zajmują się zachowaniem Równowagi i są wierne Światłu.

Teraz skierowali się w stronę zewnętrznego pierścienia Szkoły: setek domów i innych budowli. Mieszkali w nich ludzie, którzy nie byli bardami, lecz pracowali dla Szkoły bądź handlowali w mieście, jak na przykład rzemieślnicy: kowale i siodlarze, cieśle, murarze i złotnicy. Odwiedzili wielkie stajnie, bardowie bowiem często podróżowali i wielu z nich

miało własne wierzchowce. Maerad wciągnęła w nozdrza zapach zwierząt i poczuła gwałtowną, zaskakującą tęsknotę za dawnym życiem: mimo morderczej pracy lubiła opiekę nad nimi.

W Innailu rosło mnóstwo drzew: domy otaczały urocze ogrody, było w nim też wiele niewielkich skwerków, czasem rozmiarów jej komnaty. Skręcając za róg, przybysz natykał się nagle na fontannę albo też posąg i kamienną ławę na skrawku trawnika przetykanego stokrotkami, płaskorzeźbę przedstawiającą piękną kobietę, osobliwego duszka bądź konia lub może wizerunek Lanorgrima wyskakujący z okna mieniącego się kolorowymi szybkami, które odbijały promienie słoneczne, nadając im barwę czerwieni, błękitu, złota. Maerad chłonęła to wszystko wzrokiem, jakby jej oczy nie mogły się nasycić: każda ulica niosła z sobą nowe cuda. Lecz choć Innail wyglądał na miasto ludne i bogate, zauważyła, że wiele domów stoi pustych.

- W dzisiejszych czasach tak samo wygląda wiele innych szkół - rzekł Cadvan, kiedy spytała o powody. - Jest coraz mniej bardów. Innail to wciąż wielka Szkoła i mieszkańcy doliny darzą ją szczerą miłością, ale on także ma już za sobą czasy świetności. Czasami to wina samych bardów: stają się wyniośli i arogancy i pogardzają ludźmi, wśród których żyją, nie dbając o swoją krainę. Są też miejsca, w których działają inne siły, oczerniające imię bardów i ich sztukę, kłamstwem zasiewające podejrzliwość tam, gdzie kiedyś kwitło zaufanie, i nienawiść, gdzie kiedyś była miłość. Tracimy na tym wszyscy.

*

Maerad oszołomiona widokiem tego, co oglądała, nie mogła sobie wyobrazić, jak można nienawidzić bardów.

- Chyba tylko z niewiedzy o tym, czym się zajmują - domyślała się.

- Owszem, dość często - przytaknął Cadvan. - I z braku pamięci. Walka z uprzedzeniami jest jednak trudniejsza, niż sądzisz, zwłaszcza w czasach takich jak dzisiejsze, gdy zło się rozrasta i nawet bardowie są podzieleni. Ale taki już przypadek nam los.

Kiedy tego popołudnia Maerad weszła do sali rady w domu Oron, wzdrygnęła się, jakby ktoś zadał jej cios: miała wrażenie, że znalazła się w samym środku oślepiającego rozblysku światła. Zupełnie jakby całe pomieszczenie przenikał jasny blask, jakby dźwięczała w nim niezwykła muzyka, choć Maerad nie dostrzegła światła ani nie usłyszała żadnego dźwięku. W jej głowie przebudziła się głębsza, ukryta świadomość. To zgromadzona energia - pomyślała szybko - jak gdyby wiele różnych umysłów bez skutku wyrywało się w różne strony.

Zamrugnęła i powiodła wzrokiem dokoła. Wokół okrągłego drewnianego stołu w

surowej, lecz pięknej sali zgromadziło się co najmniej sześćdziesięcioro pełnych powagi bardów. Ponad pozbawionymi ozdób białymi ścianami wznosiło się wyniosłe, kamienne sklepienie. Jediną oznaką luksusu był gruby czerwony kobierzec pod stołem, utkany w stylizowany wzór koni biegających po rozległych polach. Sam stół sprawiał wrażenie bardzo starego; był wyrzeźbiony z ciemnego drewna, które wypolerowano do połysku. Na blacie ustawiono kształtne szklane karafki z wodą i kielichy, a także srebrną rzeźbę wierzgającego konia, lecz nic poza tym. Na palenisku płonął ogień, przeganiając wczesnowiosenny chłód. Wyglądało na to, że bardowie naradzali się już jakiś czas. Kiedy Maerad i Cadvan weszli do środka, wszyscy zwrócili się ku nim, a Oron wstała. Żołądek Maerad ścisnął się nerwowo. Obejrzała się na Cadvana, szukając wzrokiem otuchy, on jednak tylko uśmiechnął się z powagą, ani przyjaźnie, ani wrogo. Przelknęła ślinę i pozwoliła mu poprowadzić się do krzesła z wysokim oparciem. Stała za nim, czekając, z nadzieją że nikt nie widzi, jak trzęsą się jej kolana.

- Witajcie na spotkaniu rady, Cadvanie z Lirigonu i Maerad - rzekła Oron.

Przedstawiła im ludzi zasiadających wokół stołu; większość z nich Cadvan najwyraźniej znał już wcześniej. Gdy wymieniała ich imiona, skłaniali głowy, poza tym jednak nie odzywali się. Maerad próbowała zapamiętać jak najwięcej imion, było ich jednak tak dużo, że niemal natychmiast umknęły jej z pamięci. Dostrzegła jednak Silwię i Malgorna po prawej stronie. Helgar, odziana w niebieską szatę, usadzona po lewej, posłała jej spojrzenie pełne tak jawnej wrogości, że Maerad aż się wzdrygnęła. Obok niej zauważyła mężczyznę z długim nosem, którego twarz od razu jej się nie spodobała. Siedzący naprzeciwko Saliman uśmiechnął się ciepło.

W końcu wszyscy zajęli swe miejsca, tylko Oron wciąż stała.

- Z uprzejmości dla Maerad, w której nie przebudziła się jeszcze Mowa, będziemy teraz posługiwać się językiem Annaru. - Skłoniła lekko głowę w stronę dziewczyny. - Dziś omawialiśmy wiele spraw - podjęła - w większości mrocznych i budzących niepokój, miło będzie zatem zwrócić w końcu uwagę ku czemuś, co można uznać za dobre wieści. Oto dziewczyna, która twierdzi, że przeżyła splądrowanie Pellinoru, pierwszą i może najboleśniejszą z poniesionych przez nas strat. Niejaka Maerad, córka Milany, którą być może część z was pamięta.

Wokół stołu rozległy się szepty. Część bardów przyglądała się Maerad z żywym zainteresowaniem, część z otwartym powątpiewaniem.

- Powiadano, że nikt nie przeżył - wtrąciła ostro Helgar. - Czemu wcześniej o tym nie słyszeliśmy? Czy możemy mieć pewność, że ta dziewczyna jest tą, za którą się podaje?

- Może Maerad sama opowie nam swoją historię - powiedziała nieoczekiwanie Oron i usiadła.

Zapadła niezręczna cisza; Maerad wbiła wzrok w blat, jakby szukając w nim pomocy. W głowie miała pustkę. Cadvan odchrząknął; wyraźnie chciał już coś powiedzieć w jej imieniu, kiedy wstała, w pośpiechuomal nie wywracając krzesła.

- Jestem Maerad - oznajmiła. - Jak już słyszeliście.

Znow zamilkła. Zaciśnęła pięści, by powstrzymać ręce przed drżeniem.

- Kiedy byłam mała, mieszkałam z matką i ojcem w miejscu podobnym do tego. Pamiętam je, ale niezbyt dobrze. Matka miała na imię Milana, a ojciec Dorn. Potem jednak zjawili się ludzie z mieczami, spalili mój dom i zabili ojca, a mnie z matką zabrali. Zostałyśmy niewolnicami w Gilmanowym Siole, w górach, niedaleko Landrostu. Tam zmarła moja matka. Ja byłam niewolnicą, aż siedem dni temu zjawił się tam Cadvan, uwolnił mnie i sprowadził tutaj.

Umilkła i w sali zapadła wyczekująca cisza, jakby bardowie spodziewali się czegoś więcej. Ktoś prychnął, lecz Maerad nie uniosła wzroku, żeby sprawdzić kto.

- Cadvan mówi, że jestem bardką i że mam Dar, ale nie wiem, czy to prawda - odezwała się w końcu. - Chciałam po prostu uwolnić się od Gilmana, inaczej umarłabym w tamtym miejscu. Lecz teraz, kiedy już tu jestem, nie wiem, czego chcę. Może zostać bardką. Jak moja matka.

Umilkła, wylamując palce, a potem usiadła bez słowa.

- Dziękuję ci, Maerad - powiedziała Oron. - A teraz zapewne niektórzy z nas zechcą zadać ci kilka pytań. Wiem, że to może być bolesne, będę jednak wdzięczna, jeśli im odpowiesz.

Maerad kiwnęła głową. Czowała się obco i niemądrze, a zerknąwszy na Helgar, ponownie dostrzegła wrogość na jej twarzy. Odpowiadała najlepiej, jak umiała: ile ma lat, w jakim była wieku, gdy ją porwano, kim jest Gilman, jak wyglądała niewola, jak uciekła. Mówiła mechanicznie, zastanawiając się, dlaczego siedzący obok Cadvan milczy. W głębi ducha jednak czowała się poniżona i jej duma zaczęła się buntować. Dlaczego musi dowodzić, kim jest? Nie udawała nikogo innego. W końcu długonosy mężczyzna obok Helgar przemówił drwiącym tonem:

- A skąd mamy wiedzieć, czy to wszystko prawda? Niczego nie wypowiedziano w Mowie, a wszyscy wiemy, że w ten sposób łatwiej się kłamię. Ciekawy zbieg okoliczności, nie sądzicie? W ten sposób sprytna młoda żebraczka może próbować wkraść się w nasze szeregi... A w dzisiejszych czasach musimy się wystrzegać szpiegów Mroku...

- Nie jestem żebraczką! - Maerad zapomniała o skrępowaniu: w tym momencie była po prostu wściekła. - Zresztą po co miałabym kłamać? Nie prosiłam o przyjście tutaj.

- Wybacz nam nasze pytania, Maerad - rzekła łagodnie Oron. - Są konieczne, byśmy mogli ustalić, kim jesteś. Pojawienie się kogoś, kto przeżył zniszczenie Pellinoru, to dla nas ważne wieści, a nie chcielibyśmy, by nas wprowadziły w błąd.

Maerad ponownie skinęła głową, lekko ugłaskana. O dziwo, nie czuła już zdenerwowania.

- Daty pasują - zauważył Saliman. - Pellinor splądrowano dziesięć lat temu, co do miesiąca. A Milana miała córkę.

- Tak jakby Mrok nie mógł dopilnować, by wszystko pasowało - wtrącił drwiący mężczyzna. - Historyjka brzmi wiarygodnie, ale trudno uwierzyć, by ktoś obdarzony Darem, w dodatku z rodu Kam, mógł ukrywać się bez śladu przez całe dziesięć lat.

- Żaden świadek porwania nie przeżył - zauważył Saliman - a Szkołę spalono do gołej ziemi. Kto miałby o tym wiedzieć?

- I dlaczego Cadvan nic nie mówi? - ciągnął tamten. - Chciałbym usłyszeć jego historię.

Na te słowa Cadvan drgnął.

- Nie mówię nic, Ustedzie, bo nie proszono mnie, abym zabrał głos. Jeśli moje słowo i moja wiedza cokolwiek znaczą, mogę ręczyć za tę dziewczynę. Jestem pewien, że jest tą, za którą się podaje.

- To bardzo pięknie, Cadvanie - powiedział Usted - lecz sztuczki Mroku mogą zwieść nawet najlepszych z nas.

Cadvan westchnął.

- Wiem, że nastaly czasy pełne strachu, powinniśmy jednak uważać, by nie bać się przesadnie i nie podejrzewać tych, których podejrzewać nie należy. Mrok pragnie właśnie takiego braku zaufania, bo służy on jego celom. Przedstawię wam jednak powody, dla których nie wątpię w opowieść Maerad. Po pierwsze, sam ją wypytałem; żaden z podanych przez nią faktów nie przeczy temu, o czym już wiedzieliśmy. Po drugie, widziałem, gdzie mieszkała i jak żyła w Gilmanowym Siole, toteż bez trudu mogę uwierzyć, że z podobnego miejsca nie dotarły do nas żadne wieści. Po trzecie, nie ma wątpliwości, że dysponuje Darem, i to niezwykłym. Wszyscy to dostrzegacie. Po czwarte, w chwili zwątpienia poprosiłem o zgodę, by móc w nią wniknąć. Zgodziła się chętnie i nie wyczułem w niej żadnych blokad, żadnych wątpliwości, żadnych skażonych wspomnień ani śladów Mroku. Jedynie potwierdzenie prawdziwości jej słów.

- Ale wczoraj wszyscy słyszeliśmy, jak gra - zaprotestował nieco nadąsany Usted. - Skoro żyła w tak przeklętym miejscu, jak nauczyła się grać? Bo choć przyznaję, że wszyscy widzimy oznaki mocy, wiemy też, że gra nie przychodzi sama.

- W siole mieszkał bard. On ją uczył grać. Nie nauczył jej jednak niczego więcej. W jej wiedzy pozostały poważne luki i będzie trzeba to naprawić, jeśli mamy posunąć się dalej. Nie włada jeszcze nawet Mową.

- Na imię miał Mirlad - wtrąciła nagle Maerad. - Był dobrym człowiekiem.

- Mirlad? - powtórzyła kobieta, która do tej chwili w milczeniu przysłuchiwała się dyskusji. - Możliwe, że go znałam. W Desorze mieszkał bard imieniem Mirlad. Zdolny muzyk, który jednak zszedł na złą drogę: zgłębił nieco sztuki Mroku i został wygnany ze Szkoły. Więcej o nim nie słyszałam.

- Dla mnie był dobry - powiedziała ze smutkiem Maerad - a poza tym i tak już nie żyje.

- Jeśli naprawdę to ten sam człowiek, wygląda na to, że został dostatecznie ukarany, a może nawet odpokutował za swoje czyny - wtrąciła Silvia, która do tej pory nie odzywała się, lecz jedynie słuchała, marszcząc czoło. - Myślę, że słusznie postąpił, ucząc Maerad tak, a nie inaczej. Może gdyby poznała Sztukę, groziłoby jej niebezpieczeństwo. Ja jej wierzę.

Oron znów wstała.

- Czy wszyscy obecni uznają prawdziwość słów Maerad?

Wokół stołu rozszedł się pomruk potwierdzenia. Usted i jeszcze parę osób nie ukrywało sceptycyzmu, milczeli jednak. Helgar wstała z uśmiechem: w tej chwili w żaden sposób nie okazywała wrogości, która wcześniej tak bardzo wstrząsnęła Maerad, chyba że jej oznakę miał stanowić fałszywy, słodki ton głosu.

- Oron, za pozwoleniem, nie jestem przekonana.

Pozostali bardowie odwrócili się i spojrzeli na nią z powagą. Jedynie Silvia wbijała wzrok w stół, jakby nie ufała własnemu opanowaniu.

- Tak? - spytała Oron.

- Muszę przyznać, że to dość zajmująca opowieść. Niczego nieświadoma dziewczyna, niewolnica, a wy chcecie z niej zrobić bardkę! Sam Cadvan potwierdza, że nie odebrała żadnych nauk. Zapewne nie umie nawet czytać. A my nic o niej nie wiemy. Nic! - Helgar powiodła wzrokiem po twarzach zebranych; jej rysy stężały. - Czy naprawdę mamy przyjąć ją do najwyższych kręgów bardów tylko dlatego, że tak mówi Cadvan? Cadvan z Lirigonu? A mogę spytać, jak dalece jemu możemy ufać? Niektórzy z nas sięgają pamięcią dalej niż inni... Mam ochotę uznać to wszystko za kiepski żart. A może w dzisiejszych czasach bardowie stali

się aż tak naiwni? Czyżbyśmy aż tak nisko upadli?

Wokół stołu rozległ się pomruk. Maerad poczuła, jak wzbiera w niej złość. Stłumiła odruch nakazujący zerwać się z miejsca i krzyknąć na Helgar. Spojrzała na Oron, ta jednak słuchała z nieprzeniknioną twarzą.

- To wszystko? - spytała.

- Z całym szacunkiem, myślę, że to w zupełności wystarczy - odparła Helgar. - Wszyscy przyznają, że teraz należy zachować ostrożność. Czy naprawdę chcemy wpuścić do swego gniazda kukułcze jajo?

- Moim zdaniem argument oparty na kalaniu dobrego imienia innego barda to żaden argument - wtrącił Saliman z lodowatą uprzejmością, raniącą bardziej niż jakiegokolwiek obelgi.

- Jeszcze jakieś obiekcje? - spytała Oron.

Kilku bardów wstało, powtarzając opinię Helgar. Jeden z nich, starszy mężczyzna w zielonej szacie, długą chwilę oplakiwał podupadające standardy szkół. Oron słuchała z powagą, nadal nie dając po sobie nic poznać, aż w końcu w sali zapadła cisza. Bardowie siedzieli z pochylonymi głowami, zatopieni w myślach. Maerad zagryzła wargę; nagle znów ogarnął ją niepokój.

- Wysłuchałam wszystkiego, co tu powiedziano - oznajmiła w końcu Oron.

- Mimo wyrażonych sprzeciwów na własną odpowiedzialność pozwalam pominąć braki wiedzy u Maerad. Wierzę, że jest tą osobą, za którą się podaje, i nie mam powodów, aby nie ufać Cadvanowi z Lirigonu. Mianuję ją zatem młodszą bardką Szkoły Pellinoru. Ma otrzymać właściwe szkolenie i jak najszybciej uzupełnić braki w wiedzy na temat Trzech Sztuk.

Wokół stołu rozeszły się głośne sapnięcia. Na ułamek sekundy Helgar zareagowała zaskoczeniem i wściekłością, błyskawicznie jednak ukryła je pod maską fałszywego uśmiechu. Wszyscy bardowie wstali i skłonili się przed Maerad. Niepewna, co robić, także wstała i odpowiedziała ukłonem, zastanawiając się, czemu Helgar tak bardzo jej nie znosi. Potem usiedli wszyscy oprócz Cadvana.

- Mam prośbę - rzekł. - Zwracam się do bardów o zgodę na mianowanie mnie jej jedynym nauczycielem.

Odpowiedziały mu kolejne szmery; kilka osób zaczęło szeptać szybko.

- Czemu tego pragniesz? - spytała Oron. - To niezwykła prośba.

- Wiem, nieco archaiczna - przyznał Cadvan. - Ale w obecnych okolicznościach myślę, że ten sposób nauczania najlepiej posłuży Maerad. Choć o pewnych dziedzinach

niemal nic nie wie, w innych jest bardzo zaawansowana. Myślę, że nauka w Szkole nie posłużyłaby jej Darowi.

- Czy możesz przyjąć na siebie tak wielką odpowiedzialność? - spytała Silvia. - Uważam, że już i tak wykonujesz poważne i czasochłonne zadania, przez co nie nadajesz się na nauczyciela. Możemy opracować plan zajęć, który będzie jej odpowiadał.

- Nie wątpię w to, Silvio - rzekł Cadvan - lecz Maerad ma Dar szczególnej mocy i by wykorzystać w pełni swój potencjał, wymaga nauk, których ja jeden mogę jej udzielić.

- Ale czy zdołasz to zrównoważyć z potrzebami młodej kobiety? Trzeba ją chronić, by jej Dar mógł rozkwitnąć w pełni. A ty, Cadvanie, prowadzisz mało bezpieczne życie.

- Wiem o tym, Silvio, i długo nad tym rozmyślałem. Wierzę, że nie przypadkiem akurat ja odnalazłem Maerad. Odpowiadam za nią.

- A może źle odczytałeś wskazówki i wyciągasz z nich wnioski, jakich wyciągnąć się nie powinno? Uważam, Oron, że Maerad powinna zostać tutaj i odebrać szkolenie w Sztukach w miejscu, gdzie może poznać je jak należy.

Nie dodała: zamiast włączyć się po głuszy z Cadvanem, lecz wyraźnie miała ochotę. Ich spór miał w sobie coś z powtórki, jakby już wcześniej w rozmowie przedstawiali te same argumenty.

- Serce mówi mi, że to właściwa droga - oznajmił Cadvan. - Wskazania Światła często wykraczają poza zwykłe pojmowanie i nie możemy ich odrzucać z nadmiernej ostrożności. W naszym strachu nie wolno nam zapomnieć o sile ukrytej w zaufaniu.

- Lecz zaufanie to broń obosieczna - nie ustępowała Silvia. - I może zwodzić rozsądek.

- Istniały dobre powody dla zarzucenia dawnego systemu nauki - wtrącił Usted, wciąż wyraźnie poirytowany. - Złe szkolenie, pobłażliwość wobec uczniów i inne, gorsze sprawy. Uważam, że to idiotyczny pomysł. - Prychnął wzgardliwie. - I od kiedy to Cadvan z Lirigonu słynie jako świetny nauczyciel? Nie za mojego życia.

Kilkoro innych bardów zaczęło potakiwać.

- Zresztą gdzie odebrałaby nauki lepsze niż w Innailu? - dodał mężczyzna w zielonej szacie, którego imienia Maerad nie zapamiętała. - Wszyscy wiemy, jak niebezpieczni bywają źle wyszkoleni bardowie. Znamy młodych bardów, którzy przecenili swoją moc i uczynili wiele złego. Sam Cadvan powinien o tym wiedzieć lepiej niż ktokolwiek. Nie, nie możemy na to przystać.

Saliman do tej pory nie podnosił wzroku. Na te słowa uniósł głowę.

- Nie przystoi mówić tak źle o jednym z naszych największych bardów - rzekł cicho. -

Albo ufamy Cadvanowi z Lirigonu, albo nie. Nie znam powodów, dla których nie mielibyśmy ufać komuś, kto poświęcił tak wiele służbie Światłu. Uważam, że winniśmy wysłuchać jego rad.

Maerad poczuła się jak krowa wystawiona na sprzedaż na targu, z wdzięcznością przyjęła zatem słowa Oron, kiedy ta się do niej zwróciła.

- Maerad, a ty co o tym sądzisz?

Maerad zaskoczyła samą siebie, odpowiadając bez wahania:

- Chciałabym, żeby Cadvan został moim nauczycielem.

- I mówisz to z własnej woli, bez przymusu?

- Tak.

Zapadła długa cisza. W końcu Oron rzekła powoli:

- Myślę, że się na to zgodzę. Uważam, że choć nietypowa, to jest to prośba słuszna. Rozgrywa się tu coś więcej, niżli dostrzegamy, i w czasach takich jak nasze, lekceważąc prośby kogoś takiego jak Cadvan czy też niezależną decyzję Maerad, narazilibyśmy się na wielkie niebezpieczeństwo. Mówię to, pojmując zarówno ryzyko, jak i możliwe zyski, które niesie z sobą ufność. Czy ty, Cadvanie, przyjmujesz na siebie obowiązki nauczyciela i przysięgasz działać zawsze dla dobra Daru Maerad i Równowagi? Czy przyrzekasz uczyć ją Trzech Sztuk wedle swej najlepszej wiedzy i nigdy nie zawieść pokładanego w tobie zaufania?

- Przyrzekam - rzekł Cadvan.

- Zatem świadkami będą zebrani bardowie z Annaru. Przysięga wiąże cię do chwili, w której Maerad zostanie pełnoprawną bardką. Dziękuję za poświęcony nam czas, Maerad z Pellinoru i Cadvanie z Lirigonu. Spotkamy się później.

Kilkoro z bardów, którzy wcześniej protestowali, siedziało przy stole z otwartymi ze zdumienia ustami. Maerad mimo woli podziwiała szybkość i zdecydowanie Oron. Pojęła, że jej słowa oznaczają odprawę, i wraz z Cadvanem wyszła z sali rady. Gdy tylko ciężkie drzwi zamknęły się za ich plecami, jej towarzysz wybuchnął śmiechem.

- Przepraszam, że cię nie ostrzegłem, Maerad, ale nie mogłem. Nie było łatwo, ale dostaliśmy to, czego chcieliśmy.

- Czego chcieliśmy?

- Ty z własnej nieprzymuszonej woli i z serca musiałaś wybrać mnie na nauczyciela. Dziś rano rozmawiałem z Oron i takie postawiła warunki. Nie mógłbym cię uczyć bez twojej zgody. Silvia nie będzie zadowolona. Uważa, że powinnaś tu zostać.

Maerad poczuła nagle ukłucie żalu.

- To znaczy, że nie mogę?

- Ja nie mogę. A ty musisz iść ze mną, jeśli masz być moją uczennicą. - Spojrzał na nią bystro. - Chyba powinniśmy porozmawiać. Po tej sprawie zrobiłem się głodny. Poszukajmy czegoś do zjedzenia.

Maerad już otworzyła usta, by zaprotestować, powiedzieć, że nie zgodziła się na opuszczenie Innailu, nagle jednak uświadomiła sobie, jak bardzo chce się jej pić, i uznała, że później poruszy tę kwestię. Udali się do kuchni domu Silvii i Malgorna, gdzie Cadvan oczarował kucharzy i dostał od nich wino, chleb i ser. Zabrali jedzenie na dziedziniec. Świeciło słońce, kamienna ława przyjemnie grzała ich ciała. Z apetytem pochłaniali chleb i ser.

- Dziś poszło nam dobrze, lecz głównie dzięki łasce Oron - oznajmił Cadvan. - Spotkałem się z nią wczesnym rankiem i odbyliśmy długą rozmowę. Po pierwsze, należało mianować cię młodszą bardką Pellinoru. Jak już wspominałem, powinno do tego dojść, kiedy miałaś sześć czy siedem lat. Część zebranych okazała się temu przeciwna; było ich więcej, niż sądziłem... Muszę się zastanowić, co to oznacza. Podejrzewam, że nic dobrego. Gdyby się nie zgodzili, zostałabyś młodszą bardką Innailu.

- I byłoby to złe? - spytała Maerad.

Lubiła Innail.

- Samo w sobie nie. - Cadvan zerknął na nią. - Lecz Pellinor to twoje dziedzictwo i właściwy przydział. A teraz jesteś Maerad z Pellinoru, zaświadczyli o tym bardowie z Annaru, i to bardzo ważny krok. Po drugie, uczynienie mnie twoim nauczycielem to jeszcze bardziej niezwykła i skomplikowana sprawa. Kiedyś bardowie zawsze zasiadali u stóp mentorów, lecz działo się to setki lat temu. Teraz najczęściej przychodzą do szkoły i przyjmują miano tej, która ich uczy, chyba że w którejś się rodzą. Tylko jeśli zostajesz Pierwszą z Kręgu, tak jak Oron, dołączasz do swego imienia nazwę szkoły, w której pracujesz.

Cadvan odgryzł potężny kęs chleba i zaczął przeżuwać łapczywie.

- Na Światło, martwiłem się o wynik rady bardziej, niż przypuszczałem. Bardzo pomogłaś.

- Naprawdę? - zdziwiła się Maerad.

- Byłaś ogromnie oburzona, nikt nie potrafiłby tak udawać. I nie próbowałaś wszystkich zadowolić, jak mógłby robić ktoś, kto chce zrealizować skrywane plany. To właśnie przekonało tych, którzy w przeciwnym razie mogliby powątpiewać w twe imię, bardziej niż wszystko, co mogłem im rzec.

- Chcesz powiedzieć, że zachowywałam się jak idiotka?

- Nie, oczywiście że nie. Chcę powiedzieć, że jesteś osobą, za którą się podajesz, i jasno im to pokazałaś. Może o tym nie wiesz, Maerad, ale zyskałaś sobie dziś przyjaciół. Wrogów także. Wspominałem już, że nie wszystkim bardom można ufać. Zapewne nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak doskonałym jesteś muzykiem. Twój występ zeszłej nocy zaimponował wielu ludziom, a było to spore osiągnięcie w sali pełnej bardów i bardzo pomogło w potwierdzeniu twojej pozycji. Ale zawsze znajdują się też ludzie zazdrośni o talent. I jeszcze gorsi.

Maerad pomyślała o Helgar, Ustedzie i kilkorgu innych. Nie, nie ufała im, mimo iż byli bardami.

- To dlaczego właściwie chciałaś zostać moim nauczycielem?

Cadvan milczał przez chwilę.

- Trudno to wyjaśnić, Maerad - rzekł w końcu.

- Przecież będę tylko kulą u nogi, spowalniając cię i sprowadzając kłopoty.

- To prawda. - Cadvan uśmiechnął się. - Nie wiesz nawet, jak bardzo masz rację, Maerad, i jak niebezpieczne są ścieżki, którymi wędruję. Pod wieloma względami zgadzam się z Silvią. Zakosztowałaś już tego, jak żyję, a teraz zgodziłaś się pójść ze mną, zamiast sypiać w wygodnym łóżku i uczyć się Sztuki z dwa razy młodszymi dziećmi.

- No to czemu?

Maerad miała ochotę szturchnąć go łokciem. Czasami wyciąganie z niego prostej odpowiedzi przypominało wrywanie zębów. Teraz uśmiechnął się szeroko, zupełnie jakby odczytał jej myśli.

- Maerad, dobrze wiem, co czuję w tej kwestii. Nasze spotkanie było nam przeznaczone i wierzę, że nasze losy są z sobą złączone w sposób, którego jeszcze nie dostrzegamy. Mówiłem też prawdę o twoim Darze. Jest niezwykły i lepiej niż ktokolwiek mogę cię nauczyć, jak z niego właściwie korzystać.

- A jeśli nie zechcę odejść? Czy mogłabym zmienić zdanie?

- Owszem, mogłabyś. Jeśli uznasz, że musisz zostać, nie będę się sprzeciwiał. Powinnaś jednak zdecydować już teraz, nim będzie za późno. Tylko ty możesz mieć pewność, co mówi ci serce.

- Zatem to, że wołałabym zostać tutaj, nie jest dostatecznie dobrą wymówką?

- Nie, jeśli uważasz, że jest słuszne, bym został twym nauczycielem.

- Nie chcę opuszczać Silvii.

Cadvan spojrzał na nią z ukosa.

- Silvia to kobieta, którą łatwo pokochać - zauważył. - A ona już pokochała ciebie.

Maerad poczuła wzbierającą w sercu falę smutku i walcząc z nią, nie mogła wykrztusić ani słowa. W Innailu odnalazła miejsce, które już zaczynała uważać za swój dom. Na proste stwierdzenie Cadvana, że Silvia ją kocha, jej żołądek aż się ścisnął z bolesnej radości. Miałyby zostawić to wszystko? To trudne, zwłaszcza teraz, kiedy właśnie to odkryła.

- Przy Silvii czuję się... chciana - rzekła zduszonym głosem. - Nie czułam się tak od czasu...

Cadvan długi czas milczał.

- Maerad - odezwał się w końcu - powiem ci nieco o tym, co myślę i czego się obawiam. Nie wyruszam jutro; najwcześniej mogę odejść po zakończeniu Zgromadzenia. Im więcej się dowiem, co się dzieje w Annarze, tym lepiej; wygląda na to, że gdy bieg wydarzeń jest tak szybki, wieści prędko się starzeją... W tym tygodniu będziesz miała czas rozważyć, co robić, a ja nie będę oponował bez względu na to, jaka będzie twoja decyzja. Nie przyjmę niechętniej uczennicy, która nie ufa brzemieniu, jakim ją obarczam. Bo wierz mi, nielekkie to będzie brzemię. Uważam bowiem, że nie tylko nasze spotkanie było nam przeznaczone. Mam pewne podejrzenia, kim możesz być. To nie jest dobry moment, by się nimi dzielić, ale wystarczy, jeśli powiem, że gdyby Mrok wiedział o twoim istnieniu, byłby tobą bardzo zainteresowany. Wkrótce inni dodadzą dwa do dwóch i wyciągną podobne wnioski. Najlepsze podejrzenie wystarczy, by skazać cię na śmierć. Twoja historia już wywołała falę plotek, a w obecnych czasach nawet ściany mają uszy. Wolałbym, żeby kilkoro bardów opuściło to spotkanie rady. Wieści o twoim przydziale rozejdą się szybko, nie da się ich powstrzymać. Sądzę, że jeśli tu zostaniesz, zagrozi ci niebezpieczeństwo większe niż w podróży ze mną, bo poza granicami Norlochu ja mogę chronić cię lepiej niż ktokolwiek inny. Obawiam się także, że możesz przyciągnąć niebezpieczeństwo w to miejsce, które go nie zna.

- Czemu Mrok miałby się mną interesować?

- Bo jesteś Maerad z Pellinoru.

- To żaden powód.

Cadvan wzruszył ramionami i Maerad poddała się. Najwyraźniej uznał, że powie jej więcej w stosownym czasie.

- A jeśli mylisz się co do mnie?

- To w najgorszym razie będę miał najlepszą uczennicę w Annarze i cała zasługa przypadnie mnie - oznajmił. - Ale nieczęsto się mylę.

- W takim razie dokąd pójdziemy?

- Do Norlochu, tak jak mówiłem, kiedy się poznaliśmy. Do najwyższej siedziby

Światła w Annarze. Muszę się tam udać i uważam, że ty także. Pozostaje jeszcze kwestia twojego powołania i nazwania, więc chciałbym zasięgnąć rady mego dawnego przyjaciela, Nelaca z Lirigonu. A poza tym muszę złożyć meldunek tamtejszemu Pierwszemu Kręgowi.

Jakiś czas siedzieli w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. Maerad rozmyślała o Norlochu i poczuła, że wzbiera w niej podniecenie. Najwyższa siedziba Światła! Wyobraziła sobie, że przypomina Innail, tyle że jest jeszcze wspanialszy, jeszcze czystszy... A potem zastanowiła się, czemu tak szybko zadomowiła się w Innailu. Przyczyną było coś więcej niż opieka Silvii, niż otaczające ją piękno. Być może przybycie do Szkoły przebudziło uśpione wspomnienia, poczucie, że jest w domu... A jednak z niewiadomych przyczyn zgodziła się go porzucić, właśnie gdy otworzyły się przed nią drzwi, za którymi była obietnica radości i przyjaźni. Cadvan uprzedził szczerze, że czeka ją ciężkie życie. Może po prostu mam dosyć tego wszystkiego, to dla mnie za dużo, zbyt wiele wpatrzonych we mnie oczu - pomyślała ze znużeniem - zbyt wiele ciekawskich spojrzeń... Zerknęła ukradkiem na Cadvana. Nigdy jeszcze nie spotkała nikogo tak samotnego. No, po prawdzie nie poznała zbyt wielu ludzi, podejrzewała jednak, że Cadvan też nie lubi wpatrzonych weń oczu. Nie dlatego, że chce coś ukryć, lecz dlatego, że to boli, jakby raniło duszę. Owszem, opuści Innail, choć zdążyła go już pokochać, i podąży z Cadvanem do Norlochu; wiedziała, że decyzja zapadła, choć nie miała pojęcia dlaczego.

- Zastanowię się nad tym - oznajmiła w końcu.

Nagle ogarnęło ją przytłaczające zmęczenie.

- Ale na razie chyba pójdę odpocząć. Trzeba korzystać z łóżka, póki jeszcze je mam!

Cadvan odpowiedział jej jednym ze swych nagłych, promiennych uśmiechów.

- To dobry pomysł.

Odprowadził ją wzrokiem, a potem długi czas siedział samotnie na dziedzińcu z twarzą zachmurzoną od myśli.

Tej nocy Maerad śniła. Znalazła się na wielkiej wysokości, ponad rozległymi zielonymi ziemiami; widziała, że to kraina Annar. W dali zachodzące słońce oświetliło wschodnie góry i rzuciło płomienisty blask na wysokie, białe mury wspaniałego miasta na zachodzie. Szeroka rzeka między górami a miastem lśniła niczym płynne złoto. Maerad patrzyła, jak ziemię zasnuwa czarna mgła, przesłaniając jasną wodę; lodowata groza ścisnęła jej serce. Usłyszała słabe, odległe krzyki i płacz wielu ludzi. A potem odezwał się głos.

- Spójrz na północ - polecił.

Spojrzała, lecz mgła przesłaniała jej widok i niczego nie dostrzegła. Wówczas sen rozpadł się na niespokojne fragmenty pełne mrocznych, niewyraźnych kształtów, które po

pewnym czasie złożyły się w jeden cień, niemożliwy do objęcia wzrokiem. Za każdym razem, gdy odwracała się, by na niego spojrzeć, rozpływał się w dym. Z jakiegoś powodu czuła, że musi go ujrzeć, nim on ujrzy ją, toteż obracała się nieustannie, z rosnącą paniką. Miała wrażenie, że już ku niej sięga, że gdzieś poza jej postrzeganiem złowieszcze ręce wyciągają się do niej z cienia, coraz bliżej i bliżej. A potem usłyszała głos mówiący w języku, którego nie rozumiała. Nigdy wcześniej nie słyszała podobnego głosu, zimnego, pozbawionego życia, jakby dobywał się z od dawna martwych ust. Serce zamarło jej ze strachu i nagle ocknęła się, rozdygotana i zlana potem. Usiadła na łóżku, rozglądając się histerycznie, aż ujrzała żar jaśniejący na kominku i przypomniała sobie, gdzie jest. Nie mogła otrząsnąć się z tego snu i w końcu, by pozbyć się grozy, wstała z pościeli i podniosła lirę. Gdy tylko jej dotknęła, nabrała otuchy. Wróciła do łóżka, tuląc instrument, i wkrótce znów zasnęła. Sen rozwiął się do rana, lecz przez cały dzień gnębił ją nieokreślony lęk.

IX

DERNHIL Z GENTU

Przez kilka następnych dni Maerad rzadko widywała swego nauczyciela. W dzień po radzie Cadvan bardzo wczesnie zastukał do jej drzwi i odczekawszy niecierpliwie, aż się ubierze, zaciągnął ją przez Innail do biblioteki w Kręgu Lanorgrima. Zagłębili się w labirynt korytarzy; Maerad z trudem dotrzymywała mu kroku. W końcu dotarli do maleńkiego pomieszczenia, które wydawało się niemal zbudowane z książek. Tam Cadvan przedstawił ją ciemnowłosemu bardowi, którego jak przez mgłę zapamiętała z rady.

- To jest Dernhil z Gentu, bibliotekarz Kręgu. Dernhilu, poznaj Maerad z Pellinoru. Dernhil łaskawie ofiarował się nauczyć cię podstaw pisma, choć nie mam pojęcia, jak wiele zdołasz opanować w tydzień. Muszę iść, śpieszę się - to rzekłszy, wybiegł za drzwi.

Maerad stała przed Dernhilem, oddychając ciężko. Wydawał się młodszy od Cadvana, choć wiedziała już, że trudno na oko określić wiek barda. Był wysoki i smukły, twarz miał spokojną, inteligentną i bystre, ruchliwe oczy, teraz iskrzące się rozbawieniem. Ubrany był w czarną szatę, tak jak inni bibliotekarze, narzuconą niedbale na niebieskie nogawice i tunikę utkane z jedwabiu. By zyskać na czasie, rozejrzała się po komnacie.

W pokoju Dernhila stało wielkie, bogato rzeźbione biurko, niemal całkowicie zasłane stertami książek, kawałków pergaminu i arkuszy papieru. Pośrodku leżał zapelniony do połowy pergaminowy zwój: pokrywało go piękne, kształtne pismo, nakreślone czarnym atramentem. Obok stał kałamarz z błyszczącego czarnego kamienia i misternie zdobiona złocona lampa, rzucająca na blat krąg ciepłego światła i podkreślająca barwę lazurowego jedwabiu, którym pokryto ustawione obok dwa krzesła. Na jednym najwyraźniej zasiadał Dernhil, na drugim piętrzył się kolejny stos książek.

Maerad z przyjemnością wciągnęła w nozdrza lekki zapach inkaustu; kojarzył się jej z czymś, choć nie potrafiła uchwycić wspomnienia. Mimo bałaganu komnata nie sprawiała wrażenia zaniedbanej, była raczej miejscem chaotycznie zorganizowanej pracy. Poranne światło padało na ściany przez wysokie okno, podkreślając barwy osobliwych instrumentów i ozdób na półkach i odbijając się w złoconych literach na grzbietach książek w niezliczonych rzędach. W niewielkim kominku za kratą płonął ogień. Maerad uznała, że to najciekawszy

pokój, jaki kiedykolwiek oglądała.

- No proszę - powiedział Dernhil. - Uzdolniona młoda muzykantka, która nie potrafi czytać ani pisać i ma zaledwie tydzień na naukę. To dopiero zagadka! Od czego by tu zacząć?

- Spojrzał na Maerad, jakby spodziewał się odpowiedzi. Spuściła wzrok, czując się skarcona.

- To nie wstyd czegoś nie wiedzieć - dodał łagodnie. - Dopiero niechęci do nauki należy się wstydzić. Mogę cię nauczyć liter Mowy wymyślonych przez Nelsora w Afinilu dawno, dawno temu. Myślę, że będą najbardziej użyteczne, bo jest to pismo najczęściej używane przez bardów. Jest jednak wiele innych, którymi posługują się inne ludy, i grzechem byłoby nie nauczyć cię ich także. Niestety, nie mam dość czasu. Gdybyś przyswajała wiedzę szybko, wystarczyłby rok na kurs wstępny.

Zmierzył wzrokiem milczącą uczennicę, jakby oceniał jej zdolności. Potem bezceremonialnie zepchnął na podłogę książki z drugiego krzesła i podsunął je do biurka. Oczyszczył miejsce na blacie, odkładając kolejną stertę na posadzkę, i skinieniem głowy dał znać Maerad, by usiadła. Ułożył między nimi dwie kartki i wręczył dziewczynie pióro. Miało długą obsadkę, wyrzeźbioną na podobieństwo niezwykłego skrzydlatego węża, który oplótł się dokoła pióra i ułożył głowę tuż nad zgrabną metalową stalówką. Maerad przyjrzała mu się ciekawie.

- Służy do pisania, nie do oglądania - upomniał Dernhil.

Pokazał jej, jak należy trzymać pióro. Ciężko jej dziwnie w dłoni. Potem zaczął pisać litery, wyjaśniając, co oznaczają i jak układają się w słowa.

Maerad z początku w ogóle nie potrafiła posługiwać się piórem, zacisnęła jednak zęby i nie poddawała się. W miarę trwania lekcji zaczęła pojmować, na czym polega pismo, i gdzieś w jej wnętrzu wezbrało podniecenie. Pamięć miała wyszkoloną przez lata nauki muzyki i pieśni, a Dernhil okazał się cierpliwym i łagodnym nauczycielem. Mimo swej niezręczności odnosiła osobliwe wrażenie, że w jej palcach budzi się pradawna pamięć, że rysuje kształty bardzo znajome, choć od dawna nieużywane. Dernhil ze zdumieniem patrzył, jak szybko zaczyna kreślić litery, a potem słowa. Pod koniec lekcji napisała swoje pierwsze zdanie.

- Czas kończyć - oznajmił Dernhil i Maerad westchnęła rozczarowana. Przyjrzał się jej z rozbawieniem. - Ach, gdyby wszyscy moi uczniowie pracowali tak pilnie! Jak na pierwszą lekcję spisałaś się niewiarygodnie dobrze, Maerad, ale przerwa też ci posłuży. Nigdy bym nie przypuszczał, że poczynisz tak wielkie postępy.

- Ale to świetna zabawa - odparła. - Kiedyś zastanawiałam się, czy można robić coś takiego: zapisywać różne rzeczy, żeby je zapamiętać. Gilman przechowywał spisy swoich

owiec, krów, kurcząt i najróżniejszych przedmiotów, odznaczał je kreskami i obrazkami na cienkiej korze, by poznać, czy ktoś czegoś nie ukradł bądź nie zjadł. Może w Pellinorze uczyli mnie pisania, nie pamiętam... tak wiele zapomniałam. Ale to jest zdumiewające! A litery są takie piękne. No - dodała, patrząc z powątpiewaniem na własne - są piękne, kiedy ty je piszesz.

- To kwestia praktyki - odparł Dernhil. - Po roku tutaj pisałaś jak doświadczony bibliotekarz. - Ponownie zmierzył ją wzrokiem; tym razem w jego spojrzeniu dostrzegła lekki niepokój, wahanie. - Co Cadvan sobie myśli? To dla mnie tajemnica, choć zwykle nie działa bez powodu. Tak czy inaczej, dziś po południu czekają cię inne lekcje. Cadvan przygotował plan zajęć, ale ponieważ nie potrafisz go przeczytać, pokażę ci, dokąd masz pójść.

Chwilę grzebał na półkach, w końcu znalazł przepiękną książeczkę oprawną w skórę. Wręczył ją Maerad.

- To na dziś wieczór - oznajmił. - Pokazałem ci, jak wymawiać litery. W tej książce znajdziesz proste wiersze: chcę, żebyś spróbowała przeczytać kilka, jeśli nie będziesz zbyt zmęczona. Najwyżej jeden czy dwa, nie cały zbiorek.

Maerad wzięła od niego książkę niczym świętą relikwię i otworzyła ostrożnie. Stronice zrobiono z grubego suchego pergaminu; przewracane szeleściły leciutko. Zatrzymała się na stronie ozdobionej barwnym obrazkiem przedstawiającym pszczoły rojące się wokół ula, a za nimi krajobraz pełen rzek i dolin, zakończonych odległym ośnieżonym łańcuchem górskim. Stronicę okalała szeroka złota ramka, na której malarz pozornie chaotycznie rozrzucił dzikie kwiaty, stokrotki, maki i inne, których Maerad nie rozpoznała. W każdym narożniku widniał obrazek ukazujący tym więcej szczegółów, im dłużej mu się przyglądała: jeden przedstawiał mężczyznę grającego na lutni, drugi - niedźwiedzia śpiącego pod drzewem, trzeci - kobietę wpatrzoną w coś, co wyglądało jak kula z kryształu, a w prawym dolnym narożniku dwoje ludzi siedziało przy stole, popijając coś złotego z kieliszków. Na przeciwległej stronicy w identycznej ramce widniał wiersz, zapisany czarnymi i czerwonymi literami. Powoli przeliterowała tytuł: *Ul*.

Maerad spojrzała na Dernhila lśnącymi oczami; nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Jej nieskrywana radość jakby go zawstydziła; szybko ukrył to uczucie, wręczając jej kilka kartek i pióro. Znowu pogrzebał na półkach i w końcu znalazł niewielką teczkę, do której mogła wszystko schować.

- Poćwicz także pisanie. Spróbuj przepisać wiersz. A teraz czas na ciebie - dodał szybko. - Jestem już spóźniony na kolejną lekcję. Zobaczymy się jutro w tym samym miejscu o tej samej porze.

Popołudniowa lekcja Maerad dotyczyła zupełnie odmiennej materii: miała nauczyć się jeździć konno i walczyć mieczem. Dernhil zaprowadził ją do nauczyciela, surowego mężczyzny o imieniu Indik; jego policzek przecinała blizna naciągająca skórę pod okiem, przez co twarz zdawała się dziwnie pozbawiona wyrazu. Maerad bała się go odrobinę, a on w odróżnieniu od Dernhila nawet nie próbował jej uspokoić. Najpierw zaprowadził ją do kuźni; tam dopasowano jej niewielki miecz, pochwę, hełm i lekką kolczugę, tak delikatnie wykutą, że niemal przypominała ciężką tkaninę. Następnie w stajni Indik wskazał ręką szarą dereszowatą klacz.

- Nazywa się Imi - oznajmił. - To dobra klacz, dość ognista, ale poczciwa i wierna. Konie tej rasy są szybkie i wytrzymałe. Potrzebujesz silnego wierzchowca. - Maerad dostatecznie znała się na koniach, by wiedzieć, że Indik dokonał znakomitego wyboru: Imi była zgrabna, silna i nie za duża dla niej. - Ten koń należy teraz do ciebie - dodał. - Musisz wiedzieć, jak się nim zajmować.

- Należy do mnie? - spytała ze zdumieniem. - Jak to?

- Cadvan się tym zajął. Czy umiesz siodłać konia?

Wiedza Maerad o zwierzętach nie była tak żałośnie skąpa jak o książkach, więc kiedy osiodłała i dosiadła Imi, Indik spojrział na nią niemal z uznaniem. Wskoczył na własnego konia, rosłego gniadosza Harafela, i razem wyjechali na dziedziniec. Tam Indik kazał jej wykonać serię ćwiczeń: jeździć ze skrzyżowanymi rękami bez strzemion i wypróbować kilka komend. Maerad utrzymywała się na końskim grzbiecie głównie dzięki zmysłowi równowagi, co, jak zauważył cierpko Indik, nie na wiele by jej się zdało, gdyby nagle z krzaków wyskoczyła banda rzezimieszków, płosząc jej wierzchowca. Lecz mimo krzyków po zakończonych ćwiczeniach sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Poradzisz sobie - rzekł. - Parę miesięcy szkolenia i możesz zostać całkiem dobrym jeźdźcem. Wiesz dość, by dać sobie radę. Oczywiście byłoby ci łatwiej, gdybyś znała Mowę, ale ten problem sam się rozwiąże.

Wrócili razem do stajni; Maerad zeskoczyła z grzbietu Imi i rozsiodłała ją. Potem Indik kazał jej wyszczotkować klacz i oczyścić jej kopyta. Cały czas obserwował ją krytycznym wzrokiem.

- Oczywiście będziesz potrzebowała zestawu podróznego - orzekł, gdy skończyła i wprowadziła klacz do boksu. - Na szczęście jednak nie jesteś kompletną niezgugą. Dwie godziny jazdy co dzień, żebyś się otrząsała. Nic więcej nie zdziałamy.

Następnie nadeszła pora na walkę mieczem. Tu sprawy wyglądały inaczej. i Indik nawet nie próbował skrywać zniecierpliwienia.

- Panno Maerad - wycedził przez zaciśnięte zęby, gdy znów upuściła miecz - jeśli nie zdołasz nawet utrzymać broni, jesteś trupem. Wbij to sobie łaskawie do swojej tępej głowy. A teraz od początku.

Po godzinie Maerad spływała potem - Indik uparł się, by ćwiczyła w hełmie i kolczudze - i czuła się beznadziejnie. Nauczyła się jednak trzymać miecz zarówno w jednej dłoni, jak i oburącz, i dowiedziała się, że wymachiwanie na oślep nie jest najlepszym pomysłem.

- Inteligencja - powtarzał Indik. - Kluczem jest inteligencja. Nie jesteś dość silna, by być głupia. Myśl!

Odniosła przemożne wrażenie, że według niego nie przetrwa nawet mili poza bramami Innailu. Kiedy wreszcie zakończył lekcję, oparł się na swym mieczu.

- Jedna godzina jazdy konnej i dodatkowa godzina ćwiczeń z mieczem. Tydzień może coś da. Na Światło, mam taką nadzieję. W tej chwili radziłbym w razie kłopotów chować się za Cadvanem i w ogóle nie dobywać miecza. Jesteś tylko ciężarem.

Następnie odprawił ją, by niepokieszona sama znalazła drogę do swej komnaty.

W bezpiecznym schronieniu czterech ścian ze znużeniem zdjęła kolczugę i hełm i oparła miecz o skrzynię, przyglądając się mu z powątpiewaniem. Miał prostą srebrną pochwę, ozdobioną wizerunkiem węża oplecionego wokół drzewa; w miejscu oka osadzono błyszczący czerwony kamień. Maerad podobał się miecz, kiedy Indik go wybrał, teraz jednak nie była już taka pewna. Zmęczone ciało bolało w najbardziej nieoczekiwanych miejscach i po kilku minutach siedzenia na łóżku i wpatrywania się tępo w ścianę postanowiła pójść do łazienki. Kiedy wanna napełniła się już wodą ze szczodrym dodatkiem perfumowanych olejków, Maerad wśliznęła się do niej z westchnieniem, patrząc, jak smużki pary tańczą pod sufitem. Nie myślała o niczym. W końcu odświeżona wyszła z wanny i na bosaka wróciła do siebie; tam ubrała się w czysty strój i wyciągnęła ze skrzyni lirę. Zaczęła grać, szukając pociechy, i wkrótce tak bardzo skupiła się na muzyce, że aż się wzdrygnęła, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Cadvan! - zawołała, wpuszczając go.

- W istocie - odparł; minę miał ponurą. - Jak tam lekcje?

- Och, chyba dobrze. Lubię Dernhila, podarował mi tę książkę - popatrz! - żeby dziś wieczór spróbowała poczytać. Ale nie wydaje mi się, żeby Indik mnie polubił.

- Nie musi cię lubić. Ma cię nauczyć tego, co może, i zrobi to, bo to bardzo zdolny nauczyciel i świetnie włada mieczem. To dla ciebie zaszczyt, że zgodził się cię uczyć.

- Nie chciałam...

- Koń ci się podoba? To twój miecz?

- Imi jest piękna, nigdy jeszcze nie jeździłam na tak wspaniałym koniu. - Maerad zerknęła niechętnie na miecz. - Indik mówi, że na razie jestem tylko ciężarem i powinnam się chować za twoimi plecami.

Cadvan roześmiał się i mrok zniknął z jego twarzy.

- To w końcu twój pierwszy dzień, a on nie przywykł do nowicjuszy. Jeśli jednak ktokolwiek zdoła nauczyć cię radzić sobie z mieczem w tydzień, to właśnie on. To nie znaczy, że wpoi ci tę sztukę walki, ale dobrze jest wiedzieć, jak trzymać broń, a nawet nieeleganckie, lecz celne cięcie pomoże w kłopotach. Ale to twój miecz, powinnaś nadać mu imię. - Wyjął go z pochwy i obejrzał uważnie. - Prawdę mówiąc, jest świetnej roboty. Dobrze się spisał.

Oddał jej broń ręką i się naprzód.

- Imię? - wyjąkała Maerad i odebrała mu miecz. - Dlaczego? Jakie imię?

- Prosiłem, by znaleziono ci porządne ostrze. To nie jest zwykły sztylet wykuty w kuźni wiejskiego kowala; zasługuje na imię. Pomyślmy... - Cadvan zastanawiał się chwilę. - Co powiesz na Irigan? W Mowie oznacza to Lodowe Ostrze. Ma chłodny połysk.

- Irigan - powtórzyła Maerad, smakując imię na języku. - Tak, brzmi dobrze. Irigan.

Powoli oszałamiała ją świadomość posiadania rzeczy. Wcześniej nie miała niczego oprócz łachmanów na grzbiecie, pary butów i liry. Teraz ma konia i miecz, jak bogaczka.

- Silvia przygotowuje ci sakwę i zestaw podróżny - oznajmił Cadvan. - Jutro będą gotowe.

Podniósł książkę, którą Dernhil pożyczył Maerad, i roześmiał się.

- Co cię rozbawiło? - spytała.

- To książka Dernhila. Jego wiersze. Przeczytaj je uważnie: Dernhil to wielki poeta, jeden z najlepszych w całym Annarze. Pamiętam, że podczas naszego pierwszego spotkania...

- Zaczął niedbale przerzucać strony, odczytując fragmenty wierszy, aż umilkł.

- Co pamiętasz? - spytała Maerad.

Cadvan uśmiechnął się szeroko.

- Byłem młody i próżny i uważałem się wówczas za świetnego poetę. Dernhil z jakiegoś powodu, nie pamiętam jakiego, odwiedził Lirigon; już wtedy cieszył się sporą sławą. Był bardzo młody, bardzo uzdolniony... Wyzwałem go na pojedynek, podczas którego obaj mieliśmy improwizować. Narobiłem takiego zamieszania, że stawiała się niemal cała Szkoła.

- I co się stało?

- Przegrałem. Z oczywistych powodów, jak się przekonasz, jeśli przeczytasz tę

książkę.

Maerad słuchała go ze zdumieniem. Skąd miała wiedzieć, że Dernhil jest sławny?

- Ale mówił, że to bardzo proste wiersze.

- Bo takie się wydają. Lecz coś, co z pozoru jest proste, w istocie często najtrudniej zrozumieć. Tak czy inaczej, nie dlatego tu przyszedłem. Malgorn i Silvia zaprosili nas dzisiaj na obiad po następnym dzwonie. Silvia chce usłyszeć, jak się miewasz i jak radzisz sobie z nauką. Nadal jest ze mnie niezadowolona, lecz ze względu na ciebie postanowiła tego nie okazywać. Mamy jeszcze chwilę czasu. Może porozmawiamy na dziedzińcu?

- Dziś wieczór powinnam ćwiczyć czytanie - odparła niepewnie Maerad.

- Dernhil zrozumie, jeśli ci się nie uda. Przypuszczam, że jesteś bardzo zmęczona. A tymczasem powinniśmy odetchnąć świeżym powietrzem.

*

Zerkała ciekawie na Cadvana, gdy szli razem na dziedziniec, czując na twarzach rześki wieczorny wiaterek. Może sprawiał to jedynie zmierzch rzucający cień na jego twarz, wydał się jej jednak spięty, może nawet nieco poruszony, choć jak zwykle dobrze skrywał swe uczucia. Z całą pewnością bardzo się śpieszył. Usiedli na ławce; jej towarzysz odetchnął głęboko, jakby chciał wyrzucić z płuc coś jeszcze prócz powietrza, a potem spojrzał w niebo, na którym kolejno rozkwitały gwiazdy.

- Spokojnie tutaj - zauważył. Milczał chwilę, słuchając pluskania wody ściekającej z fontanny do sadzawki i świergotu ptaków sadowiących się do snu pod okapami. - Maerad, przez następnych kilka dni mamy wiele do zrobienia. Umówiłem ci kilka prostych lekcji, abyś nauczyła się choć najważniejszych rzeczy z tego, co musisz poznać. Całym sercem żałuję, że nie możemy zostać tu kilka miesięcy, byś zyskała solidne podstawy, ale niestety. Gdybym mógł, wyruszyłbym w drogę już jutro.

- Musimy wyjeżdżać tak szybko? - spytała Maerad.

- Tak, im szybciej, tym lepiej. Irytuje mnie to opóźnienie, ale nie ma na nie rady. Mam sprawy do załatwienia w Norlochu i nic się nie rozstrzygnie, póki tam nie dotrzemy. To długa podróż; żałuję, że nie jesteś do niej lepiej przygotowana. Ale, jak mówią, w razie potrzeby i nagus puści się biegiem. - Zamilkł na chwilę. - Ja tymczasem traciłem czas, spierając się z bardami. To męczące i pozbawione sensu.

- Czyli sprawy nie idą dobrze?

Ukradkiem przyglądała mu się: co go dręczyło?

- Nie - odparł krótko. Wyglądało na to, że nie doda nic więcej, nagle jednak powiedział szybko: - Maerad, po Szkole krążą najróżniejsze plotki o tym, dlaczego chciałem

zostać twoim jedynym nauczycielem. Uznałem, że powinienem cię ostrzec.

- Plotki?

- Najwyraźniej wywołałem oburzenie w połowie Annaru. Nawet Malgorn ma wątpliwości. Wszyscy uważają, że straciłem głowę z powodu ładnej buzi. - Niecierpliwie machnął ręką. - Może to i dobrze. Jeśli złośliwi ludzie źle o nas mówią, to w sumie dobrze się składa, bo ich obmowy przesłaniają prawdziwe cele. Przyznaję jednak, że nie mam cierpliwości do podobnej gadaniny. Czuję się zbrukany.

Maerad wpatrywała się w niego, niczego nie pojmując. Nagle jednak zrozumiała, o co mu chodzi.

- Och!

Westchnęła i zarumieniła się gwałtownie.

- To nie ma znaczenia, Maerad. - Cadvan posłał jej kpiące spojrzenie. - Po prostu mnie drażni. Bardowie nie powinni zwracać uwagi na tak trywialne plotki. Najważniejsze, żebyś przez następne trzy dni jak najbardziej przykładła się do lekcji i nie przejmowała się żadnymi złośliwymi uwagami. Uważam, że masz talent; Dernhil stwierdził to bez cienia wątpliwości, a Indik też tak sądzi, choć sam ci tego nie powie. Ja muszę brać udział w radzie: im więcej wieści usłyszę, tym lepiej, zwłaszcza jeśli mamy podróżować ukrytymi ścieżkami. Nie wyruszę przed końcem Zgromadzenia. Poza tym nawet gdybyśmy wyjechali wcześniej, nie zdołalibyśmy utrzymać tego w sekrecie. Na razie zatem musisz mi zaufać: kiedy stąd wyjedziemy, wiele się wyjaśni. Nie sądz, że nagle cię porzuciłem!

- Zgoda. Nauka jest całkiem zabawna. - Maerad spojrzała mu prosto w oczy. - Chciałabym tylko wiedzieć, co się naprawdę dzieje. O tak wielu rzeczach nie mam pojęcia i cała ta krzątania, przejmowanie się mną, to wszystko wydaje mi się zupełnie obce.

- Powiem ci, uwierz, przynajmniej tyle, ile sam wiem - obiecał Cadvan. - Przepraszam, że jestem ciągle taki zajęty i zagoniony. Historia ta wymaga czasu, bo opowiedzieć tylko jej część to nie opowiedzieć jej w ogóle. W podróży będziemy mieli dość okazji.

Zapadła krótka cisza.

- Zeszłej nocy miałam dziwny sen - oznajmiła bez ogródek Maerad. - Rozmyślałam o nim cały dzień.

Cadvan odchylił głowę, patrząc w niebo.

- Wszyscy miewamy dziwne sny.

- Tak, ale ten był... był niezwykły, Cadvanie, zupełnie nie przypominał moich wcześniejszych snów, sprawiał wrażenie...

Maerad bezradnie machnęła ręką i umilkła.

- No dobrze, co ci się śniło?

Cadvan wyprostował się i spojrzał na nią w skupieniu.

Powoli, szukając właściwych słów, Maerad opowiedziała mu swój sen. Cadvan z każdym słowem coraz bardziej nieruchomiał, słuchając z rosnącą uwagą. Kiedy skończyła, dobrą chwilę milczał.

- Jakże żałuję, że nie znasz Mowy! - rzekł w końcu. - Najpewniej to właśnie ją słyszałaś - ten język, którego nie rozumiałaś. A przynajmniej to bardzo prawdopodobne.

- I co o tym myślisz? - spytała ciekawie Maerad.

- Sny to osobliwi posłańcy, Maerad - odparł Cadvan. - Niektórzy twierdzą, że przychodzą do nas spoza Bram, gdzie wiadome jest wszystko, co było i co będzie, czas bowiem tam nie istnieje. Ale każdego z nas nawiedzają inne rodzaje snów, służące innym celom.

- Jak myślisz, o czym jest mój?

Cadvan zawahał się.

- Nie mam pewności. Ale odnoszę wrażenie, że to przedsen przepowiadający to, co dopiero ma się stać.

Maerad zadrżała.

- Mam nadzieję, że nie. To było straszne. Ale dlaczego miałabym śnić przedsny? Nigdy wcześniej ich nie śniłam.

- To dar niektórych bardów. Niewielu. Choć bardzo wielu bardów z Pellinoru miało przedsny i przewidywało przyszłość. Najślawniejszy z nich był zapewne Lanorgil z Pellinoru, ale oprócz niego znalazłoby się jeszcze kilku.

- A ty miewasz przedsny?

- Nie. Choć jak większość bardów dysponuję słabym darem przewidywania. Lecz przedsny to niebezpieczna zagadka: znam mnóstwo historii o tych, którzy usiłowali uciec swym przepowiedniom i właśnie w ten sposób ściągali na siebie zgubę. To jednocześnie ostrzeżenie i nadzieja. „Spójrz na północ!” - Pochylił się, zerwał źdźbło trawy i zaczął je żuć w zamyśleniu. - Cóż to może znaczyć?

Maerad wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - odparła. - Dlatego spytałam ciebie.

- Jestem teraz jeszcze bardziej pewny tego, że gdyby Mrok o tobie wiedział, ścigałby cię. Możliwe, że wieści już do niego dotarły.

W nagłym przebłysku zrozumienia Maerad pojęła, że napięcie Cadvana nie wynika

wyłącznie z plotek i pogłosek. Poczula się jak ktoś, kto nieświadomie wypłynął łodzią na głęboki ocean, jakby otwierały się przed nią kolejne nieprzejryste otchłanie tam, gdzie spodziewała się zobaczyć rozświetlone płycizny.

Cadvan wstał, odrzucając żdźbło.

- Jeszcze bardziej złości mnie myśl o zmarnowanych dniach! Ale na razie jesteśmy tu uwięzieni. - Spojrzał w niebo. - Już niemal czas na dzwon - dodał. - Powinniśmy iść.

X

POŻEGNANIE

Następnych kilka dni upłynęło według ustalonej rutyny: Dernhil rano i tragikomiczne sesje z Indikiem po południu; każde z tych spotkań Maerad kończyła z zaciśniętymi ze złości zębami, choć czasem była bliska płaczu. Indik ograniczał się do bezlitosnych drwin z jej nieporadności, choć trzeciego dnia Maerad przestała upuszczać miecz przy każdej próbie parowania, a raz niemal przebiła się przez osłonę nauczyciela. W takich chwilach stawał się jeszcze bardziej sarkastyczny i Maerad ponuro zaciskała wargi. Żałowała, że nie walczy mieczem dość dobrze, by zrobić z niego głupca, ale zdołałby ją rozbroić równie łatwo jak pięcioletnie dziecko. I mimo że uwielbiała godzinne jazdy na Imi, zdecydowanie wolała poranki z Dernhilem, które otwierały przed nią nowy, fascynujący świat.

Dernhila zachwycała jej bystrość: po paru dniach bez większych problemów potrafiła już przeczytać krótki akapit tekstu albo wiersz. Mówił, że bardziej przypomina jej coś, o czym zapomniała, niż uczy czegoś nowego. Był zupełnie innym nauczycielem niż Mirlad: nie aż tak surowym, bardziej skłonny do zachęty pochwałami. Maerad rozkwitała pod jego okiem. Rozglądała się po gabinecie i wzdychała. Tak wiele książek w tak wielu językach, a ona zdołałaby przeczytać najwyżej najcieńszą z nich!

- Może po wizycie w Norlochu wrócę tu i nauczę się więcej - zaproponowała z napięciem następnego dnia rano. - Tak wielu rzeczy nie wiem...

Dernhil podniósł wzrok znad wypracowania, które poprawiał.

- To byłoby dobre rozwiązanie - rzekł. - Jeśli tak zrobisz, chętnie będę cię uczył.

Uśmiechnął się, lecz w owym uśmiechu kryło się coś, przez co Maerad ścisnęło się serce: jego wzrok zatrzymał się na jej twarzy... Szybko spuściła głowę i odpędziła niechciane myśli, skupiając się na pracy.

W ogóle nie widywała Cadvana. Wieczorami jadała z Silwią i Malgornem lub we dworze z innymi uczniami, którzy patrzyli na nią albo z ukosa, albo z przesadzonym, nabożnym podziwem. Czasami przez godzinę czy dwie obserwowała graczy w gis, siedzących przy stole w kącie wielkiej sali. Intrygowało ją złożone piękno rozgrywki prowadzonej czarnymi i białymi żetonami na sześciokątnym stole podzielonym na wiele

kwadratów, nie zdołała jednak odgadnąć zasad. Usłyszała jedynie, że gis człowiek uczy się całe życie, że to gra wymagająca nie tylko inteligencji strategicznej, ale też oceny estetycznej. Maerad z niepojętą fascynacją obserwowała złożone układy pionów, jak rozwijały się i znikwały w trakcie gry.

W Szkole nieustannie dźwięczała muzyka, lecz Maerad nie występowała już więcej przed publicznością; grała tylko w swoim pokoju, nocą, kiedy musiała. Nie czuła się samotna: była zbyt zajęta, a wieczorami zbyt zmęczona. Po dwóch dniach ogarnęło ją dziwne wrażenie, że zawsze tu żyła. Szkoła nie wydawała się jej już obca ani oszłamiająco wspaniała. Czasami sama się dziwiła, jak łatwo przywykła do tego życia, zupełnie jakby przywdziała stare, znajome ubranie.

Drugiego dnia pogoda się załamała i przez kolejne dni niemal cały czas padało. Lekcje walki mieczem przeniosły się na imponującą zadaszoną arenę, zbudowaną wyraźnie do tych właśnie celów, lecz nauka jazdy konnej trwała nieprzerwanie niezależnie od pogody. Czasami, odgarniając mokre włosy z oczu, Maerad czuła nienawiść do Indika, choć rozumiała, że jego surowość jest w istocie bezosobowa i w pewnym sensie zasługuje na szacunek. Lekcje wzmagaly też jej determinację, żeby nauczyć się władać mieczem choćby po to, by zetrzeć z twarzy Indika ironiczny uśmiezek, który pojawiał się za każdym razem, kiedy popełniła błąd.

- To było twoje gardło, młoda damo - mówił z satysfakcją. - Równie dobrze mogłabyś położyć się i odsłonić przede mną szyję.

Maerad, złana potem pod hełmem, wyszczerzając zęby, przeklinała go pod nosem, gdy znów zajmowali pozycje.

- Nie myśl, że tego nie słyszałem! - mówił, nie odwracając głowy. - Bo słyszałem. Przekleństwa ci nie pomogą, jeśli źle władasz bronią. Jeszcze raz!

Jej kontakty z Dernhilem wyglądały zupełnie inaczej i szybko zmieniły się w przyjaźń. Czwartego ranka pod koniec lekcji odgarnął włosy z oczu i spytał, czy tego wieczoru jest zajęta.

- Nie - odparła, choć miała zjeść wieczerzę w wielkiej sali.

- Chciałabyś zatem zjeść ze mną? - spytał. - Mógłbym pokazać ci książki, o których opowiadałem...

- Z przyjemnością! - odparła ciepło Maerad.

Nie zносиła wieczerz w sali, wciąż źle się czuła w tłumie.

Po bałaganie w gabinecie pokoje Dernhila zaskoczyły ją panującym w nich porządkiem. Ich styl przypominał komnaty w domu Silvii i Malgorna; były urządzone

pięknymi meblami, a na ciepłych żółtych ścianach wymalowano dekoracje. Jadalnię wypełniały osobliwe przedmioty, które Dernhil przywoził z podróży: misterne kościane rzeźby z Suderainu, jedwabne zasłony, dzieło tkaczy z Thoroldu, alabastrowe posążki nieznanymi rzemieślników z Annarenu, wielka kryształowa kula, niespotykane, filigranowe metalowe lampy... Pod ścianami, rzecz jasna, stały regały pełne książek.

Podał jej prosty, przepyszny posiłek: pieczone płaty doskonale przyprawionego mięsa z delikatnymi wiosennymi jarzynami, serem, orzechami i winem. Potem usadowili się wygodnie w miękkich wyściełanych fotelach przy kominku, sącząc wino, a Dernhil przynosił książkę za książką, wskazując detale pisma i iluminacji i odczytując jej wiersze. Gawędzili przyjaźnie o najróżniejszych sprawach. Maerad spytała go o pojedynek z Cadvanem. Dernhil uniósł głowę i wybuchnął śmiechem.

- Szkoda, że nie widziałaś wtedy Cadvana! - rzekł ciepło. - To było przed... No, był wtedy młodszy. Przystojny, charyzmatyczny, już wtedy cieszył się sławą potężnego maga; wszyscy twierdzili, że kiedyś z pewnością zostanie Pierwszym Bardem, może nawet Pierwszym w Norlochu, i całkiem nieźle radził też sobie z poezją.

- Ale nie tak dobrze jak ty.

- Nie - Dernhil posłał jej rozbawione spojrzenie. W jego głosie nie dostrzegła nawet cienia próżności. - A Cadvan nie mógł znieść, że gra drugie skrzypce. Oczywiście zwyciężyłem. Był wściekły.

Maerad zauważyła, że Dernhil pominął część tego, co zamierzał rzec.

- Co się stało z Cadvanem? - spytała ciekawie. - To znaczy, czemu nie został Pierwszym Bardem?

Twarcz jej rozmówcy pociemniała ze smutku.

- Myślę, że to powinien opowiedzieć ci sam - rzekł w końcu. - I bez wątplenia tak uczyni pewnego dnia. W istocie został wielkim bardem. Niewielu może mu dorównać. Lecz życie rzadko toczy się tak, jak oczekujemy, zwłaszcza gdy jesteśmy młodzi i pełni nadziei. - Zapadła cisza; w końcu Dernhil zwrócił się ku Maerad. - Wybacz mi tak osobiste pytanie, ale ty i Cadvan... czy jesteście kochankami?

Maerad zarumieniała się, pamiętna plotek, o których wspominał Cadvan.

- Nie - wymamrotała. - Nie, nic z tych rzeczy.

Uniosła wzrok i dostrzegła szczere spojrzenie Dernhila; w jego oczach było widoczne niewypowiedziane zaproszenie, coś więcej niż podziw, lecz Maerad natychmiast zeszywniała. Dotychczasowe życie nauczyło ją, że męskie pożądanie oznacza jedynie przemoc, i instynktowny, pierwotny strach zagłuszył wszelkie inne odczucia. W nagłej

panice, z walącym sercem zerwała się na równe nogi.

- Powinam już iść - oznajmiła. - Jutro muszę wstać wcześniej.

- Tak - odparł Dernhil; on także wstał i westchnął. - Cóż, zatem do rana.

- Tak - mruknęła.

Raz jeszcze zerknęła na Dernhila, lecz niepokojący wyraz zniknął z jego oczu. Ujęła podaną dłoń, skłoniła głowę i wyszła szybko.

Szóstego dnia zajęć Dernhil poinformował ją, że następnego dnia odbędzie się uczta i Maerad nie musi przychodzić. Ponieważ umiała już odczytać wiersze w książce, Dernhil podarował ją jej.

- Przed odjazdem przyjdź się pożegnać - poprosił.

- Tak zrobię. - Przycisnęła do siebie książkę. - I dziękuję, bardzo dziękuję.

W jej gardle wezbrało wszystko, co chciała mu powiedzieć: jak jego łagodne nauki otworzyły przed nią nowy, cudowny świat, jak wypełniły ją radością i podnieceniem. Słowa uwięzły jej w gardle.

Dernhil odchrząknął.

- Lubilem nasze lekcje - oznajmił. - Cadvan będzie mógł budować na tym, czego już się nauczyłaś. Ty także możesz się rozwijać, czytając. - Umilkł na chwilę. - Jest tyle rzeczy, które chciałbym ci pokazać. Wszystkie najwspanialsze teksty Annaru i Siedmiu Królestw, historie i pieśni, które składają się na Wiedzę. A to dopiero początek. Bardzo żałuję, że nie będę mógł cię ich nauczyć. - Z żalem pokręcił głową. - Ze swoimi zdolnościami i zapalem byłabyś wspaniałą uczoną. Potrzeba tylko czasu.

- Widać nie jest mi to dane - odparła Maerad. - I nie zawsze możemy wybierać własne ścieżki.

Dernhil zdawał się zaskoczony jej słowami.

- Nie, chyba nie - mruknął. Zapadła krótka, krępująca cisza. - No cóż, nie zapomnij zajrzeć tu przed wyjazdem.

Usiadł szybko za biurkiem i Maerad uznała to za odprawę.

Indik pożegnał ją bardziej szorstko.

- Przynajmniej potrafisz utrzymać w ręku miecz. A to już coś. Nic więcej nie powiem. Będiesz musiała ćwiczyć i mieć nadzieję, że dopisze ci szczęście.

Maerad wpatrywała się w niego bez wyrazu. Nie miała ochoty mu dziękować, choć wiedziała, że powinna. Ku jej zdumieniu Indik zachichotał.

- Mimo wszystko dzielne serce może zwyciężyć tam, gdzie umiejętności nie stanie - dodał. - Daj mi swój miecz. - Podała mu go. - Jak go nazwałaś? Irigan? Dobre miano... -

Dobył go i obejrzał uważnie. - Doskonała broń. - Chuchnął na ostrze, a potem powoli wtarł w nie parę palcami, mówiąc coś tak cicho, że Maerad nie słyszała słów. Następnie wsunął miecz do pochwy i oddał jej. - To urok, który wspomogł celność i ochroni go przed złamaniem bądź uszkodzeniem - wyjaśnił. - Przetrwaj tak długo jak samo ostrze. Może ci pomóc.

Maerad z zaskoczeniem odkryła, że czuje gwałtowną wdzięczność. Spojrzała w oczy Indika i po raz pierwszy dostrzegła w nich nieoczekiwaną dobroć. Ku zdumieniu ich obojga zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała w pokryty bliznami policzek.

- Dziękuję - powiedziała. - Postaram się nie przynieść ci wstydu.

- Możesz tylko się starać - odparł szorstko. - A teraz uciekaj.

Na ulicy rzemieślników wpadła na Cadvana. Wyglądał na zaniepokojonego, lecz na jej widok uśmiechnął się.

- Witaj, młoda wojowniczo! - pozdrowił ją.

Maerad zapomniała, że wciąż ma na sobie koleczkę. Odruchowo spuściła wzrok.

- Mów mi po prostu: Klęska Indika - rzekła. - Choć dziś przyznał, że w razie ataku może mogłabym dobyć miecza, zamiast po prostu uciekać.

- W takim razie doskonale zdałaś egzamin. - Cadvan roześmiał się. - Rozmawiałem już z Dernhilem: rozpaczliwie pragnie, byś została i dokończyła nauki. I myślę, że kierują nim także pobudki osobiste. Wyraźnie go zauroczyłaś.

- Och, bzdury - mruknęła Maerad. - Przestań ze mnie żartować, Cadvanie. Choć rzeczywiście podarował mi swoją książkę.

- To wyraźnie oznaka sympatii - odparował lekko Cadvan, lecz jego oczy znów patrzyły z powagą. - Ma jednak trochę racji. Podobnie Silvia. To niesprawiedliwe zabierać cię stąd i zmuszać do porzucenia wszystkiego, co przypada ci z mocy urodzenia.

- Masz wątpliwości.

Maerad utkwiała wzrok w jego twarzy, maszerując obok.

- Nie. Ale zastanawiam się, czy ty ich nie masz.

- Nie - odparła powoli. - Przeciwnie, czuję się pewniejsza. Nie wiem dlaczego, bo naprawdę uwielbiam to miejsce i naukę z Dernhilem, a nawet Indikiem. Zaczarował dziś mój miecz, wiesz?

- Naprawdę? - zdumiał się Cadvan. - Zamierzałem to zrobić, ale on włada tym zaklęciem lepiej niż ja. To jego szczególna umiejętność: ludzie przyjeżdżają z daleka, by prosić go o tę przysługę. Czasami się nie zgadza, nieważne, co ofiarują. Potrafi wspaniale osądzić czyjaś duszę i nigdy nie wspomogł mrocznych zamierzeń. Cieszę się, że nie masz wątpliwości. Dręczy mnie myśl, że mamy niewiele czasu.

Szli razem w milczeniu. Maerad powtarzała w myślach słowa Cadvana. Przez ostatnich kilka dni zapomniała o mrocznych obawach z ich rozmowy na dziedzińcu, a teraz poczucie grozy powróciło.

- Chcę wyruszyć jutro wieczorem - oznajmił Cadvan. - Tylko bardowie z tutejszego Kręgu wiedzą, że wyjeżdżamy tak szybko, a nasze tajemnice są u nich bezpieczne. Jutro wieczorem odbędzie się pożegnalna uczta. Uważam, że powinniśmy wziąć w niej udział i wyjść wcześniej, by nikt nie podążył za nami. W przeciwnym razie wyruszymy wraz z setką innych bardów, a w takim tłumie trudno jest zachować sekrety, albo też będziemy musieli czekać jeszcze tydzień, co mi się nie podoba.

Maerad wyczuła, że Cadvan nade wszystko pragnie uwolnić się od wymogów towarzystwa. Sama także czuła podobną tęsknotę. Choć starała się trzymać na uboczu, wciąż dostrzegała grupki szepczących ludzi; niektórzy pokazywali ją sobie palcami na ulicach, a ona nie lubiła być obiektem zainteresowania: drażniło ją to i męczyło. Mimo wszystko jednak poczuła ukłucie żalu.

- Dernhil chciał, żebym pożegnała się przed wyjazdem - oznajmiła.

- Jutro będziesz mieć dość czasu - odparł Cadvan. - Przyjdę dziś wieczór i sprawdzę twój bagaż. Wieczoram z Silvia i Malgornem.

Uściskał jej dłoń na pożegnanie i pośpieszył w głąb bocznej uliczki. Maerad zatopiona w myślach dotarła do domu.

Już w komnacie, po długiej kąpieli, ułożyła na łóżku cały swój nowy dobytek. Była teraz właścicielką niewielkiego zbioru wierszy, hełmu, miecza, kolczugi, chlebaka, pióra i sakwy, którą podarowała jej Silvia, a której nie miała jeszcze czasu otworzyć. Uczyniła to teraz. Zrobiono ją z czarnej skóry, miękkiej, lecz zdumiewająco mocnej, i wyposażono w osobliwe paski i sprzączki; dopiero później Maerad odkryła, że dzięki nim można nosić torbę na plecach bądź przyczepiać do siodła. Wewnątrz krył się skórzany bukłak z wodą, butelka medhyłu, błękitna fiolka eliksiru, którym Silvia uleczyła jej bóle okresowe, i dwa komplety ubrań: miękkie skórzane spodnie, ciepłe wełniane koszule i bluzy, świetnie skrojone i praktyczne, i utkane tak sprytnie, że po złożeniu zajmowały niewiele miejsca. Silvia spakowała jej też kilka sztuk bielizny uszytej z grubego jedwabiu. Maerad otworzyła właśnie paczuszkę z tym samym twardym sucharem, który jadła w drodze do Innailu, kiedy do drzwi zastukał Cadvan.

- Doskonale - rzekł, gdy pokazała mu zawartość torby. - I zostaje dość miejsca na twe własne skarby. Ja też mam dla ciebie prezent. - Wręczył jej skórzany futerał na lirę, do ochrony w podróży. Ozdobiono go wzorem kwiatowym podobnym do tych w sali muzycznej

na dole: pośrodku widniała lilia w kształcie smukłej trąby, mieniąca się złotem i srebrem. - To znak Pellinoru - wyjaśnił. - Powinnaś mieć też broszę, ale nie zdążyłem jej zamówić.

Maerad usiadła na łóżku, ściskając w dłoniach futerał. Ten dar oszołomił ją bardziej niż wszystkie wcześniejsze i odkryła, że nie jest w stanie wydusić z siebie nawet słowa podziękowania. Nagle, ku jej zdumieniu, do oczu napłynęły jej łzy. Odwróciła się zawstydzona, lecz Cadvan usiadł w fotelu, czekając, aż się opanuje.

- Cadvanie, przepraszam - rzekła w końcu. - Po prostu... po prostu... - Pokręciła głową. - Nikt nigdy wcześniej niczego mi nie dał. A nagle mam te wszystkie rzeczy! I to takie dziwne. - Pociągnęła nosem, a on w milczeniu wręczył jej chustkę. - Niemal marzę o tym, żeby ktoś mnie pobił albo przynajmniej zwyzywał - podjęła. - To znaczy, oczywiście, tak naprawdę to nie, ale to wszystko nie wydaje mi się do końca prawdziwe. I powtarzam sobie, że jest prawdziwe, że to się dzieje, ale wciąż nie mogę w to uwierzyć i sama już nie wiem, kim naprawdę jestem. Czuję się taka obca. - Urwała i bezradnie uniosła ręce. - Nie potrafię nawet wyrazić tego, co myślę. Cieszę się, że wyjeżdżamy. Jednocześnie mi żal, ale i się cieszę.

- Niecałe dwa tygodnie temu siedziałś w oborze, doiłaś krowę i sądziłaś, że do końca życia pozostaniesz niewolnicą. - Cadvan stał teraz, wyglądając przez okno. - To bardzo krótki czas. Zdumiewające, że nie czujesz się bardziej oszołomiona. Większość ludzi kompletnie by się pogubiła. - Odwrócił się i spojrzał wprost na nią. - Nie obiecuję ci łatwej podróży, Maerad. Ale przynajmniej przez jakiś czas powinna być spokojna.

- Ludzie wciąż wytykają mi palcami - wymamrotała. - Nie lubię tego.

- Ludzie są skomplikowani - odparł Cadvan. - Nigdy nie mógłbym zamieszkać w mieście. Ale może jestem nietypowy.

Nagle jego twarz stała się nieprzenikniona i umilkł. Po chwili ciszy oznajmił, że spotkają się na kolacji po następnym dzwonie, i bez pożegnania wyszedł z jej pokoju.

*

Tego wieczoru do stołu zasiedli też Oron, Dernhil i Indik; Oron przyszła pożegnać Cadvana i Maerad, bo, jak wyjaśniła, nie zamierzała brać udziału w jutrzejszej uczcie. Na wieczerzy była także niska, ciemnowłosa bardka imieniem Kelia; Maerad jej nie знаła, choć często widywała ją pochyloną w całkowitym skupieniu nad stołem gis. Wiedziała, że to niekwestionowana mistrzyni Innailu w tej grze.

Wraz z Silvią i Malgornem bardowie ci tworzyli szóstkę Kręgu Innailu. Kiedy Maerad weszła do sali, nieco spóźniona, bo zbyt długo się szykowała, poczuła elektryzujący dreszcz. Moc zgromadzona w tym pokoju wydawała się niemal namacalna, nie niespokojna jak

podczas rady, lecz wyraźna i skupiona, jakby powietrze iskrzyło białym ogniem.

Dotychczas Oron wydawała się Maerad wyniosła i odległa, bo widywała ją wyłącznie na oficjalnych spotkaniach w roli Pierwszej Bardki. Prywatnie jednak okazała się równie ciepła i posotna jak Silvia, więc posiłek upłynął w radosnej atmosferze. Choć Maerad nie zdawała sobie z tego sprawy, wyglądała zupełnie inaczej niż dziewczyna, która zemdlała przed drzwiami Malgorna: tydzień doskonałego jadła i codziennych ćwiczeń sprawił, że jej bolesna chudość zamieniła się w kipiącą energią smukłość. Jej oczy także zmieniły wyraz: czujność kogoś, kto spodziewa się chłosty za nawet najdrobniejsze przewinienie, zastąpiła nowa pewność siebie. Maerad żartowała i śmiała się z resztą bardów, jakby spędziła w Szkole całe życie.

Kiedy w końcu rozsiedli się wygodnie, leniwie zajadając słodczyce i sącząc wiśniowy kordiał Malgorna, rozmowa zeszła na temat Zgromadzenia. Wyglądało na to, że zewsząd dochodzą wyłącznie złe wieści. Prestiż, jakim dotychczas cieszyły się szkoły, zmalął bardziej niż kiedykolwiek przedtem, a mimo to w niektórych miejscach budził otwartą niechęć. W całej krainie widywano niemal co dzień rzadkie do tego czasu łaki i inne stwory Mroku, zapuszczające się daleko poza graniczne regiony Annaru; co gorsza, wiele miast i wiosek na zachodzie zaatakowała śmiertelna choroba, której nie umiał uleczyć nikt prócz najpotężniejszych bardów. W części zachodnich królestw obawiano się także klęski głodu po zeszłorocznym nieurodzaju i ciężkiej zimie, a to oznaczało zapowiedź zamieszek i walk w najbardziej dotkniętych rejonach.

- Nie to jednak niepokoi mnie najbardziej - oznajmił Malgorn - lecz opowieści, jak w święto wiosny i plonów zdarzało się, że Mowa zawiodła. Nawet Thurl mówił, że gdy w tym roku wypowiedział Słowa Stworzenia, nie zadźwięczały życiem w jego sercu. Jest zbyt wiele podobnych doniesień, by je zlekceważyć bądź uznać za dzieło kiepsko wykształconych, nieudolnych bardów.

- Owszem, mój przyjacielu, coś jest nie tak w samym sercu rzeczy - rzekł ze smutkiem Cadvan. - I myślę, że to coś nie ma imienia.

Silvia spuściła wzrok i zagryzła wargę.

- Zawsze modliłam się, by nie żyć w podobnych czasach - szepnęła. - Pragnęłam tylko dokonać żywota w pokoju, pośród bogactwa plonów.

- Tak jak my wszyscy i inni żyjący w mrocznych czasach - odparł Cadvan.

- Ale nie jest to nam dane.

- Mimo wszystko jednak - wtrącił Dernhil - powiadają, że strach to zaledwie jedno z oblicz ostrożności.

- A także że ma wielkie oczy - odparował Indik. - Mroczni Magowie zbudowali swe fortece w Dén Ravenie i od trzech stuleci dręczą Suderain. Mają teraz własnych władców i dowódców; według mnie, twierdząc, że Bezimienny może znów powstać, wyciągasz pochopne wnioski.

- Możliwe - odparł Cadvan. - Nie powinniśmy jednak zapominać i o tej możliwości.

Na to nikt nie znalazł odpowiedzi i bardowie zamilkli, pogrążając się w myślach.

- Co chcesz zdziałać w Norlochu, Cadvanie? - Kelia pochyliła się naprzód, marszcząc lekko ciemne brwi. - Byłeś tam ostatnimi czasy?

- Nie w tym roku - odrzekł. - Teraz jednak tam zmierzam: muszę złożyć raport Pierwszemu Kręgowi. Enkir posłał mnie na północ, abym zebrał wieści o Mroku, i mam obowiązek dostarczyć mu plon mych poszukiwań. - W jego głosie dźwięczała lekka ironia. - Lecz przede wszystkim, i co jest bliższe memu sercu, chcę się spotkać z Nelakiem z Lirigonu.

- Musi być teraz bardzo stary - zauważyła Kelia. - Nigdy go nie spotkałam, choć oczywiście czytałam kilka jego dzieł: *Osobliwe kwiaty gis* to prawdziwe arcydzieło. - Niektórzy bardowie uśmiechnęli się na wzmiankę o obsesji towarzyszkii. - Ale powinnam wyrazić się jaśniej: na co liczysz dla Maerad?

Dziewczyna nadstawiła uszu.

- Maerad nie przebudziła jeszcze w sobie Mowy - odparł Cadvan. - A jak wiecie, to bardzo późno jak na barda, choć zdarzało się już wcześniej: powiadają, że Callihal z Desoru zyskał Mowę, dopiero gdy miał dziewiętnaście lat. Lecz oczywiście póki się to nie stanie, nie można jej powołać i nie pozna swego imienia. Myślę, że Nelac lepiej niż ktokolwiek w Annarze będzie mógł doradzić nam, jak pokierować Maerad.

- Lepiej niż tu zebrani?

Kelia uniosła brwi, nie próbując nawet ukrywać wątpliwości.

- Dogłębnie poznał pewne kwestie mądrości, w których chcę zasięgnąć jego rady - wyjaśnił Cadvan.

- Po co ci mądrość? - nalegała. - To tylko kwestia późno przebudzonej bardki.

- Nie, nie tylko. - Mimo nalegań Kelii Cadvan nie chciał ciągnąć tego tematu. Maerad przyjęła to z rozczarowaniem: nie tylko Kelia chciała wiedzieć, dlaczego Cadvan uważają za tak ważną.

- W końcu wybaczyłam Cadvanowi, że zabiera stąd Maerad - wtrąciła lekko Silvia, bo wyglądało na to, że Kelia i Cadvan lada moment pokłócą się na dobre - choć bardziej niż ktokolwiek chciałam ją tu zatrzymać. - Ze smutnym uśmiechem zwróciła się do Maerad: - To czysty egoizm z mojej strony: czułam się niemal tak, jakbym znów miała córkę.

Malgorn z troską zerknął na żonę, a Maerad spojrziała na nią pytająco.

- Clavila, nasza córka, zginęła w wypadku prawie trzydzieści lat temu - wyjaśnił Malgorn.

Maerad wydało się, że słyszy w jego głosie nutę niechęci, jakby nie lubił wspominać dawnego bólu.

- Och - wymamrotała zakłopotana, nie mogąc wymyślić żadnej zgrabnej odpowiedzi. - Tak mi przykro.

Z całkowitym już zrozumieniem spojrziała na Silwię, ta jednak odwróciła twarz w stronę ognia.

Wkrótce potem przenieśli się do sali muzycznej i bardowie chwycili instrumenty. Maerad zostawiła swój w sypialni, lecz na prośbę Oron pobiegła na górę po lirę. Oron obejrzała ją z ogromną ciekawością.

- Nie ma wątpliwości, to robota dhylicka - rzekła. - Miałaś rację, Cadvanie, ukrywając to przed innymi. Nigdy nie widziałam podobnego instrumentu. - Pogładziła palcami wytarte drewno i trąciła lekko struny. - Jaki piękny ton! Jakim cudem Milanie udało się ukryć coś takiego?

- Pellinor był starą Szkołą, kryjącą w sobie wiele skarbów - odparł Cadvan.

- Nie wątpię, że to największy z nich, ale wygląda tak skromnie, że może łatwiej go ukryć, niż przypuszczamy. Większość ludzi, nawet bardów, uznałaby ją za chłopską harfę, nic więcej.

- W Gilmanowym Siole też tak myśleli - wtrąciła Maerad. - Gdyby wyglądała lepiej, nie pozwoliliby mi jej zatrzymać. - W duchu wciąż nie mogła uwierzyć, że jej skromna lira to tak wielki skarb. - Kocham ją z innego powodu. To jedyne, co mi zostało po matce. - Odebrała Oron instrument i trąciła lekko struny. - Śpiewa do mnie.

- Wykazałeś się sprytem, dostrzegając jej prawdziwą wartość, Cadvanie - wtrąciła Oron.

- Gdybym nie był sprytny, już bym nie żył - odparł cierpko. - A teraz co zagramy? Myślę, że coś instrumentalnego.

Maerad nigdy jeszcze nie bawiła się tak dobrze, całkowicie pogrążona w muzyce w tym cudownym pokoju. Gra z równie wspaniałymi muzykami - ku jej zdumieniu nawet Indik okazał się mistrzem gry na flecie i mimo ponurego wyglądu wydawał z niego zaskakująco delikatne dźwięki - była przyjemnością, jakiej przedtem nie zaznała. Blask lamp odbijał się ciepło od błyszczących instrumentów i kieliszków z winem i czuła się częścią wesołej kompanii, która pod żartami skrywała głęboką miłość do muzyki i pieśni. Było już bardzo

późno, gdy Silvia dała sygnał do zakończenia spotkania i zaczęli się żegnać.

Wychodząc, Oron zatrzymała się i ujęła dłonie Maerad.

- Przykro mi tylko, że nasze spotkanie trwało tak krótko. Niechaj Światło pada zawsze na twoją drogę.

- I na twoją - odparła Maerad, znając już właściwą uprzejmą odpowiedź.

Oron patrzyła jej prosto w twarz i Maerad poczuła bystry, bezwzględny umysł naciskający na jej własny niczym promień światła przenikający w głąb mrocznego pokoju. Wzdrygnęła się lekko i Oron wypuściła ją ze śmiechem.

- Myślę, że już się nie spotkamy - rzekła. - Światło błogosławi cię w okrutny sposób, twoja ścieżka będzie ciemna i trudna. Lecz dzielne serce może zwyciężyć tam, gdzie umiejętności nie stanie.

Maerad przypomniała sobie, że Indik powiedział jej to samo, lecz w ustach Oron zdanie to miało inną wagę, zupełnie jakby mówiła o czymś znacznie bardziej doniosłym i głębokim niż sztuka władania mieczem.

Nagle odniosła wrażenie, że padł na nią cień, przeczucie Mroku. Zadrżała.

- Mam nadzieję - odparła z powagą. - Tyle jeszcze muszę się nauczyć.

- Podobnie jak my wszyscy - odparła lekko Oron. Następnie pokazała Maerad srebrną broszę w kształcie lilii Pellinoru i przypięła ją na jej piersi.

- Noś ją z dumą! - rzekła. - Należała kiedyś do Icarima z Pellinoru, mojego starego druha i wspańiałego barda. Myślę, że byłby rad, wiedząc, kto teraz ją nosi. - Odwracając się do Cadvana, dodała: - Cadwanie, nie muszę ci mówić, żebyś strzegł tej młodej niewiasty. Warta jest nawet twojego życia. Stąpasz ciemną, niepewną ścieżką, lecz zawsze tak było. Mogę ci tylko rzec, stary druha: bądź ostrożny!

- Przywykłem do ostrożności - odparł Cadvan. - Lecz w sercu czuję ból. Myślę, że kiedy spotkamy się znowu, nastąpi to poza Bramami bez Powrotu, o Oron z Innailu.

Oron wytrzymała jego spojrzenie, po czym skłoniła głowę.

- Niechaj i tak będzie. Wiodłam długie, radosne życie - oznajmiła. - Nie boję się już o siebie. Posyłam moje nadzieje i lęki z tobą i z twoim zadaniem.

Położyła mu dłonie na ramionach i ucałowała w czoło. Przez moment trwali w bezruchu: dwie wysokie, poważne postaci. Maerad wydało się, że znaleźli się poza czasem, niczym bohaterowie historii opowiadanej od stuleci: dwójka szlachetnych bardów Wiedzy, sławionych w annałach krainy. Lecz chwila wkrótce minęła i zamrugawszy, ujrzała jedynie mężczyznę i kobietę stojących w niewielkiej komnacie, w której ogień na palenisku żarzył się sennie. Oron pożegnała skinieniem głowy pozostałych bardów i wyszła.

Silvia pobladła jak ściana.

- Nie wiem, co tam ujrzałeś, Cadvanie. Śmierć Oron będzie dla nas wszystkich ogromną stratą.

- Przed końcem wszyscy poniesiemy ciężkie straty - odparł ponuro Cadvan. - A nikt nie wie, jaki będzie ów koniec.

Po tych słowach zebrani stracili ochotę do rozmów i wkrótce Maerad z Cadvanem pożegnali się z resztą kompanii i wyszli.

- To ciekawe, że Silvia wspomniała o swojej córce - zauważył Cadvan, odprowadzając ją korytarzem. - Nigdy o niej nie mówi. Przebudziłaś w niej dawne smutki, Maerad.

- Nie chciałam - odparła z żalem.

Pomyślała o własnej matce. Gdyby została w Innailu, być może ukoiłaby w jakimś stopniu ów dawny ból. Zaczynała rozumieć nieco lepiej złożoną tęsknotę Silvii.

- Nie winię cię za to - wyjaśnił Cadvan. - Czasami nowe życie bywa bolesne: budząca się z odrętwienia kończy na pieczę. Uważam raczej, że to dobre, być może dla was obu.

Maerad odnalazła w jego słowach dziwną pociechę. Pod jej drzwiami życzyli sobie dobrej nocy. Już w komnacie zwinęła się na łóżku z książką podarowaną przez Dernhila. Potrzebowała długiego czasu, by odczytać tytuł wiersza, który przyciągnął jej uwagę: *Dla Clavili*.

Nagle ogarnął ją zbyt wielki smutek, nie miała siły zmagać się z literami i odłożyła ostrożnie książkę na półkę. Zdecydowała, że przeczyta to jutro.

*

Następnego dnia przed drugim śniadaniem Cadvan zastał Maerad siedzącą na łóżku w ponurym nastroju. Słuchała odgłosów Szkoły: odległego strojenia instrumentów, nawoływań uczniów i bardów w domu, bębnienia deszczu o szyby. Dziś myśl o opuszczeniu Innailu i niewygodnej podróży w nieznaną z powodów, których wciąż nie była świadoma, wydawała się dużo mniej ekscytująca.

- Deszcz! - Cadvan podszedł do okna. - Miejmy nadzieję, że nie ustanie. Na szczęście wygląda na to - dodał, mrużąc oczy i spoglądając przez ołowiowe szybki - że rozpadało się na dobre.

- Niezbyt dobra pogoda do jazdy - zauważyła lekko nadąsana Maerad.

- Tym mniejsze szanse, że ktoś jeszcze zechce wyjechać dziś wieczór albo natknąć się na nas przypadkiem. - Cadvan od dłuższego czasu nie wydawał się jej równie wesoły. - Przy odrobinie szczęścia przez parę dni nikt się nie zorientuje, że nas tu nie ma.

- Chyba tak - mruknęła. - Choć nie mam pojęcia, jaką to robi różnicę.

- Może żadną. Może najważniejszą w świecie. - Zaczął niespokojnie krążyć po komnacie. - Powinniśmy sprawdzić konie - rzekł. - I czy nie chciałaś zobaczyć się dziś z Dernhilem? Możemy to załatwić za jednym razem.

Narzucili ciężkie płaszcze i ruszyli do stajni. Na ich widok Imi parsknęła na powitanie i nastrój Maerad poprawił się nieco; zdążyła już polubić swoją klacz. Wierzchowiec Cadvana okazał się karym ogierem imieniem Darsor. Maerad nigdy nie widziała równie dumnego i mocarnego stworzenia.

- Przybył wczoraj z południa Annaru na moje wezwanie - wyjaśnił Cadvan. - Należy do rasy z Lanorgrimu. Zgadza się być moim wierzchowcem. Nie rozkazuję mu. To mój przyjaciel.

- Wygląda, jakby łaknął ruchu, a nie przebył właśnie długą drogę - zauważyła zdumiona Maerad. - Co masz na myśli, mówiąc, że go wezwałeś?

- Przyjaciel zawsze słyszy - odparł tajemniczo Cadvan. - A to jest Imi? Indik dobrze ją wybrał, jest dla ciebie idealna. - Wymówił kilka słów w Mowie do klaczy, która parsknęła i uderzyła w ziemię kopytem. Cadvan zaśmiał się. - Dumna i kapryśna klacz, zupełnie jak jej pani - oznajmił, zwracając się do Maerad. - Nie chce się ukorzyć nawet przed Darsorem, który jest władcą wśród koni. Spytałem, czy zdoła dotrzymać nam kroku, i poczuła się urażona, że mogę w to wątpić.

Poklepał Imi po szyi.

Po wyjściu ze stajni umówili się na spotkanie przed ucztą w pokoju muzycznym domu Silvii i Malgorna. Potem Cadvan udał się do domu muzyki, żeby załatwić jakieś sprawy. Maerad tymczasem po raz ostatni skierowała się do biblioteki, aby pożegnać Dernhila. Jak zawsze przebywał w swoim pokoju. Podejrzewała, że czasami w nim sypiał: wyobraziła sobie, jak drzemie nad książkami, ogień dogasa w palenisku, a z odrętwiałej ręki wypada mu pióro. Kiedy weszła, uniósł głowę.

- Maerad! Cieszę się, że przyszłaś. Usiądź.

Przysunęła sobie krzesło, odkładając na podłogę książki, które zdążyły już się na nim spiętrzyć, i przysiadła obok niego. Dernhil grzebał w rzeczach na biurku: wyraźnie czegoś szukał.

- Mam coś i uznałem, że powinienem ci to dać - oznajmił. - Jest gdzieś tutaj... O tak, to to.

Wyciągnął ze stosu książek kawałek pergaminu i wygładził go na blacie. Pergamin wyglądał na bardzo stary: mocno wytarty i cienki, pokryty inkaustem do tego stopnia wyblakłym, że miejscami niemal nieczytelnym. Maerad rozpoznała niektóre litery, zapisano

je jednak osobiwie i nie zdołała ułożyć ich w słowa.

- Znalazłem go niedawno, gdy szukałem czegoś innego - wyjaśnił Dernhil. - Tkwił w pliku papierów i innych szpargałów, które nie interesują nikogo, może prócz mnie, starych ballad, spisów i tak dalej. Myślę, że nikomu nie będzie go brakować, a być może tobie bardziej się przyda; lepiej, żebyś zabrała go z biblioteki, gdzie mogłyby go ujrzyć niewłaściwe oczy.

- Co jest na nim napisane? - spytała Maerad.

- Przepraszam, zapomniałem, że nie potrafisz jeszcze go odczytać. To osobiwy dokument zapisany w Mowie Lat Średnich, jakieś trzysta lat po odbudowie królestwa Annaru przez Maninaego. Z pozoru to nonsens, ale sam nie wiem...

- Mógłbyś mi go przeczytać?

Dernhil spojrział na Maerad z rozbawieniem. Siedząc na skraju krzesła i wiercąc się niecierpliwie, wyglądała jak dziesięcioletnie dziecko.

- Owszem. Autor pisze tu mniej więcej tak: *Ja, Lanorgil z Pellinoru, zapisuję niniejszym mój sen, by ci, którzy przyjdą po mnie, dowiedzieli się, jak przeszedłem przez Bramy na Bezgraniczną Równinę. Lanorgil słynął w swych czasach jako wieszcz i dlatego właśnie ten tekst zwrócił moją uwagę. Dziwne, że akurat na niego się natknąłem, choć przecież Biblioteka Innailu cieszy się zasłużoną sławą i nikt z żyjących nie zdołał przeczytać całego jej zbioru.*

Maerad poruszyła się niecierpliwie.

- No dobrze, oto ciąg dalszy: *Mgła zasnuwa jasną rzekę. Mgła, której nie może przeniknąć żadne ludzkie oko. Mgła mącząca w głowach śmiałkom i powalająca... chyba... maluczkich w lęku i trwodze.* - Maerad z nagłym ukłuciem zgrozy przypomniała sobie własny sen. - *Wszystko spowija ciemność i mgła, zepsucie dręczy najwyższe trony Annaru, a ci, którzy podążają wiernie ścieżką Światła, wpadają w cień. Odnajdźcie wówczas tę, która przychodzi bez Mowy z gór, bardkę bez szkoły, a jednak z tej Szkoły. Odnajdźcie i czcijcie Ognistą Lilię, dziecko losu, które zakwita jasno w mroku i długo śpi w ciemności, bo z jej korzenia rozkwitnie na nowo Biały Płomień wówczas, gdy zdawać się będzie, że jego nasienie zostało nieodwracalnie zatrute. Zważcie na Znak i nie bądźcie ślepi! W imię Światła i w trosce o Mowę, której korzenie leżą w Drzewnej Pieśni ożywiającej wszystko. Tak oto przemówiły głosy snu do Lanorgila w ten dhorday, siódmy miesiąca luminilu, w roku 316 kalendarza annaryjskiego.* To data sprzed prawie sześciuset lat. - Spojrział na Maerad. - Tekst wydaje się bez sensu. Odnajdźcie wówczas tę, która przychodzi bez Mowy z gór, bardkę bez szkoły, a jednak z tej Szkoły. - Jego wzrok powędrował ku broszy Maerad. - Ognista Lilia to jednak

osobliwe określenie: niewątpliwie ma się kojarzyć z Pellinorem, choć symbol Pellinoru to zazwyczaj kalia... - Urwał, zatopiony w myślach; Maerad czekała cierpliwie. - Całkiem nieźle pasujesz do tej zagadki - rzekł w końcu, unosząc wzrok. - I może to wyjaśnia motywy Cadvana... Jak mało kto zgłębił dawną mądrość i wie o wielu sprawach, które zostały zapomniane...

- Ja... nie mam pojęcia - przyznała Maerad. - Niewiele mi mówił.

Dernhil sprawiał wrażenie nieco zawiedzionego.

- No cóż, może po prostu daj mu ten pergamin. Bez wątpienia nie przez przypadek znalazłem go akurat teraz. Powiadają, że kiedy trzeba, Światło zaczyna działać. Tekst ten przywiódł mi na myśl dawne pieśni o Dziecku Losu. Nie śpiewa się ich już, ale nie wszyscy zapomnieli.

- Dziecku Losu? - Uczucie przerażenia rozlało się w piersi Maerad; nagle pożałowała, że Dernhil znalazł pergamin, ale zwalczyła odruch nakazujący go podrzeć. - Co to znaczy? I co to w ogóle ma wspólnego ze mną?

- Trudno orzec. - Dernhil przyglądał się jej z niepokojącym napięciem. - Tak czy inaczej, nie wspominaj o tym nikomu prócz Cadvana. Myślę, że zaczynam rozumieć. - Twarz miał niespokojną. - Wolę nie myśleć o tym, że masz podróżować po rozległych i niebezpiecznych krainach, taka młoda, niewyszkolona - podjął. - Możliwe jednak, że nigdzie nie byłabyś bezpieczna, a zwłaszcza tu, gdzie ktoś mógłby odgadnąć, że jesteś kimś więcej niż zwykłą ciekawostką. Niechaj Światło cię strzeże!

Zapadła krótka, niezręczna cisza. Maerad nie wiedziała, co odpowiedzieć; miała wrażenie, że z niewiadomych przyczyn Dernhil czymś się gryzie. Nieśmiało dotknęła jego dłoni.

- Myślę, że z Cadvanem będę bardziej bezpieczna niż z kimkolwiek innym - rzekła cicho.

Ujął jej rękę w obie dłonie i uścisnął mocno.

- Ja też tak sądzę. Mimo to wolałbym, żeby sprawy wyglądały inaczej i żebyś mogła zostać tutaj, kochana, jak na to zasługujesz.

Ucałował jej dłoń, a potem niespodziewanie chwycił ją w objęcia i pocałował w usta.

Wewnątrz jej głowy jakiś głos krzyknął: „Nie!”, lecz Maerad nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Na ułamek sekundy ogarnęło ją przerażenie: nagle wspomnienie gorącego oddechu na skórze, okrutnych dłoni ściskających ciało do bólu, brutalnego sapania podnieconego mężczyzny... Wyśliznęła się z jego objęć niczym wąż, na oślep wymachując pięściami, i stanęła przed nim zdyszana, unosząc ręce w geście klątwy, przygważdżając go

wzrokiem. Nagle zobaczyła krew płynącą z rozciętej wargi mężczyzny i w tym momencie uświadomiła sobie, że to Dernhil, nie Burk, brutal, który próbował ją zgwałcić w siole; przecież Dernhil tylko ją pocałował. Zaszokowana, oniemiała ze wstydu opuściła ręce i odwróciła się. Dernhil zasłonił oczy dłonią.

- Przepraszam - wyszeptała Maerad.

Nagle zauważyła, że cała dygocze. Dernhil poruszył się i uniósł głowę.

- To nie ty powinnaś przeproszać, Maerad. - Ku swemu zakłopotaniu dostrzegła łzy w jego oczach. - Tak mi wstyd: obawiam się, że się zapomniałem. Czasami trudno pamiętać, że jesteś taka młoda i że życie traktowało cię tak okrutnie. Może kiedyś spotkamy się jeszcze i wówczas zrozumiesz coś więcej z mowy serca. Teraz powinnaś już iść. Nie zapomnij pergaminu! Niechaj Światło pada zawsze na twoją drogę.

- I na twoją - wymamrotała pośpiesznie Maerad.

Chwyciła kawałek pergaminu ze stołu, przy którym Dernhil siedział nieruchomo, nadal osłaniając ręką oczy. Z mocno bijącym sercem szybko wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie.

*

Wróciła wprost do swojej komnaty, maszerując szybko w deszczu, który zamienił się w prawdziwą ulewę. Ledwie go zauważała. Choć Cadvan żartował z zauroczenia Dernhila, nie wierzyła mu. Czyżby zrobiła coś złego? Powiedziała coś, co go zwiodło?

Już w sypialni rzuciła się na łóżko. Przepelniała ją irracjonalna panika. W Gilmanowym Siole sporo czasu poświęcała na obronę przed niechcianymi zalotami brutali Gilmana i innych niewolników; gwałty zdarzały się tam bardzo często. Sama uniknęła ich jedynie dzięki niezwyklej przebiegłości i ostrożności, a także mocy klątw. Raz jeden doszło do przerażającego spotkania z Burkiem - zadrżała na to wspomnienie - ale potem nikt już nie próbował. Na trzy dni oślepl, a wrzody zagoiły się dopiero po kilku tygodniach i nikt nie odważył się jej ukarać... Jedynym mężczyzną, któremu ufała, był Mirlad, a i przy nim zachowywała czujność; poza tym jednak nauczyła się lękać i unikać wszelkich objawów zainteresowania z męskiej strony.

Wiedziała, że Dernhil jest zupełnie inny, ale mimo wszystko nie mogła się uspokoić. Rozłożyła podarowany jej pergamin i obejrzała uważnie: pokrywające go pismo było tak osobliwe i rozwleczone, że nie mogła go zrozumieć, nie rozpoznawała też większości słów. Wepchnęła pergamin pod poduszkę i położyła się na wznak, wbijając wzrok w sufit. Do wiru emocji związanych z Dernhilem dołączyła niepojęta groza, jaką budziła stara przepowiednia.

Godzinę później do jej drzwi zastukała Silvia, pytając, czy Maerad potrzebuje pomocy

w przygotowaniu do wieczornej uczy.

- Nic ci nie jest, Maerad? - spytała z nagłą troską.

- Zupełnie nic - odparła, lecz spojrzała na nią żalonym wzrokiem.

- Co się stało? Czy ktoś coś powiedział? A może martwisz się wyjazdem?

Silvia nie potrzebowała dużo czasu, by wyciągnąć z Maerad prawdę o spotkaniu z Dernhilem. Dziewczyna zrelacjonowała je niechętnie, niemal sparaliżowana wstydem. Nie wspomniała o pergaminie, bo Dernhil polecił jej ukryć go przed wszystkimi oprócz Cadvana. Zapadła długa cisza: Silvia przetrawiała jej słowa.

- Posłuchaj, Maerad, wśród bardów te sprawy wyglądają nieco inaczej niż wśród zwykłych ludzi - rzekła w końcu. - Częściowo dlatego, że tak długo żyjemy... - Znów zamilkła. - Jedną z rzeczy, których uczymy się i które cenimy nade wszystko, jest mądrość w sprawach serca, zrozumienie sedna miłości. Dernhil nie należy do ludzi pochopnych w uczuciach. Myślę, że nie zachował się tak roztropnie, jak powinien. Z całą pewnością nie chciał tak bardzo tobą wstrząsnąć. - Ucichła na chwilę. - Dlaczego tak cię to gryzie?

- Czy zrobiłam coś złego?

Nie potrafiła wyjaśnić Silvii, jak bardzo przeraził ją wyraz twarzy Dernhila; nie rozumiałyby.

- Nie, najdroższa, jakżebyś mogła? - Silvia poklepała ją po ręce. - I wątpię, czy Dernhil będzie ostatni. Ale co ty czujesz?

Maerad, zaskoczona, zastanowiła się nad tym.

- Do Dernhila? Nie wiem - przyznała w końcu. - To znaczy, bardzo go lubię, był dla mnie bardzo dobry, ale myślę o nim, no wiesz, jak o przyjacielu.

- I nim właśnie jest i pozostanie - oznajmiła stanowczo Silvia. Objęła ramieniem Maerad i uścisnęła ją. - Nie martw się, Dernhil to dorosły mężczyzna, nie będzie cię winić za swoje błędy. W miłości nie ma wstydu: to oznaka szczodrego serca, a ból to cena, jaką płacimy za otwartą duszę. On to wie. Tak czy inaczej - dodała, zmieniając temat - Dernhil prosił mnie, żebym ci to dała. - Wręczyła jej zwój pergaminu zapieczętowany woskiem. - Wyglądał na mocno poruszonego, teraz rozumiem dlaczego. Pozwolisz, że powtórzę mu naszą rozmowę?

Maerad pokiwała głową.

- Powiedz mu, że już wszystko dobrze - dodała.

- W takim razie wrócę później.

Silvia wyszła z komnaty.

Maerad spojrzała niepewnie na nowy pergamin. Po dłuższej chwili z dziwną niechęcią

przełamała woskową pieczęć i rozwinęła go. Na karcie, nakreślony wyraźnie stanowczym pismem Dernhila, widniał wiersz, krótki enryu, który przesylabizowała powoli.

Upojony pięknem zerwałem w pośpiechu

Naręcza kwiatów.

O, jakże puste oszpecone niebo!

Pod spodem Dernhil dopisał: *Maerad, najmocniej przepraszam za swoją głupotę. Twój wierny przyjaciel, Dernhil.*

Kilka minut przyglądała się pergaminowi i w końcu poczuła, że ogarnia ją ciepłe, zupełnie nowe uczucie. Zastanawiała się, czy powinna odpowiedzieć. Oczywiście - pomyślała - może pewnego dnia historia o tym, jak rozbiłam mu wargę, stanie się przedmiotem żartów, tak jak opowieść o pojedynku z Cadvanem... Podeszła do stołu i sięgając do zapasu papieru od Dernhila, napisała mozolnie: *Dziękuję ci, Dernhilu. Od twojej przyjaciółki Maerad.* Zdecydowała, że później odda list Silvii, by przekazała go adresatowi.

Potem, nagle przypomniawszy sobie, która godzina, po raz ostatni ruszyła do łazienki, jej chyba najulubieńszego pomieszczenia w domu. Kąpała się co dzień, rozkoszując się ciepłą wodą, olejkami i cudownym samopoczuciem, jakie im zawdzięczała. Teraz spędziła tam znacznie więcej czasu niż zazwyczaj i gdy wróciła, Silvia czekała już w komnacie, ubrana i gotowa.

Przygotowania przypominały niemal rytuał, choć robiły to wcześniej tylko raz, ale teraz wyglądały inaczej. Maerad nie czuła onieśmienia na widok wspaniałych strojów i sama nałożyła suknię, choć Silvia pomogła jej zapiąć guziki z tyłu. Usiadła przed lustrem, patrząc, jak kobieta czesze i układa jej włosy, i nagle zorientowała się, że skaleczenie na czole, pozostałość walki z łakami, już się zagoiło: jedynym jego śladem była cieniutka biała blizna tuż pod linią włosów. Odchyliła się, tuląc głowę do Silvii, i westchnęła.

- Będę za tobą tęsknić, Maerad - powiedziała tamta. Maerad wstała. - Przyjaźń zawsze niesie z sobą ryzyko smutku. Dzięki tobie przypominałam sobie wiele rzeczy, które kocham, a które odeszły. To powód nie tylko do cierpienia, ale i radości, i za to ci dziękuję. - Wyjęła zza dekoltu niewielką paczuszkę i wręczyła Maerad. - Chciałabym ci coś dać, żebyś mnie pamiętała. To należało kiedyś do mojej córki, Clavili, a teraz to podarunek dla ciebie.

Maerad, oniemiała, odpakowała zawiniątko. Wewnątrz tkwił biały kamień podobny do tego, który Silvia nosiła na ręce. Wisiał na cienkim złotym łańcuszku.

- To klejnot, który nazywamy gwiazdną wodą, *dhillian*. Jest bardzo drogi Światłu i ma pewne moce - wyjaśniła Silvia. - Być może w mrocznym miejscu przyniesie ci uzdrowienie. - Założyła go na szyję Maerad, która przejrzała się w lustrze. - A w jasnym miejscu rzecz jasna cię ozdobi - dodała Silvia i ucałowała ją w policzek.

Maerad odwróciła się i niemal desperacko uściśnęła kobietę, jakby była wciąż małym dzieckiem. Trzymała ją mocno, wciągając w nozdrza jej zapach, wonną mieszaninę mleka, migdałów i lawendy. W końcu Silvia pocałowała ją w czubek głowy.

- Powinniśmy już zejść - rzekła.

- Dziękuję, Silvio - wymamrotała Maerad, przyciskając twarz do jej sukni. - Tak bardzo dziękuję, za wszystko, wszystko, co mi dałaś. Żałuję, że nie mam niczego, co mogłabym podarować tobie.

- Już podarowałam - odparła Silvia. - A teraz chodźmy.

*

Malgorn i Cadvan czekali w pokoju muzycznym; potem wszyscy razem poszli do wielkiej sali na ucztę. Silvia i Malgorn rozstali się z nimi przy drzwiach, ponieważ Malgorn pod nieobecność Oron pełnił funkcję Pierwszego Barda. Maerad rozejrzała się szybko, szukając wzrokiem Dernhila, lecz ku jej uldze zabarwionej zawodem nie było go. Salę ozdobiono tak jak wcześniej, ale czuła zmianę atmosfery. Z początku sądziła, że to jej własne przygnębienie, kiedy jednak wspomniała o tym Cadvanowi, przyznał jej rację.

- Owszem, na bardów padł cień - powiedział. - Po tygodniu rozmów ujawniliśmy tylko dzielące nas różnice. Wszyscy zgadzamy się, że coś jest nie tak. Istnieje zbyt wiele dowodów, by móc temu przeczyć bądź zlekceważyć to jako część naturalnego cyklu, choć i teraz niektórzy usiłują to robić. Lecz nawet ludzie dobrej woli nie mogą uzgodnić, co począć dalej, ani określić, w czym kryje się zło.

- Nigdy jeszcze nie byłem na Zgromadzeniu, które zakończyłoby się tak mizernymi wnioskami - oznajmił Saliman, który znów siedział obok nich.

- Myślę, że to samo w sobie stanowi wyraźny objaw. I sądziłem, że przybywam na północ prosić o pomoc! - Pokręcił głową. - Wiesz, Cadvanie, odnoszę wrażenie, że my na południu jesteśmy bliżsi ścieżkom i potrzebom Światła. Mój lud jest wierny i szczery, nie przekręca Mowy, by zachować wierność jej literze, pomijając ducha, jak niektórzy tutaj. Część bardów na północy zapomniiała, na czym polega ich moc. Oczywiście nie w Innailu - dodał. - Oron to wielka bardka, Światło wciąż żyje w tej Szkole i płonie jasno. Lecz nie podoba mi się, co mówią przybysze z Ettinoru i Desoru. Przybywają ze skargami i odchodzą w gniewie. - Zerknął przez ramię w miejsce, gdzie przy dalszym stole siedzieli Helgar i

Usted, pochyleni ku sobie i pogrążeni w rozmowie.

- Masz rację, Salimanie - odparł Cadvan. - To równie dobrze jak inne znaki mówi nam, że nastały ciężkie czasy.

- Może wybierzesz się ze mną na południe, Cadvanie? - zaproponował Saliman. - Potrzebujemy takich jak ty. W Dén Ravenie gromadzą się siły, mój lud zbroi się przeciw Mrocznym Magom. Przynajmniej tam będziemy gotowi do walki.

- Nie mogę - odrzekł Cadvan. - Przynajmniej jeszcze nie teraz. Mam inne obowiązki, a moja droga wiedzie na zachód.

- Nie wszystkie nieprzyjemne - zauważył Saliman, uśmiechając się do Maerad. - Jak tam twoje lekcje?

Rozmowa zesłała na ogólniejsze tematy. Saliman zabawiał Maerad anegdotami z Turbanska, wielkiego miasta na południu, z którego pochodził.

- Słońce ogrzewa tam wszystko, nie znamy marznących deszczów - rzekł.

- O, gdybyś tylko mogła to zobaczyć! Nasze wieże są jak kamienne lilie, wewnątrz kryją się dziedzińce osłonięte bujnymi pnączami; można tam siedzieć, słuchać szmeru fontann i jeść winogrona. A na ulicach jedwabne kramy i targ kwiatowy... - W jego głosie dźwięczała tęsknota. - Usiąść na murach Czerwonej Wieży, które opadają wprost ku srebrzystym wodom morza Lamarsan, i oglądać zachód słońca, słuchać krzyków sprzedawców owoców, ptaków i układających się do snu małp... Nie ma nic piękniejszego na całym świecie.

- Może któregoś dnia tam pojedę - szepnęła Maerad.

- Na pewno! - rzucił Saliman. - Zabiorę cię do Świętych Grót, wielkich jaskiń, w których przez tysiące lat mój lud oddawał cześć Światłu. Wody rzeki Lamar wpadają tam do uświęconego stawu, migocząc w promieniach księżyca niczym zasłona z diamentów. Wówczas poznasz, co to zachwyt. Nieprawdaż, Cadvanie?

- Nikt, kto ma oczy, nie mógłby się nie zachwycić - rzekł Cadvan z uśmiechem. - Nie widziałem niczego, co mogłoby z tym konkurować.

- Tęsknię za domem - oznajmił Saliman, choć i tak było to widoczne. - Zawsze byłem niespokojnym duchem i to dla mnie nowe uczucie. Chyba nie spędziłem tam dość czasu. Może kiedy na świat pada cień, nasze serca zwracają się ku domowi i tym, których kochamy.

- Czy teraz wracasz do domu? - spytała Maerad.

- Niestety nie. Najpierw muszę udać się do Norlochu. Może tam znajdę to, czego szukam, ale w głębi serca w to nie wierzę. To dla mnie podróż długa i pozbawiona radości, choć od dawna nie widziałem się z Nelakiem i tęsknię za nim. Nelac był nie tylko

nauczycielem Cadvana, ale i moim - wyjaśnił. - Może wspominał ci o nim? To wielki bard, lecz nawet najwięksi się starzeją. Potrzebujemy więcej takich jak on. Nie podoba mi się to, co słyszę o wydarzeniach w tym kraju. Wszystko, co dobre i zdrowe, więdnie.

- To niepodobne do ciebie tak się smuć - zauważył Cadvan. - Kiedy wyruszasz?

- Myślę, że za tydzień - odrzekł Saliman. - Nieśpieszno mi opuszczać to schronienie. A będzie jeszcze lepiej, kiedy wyjadą ci, którzy obrażają mnie z powodu koloru mej skóry. - Maerad wiedziała, że ma na myśli Helgar, Usteda i innych. - Nie miałem też właściwie czasu zasięgnąć rady Oron; mam nadzieję uczynić to przed wyjazdem.

*

Tego wieczoru Cadvan nie wystąpił przed publicznością i Maerad słuchała, jak inni bardowie odgrywają pieśni pożegnalne. Nawet przecucie nadchodzącej grozy nie mogło osłabić radości, jaką czerpała z muzyki. Tak bardzo się zaśluchała, że aż się wzdrygnęła, gdy Cadvan szepnął, że czas wychodzić.

Razem pożegnali się z Salimanem, a potem ruszyli do najwyższego stołu, gdzie siedzieli Malgorn i Silvia.

- Pójdziemy z wami - oznajmiła Silvia. - Zaczynam czuć zmęczenie.

W milczeniu wrócili do ich domu; tam Cadvan i Maerad przebrali się w podróżne stroje. Maerad zdjęła eleganckie szaty i nałożyła przygotowane przez Siliwę skórzane spodnie i bluzę, a na nie ciężki granatowy płaszcz. Nie zdjęła klejnotu, który podarowała jej kobieta, lecz jedynie ukryła go pod ubraniem. Kolczugę i hełm już wcześniej schowała do sakwy. Z żalem złożyła szkarłatną suknię i umieściła w skrzyni; domyślała się, że minie dużo czasu, nim znów przywdzieje podobnie wytworny strój. Potem, po raz ostatni rozejrzawszy się po komnacie, zabrała sakwę i zeszła na dół.

- Teraz jesteśmy prawdziwymi podróżnymi. - Cadvan przywdział strój, który zapamiętała z ich pierwszego spotkania, wtedy sfatygowany i poplamiony, obecnie czysty i naprawiony. - Nie będziemy jednak obozować, póki nie opuścimy doliny Innailu. Są tu wspaniałe gospody, zbrodnią byłoby do nich nie zajrzeć!

Maerad uśmiechnęła się z ulgą: myśl o noclegu pod gołym niebem w tę pogodę przerażała ją. Cadvan podał jej niewielki kieliszek słodkiego wina.

- Musimy spełnić pożegnalny toast. - Uniósł swój kielich ku Malgornowi i Silvii. - Pokój waszemu domowi i wszystkim, którzy w nim mieszkają.

- I oby Światło doprowadziło was bezpiecznie do końca podróży - odparł Malgorn.

Wypili wino, a potem Cadvan i Maerad po raz ostatni objęli Siliwę. Malgorn miał iść z nimi, by pokazać im sekretne wyjście ze Szkoły.

- Dopilnuj, żeby nie zjadł sam wszystkich racji - powiedziała Silvia do Maerad, uśmiechając się ze smutkiem. - Wciąż musisz przybrać na wadze.

- To niesprawiedliwe - wtrącił Cadvan. - Ledwie mogę zmusić ją do jedzenia!

- Żegnajcie.

Silvia została w drzwiach, odprowadzając ich wzrokiem, póki nie zniknęli w ciemności.

Okryci płaszczami dla ochrony przed chłodem maszerowali szybko nocnymi ulicami Innailu do stajni. Znów zaczął padać deszcz, lekka mżawka, która stopniowo stawała się coraz mocniejsza. Ich kroki odbijały się echem od czarnych ścian domów, krople deszczu migotały na mokrym bruku niczym drobinki zimnego światła. Kiedy dostrzegli kilku bardów wracających do domu z uczty, schowali się w najbliższych drzwiach, zakrywając twarze kapturami. Poza tym nie spotkali nikogo, niepostrzeżenie wędrując wśród cieni.

Maerad czuła się już oderwana od życia w Innailu. Zaledwie dziesięć minut temu była jego częścią, jedną lśniącą nitką w gobelinie o skomplikowanym wzorze. Teraz przygniotło ją brzemień smutku. Czy kiedykolwiek jeszcze tu wróci? Czuła się tu bezpiecznie i radośnie. Przed sobą miała ucieczkę i trudy podróży, pewne niebezpieczeństwo i niepewną przyszłość. Lecz na budzący się w niej niewyraźny strach odpowiedziała nagle hardość: nie potrafiła wyrazić słowami, czemu powinna opuścić Innail, lecz w głębi ducha była pewna, że nie może zrobić nic innego.

Cadvan pomógł jej przypiąć sakwę do siodła; potem wyprowadzili konie i podążyli za Malgornem ciemnymi wąskimi uliczkami, których Maerad jeszcze nie widziała, aż w końcu dotarli do muru Szkoły. Stanęli przed zaryglowanymi żelaznymi drzwiami, dość dużymi, by pomieścić konie. Malgorn wyjął z kieszeni żelazny klucz i bezszelestnie otworzył zamek. Po ostatnim pośpiesznym uścisku przekroczyli wrota. Drzwi zamknęły się za nimi z głuchym trzaskiem.

Maerad usłyszała zgrzyt klucza i szcęk zasuwanych rygli, a potem jej uszy wypełnił jedynie głośny szum deszczu.

CZEŚĆ TRZECIA

RACHIDA

A wtedy z tronu król podniósł się ciężko
Wyrwany ze snu zaklętego, ujrzał
Wizję cudowną utraconej wiosny
Postać tak piękną, aż boli.
I z zamrzniętych oczu wnet popłynął
Szron niczym strugi łez, i zachwycony,
Poczuł się wolny z okowów, radosny,
Po latach srogiej niewoli.

Pomiędzy nimi wznosił się mur z lodu
A wokół mroźne zimowe pustkowie
Lecz każde w twarzy drugiego widziało
Blask lata, który w nich trwał,
A potem piorun strzaskał lodu pęta
Mroźny mur runął, panna nieśmiertelna
I mąż mocarny pobiegli ku sobie
Pośród lodowych skał.

Fragment *Pieśni o Ardinie i Ardhorze*

XI

INNAIL FESSE

Jechali przez noc w niemal całkowitych ciemnościach. Ciężkie chmury oznaczały, że księżyc nie mógł oświetlać im trasy i Maerad widziała jedynie ciemną sylwetkę Cadvana, ciemniejsze plamy drzew po obu stronach i słaby przebłysk drogi przed nimi. Imi stąpała pewnie, ani razu się nie potknęła. Po godzinie deszcz zelżał, wkrótce potem dotarli do rozwidlenia traktu. Cadvan skręcił na zachód i po dalszej godzinie jazdy głuchy stukot kopyt na ubitej ziemi zastąpił ich przenikliwy odgłos na kamieniach. Nagle Maerad dostrzegła otaczające ich czarne sylwetki domów. Zwolnili do stępa; towarzysz pochylił się ku niej, wskazując jeden z budynków.

- Jesteśmy w Stormoncie - oznajmił. - To gospoda Pod Warcabami, jedna z najlepszych w dolinie Innailu. Grall wstaje, by powitać późnych gości, a pokoje są bardzo wygodne.

Maerad, odrętwiała z zimna i ze zmęczenia, ucieszyła się na myśl o schronieniu przed deszczem. Wkrótce Cadvan obudził gospodarza, który przyjrzał się jej ciekawie, lecz z pogodną miną wpuścił ich do środka. Umieściwszy konie w stajni, zaprowadził podróżnych do dwóch niewielkich pokojów pod ukośnym dachem, połączonych wygodnym salonikiem, w którym pośpiesznie rozpałił ogień.

- Błagam o wybaczenie, ale spóźniliście się na kolację - rzekł. - Macie szczęście, że przyjechaliście dzisiaj. Bardowie zarezerwowali od jutra wszystkie pokoje.

- Będę wdzięczny, jeżeli nie wspomnisz o naszej wizycie - odparł Cadvan. - Niektórzy są zbyt wścibscy jak na mój gust.

Grall zerknął z ukosa na Maerad i przytknął palec do nosa.

- Tajemnice są u mnie bezpieczne - szeptnął konspiracyjnie. - Dobrze o tym wiesz, lordzie Cadvanie. Czy przynieść ci może grzanego wina? I młodej damie? Wyglądacie na zmarzniętych do szpiku kości.

Wyszedł szybko i Maerad zaczęła chichotać. Cadvan rzucił płaszcz na krzesło i pochylił się do ognia.

- Może nie jest tak źle mieć pod ręką wygodny pretekst do zachowania dyskrecji -

spojrzał na nią z rozbawieniem. - Grall to dobry człowiek, mam powody, by mu ufać. W przeciwnym razie rozbilibyśmy obóz pod ociekającym wodą drzewem, i to bez ognia!

Wkrótce gospodarz wrócił, niosąc w rękach gliniane kubki z grzanyim winem z korzeniami; Maerad sączyła je sennie, patrząc w ogień i czując, jak ciepło spływa do jej stóp. Wiatr zalewał okna strugami deszczu i skowyczał wśród drzew. Z ogromną wdzięcznością pomyślała, że nie musi nocować na zewnątrz. Gdy tylko skończyła wino, wstała i ziewając, poszła do łóżka.

*

Miała wrażenie, że minęła zaledwie minuta, kiedy Cadvan zastukał do jej drzwi.

- Czas na śniadanie! - rzucił. - Potem chcę szybko ruszyć w drogę; bardowie z Innailu wkrótce tu dotrą.

Maerad uświadomiła sobie, że umiera z głodu. Po spartańskiej toalecie dołączyła do Cadvana w salonie. Grall przyniósł im obfite śniadanie złożone z kielbasek, kotletów, czarnej fasoli, grzybów i świeżego chleba. Krzątał się wokół Maerad z tak przesadzonym taktem, że z trudem zachowała powagę. Wciąż było ciemno, lecz wkrótce za oknami pojawiła się słaba szara luna. Choć przestało padać, świat wyglądał mrocznie i ponuro. Ostatnią rzeczą, na jaką Maerad miała ochotę, była długa jazda. Zastanawiała się z nadzieją, czy Cadvan zamierza zatrzymać się w gospodach przez całą drogę do Norlochu. W takim razie nie byłoby jeszcze tak źle.

Po niecałej godzinie dosiadali już koni. Blade słońce próbowało przegnać chmury, bez powodzenia. Grall przytrzymał im wodze.

- Pamiętaj, Grallu, ani słowa - upomniał Cadvan. - Nie chciałbym usłyszeć o moich wędrówkach.

- Znasz mnie, panie, będę milczał jak głaz, choć przykro mi, że nie zostajesz dłużej. Miałem nadzieję poznać jakieś wieści, a wiem, że słowa lorda Cadvana są bardziej wiarygodne niż te, które padają z ust innych, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Mnie też jest przykro, i nie tylko z tego powodu - odrzekł Cadvan. - Od zawsze prowadzisz jeden z moich ulubionych zajazdów.

Twarz Gralla pojaśniała.

- Owszem, to fakt, cieszymy się dobrą reputacją. I to, że od twojej ostatniej wizyty wyjątkowo dobrze udawało mi się piwo, to nie czcze przechwałki. Szkoda, że nie odwiedzasz nas częściej, panie. Piwnice Pod Warcabami słyną w całej okolicy. - Pochylił się ku nim z zatroskaną miną i wyszeptał ochryple: - Docierają do mnie różne rzeczy, złe wieści, bez dwóch zdań. Jeśli się nie mylę, dzieje się coś niedobrego. Bardzo potrzebuję twojej rady.

- Owszem, dzieje się coś bardzo niedobrego, Grallu - przytaknął z powagą Cadvan. - Oby cię nie dosięgło! Bądź pewien, że bardowie dokładają wszelkich starań. Ale teraz naprawdę musimy już jechać. Niech będzie błogosławiony ten dom.

Grall w końcu wypuścił wodze i ruszyli w drogę.

Na Stormont składał się może z tuzin domów o niskich oknach, bielonych ścianach i strzechach z ciemnego rzecznego sitowia. Maerad rozglądała się zadziwiona: nigdy jeszcze nie widziała podobnej wioski i wydała jej się równie egzotyczna jak Innail, choć Cadvan jechał naprzód, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem. Wciąż było wcześnie, na drodze nie dostrzegli nikogo, zauważyła jednak migotanie trzciniowych pochodni w oknach. Koguty piałły, ujadaly psy, a w dali usłyszała gospodarza wołającego krowy i brzęk cebrzyków. Wzgórza za wioską skrywała mgła; kiedy słońce zaczęło się podnosić, rozeszła się, lecz jego promienie nie dawały ciepła, a ciężkie szare chmury nad górami zwiastowały kolejny deszcz.

Gdy zostawili za sobą wioskę, Cadvan odwrócił się do Maerad.

- Powinienem trochę nas zamaskować. Dobrze mnie znają w tej okolicy. - Przesunął jedynie dłońmi i Maerad zamrugnęła, rozglądając się dokoła. Nie dostrzegła żadnej różnicy. - Masz oczy barda, toteż na ciebie to nie działa - wyjaśnił. - To tylko zaklęcie uroczne. Lecz zwykły rolnik wlokący się drogą ujrzy grubego wieśniaka z północy z Milholu, jadącego wraz z żoną. Bywa ich tu mnóstwo - wożą towary na targ albo przybywają na zakupy. Pamiętaj zatem, by zwracając się do mnie, mówić mi „mężu”.

Przez resztę poranka jechali szybko w milczeniu. Na gościńcu minęli kilkoro ludzi; Maerad przyglądała im się ciekawie: mieli jasne włosy i jasną skórę i nosili ubrania z tej samej miękkiej wełny, z której uszyto jej własne. Pozdrawiali obcych z rezerwą, która, choć nie wroga, nie zachęcała do rozmowy.

Chociaż Maerad od ponad tygodnia przebywała w Innailu, po raz pierwszy miała okazję naprawdę zobaczyć dolinę czy też fesse, jak często nazywano rejony wokół szkół. Kiedy tam przybyli, była ciemna noc, resztę czasu spędziła w zamknięciu w Szkole, za murami, tak jak większość życia. Lecz mury Innailu bardzo różniły się od murów Gilmanowego Sioła; pomyślała, że Innail chronił ją i dawał wolność, natomiast sioło było więzieniem.

Innail Fesse był regionem niemal samowystarczalnym, gęsto zaludnioną doliną pełną żyznych, zielonych wzgórz, zawieszoną pomiędzy dwiema górskimi ostrogami odchodzącymi od Osidh Annovy, które na końcu niemal się stykały, w naturalny sposób zamykając obszar w najszerszym miejscu liczący dwadzieścia staj i niewiele dłuższy. Ludzie mieszkali tu od niepamiętnych czasów i uważali się za odrębnych od Annaru, choć kiedy w Norlochu

przywrócono tron, uznali monarchę. Szczycili się swą niezależnością i samowystarczalnością i słynęli szeroko z kuchni, tkactwa i przędzalnictwa. W dolinie leżały dwa duże miasta: Tinagel, gdzie mieszkał namiestnik, i Szkoła Innailu. Było tam też mnóstwo wiosek takich jak Stormont, liczących paręnaście domów, i setki doskonale prosperujących gospodarstw. Środkiem doliny płynęła rzeka Imlan, zasilana wieloma zimnymi, bystrzymi strumieniami spływającymi z gór.

Maerad jechała zwirowanymi drogami przez pola otoczone starannie przyciętymi głogowymi żywopłotami, właśnie pokrywającymi się liśćmi. Co jakiś czas dostrzegała domy i zabudowania wzniesione z tego samego żółtego kamienia co budynki Szkoły Innailu. Wiele z nich otaczały sady; gałęzie drzew ugięły się od różowych i białych pąków. Wśród traw błyskały kwiaty wczesnej wiosny: krokusy, żonkile i dzwonki; od czasu do czasu zimny powiew omiatał jej twarz słodkimi zapachami. Miała wrażenie, jakby jechali środkiem wielkiej misy: po obu stronach wznosiły się zielone wzgórza, przechodzące w dali w strome górskie zbocza, których szczyty przesłaniały ciemne chmury. Nawet kąśliwy wiatr nie pozbawił jej oszołomienia i zachwytu.

Zatrzymali się na krótko przy kępie jesionów i posilili szybko. Konie krążyły wokół, skubiąc trawę; wyglądały na równie mało zainteresowane długim popasem. Wkrótce znów ruszyli w drogę.

- Czy dziś znów zanocujemy w gospodzie? - spytała z nadzieją Maerad, dosiadając Imi.

Cadvan uśmiechnął się.

- Jak na wiosnę pogodę mamy niezbyt piękną - zauważył. - Choć tu, w pobliżu gór, często tak bywa.

- Byłoby dużo przyjemniej - zauważyła Maerad. - I łżej dla koni.

- Zgadzam się. Po opuszczeniu doliny obrzydłą nam jeszcze pozbawione wygod obozy. Pociesz się zatem: zmierzamy do kolejnej gospody, którą znam, we wsi Barcombe. Tym razem będziemy zakamuflowani. Potem jednak szykuj się na twardą ziemię z korzeniami!

Zmierzchało już, gdy droga zaczęła skręcać w stronę kotlinki, w której mieściła się kolejna niewielka wieś. Przejechali szybko błonie i skierowali się do gospody Pod Zieloną Ropuchą. Tym razem karczmarz, przysadzisty mężczyzna zwany Halifax, spojrzął na nich podejrzliwie.

- W tym tygodniu nie ma targu - zauważył. - Źle wybraliście dzień.

- Targ był tydzień temu - odparł Cadvan z mocnym północnym akcentem.

- Odwiedziliśmy kuzyna mojej żony w Innailu. A zresztą co cię to obchodzi?

- Wybaczcie te pytania - rzekł szybko Halifax. - Nigdy dosyć ostrożności. Obcy, którzy tu przybywają, często znikają w mgnieniu oka, zapominając o rachunkach, jeśli wiecie, co mam na myśli. Mają nas za wsiowych głupków.

- Zapłata z góry, panie Halifax, i mam nadzieję, że tyle wystarczy. - Cadvan wręczył mu kilka monet. - Teraz chciałbym zobaczyć pokoje. Mieliśmy z żoną ciężki dzień, a jutro czeka nas długa jazda.

Nieco uspokojony gospodarz zaprowadził ich do pokoju z salonikiem. Maerad rozejrzała się, niezbyt rada: najwyraźniej mieli z Cadvanem do dyspozycji tylko jedno łóżko.

- A teraz, jeśli można, prosimy kolację - rzekł Cadvan. - I chyba położymy się wcześniej, prawda, najdroższa?

Halifax wyszedł, wzywając posługacza, a Cadvan usiadł i zdjął buty. Mrugnął do Maerad, która wbrew sobie zarumieniła się.

- Ucieszę się, gdy już zostawimy za sobą zaludnione obszary - powiedział. - Wówczas będziemy mogli zacząć lekcje. Nie myśl, że zapomniałem!

Wyciągnął nogi do ognia.

Maerad zdjęła płaszcz i opadła ciężko na miękkie siedzisko. Czowała się zmęczona i obolała po całodziennej jeździe. Na myśl o jednym łóżku jej gardło znów ścisnęła panika, odepchnęła ją jednak.

- Mamy tylko jedno łóżko - wyszeptała.

Cadvan szybko uniósł wzrok; Maerad pojęła, że znał - bądź zgadywał - jej obawy i kłopoty w większym stopniu, niż przypuszczała.

- Łatwo to rozwiązać - rzekł. - Prześpię się na kanapie; dla kogoś takiego jak ja to luksus.

- Twardy człowiek z głuszy. - Nagle jej strach ustąpił. - Bez wątpienia kamienna posadzka to dla ciebie królewskie posłanie.

- Istny łabędzi puch. Lecz oczywiście jeśli pragniesz, także możesz zakosztować tych wygod.

Maerad roześmiała się, nagle uwolniona od lęku. Nieco później Halifax przyniósł im kolację na tacy: gęstą potrawkę z wołowiny pachnącą ziołami i pokrytą ciągliwą warstwą stopionego sera, ze świeżym chlebem i doskonałym miejscowym winem.

- Jeśli chcecie, na deser mamy placek z jabłkami - rzekł. - Moja żona robi też bitą śmietaną, z której słynie w okolicy.

Cadvan uniósł brwi, zerkając na Maerad, której ślinka napłynęła do ust. Kiedy

skończyli potrawkę, zjedli placek, gorący, prosto z pieca, pokryty siateczką ciasta tak cienką, że rozpływała się na języku, z bitą śmietaną wsiąkającą powoli w karmelizowane jabłka.

- Prawdziwy król pośród placków - rzekł Cadvan z donośnym westchnieniem.

Kiedy Halifax zjawił się po talerze, Cadvan powtórzył swą opinię i gospodarz się rozpromienił.

- Marta ucieszy się, gdy to usłyszysz - rzekł. - Zawsze przykładła wielką wagę do gotowania, o tak, choć niektórzy tego nie dostrzegają.

- W ostatnich latach wszystko schodzi na psy - zauważył Cadvan. - Mój kuzyn prowadzi gospodę niedaleko Ettinoru i ledwie wiąże koniec z końcem.

- Słyszałem, że w Ettinorze bardowie są bardzo wymagający - mruknął Halifax. - I niewiele zostawiają ludziom na życie, tuczą się pracą innych bez słowa podziękowania. Nie jak nasza Szkoła, gdzie wszystko odbywa się uczciwie, jeśli wiecie, co mam na myśli. Tutejsi bardowie postępują jak należy. Odwiedzają nas w każde święto wiosny i plonów i cała dziatwa z okolicy umie czytać i pisać. Pamiętam też, kiedy córkę dopadła wiedźmia gorączka, gdy była jeszcze maleńka; wyglądała, jakby miała umrzeć. Sama Oron zjawiła się wtedy i położyła na niej dłoń.

- Niczego więcej nie można pragnąć - wtrącił Cadvan. - Lecz inni nie są tak dobrzy.

- Prawda to, bez dwóch zdań - przytaknął Halifax. Maerad, która dotychczas nie odważyła się otworzyć ust w obecności karczmarza, z niepokojem stwierdziła, że szykował się do długiej pogawędki. - Za ledwie zeszłej nocy nocowało tu takich dwóch, mętne typy - podjął. - Dlatego właśnie potraktowałem was dość obcesowo; mam nadzieję, że mi wybaczycie. Wyjechali przed świtem i nie zapłacili nawet grosza za wszystko, co zjedli i wypili. Przyjechali z południa i według mnie w niecnym celu.

- Niedobrze. - Cadvan wyraźnie się zainteresował. - Ale nie wszyscy są tacy. Wciąż jest sporo uczciwych ludzi. Dokąd zmierzali?

- Nie wspomnieli, jedynie cały czas patrzyli na nas wyniośle, jak na śmiecie - odrzekł Halifax. - Potem jednak pomyślałem, że przypominają bardów, tyle że przy nich robiło mi się słabo. Nie mogłem im spojrzeć w oczy.

Cadvan pokręcił głową.

- Mroczne to dni, panie Halifax. No cóż - przeciągnął się i ziewnął - mroczne czy nie, muszę się trochę przespać.

- A ja zająć własnymi sprawami, zamiast obracać językiem jak stara przekupka - odparł Halifax.

- Dobrej nocy życzę!

Kiedy wyszedł, Cadvan wstał, starannie zamknął drzwi na klucz i z namysłem pokręcił głową.

- O czym on mówił? - spytała ciekawie Maerad.

- Może o niczym, może o czymś. Myślę, że dobrze zrobiliśmy, wyjeżdżając wcześniej z Innailu. Nie podobają mi się historie o mętnych typach podobnych do bardów. Bez wątplenia zmierzali do Innailu. Karczmarze nie są głupi, spotykają najróżniejszych ludzi i często mają intuicję lepszą niż inni.

- Chcesz powiedzieć, że to byli mroczni bardowie? - zdumiała się Maerad.

Lecz mimo jej pytań Cadvan nie zdradził, co naprawdę myśli.

*

Tej nocy wiatr pozamiatał niebo, przeganiając chmury z tarczy księżyca i pozwalając, by srebrny blask padł na uśpione pola i miasta Innail Fesse. Rzeka migotała łagodnie, wijąc się niczym srebrny sznur pośród szarych, lśniących od rosy pól, wiatr szalał wśród drzew szumiących jak morze. Przez szum przebijały się jedynie odgłosy dzikich stworzeń: pohukiwanie sowy, pomruki śpiących bydła, samotne krzyki wodnych ptaków, wrzask małego stworzenia zaskoczonych podczas nocnej wędrówki przez drapieżnika.

Maerad poruszyła się niespokojnie w łóżku i zaczęła śnić.

*

Daleko w Szkole Innailu promień księżyca prześliznął się przez okiennice i padł na policzek Silvii. Kobieta uniosła dłoń do twarzy, mamrocząc coś niesłyszalnego, i przekręciła się na drugi bok. Na ulicy w dole bruk biał w blasku księżyca, wokół jednak słały się czarne cienie. Wszystko wyglądało spokojnie, lecz ktoś, kto patrzyłby dłuższą chwilę - albo, powiedzmy, ptak na dachu - mógłby uznać, mrugając w zwodniczym świetle księżyca, że ma zwidy. Czasami bowiem zdawało się, że cienie wzbierały i falowały, jakby coś czarnego przesuwano się podstępnie wzdłuż budynków, potem jednak, gdy obserwator potrząsnął głową, niczego nie dostrzegał. Gdyby miał dość cierpliwości, po jakimś czasie pojałyby, że w dole skradają się dwie postaci w ciemnych płaszczach, unikające światła, przemykające się od drzwi do drzwi.

Przybysze wędrowali ulicą, póki nie dotarli do stopni Malgorna i Silvii. Tam zatrzymali się i pokonawszy schodki, spróbowali otworzyć drzwi. Nagle rozbłysnęło nieznośnie jasne światło i obaj upadli na ulicę. Szybko podnieśli się i zniknęli w ciemności.

Nieco później Dernhil siedział w swoim pokoju, tak jak czasem wyobrażała go sobie Maerad, z głową podpartą na ręce, zatopiony w lekturze książki. Ogień dogasał na palenisku, od czasu do czasu żar potrzaskiwał sennie, światło lampy padało łagodnie na stopy książek i

pergaminów na biurku. Nagle bacznie uniósł wzrok, niczym jeleni czujący woń wilka, i niemal natychmiast rozległo się pukanie do drzwi.

Dernhil zamarł w swym fotelu; nie wstał, by otworzyć. Ktoś zastukał ponownie, jakby walił w drzwi ciężką laską, i drzwi otwarły się gwałtownie. W ciemnym korytarzu stały dwie sylwetki.

Dernhil podniósł się, gdy weszły w krąg światła. Obaj przybysze mieli na sobie ciężkie płaszcze i wysokie czarne buty; kaptury zasłaniały im twarze, choć widział płonące czerwienią oczy. Wraz z nimi do pokoju wtargnął grobowy ziąb; Dernhil uniósł ręce, jakby chciał ich przegnać.

- Nie możesz obronić się przed nami! - rzuciła ostro jedna z postaci, czyniąc osobliwy gest dłonią.

Dernhil znieruchomiał nagle, jak sparaliżowany.

- Przychodzimy po pewne informacje, Dernhilu z Gentu. Pomóż nam, a nasz mistrz sowicie cię nagrodzi.

Zapadła długa cisza.

- Wiem, kim jesteście - odparł w końcu Dernhil. Przemawiał powoli, jakby w bólu. - Nie będę paktował z wami ani z wam podobnymi.

Jego rozmówca uniósł palec i Dernhil skrzywił się.

- Nie przemawiaj pochopnie - rzekł. - Nie wiesz, co zrobisz w tym bądź następnym świecie, bardziej. Zastanów się raz jeszcze. Słyszeliśmy, że nauczasz pewną dziewczynę. Chcemy dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Tym razem Dernhil nie odpowiedział. Patrzył na nich spokojnie i wydawało się, że otacza go lekka aura światła, przywodząca na myśl blask słońca w letni dzień bądź migotanie fontanny. Druga postać syknęła, głośno wciągając powietrze; obaj przybysze cofnęli się. Pierwszy przemówił przez zaciśnięte zęby głosem ociekającym gniewem:

- Podobna impertynencja nie ujdzie ci płazem. Ale to, czego nam nie dają, możemy wziąć siłą. - Podszedł bliżej Dernhila, który wciąż nie mógł się poruszyć, i ujął w dłoń jego brodę. Oczy Dernhila rozszerzyły się z obrzydzenia i strachu, gdy ręka bezlitośnie zmusiła go do spojrzenia przybyszowi w twarz. Nie mógł zamknąć oczu ani odwrócić głowy i zdawało się, że dwie postaci, barda i ta w kapturze, stoją tam cały wiek, tocząc desperacką bezgłośną walkę. W końcu Dernhil wydał z siebie potężny okrzyk i runął na podłogę. Pierwszy przybysz odwrócił się z pogardliwym gestem.

- Nic.

- Teraz na nic się nie przyda - dodał drugi i kopnął Dernhila niczym truchło

zwierzęcia.

Zawrócili i wyszli z pokoju. Dernhil leżał nieruchomo na podłodze tam, gdzie upadł. Otwarte oczy miał szkliste i przepełnione grozą.

*

Maerad ocknęła się gwałtownie. Zdawało się jej, że słyszy krzyk dobiegający z otchłani, głos wykrzykujący jej imię w potwornej męce. Usiadła w ciemności, wstrząsana dreszczami, próbując go rozpoznać. Krzyk jednak zniknął, jakby stanowił jedynie część ledwo zapamiętanego snu. Teraz słyszała tylko wiatr trzęsący okiennicą. Siedziała tak i słuchała z bijącym sercem, walcząc z wszechogarniającym poczuciem rozpacz i straty, nic więcej jednak nie usłyszała.

Minęło dużo czasu, nim naciągnęła koldrę na głowę i zapadła w niespokojny sen.

XII

MAGILAS

Następnego dnia ocknęli się dobrze przed świtem i zjedli śniadanie w wielkiej kuchni, przy wyszorowanym do czysta sosnowym stole, wraz z Halifaksem i jego żoną Martą, grzejąc się w ciepłe żelaznej kuchenki.

- Twoja żona mało się odzywa, co? - zauważył Halifax, ruchem ramienia wskazując Maerad.

- Nie przepada za obcymi - odparł Cadvan. - Wśród znajomych jest bardzo towarzyska.

- Cóż, są takie, co nigdy się nie zamykają, wygląda więc na to, że każdy kij ma dwa końce. - Halifax komicznie wywrócił oczami, a Marta kopnęła go pod stołem.

- Dobrze wiem, kto w tym domu nigdy się nie zamyka - rzekła pogodnie. - Przyrządzić wam drugie śniadanie? Mimo świetnych koni do Milholu daleka stąd droga.

Zaczekali, aż ukroi im kilka kromek świeżego bochna i dołoży zimne mięsiwa, pikle, ser i świeży szczypior. Cadvan schował je do swej sakwy, dziękując gospodarzom. Potem razem z Maerad ruszyli do stajni i dosiedli koni. Nad wschodnim horyzontem jaśniała różowa luna, a kiedy wyjechali z Barcombe i znaleźli się z powrotem na zachodnim gościńcu, kraina obok rozbrzmiewała śpiewem ptaków.

- Już prawie opuściliśmy Innail Fesse - oznajmił Cadvan. - A w tej chwili uważam, że im bardziej się oddalimy, tym lepiej.

Milcząca Maerad, wciąż poruszona krzykiem, który obudził ją w nocy, przyznała mu rację. Przyśpieszyli do cwału i jechali szybko przez następnych kilka godzin. Tymczasem słońce weszło na czyste niebo, przeganiając poranne mgły. Maerad przekonała się, że góry po obu stronach są już znacznie bliżej. Parę mil przed nimi niemal się stykały: obie granie zwały się tam, przechodząc w łagodne wzgórza tworzące wylot doliny zwany Ustami Innailu. Teraz gościniec stał się szerszy i prostszy; wyglądał na często odwiedzany, lecz wciąż był pusty o tak wczesnej porze. Po kolejnych paru godzinach znów znaleźli się w cieniu góry; jechali teraz wzdłuż rzeki Inlan, która toczyła się szerokim nurtem pomiędzy łagodnie opadającymi brzegami. Po drugiej stronie ciągnęły się wąskie pola, dalej na

zboczach ujrzeli rzadkie domy i sosnowe lasy. Cadvan ściągnął wodze.

- Myślę, że do drugiego śniadania wyjedziemy z doliny - rzekł. - Mimo wszystko jednak warto zachować czujność. Wzdłuż gościńca mogą kryć się szpiedzy - to jedyna droga z Innailu.

- Szpiedzy? - powtórzyła Maerad.

Odruchowo zerknęła w niebo i ujrzała krążącego w górze czarnego ptaka. Cadvan podążył za jej spojrzeniem.

- Tak, najróżniejszych rodzajów - odparł ponuro.

Gdy tak patrzyli, ptak zaczął opadać; Cadvan, obserwując go, zatrzymał Darsora. Maerad zorientowała się, że ptak zmierza wprost ku nim.

- Co mamy robić? - spytała z nagłym lękiem.

- Nic - odparł Cadvan. - Jeśli się nie mylę, to kruk.

- Kruk? - powtórzyła, czekała jednak z Cadvanem.

Ptak, mocno łopocząc skrzydłami, zniżył lot i wylądował na ręce Cadvana. Otworzył dziób i ku zdumieniu Maerad przemówił w zwykłej mowie.

- Witaj, lordzie Cadvanie.

- Witaj, lordzie Karganie - odparł Cadvan. - Co cię tu sprowadza?

- Złe nowiny. Przybywam od lady Silvii, która kazała mi odnaleźć cię i powtórzyć następujące słowa: zeszłej nocy dwóch Próżnych wtargnęło do Szkoły Innailu. Próbowali otworzyć drzwi domu Malgorna i Silvii, lecz zaklęcie ochronne ich powstrzymało. Potem przesłuchali Dernhila z Gentu.

- Dernhila? - szepnęła Maerad.

Krew odpłynęła z twarzy Cadvana.

- A po przesłuchaniu co uczynili?

- Nie wiemy, lordzie Cadvanie. O brzasku znaleziono go w jego pokoju. Nikt nie wie, co tam zaszło, i nie odkryje tego, chyba że zapuści się poza Bramy, do Ukrytej Krainy.

Cadvan skłonił głowę.

- Czy to znaczy, że on nie żyje? - spytała z lękiem Maerad.

- Niestety tak, lady Maerad. - Kruk także spuścił głowę.

Maerad zeszywniała z szoku.

- Mroczne wieści przynosisz. - Cadvan ciężko westchnął. - Czy lady Silvia jest pewna, że to byli Próżni?

- Oznaki są jasne - odparł kruk, wpatrując się w niego jednym okiem. - Nikt inny z Mroku nie ma dość mocy, by przedostać się chyłkiem przez bramy Innailu. Poza tym ja ich

widziałem, choć oni nie widzieli mnie.

Cadvan jakiś czas milczał.

- Lordzie Karganie - rzekł w końcu - już i tak wiele dla nas zrobiłeś, poproszę cię jednak o dalszą pomoc. Musimy przejść przez Usta Innailu, a nie wiem, czy Mrok nie posłał tam swych szpiegów. Możliwe, że nie są jeszcze strzeżone, bo nieprzyjaciel uważa, że nadal przebywamy w Innailu. Byłbym wdzięczny, gdybyś zgodził się tam polecieć, a potem powiedzieć mi, co widziałeś.

Ptak ponownie przywoździł Cadvana spojrzeniem niemrugających oczu.

- Chętnie to zrobię - oznajmił i odleciał.

Maerad i Cadvan jechali nadal gościńcem. Cadvan pobladł jak płótno, jego trzymające wodze dłonie drżały lekko.

Maerad nie mogła uwierzyć w te wieści: to nie mogła być prawda. Dernhil zabity? I nagle gdzieś pod odrętwieniem szoku przebudził się obezwładniający strach: szukają mnie. Są blisko. Już zamordowali Dernhila... I to w Innailu, który wydawał się tak bezpieczny i niedosięgly.

- To doprawdy straszne wieści - powiedział w końcu Cadvan. - Był moim przyjacielem i kochałem go. To ogromna strata.

- Nie znałam go długo - rzekła zakłopotana Maerad. Czowała się zbyt oszołomiona, żeby płakać. - Ale... był także moim przyjacielem...

Urwała, myśląc bezradnie, jak mizerne są słowa, które nie mogą wyrazić tego, co czuła. Jechali dalej, każde pogrążone we własnych myślach.

- Słyszałam Dernhila zeszłej nocy - oznajmiła Maerad, przypomniawszy sobie nagle straszliwy krzyk, który zbudził ją ze snu.

- Słyszałaś?

- Ocknęłam się, bo usłyszałam, że ktoś mnie wzywa. Słyszałam, jak woła moje imię. Myślałam, że to tylko sen. Zły sen. - Jej głos załamał się, ale ciągnęła dalej: - Teraz jednak wiem, że to był Dernhil.

Cadvan znów jakiś czas milczał.

- Rozmawiałem o tobie z Dernhilem, Maerad. Wiem, że cię kochał. Należał do ludzi, którzy potrafią wejrzeć wprost w duszę, i jego uczucie było szczere. Głębia miłości nie zależy od tego, jak długo trwa znajomość. I w tym właśnie kryje się nasza nadzieja, Mrok bowiem jej nie pojmuje. A że, co niemal pewne, Próźni szukali wieści o tobie, być może jego miłość ochroniła cię wtedy, kiedy nie zdołaloby nic innego.

Maerad przypomniała sobie swoje ostatnie spotkanie z Dernhilem i enryu, który jej

wysłał. „Może spotkamy się jeszcze” - powiedział, lecz teraz nie będzie już dalszych spotkań, wierszy, rozmów przy kominku. Z nagłym, dojmującym smutkiem pożałowała, że tak bardzo się bała, gdy ją pocałował, że nie mieli więcej czasu. Jakże nieostrożnie założyła, że czeka ich przyszłość, w której zaleczą stare rany. Teraz przyszłości już nie ma...

- To moja wina - wykrztusiła zduszonym głosem. - Gdyby mnie nie uczył...

Cadvan zerknął na nią.

- Ty go nie zabiłaś - uciął ostro. - To nie twoja wina, że na tym świecie istnieje zło. - Umilkł nagle, jakby obawiał się tego, co może powiedzieć; westchnął ciężko. - Zastanawiam się nad czymś. Istnieje mianowicie wiedza znana jedynie bardom, pozwalająca zabić się bez broni. Czasami korzystają z niej, jeśli nic innego nie może zapobiec złamaniu ich umysłów.

Przez chwilę oboje milczeli. Maerad zastanawiała się, co miał na myśli, mówiąc „złamanie umysłów”.

- To niewiarygodnie straszne - rzekł w końcu Cadvan - mieć nadzieję, że Dernhil sam się zabił, nie zaś został zamordowany przez te potwory, a jednak na to właśnie liczę.

Jechali dalej w milczeniu. Wkrótce ponownie ujrzeni lecącego ku nim Kargana. Jak poprzednio wylądował na ręce Cadvana.

- Droga jest bezpieczna, lordzie Cadwanie - oznajmił. - Wypytałem miejscowe stworzenia; oto co mi powiedziały: trzy noce temu przejechało tędy dwóch mrocznych i las się wzburzył, teraz jednak ich spokój zakłócają tylko ludzie z Innailu.

- Dziękujemy, lordzie Karganie - odparł z powagą Cadvan. - Na zawsze pozostanę twoim dłużnikiem. Zanieś wieści o nas lady Silvii i przekaz nasze wyrazy wdzięczności i miłości, powiedz też, że wkrótce opuścimy Innail Fesse.

Kruk wzbił się z łopotem skrzydeł, kierując się w stronę Innailu, a Cadvan uniósł rękę na pożegnanie. Następnie zwrócił się do Maerad:

- Mrok depcze nam po piętach. Teraz musimy pędzić jak wiatr. *Imi, esterine ni?*

Klacz parsknęła i uderzyła kopytem o ziemię, a potem puścili się naprzód galopem. Obok nich wyrastały góry, droga rozciągała się prosto jak strzała i wkrótce zostawili za sobą Innail. Przed nimi leżały szerokie ziemie Annaru, pośród których jasna rzeka wiała się niczym srebrny wąż.

*

Kiedy Usta zostały daleko w tyle, Cadvan zwolnił. Imi, mimo wcześniejszej pewności siebie i energii, ociekała pianą i zaczynała się potykać. Zatrzymali się na krótki popas, skręcając na brzeg rzeki, by napić konie i rozprostować nogi, i pośpiesznie zjedli prowiant przygotowany rano przez Martę. Czy naprawdę działo się to zaledwie tego ranka? - pomyślała Maerad,

miała bowiem wrażenie, że od tego czasu upłynęły wieki. Przed nimi rozciągała się lekko opadająca równina, za nimi wyrastały okryte chmurami góry. Poza tym niebo było czyste, słońce ogrzewało im plecy i osuszało koński pot. Rzeka Inlan płynęła po lewej, szeroka i bystra, czasem zagłębiała się w parowach, czasem toczyła leniwie pomiędzy niskimi brzegami. Po prawej mieli las, pełen wysokich dębów i jesionów. Gościniec biegł wzdłuż rzeki, tyle że bardziej prosto, oddalając się czasem od szerokich zakrętów koryta; wyłożono go kamiennymi płytami i ogrodzono niskimi kamiennymi murkami.

- Annaryjczycy zbudowali ten gościniec, kiedy wzniesiono pierwsze szkoły, dziewięć stuleci temu - wyjaśnił Cadvan podczas jazdy. - Podobne drogi łączą wszystkie szkoły, choć niektóre popadły w zapomnienie i niszczały. Gościniec Zachodni biegnie aż do Norlochu; istnieje też Gościniec Północny i Południowy, i inne, prowadzące do wszystkich Siedmiu Królestw.

Jechali dalej jeszcze kilka mil; potem Cadvan, rozglądając się czujnie, by mieć pewność, że nikt ich nie widzi, skręcił szybko w wąską dróżkę niknącą w lesie. Ogarnął ich chłód, na ziemi tańczyły plamki słonecznego światła; Maerad ujrzała wiewiórki zmykające na drzewa i królika na polanie - gdy się zbliżyli, jego biały ogonek zniknął w gąszczu. Wiele drzew miało masywne pnie, a wysokie korony największych osłaniały obszar rozmiarów dużego domu.

- Oto Magilas - oznajmił Cadvan w odpowiedzi na pytanie Maerad. - To jedna z najstarszych puszczy w Annarze, pozostałość starożytnych lasów, niegdyś ciągnących się od morza aż po góry. To dzika głusza, zachowaj zatem ostrożność. Nie ma tu miejsca dla ludzi.

Jadąc między drzewami, Maerad odnosiła przemożne wrażenie, że las nie dopuszcza jej do siebie. Zdawał się obserwować ich czujnie, choć nie całkiem wrogo. Uczucie to narastało, w miarę jak zagłębiali się coraz dalej, drzewa wokół gęstniały, a przez splecione sklepienie z gałęzi przenikało coraz mniej światła, nie obawiała się jednak. Może gdyby Cadvan jej nie towarzyszył, byłoby inaczej; choć twierdził, że nie jest to złe miejsce, wyczuwała w nim moc, która w razie zagrożenia mogła obrócić się przeciw nim.

Cienie zaczynały się wydłużać i wokół natychmiast zrobiło się chłodniej. Cadvan rozglądał się podczas jazdy, wyraźnie czegoś szukając. W końcu pokiwał głową i poprowadził ich w bok od drogi do małej kotlinki podobnej do Irihelu, w którym zatrzymali się razem pierwszej nocy po ucieczce od Gilmana. Tu krąg tworzyły jarzębiny, rosnące blisko siebie w półokręgu, tak że ich gałęzie stykały się i spletały w górze. Gładka trawa opadała ku źródłu tryskającemu ze skalnej półki porośniętej dziką różą i wiciokrzewem. Maerad dostrzegła na wpół ukryty w gąszczu wylot gładkiej jaskini wysypanej piaskiem, noszącej

wyraźne ślady wielu wcześniejszych obozowisk. Na środku ujrzała nawet palenisko, ułożone z luźnych kamieni.

- To jest Derenhel albo Leśny Dom. - Cadvan wskazał ręką jaskinię. - To dom bardów. W całym Annarze jest wiele mu podobnych.

Przemówił do koni, rozsiodłał je i wypuścił na trawę. Podczas całej podróży Maerad nigdy nie widziała, by Cadvan choć raz uwiązał konie, i sama też tego nie robiła: po prostu prosił, aby trzymały się blisko, a one nigdy się nie oddalały. Następnie oboje zabrali swoje sakwy i weszli do jaskini. Tam Cadvan rozpalił ogień z nazbieranych pośpiesznie suchych gałęzi i ponury ciężar, który zdawał się przygniatać ich oboje, od kiedy lord Kargan przyniósł wieści o Dernhilu, nieco zelżał. Z początku nie wspominali o jego śmierci, jakby rana była zbyt świeża, lecz jej świadomość kryła się pod każdym słowem, rzucając na nich cień smutku i strachu.

Po dwóch dniach jazdy Maerad czuła się obolała i zeszywniała. Przeciągnęła się i skrzywiła boleśnie.

- Au! Wątpię, żebym jutro była w stanie chodzić, a co dopiero jechać konno. Mam wrażenie, jakby ktoś stłukł mnie kijami na kwaśne jabłko.

- Jeszcze kilka dni i przywykniesz - odparł Cadvan. - Ale mogę użyć bardowskich sztuczek, by złagodzić twój ból.

Poleciał Maerad, by stanęła przed nim, i nie dotykając jej, przesunął dłońmi wzdłuż jej ciała. W miejscach, które mijały, Maerad czuła mrowiące ciepło, a zmęczenie i ból słabły. Wkrótce mogła usiąść swobodnie, choć nadal czuła się wyczerpana i nieco zeszywniała.

- Magia! - rzuciła, wyciągając przed siebie nogi.

- Niektórzy tak o tym mówią - przytaknął Cadvan. - Bardowie nazywają to Wiedzą, o której masz niewielkie pojęcie, moja młodsza bardko. - Uśmiechnął się mimo znużenia. - Zjemy coś, a potem zaczniemy lekcje.

- Jest tak wiele rzeczy, które chciałabym wiedzieć - oznajmiła Maerad. - Całe mnóstwo. Dlaczego rozumiałam kruka, skoro nie znam Mowy? I czym w ogóle jest Mowa? Jak można ją rozumieć, nie znając jej?

- Mowa to doświadczenie obejmujące całe życie - odparł Cadvan, wyciągając prowiant z sakw. - A co do lorda Kargana, zrozumiałaś go, bo przemawiał twoim językiem. Kruki to jedyne zwierzęta, które to potrafią, cieszą się zatem ogromnym szacunkiem. Te z Innailu wywodzą się z pradawnego rodu i mądrością dorównują bardom. Najpierw jednak - rzucił jej ciastko - zjedz!

Przez chwilę posilali się w milczeniu, słuchając trzasku ognia i odgłosów koni

skubiących trawę i parszających do siebie. Tymczasem na zewnątrz zapadała noc. W końcu Cadvan oparł się o kamienną ścianę jaskini, podążając wzrokiem za roztańczonymi cieniami. Sprawiał wrażenie zmęczonego i spiętego, lecz jego głos niczego nie zdradzał.

- Pierwsza, Maerad, jest Wiedza. W samym sercu Wiedzy leży Mowa, którą każdy z bardów nosi w sobie od chwili narodzin. Powiadają, że niektórzy przychodzą na świat, władając Mową, i dopiero później uczą się ludzkiego języka, tak jak ludzkie dzieci. Zazwyczaj jednak bard zyskuje Mowę jako małe dziecko. Nie zawsze tak się dzieje, ty stanowisz jeden z wyjątków. Każdy bard na swój sposób i w swoim czasie uzyskuje Mowę. Nie da się jej nauczyć.

- Och - mruknęła Maerad z lekkim poczuciem zawodu. Wcześniej sądziła, że Cadvan zanuci jakieś zaklęcie albo że ona weźmie udział w tajemnym rytuale i wówczas nagle otrzyma Dar Mowy. - Czyli po prostu muszę czekać? A jeśli do tego nie dojdzie?

- Dojdzie w stosownym czasie. Na razie jednak Mowa pozostaje ukryta wewnątrz ciebie.

- Co się stało, kiedy ty odnalazłeś Mowę? Ile miałeś lat?

Na sekundę twarz Cadvana pojaśniała i Maerad nagle pojęła, jak musiał wyglądać jako dziecko.

- Byłem wtedy bardzo mały, miałem pięć lat. Pływałem w rzece z braćmi i siostrami w gorący letni dzień i nagle ryba przemówiła do mnie. Tak bardzo się zdumiałem, że wyskoczyłem z wody i pobiegłem z krzykiem do matki.

- Co powiedziała ryba? - spytała ciekawie Maerad.

- „Pływasz jak żaba na patyku. Potrzebne ci płetwy, patyczaku!”

- I wtedy matka zorientowała się, że jesteś bardem? - Maerad roześmiała się. - Czy ona też była bardką?

- Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: „Tak”. Na drugie: „Nie”. - Twarz Cadvana zamknęła się, jakby to pytanie sprawiło mu ból. Maerad nie naciskała dalej. - A zatem - podjął - w sercu Wiedzy leży Mowa. Mogę nauczyć cię części Wiedzy, ale nie nabierze ona właściwego sensu, póki nie zyskasz Mowy. Masz jednak przewagę, bo poznałaś muzykę, a powiadają, że w sercu Mowy leży cisza Światła, a muzyka jest jedynym możliwym środkiem przekazu owej tajemnicy. Dlatego bardowie darzą ją tak wielkim uznaniem.

Cadvan wrzucił do ogniska kolejną gałąź i trącił pozostałe, posyłając ku sklepieniu snop iskier. Do środka wleciała ćma, zwabiona blaskiem; zaczęła krążyć niezgrabnie po jaskini, rzucając na ściany wielkie skrzydlate cienie.

- Wiedza dzieli się na trzy Sztuki, które, rzecz jasna, łączą się z sobą i w istocie tworzą

jeden strumień. Wszystkie służą Równowadze tego świata, ustalonej, gdy sam czas był jeszcze jajem. To jednak tajemnice, o których możemy pomówić później, bo nawet najmędrsi nie w pełni je pojmują. Owe trzy Sztuki nazywamy Czytaniem, Tworzeniem i Opieką. Czytanie to znajomość Sztuk Wysokich, historii, języków, pieśni, mądrości, dziejów potężnych sił, które kształtują tę krainę. Je właśnie powszechnie uważa się za magię, lecz obejmuje ono też rzeczy tak proste jak czytanie i pisanie. Tworzenie jest dokładnie tym, czym się wydaje: oznacza tworzenie muzyki, obrazów, budynków, klejnotów, broni, pism, tańców. Opieka to wiedza o hodowli zwierząt i uprawie roślin, leśnictwie, opiece nad dziećmi, dzikich zwierzętach, ziołach, uzdrawianiu, ptakach i tak dalej... - Urwał, wpatrując się w sklepienie.

- Czasami bardowie toczą między sobą długie dyskusje, do której z trzech Sztuk należy dana dziedzina wiedzy. Na przykład bard twórca przedmiotów obdarzonych mocą czerpie z dwóch Sztuk: Tworzenia i Czytania. A jeśli to przedmiot leczniczy, na przykład kamień, może czerpać ze wszystkich trzech. Osobiście jednak nie interesują mnie podobne dyskusje.

Maerad słuchała, zapatrzona w ogień, zafascynowana.

- A którą ty się zajmujesz?

- Moja umiejętność to Czytanie - odparł. - Większość bardów bardzo wcześnie odkrywa, co ich interesuje i pociąga. Czytanie jest najniebezpieczniejsze, bo poprzez nie bard najłatwiej schodzi na złą drogę. Dlatego właśnie wymaga się od nas znajomości wszystkich trzech Sztuk; bard, który uważa za najwyższą umiejętność moc i naukę, nie pojmując, jak pozostałe wspomagają się i wzmacniają nawzajem, to marny bard. Wedle prastarej mądrości wszystkie Sztuki są sobie równe.

- Czyli Malgorn to bard opieki? Podobnie jak Silvia... A Dernhil zajmował się Czytaniem?

Twarz Cadvana znów stężała. Długi czas milczał, patrząc w ogień, i Maerad pożałowała, że wspomniała imię jego przyjaciela. Potem jednak Cadvan zaczął nucić:

*Słodki deszcz zrasza jasny łańcuch gór Innailu,
Niczym dziatwa płasząc pośród wysmukłych sosen
Chórem głosów lodowych, echem melodii śmiechów,
Słuchać pragnie muzyki harfy Dernhila z Gentu.
Ale on już nie słyszy, koniec jego muzyki.
Dokąd odszedł? Wszak pusta stoi jego komnata.
W dworze Oron lży płyną, jasne, czyste, rześiste,*

*Tam gdzie stąpał wśród swoich, tajemnice swym śpiewem
Z serca skarbcza przyzywał, ukazując je światu.
Mroczne to bramy, które dziś otwały się przed nim
I zamknęły na zawsze, w szarym półmroku zmierzchu
Przecinając swą ciszą wątłą nić sztuki barda.
Już nie będzie opiewał czaru złotej jesieni,
Co powleka pozłotą liście brzoź w Branewi:
Czekać będą na próżno słodkie gaje Ileadhu.
Już nie stąpa po łąkach zwykłej ludzkiej muzyki,
Naręczami nie zbiera nut radości i szczęścia.
Nie ma strun jego harfa, głos na zawsze już umilkł.
A w dolinie Innailu smutkiem szemrzą potoki.*

Umilkł i ukrywając twarz w dłoniach, zapłakał. Maerad odwróciła się, czując, że do jej oczu też napływają łzy. Pozwoliła im płynąć. Siedzieli tak, sama nie wiedziała jak długo, pogrążeni w żałobie, a ogień powoli dogasał.

W końcu Cadvan uniósł głowę i dorzucił drew do płomieni. Zerknął na swą towarzyszkę.

- Ciężko jest stracić takiego przyjaciela - rzekł. - Wiele lat temu Dernhil pomógł mi w mej najmroczniejszej godzinie. Nauczył mnie wiele na temat pokory. I przyjaźni. A teraz... Mrok zemścił się na nim. Powinienem był zorientować się w niebezpieczeństwie - dodał z goryczą. - Gdybym nie poprosił go, aby cię uczył, Próżni by go nie szukali.

- Może nie. - Maerad przypomniała sobie wcześniejsze słowa Cadvana: „To nie twoja wina, że na tym świecie istnieje zło”. - Ale myślę, że nawet gdyby znał ryzyko, zrobiłby to samo. A chyba je znał.

- Dernhil nie był głupcem, ale nie wiedział o tobie niczego poza tym, że jesteś moją uczennicą.

Maerad nagle przypomniała sobie pergamin, który podarował jej Dernhil.

- Nie, odgadywał więcej - rzekła. - Dał mi coś. Nie pamiętałam o tym aż do teraz, ale kazał ci to pokazać.

Pogrzebała w sakwie i odnalazła pergamin, powtarzając Cadvanowi to, co powiedział jej Dernhil. Cadvan uważnie przyjrzał się pismu i zbladł.

- Wiesz, co tu napisano? - spytał.

- Dernhil to przetłumaczył - rzekła Maerad. - Ale nie mam pojęcia, co to znaczy.

Cadvan raz jeszcze odczytał pergamin, po czym oddał go jej.

- Ukryj go! - polecił. - Nie jestem pewien, czy nie powinniśmy go spalić, ale chciałbym pokazać go Nelacowi.

- Nelacowi? Kto to jest Nelac? - Maerad zapomniała, że to dawny nauczyciel Cadvana z Norlochu, lecz jej towarzysz nie odpowiedział. Jego twarz pociemniała.

- Maerad - rzekł w końcu - jeśli Mrok wie to, co odkrył Dernhil, mamy gorsze kłopoty, niż sądziłem. Na Światło, jakże chciałbym wiedzieć, co się zdarzyło zeszłej nocy!

- Ale co to znaczy? - naciskała z uporem Maerad.

Cadvan spojrzał na nią uważnie, jakby widział ją po raz pierwszy. Nie opuściła wzroku, póki w końcu nie zaśmiał się łagodnie i nie ustąpił.

- Maerad, uważam, że ty jesteś Przepowiedzianą, tą, która przybędzie, Dzieckiem Losu. Lanorgil był jednym z największych wieszczów i przewidział twoje przybycie. *Odnajdźcie wówczas tę, która przychodzi bez Mowy z gór, bardkę bez szkoły, a jednak z tej Szkoły.* Miał na myśli ciebie. Nietrudno rozwiązać tę zagadkę i Dernhil miał rację: to nie przypadek, że pojawiłaś się właśnie teraz. Wedle Mądrości Przepowiedziana pokona Bezimiennego w naszej najgorszej godzinie. To pradawna tradycja, choć obecnie zapomnieli o niej niemal wszyscy, prócz mędrców, którzy nie zapominają.

Maerad słuchała w skupieniu i ciszy, serce waliło jej w piersi. Słowa Cadvana przepełniły ją osobliwą paniką, tą samą, którą poczuła, kiedy Dernhil pierwszy raz pokazał jej pergamin.

- To nie może traktować o mnie. - Zaśmiała się nerwowo, by ukryć zmieszanie. - Nie jestem... Nie jestem taka ważna...

- To mądrość, której Mrok nie zapomniał. - Cadvan patrzył na nią z powagą. - Najwyraźniej już podejrzewają, że jesteś Jedyną, znają twoje imię i wiedzą już, jak wyglądasz. Nie mają pewności, lecz samo podejrzenie wystarczy, żeby skazać cię na śmierć, jeśli kiedyś trafisz w szpony Mroku. Jeżeli jednak to wciąż tylko podejrzenie, być może nie będą szukać nas zbyt pilnie, chyba że Próżni zdołali wykraść umysł Dernhila. Albo wiedzą coś, o czym nam nie wiadomo.

- Ale dlaczego? Dlaczego mieliby mnie podejrzewać? - zdumiała się Maerad. - Skąd mieliby wiedzieć? To bzdury, Cadvanie. - Powoli zaczął ogarniać ją gniew. - Jakiś... głupi sen na kawałku pergaminu, a poza tym nie mówi wcale, że to ja...

- Może i mówi. Tak sądzę. - Cadvan zawiesił głos. - Myślę, że Lanorgil, pisząc o ognistej lilii, ma na myśli imię tego, kto ma przybyć. - Zacytował słowa Lanorgila: - *Odnajdźcie i czcijcie Ognistą Lilię, Dziecko Losu, które zakwita jasno w mroku i długo śpi w*

ciemności, bo z jej korzenia rozkwitnie na nowo Biały Płomień. Lilia to, rzecz jasna, symbol Pellinoru, oni jednak używają wizerunku kalii. Ognista lilia, *elednor* w Mowie, to zupełnie inny kwiat.

- Ale ja nie mam na imię Elednor! - Maerad zerwała się z miejsca. - Moje imię to...

- Maerad, nie znasz jeszcze swojego imienia. Nikt go nie pozna, póki nie zostaniesz ostatecznie mianowana bardem. A jeśli masz na imię Elednor, to z całą pewnością jesteś Jedyną, przepowiedzianą przez Lanorgila.

Cadvan przemawiał bardzo łagodnie, oczy miał pełne dziwnego współczucia.

- A jeżeli nie? Jeśli całkowicie się mylisz? Co wtedy?

Wzruszył ramionami.

- Jak już mówiłem, wówczas po prostu się mylę. - Milczał chwilę, po czym przemówił powoli: - Nie zdajesz sobie sprawy, Maerad, z wielkości swego Daru ani z tego, jakie to niezwykle u bardów pojawić się znikąd z podobną mocą, całkowicie niewyszkoloną. Zacząłem się nad tym zastanawiać wkrótce po tym, gdy w ciebie wniknąłem. I bez wątpienia nasza przygoda z Landrostem zaniepokoiła innych. Nawet dysponując tylko tą mocą, jesteś niebezpieczna i lepiej cię uciszyć, nim uzyskasz pełnię sił. Dopóki nie zostaniesz mianowana, to tylko podejrzenie, które z każdą chwilą rośnie w mej głowie. Najwyraźniej Dernhil żywił podobne. I jeśli Próżni wiedzą to, co on, wówczas grozi nam poważne niebezpieczeństwo. Zastanawiam się jednak, skąd w ogóle powzięli tak szybkie podejrzenia. Dlaczego się w to wmieszali?

- Dernhil by nas nie zdradził - rzekła niepewnie Maerad.

Stała bez ruchu w migotliwym blasku ognia, krzyżując ręce. Przed oczami ujrzała nagle wyraźny obraz twarzy Dernhila i ponownie dostrzegła zdecydowanie skryte pod jej łagodnością.

- To nie kwestia zdrady - odparł Cadvan. - Nie masz pojęcia... - Jego twarz wykrzywił grymas bólu; jakiś czas milczał. - Dernhil był silnym, potężnym bardem. Myślę, że Próżni woleliby go wykorzystać, niż zabić, chcieliby uczynić z niego swoją marionetkę, szpiega w Innailu, po to, by do ciebie dotrzeć. Morderstwo jedynie zaalarmowało Szkołę i uprzedziło o ich obecności. Teraz nie mogą tam zostać. Nawet Próżni nie daliby rady ludziom takim jak Malgorn i Oron... - Umilkł.

Maerad spojrzała na jego twarz skrytą w cieniu i w końcu znów usiadła przy ognisku.

- Myślę, iż najprawdopodobniej - podjął w końcu Cadvan - Dernhil zabił się, by tamci nie mogli wtargnąć do jego umysłu. I przypuszczam, że nie przemawia przeze mnie jedynie nadzieja. - Zadrżał. - Wierz mi, Maerad, jest wiele rzeczy gorszych niż śmierć. - Zapatrzył się

w ogień. - Wedle słów lorda Kargana najpierw próbowali dostać się do domu Malgorna i Silvii. Po naszym przybyciu rzuciłem urok, zaklęcie ochronne na ich dom, i najwyraźniej postąpiłem słusznie. Nie tylko ich odpędziło, ale też dało znać Malgornowi i Silvii, kto próbował otworzyć drzwi. Możliwe, iż tamci uważają, że wciąż nie opuściliśmy Szkoły. Ale nie jestem tego pewny.

Maerad milczała, przetrawiając w myślach słowa Cadvana. To prawda, Dernhil nie żył. Może też prawdą jest, że Mrok jej szuka, tak jak przypuszczał Cadvan. Poczowała, jak jej wnętrzości ściska przejmujący strach.

- Jak możemy się dowiedzieć? - spytała w końcu. - To znaczy, jeśli mam imię, jak je poznam?

- Nikt z nas niczego nie wie - odrzekł łagodnie Cadvan. - A to już początek mądrości...
- Urwał. - Musisz zostać mianowana, Maerad, i to możliwie jak najszybciej. Dlatego właśnie zmierzamy do Norlochu. W żadnym innym miejscu nie moglibyśmy pominąć wszystkich Wyzwań, które w przeciwnym razie wymagałyby lat nauki. Od początku uważałem to za oczywiste, ale teraz widzę, jak rozpaczliwie jest ważne.

- To znaczy, że po prostu mnie mianują? - spytała z niedowierzaniem Maerad. - Pełnoprawnym bardem? Ledwie umiem czytać...

- W szczególnych okolicznościach, owszem. A te wydają mi się bardzo szczególne. - Westchnął. - Jeśli jesteś Jedyną, Maerad, czekają cię trudne zadania i możesz się ich podjąć jedynie z własnej woli. Jeśli jednak tego nie zrobisz, odmówisz bądź spróbujesz uciec swemu przeznaczeniu, będzie cię ono prześladować.

- Niezły wybór - mruknęła cierpko.

Podniosła gałązkę i wsunęła koniec w ogień, patrząc, jak rozkwita w nim maleńkie ogniste drzewko. Nagle pomyślała o matce. Czy Milana wiedziała o Maerad więcej, niż mówiła? Czasami wspominała o przeznaczeniu, lecz Maerad była za mała, nie wiedziała, o co jej chodzi... Płomień pochłaniał gałązkę, niemal już dotarł do jej palców, wrzuciła ją zatem w ogień.

- Cadvanie, czym są Próżni?

- Próżni... - Cadvan pochylił się zgarbiony; mówił teraz niechętnie, jakby wbrew woli. Na jego twarz padł długi cień. - Próżni są, czy raczej byli, bardami. Dysponują mocą bardów. Służą Bezimiennemu.

Urwał i w owej ciszy Maerad usłyszała parskanie koni na zewnątrz i szum drzew, a także głos nocnego ptaka.

- Bezimienny, jak wiesz, sam kiedyś był bardem. Po to, by pokonać śmierć, odrzucił

swoje imię. To wielka zbrodnia, zbrodnia, którą może popełnić jedynie bard. Próżni są posłuszni jego woli, choć, w odróżnieniu od większości niewolników, dysponują też własną. Oni również nie umierają w zwykły sposób, lecz różnią się od Bezimiennego: ich można zabić. Nikt nie wie, co się z nimi dzieje potem. Mają ciała jak nasze, lecz po kilku żywotach stają się z wyglądu odrażający, choć potrafią się maskować jak my i udawać śmiertelników.

Umilkł, zagłębiony we wspomnieniach, a potem znów przemówił, z gwałtownym, zaskakującym gniewem, który wstrząsnął Maerad.

- Nienawidzę ich. Zdradzają wszystko, co czyni nas tym, kim jesteśmy. Niszczą wszystko godne miłości. Nienawidzę ich bardziej niż samego Bezimiennego. - Nagle jakby się otrząsnął i podjął już spokojniej: - Nikt nie wie, jak wielu ich jest. Uważa się, że za pamięci żyjących pokoleń, od czasu Ciszy, żaden bard nie przemienił się w Próżnego. Ale mam co do tego pewne wątpliwości.

- To znaczy? - Maerad podniosła kolejną gałąź i podpaliła. Lodowata groza pełzła wzdłuż jej pleców, wznosząc się ku karkowi.

- To znaczy, iż podejrzewam, że istnieją Próżni, których jeszcze nie rozpoznaliśmy - odparł Cadvan. - Niewielu wspominałem o swoich obawach. Część problemów dręczących szkoły można przypisać zwykłym grzeszkom, takim jak próżność i chciwość, uważam jednak, że nie wszystkie. Częściej, niżbyśmy chcieli, bardowie dają się uwieść mrocznym sztukom. Nie oznacza to od razu, że zostają Próżnymi. Przypomnij sobie swojego przyjaciela Mirlada. Najprawdopodobniej został wyrzucony ze Szkoły za zgłębianie zakazanej mądrości, lecz z całą pewnością nie był Próżnym. Uważa się, że Próżni wyglądają na ludzi złych, toteż ludzie nie podejrzewają zwykłych bardów, ja jednak zastanawiam się czasem... Maerad, uważaj, komu ufasz! Jeśli czujesz w sercu wątpliwości, słuchaj ich, nawet gdyby wydały ci się nierozsądne.

Maerad zadrżała i pomyślała o Ustедzie z Desoru. Sprawiał wrażenie jedynie nieprzyjemnego człowieka, ale czy mógł być czymś gorszym? I jak to stwierdzić? Dotychczas sądziła, że bardowie są wolni od zła, mimo iż niedoskonali. Teraz jednak wydało się jej, że nikt taki nie jest. Przez jedną szaloną chwilę Annar zdał się jej większą wersją Gilmanowego Siola, gdzie nikomu nie można ufać. Potem jednak przypomniała sobie Silwię, Dernhila, Malgorna i samego Cadvana i myśl ta uciszyła lęki.

- Dlaczego Bezimiennego nie można zabić? - spytała.

- Stworzył zaklęcie wiążące - wyjaśnił Cadvan. - Bardowie od stuleci próbują je rozszyfrować. Wiemy tylko, że to czar, jakiego nigdy wcześniej i później nie rzucono, i że jego moc wiąże go z ziemią tak, że dusza nie może odejść przez Bramy po śmierci i odradza

się na nowo w innym ciele. Powiadają, że kiedy wymówił to zaklęcie, poczuł ból tak ogromny, że jego krzyk odbił się echem od królestwa Indurainu poprzez wierzchołki Osidh Annovy aż do wyspy Thorold, od pustkowi Zmarkanu aż po morze Lamarsan. Mędrcy uważają, że wciąż odczuwa tę mękę. Żadne ludzkie ciało nie może bowiem znieść tych katuszy i zdaje się, że Bezimienny przybiera jedynie postaci, które mają dość woli, by unieść ten ciężar, i są bez wyjątku odrażające i straszliwe dla oka. - Cadvan westchnął ciężko. - I tak w Annarze nastąpiła Wielka Cisza. Co do mnie jednak, to myślę, że zbyt długo już gadam, a oboje jesteśmy zmęczeni. Czas, abyśmy pograżyli się we własnej ciszy.

Maerad okryła się kocem, próbując znaleźć wygodne miejsce na ziemi. Jakiś czas wierciła się niespokojnie, a w jej umyśle pojawiały się przypadkowe, niechciane obrazy: zabójstwo Dernhila, jej imię, wielki kruk lądujący na przedramieniu Cadvana, Jedyna, Próźni.

Nic z tego nie ma sensu - pomyślała ze zmęczeniem - najmniejszego sensu. Wszystko to było jak zły sen, tyle że nie mogła się z niego obudzić.

Strach wił się w jej brzuchu niczym lodowaty wąż.

XIII

ELIDHU

W mrocznych godzinach po północy Cadvan gwałtownie potrząsnął Maerad. Przycisnął jej palec do ust, by nie wydała z siebie żadnego dźwięku. W pełni przebudzona usiadła na ziemi. Posłała naprzód myśli i natychmiast usłyszała coś, co przypominało wielkie zwierzę przedzierające się przez las i łamiące po drodze gałęzie. Oceniała, że dzieli je od nich jakaś mila; zbliżało się z kierunku, z którego przybyli. Cadvan ukrył już urokiem śpiące konie, tak by nie wydawały z siebie żadnych dźwięków. Oboje siedzieli jak myszy pod miotłą, nasłuchując zbliżających się trzasków. Cokolwiek to było, przystawało co parę minut, jakby węszyło w poszukiwaniu tropu. Maerad niespokojnie pomacała głownię miecza. Stworzenie zdawało się podążać ich śladem. Zastanawiała się, co to może być: zbyt wielkie i niezgrabne jak na wilka, samotne, nie stado.

W końcu dotarło na sto jardów od miejsca ich popasu i przystanęło. Maerad słyszała jego oddech, chrapliwe dyszenie i upiorny odgłos ściekającej śliny. Siedzieli z Cadvanem w absolutnym bezruchu, starając się nie oddychać. A potem stwór skoczył naprzód, oddalając się od polany; Maerad miała wrażenie, jakby krew znów zaczęła płynąć jej w żyłach, osłabła z ulgi. Słuchali, jak coś oddala się, łamiąc krzaki i gałęzie; dźwięki słabły coraz bardziej i bardziej, aż w końcu ucichły.

- Co to było? - wyszeptła, kiedy w lesie znów zabrzmiały zwykłe nocne odgłosy.

- Nie wiem - odparł Cadvan. - Może goromant; tak przynajmniej brzmiał.

- Goromant?

- Wielka bestia z ogonem jak u skorpiona i grubym pancerzem. Odnajduje ofiary węchem i bardzo ciężko ją zabić. Mieliśmy szczęście, że znaleźliśmy ten dom bardów; on nas chroni.

- Czy... Jak myślisz, czy wysłał go Mrok?

Cadvan zmrużył oczy, przyglądając się jej w nocnej ciemności.

- Nie przypuszczam, Maerad. Na świecie istnieje wiele stworzeń zrodzonych ze starszych mocy niż ta Bezimiennego. Żyją w pradawnych puszczech, podobnych do tej, niczym pozostałości dawnego zła. Choć, istotnie, Bezimienny może je wykorzystywać.

- Skąd zatem wiesz, że go nie wysłał?

Cadvan nie potrafił odpowiedzieć, rzekł jedynie, że będzie pełnił wartę. Maerad, wstrząśnięta, położyła się na ziemi. Minęło dużo czasu, nim zdołała zasnąć.

*

Następnego dnia wstali o świcie i ruszyli dalej w głąb Magilasu. Otaczający ich las był tak cichy i spokojny, że nocny incydent wydawał się jedynie koszmarnym snem. Cadvan jednak wskazał jej ślady pozostawione przez bestię: pazurzaste odciski łap w miękkim błocie przy strumieniu, świeżo złamane drzewka i gałęzie. Ślady były bardzo głębokie; Maerad zadrżała na myśl o tym, jak wielki ciężar sugerowały: stwór musiał być olbrzymi.

Z każdej gałązki zwisały krople rosy, mieniące się barwami w promieniach słońca, które przenikały przez liściaste sklepienie nad ścieżką. Oglądając się na boki, Maerad przekonała się, że tutejsze drzewa rosną gęściej, spowijając las w cień. Czasami w dali dostrzegała zbląkaną plamę światła, w miejscu gdzie rozłożysty dąb zwałił się na ziemię i leżał opleciony przez pędy bluszczu i jemioly bądź gdzie z poszycia wyrastały nagle szare granitowe skałki. Ziemię porastały gęste kępy paproci, przebijające się zielonymi pędami przez miedzianobrazowe pozostałości zimy. Na poboczach ścieżki wyrastały najróżniejsze rośliny: jaskólcze ziele i dzwonki, bluszcz kurdybanek, kępy psianki i cykuty, gąszcze dzikich róż i pokrzyw. Cadvan wymieniał ich nazwy podczas jazdy. Raz zeskoczył z konia, aby zerwać czworolist, skromny zielony kwiatek w kształcie gwiazdki.

- Nazywają go też księżycówką bądź miłośnicą, a bardowie zwą ją martagonem - wyjaśnił. - Każdy kwiat rodzi z czasem jedną czerwono-czarną jagodę, która po sproszkowaniu znosi działanie trucizny. Niektórzy mówią, że ma też inne zalety, a jeśli wsypać ją do herbaty, przynosi cudowne sny.

Ścieżkę zaścielały gnijące liście, tłumiące odgłos kopyt. Co jakiś czas natrafiali na kamienisty bród przecinający jeden z licznych strumieni. Dotarli daleko w głąb puszczy, zmierzając na północ. Z czasem Maerad zaczynała czuć się coraz bardziej przytłoczona ciszą; ona i Cadvan odzywali się coraz rzadziej. Często myślała o wielkim stworze, którego słyszeli zeszłej nocy - teraz nie dostrzegła żadnych śladów podobnego zwierzęcia. Jedyne głosy, jakie słyszała w lesie, należały do ptaków, same ptaki jednak pozostawały ukryte wśród gałęzi. Raz wydało jej się, że dostrzega czerwoną sylwetkę jelenia znikającego chyżo jak myśl między drzewami. Stało się to jednak tak szybko, że mogło być jedynie złudzeniem. Poza tym nie widziała żadnych żywych istot.

Cadvan obmyślał w milczeniu najlepszy szlak do Norlochu. Gdy tylko mógł, skrzywił z zachodniego gościńca pod osłonę drzew, toteż mocno zбочyli z najkrótszej trasy. Teraz

zastanawiał się, co jest ważniejsze: szybkość czy dyskrecja. Najkrótsza droga była też najniebezpieczniejsza, ale dłuższa zwłoka również niosła z sobą zagrożenie. Głęboko wstrząsnęły nim wczorajsze słowa Maerad; rozdarty żałował, że nie ma pewności co do śmierci Dernhila. Musiał zdecydować, która droga będzie dla nich najlepsza. Czy powinni podążać gośćmi do Norlochu, czy też przedzierać się przez głuszę, z dala od wszelkich osad? Oba rozwiązania miały wady i zalety. Nie musiał podejmować decyzji, póki za kilka dni nie opuszczą Magilasu, ale wówczas będzie ona nieunikniona.

Tej nocy zatrzymali się w kolejnym Derenhelu, ponownie zasadzonym wokół skały, w której kryła się jaskinia. Tym razem na środku polany był też okrągły staw. Na zmianę pełnili wartę, nie usłyszeli jednak niczego niepokojącego. Następnego wieczoru rozbili obóz pod wielkim dębem, niedaleko ścieżki, ponownie czuwając na zmianę. Nie rozpalili ognia, bo Cadvan nie chciał zwracać na nich uwagi lasu, i Maerad spała niespokojnie - czuła się odsłonięta. Panująca w puszczy cisza zaczynała grać jej na nerwach.

Podczas jazdy Cadvan zabijał czas, opowiadając jej więcej o Wiedzy i tajemnicach Mowy, historiach Siedmiu Królestw i krainy Annaru, zachowaniu dzikich ptaków i właściwościach roślin. Powtórzył też różne legendy traktujące o pojawieniu się na kontynencie bardów zwanych w Mowie Gwiezdnymi Ludźmi, Dhillarearë, i wspomniał, że nikt nie potrafi określić ich pochodzenia. Czasami recytował też pieśni z czasów Wielkiej Ciszy o rozpaczliwych bitwach Światła z Bezimiennym. Wyjaśnił, jak w tamtych czasach Światło wycofało się do najdalszych prowincji, obecnie zwanych Siedmioma Królestwami - Culainu, Ileadhu, Thoroldu, Lanorialu, Amdrithu, Suderainu i Lirhanu - i niemal na dobre zostało przegnane z Annaru. Ani razu nie wspomnieli o Próżnych.

Wieczorami zazwyczaj wydobywali liry i grali razem. Maerad w tych dniach nauczyła się słuchać na nowo pieśni, które znała na pamięć, i rozumieć je w odmienny sposób: nie po prostu jako historie stworzone po to, by przegnać nudę zimowych wieczorów, lecz jako ilustracje pradawnych tajemnic Wiedzy, która sprowadzała je w czasy obecne i oblekała w ciało. Po wstrząsie spowodowanym śmiercią Dernhila i poprzedzających ją wydarzeniach - wszystkim, co się stało, od czasu gdy opuścili z Cadvanem sioło - cieszyła się spokojem. Żałowała, że nie podróżują spokojnie, bez celu i pośpiechu. Z całych sił odpychała myśl o tym, że mogła być Jedyną, Dzieckiem Losu - wszystkie te tak ważne słowa zdawały się nie mieć z nią nic wspólnego.

Trzeciego dnia w puszczy uczucie nacisku na Maerad nagle wzrosło, jakby ktoś ich obserwował. Cadvan nie okazał niepokoju, toteż milczała. Tej nocy rozbili obóz pod drzewem; znów nie palili ognia i skuliła się nieszczęśliwa z zimna, balansując na granicy

niewygodnego snu. Nagle coś ją obudziło: wrażenie, jakby potknęła się i wpadła do głębokiej wody. Uniosła powieki i ujrzała parę oczu, lśniących żółtym blaskiem jak u kota; patrzyły wprost na nią z odległości niecałych dziesięciu stóp. Usiadła zaniepokojona, lecz oczy natychmiast zniknęły, a kiedy Cadvan spytał, co się stało, odparła, iż wydało jej się, że widziała sowę czy jakieś inne zwierzę. Magilas zaczynał ją męczyć, łaknęła dotyku wiatru na twarzy i widoku gwiazd oraz słońca. Po raz pierwszy, od kiedy opuścili Innail, zatęskniła za kąpielą: jej skóra lepiała się od brudu. Pomyślała tęsknie o słodko pachnących olejkach w domu Silvii. Następnego ranka z niezadowoloną miną osiodłała Imi.

- Jak długo jeszcze będziemy tkwić w tym przeklętym lesie? - spytała Cadvana. - A może ciągnie się bez końca?

- Nie bez końca - odparł Cadvan. - Woląłem pozostać niewidziany, a Magilas to doskonała kryjówka, wiem jednak, co czujesz. - Skrzywił się, zapinając ramię pod brzuchem Darsora, po czym wskoczył na siodło. - Jeszcze dwa dni i znów ujrzymy nad sobą niebo.

*

Niepokój Maerad narastał przez cały dzień, nie mogła się już doczekać chwili, gdy opuści puszcę. Pożałowała, że Cadvan nie jedzie szybciej. Teraz miała już niemal pewność, że coś ich obserwuje, choć niczego nie dostrzegała. Czasami gdy oglądała się przez ramię, miała wrażenie, że jakaś postać majaczy na skraju pola widzenia albo też że kątem oka dostrzega ruch. Mogły to być liście kołyszące się na wietrze, gdyby wiał jakikolwiek wiatr. Czy ktoś ich ścigał? A jeśli tak, to kto? Późnym popołudniem wzdrygała się już za każdym razem, gdy koń nastąpił na gałązkę.

I wtedy wydało jej się, że coś słyszy: głos, który zdawał się tańczyć na samej granicy słuchu. Z początku zatem nie była pewna, czy to w ogóle głos - może raczej wiatr świszczący wśród gałęzi bądź odległy krzyk ptaka? Rozbrzmiewał i cichł, nim zdołała go uchwycić, a potem znów się odzywał, z każdą chwilą coraz bliższy. Zaczęła się bać i zerknęła na Cadvana, prosząc w myślach, by wspomniał o owym dźwięku. Mężczyzna jednak jechał naprzód bez słowa.

- Cadvanie? - spytała w końcu, niezdolna dłużej opanować niepokoju. - Słyszysz coś?

- Słyszysz naszego towarzysza? - Odwrócił się ku niej z uśmiechem. - Nie wszystkie uszy są w stanie uchwycić tę pieśń.

- Co to takiego?

Głos, zupełnie jakby już wiedział, że słuchają, zabrzmiał wyraźniej. Maerad zaczęła słyszeć też słowa, choć wydawały się abstrakcyjne, niczym kształty przepływające pod

falującą powierzchnią wody. A potem nagle odniosła wrażenie, że jej punkt odniesienia przesunął się, tak jak to dzieje się czasami, gdy spoglądamy w głąb jeziora i choć przed chwilą widzieliśmy jedynie migoczące zmarszczki na tafli, teraz wnikamy spojrzeniem, dostrzegając nieruchomą sylwetkę pstrąga mieniącego się złotem i czerwienią, poruszającego leniwie płetwami. Z lekkim wstrząsem pojęła, że rozumie słowa.

*Miękka jak staw dla łabędzia śpiącego,
Zimna jak promień księżycy na skale,
Głęboka niczym mech śpiewnego drzewa,
Jestem tym i tym, i tym.*

*Chyża jak gwiazda nad doliną zmierzchu,
Stara jak skryty korzeń, co świat karmi,
Twarda jak światło, co oko oślepia,
Jestem tym i tym, i tym.*

Imi i Darsor zatrzymali się i z rzeniem unieśli głowy. Maerad zastygła w bezruchu, zdjęta czarem pieśni, całkowicie obcej i zdającej się odbijać echem nie w uszach, lecz wewnątrz jej głowy. Nie była świadoma nagłej troski Cadvana ani tego, że zeskoczył z siodła i podszedł do Imi, chwytając jej wodze i sięgając ku dłoniom Maerad. Jej tymczasem wydało się, że las wokół nich pociemniał, pomiędzy drzewami pojawił się falujący srebrzysty blask, niczym światło spod wody, a w owej plamie ruchomego blasku dostrzegła postać.

- Witaj, o córko - rzekła postać do Maerad. - Obserwowałam cię.

Maerad patrzyła zdumiona. To była kobieta, na pozór naga, a jednak sprawiająca osobliwe wrażenie ubranej w światło, zupełnie jakby jasne, srebrzyste fale, miast ją ukazywać, okrywały. Spojrzała jej w twarz i stwierdziła, że ma te same żółte oczy, które przestraszyły ją poprzedniej nocy. Tkwiły w najdzikszej twarzy, jaką Maerad oglądała, nieludzkiej i magicznej, amoralnej i pięknej niczym kwiat.

- Dlaczego? - wyjąkała Maerad. - Dlaczego mnie obserwowałaś?

Postać roześmiała się.

- Jak często ktoś z mego rodu przybywa w te strony? Pomyślałam, że może zjawiał się, by mnie powitać i na dawną modłę tworzyć muzykę. Widzę jednak, że jesteś jednym z tych durniów, tych ludzi.

Roześmiała się ponownie i Maerad poczuła, jak po plecach przebiega jej lodowaty

dreszcz. Otrząsnęła się i spojrzała w dół; Cadvan wpatrywał się w nią, lecz odnosiła wrażenie, że spogląda na niego przez zasłonę.

- Czego ode mnie chcesz? - spytała.

- Znam cię - odparła postać. - Nie będę ci zawadą. - Podeszła bliżej Maerad, zupełnie jakby stąpała w powietrzu, i stanęła przed nią, otoczona kulą wodnistego blasku. - Nie wadzę moim dzieciom. - Ujęła w dłoń podbródek Maerad i uniosła go, patrząc jej prosto w oczy. - Kochałam twego przodka wiele wieków temu; jego głowa spoczywała na mej piersi i rozkosz ta zadziwiała mnie.

Puściła dziewczynę i przeciągnęła się zmysłowo niczym kotka, sięgając rękami ku drzewom.

- Lecz jak wszyscy śmiertelni postarzał się i umarł. Zapomniałam o nim. A potem usłyszałam twój głos - brzmiał jak jego - i przypomniałam sobie. Podążyłam zatem twoim śladem i ujrzałam; jesteś z mego rodu.

Maerad milczała.

- Czy ten człowiek to twój luby? Zapomnij o nim, tacy jak on mrą niczym trzciny. Chodź ze mną do swego królestwa.

Maerad poczuła ukłucie strachu. Czy istota chciała zwieść ją magią na manowce?

- Nie - odparła głośniejszym głosem, niż zamierzała.

- Nie? - Postać wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - Rozumiem miłość. Ja też kiedyś kochałam. Posłuchaj więc: dam ci to. Może kiedyś znużą cię ludzie, którzy kalają ten świat i zatrują korzenie wszechrzeczy. - Wręczyła Maerad niewielki flecik zrobiony z trzciny. - Zagraj na nim, a ja cię usłyszę.

Maerad zamrugnęła i w tym momencie postać zniknęła. Wszystko wyglądało jak przedtem, tyle że teraz trzymała w palcach mały flecik. Spuściła głowę. Cadvan ścisnął wodze Imi, wpatrując się w nią oniemiały. Otrząsnęła się, próbując uwolnić się z dziwnego nastroju, jaki ją ogarnął, i roześmiała się.

- Co to było? - spytała drżącym głosem.

- Ale co? - odparł z naciskiem Cadvan. - Powiedz mi, Maerad, co się stało?

- Kim ona była?

- To Żywiołowiec, Elidhu. Co ci powiedziała?

- Nie słyszałeś? - zdumiała się Maerad.

- Słyszałem ją, lecz żaden żyjący człowiek nie włada ich mową. Jeśli chcą rozmawiać z ludźmi, co zdarza się rzadko, posługują się naszym językiem albo Mową. Maerad, rozmawiając z nią, przemawiałaś w języku, którego nie znam.

Maerad zamarła, analizując jego słowa.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. - W głosie Cadvana dźwięczało zdenerwowanie. - Nie wiem, czy cię nie zaczarowała.

- Nie - rzekła powoli Maerad. - Nie przypuszczam. Powiedziała: „Nie będę ci zawadą”.

Następnie powtórzyła ich osobliwą rozmowę, pomijając jedynie komentarze Elidhu na temat Cadvana. Powoli jej towarzysz uspokajał się, choć nadal wyglądał na oszołomionego. Odebrał jej flecik i obejrzał go z namysłem.

- Kiedy byłem mały, robiłem sobie podobne piszczałki. - Oddał jej instrument. - Ale ten zrobiono z nieznanego mi gatunku trzciny. - Spojrzał na Maerad z nowym zainteresowaniem, zabarwionym zdumieniem. - Krążyły pogłoski, że w żyłach rodu Karn płynie krew Żywiołowców. Nigdy w to nie wierzyłem. Najwyraźniej jednak się myliłem. - Pokręcił głową, jakby próbował uporządkować myśli. - Co to wszystko znaczy? Dziwne, bardzo dziwne.

Maerad spojrzała na niego pustym wzrokiem. Wciąż czuła się tak, jakby wypłynęła na powierzchnię z głębokiej wody. Cadvan zamierzał zadać jej kolejne pytanie, ale powstrzymał się nagle. Zamiast tego oddał jej wodze, wrócił do Darsora i dosiadł go.

- Powinniśmy jechać dalej - oznajmił. - Jakaś stąd jest kolejny dom bardów. Tam znów porozmawiamy.

*

Już w kryjówce rozsiedłali i wypuścili konie, a potem jak zwykle rozpalili ogień w jaskini i przygotowali posiłek. Cadvan sprawiał wrażenie roztargnionego. Maerad milczała, choć kipiała od pytań. Kiedy skończyli jeść, wyciągnął przed siebie nogi i oparł się wygodnie o skalny mur, ona zaś przyglądała mu się w blasku płomieni. Wyglądał na zmęczonego: od nosa do ust ciągnęły się głębokie bruzdy, oczy zapadły się głęboko. W takich chwilach miała wrażenie, że to ktoś obcy: mroczny, zamknięty w sobie mężczyzna o zamyślanej, pobrużdżonej twarzy, zahartowany długim życiem, o którym nie miała pojęcia. Czekwała cierpliwie i w końcu, gdy na zewnątrz zapadł zmrok, Cadvan otrząsnął się z zamyślenia i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Wybacz mi - powiedział. - To, co się dziś stało, kompletnie mnie zaskoczyło. Nie miałem pojęcia. - Pokręcił głową. - Wiedziałem, że kryjesz w sobie wiele niespodzianek, Maerad, ale ta zdumiała nawet mnie.

- Mnie także - przyznała. - Jak mogę rozmawiać z Elidhu, nie znając Mowy?

- Nie wiem - przyznał Cadvan. - Bardostwo to pradawna sztuka, istnieje jednak Wiedza jeszcze starsza, tak starożytna jak wody, drzewa i ziemia. Znacznej jej części nie znamy, lecz jedynie niejasno się domyślamy. To Wiedza, z której wyrasta bardostwo, jego korzenie. Nie są tym samym. Sztuka bardów to sztuka ludzi, lecz Elidhu krążyli po tej ziemi jeszcze przed nami...

- Na moment zawiesił głos. - Wśród bardów krew Elidhu nie jest uważana za coś do końca dobrego - dodał. - Jeśli nawet lud Karn miał ją w sobie, nic dziwnego, że to ukrywał.

- Dlaczego? - zdziwiła się Maerad. - Ona nie była zła.

- Nie, nie zła - przyznał Cadvan. - Ale nie można na nich polegać w ludzkim świecie. Rozmawiałaś z Elidhu - czy zaufałaś jej? Stwory z głuszy nie są takie jak my, często zapominają o tym, o czym my musimy pamiętać, i nim zliczysz do trzech, niczym ogień z łaskawych stają się śmiertelnie groźne.

Maerad milczała, zapatrzona w płomienie.

- A co to jest ród Karn?

Cadvan popatrzył na nią szybko i odwrócił wzrok.

- To twój ród, twoja rodzina. Niektórzy bardowie - jakaś połowa z nich - pochodzą z rodzin, w których nigdy wcześniej nie było im podobnych - ja też do nich należę - ale inni nie. Ród Karn to starożytna rodzina bardów. Byli przy założeniu Pellinoru i wcześniej, w Lirionie na północy. Trwali nieprzerwanie przez cały czas Ciszy na zachodzie, na wyspie Thorold. Do rodu należał wieszcz Lanorgil. Andomian i Beruldh, o których dziejach tak często śpiewałaś, to twoi dalecy przodkowie. Milana, twoja matka, dźwigała na swych barkach bogate dziedzictwo bardostwa. I ty także.

- Ja? - Informacja ta oszołomiła Maerad bardziej niż spotkanie z Elidhu. Nagle tragiczna historia Andomiana wydała jej się dziwnie bliska. To moja historia - pomyślała - moje dzieje. Wyobraziła sobie Andomiana konającego w lochach czarownika Karaka po ocaleniu braci z niewoli, samotnego, w rozpacz, i zadrzała. - Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

Cadvan milczał.

- Ustę wspomniał o twym dziedzictwie podczas rady w Innailu, lecz poza tym nie poruszano tego tematu - rzekł w końcu. - I być może nie w pełni ufam idei dziedzicznego bardostwa. Są też bardowie niegodni swych przodków, a także dumni ponad swe zdolności i prawa.

Jakiś czas trwali w milczeniu, zatopieni we własnych myślach. Maerad wydało się, że wyczuwa w Cadwanie nowy dystans, jakby wycofał się, odrzucając ową bliskość, która

zaczęła ich łączyć, i to ją zasmuciło. Nie moja wina - pomyślała - że pochodzę z podobnego rodu. Nie wybrała sobie tego, tak jak nie wybrała niewoli w dzieciństwie. Była, kim była, nieważne, jak wielkie brzemie historii dźwigała na barkach. Potem jednak Cadvan poruszył się.

- Coś mnie jednak dziwi - rzekł. - Możesz raz jeszcze powtórzyć pieśń, którą śpiewała Elidhu?

Maerad wyrecytowała zwrotki tak, jak je zapamiętała; Cadvan słuchał z uwagą.

- Tak - rzekł. - „Mech śpiewnego drzewa”, a także „skryty korzeń”. A Lanorgil mówił o Drzewnej Pieśni. Maerad, ja sam przez lata zgłębiałem Mowę i w naszej tradycji często pojawiają się wzmianki o korzeniach języka i Drzewie Życia. Domyślam się, że łączą się z sobą. Nie słyszałem jednak dotychczas o Drzewnej Pieśni. Nie wiem, co to. - Niecierpliwie rozgarnął ogień. - Uważam, że to ważne i powinniśmy spróbować odkryć coś więcej. I że może wiedza Żywiołowców odgrywa w naszych sprawach nieco większą rolę, niż uważają bardowie. Napisano, że Żywiołowcy często zjawiali się w Afinilu i śpiewali z tamtejszymi bardami; wiele z owej Wiedzy utraciliśmy podczas Wielkiej Ciszy. Za dużo mi tu umyka. Jakże chciałbym pomówić z Nelakiem! - Westchnął.

- Twoim nauczycielem? - spytała ciekawie Maerad.

- Owszem, był moim nauczycielem. - Cadvan zerknął na nią. - Teraz jest bardzo stary. To największy z Czytających w tej krainie. Przede wszystkim z jego powodu chcę udać się do Norlochu. Potrzebujemy jego rady.

- Jest tam Pierwszym Bardem?

- Nie, nie Pierwszym, choć oczywiście należy do Kręgu. W mojej ocenie jest tam najmądrzejszy. Dawno temu, po śmierci Noldora, poproszono go, by został Pierwszym Bardem, on jednak odmówił, twierdząc, że nie łaknie podobnych zaszczytów. Pierwszy Bard to Enkir, kolejny wielki Czytający. Pierwsi bardowie w Norlochu to niemal bez wyjątku Czytający, choć zdarzyło się też kilku Tworzących. Intelkt ma Enkir surowy i nieugięty niczym stal i wśród mędrców uważany jest za wielkiego barda, jest też dumny i wyniosły; pochodzi z innego wielkiego rodu, rodu Lenar.

- Ale Nelac jest większym bardem od niego?

Cadvan spojrział na Maerad i uśmiechnął się szeroko, przeganiając jej wcześniejsze troski.

- Tak, wedle mej oceny, choć wielu by się nie zgodziło. Nelac z Lirigonu jest bowiem mądry także w kwestiach serca, których Enkir nie pojmuje, będąc na to zbyt surowy, zimny i dumny. Poznasz ich jednak sama i wówczas osądzisz.

- To brzmi, jakby ten Norloch... jakby on nie, miał nic wspólnego ze mną - rzekła Maerad z powątpiewaniem.

- Norloch bardzo różni się od Innailu - odparł Cadvan. - Ale miałaś już do czynienia z rzeczami o wiele straszniejszymi niż starzy ludzie.

*

Następnego dnia jechali dalej przez Magilas i w końcu Maerad wydało się, że drzewa niemal niedostrzegalnie się przerzedzają. Zastanawiała się, czy dotarli niedaleko granicy puszczy. Cadvan to potwierdził.

- Jeszcze jeden dzień i znajdziemy się w północno-wschodnim Annarze, dzień czy dwa od Milholu - oznajmił. - Potem będziemy musieli zdecydować, którą jechać dalej. Możemy skręcić w gościniec ettinorski, uważam jednak, że niemądrze byłoby podróżować tamtą drogą, choć zapewne szybciej; lecz skręt dalej na północ oznacza jeszcze bardziej okrężną trasę. Kusi mnie, by skierować się do mej własnej Szkoły, Lirigonu, i stamtąd na południe do Norlochu. Bardzo chciałbym zebrać nieco wieści. Ale to wiele dni jazdy na północ i sądzę, że w ostatecznym rozrachunku na niewiele by się zdało.

- Czy musimy trzymać się dróg? - wtrąciła Maerad.

- Nie, nie zawsze - odparł. - I myślę, że nie będziemy, choć na zachód od Milholu ziemie są trudne do przebycia, miejscami jest to wręcz niemożliwe. Lękam się też, że zabłądzimy!

Jechali dalej w przyjaznej ciszy. Po wczorajszym spotkaniu z Elidhu Magilas nie wydawał się już Maerad wrogi, a choć wciąż pragnęła wydostać się z półmroku pod drzewami w blask słońca i poczuć na twarzy dotyk wiatru, pojęła także, że czuje się tu bezpieczniejsza, ukryta przed wścibskimi oczami, mimo zagrożeń, jakie niosła z sobą sama puszcza. Miała wrażenie, niepoparte żadnymi dowodami, że Elidhu ich chroni. Długie dni jazdy pośród drzew dały jej też sposobność pełnego przyswojenia sobie wydarzeń ostatnich trzech tygodni. Czowała się mniej zagubiona, mniej niepewna, choć miała wrażenie, że im więcej się dowiaduje, tym bardziej mnożą się dręczące ją pytania. Powiedziała to Cadvanowi.

- Tak samo dzieje się z Wiedzą - odparł. - Często myślałem, że jest niczym światło rozkwitające pośród mrocznych mór: w miarę jak płonie coraz jaśniej, głębia i wielkość nieznanego także wydają się większe. Najmądrzejsi ludzie to ci, którzy pojmują, jak niewiele wiedzą!

Tej nocy rozbili obóz w kolejnej kotlinie, tym razem jednak nie było jaskini i nie mogli rozpalić ognia. Dobra pogoda wciąż się utrzymywała, noc okazała się zdumiewająco ciepła. O świcie ruszyli w drogę i około południa Maerad dostrzegła światło między

drzewami: dotarli do końca ścieżki.

Las urwał się nagle; mrugając gwałtownie powiekami, odkryła, że przed nimi rozciąga się kraina pełna łagodnych wzgórz porośniętych fioletowymi łanami wrzосу, pośród których wije się droga. Cadvan oznajmił, że gdyby nią podążyli, z czasem dotarliby do jednego z bardowskich gościńców biegnącego wzdłuż rzeki Milhol aż do Ettinoru.

- Na razie jednak - rzekł - myślę, że powinniśmy skierować się do Milholu. Żałuję, że nie znam tutejszych okolic. Tam podejmiemy decyzję, co robić dalej.

Kraj, przez który jechali, był zaskakująco pusty, chłostany silnymi wiatrami wiejącymi z odległych gór, które rysowały się niebieską kreską na odległym horyzoncie. Nie rosły tu żadne drzewa, jedynie karłowate, cierniste krzaki; od czasu do czasu mijali zwietrzałe, szare, granitowe skałki pokryte plamami jaskrawych porostów, fioletowych, żółtych, zielonych i białych. Były tam też inne kamienie, wyglądające na umieszczone ludzką ręką: kręgi na szczytach niewielkich wzgórz przypominające olbrzymie, połamane korony, niektóre wywrócone i strzaskane, niektóre wciąż stojące, lecz pochylone szaleńczo niczym gromada pijaków.

- Te kamienie były tu jeszcze przed Afinilem. Pochodzą z najwcześniejszych czasów, gdy ludzie zjawili się w tej krainie - wyjaśnił Cadvan. - Obecnie nikt nie wie, co oznaczały; nawet w czasach dhylickich były starożytne i porzucone. Ustawili je na wzgórzach ludzie żyjący wiele tysięcy lat temu. Niektórzy uważają, że oznaczają one położenie grobowców ich królów i królowych, inni twierdzą, że to miejsca, w których oddawali cześć bogom. Niektóre pokrywają osobliwe rzeźby.

- A ty co sądzisz? - spytała Maerad.

- Ja? Nie wiem - odparł.

Zapadał zmierzch, a oni wciąż znajdowali się daleko od ludzkich zabudowań, pod jednym ze wzgórz znaleźli zatem dolinkę osłoniętą przed wiatrem i rozbili obóz. Nie słyszeli wokół nic oprócz westchnień wiatru wśród traw i melancholijnych krzyków czajek. Tej nocy nie wyjęli lir, lecz rozmawiali cicho. Maerad przysunęła się bliżej ognia.

- Strasznie tu samotnie - zauważyła.

- Tak - odparł Cadvan. - Nazywają ten kraj Pustymi Ziemiemi. Za ludzkiej pamięci nikt tu nigdy nie mieszkał.

- To było bardzo dawno i daleko - rzekła. - Lecz mam wrażenie, że tutejsza ziemia pamięta ludzi.

Tej nocy Maerad spała niespokojnie i we śnie zdawało jej się, że daleko w nocy słyszy tętent kopyt i że jej szukają. Wokół roilo się od złowieszczych sylwetek mężów spowitych w

czern. Ocknęła się, dygocząc, i spojrzała wprost w rozgwieżdżone niebo, na którym oprócz postrzępionych chmur szybował sierp księżycy. Cadvan leżał nieopodal, pochrapując cicho. Wkrótce znów zasnęła i więcej już nie śniła.

*

Nadal podążali ścieżką, która przeprowadziła ich przez Magilas; późnym rankiem następnego dnia nagle zagłębiła się ona między bagniska. Tu znacznie zwolnili tempo, musieli bowiem starannie wybierać drogę, obawiając się, że zabłądzą. Konie często zapadały się w błoto powyżej pęcin. Wokół roiły się chmary gzów i komarów. W miarę jak słońce świeciło coraz mocniej, jechało się coraz ciężiej. Jechali naprzód kilka godzin, nie zatrzymując się na popas. W końcu, ku uldze Maerad, zostawili za sobą bagna i znaleźli się na twardym gruncie. Wówczas zatrzymali się na brzegu strumienia na spóźniony posiłek, wypuszczając konie, by mogły skubnąć nieco trawy i napić się do woli.

- No cóż - rzekł Cadvan - wkrótce znowu znajdziemy się pośród ludzi. Wątpię, byśmy spotkali kogoś, kto mnie zna, warto jednak podjąć pewne środki ostrożności kryjące nas przed oczami bardów. - Zastanawiał się chwilę, a potem rzekł: - Jak ci się podoba pomysł, byś została moim niemym synem? Ja będę cholewkarzem z okolic Pellinoru, szukającym w Ettinorze leku na przypadłość syna.

- Czemu nie? - Maerad spojrzała na niego z rozbawieniem. - Ale wiadomo ci cokolwiek o cholewkarstwie?

- Ależ panienko - Cadvan mrugnął do niej łobuzersko. - Nie masz pojęcia, co wiem. Mój tatko był szewcem i jego buty słynęły w całym Lirigonie. Oraz wszędzie indziej.

Kamuflaż zabrał im nieco czasu. Cadvan zajął się najpierw Maerad: kazał jej położyć sobie dłonie na ramionach, tak jak wtedy, kiedy w nią wnikał, i wymamrotał urok w Mowie. Przed jej oczami rozbłysło światło, oślepiając ją na sekundę, a kiedy odzyskała wzrok, spojrzała w dół i odruchowo krzyknęła. Jej ciało się zmieniło: wyglądała teraz jak chłopiec odziany w ledwo zauważalnie odmienny strój, utkany z szorstkiej, niebarwionej wełny. Następnie Cadvan zmienił siebie i Maerad przyglądała mu się zafascynowana. Jej oczy nie uchwyciły chwili przemiany, odniosła jednak wrażenie, że twarz Cadvana rozmazała się. Zamrugła i kiedy spojrzała ponownie, wyglądał już inaczej. Włosy miał rude, takąż brodę i grubsze rysy.

- Teraz konie - rzekł i znów zamrugła, bo jego głos także pogłębił się wyraźnie. - Są stanowczo zbyt wspaniałe dla takich ludzi jak my.

Ponownie rzucił czar i nagle Darsor i Imi zamienili się w dwoje zwierząt pociągowych. Darsor miał nawet zaropiałe oko.

Cadvan odwrócił się do Maerad i przesunął dłońmi przed jej oczami.

- To potrwa do jutrzejszego zachodu słońca - oznajmił. - I powinno wystarczyć: nie chcę zatrzymywać się w Milholu dłużej niż jedną noc. Teraz żaden bard ani Próżny nas nie rozpozna. Muszę tylko trochę odpocząć: oszukanie wzroku bardów wymaga więcej niż omamienie zwykłych ludzi. Przyjrzyj mi się dobrze, bo musisz zapamiętać, jak wyglądam.

*

Tę noc spędzili w Milholu, małym miasteczku targowym liczącym sobie dwa, może trzy tysiące dusz. Kilkupiętrowe domy pochylały się nad wąskimi brukowanymi uliczkami, niemal stykając się z sobą i przesłaniając światło. Ludzie na owych ulicach gapili się na nich; Maerad nie spodobały się ich spojrzenia, sprawiali wrażenie nieprzyjaznych i niegodnych zaufania. Ulice cuchnęły łajnem, a w rynsztokach wały się śmieci, łupiny warzyw, skorupki jajek i inne gnijące odpadki. Porównując je w myślach do starannie utrzymanych ogrodów Szkoły Innailu, uznała, że to niezbyt miłe miejsce. Natychmiast skojarzyło się jej z Gilmanowym Siołem.

Nocleg w cuchnącej gospodzie też nie zachwyił Maerad. Zarządzał nią czarnobrewy mężczyzna w wytłuszczonym fartuchu, który wpuścił ich niechętnie i zaprowadził do nędznego pokoiku z małym, zasnutym pajęczynami okienkiem i dwoma mizernymi siennikami. Ku oburzeniu Cadvana policzył im ponad dwakroć więcej, niż zapłacili w Innail Fesse. Na obiad zeszli do piwiarni, bo Cadvan chciał wybadać miejscowych w sprawie możliwych zagrożeń czyhających na drodze, nie zostali jednak długo. Mieszczanie zgadzali się, że jedyne prawdziwe niebezpieczeństwo stanowią bandyci.

Maerad ocknęła się przed świtem. Gdzieś w dali piał kogut, lecz nie to ją zbudziło: całe ciało swędziało ją boleśnie. Drapiąc się gorączkowo, usiadła na łóżku. Cadvan poruszył się sennie i natychmiast otrzeźwiał.

- Co się stało? - spytał.

- Pluskwy - syknęła. - Albo pchły. Czy może wszy. Coś mnie gryzie.

- Najpewniej pluskwy. - Cadvan przyjrzał się jej obojętnie. - Popatrz, jedna ugryzła cię w nos.

- Mam nadzieję, że ciebie też pogryzły. I to mocno - warknęła, nie wiedząc, czy się wściekać, czy śmiać.

Cadvan usiadł.

- Nie wydaje mi się. Owady za mną nie przepadają. Pewnie mam zbyt twardą skórę. - Spuścił stopy na podłogę i przeczesał palcami włosy, tak że nastroszyły się na wszystkie strony. - Cóż, obudziły nas dość wcześnie, więc ruszajmy stąd.

Polecił Maerad nałożyć kolczugę, toteż wyciągnęła ją z sakwy, w której spoczywała od chwili wyjazdu z Innailu. Gdy ją nakładała, poczuła mrowienie na karku, a potem ciężki chłód. Niezgrabnie przypięła do pasa miecz, który do tej pory zwisał jej z biodra nieużywany i niemal zapomniany. Zabrali sakwy i poszli na dół.

Jedyne oznaki życia dawał kucharz, który rozpałał właśnie piec w kuchni. Nie przejawiał ochoty na podanie śniadania, toteż wyszli z gospody, maszerując w chłodnym powietrzu. W chwili gdy opuścili hałaśliwą rudere, Maerad ogarnęła niewypowiedziana ulga; głęboko odetchnęła świeżym powietrzem tak zimnym jak lodowate klingi wbijające się w płuca. Wypuściła z nozdrzy pióropusze pary, jak smok.

Wyprowadzili konie ze stajni i w głębi ulicy znaleźli piekarnię. Tam Cadvan kupił dwa bochny chleba i kilka pasztecików z mięsem. Zjedli je na koniach, wyjeżdżając z Milholu; ich oddechy parowały w lodowatym powietrzu. Dwaj ponurzy strażnicy, którzy właśnie otworzyli bramę, odprowadzili ich podejrzliwym wzrokiem. Cadvan pomachał do nich z pogodnym uśmiechem, ku ich wyraźnemu niezadowoleniu, i razem pocwałowali ubitym gościńcem, tym samym, którym dotarli do miasteczka. Po niecałej półgodzinie dotarli do szerszego kamiennego traktu.

- Oto bardowski gościniec do Ettinoru. Tu możemy nadrobić stracony czas.

Cadvan obrócił się w siodle. Konie z rzeniem uderzały kopytami o ziemię; na znak jeźdźców wyskoczyły naprzód w galopie. Najwyraźniej, podobnie jak ich właściciele, ucieszyły się z wyjazdu z Milholu.

*

Słońce weszło niedługo po tym, jak skręcili w bardowski gościniec, rozświetlając ponurą krainę otuloną woalem gęstej mgły. Oboje ściągnęli wodze; Maerad zaczęła rozglądać się dokoła. Za nimi horyzont przesłaniały góry, po lewej dostrzegła w dali fioletowe wzgórza, lecz ziemię dokoła nich były płaskie jak stolnica. Po prawej płynęła rzeka Milhol - Maerad wydała się równie ponura jak krajobraz, z brązowej wody sterczały czarne trzciny. Nie rosło tu zbyt wiele drzew, a te, które dostrzegła, tkwiły samotnie na pustkowiach, przygięte do ziemi atakami ciągłych wiatrów. Ziemia była jałowa i kamienista, porośnięta kępami sztywnej trawy, ostów i trojeści. Po wschodzie słońca na gościńcu zaczęli pojawiać się rolnicy zmierzający na targ w Milholu. Cadvan i Maerad mijali wozy pełne warzyw, zaprzężone w zmęczone kuce o szorstkiej sierści i sterczących gnatach. Od czasu do czasu między nimi pojawiał się wóz drabiniasty ciągnięty przez wołu. Minęli też dwie czy trzy kobiety dźwigające na plecach ciężkie kosze, z których wystawały głowy kur gdaczących z oburzeniem albo rozkołysane pióropusze liści rzepy i brukwi. Cadvan pozdrawiał każdą

mijaną osobę skinieniem głowy, lecz tylko raz doczekał się podobnej reakcji: od młodej kobiety z uczeptionym spódnicy małym umorusanym dzieckiem.

- Trudno jest wyżyć z tej ziemi - oznajmił Cadvan. - To sprawia, że tutejsi stają się zgorzkniali. Sto lat temu te ziemie były zielone i żyzne. Miejscowi zapomnieli, jak przemawiać do ziemi, i biorą, nie dając nic w zamian.

Im bardziej oddalali się od Milholu, tym rzadziej widywali ludzi. Późnym popołudniem gościniec całkiem opustoszał, nie widzieli też żadnych domów. Poruszali się szybkim kłusem, uznawszy, że im szybciej opuszczą ten ponury kraj, tym lepiej. Jechali zatem dalej po zmroku, kierując się światłem gwiazd i półksiężycy, póki nie zrobiło się zupełnie ciemno. Dopiero gdy nie mogli posuwać się dalej, wjechali na pobocze i rozbili obóz. Skulili się pod osłoną wielkiego drzewa wyglądającego, jakby rozszczepił je piorun; dwie poskręcane połówki leżały na ziemi. Cadvan jakiś czas siedział bez ruchu, nasłuchując, potem uznał, że mogą rozpaść ognisko.

- W promieniu wielu mil niczego nie słyszę - rzekł. - Myślę, że będziemy bezpieczni, ale musimy pełnić wartę.

Kiedy skrzesał ogień, Maerad przekonała się, że odzyskał własną twarz.

- Cadvanie - rzuciła; spojrział na nią zaskoczony. - Wróciłeś!

- I ty także - zmrużył oczy, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność. - Muszę przyznać, że to spora poprawa. Za dobrze się spisałem, zamieniając cię w bezrozumnego chłopaka. - Ogień rozbłysnął, Cadvan podsycił go szybko, dokładając do ogniska. - Przez następnych parę dni będziemy mieć własne twarze. To niebezpieczne, ale brak mi energii, by nas zamaskować, chyba że znajdziemy się w wielkiej potrzebie.

Następne dwa dni podróżowali przez ponurą krainę, jadąc za dnia jak najszybciej, a nocą pełniąc wartę. Na drodze nie spotkali nikogo. Stopniowo ziemie wokół zaczęły się zmieniać: rzeka zniknęła w parowie, który stawał się coraz głębszy; jego boki wznosiły się wyżej i wyżej, rzucając na nich cień: teraz były to ostre skalne krawędzie, opadające pionowymi ścianami w dół. Z urwisk spływały niewielkie wodospady, tworząc na ziemi w dole płytkie sadzawki zielone od glonów; na stromych zboczach rosły karłowate sosenki. Cadvan rozglądał się czujnie i podczas jazdy Maerad uświadomiła sobie, jak niepokojąco głośno brzmi tętent końskich kopyt na kamiennych płytach.

- Oto Zębate Wzgórza. Kraina bandytów - wyjaśnił Cadvan. - Wytężaj słuch.

Maerad posłała swą świadomość między wzgórza. Usłyszała wiatr świszczący pomiędzy zębiskami skał i skrobanie pazurów na kamieniach, nawoływania drapieżnych ptaków i śmiertelny krzyk małych zwierząt, lecz nic kojarzącego się z ludźmi. Bardzo wysoko

na niebie od czasu do czasu pojawiała się para ptaków krążących z wiatrem.

- Orły - wyjaśnił krótko Cadvan. - To nie są ptaki Mroku. Szukają ofiary.

Mimo to nie potrafiła pozbyć się poczucia zagrożenia, które narastało cały dzień, w miarę jak kraina wokół nich stawała się dzikszą, a droga zagłębiała się w skalne szczeliny o pionowo wznoszących się ścianach. Nadal jednak nikt się nie zjawiał, cały dzień nie słyszała kroków człowieka ani konia. I sama cisza wydawała jej się niebezpieczna.

Tej nocy rozbili obóz tuż przy drodze, pod wiszącą skałą. Nie rozpalili ognia. Konie krążyły wokół, skubiąc szorstką, gorzką trawę, a oni siedzieli w milczeniu, spoglądając na gościniec i górzysty horyzont po drugiej stronie, odcinający gwiazdy ostrzami ciemności. Cadvan oznajmił, że znajdują się niecałe dwa dni jazdy od Ettinoru.

- Jeśli nadal będzie nam dopisywać szczęście, za jakieś trzy dni zostawimy go za sobą - rzekł. - Ale nie ufam tym wzgórzom. Jest tu stanowczo za cicho.

- Nie odwiedzimy Ettinoru? - spytała Maerad, myśląc o Helgar i innych bardach w Innailu.

- Szkoły w żadnym razie - odparł. - Przejedziemy przez Fesse, a po jakimś czasie na trochę zjedziemy z gościńca. Za Ettinorem droga wiedzie wzdłuż rzeki Aleph wprost do Norlochu. Myślę, że od tej pory powinniśmy trzymać się z dala od gościńców; jeśli Mrok podejrzewa, że jesteś Jedyńą, tak jak się obawiam, posłuży się wszelkimi środkami, by cię schwytać.

Tuż przed świtem temperatura spadła gwałtownie i zaczął siąpić deszcz. Maerad i Cadvan wcześniej ruszyli w drogę po prostu po to, by rozruszać zdrętwiałe z zimna ciała. W mizernym świetle przedświtów krajobraz wokół wyglądał jeszcze bardziej ponuro niż poprzedniego dnia. Maerad zaczynała już czuć w kościach kilka ostatnich dni szalonej jazdy, ogarniało ją też głębsze znużenie, zmęczenie ducha, nie ciała, trudniejsze do zniesienia. Imi straciła sprężystość kroku, lecz szła naprzód z uporem, dotrzymując tempa Darsorowi, który stąpał równie dumnie jak wcześniej. Z grzbietu klaczy Maerad rozglądała się z nieszczęśliwą miną: ręce miała zziębnięte do szpiku kości, jej wilgotny płaszcz łopotął ciężko wokół kolan, twarz piekła od mroźnego wiatru. Próbowwała nie myśleć o kąpieli i gorącej pieczeni, choć obrazy obu nieustannie pojawiały się w jej głowie, jeszcze pogarszając chwilę obecną. Siąpiąca cały ranek mżawka przeszła w regularną ulewę. Zatrzymali się na pośpieszny posiłek i niedługo po tym deszcz minął, zastąpiony lodowatym wiatrem, który przenikał przez ubrania i ciało aż do kości.

Cadvan cały czas rozglądał się czujnie, lecz Maerad, zbyt zmarznięta, by się przejmować, jechała naprzód, odrętwiała i oziębiała. Zaskoczyło ją zatem, gdy się zatrzymał,

unosząc dłoń na znak, że powinna ściągnąć wodze.

- Słuchaj - polecił.

Wzdrygnęła się i z poczuciem winy posłała naprzód myśli. W dali, pośród skowytu wiatru, rozbrzmiewał tętent kopyt zmierzającego ku nim samotnego konia. Odwróciła się do Cadvana, patrząc pytająco.

- Oceniam, że dzieli nas od niego jakaś mila - rzekł Cadvan. - Samotny podróżny w tej krainie to musi być bard. A ja nie mogę nas zamaskować, z tak bliska natychmiast wyczułby zakłęcie. - Zerknął na Maerad. - Będziemy musieli udawać zwykłych podróżnych. Jeśli to Prózny, co mało prawdopodobne, nie zdradza zdumienia ani zaskoczenia: zapewne ukryje się za urokiem i gdybyś nie była bardką, w ogóle byś się nie zorientowała.

- Ale czy Prózny nie zauważy, że jesteśmy bardami? - spytała niespokojnie Maerad.

- Najpewniej nie będzie przyglądał się tak uważnie przy tej pogodzie. Ale na wszelki wypadek użyj przesłony.

- Przesłony?

Zapatrzyła się w niego. Na jej oczach powietrze wokół Cadvana jakby pociemniało. Ledwie to dostrzegła, właściwie bardziej poczuła, niż zobaczyła różnicę.

- Pomyśl o okalającej cię tarczy, która cię ukrywa - rzekł.

Maerad zamknęła oczy i skupiła się. Potem uniosła powieki, patrząc pytająco na Cadvana.

- Właśnie tak - orzekł. Przyjrzał się im obojgu i naciągnął głębiej kaptur na twarz. - Myślę, że wyglądamy dość mizernie, by móc udawać chłopów. Ale nie Darsor. - Przemówił do konia, który parsknął i uderzył kopytem o ziemię, ale potem przygarbił się. Maerad zamrugała zdumiona: dumny Darsor wyglądał teraz jak stara chabeta, pokrzywiona i złamana; idąc, kulał lekko. Cadvan poklepał go po szyi. - Świetny aktor z tego konia - rzekł.

- Tym razem mogłabym być twoją obłąkaną córką - zaproponowała Maerad. - Jeśli to pomoże.

Potargała włosy, zgarniając na twarz splątany gąszcz, i przybrała tępą minę. Cadvan zaśmiał się ponuro.

- Zaczynam sądzić, że w niektórych dziedzinach twoje wykształcenie okazało się nader dogłębne - zauważył.

Ruszyli dalej powolnym krokiem. Maerad, pobudzona, zapomniała o dręczącym ją chłódzie i nasłuchiwała tętentu, aż uchwyciły go jej uszy. Poczowała niewyraźną aurę zła, rozpacz i wściekłości, narastającą w miarę zbliżania się odgłosów. Serce biło jej coraz szybciej. I wtedy, prędzej niż się spodziewała, jakieś sto stóp przed nimi pojawił się jeździec:

wyłaniał się właśnie, jadąc stępa, zza skalnego wzniesienia.

Miał na sobie ciężki czarny płaszcz, a także wysokie czarne buty z lśnięcymi ostrogami; dosiadał grubokościstego gniadosza, który co chwila unosił głowę, gryząc okrutną uzdę. Maerad natychmiast zorientowała się, że jeździec to Próźny. Oczy konia okalały białe kręgi, jego boki pokrywały drobinki białej piany nakrapianej krwią. Twarz Próźnego kryła się w cieniu kaptura, lecz Maerad dostrzegła z drzeniem, że dłonie na wodzach są skurczone, białe i kościste, jak u zmumifikowanego trupa. Na palcu nosił pierścień z matowego srebra z tkwiącym w nim czarnym kamieniem. Przełknęła głośno ślinę i jechała dalej z Cadvanem, coraz bardziej zbliżając się do Próźnego. Miała wrażenie, że w ruchach Imi wyczuwa odrazę, jakby klacz lada moment miała się spłoszyć.

Zdawało się, że minęły wieki, nim się zrównali. Teraz serce Maerad tłukło się w piersi, język zasechł jej w ustach. Nawet gdyby chciała, nie zdołałaby niczego powiedzieć. Jeździec zatrzymał się, zagradzając im drogę, i żołądek ścisnął się jej ze zgrozy. Wbijiała wzrok w jego dłonie, choć ich widok budził w niej odrazę, i nagle odkryła, że czarny kamień w pierścieniu wyrzeźbiono na podobieństwo wyszczerzonej w uśmiechu czaszki. Cadvan zatrzymał się uprzejmie i przemówił.

- Dobrego dnia, panie - rzekł miłym tonem. - Paskudną mamy pogodę do jazdy.

Próźny spojrzał na niego; teraz Maerad dostrzegła kościsty nos i oczy płonące w cieniu kaptura niczym czerwone węgle.

- W istocie. - Jego głos zdawał się dochodzić z głębokiej studni. - Jedyne niemądry ludzie podróżują tą drogą.

- Owszem - przytaknął Cadvan. - Bądź zdesperowani. - Skinieniem głowy wskazał Maerad. - Moja córka, panie, trzy miesiące temu popadła w obłąd. Zmierzam do Ettinoru prosić o pomoc.

Maerad wybałuszyła oczy, patrząc na Próźnego. Odkryła, że jeśli nie skupia na nim wzroku, tamten wygląda niemal jak bard bądź możny pan w długim płaszczu. Łatwiej było znieść ów widok niż ponurą postać w czerni.

- Być może w Ettinorze znajdzie się pomoc dla takich jak wy - rzucił ze wzgardą Próźny. - Albo i nie.

- Nie szukam jałmużny, mogę zapłacić. - Cadvan przybrał tępą, niemądrą i usługną minę. - Zastanawiam się jednak, panie, czy widziałeś może na gościńcu bandytów? Z początku obawiałem się, że jesteś jednym z nich, jeśli wybaczysz mi te słowa. Ale dotychczas żadnych nie spotkaliśmy, choć miejscowi ostrzegali nas przed nimi.

- Bandyeci zostali usunięci - oznajmił Próźny. - Stali się uciążliwi.

- No, no, to dopiero dobre wieści... - Cadvan zawiesił głos. - Cóż, czeka nas jeszcze daleka droga. - Ścisnął boki Darsora piętami. - Życzę dobrego dnia, panie.

Powoli, jakby niechętnie, Próźny odsunął się, by ich przepuścić. Maerad spuściła głowę i podążyła za Cadvanem, starając się przegnać wszelkie myśli. Nie mogła powstrzymać drżenia rąk. Gdy się zrównali, głowa Próźnego uniosła się nagle, syknął, jakby chciał coś powiedzieć, i popatrzył wprost na nią. Poczula nacisk na swój umysł, zupełnie jakby oplotły ją ohydne macki, i żółć podeszła jej do gardła. Bez namysłu rzuciła się naprzód na łęk siodła, wydając z siebie piskliwy, przesywający krzyk, jak wariatka, którą kiedyś widziała w Gilmanowym Siole. Napelniła umysł koszmarnymi wizjami olbrzymiego pająka, a potem węża o wielu głowach, i macki Próźnego cofnęły się gwałtownie, jakby z niesmakiem.

- Marto, Marto, cichaj już, cichaj. - Cadvan popędził konia. - Wybacz jej, panie, błagam - rzekł do Próźnego. - To jej obłąd. Wciąż miewa podobne ataki...

Próźny splunął na ziemię i spiąwszy konia, skoczył naprzód, trącając Darsora. Kary koń wierzgnął, niemal zrzucając Cadvana z siodła. Maerad zawodziła dalej, dopóki tętent nie ucichł w dali; wówczas umilkła, dla lepszego efektu czkając kilka razy. Spojrzała na Cadvana, który przyłożył palec do ust, by ją uciszyć. Kolejną godzinę jechali w powolnym tempie, dopiero wtedy odważyli się odezwać do siebie.

- Mało brakowało - rzekł w końcu Cadvan. - Dzięki Światłu za twój refleks, Maerad. Przez sekundę sądziłem już, że wszystko stracone. Wyczuł cię.

Maerad nadal czuła mdłości jak po zatruciu.

- Próbował mnie odczytać - rzekła drżącym głosem - więc poddałam się panice i pomyślałam o potworach. To było straszne.

- Nie jesteś tak krucha, jak się wydajesz. Lepiej sprawiać wrażenie słabej, niż nią być w rzeczywistości. - Cadvan uśmiechnął się cierpko i Maerad odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem. Mdłości powoli ustępowały. - Rzadko się zdarza, by Próźni podróżowali otwarcie po Annarze, nawet w dzisiejszych czasach - dodał. - Poza tym jechał z Ettinoru. Może wysłano go, by zebrał o nas wieści, a może w innych sprawach. Nie wiem. Zaczynam jednak pojmować lepiej pewne rzeczy.

- Dotyczące Ettinoru? - spytała Maerad.

- Tak - odrzekł z wysiłkiem. - Podzieliłem się już z tobą niektórymi dręczącymi mnie obawami. Wygląda na to, że się nie myliłem. Od kilku lat nie odwiedzałem Ettinoru. Ostatnim razem nie podobało mi się tam, ale nie wyczułem aktywnego zła. Lecz sytuacja potrafi zmieniać się bardzo szybko. - Zamyślił się głęboko. - Nawet jeśli Ettinor dołączył do szkół, które trawi zepsucie, nie mogę znieść myśli, że oddał się na służbę Bezimiennemu i stał

się schronieniem dla Próżnych. Nawet tam znajdują się bardowie występujący przeciw zepsuciu Wiedzy w szkołach i działający na rzecz odnowy sztuki bardostwa.

Jakiś czas jechali w milczeniu.

- Bezimienny musi się czuć niezwykle pewnie w swej mocy, skoro przyczał się tak blisko swego przeciwnika - rzekł w końcu Cadvan. - To bardzo zły znak.

XIV

KULAG

Popołudniem następnego dnia Cadvan i Maerad dotarli do Ettinor Fesse. Strzaskane wzgórza obniżały się powoli, przechodząc w równinę; teraz wzdłuż gościńca ciągnęły się łąki pełne sięgających kolan traw kołyszących się w powiewach łagodnego wiatru, a nad korytem płynącej obok rzeki zwieszały się witki płaczących wierzb. Po paru milach droga skręciła ostro na północ, przekraczając rzekę Milhol; po drugiej stronie ujrzeli uprawne pola, a także pastwiska pełne bydła i owiec, gęsto przetykane kępami i zagajnikami buków, olch i topoli bądź samotnymi dębami. Domy różniły się kształtem od tych w Innail Fesse; wzniesiono je z szarego kamienia i miały małe, wysokie okna oraz dachy z czerwonych glinianych dachówek. W wielu oknach Maerad dostrzegła kolorowe skrzynki z czerwonym i różowym geranium. Z radością napawała się miłymi widokami, które koily jej wzrok po ostrych skałach i karłowatych roślinach widzianych ostatnimi dniami.

Znów powrócili do kamuflażu cholewkarza Mowthera i jego głupkowatego syna, tym razem podróżujących po kraju w poszukiwaniu pracy, bo po wczorajszym spotkaniu Cadvan wolał nie ryzykować. Po drodze minęli kilka osób i znów Maerad zauważyła, że niewielu odpowiedziało na pozdrowienie Cadvana. Nie widzieli ani jednego barda. Spotkali natomiast kowala w obszernym czarnym fartuchu, z narzędziami dyndającymi z brzękiem u siodła - zapewne jechał podkuć jednego z wielkich roboczych koni, które Maerad dostrzegła na polach - a także pasterza z dwoma ujadającymi psami poganiającymi stadko owiec oraz trójkę bosych dzieci grających w kości na drodze - na widok nieznanym natychmiast zerwały się i uciekły. Wkrótce w dali zobaczyła mury Szkoły i wysokie szare wieże. Cadvan ominął ją od południa, zmierzając na zachód.

- To ładny kraj - zauważyła Maerad. - Niemal tak ładny jak Innail.

- Owszem, ale coraz biedniejszy - odparł. - Nie tak dawno temu nie widywało się tu bosych dzieci. Jeszcze kilkadziesiąt lat i tutejsze ziemie zaczną przypominać te wokół Milholu.

Po tych słowach Maerad zaczęła dostrzegać ślady zaniedbania i biedy: ciemne plamy na dachu stodoły w miejscu brakujących dachówek, próchniejące wozy i taczki porzucone na

skraju drogi. Wiele pól, które wedle słów Cadvana powinny już zostać obsiane, zarastało dziką trawą i ostem, często też natrafiali na opuszczone, puste domy o powybijanych oknach, zapadających się dachach i podwórzach porośniętych wysokimi chaszczami. Nie wszędzie jednak tak było: wiele domów wciąż okalały wypielęgnowane sady i ogrody, minęli kilka wspaniałych rezydencji na rozległych włościach, lecz pod miłą powierzchnią Ettinoru wyczuwała narastający rozkład, beznadziejną walkę z upadkiem.

- Sercem Ettinoru zawładnęła rozpacz - zauważył Cadvan, mijając kolejne opuszczone gospodarstwo. - To najgorsza z wszystkich chorób. Zdrada samej natury bardostwa.

- Ale gdzie się podziali ludzie? - spytała Maerad.

- Niektórzy odeszli do miast, by próbować zarobić tam na chleb - odparł.

- Inni żyją w drodze, zatrudniając się u obcych, bo nie mogli wyżyć we własnym kraju.

- Ale dlaczego tak się dzieje? Przecież nie nastał tu głód ani nic takiego?

- To się zaczęło po śmierci Etha, który był Pierwszym Bardem - wyjaśnił Cadvan. - Po nim, jakieś pięćdziesiąt lat temu, nastał Finlan, człek dumny i ambitny. Podniósł gospodarzom dziesięcinę, twierdząc, że bardowie są zbyt słabo opłacani. Być może nikt by nie protestował, gdyby nadal pełnili swą służbę, on jednak tego nie dopilnował. Opłaty ciągle wzrastają, pobierane siłą od ludzi, których nie stać już na ich płacenie.

Słyszając to, Maerad uniosła pytająco brwi i Cadvan wyjaśnił, że szkoły utrzymują się nie tylko dzięki sztuce naprawy i tworzenia, lecz także z dziesięcin płaconych przez gospodarzy w Fesse. W zamian bardów uważa się za służebników ludu, któremu udostępniają swe umiejętności.

- Uczą dzieci czytać i liczyć, uzdrawiają chorych, przewodzą świętom wiosny i plonów i wielu innym - rzeki. - Lecz bardowie z Ettinoru popadli w pychę; uważają, że są ponad podobne usługi, i domagają się zapłaty za rzeczy, które dawniej nic nie kosztowały. I tak w wielu miejscach sama instytucja bardów popadła w niesławę.

- Czy zatem Finlan to Próźny? - spytała Maerad.

- Nie sądzę - odrzekł Cadvan. - Choć w dzisiejszych czasach trudno mieć pewność. Zastanawiałem się jednak, czy w Szkole Ettinoru kryją się Próźni, i z czasem moje wątpliwości rosły. Teraz jestem tego pewien.

*

O zmierzchu dotarli do małego otwartego miasta zwanego Fort i zatrzymali się w wygodnej gospodzie Pod Brunatną Kaczką. Ku zachwytowi Maerad miała ona nawet łazienkę, choć bez bieżącej gorącej wody. Z ogromną ulgą ściągnęła brudne ubranie, umyła się cała i przebrała w

czysty strój z sakwy. Dziwnie się czuła, myjąc ciało, które odczuwała jako kobiece, lecz które wyglądało jak chłopięce. Już wcześniej miała z nim pewne problemy: uznała, że powinna siusiać na stojąco, ale odkryła, iż ma spory kłopot, jeśli nie wypchnie bioder pod bardzo nienaturalnym kątem. Przyłapała nawet Cadvana na zaśmiewaniu się, gdy zmagala się za drzewkiem. Czerwona jak burak zapomniała o swej teoretycznej niemocie i zwymyślała go, co, ku jej wściekłości, jedynie zwiększyło rozbawienie barda.

Teraz, wróciwszy do saloniku, zastała Cadvana pod postacią Mowthera przycupniętego przy ogniu. Zdążył już zdjąć buty.

- Musimy urządzić pranie - oznajmiła, spodziewając się, że zaprotestuje, bo nie mają czasu. Ku jej zdumieniu zgodził się.

- Zostaniemy tu jutro - rzekł. - Myślę, że to bezpieczne; wątpię, by ktokolwiek szukał nas w Forcie. Chcę kupić trochę zapasów i posłuchać, co się tu dzieje. Przyda nam się też odpoczynek przed dalszą jazdą.

Później, po tym jak doglądnęli koni - Darsor nie skarżył się, choć Maerad podejrzewała, że nie przepada za zamknięciem w stajni - zeszli do jadalni na posiłek. Sala okazała się przyjemnym pomieszczeniem z wielkim kominkiem, nad którym ustawiono miedziane talerze i mosiężne naczynia; bielone ściany nosiły ślady stuleci dymu, a ciemną drewnianą podłogę wysypano świeżym sitowiem. Przy stołach siedziało kilku gospodarzy popijających spokojnie miejscowe czarne piwo, poza tym jednak było niemal pusto. Gospodarz, miły mężczyzna nazywany Dringold, podawał napitek; Cadvan zamówił wino i pieczone jagnię z jarzynami. Chłopczyk o czarnej kręconej czuprynie, liczący na oko cztery lata, przyniósł wino, z wielką uwagą dźwigając glinianą karafkę, zupełnie jakby zrobiono ją z bezcennego kryształu. Cadvan podziękował mu z powagą.

Wkrótce potem żona Dringolda, pogodna kobieta o identycznych czarnych kręconych włosach, przyniosła obiad. Po skąpych posiłkach ostatnich kilku dni sam zapach sprawił, że do ust Maerad napłynęła ślinka. Cadvan zdumiał się szybkością, z jaką zniknęły obie porcje. Po pieczeni poczęstowali się morwowym ciastem ze śmietaną i doskonałym białym serem, który, jak oznajmił z dumą gospodarz, stanowił miejscowy specjał. Wypili więcej całkiem znośnego wina i najedzeni i zadowoleni usiedli w ciepłym zakątku przy kominku.

- Milczący chłopak z twojego syna - zauważył Dringold w przelocie, niosąc piwo do sąsiedniego stołu.

- Nie odezwał się od dnia narodzin - odparł Cadvan - ale nieźle sobie radzi.

- Tylko tędy przejeżdżacie, zgadza się?

- Właśnie. Nie wygląda na to, by szewc znalazł tu wiele roboty.

- Ten tam Dothan nie podziękowałby wam, gdybyście zostali. - Dringold skinieniem głowy wskazał przysadzistego mężczyznę zgarbionego nad pobliskim stołem. - I tak ledwie wiąże koniec z końcem. Niewielu w okolicy stać na drugą parę butów, a czasem nawet pierwszą...

Po rozniesieniu zamówień wrócił do ich stołu i zaczął gawędzić z Cadvanem. Maerad siedziała obok sennie, zasluchana. Robiło się późno, nie mogła się już doczekać nocy w prawdziwym łóżku i pościeli. Rozmowa skupiała się wokół tego samego: że trudno zarobić na życie, jak z każdym rokiem coraz więcej interesów upada, a ceny cały czas rosną. Maerad zauważyła jednak, że Dringold ani razu nie wspomniał o bardach. Cadvan ze współczuciem kiwał głową.

Nagle do sali wpadła żona gospodarza; twarz miała białą jak płótno.

- Ewanie - rzuciła - chodzi o Lanala! Znów ma krup, ale tym razem jest źle.

Dringold wstał pośpiesznie i prosząc o wybaczenie, wyszedł.

- Może zdołam pomóc. - Cadvan także się podniósł. - Mój chłopak w dzieciństwie przeszedł ciężki atak krupu i nauczyłem się paru sztuczek.

Kobieta spojrzała na niego z powątpiewaniem, ale nie protestowała, gdy podążył za nią do ich prywatnych pokojów. Niepewna, co robić, Maerad poszła w ślad za Cadvanem.

Chłopczyk siedział przy ogniu w kuchni, przytulony do jednej z posługaczek. Wyraźnie miał trudności z oddychaniem; za każdym razem gdy wciągał powietrze, z jego gardła dobywał się upiorny gwizd. Maerad zauważyła, że wargi ma niebieskosine. Widywała już dzieci w podobnie ciężkim stanie. Zazwyczaj umierały.

- Jak długo to trwa? - spytał Cadvan i Maerad zauważyła zdumiona, że nie przemawia już jak szewc Mowther.

- Jakieś pół godziny - odparła kobieta. - Ale jest coraz gorzej i gorzej. Nie wiem, co robić. - Głośno wciągnęła powietrze, jakby próbowała powstrzymać płacz, i zagryzła wargę.

- Macie w kuchni ogórecznik? Albo podbiał?

- Ogórecznik? Chyba tak... I podbiał zdaje się też. - Podeszła do półki uginającej się od małych szklanych flaszeczek z suszonymi ziołami i zaczęła je przeglądać.

- Zaparz je, szybko - polecił Cadvan. - Po łyżce w dużym garnku.

Delikatnie odebrał dziecko posługaczce i usiadł z nim. Chłopcu brakło tchu, by się rozplakać, wyraźnie jednak się przestraszył i szarpnął słabo w objęciach mężczyzny.

- Jak ma na imię? Lanal? - Cadvan spojrzał na Dringolda. Gospodarz przytaknął. Bard popatrzył na chłopca, a potem wyszeptał mu do ucha: - *Feärnese, Lanal. Feärnese.*

Chłopiec natychmiast zaczął lżej oddychać i przestał się szarpać, wtulony ufnie w

pierś mężczyzny. Cadvan gładził go po włosach i piersi, cały czas szepcząc. Minutę później upiorny świst ustał i malec oddychał już jak należy. Przeróżny błękit zniknął z jego warg. A potem nagle dziecko uniosło głowę.

- Chce mi się pić, mamusiu. Mogę dostać coś do picia?

Spojrzał nieśmiało na Cadvana i wyciągnął rękę do matki.

- Nic mu nie będzie. - Cadvan oddał syna gospodyni. - Kiedy napar wystygnie, podajcie mu go, oczyści płuca. Gdyby znów się zaczęło, jak najszybciej każcie mu wdychać parę z ogórecznikiem. I trzymajcie go w ciepłym pokoju.

W kuchni panowała zupełna cisza.

- Myślałam, że on umiera - rzekła w końcu żona gospodarza.

- Dzieci szybko zapominają o bólu - odparł Cadvan. - Często to widywałem.

Teraz, gdy śmiertelny lęk o syna ustąpił, Dringold sprawiał wrażenie niemal rozzłoszczonego.

- To bardowskie sztuczki - rzucił nieco zbyt głośno.

- Może tak, może nie - odparł Cadvan, przypominając sobie, by przemawiać z akcentem. - Jak mówiłem, nauczyłem się kilku takich, kiedy mój syn był jeszcze mały.

- Tylko bardom wolno uzdrawiać - mówił gospodarz. - W zeszłym miesiącu wygnali z miasta położną za to, że robiła ziołowe okłady.

- Tam, skąd pochodzę, mamy inne prawa. - Maerad dostrzegła błyski gniewu w oczach Cadvana. - Jeśli ktoś jest chory, ktoś inny powinien go uzdrowić, o ile potrafi. Tak czy inaczej, chłopak jest już bezpieczny.

Stali w kuchni, obserwując chłopczyka, który zachowywał się tak, jakby nigdy w życiu nie dotknęła go nawet najłżejsza choroba. Właśnie próbował wyżebrać u matki ciasteczko.

- Ile jesteśmy winni? - spytał gospodarz.

Cadvan spojrzał na niego, jakby tamten go obraził, i Dringold zarumienił się gwałtownie.

- Nic nie jesteście mi winni - odrzekł Cadvan. - Będę jednak wdzięczny, jeśli zachowacie to w sekrecie. Wolałbym, by nie ścigali nas tutejsi bardowie, jeśli zrobiłem coś złego.

- Nie zrobiłeś niczego złego - odparła impulsywnie żona gospodarza; oczy miała mokre od łez. - Och, Ewanie, tak strasznie się bałam, nigdy jeszcze nie był taki chory. Przypomniał mi się maluch Medelina, którego choroba zabrała tydzień temu. Nie zniósłabym tego.

- Już dobrze, dobrze, Rose - odparł szorstko Dringold. - Dziękujemy zatem, Mowther, jeśli rzeczywiście tak się nazywasz. - Przyjrzał się bystro Cadvanowi i Maerad. - Jestem twoim dłużnikiem. Ten chłopiec to największy skarb w naszym życiu, moim i Rose.

Wyciągnął z kieszeni wielką czerwoną chustkę i wydmuchał nos.

- Cóż, synu, lepiej pójdźmy już się położyć - powiedział Cadvan. - I wy także.

Skinął głową na pożegnanie; wyszli z Maerad z kuchni i wrócili do swych pokojów.

- Czy to było rozsądne? - spytała Maerad, kiedy tylko znaleźli się sami w saloniku.

- Rozsądne? - Cadvan posłał jej przeszywające spojrzenie.

- To znaczy, skoro próbujemy ukryć, że jesteśmy bardami... - Urwała. - No wiesz, Dringold wyraźnie podejrzewa...

- Jeśli to masz na myśli, to nie, nie było rozsądne. Czymże jednak jest rozsądek, jeśli pozwala umrzeć małemu chłopcu?

- A umarłby? - naciskała.

- Tak - odparł krótko Cadvan. - Do tej pory już by nie żył. - Zgarbił ramiona i usiadł zamyślony. - Maerad, czasami musimy dokonać trudnego wyboru i to może zakończyć się źle, ale i tak jest konieczne. Nie mogłem stać obok, wiedząc, że potrafię go ocalić. Nie tak postępują bardowie.

Maerad pomyślała tęsknie o praniu.

- Przypuszczam, że będziemy musieli wyjechać o świcie.

- Nie sądzę - orzekł Cadvan. - Myślę, że Dringold i jego żona nie wspomną o nas. Na razie zaryzykujemy.

Mimo kamuflażu Maerad dostrzegła na twarzy Cadvana cień zmęczenia. Pomyślała o posługaczce, zastanawiając się, czy podjął właściwą decyzję. Była jednak zbyt zmęczona i perspektywa odpoczynku za bardzo ją pociągała.

*

Kiedy następnego ranka wstali, słońce świeciło wysoko na niebie. Zjedli obfite śniadanie złożone z pikantnych kielbasek, fasoli i boczku; jadłospis Dringolda obejmował nawet smażone grzyby, co bardzo ucieszyło Cadvana. Karczmarz kazał też zanieść ich ubrania do praczek i oznajmił, że będą je mogli odebrać wieczorem. Po posiłku Cadvan i Maerad wybrali się na targ w miasteczku Fort.

Maerad do tej pory nigdy nie odwiedzała targu i niezwykle ją on zafascynował. Zewsząd nacierały na nią kolory i zapachy. Widziała wielkie pomarańczowe, zielone i złote dynie, żółte jabłka, słodkie i lekko pomarszczone po całej zimie w spiżarniach, a także najróżniejszą zieleninę: wczesnowiosenną sałatę i pory, pęczki suszonej pietruszki, mięty,

majeranku i pokrzywy, fioletowo-zieloną zimową kapustę przeciętą na pół, z odsłoniętymi misternymi zwojami białych wnętrzości. Na kramach piętrzyły się stosy suchego grochu i fasoli, żółtej ciecioriki i brązowej kaszy, pęczki czosnku i cebuli, worki orzechów włoskich, laskowych i migdałów mieniących się barwami jesieni, a także wielkie, okrągłe białe sery owinięte w liście bądź powleczone błękitnym woskiem, spoczywające na drewnianych koziołkach. Wszędzie unosił się zapach świeżo pieczonych chlebów, kasztanów, kiełbasek i cebuli smażących się na żarnikach, a uszy wypełniały ryki osłów, krów i kóz przywiezionych na sprzedaż, ujadanie psów i głosy targujących się mieszczan.

Na skraju rynku dwaj minstrele grali na fletni i skrzypkach; przed sobą na ziemi położyli czapkę, w którą zbierali monety. Odziani byli w jaskrawe, kolorowe stroje ze szkarłatnymi szalami wokół szyi, na głowach zaś mieli niebieskie filcowe kapelusze z dzwoneczkami, które brzęczały podczas tańca. Śpiewali o chłopkach roztropkach i zakochanych dziewczynach, a potem poruszającą balladę o mężczyźnie, który zakochał się w rzecznej nimfie, i zabawną piosnkę o pijanym kowalu, który wpadł do studni. Maerad stała przed nimi w zachwycie, póki Cadvan nie szepnął do niej, że wygląda dokładnie jak głupek, którego udaje, i nie odciągnął na zakupy.

Krażył nieśpiesznie po targu, gawędząc z kramarzami; Maerad podążała za nim w milczeniu, raz jeszcze podziwiając zręczność, z jaką radził sobie z ludźmi, jak w jego obecności nawet najbardziej zamknięci w sobie otwierali się i przemawiali. Kupił zapas suszonych owoców i mięs, jęczmienną mąkę i kaszę, nieco oleju i octu, a także ciemny chleb, który zachowywał świeżość całymi tygodniami, i mały worek owsa dla koni. Maerad najbardziej uderzył strach, który wzbudzała najmniejsza wzmianka o bardach bądź bardostwie; kramarze rozglądali się wokół, jakby w obawie że ktoś podsłuchuje, i natychmiast milkli bądź głośno zmieniali temat.

Kiedy Cadvan skończył sprawunki, wrócili w miejsce, w którym występowali minstrele, bo Maerad chciała znów ich posłuchać. Lecz zamiast grających muzyków ujrzeli kłótnię. Kobieta, niewątpliwie bardka - miała na sobie płaszcz i ettinorską broszę w kształcie liścia koniczyny - z krzykiem konfiskowała instrumenty grajków. Kiedy ci zaczęli protestować, jednym gestem ręki unieruchomiła obu, a potem z pogardliwą miną zgarnęła monety z czapki i zostawiła ich sparaliżowanych. Cadvan przyglądał się z odrazą.

- Dzieje się tu mnóstwo nielegalnych rzeczy - mruknął.

- Co się z nimi stanie? - spytała Maerad.

- W końcu urok minie - odparł. - Ale możliwe, że za karę zostaną tu całą noc.

Potem Maerad nie chciała dłużej krążyć po targu i wrócili Pod Brunatną Kaczkę,

gdzie spakowali się szybko. Cadvan zdecydował, że tego wieczoru zjedzą u siebie, i kazał przynieść wieczerzę.

- Wyjedziemy jutro przed świtem - oznajmił.

- A co potem? - spytała.

- Każde pytanie staje się zaczątkiem śladu, którym mogliby podążać niezyczliwi - orzekł. - Po prostu znikniemy.

- To znaczy? - Maerad z powątpiewaniem uniosła brwi. Jedno wiedziała z całą pewnością: na jakiś czas koniec z gospodami.

- To znaczy, że skręcimy w głąszę - wyjaśnił Cadvan. - Przez następnych osiemdziesiąt staj ziemie na zachód stąd to puste bezdroża. Trudno nas będzie znaleźć, gdyby ktoś szukał w tych stronach.

- Ale w podobnych miejscach żyją stwory Mroku - zaprotestowała.

- I nie tylko one - odparł. - Mimo wszystko uważam, że to mniej niebezpieczne niż dalsza podróż gościńcami. Każda droga ma swoje zagrożenia.

Usłyszeli stukanie do drzwi i do pokoju wkroczył Dringold, dźwigając tacę z kolacją. Postawił ją na stole i wyprostował się.

- Powinienem was uprzedzić - rzekł. - Dziś wieczór pytano o was.

- Czyżby? - Cadvan nie sprawiał wrażenia przejętego.

- Zjawiła się tu bardka. Wypytywała o odwiedzających nas podróżnych. Wspomniałem, że zatrzymał się tu wędrowny rzemieślnik. Nie było sensu mówić inaczej - dodał pośpiesznie - bo oni i tak wiedzą, zawsze znajdzie się ktoś gotów donieść bardom. Tak czy inaczej, wyjaśniłem, że już wyjechaliście. Potem powiedziała, że dotarły do niej pogłoski, iż mój syn chorował i został uzdrowiony. Wyśmiałem ją. Powiedziałem, że Rose zawsze panikuje i że chłopakowi nie dolegało nic poważnego. Popatrzyła na mnie dziwnie, a potem spytała, czy widziałem barda Cadvana podróżującego z młodą kobietą. Odparłem, że znam lorda Cadvana równie dobrze jak innych bardów i zawsze chętnie witam go u siebie, ale nie widziałem go od trzech lat. Wtedy wyszła... - Umilkł.

Cadvan spojrział na niego beznamiętnie.

- Jestem pewien, że bard Cadvan zawsze chętnie zatrzymuje się w tak gościnnej gospodzie - powiedział. - I jest wdzięczny za dyskrecję.

- Zatem pozostanie dziś wieczór w pokojach to niezgorszy plan - dodał Dringold. - Powiedziałem posługaczce, że już wyjechaliście.

- Zamierzamy wyruszyć przed świtem - oznajmił Cadvan. - To nie powinien być kłopot.

Nagle obdarzył Dringolda ciepłym uśmiechem; zaskoczony gospodarz odpowiedział tym samym i skłonił głowę.

- Na pewno, lordzie Cadvanie. Jestem niezmiernie wdzięczny, że tu przybyłeś - rzekł.

A potem wyszedł.

Kiedy drzwi się zamknęły, żołądek Maerad ścisnął się nerwowo. Drobne przyjemności dnia sprawiły, że na moment zapomniała o grożącym im niebezpieczeństwie; teraz jej obawy wróciły ze zdwojoną mocą: przypomniała sobie śmiertelnie białe dłonie Próźnego i rozżarzone węgle jego oczu.

- Czy nie powinniśmy wyjechać od razu? - spytała.

- Być może, wątpię jednak, byśmy coś na tym zyskali - odparł Cadvan. - Nasz kamuflaż wytrzyma do jutrzejszego wieczora. Bardowie z Ettinoru nie wiedzą, kogo szukać, dotychczas wciąż wypatrują Cadvana.

- Możemy zaufać gospodarzowi? - Wstała i zaczęła krążyć po pokoju. - Czy bardowie nie zdołają wydobyć z niego, że tu byliśmy, nawet jeśli nie będzie chciał im powiedzieć?

- To zależy od tego, jak bardzo będą podejrzliwi. Myślę, że szukają na wielu drogach, a nie mają szczególnych powodów, aby sądzić, że jesteście akurat tutaj. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje w Innailu... Owszem, to niebezpieczne, ale nie mam ochoty niewyspany wkraczać w głąszkę; wkrótce i tak niewiele zażyjemy snu. Uważam, że musimy podjąć ryzyko.

Lecz Maerad przyszło do głowy kolejne pytanie.

- A co z Dringoldem? Czy jemu nie zagrozi niebezpieczeństwo, jeśli ukryje prawdę o naszej obecności?

- Przepelniają cię dziś lęki - zauważył Cadvan, marszcząc brwi. - Myślę, że Dringold jest dość przebiegły, by uniknąć podejrzliwości bardów z Ettinoru. Przypomnij sobie ich arogancję. Bardzo łatwo nie docenisz zwykłego karczmarza, jeśli uważasz się za lepszą od niego. Jeżeli wyjedziemy jutro i dziś w nocy nie będziemy się wychylać, powinien być bezpieczny. Ale przed wyjazdem rzucę ochronny urok, by się upewnić.

Odpowiedzi Cadvana ukoili nieco obawy Maerad, tej nocy jednak długo nie mogła zasnąć, prześladowana upiorną wizją Próźnych, a gdy w końcu zamknęła oczy, w jej snach roilo się od czarnych jeźdźców wyciągających ku niej białe, kościste ręce.

*

Ocknęła się w ciemności przed świtem i westchnęła, słysząc bębnienie deszczu o dach. Niechętnie wygramoliła się z ciepłego łóżka i ubrała, dygocząc z zimna. Zwłaszcza zakładanie kolczugi okazało się nieprzyjemne; gdy naciągnęła ją na ubranie, zadrzała: zupełnie jakby przywdziała na siebie koszulę z lodu. Wraz z Cadvanem posilili się

pośpiesznie, stojąc w kuchni z Dringoldem i jego żoną. Rose nieśmiało wcisnęła im zimne paszteciki na drugie śniadanie i przez chwilę sprzeczała się z Cadvanem o zapłatę za uzdrowienie syna, on jednak kategorycznie odmówił przyjęcia czegokolwiek. Tuż przed wyjazdem wyciągnął ręce przed parą, mamrocząc szybko kilka słów; Maerad zobaczyła, jak gospodarze zamrugali i wrócili do pracy, jak gdyby ich tam nie było.

- Będą pamiętali tylko to, co pasuje do historyjki Dringolda - wyjaśnił Cadvan w stajni, kiedy wyprowadzali konie. - Bardowie zazwyczaj orientują się, kiedy ktoś ich nabiera.

- Czy bard nie wykryje zaklęcia? - spytała.

- Tylko gdyby w nich wniknął. A jeśli to zrobi, ani ja, ani ktokolwiek inny nie zdoła im pomóc. Wątpię jednak, by bard albo Próżny zniżył się do czegoś takiego. Mam szczerą nadzieję, że to się nie stanie.

Przez moment nasłuchiwał, siedząc na grzbiecie Darsora, niczego jednak nie usłyszał ani nie wyczuł w nocnym mroku, więc poprowadził ich brukowanymi uliczkami Fortu. Natychmiast spowiła ich deszczowa ciemność. Maerad zadrżała. Księżyc w pełni powoli opadał ku zachodowi pośród długich smug czarnych chmur i nie dawał zbyt wiele światła. Obejrzała się na okna gospody, połyskujące złotym, przyjaznym blaskiem, i pomyślała o pozostawionej tam rodzinie. Woląла nawet nie myśleć, że tak dobrzy ludzie mogliby trafić w szpony Próżnych.

*

Na horyzoncie powoli zapalały się pierwsze czerwone i pomarańczowe łuny, a Maerad z Cadvanem zostawiali za sobą kolejne wioski i miasteczka, zmierzając ku granicy Ettinor Fesse. Kiedy deszcz przestał padać i wzeszło słońce, rzucając ponury blask na mokrą krainę, znaleźli się już w słabiej zaludnionym regionie z nielicznymi samotnymi gospodarstwami. Po paru godzinach droga zagłębiła się między drzewa. Tam zwolnili pod osłoną ociekających wodą gałęzi; słyszeli tylko śpiewy ptaków i głuchy stukot końskich kopyt.

Maerad jechała zatopiona w myślach, rozważając w roztargnieniu to, co widziała i słyszała przez ostatnie tygodnie. Każda z jej myśli wiodła donikąd, pozwalała im przepływać leniwie w głowie serią niepowiązanych obrazów: Elidhu w Magilesie, nieruchomy, milczący Cadvan na grzbiecie Darsora, minstrele zastygli w bezruchu na targu w Forcie, kochana twarz Silvii wykrzywiona smutkiem, Dernhil...

Nagle z zamyślenia wyrwał ją osobliwy dźwięk: jakby piskliwe brzęczenie dużej pszczoły, a potem stukot czegoś uderzającego o drewno. Zdążyła tylko pomyśleć, że słyszała już kiedyś podobny dźwięk i że jej się nie podoba, gdy znów ją dobiegł: tym razem miała wrażenie, jakby ktoś uderzył ją w plecy, i poleciała naprzód w siodle. Konie bez słowa

zachęty puściły się dzikim galopem.

- Schył się! - krzyczał Cadvan. - Strzały! Pochył głowę! Niżej!

Posłuchała odruchowo, tuląc głowę do szyi Imi i trzymając się rozpaczliwie, podczas gdy klacz pędziła szaleńczo, próbując dotrzymać kroku Darsorowi.

Maerad uświadomiła sobie, że strzała ją trafiła, i podziękowała w duchu losowi za to, że dziś rano, z taką niechęcią, przywdziała kolczugę. Raz jeden odważyła się obejrzeć, pośród drzew nie dostrzegła jednak niczego: napastnicy byli ukryci za zakrętem drogi. Konie zwolniły nieco, a gdy dotarli w miejsce, gdzie z lasu wynurzała się długa linia skał, Cadvan zatrzymał je gestem dłoni; twarz miał czujną i poważną. Poprowadził ich do skały i stanęli tam, zwróciwszy plecami do kamiennej ściany, która pochylając się ku nim lekko, wznosiła się na dwadzieścia stóp w górę. Maerad słyszała odgłosy ścigających ich jeźdźców, nadciągających zarówno drogą, jak i spomiędzy drzew, na skrót.

- Nie możemy na oślep uciekać przed pościgiem - oznajmił Cadvan. - Będziemy musieli stawić im czoła tutaj. Myślę, że nie ma ich zbyt wielu, może dwóch albo trzech.

- Kim oni są? - spytała z lękiem Maerad.

- Nie wiem - odparł. - Przypuszczam, że bardami, którzy zauważyli nas w jednej z wsi. Przez tę część Fesse biegnie tylko jedna droga. Byłem nieostrożny, przyznaję. Sądziłem, że deszcz nas ukryje. Przynajmniej nie będą mogli zaatakować od tyłu.

Maerad głośno przełknęła ślinę, siedząc nieruchomo na grzbiecie Imi; dłonią poszukała miecza, nie odrywając wzroku od zakrętu drogi - wpatrywała się w niego z takim napięciem, że w końcu do oczu napłynęły jej łzy. Cadvan czekał cierpliwie, niczym wyrzeźbiony w kamieniu. Zdawało się, że prześladowcy nigdy się nie zjawią, jednak wcześniej, niżby chciała, zza zakrętu wyłoniła się najpierw jedna postać, a potem druga. Obaj przybysze unosili napięte łuki; okrywały ich czarne płaszcze.

- Próżni - wymamrotał Cadvan; Maerad usłyszała, jak głośno wciąga powietrze.

Próżni z początku ich nie zauważyli; rozglądali się wśród drzew, powoli posuwając się naprzód. Zza leśnego wzniesienia wynurzył się kolejny jeździec i dołączył do nich. Nagle pierwszy uniósł wzrok i zobaczył ofiary. Roześmiał się, wzywając gestem towarzyszy. Opuścili łuki, zmierzając ku nim nieśpiesznie. Maerad poczuła, jak groza ściska ją niczym kleszcze; serce waliło jej boleśnie w piersi.

Kiedy tamci zbliżyli się na trzydzieści jardów, Cadvan odezwał się gniewnie, przemawiając z akcentem z Północnego Annaru.

- Dlaczego do nas strzelaliście? - krzyknął. - Mogliście nas pozabijać! Poskarżę się władzom, o tak.

Pierwszy Prózny przystanął.

- My jesteście władzami - oznajmił głosem, który równie dobrze mógł należeć do nieboszczyka. Na jego dźwięk włosy na karku Maerad zjeżyły się gwałtownie. - Piskaj sobie dalej, człowieczku, niczym duch na wietrze, i tak na nic ci się to nie zda. Nikomu nie wolno przekroczyć granicy tego lasu, z rozkazu bardów.

- Nic mi nie wiadomo o takim prawie - oznajmił Cadvan. Pozostali Prózni nałożyli strzały na cięciwy; Maerad rozpaczliwie spojrzała na swego towarzysza, którego twarz nie zdradzała niczego. - Mogę odwiedzać lasy do woli i żaden bard nie będzie mnie ściagał i mordował.

- Śmierć to cena, jaką płacisz za bezczelność - oznajmił Prózny. - Ale okażemy wam litość i damy wybór. Możecie pójść z nami i zakosztować sprawiedliwości w Ettinorze.

Znów się roześmiał, a pozostali podjechali bliżej.

- Nigdzie się nie wybieram - oznajmił Cadvan. - I to nie wasza sprawa. Nie mam złych zamiarów.

- Tu wszystko jest naszą sprawą - oznajmił pierwszy Prózny, zaśmiał się i uniósł łuk. - Ale czas na podjęcie decyzji już minął.

Wypuścił strzałę prosto w Cadvana i serce Maerad niemal zatrzymało się ze zgrozy. Nim zrozumiała, co się dzieje, strzała eksplodowała w płomieniach i spadła na ziemię zamieniona w kupkę dymiącego popiołu. Kamuflaż szewca i jego syna opadł z Cadvana i Maerad.

Cadvan wydał się jej wyższy i bardziej wyniosły; twarz miał surową i ponurą, oświetlał go osobliwy blask. Prózni zamarli zaskoczeni i w tej sekundzie wyciągnął przed siebie obie ręce, a z jego palców wystrzelił biały płomień, zmierzając ku sercu pierwszego napastnika. Tamten wydał z siebie zdławiony dźwięk i runął z konia na ziemię. Widząc to, drugi Prózny spiął wierzchowca i skoczył ku nim. Cadvan, krzycząc jakieś słowa, ponownie uniósł ręce. Błysnęło. Prózny spadł z siodła i oba konie umknęły szaleńczym galopem między drzewa. Trzeci napastnik został z tyłu; Maerad zobaczyła, jak podnosi ręce, między którymi szybciej, niż mogło ogarnąć oko, formowała się osobliwa ciemność, coś jakby kłęb mgły i cienia. Gdy Cadvan zrzucił drugiego z siodła, ciemność gwałtownie niczym atakujący wąż pomknęła naprzód wprost ku niemu. Maerad krzyknęła ze zgrozy, lecz w chwili gdy cień dotarł do Cadvana, zakręcił się, zadymił i rozplynął w powietrzu. Cadvan natychmiast wypuścił świetlną strzałę ku przeciwnikowi i trafił, lecz Prózny jedynie zakołysał się na koniu i nie upadł. Potem stanął w strzemiach, wznosząc ręce. Nawet z tej odległości Maerad widziała złowieszczy wyraz jego twarzy.

Próżny zaczął nucić coś miarowym głosem. Jego słowa wydały się Maerad niezwykle znajome - z nagłym wstrząsem, mimo niebezpieczeństwa, uświadomiła sobie, że słyszała już wcześniej coś podobnego w koszmarnym, proroczym śnie. Po plecach niczym dotknięcie lodowatym palcem spłynęła jej strużka potu; czuła, że trzymające wodze dłonie dygoczą niepowstrzymanie.

Cadvan wyciągnął ręce, biała błyskawica ponownie trafiła Próżnego, jednak i tym razem niczego nie zdziałała. Maerad obserwowała go, czując nagłą suchość w ustach; była niczym ptak zahipnotyzowany grozą w obliczu węża, który zbiera się do ataku.

Powoli, niczym w koszmarnym śnie, lecz jednocześnie przerażająco szybko między rękami Próżnego zaczęła formować się kolejna ciemność, zupełnie jakby przypadkowy cień zaczął gęstnieć i rosnąć, ten jednak był mniej bezkształtny niż poprzedni. Cadvan siedział na grzbiecie Darsora, który tkwił bez ruchu. Maerad zerknęła ku niemu szybko i przekonała się, że jej towarzysz czeka nieruchomo, choć dziwne światło wewnątrz niego płonęło coraz jaśniej. A potem jej spojrzenie znów powędrowało ku Próżnemu.

Nad jego głową, między drzewami wznosiła się przerażająca postać utkana z cienia, a jednak wyraźnie równie materialna jak otaczające ją konary. Przypominała olbrzymiego człowieka, lecz zniekształconego i ohydneho. Jego czoło okalał zielony ogień, w oczach płonął zimny blask. Wzniósł ciemne skrzydła, które rozpostarły się na wiele piędzi, jak u olbrzymiego nietoperza; w dłoni trzymał czarny miecz otoczony żywymi płomieniami. Otworzył usta i wypuścił z nich pióropusz ognia, a ogień ów był zimny, śmiertelnie zimny.

Maerad zakręciło się w głowie; rozpaczliwie przytrzymała się grzywy Imi, mając wrażenie, że tonie. Co to było? Bezrozumne i prymitywne niczym postać z dziecięcych koszmarnych snów, lecz w obliczu jego ogromu zdawał się niknąć cały świat.

Cadvan zachwiał się w siodle, przesunął dłonią przed oczami.

- Kulag - rzekł zmęczonym głosem.

Dobyl miecza; po klindze przemknął biały płomień, odpowiadając na ogień Kulaga. Stali tak długą chwilę, człowiek i potwór; potem Próżny zawołał i wyrzucił w górę ramiona, a monstualny stwór rozpostarł szerzej skrzydła i zanurkował ku nim, wydając z siebie upiorny okrzyk, który zmroził krew w żyłach Maerad.

Darsor uniósł głowę i zarżał wyzywająco, opierając się na tylnych nogach i uderzając przednimi kopytami. Coś błysnęło oślepiająco. Maerad zobaczyła, jak Cadvan wznosi miecz jaśniejszy niż serce słońca, maleńki niczym igła na tle potężnej ciemności pochłaniającej dzień.

Krzyknęła i uniosła ręce. Wydało się jej, że przed jej oczami rozbłyska rozległy jezior

ognia, biało-błękitnego i nieznośnie jasnego. Rozległ się trzask niczym odgłos padającego olbrzymiego drzewa pociągającego za sobą towarzyszy, a potem czerń przesłoniła jej oczy i Maerad straciła świadomość.

XV

MOCZAROWISKA

Ocknęła się po chwili i ujrzała Cadvana klęczącego obok na ziemi. Położył jej dłoń na czole, a jego twarz wykrzywił niepokój. Usiadła, potrząsając głową, i rozejrzała się wokół. Darsor i Imi stali spokojnie obok, przez liście drzew prześwitywało zwykle światło dnia. Przez moment nie była pewna, czy to wszystko nie było tylko jakimś dziwnym atakiem bądź złudzeniem, potem jednak uniosła głowę i przekonała się, że gałęzie nad nimi są poczerniałe i zwęglone, jakby dotknął je potężny ogień. Przed sobą na ścieżce zobaczyła czarne plamy: trzech Próżnych i truchło konia.

- Co się stało? - spytała.

- Nie jestem pewien - odparł Cadvan. - Nic ci nie jest?

Pomasowała ręką głowę i przytaknęła.

- Co się stało? - powtórzyła. - Jesteśmy bezpieczni?

Uśmiechnął się ponuro.

- Chwilowo - rzekł. - Wszyscy Próżni nie żyją. - Skinął ręką w stronę ciemnych kupek na drodze i z niesmakiem odwrócił wzrok. - Nie wiem, co się stało z Kulagiem. Kiedy został powalony, zniknął.

- Co to było?

- Jeden z Próżnych okazał się potężnym czarnoksiężnikiem. Nie wiem, co tu robił. Wołę się nie zastanawiać, co dzieje się w tej chwili w Szkole Ettinoru. - Skrzywił się. - Stawił mi opór całą swoją mocą, gdy tylko mnie wyczuł. Wątpiłem już, czy zdołam go pokonać... - Urwał. - A potem wezwał Kulaga. Jedyne największe magowie potrafią rozkazywać podobnym stworom; pochodzą one z czasów Pierwszego Zła, z dni Wojen Żywiołów; zostały wygnane do otchłani, poza krąg świata, bardzo dawno temu. Mają w sobie moc dawniejszą niż siła Mroku.

Znów umilkł.

- I wtedy sam nie wiem, co się stało. Sądziłem, że może zdołam zniszczyć Kulaga, wciąż jednak pozostawał ten Próżny, którego moc bynajmniej nie słabła, a ja byłem już zmęczony. Obawiałem się, że pędzący ku nam Kulag będzie ostatnim widokiem, jaki dano

nam ujrzeć. Nagle pojawił się wielki płomień, Kulag runął na drogę przed nami. Płomień pomknął dalej, powalając Próznego wraz z wierzchowcem. A potem zsunęłaś się z grzbietu Imi i upadłaś na ziemię. Lękałem się, że nie żyjesz.

Maerad patrzyła na niego zdumiona.

- Czy to ty przywołałaś płomień?

- Nie był moim dziełem.

Cadvan spojrzał na nią dziwnie.

- W takim razie może ktoś nam pomógł, w jakiś sposób zorientował się, że mamy kłopoty. Ale kto to mógł być?

- Istotnie, kto? - powtórzył Cadvan. - Myślę jednak, że najpewniej ów płomień wystrzelił z ciebie w odpowiedzi na grożące ci niebezpieczeństwo.

- Uśmiechnął się do niej łagodnie. - Miał w sobie coś z twej dzikiej natury.

Maerad jakiś czas milczała, zmagając się z wątpliwościami i zdumieniem.

- Ale ja niczego nie zrobiłam - rzekła w końcu. - Po prostu bardzo się bałam.

- Bez wątpienia - odparł cierpko. - W przyszłości będę dokładał wszelkich starań, by cię nie przerazić! W każdym ludzkim umyśle kryją się tajemne miejsca, o których nie wiemy. Przypuszczam, że twój ma ich wyjątkowo wiele. - Z powagą przyjrzał się jej twarzy i z nagłym zaskoczeniem wydało się jej, że dostrzega w jego oczach coś podobnego do strachu. Bez słowa wbiła wzrok w ziemię. W końcu Cadvan wstał i rozejrzał się dokoła. - Powinniśmy stąd odjechać, i to szybko - orzekł. - Nie wiem, jak wielu wyczuło tę bitwę i co jeszcze może nas ścigać.

Ona także wstała; Cadvan ruszył szybko ku martwym Próżnym. Powstrzymując dreszcz zgrozy, poszła za nim. Leżeli poskręcani pod czarnymi płaszczami. Cadvan uniósł rąbek jednego z nich butem i Maerad jęknęła ze zdumienia: pod tkaniną ujrzała jedynie suche kości. Tak samo wyglądał drugi trup.

- Kiedy Próżni umierają, zakłęcie, które utrzymuje ich ciała na tym świecie, zostaje złamane - wyjaśnił Cadvan. - Ci już wieleset lat temu powinni byli umrzeć.

Wyprostował się i na moment oparł o pień drzewa, jakby walczył z mdłościami i jedynie siłą woli zmusił się do podejścia do trupów.

Następnie zbliżył się do zwłok trzeciego Próznego, leżących nieco dalej, i uniósł płaszcz patykami. Maerad zobaczyła wyszczerzoną czaszkę; kości osunęły się z trzaskiem i wzdrygnęła się, na sekundę irracjonalnie wydało się jej, że wciąż żyją. Cadvan ukląkł obok, nie dotykając szkieletu, i oglądał srebrny pierścień na palcu tamtego, ozdobiony czarnym kamieniem.

- Nosi znak chorego księżycyca - rzekł. Zobaczyła, że czarny kamień wyrzeźbiono na podobieństwo księżycowego sierpa, lecz osobliwie zniekształconego, tak że wyglądał jak trawiony chorobą. - Bezimienny, tak jak bardowie, ma swoje Kręgi, zniekształconą parodię naszego porządku. Ten pochodzi z twierdzy Dén Raven; od wielu lat na tych ziemiach nie widziano podobnych. Od czasu Ciszy. - Jego twarz znów przybrała ponury wyraz. - Mówiono, że nikt z nich nie pozostał. Wygląda na to, że wiele rzeczy, które Światło uważało za martwe, w istocie jedynie spało.

Odlamał grubą gałąź pobliskiego drzewa i zgarnął ze ścieżki kości i płaszcze, ukrywając je wśród zarośli. Potem przyjrzał się ze smutkiem truchłu konia, nie próbował jednak go poruszyć.

- Zwierzęta zmuszane do noszenia Próżnych nieznośnie cierpią - rzekł. - Być może śmierć była dla niego wyzwoleniem.

Bez słowa wrócili do swych wierzchowców; Cadvan pogładził dumną szyję Darsora lśniąca od potu.

- Dobrze się spisałeś, mój dzielny - rzekł. - Dotrzymałeś pola, choć na twoim miejscu umknęłoby wielu mężnych wojów. - Pogładził także szyję Imi, mamrocząc jej coś do ucha. Klacz, nadal dygocząca ze strachu, uspokoiła się i obwąchała jego kark. - Indik dobrze wybrał ci wierzchowca - powiedział do Maerad. - To śmiałe zwierzę, o odwadze większej, niż sugeruje jego postać. Teraz jednak musimy ruszać, i to jak najszybciej. Do wieczora chcę się znaleźć daleko stąd.

Wskoczyli na siodła i pomknęli naprzód, galopując przez las, a cienie gałęzi przepływały po nich niczym zmarszczki na powierzchni bystrego strumienia.

*

Jechali bez postojów aż do wczesnego popołudnia; wkrótce zostawili za sobą las i znaleźli się na trawiastych stepach, na których czasem dostrzegali ślady dawno porzuconych gospodarstw: rząd drzew niegdyś chroniących drogę, dziki, zarośnięty sad, a nawet szczątki domu, którego dach dawno się zawalił, a gruzы ścian porastały bluszcz i chwasty, tak że niemal przypominały niewielki pagórek czy naturalny zagajnik. Ścieżka, którą podążali przez las, stawała się coraz mniej wyraźna i w końcu zupełnie zniknęła. Kierowali się dalej na zachód, ku ciemnej plamie na horyzoncie przypominającej żywoplot bądź mur, wymijając kępy ostrych traw i od czasu do czasu wysuszone trzciniowiska. Maerad czuła się bardzo odsłonięta: wokół brakowało drzew, za którymi mogliby się skryć. Była nadal wstrząśnięta po walce z Próżnymi i czuła wielkie wewnętrzne znużenie, w porównaniu z którym zwykłe zmęczenie fizyczne niemal przynosiło ulgę. Gdzieś w zakamarkach jej umysłu pojawiła się

także niepokojąca myśl. Jeśli Cadvan miał rację, zabiła człowieka i konia. A choć nie odczuwała litości dla Próżnego ani żalu z powodu jego śmierci, w jej głowie ponownie pojawił się osobliwy strach przed nią samą, który dręczył ją czasami, od kiedy Cadvan pierwszy raz wspomniał o Mowie. Po części dlatego, że w żaden sposób nie panowała nad swymi mocami. Jeśli oczywiście w ogóle ma jakieś moce - dodała z powątpiewaniem. A gdyby coś poszło nie tak i poraziłaby kogoś niechcący? Czy ów dziwny grymas na twarzy Cadvana oznaczał strach? Czy to możliwe, by się jej bał? Pod wątpliwościami skrywało się też coś jeszcze, coś bardziej niepokojącego: poczucie mocy, choć niepoznanej, budziło w niej dziwne podniecenie, więcej: radość. Lecz jej umysł wzdrygnął się przed takimi myślami i zamiast tego skupiła się na dotrzymanywaniu kroku Cadvanowi i utrzymaniu się w siodle, mimo dojmującego zmęczenia; wyęczała też słuch, poszukując jakichkolwiek oznak pościgu. Niczego jednak nie usłyszała.

Pokonali ponad dwadzieścia mil, gdy w końcu Cadvan dał znak, by się zatrzymała. Posilili się pośpiesznie przy mizernej kępie drzew. Gdy tylko Maerad zsiadła z konia, zgięła się wzdłuż, czując potworne skurcze w brzuchu. Cadvan ujął ją za rękę.

- Co ci jest?

- Skurcze - wysyczała przez zaciśnięte zęby.

Skuliła się najmocniej, jak umiała.

Przez sekundę patrzył na nią z troską, a potem zaśmiał się z ulgą.

- To wszystko? - spytał. - Wiem, że Silvia zapakowała ci do sakwy lekarstwo.

Odczepił torbę Maerad od łąku siodła Imi i grzebał w środku, póki nie znalazł buteleczki z eliksirem. Odmierzył porcję. Maerad skrzywiła się, czując gorzki smak, lecz skurcze ustąpiły i w końcu mogła usiąść prosto. Znow zaczęła myśleć jasno, toteż rozejrzała się szybko. Plama na horyzoncie zmieniła się w kamienny mur, liczący około dziesięciu, może piętnastu stóp wysokości; teraz jechali na północ wzdłuż niego. Cadvan twierdził, że Zachodni Mur ciągnie się na wiele staj, oddzielając Ettinor Fesse od leżącej dalej głuszy.

- Nie ma w nim bram - dodał - lecz od lat nikt go nie doglądał i w wielu miejscach zaczyna się sypać. Wkrótce natrafimy na wyrwę.

Po jakichś pięciu milach znaleźli to, czego szukali: olbrzymie pędy zdrewniałego bluszczu rozsadziły kamienie i gruby mur zawalił się w gruzowisko. Zsiadli z koni i przeprowadzili je, a potem rozejrzeli się po krainie jeszcze bardziej ponurej niż ta, którą opuścili: grząskich pustkowiach ledwie porośniętych skąpą trawą, opadających ku skalistej dolinie. Jej środkiem płynęła rzeka; Maerad dostrzegła wzdłuż jej brzegów ciemniejsze smugi roślinności i drzew. Nad nimi przepływały ławice szarych chmur, coraz zimniejszy wiatr

zwiastował nadejście deszczu. Słońce wisiało nisko na niebie, powlekając horyzont długimi pasmami brudnego oranżu. Maerad pomyślała tęsknie o pozostawionych z tyłu jasnych gospodarach i zebrało jej się na płacz.

- Moczarowiska - oznajmił krótko Cadvan. - Pojedziemy w dół do rzeki Usk i dalej jej brzegiem, póki zmęczenie nie odbierze nam sił. Wkrótce koryto skręci na zachód.

Zbyt znużona, by o cokolwiek pytać, Maerad podążyła za nim w dół skalistego zbocza. Deszcz wciąż nie nadchodził, przepawili się więc przez rzekę, w tym miejscu szeroką i płytką, mijając kamienie, za którymi ciągnęły się długie zielone brody wodorostów. Nie ustawali nawet po zmierzchu, kierując się światłem księżyca w pełni, aż w końcu Imi zaczęła potykać się ze zmęczenia, a głowa Darsora opadła. Dopiero wówczas Cadvan ogłosił popas, rozbili zatem nędzny obóz bez ogniska pod starą wierzbą, kuląc się przy skalnej półce zapewniającej mizerną ochronę przed mroźnym wiatrem. Tej nocy, mimo grożącego niebezpieczeństwa, nie czuwali.

Maerad była tak wyczerpana, że nie mogła zasnąć. Bolało ją całe ciało, pobudzone myśli brzęczały w głowie niczym struna harfy naciągnięta tak mocno, że lada moment pęknie. Leżała na wznak, patrząc w niebo. Księżyc znikał właśnie pod całunem ciemnych chmur, wiatr niósł z sobą zapach deszczu. Towarzyszący jej nieustannie lęk wezbrał wewnątrz niej niczym czerń rozkwitająca w piersi. Czym ja jestem? - spytała bezsensownie w duchu. Mrok i pustka nie odpowiedziały.

*

Przez wiele dni podróżowali po mokradłach, podążając wzdłuż rzeki i trzymając się jak najbliżej drzew. Nie widzieli żadnych zwierząt i nie słyszeli niczego prócz cykania świerszczy i rechotu żab, którym od czasu do czasu towarzyszyły dobiegające z góry ostre krzyki orłów. Poruszali się niezbyt szybko, bo tutejsze ziemie pełne były wzniesień i jarów, często natrafiali też na niezwykle rozpadliny, które wyglądały, jakby ktoś niegdyś uniósł i upuścił całą krainę. Grunt pokrywały granitowe i kwarcowe głązy, na których ślizgały się końskie kopyta. Chłody nie ustępowały, a niebo wciąż zasnuwały chmury, z których często padał lodowaty deszcz bądź wilgotny śnieg; owe opady miały równie szybko, jak się pojawiały. Wiatr natomiast nie słabł ani na chwilę: ciągły strumień boleśnie zimnego powietrza, świszczący bezustannie pośród skał i kamieni.

Maerad miała wrażenie, że od niekończących się brązów i szarości jej umysł ogarnia dziwna tępota. Wciąż dolegały jej skurcze, wiele razy z wdzięcznością myślała o Silvii i jej eliksirze, a także medhyłu, który popijali co ranka, by złagodzić znużenie. Bardziej niż kiedykolwiek tęskniła za kąpielą i co dzień wieczorem, dygocząc z zimna, myła się w

chłodnych wodach rzeki Usk. Nocami obozowali bez ognia, skuleni i zziębnięci na chłodzie, który nastawał, gdy tylko zaszło słońce. Odzywali się bardzo cicho, w obawie że podniesione głosy rozejdą się echem na wiele mil na owych bezdźwięcznych pustkowiach.

Cisza z każdym dniem przytłaczała coraz bardziej, w końcu Maerad zaczęła się obawiać, że nie zniesie jej więcej. Miała wrażenie, że są niczym mrówki pełzające po bezkresnej równinie, pod nieskończonym niebem, zmierzające do niewyobrażalnego, bezsensownego celu. Trzeciej nocy na Moczarowiskach Cadvan w końcu ustąpił i zgodził się na ogień. Wilgotny wiatr utrudniał zadanie: drewno nie chciało się rozpalić, a za każdym razem, gdy w końcu zajmowało się słabym płomykiem, powiew wiatru zdmuchiwał go bez śladu. Po czwartej próbie Maerad spytała, czemu Cadvan nie użyje magii.

- Nie korzystam z tego, co nazywasz magią, dla swego kaprysu - odparł z irytacją - niczym tani magik popisujący się swymi sztuczkami przed dzieciarnią. Czy słuchałeś tego, co mówiłem o Równowadze?

Skarcona umilkła, a on zdołał w końcu rozpalić ogień. Po raz pierwszy od wyjazdu z Ettinoru zjedli ciepły posiłek. Cadvan zaparzył też ziołową herbatę, która rozgrzała Maerad aż po czubki palców, przeganiając chłód z jej kości.

- Co za straszny kraj - zauważyła. - Wątpię, by ktokolwiek mógł tu kiedyś mieszkać. Umarłby z rozpacz.

Towarzysz spojrział na nią bystro.

- Odczuwasz płacz ziemi - rzekł. - Przygniata ją żal. Nie jest jednak zła, choć nikt się tu nie zapuszcza. Ja sam nie przeprowadziłem się dotychczas przez te moczary, choć podróżowałem od krain północnych do południowych i przez góry daleko poza Opuszczonymi Ziemiami. Powiadają, że po tej krainie krążą zmarli, szukając na mokradłach swych utraconych braci, tak bardzo skrępowani smutkiem, że nie mogą przekroczyć Bramy.

A potem opowiedział jej, że kraina znana obecnie jako Moczarowiska była kiedyś równie ludna i żyzna jak Innail.

- Wówczas nazywano ją Imbral. Było to wielkie królestwo, obejmujące ziemie północno-wschodniego Annaru, w którym wznoszono piękne miasta z bielonego kamienia. Każdy dom miał własny podwórzec, gdzie pod pachnącymi drzewami szemrała fontanna. W Suderainie, daleko na południu, skąd pochodzi Saliman, wciąż wznosi się podobne domy. Mają niezwykle misterne witrażowe okna i wieże zwieńczone kopułami ze złota, srebra i brązu, w których odbijają się promienie porannego i wieczornego słońca. Lecz na północy sztuka ich wznoszenia już dawno zaginęła. To był kraj bujnych pastwisk i żyznych ziem, w przysłowiach winiarzy wciąż wspomina się dhyllickie wina. Zamieszkiwali go Dhyllowie,

obserwujący gwiazdy ze swych wież, układający pieśni w wielkich salach i tworzący przedmioty obdarzone niezwykłą urodą i mocą, uwielbiali bowiem wszelkie sztuki i rzemiosła cieszące oko, serce i rękę. Nikt nigdy nie dorównał ich umiejętnościom.

Maerad rozejrzała się po ponurych wzgórzach, ciemnych sylwetkach na tle gwiazdzistego nieba. Na Pustych Ziemiach wciąż były ślady osad sprzed tysiący lat, tu jednak nie dostrzegła żadnych: ani ruin, ani zwiędniętych kamieni noszących na sobie ślady obróbki ludzką ręką. Żadne ze wzniesień nie miało w sobie kanciastych kształtów sugerujących dawne mury jak te, o które potykała się na Zakazanych Ziemiach nieopodal Gilmanowego Siola. Trudno było uwierzyć w opowieść Cadvana, ale istotnie odnosiła teraz wrażenie, że tutejszy wiatr płacze: zdawało się, że jej uszy wychwytyują niemal niesłyszalne szlochanie bądź ciche zawodzenie. Uznała jednak, że zapewne to tylko złudzenie.

- I co się stało? - spytała obojętnie.

- Teraz znajdujemy się w miejscu wielkiej bitwy - wyjaśnił Cadvan. - Tu właśnie zebrały się siły Przymierza, by po raz ostatni stawić czoła wrogowi: połączone armie Imbralu i królestwa Lirionu na północy starły się tu z wojskami Bezimiennego. Jakże piękne w swej śmiałości musiały być ich proporce, jakże jasne miecze; pieśni głoszą, że ich włócznie migotały w słońcu niczym niezliczone gwiazdy, a szeregi ciągnęły się dalej, niżli sięga oko. Tu zgromadził się kwiat ludu Dhyllów: Recabarra, potężna królowa Lirionu, w rydwaniu okutym lśniąca stała, który ponoć błyszczał jaśniej niż słońce, i Laurelin, ostatni król Imbralu, a także wielu innych, których imiona pozostały już tylko w legendach o dawno minionej przeszłości. I tu zostali pokonani. Recabarra, pojmana w niewolę, zginęła na mękach w lochach Dén Ravenu. Miecz Laurelina pękł, a Bezimienny własnoręcznie ściał mu głowę i uniósł wysoko, śmiejąc się, gdy krew bryzgnęła mu na twarz.

Maerad zerknęła na Cadvana: jego smutne oczy spoglądały w pustkę, jakby oglądał przed sobą ożywione wspomnienia. Miała wrażenie, że jego słowa budzą w niej niewyraźne, zapomniane obrazy z dzieciństwa.

- Wielka rzeka Usk nazywała się wtedy Findol i słynęła z czystości i przejrzystości wód; w pieśniach powiadano, że przez wiele dni spływała czerwienią i że zatarasowały ją wzdęte trupy, które tak bardzo zanieczyściły wodę, iż od tego czasu nikt nie mógł jej już pić. Wówczas nazwano ją Usk, co w języku Imbralu oznacza „łzy”. Wszystkie wielkie miasta Imbralu i Lirionu legły w gruzach, najeźdźcy bez litości wymordowali mieszkańców. Zburzyli też potężną cytadelę Afinilu, tak że teraz nie pamiętamy nawet, gdzie się wznosiła. W Wielkiej Ciszy, która nastąpiła po zwycięstwie Bezimiennego, Mroku, który trwał niemal tysiąc lat, zniszczono wszystkie ślady dhyllckiego ludu. Bezimienny nienawidził go

szczególnie za to, że odważył się wystąpić przeciw niemu i że nawet w klęsce nie stracił odwagi. Teraz ich głosy nie rozbrzmiewają już w Annarze, miasta zapomniano, jakby nigdy nie istniały, pozostał jedynie sen pamiętany tylko przez bardów, a i to nielicznych. Nie wiem, w jaki sposób najeźdźcy zbezczeszcili te ziemie, lecz od prawie dwóch tysięcy lat niemal nic tu nie rośnie. A nawet po tym, jak Maninae dziewięćset lat temu przegnał Bezimiennego i strzaskał jego tron, a zło zostało przepędzone, tu ziemia wciąż cierpi. I minie jeszcze wiele pokoleń, nim znów się zazieleni.

Cadvan umilkł. Maerad jakiś czas siedziała w milczeniu, przejęta smutkiem owej historii. Zupełnie jakby w jej umyśle odbijały się obrazy z opowieści Cadvana, przed oczami duszy ujrzała piękne miasto obrócone w dymiące ruiny, strzaskane wieże i pozostałości przerażającej rzezi. Nie sądziła, by otaczający ją krajobraz mógł wydać się jeszcze bardziej smutny, lecz wspomnienie tego, czym kiedyś był, uczyniło go jeszcze bardziej pustym. Ponownie zastanowiła się, czy faktycznie słyszy cichy odgłos płaczu. Zadrżała.

- Czy Andomian i Beruldh należeli do ludu dhylickiego? - spytała w końcu.

- Owszem, pochodzili z Lirionu, skąd wywodzi swe długie korzenie lud Karn - odparł Cadvan. - Ich historia rozgrywała się jakiś czas przed Wielką Ciszą, gdy wojna z Bezimiennym sprowadzała się jeszcze do pojedynczych potyczek i bitew, a on sam zdążył jedynie zniszczyć królestwo Indurainu, przybywając z gór i zaskakując mieszkańców we śnie, a potem mordując ich wszystkich. - Jego głos zabrzmiał bardziej szorstko. - Nawet wtedy istnieli ludzie, którzy twierdzili, że to niemożliwe, by przebył Południowy Annar, przeprawił się przez rzekę Aleph i zaatakował dumne królestwa Lirionu i Imbralu. Tak jak teraz powiadają, że jego powrót jest niemożliwy i że dni Ciszy zaginęły w pomroku historii i legend.

Maerad pomyślała o innych znanych jej pieśniach.

- Kim w takim razie był Lodowy Czarnoksiężnik? - spytała. - Czy żył przed Bezimiennym?

- Maerad, wiem, że mam być twoim nauczycielem - odparł ze znużeniem Cadvan - ale od czasu do czasu zasługuję na chwilę odpoczynku!

- Nie! - ucięła stanowczo Maerad. - Zgłosiłeś się na ochotnika, więc wypełniaj obowiązki.

Cadvan zaśmiał się cicho i dołożył do ognia.

- Surowa z ciebie pracodawczyni. Ale rozmowa pomaga zabić czas - dodał, rozglądając się dokoła. - Jestem zmęczony, lecz pierwszy będę pełnił wartość: niełatwo przyjdzie mi dziś zasnąć... - Zawiesił głos, zbierając myśli.

- No cóż, królestwo Lodowego Czarnoksiężnika istniało tak dawno temu, że pieśni niewiele nam mówią i pozostały tylko nieliczne. Działo się to w Erze Żywiółowców, gdy ludzie byli na świecie zaledwie nowinką. Lodowy Czarnoksiężnik, Król Zimy, którego niektórzy zwą Arkanem, przybył z północy i przywiódł z sobą ogary burzy, armie śniegu i gradu. Cały Annar pokryły lody sięgające aż do Suderainu. To on stworzył Kulagów. Świat miał wtedy odmienny kształt, choć rzeka Lir wciąż płynie tak jak wtedy - moja ojczyzna rzeka w królestwie Lirhanu, niegdyś Lirionu na dalekiej północy. Żywiółowcy wypowiedzieli wojnę Arkanowi; potężne były ich starcia, a mężczyźni i kobiety ukrywali się w cieniu skał, by umknąć ich furii, wielu też zginęło. Potem linia brzegowa się zmieniła, niektóre ziemie zatoneły na zawsze pod falami. Działo się to jednak na długo przed nastaniem Bezimiennego, zresztą nawet Lodowy Czarnoksiężnik pozostawał w niewoli wyższej mocy, podobnie jak Bezimienny. - Zadrzał nagle. - Wolałbym uczyć cię tego przy ciepłym ogniu w przytulnej komnacie w jednej ze szkół, nie tu, w głuszy, nazbyt blisko Mroku. Może innym razem, Maerad?

Przytaknęła; nie mogła uwolnić się od wrażenia, że wiatr płacze niczym zbłąkane dziecko, stopniowo ogarniała ją nieznośna melancholia. Gdy jednak głos Cadvana umilkł, nocna pustka zdawała się jeszcze bliższa. Nim Maerad skuliła się pod kocem, jakiś czas rozmawiali o rzeczach przyziemnych, takich jak szewstwo, minstrele i gotowanie, jedynie po to, by nie dopuścić do siebie Mroku.

*

Rankiem piątego dnia na Moczarowiskach dotarli do ich zachodniej granicy. Ziemia przed nimi opadła stromo na kilkaset stóp, jakby przecięta gigantycznym nożem. Rzeka spłynęła długim wodospadem, tworząc po drodze kilka skalistych stawów. Aż po horyzont ciągnęła się olbrzymia puszcza, sięgająca aż do samego urwiska. Patrzyli z góry na korony drzew, które z tej wysokości przypominały zaledwie kielki na grządce warzywnej.

Maerad bez słowa spoglądała ponad lasem. Nie dostrzegła żadnej drogi w dół i zerknęła pytająco na Cadvana.

- Co teraz? - spytała. - Czy zaczekamy, aż wyrosną nam skrzydła i pofruniemy? A jak potem przeprawimy się przez ten las?

- Nie wiem - odparł niewzruszenie Cadvan; Maerad posłała mu nieprzychylnie spojrzenie: przez sekundę miała ochotę zepchnąć go w przepaść. Przebyli tę długą drogę przez ponury kraj tylko po to, by oznajmił, że nie wie, co robić dalej? - Nie potrafię wyhodować nam skrzydeł - podjął. - Mamy zatem tylko jedno wyjście. Musimy jechać na północ, póki nie znajdziemy drogi na dół. - Machnął ręką nad przepaścią. - To Wielka

Puszcza, Calicider w Mowie. Jeśli chcemy pozostać w ukryciu, to najlepsze miejsce w całym Annarze.

- Wiedziałeś zatem o istnieniu tego urwiska?

- Tak - rzekł. - To Imbralskie Ostrze. Niegdyś stanowiło ono zachodnią granicę tego królestwa. Nie wiem, czy ma nowszą nazwę.

Maerad westchnęła. Od zeszłej nocy narastała w niej niecierpliwość granicząca z paniką, wywołana nie tylko ponurą atmosferą Moczarowisk; żałowała każdej godziny spędzonej tego ranka na wędrówce wzdłuż urwiska i bezowocnych poszukiwaniach ścieżki.

W południe zatrzymali się na posiłek. Cadvan, przeżuwając twardy suchar, rozejrzał się niespokojnie.

- Posłuchaj - polecił.

Nadstawiła ucha.

- Niczego nie słyszę - rzekła.

- Ja też nie - odparł.

Nagle uświadomiła sobie wstrząśnięta, że ptaki przestały śpiewać. Wysiliła pamięć, nie mogła jednak przypomnieć sobie chwili, w której ich głosy umilkły.

- To mi się nie podoba - oznajmił Cadvan. - Módl się, abyśmy przed zmierzchem znaleźli ścieżkę. Być może ktoś nas zauważył.

- Kto? Duch? - spytała lekko Maerad, lecz serce zaciążyło jej w piersi.

Przypomniała sobie ciszę, jaka zapadła wokół nich nieopodal Landrostu, gdy ścigały ich łaki.

Potem patrzyli i nasłuchiwali, cisza jednak trwała dalej. Urwisko skręcało na zachód; Maerad wydało się nieco niższe, choć wciąż nie do przebycia z końmi. Nagle Cadvan krzyknął i wskazał przed siebie. Nieco dalej ujrzała rumowisko; wielka część urwiska osunęła się w dół, do lasu, pozostawiając po sobie usiane kamieniami zbocze, po którym można było zejść.

- Będzie niebezpiecznie - uprzedził Cadvan. - Ale może przy zachowaniu ostrożności zdołamy dotrzeć na dół. Będziemy musieli poprowadzić konie.

Maerad nie spodobało się owo „może”. Spojrzała z powątpiewaniem na zbocze, wciąż wyglądające na zbyt strome. Potem przebiegła wzrokiem północną część klifu. Jak okiem sięgnąć, nie widziała lepszej ścieżki, a słońce chyliło się już ku zachodowi.

- Chyba trzeba to zrobić - mruknęła. - Musimy opuścić te mokradła. Próźni z jednej strony, skręcony kark z drugiej. Jaka różnica?

- Nie sądzę, by to byli Próźni - zaprzeczył. - I kto twierdzi, że las będzie lepszy? Ale

przynajmniej trudniej nas będzie wypatrzeć. Cóż, wahanie przed rozpoczęciem przedsięwzięcia nigdy go nie ułatwia. Nie idź za blisko, na wypadek gdyby jedno z nas upadło. - Zsiadł z konia i pogładził nos Darsora. - Odwagi, mój dzielny - rzekł i poprowadził ogiera w dół.

Darsor także patrzył z powątpiewaniem i niechętnie podążył za Cadvanem, chowając ogon między tylne nogi. Maerad westchnęła i zeskoczyła na ziemię. Poprowadziła Imi do krawędzi urwiska, starając się nie patrzeć w dół. Imi zaparła się kopytami, odmawiając uczynienia choćby kroku dalej. W końcu Cadvan zawrócił i wyszeptał do niej coś w Mowie; dopiero wtedy ruszyła naprzód, drepcząc bokiem z uszami przyciśniętymi do głowy i parskając gwałtownie za każdym razem, gdy ślizgało się jej kopyto.

Powoli, mozolnie, stopa za stopą posuwali się w dół stromego zbocza. Za każdym razem gdy koń się potykał albo Maerad stawała na kamieniu, który poruszał się pod jej ciężarem, myślała już, że zaraz runą ku drzewom rosnącym setki stóp w dole. Oczami duszy widziała Imi ze zmiążdżoną nogą bądź Darsora ze skrzyconym karkiem, szarpiących się bezradnie na dnie przepaści. Nadludzkiem wysiłkiem woli odepchnęła od siebie owe wizje, skupiając umysł wyłącznie na chwili obecnej, na tym kroku i następnym. Starła się nie patrzeć w dół ani, po jakimś czasie, w górę - od jednego i drugiego kręciło jej się w głowie. Po godzinie jej ręce krwawiły po licznych upadkach; nie miała już siły. Zaryzykowała spojrzenie w dół i ku swemu zdumieniu odkryła, że las jest teraz znacznie bliżej; co jeszcze bardziej pocieszające, niewiele dalej zbocze stawało się znacznie mniej strome dzięki olbrzymiej stercie odłamków napierającej na skalną ścianę niczym kamienna fala. Maszerowała dalej już z mniejszym lękiem i w końcu, po, jak się zdawało, wiekach potykania się wśród kamieni i stałej obawy, że koń naciągnie ścięgno bądź skręci pęcinę, dotarli bezpiecznie do stóp urwiska.

W dole było już ciemno; przesłonięte drzewami słońce wisiało nisko na niebie, a urwisko rzucało na nich głęboki cień, choć w górze Maerad dostrzegła jeszcze plamy światła na skale. Chaotyczna płatanina roślinności ciągnęła się aż do skalnej ściany. Cadvan poprowadził ich nieco głębiej pod drzewa i Maerad rozejrzała się z rozpaczą. Jak mieli się przepawić przez ten gąszcz drzew i roślin? W niektórych miejscach ciągnął się nieprzenikniony mur malin i jeżyn, wyższy od nich. Wszędzie wokół leżały powalone drzewa pokryte grubą warstwą mchu i porostów, próchniejące w słabym świetle. Nie dostrzegła ani śladu ścieżki. Cadvan usiadł na jednym z pni, dysząc ciężko.

- No cóż, wymknęliśmy się - rzekł - cokolwiek to było. Ale myślę, że czyjeś oczy mogły dostrzec miejsce, w którym opuściliśmy Moczarowiska, toteż nie możemy tu dziś

zostać. Musimy zawrócić na południe, w stronę Usk.

- Czy nie domyślą się, dokąd zmierzamy? - spytała Maerad, nie naciskała jednak dalej.

Drugą możliwością było tylko błąkanie się po bezkresnej puszczy. Tak naprawdę nie mieli wyboru.

*

Po bardzo krótkim popasie rozpoczęli wyczerpujące przedzieranie się przez podszyt lasu. Nie oddalali się od wyrastającego po lewej stronie urwiska w obawie, że jeśli zagłębią się między drzewa, całkiem zabłądzą. Okazało się to trudne, bo drogę często zagradzały im wąskie jary pełne kolczastych krzaków oraz opadłych, połamanych gałęzi. Czasami musieli skrócić kilkaset jardów w bok, by się przepawić, po czym wycofywali się z powrotem pod skałę. Podczas takiej przeprawy przez wąwóz Imi potknęła się i rozcięła sobie nogę o sterczący wysoko patyk. Zapadał już zmrok, nadal jednak nie odnaleźli rzeki Usk. Maerad była niemile świadoma obecności jakichś stworzeń poruszających się z szelestem wśród liści nad ich głowami. Czasami dostrzegała ciemne kształty pośród gałęzi albo pary świecących żółtych oczu.

- Wkrótce będziemy musieli się zatrzymać, inaczej zabłądzimy - zauważyła, zastanawiając się nerwowo, jakież to istoty polują nocami w tej dzikiej puszczy.

Cadvan obrócił się i przemówił, zupełnie jakby usłyszał jej myśli.

- Miej miecz pod ręką, Maerad. W tych okolicach żyją niezwykle stworzenia.

- Znów goromanty? - spytała z lekkością, której nie czuła.

- To puszcza równie stara jak Magilas, jej części rosną tu od czasu, gdy położono pierwsze fundamenty tej krainy, na długo przed Wojnami Żywiołów - odparł Cadvan. - Podobnie jak w Magilesie, kiedy królestwa Lirionu i Imbralu zaczęły karczować drzewa, w tych puszczech przetrwały pradawne istoty. Lasu nie dotknęła Cisza, nie zawsze jednak ciągnął się tak daleko. Od czasu Ciszy rozrósł się niemal do Lirhanu i daleko na zachód. Może w nim żyć wiele stworzeń, o których nie wie nawet sam Bezimienny: znacznie starszych i o wiele, wiele gorszych.

Maerad zastanowiła się przelotnie, czy nie byłoby bezpieczniej pozostać na gościńcu do Norlochu mimo obecności Próżnych, zachowała jednak swe myśli dla siebie. Mimo to Cadvan jakoś się zorientował i posłał jej przeszywające spojrzenie.

- Lepiej stawić czoła temu, co nie ma powodów, by się nami interesować, niż uciekać w jasnym świetle dnia przed wrogiem, który nade wszystko pragnie nas zniszczyć - rzekł. - Takie przynajmniej było moje rozumowanie. Oby nie okazało się błędne! - Rozejrzał się niecierpliwie. - Wkrótce zapadnie mrok - powiedział. - W tym lesie dni są bardzo krótkie!

Myślę, że dziś pozostaniemy pod urwiskiem; jeśli zwrócimy się do niego plecami, przynajmniej nic nie zaatakuje nas od tyłu.

Zanim światło ostatecznie zgasło, znaleźli miejsce na popas. Na urwisku tworzył się tam nawis i choć trudno było nazwać go jaskinią, dawał przynajmniej pozory schronienia. Konie stały ponuro obok; były spragnione, a oprócz zarośniętej kałuży Cadvan przez cały dzień nie zdołał znaleźć dla nich żadnej wody. Nie pocieszyły ich nawet jego szepty, choć Imi odprężyła się nieco, gdy opatrzył jej skaleczoną nogę i posmarował maścią.

Po niewygodnej, lecz spokojnej nocy następnego dnia przekonali się, że od Usk dzielą ich zaledwie dwie godziny drogi. Spływająca z Moczarowisk rzeka tworzyła duży staw. Konie brodziły w nim, pijąc do woli, a Cadvan i Maerad z radością napełnili bukłaki.

- W końcu wróciliśmy tam, gdzie byliśmy dwa dni temu, tyle że kilkaset stóp niżej. - Cadvan, mrużąc oczy, spojrzał w górę na wodospad, który opadał wdzięcznie kilkoma kaskadami. Promienie słońca załamywały się w wodnym pyłe, tworząc migotliwe tęcze. - Straciliśmy mnóstwo czasu. Jeśli las okaże się nadal tak gęsty, stracimy jeszcze więcej, a nie mamy dość zapasów, by przeżyć dłużej niż trzy tygodnie. W razie potrzeby mógłbym polować, wymaga to jednak wiele energii, a naszym sprzymierzeńcem jest szybkość, nie ciągłe opóźnienia. Powiedziano mi, że przez las można się przeprawić, w razie potrzeby nawet konno, może jednak dotyczyło to części zachodniej. Tak czy inaczej, nie możemy oddalać się od rzeki.

- Może z dala od urwiska będzie łatwiej - podsunęła niezbyt przekonana Maerad.

Jednak istotnie tak się stało: kolczaste chaszczki i skały pozostały na skraju Ostrza i po jakiejś mili ujrzeli wokół siebie znacznie większe, rzadsze drzewa; między nimi czasami otwierały się rozległe polany, a żółte promienie słońca rozjaśniały mrok.

Niektóre drzewa były wyraźnie bardzo stare: rozłożyste dęby o pniach szerokich niczym małe domy, których korony rozpościerały się na ponad sto stóp, a także buki, jawory, kwitnące gaje jarzębinowe i głogowe. Rzeka płynęła leniwie pomiędzy niskimi brzegami, pozostawiając w zakolach niewielkie jeziora, w których rosły żółte nenufary, kaczeńce, rukiew i wysokie, zielone trzciny; ważki wisały w powietrzu, migocząc niczym skrzydlate szmaragdy i szafiry. Leśne jeżyny i maliny zmalowały, tworząc pojedyncze kępy krzaków zamiast nieprzeniknionego wału, tu i ówdzie dostrzegali dzwonki i zonkile wyłaniające się z długiej trawy. W końcu dosiedli koni i ruszyli szybciej, z nadzieją większą niż podczas wielu ostatnich dni.

*

Niemal dziesięć dni podróżowali bez przygód i według obliczeń Cadvana przebyli około

czterdziestu staj, co, jak oceniał, stanowiło połowę długości puszczy. Nocami ciszę zakłócał jedynie rechot żab w stawach, pohukiwania sów spływających bezszelestnie z drzew oraz piski myszy polujących na świerszcze. Nadal jednak zachowywali czujność i stale pełnili straż, nie grali też i nie śpiewali wieczorami po rozbiciu obozu. Czasem nocą, zmagając się ze snem, Maerad odnosiła wrażenie, że dostrzega oczy obserwujące ich z gałęzi, choć kiedy przecierała własne i patrzyła ponownie, zawsze znikwały. Raz, za dnia, spłoszyli dużego rudego jelenia stojącego na polanie; odwrócił się ku nim, dumnie unosząc głowę, a potem powoli, poruszając się z pańską wzdargą, odbiegł między drzewa. Przez większość czasu, choć las zdawał się kipieć życiem, pozostawało ono ukryte, a oni wędrowali pośród niego niczym intruzi lub cienie.

Cadvan bardzo uważał z ogniem i godził się rozpalić ognisko jedynie z daleka od drzew.

- Ci, którzy żyją w lesie, nie ufają palącym ogniska - wyjaśnił. - A ja nie chciałbym niechcący ich rozgniewać.

Nie okazało się to zbyt uciążliwe, bo pogoda nadal dopisywała i było niemal ciepło, choć pod koronami drzew wciąż zalegał chłód. Konie zaczynały odzyskiwać siły stracone na przytłaczających Moczarowiskach, Maerad i Cadvan także.

- Zastanawiam się - rzekła pewnego dnia Maerad - dlaczego ludzie mówią, że Wielka Puszcza to tak mroczne miejsce. Wygląda na zdrową i piękną.

- Istotnie; odnoszę wrażenie, że czuwa nad nią jakiś duch, a przynajmniej czynił tak w przeszłości, czasami bowiem wydaje się oddalony w czasie, jakby pozostało tu wyłącznie wspomnienie - odparł Cadvan. - Może się mylę, ale światło tu jest bogate i łagodne, jak nigdy w głuszy.

- Może po prostu nikt nie odwiedził tych miejsc, a z niewiedzy rodzą się najdziwniejsze opowieści - podsunęła Maerad. - Znane są przecież złowieszcze historie o bardach.

- W istocie - przytaknął Cadvan. - Na nieszczęście jednak przekonałaś się już, że zwykle mają oparcie w faktach. Nie wątpię też, że istnieją połacie tego lasu, w których panuje Mrok i gnieźdzą się nienazwane stwory. Może po prostu jedziemy akurat przez część, w której nadal żyją wspomnienia Światła? Sam nie wiem.

Tego popołudnia, tuż przed zmierzchem, zaczął padać lekki deszcz, schronili się zatem pod jednym z rozłożystych dębów, czekając, aż minie. Właśnie dosiedli koni, gdy nagle z drzewa nad nimi rozległ się głos:

- *Lemmach!*

Maerad gwałtownie uniosła głowę, jednak wśród liści nie ujrzała niczego. Imi, spłoszona, postąpiła krok naprzód. Rozległ się świst i w ziemię tuż przed nią wbiła się dygocząca strzała.

- *Lemmach, Oseanë!* - odezwał się głos.

Maerad wpatrywała się w Cadvana okrągłymi oczami.

- Nie ruszaj się - szepnął - cokolwiek robisz. - Uniósł głowę i zawołał: - *Ke an de, Dereni? Ile ni taramsë lir.*

- *Ke an de, Oseane? Noch de remanë kel de an ambach.*

Z korony drzewa, z wysokości co najmniej dwudziestu stóp, wyprysnął mężczyzna. Wylądował lekko, jakby zaledwie zeskoczył ze zwalonego pnia. W dłoniach trzymał misternie rzeźbiony łuk, niemal tak wysoki jak on sam, do cięciwy przyłożył biało upierzoną strzałę. Celowała wprost w pierś Cadvana.

Z początku zbyt zdumiona, by się bać, Maerad wpatrywała się w łucznika. Był wysoki, jasnowłosy i długonogi, ubrany w nakrapianą zielen, która wyraźnie miała ukrywać go wśród liści.

Z twarzą pozbawioną wyrazu patrzył bez słowa na Maerad i Cadvana. Jedyne jego oczy zdradzały uczucia: były chłodne i nieprzyjazne.

XVI

PANI ARDINA

Cadvan raz jeszcze powtórzył, wyciągając do łuczника puste ręce, że podróżują w pokoju. Choć tamten nie opuścił broni, jego wzrok jakby złagodniał. Jakiś czas rozmawiali, a Maerad wierciła się niespokojnie w siodle: stykała się z Mową dość często, by ją rozpoznać, ale nie rozumiała ani słowa. Słyszała, jak Cadvan wymienia jej imię; odwrócił się do niej, wskazując ręką, ona zaś skinęła głową i uśmiechnęła się - miała nadzieję, że szczerze i otwarcie. Nieznajomy nadal nie opuszczał broni. W końcu, po kilku kolejnych minutach, Cadvan zwrócił się ku niej.

- Mówi, że musimy z nim pójść i że nie zniesie nieposłuszeństwa. Twierdzi, że ma w pobliżu przyjaciół i jeśli ruszymy w jakimkolwiek kierunku prócz tego, który wskaże, oboje zginiemy natychmiast z gardłami przeszytymi strzałą. Myślę, że nie mamy wyboru.

- Kto to? - spytała Maerad. - Czy to bard?

- Nie - odparł Cadvan. - Nigdy nie słyszałem o bardach w Wielkiej Puszczy. Ale nie wydaje się zły i sądzę, że będziemy z nim bezpieczni, a przynajmniej taką mam nadzieję.

Łucznik niecierpliwie wskazywał, że powinni już ruszać, umilkli zatem i wyprzedzili go. W tym momencie z korony dębu zeskoczyło czterech innych, równie wysokich i pełnych gracji, i dołączyło do pierwszego. Każdy dźwiżył w dłoniach łuk z nałożoną strzałą. Polecili Maerad i Cadvanowi zsiąść z koni; łucznicy zerkali nieufnie na zwierzęta i po krótkiej naradzie między sobą rozkazali im je prowadzić. Następnie pomaszzerowali naprzód, oddalając się od rzeki i zagłębiając w samo serce lasu. Gdyby nawet próbowali ucieczki, byłaby bezowocna: wkrótce zupełnie by zabłądzili.

*

Łucznicy prowadzili ich wiele godzin, aż do późnej nocy. Maerad zerknęła w górę i przekonała się, że nad nimi świecą jasne, zimne gwiazdy. Ile razy wznosiłam ku nim wzrok w poszukiwaniu otuchy? - zastanawiała się w duchu. Odkąd pamiętała, szukała oparcia w lodowatym pięknie gwiazd, tak odległych od ludzkiego cierpienia. Była już zmęczona i bardzo głodna; jej nogi poruszały się niczym odrętwiały automat, utrzymywała się na nich jedynie siłą woli. W końcu, gdy czuła już, że nawet pod groźbą łuku nie zdoła przejść kolejnej

mili, ich strażnicy wprowadzili ich przez gęsty pierścień drzew do domu.

Okazał się on większy niż wszystkie, które dotychczas oglądała: trawiasta arena liczyła dwieście stóp średnicy, tak że ze środka roztaczał się widok na otwarte niebo i sierp księżycy wraz z gwiazdami rzucał na trawę pozbawione cieni światło. Po drugiej stronie polany z niewysokiej skałki spływał perlący się i srebrzący strumyk. Tu wreszcie pozwolono im odpocząć, mogli też rozsiadnąć konie i puścić je na popas. Za zasłoną wody kryła się obszerna jaskinia. Ku zdumieniu Maerad mieściła się w niej wygodna, duża komnata, oświetlona migoczącymi pochodniami osadzonymi w skalnych ścianach; dostrzegła nawet łóżka splecione z gałęzi. Dwóch łuczników odeszło z pilną misją; ten pierwszy, zachowujący się jak dowódca, przemówił do Cadvana, który przekazał Maerad, że zjedzą tu i odpoczną przed dalszą jutrzejszą podróżą.

- Dokąd oni nas zabierają? - spytała z lękiem.

- Nie chcą powiedzieć - odrzekł. - Ale przynajmniej jestem wdzięczny za łóżko i gorący posiłek! - Podeszedł do miejsca, w którym zbierała się woda, tworząc niewielki staw, nim wypłynęła z domu bardów w głąb puszczy, i ochlapał sobie twarz. - Teraz może nie zasnę, póki się nie posilę.

Po krótkim czasie łucznicy podali im parujący ziołowy gulasz w miskach ze szklawionej gliny. Maerad przyjrzała się im z ciekawością: szlachetność ich linii przyciągnęła jej uwagę. Zjadła łączywie, a potem położyła się na jednym z łóżek i niemal natychmiast zasnęła.

Łucznicy obudzili ich wczesnym rankiem i wkrótce ponownie rozpoczęli męczący marsz. Niedługo potem Maerad uświadomiła sobie, że podążają ścieżką wijącą się pośród drzew wyglądających na jeszcze większe niż te, które mijali przez ostatnich kilka dni. Mimo że wędrowali pieszo, poruszali się szybko i przebyli około dwudziestu mil, nim zatrzymali się w kolejnym domu bardów, bardzo podobnym do pierwszego. Tego dnia Cadvan i Maerad rzadko się odzywali, choć Cadvan gawędził trochę z łucznikami, noszącymi imiona Farndar, Imunt i Penar. Te rozmowy niewiele wyjaśniły. Nie zdradzili mu ani celu wędrowki, ani kim są, oprócz imion, i nie pytali Cadvana o powody ich podróży ani gdzie się zaczęła. Maerad nie tyle się bała, ile obawiała; zastanawiała się, jak zdołają opuścić las, jeśli tamci w ogóle ich uwolnią. Choć zachowywali się mniej wrogo, widać było wyraźnie, że oboje są ich jeńcami. Jak zatem mieli teraz trafić do Norlochu? W południe następnego dnia dotarli do szerokiej rzeki, rwącej szybko kamienistym korytem pomiędzy wysokimi brzegami.

- To może być Cirion, który płynie niezbadany przez Wielką Puszcę - rzekł Cadvan do Maerad. - Wypływa z Osidh Elanoru, przecina Lirhan, a potem znika w lesie i z

wszystkich map. Zaczynam sobie przypominać opowieści z dzieciństwa o dzikim ludzie, Deridhu, żyjącym w sercu puszczy. Ponoć wykradają się z niej i przynoszą koszmarnie sny dzieciom, które nie chcą słuchać starszych, dosiadają też krów, które rankiem są zmęczone i bezmleczne. Być może to ludowe wspomnienie tego plemienia. Wiele zapomnianych rzeczy wciąż żyje w dziecięcych bajaniach.

Maerad zerknęła na łuczników. Wyglądali zdecydowanie zbyt ponuro, by porywać krowy na szalone przejażdżki.

Ścieżka jakiś czas biegła wzdłuż brzegu rzeki, a potem skręciła w lewo. Przed sobą ujrzeli przeprawę: nie most, lecz szeroką płyciznę pomiędzy niższymi brzegami. Od rzeki odchodził wąski strumień, leniwie niknący wśród drzew. Przeprawa nie była do końca brodem, ale Penar przedostał się przez wodę i przywiązał linę do pnia. Dzięki niej wkrótce bezpiecznie znaleźli się na drugim brzegu. Teraz posuwali się wzdłuż strumienia i Maerad zauważyła, że złote światło z każdym krokiem staje się coraz mocniejsze, a drzewa rosną jeszcze rzadziej; czasami odnosiła wręcz wrażenie, że wędrują nie przez las, ale przez gęsto zadrzewione łąki. Nie zatrzymali się na posiłek i słońce zaczęło właśnie się zniżać, gdy nagle wyłonili się pomiędzy drzew i ujrzeli długą zieloną dolinę w samym sercu puszczy.

Maerad zaparło dech ze zdumienia. Przed nimi rozciągało się miasto, zbudowane w całości z drewna. Wszystkie budynki były niskie, o wysokich, osobiwie rzeźbionych dachach i drzwiach wychodzących na szerokie ganki; ich gonty połyskiwały srebrem w promieniach słońca. Okalały je piękne ogrody, trawniki, kwitnące drzewa: jarzębiny, śliwy, migdałowce i jabłonie. Zaczynały już pokrywać się liśćmi, większość kwiatów opadła i ziemię zaścielały różowo-białe płatki, przywodzące na myśl gruby kozuch śniegu.

Łucznik przemówił do Cadvana, który zatrzymał się z twarzą opromienioną zachwytem.

- Mówią, że to miasto Rachida - poinformował Maerad. - Słyszałem o tym miejscu: to jedna z dhylickich ostoi; uważa się, że zniszczono ją wiele lat temu. Chyba zaczynam rozumieć. Ale jak równie piękne miasto mogło tak długo kryć się przed oczami bardów z Annaru?

Pokręcił głową, jakby niezupełnie wierzył własnym słowom. Ruszyli dalej, podążając za eskortą szerokimi ulicami miasta. Łucznicy schowali w końcu strzały, pozwalając jeńcom iść swobodnie i przyglądać się mijanym budynkom. Wszystkie bez wyjątku solidne domy zdobiły osobiwe rzeźby wokół drzwi, okien i gzymsów. Maerad nie dostrzegła nigdzie ani śladu szkła: domy miały szerokie okna, w razie potrzeby przesłaniane grubymi drewnianymi okiennicami, za nimi rozpięto białe parawany przepuszczające rozproszone światło dnia;

później odkryła, że zrobiono je z mocnego papieru. Mieszkańcy, jasnowłosi i wysocy tak jak łucznicy, pozdrawiali przybyszów uprzejmymi ukłonami, choć po ich przejściu wielu zatrzymywało się i odprowadzało ich wzrokiem. Cadvan i Maerad, oboje ciemnowłosi, wyróżniali się z tłumu. Jeszcze większe zainteresowanie wzbudzały jednak ich konie, najwyraźniej zupełnie nieznane w tej krainie. W miarę wędrówki przez Rachidę zaczęli gromadzić wokół siebie świtę ciekawskich dzieci, które podążały za nimi coraz liczniejszą grupą, zadziwione i roześmiane, nawołując się i pokazując palcami.

W końcu dotarli do przysadzistego wzgórza porośniętego gładko przystrzyżoną trawą, wśród której błyskały małe błękitne kwiatki. Tam Imund i Penar zniknęli, zabierając z sobą dzieci. Farndar poinformował Cadvana, że wzgórze nosi nazwę Nirimor, co po annaryjsku oznacza „pępek”, a na jego szczycie wznosi się Nirhel, dwór ich władcy. Konie musiały zostać na dole, oni zaś podążyli za Farndarem niskimi stopniami wyciętymi w torfie na sam wierzchołek wzgórza. Stał tam duży dom, podobny do wcześniej oglądanych, tyle że bardziej okazały. Jego drzwi wyrzeźbiono ze srebrzystego drewna, misternie zdobionego i dziwnie świeżego; stały otworem, ukazując szeroki, jasny korytarz. Poprowadzono ich do środka i w lewo, do przytulnej komnaty z niskim stołem z czarnego twardego drewna, otoczonym dużymi barwnymi poduszkami. Z okien, z których odsunięto parawany, roztaczał się widok na niewielki trawiasty dziedziniec, pełen kwitnących drzew o czarnych gałęziach wiszących nisko nad sadzawką. Po czystej wodzie pływały płatki, dostrzegli też błyski złota w miejscach, gdzie między liliami krążyły karpie.

Powiedziano im, że jeśli chcą, mogą się umyć, i pokazano kolejny pokój, gdzie czekały misy z wodą, świeże ręczniki i czyste stroje. Maerad, wygłodniała po długim poście, po powrocie do pierwszej komnaty z ulgą ujrzała czekające na stole chleby i zimne mięsa. Jadło smakowało jakoś dziwnie, przyprawione koprem, chrzanem i nieznaną jej odmianą mięty, było jednak świeże i smaczne.

- Co to za miejsce? - spytała Cadvana podczas posiłku. - Nie wydaje mi się, żeby mieli wobec nas nieczne zamiary, przynajmniej na razie.

- Na pewno nie jest złe - odrzekł - lecz budzi we mnie dziwne odczucia. Spowijają je potężne czary.

Maerad uznała, że istotnie czuje się tu dziwnie. Wyjrzała przez okno na dziedziniec. Zupełnie jakby cofnęli się w czasie czy wręcz opuścili jego strumień. Nagłący pośpiech zniknął. Opadła na poduszki, chwilowo ciesząc się, że nie musi nic robić, jedynie jeść i odpoczywać.

Wkrótce potem Farndar powrócił i poprowadził ich do wielkiej sali w sercu domu.

Strop wznosił się wysoko, podtrzymywany licznymi belkami rzeźbionymi przemyślnie na podobieństwo gałęzi i liści. Ściany wyłożono tym srebrzystym drewnem, gładkim i jednolitym; wisiały na nich barwne gobeliny przedstawiające leśne widoki. Pośrodku ujrzeni płytką sadzawkę z białymi i żółtymi liliami. Z wody promieniowało światło, wypełniając salę miękkim, złocistym blaskiem, podobnym do wczesnowiosennego słońca.

Na końcu sali było podwyższenie, na nim ustawiono samotne krzesło wyrzeźbione z błyszczącego czarnego drewna, które Maerad wzięła z początku za kamień. Na krześle siedziała wysoka kobieta. Miała na sobie białą suknię; włosy opadały jej swobodnie na ramiona i niemal do stóp, niczym rzeka srebra. Jej twarz zdawała się jednocześnie młoda i nieskończenie stara, niczym malowana podobizna królowej, która władała w dawno minionych wiekach i została ożywiona nieznanymi czarami. Spojrzenie jej oczu wzbudziło w Maerad dziwny dreszcz, jakby nagle znalazła się w zimnym nurcie strumienia. Kobieta nie nosiła diademu, korony ani berła, lecz Maerad zorientowała się natychmiast, że ma przed sobą królową o wielkiej władzy.

Farndar zaprowadził ich przed jej oblicze, po czym skłonił głowę i przemówił. Pozdrowiła go i zwróciła się ku nim.

- Witajcie w mieście Rachida - rzekła głosem melodyjnym niczym woda. - Niewielu przybyszów ze świata zewnętrznego miało okazję oglądać to miejsce i przeżyć.

Ku uldze Maerad mówiła w języku Annaru, z dziwnym akcentem, lecz zrozumiale.

- Podano mi wasze imiona i wiem, że pochodzicie z Annaru. W istocie macie szczęście, że Cadvan z Lirionu zna Mowę, w przeciwnym razie bowiem z pewnością by zginął. Nie zabijamy jednak bez potrzeby, toteż przyprowadzono was tu, byście poznali mój wyrok.

- Chętnie opowiem ci o nas, o pani Rachidy - odparł z ukłonem Cadvan. - To jednak nieuprzejme, że nie wiem, do kogo się zwracam i kto włada tym zaczarowanym miastem.

- Chcesz wiedzieć, kim jestem? - Kobieta zdawała się promieniować rozbawieniem, choć się nie roześmiała. - Różnie mnie nazywają. Dla mego ludu jestem Gwiazdą Wieczorną i Pieśnią Zaranną, a także Sokiem Drzewa Życia. Kiedyś nazywano mnie Księżycowym Dziecięciem, Klejnotem Lirionu i wielu innymi mianami. Zapuściłam się poza Bramy, aż na Cieniste Łąki, i powróciłam cała i zdrowa. Jako jedynej z mego ludu przypadł mi w udziale los, który sprawia, że nazywają mnie Samotną. Czymże jest imię?

Maerad zerknęła na Cadvana i przekonała się, że oniemiał ze zdumienia. Skłonił się nisko.

- Pani - rzekł, gdy odzyskał panowanie nad sobą - czy mam tedy zaszczyt zwracać się

do tej, która pośród bardów znana jest jako królowa Ardina?

Spojrzała na niego i Cadvan długą chwilę wytrzymał jej wzrok, nim odwrócił oczy.

- Widzę, że poznałeś tradycje dogłębnie i że należysz do ludzi, w których Mowa mieszka, nie musisz się jej uczyć - rzekła pani. - Rzadko zdarzają się tacy w moim królestwie... - Zawiesiła głos. - Nie sądziłam, że moje imię wciąż powtarza się w szerokim świecie.

- W dworach bardów Annaru i Siedmiu Królestw wciąż opiewa się twoje piękno, pani - odparł Cadvan. - Lecz pieśni nie są w stanie go oddać. Głoszą także, że dawno temu odeszłaś w Doliny Gwiazd i wciąż tam mieszkasz. Z zachwytem i lękiem zatem spotykam tu tę, której, jak sądziłem, nigdy nie poznam, nieważne jak daleko i długo wędruję po tym świecie.

- Dawno temu ukryłam się przed światem i zniknęłam z pamięci Annaru - powiedziała sennie Ardina. - Nie opuściłam go jednak. Nie mogę. - Przez jej twarz przebiegł cień, szybki niczym ruch ptasiego skrzydła przesłaniającego słońce. - Dostyc jednak o mnie, to nudne. Chcę się dowiedzieć, kim wy jesteście i co robicie w tych stronach.

Odwróciła się do Farndara, powiedziała kilka słów, a on przyniósł im dwa krzesła i stolik z napojami, a potem zostawił ich samych z królową.

Ardina wypytywała Cadvana, dokąd zmierza i dlaczego znalazł się we wschodniej części Wielkiej Puszczy. Opowiedział jej o ich podróży i zamiarze udania się do Norlochu, nie wspomniał jednak kierujących nimi powodów. Ardinie jego odpowiedź zdawała się wystarczać; z uprzejmą ciekawością spytała o wieści z Annaru, jakby traktowały o czymś, co nie ma z nią nic wspólnego i służy jedynie zabawie, niczym historie podróżnych z dalekich ziem.

- Słyszałam, że na świecie pojawił się nowy strach - powiedziała obojętnie. - Wiadomości docierają bowiem nawet tutaj. Ma on jednak równie mało wspólnego z nami, co my z nim.

Przez długi czas Maerad siedziała znudzona, trącając stopami nogi krzesła i żałując, że jej nie odprawiono, skoro i tak nikt nie zwraca na nią uwagi. W końcu jednak pani odwróciła się ku niej.

- Teraz chcę pomówić z Maerad z Pellinoru. Dostrzegam bowiem, że jest moją krewną, i doskwiera mi ciekawość, skąd przybywa; w Mroku wiele z tego, co kochałam, zniknęło na zawsze, bez nadziei powrotu do tego świata.

Maerad, gwałtownie wyrwana z zamyślenia, uniosła głowę i spojrzała w oczy Ardiny. Uświadomiła sobie, że królowa zdumiewająco przypomina Elidhu: jej twarz miała w sobie

podobną dzikość, choć zwrócone ku niej spojrzenie było łagodne i mądre. Z nagłym wstrząsem pojęła, że oczy Ardiny nie są ludzkie. Wyglądały jak u Elidhu: okolone białkiem złociste tęczówki z pionową źrenicą jak u kota. Znów odniosła wrażenie, że zanurza się w zimnej wodzie; wzdłuż jej pleców przebiegł dziwny dreszcz.

- Jestem córką Milany z Pierwszego Kręgu Pellinoru - oznajmiła z prowokującą dumą.

- Jak mogłybyśmy być krewnymi?

- Niezwykłym zrządzeniem przypadku, jeśli można to nazwać przypadkiem - odparła cicho Ardina. - Często bowiem to, co wy, ludzie, nim nazywacie, w istocie stanowi część większego wzoru, którego nie dostrzega wasze oko. W przeszłości widywałam cię w mych wewnętrznych snach, które nie kłamią. Lecz w owych snach trudno jest pojąć, co właściwie oglądamy: czy to przyszłość, czy przeszłość, czy coś będącego jedynie możliwością. Wyczuwam w tobie moją krew, ale jest też coś więcej.

Maerad poczuła, że na rękach występuje jej gęsia skórka; ogarnęła ją nabożna groza. Co Ardina miała na myśli? Nie potrafiła spojrzeć królowej w oczy, toteż głęboko poruszona wbiła wzrok w posadzkę koło stóp.

Po chwili milczenia Ardina wstała, jakby nagle zmieniła zdanie.

- Zmęczyłam was, zasypując pytaniami - oznajmiła. - Odejdźcie tedy w pokoju, odpocznijcie i rozkoszujcie się urokami mojego królestwa. A kiedy wypoczniecie, znów się spotkamy i pomówimy jeszcze. Wówczas poznacie moją decyzję.

Cadvan i Maerad wstali i skłonili głowy. Zdawało się, że wokół Ardiny zbiera się złociste światło, coraz jaśniejsze i jaśniejsze, aż w końcu musieli zamrugać i w tym momencie królowa zniknęła. Przed nimi pozostało jedynie puste krzesło, a w pięknej sali zrobiło się smutno i pusto.

Bez słowa wyszli z budynku. Farndar czekał na nich przy drzwiach i zaprowadził do domu niedaleko Nirimoru; tam oznajmił, że należy do nich, mogą z niego korzystać do woli, i odszedł. Dom zbudowano wokół środkowego dziedzińca i otoczono szerokim gankiem, urządzone w tym samym stylu co Nirhel. Podłogi zrobiono z błyszczącego drewna; grube kobierce i niewielkie żelazne żarniki chroniły przed chłodem. Na niskim stole w głównym pokoju przygotowano posiłek wraz z winem. Farndar powiedział, że konie mogą trzymać na otoczonym murem trawniku, nie mieli bowiem stajni. Potem krążyły swobodnie po ulicach Rachidy i budziły zdumienie mieszkańców, a dzieci dokarmiły je ukradkiem marchewką i łakociami.

Zapadł już zmierzch; zarówno Cadvan, jak i Maerad czuli się dziwnie wyczerpani po rozmowie z Ardiną, zupełnie jakby trwała wiele godzin i musieli odpowiedzieć na niezliczone

pytania, choć w istocie zajęła niecałą godzinę.

- To najdziwniejsza z wielu dziwnych rzeczy, jakie mnie spotkały - oznajmił Cadvan, nalewając im wina. - Pani Ardina... Legendy wracają do życia i stąpają po ziemi!

- Kim ona jest? - spytała Maerad.

Cadvan z początku milczał, zatopiony w myślach, a potem wyciągnął z sakwy lirę i zaczął niemal od niechcienia trącać struny. Po jakimś czasie dźwięki ułożyły się w melodię, a jego głos wznosił się w pieśni:

*Gdy Arkan zesłał wiecznotrwały mróz
Wszystko co żyło, uschło i szerniało
Zapłakał Księżyc i nad świat się wznosił
Nad ziemią posmutniała.
Uronił na nią jedną czystą łzę,
Z której dziewczyna wyszła jaśniejąca
Jak alabaster biała, wkrótce się
Zwróciła wprost do słońca.
Zbudzona dusza niczym modłów chór
Nowo zrodzoną radością kipiała
Wśród mrocznych dolin i Lirionu gór
W zachwycie tak płąsała.
Aż wtem z gałęzi wyrósł pierwszy kwiat
A las się okrył w mig zieloną szatą
I wiosna sama pieśń posłała w świat
Wzywając miłe lato.*

- Tak śpiewał dawno temu bard Tulkan w Mowie własnego ludu. - Cadvan odłożył lirę. - Trudno oddać ten wiersz w naszym języku: starałem się, jak mogłem, ale to tylko cień jego pieśni. Opowiada o narodzinach Ardiny, Księżycowego Dziecka, nim jeszcze świat zmienił się na zawsze po Wojnach Żywiołów, i o jej miłości do Ardhora, króla śmiertelników. Ocaliła go z lochów Lodowego Czarnoksiężnika, który przeklął go, gdy Ardhor nie chciał wypełnić jego rozkazów, i przez wiele lat trzymał zamrożonego głęboko w górach. Cała opowieść jest długa i bardzo smutna. - Nalał sobie kolejny kielich wina.

Maerad słuchała zafascynowana. Dopiero teraz zrozumiała choć w części zachwyty i zdumienie Cadvana.

- Czy opowiada o niej wiele pieśni?

- Tak, bardzo wiele. To jedna z wielkich opowieści. Lecz Ardina wedle naszej wiedzy zniknęła setki lat temu. Dziś świat stał się dla mnie innym miejscem. - Pokręcił głową. - I pomyśleć, że spojrzałem w jej żywą twarz! Zastanawiam się jednak, co miała na myśli, mówiąc o swym losie. Pani Ardina to jedna z Żywiołowców, jako jedyna ze swego ludu próbowała umrzeć niczym śmiertelniczka i podążyć za ukochanym poza Bramy. Pieśni głoszą, że wędrowali razem poza Cieniste Łąki aż do Gwieździstych Gajów górujących nad tym światem i tam wreszcie mogli być razem, tak jak pragnęli. Wygląda jednak na to, że pieśni się mylą.

Umilkł i przez długi czas nie odzywał się, w zamyśleniu sącąc wino. Maerad, rada z ciszy, przyglądała mu się ciekawie. Sprawiał wrażenie zatopionego we wspomnieniach, które, choć piękne, budziły głęboką melancholię. Teraz widziała, jak musiał wyglądać w młodości, jak pamiętał go Dernhil. Myśl ta przebudziła w niej dziwne uczucie, podobne do bólu. W końcu Cadvan westchnął i popatrzył na nią.

- Żadna potęga, nawet miłość, nie może pokonać zakazu Powrotu, jedynie prócz klątwy wybranej przez Bezimiennego. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Niestety! Świat to okrutne miejsce. Jeszcze wina?

Maerad podsunęła mu kielich.

- Zastanawiam się, co pani Ardina chciała mi powiedzieć.

- Mnie też to ciekawi - powiedział. - To są tajemnice wykraczające poza moją moc zrozumienia. A ty, Maerad, jesteś jedną z nich!

Uniósł ku niej kielich i wypił.

- Ja sama stanowią dla siebie niepojętą zagadkę - odparła z ironią. Pochyliła się naprzód i dołała sobie trunku. Wino było lekkie, jasnozłociste, lecz zdumiewająco mocne; czuła, jak uderza jej do głowy. Nagle zapragnęła przegnać ów urok; dziwny nastrój Cadvana budził w niej niepokój. - Lecz mimo wszystko wydała mi się - jak by to rzec? - odległa. Ma z nami niewiele wspólnego, tak jak i my z nią. Nadal musimy wydostać się z tego lasu, nie możemy tu zostać, choć to piękne miejsce. Jak jednak znajdziemy drogę?

- Nie wiem. - Cadvan zmarszczył brwi. - Przepełniają mnie wątpliwości i obawy. Pani Rachidy jest mądra, ale i niebezpieczna i obawiam się, że okaże się równie nieustępliwa jak góry. Nie obchodzą jej troski naszego świata, choć - dodał - przyszło mi do głowy, że być może wiele innych mocy, które dawno odeszły, zechce teraz wyjrzeć poza granice jej królestwa. - Przeciągnął się, ziewnął leniwie i wypił resztę wina. - Przynajmniej dziś w nocy będziemy spać tak bezpiecznie, jak nigdy od wyjazdu z Innailu!

Wkrótce potem odeszli do swych komnat, gdzie znaleźli sofę oraz stosy koców utkanych z miękkiej, nieznannej tkaniny. Noc była ciepła, toteż Maerad nie zamknęła okna i odsunęła papierowe parawany. Zasnęła okolona obłokiem kwietnej woni z ogrodu, w którym woda z wąskiego kanału ściekała kaskadą do kamiennej sadzawki. Jej łagodny szmer towarzyszył tej nocy wszystkim jej snom.

Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, Maerad śniła o matce. Nie takiej, jaką widziała przed śmiercią, poskręcanej chorobą, okaleczonej rozpaczą i bólem, przygaszonej i słabej, lecz o wysokiej, dumnej, silnej kobiecie, którą ledwie pamiętała. W jej śnie stała w wysokiej kryształowej wieży, grając na lirze, a kiedy grała, ptaki mieniące się bajecznymi barwami - szafirem, złotem, szmaragdem, szkarłatem - wyfruwały z jej instrumentu i okrążyły głowę w dostojnym tańcu. Maerad podbiegła do ściany wieży, wołając matkę, nie znalazła jednak drzwi, choć szukała i szukała. Podeszła zatem do szkła, krzycząc: „Mamo, mamo!”, lecz głos miała słaby i żalony; matka nie słyszała jej i grała dalej, całkowicie zaabsorbowana muzyką. Maerad tłukła pięściami w twarde, zimne ściany, aż zaczęły krwawić jej poobijane ręce, Milana jednak nadal nie odwróciła ku niej głowy i w końcu Maerad opadła na ziemię wyczerpana.

Jak mogła mnie porzucić? - szlochała do siebie. - Jak mogła zapomnieć...

*

Gdy się ocknęła, policzki miała mokre i chłodne od łez. Przekręciła się na drugi bok i wyjrzała przez okno do ogrodu. Na zewnątrz wciąż panowała noc, gwiazdy płonęły na zimnym niebie, niewyraźne cienie błąkały się na szarej od rosy trawie. Obraz matki wciąż trwał jej w umyśle, jasny i niewiarygodnie odległy. Skoro była Pierwszą Bardką Pellinoru - pomyślała Maerad - dlaczego nas nie uwolniła? Czemu nie mogła ze mną uciec, tak jak to zrobił Cadvan? Maerad nie pamiętała, by Milana choć raz wspomniała o ojcu, nagle jednak pojęła z absolutną pewnością, że jego śmierć zniszczyła jej matkę. Zastanawiała się, jak to jest kochać kogoś tak mocno jak matka ojca, jak Ardina Ardhora. Ona nigdy nikogo nie kochała: było to zbyt niebezpieczne. Miłość zabiła Milanę. I nawet Maerad nie wystarczyła, by ją ocalić. Dlaczego? W jej piersi rozkwitł ból, którego nigdy wcześniej do siebie nie dopuściła. Czemu nie zdołała uratować matki? Dlaczego Milana umarła, złamana i nieszczęśliwa, w miejscu tak odległym od jasnego świata, do którego należała?

Maerad usiadła i spojrzała przed siebie ze smutkiem, okrywając ramiona kocem. Nie czuła senności. Działo się zbyt wiele, a ona nie wiedziała, co o tym myśleć. Bezustannie odtwarzała w głowie wydarzenia ostatnich tygodni, czuła jednak wyłącznie zamęt. Pomyślała o Silvii, o tym, jak mocno ją pokochała i jak podczas krótkiego pobytu w Innailu była ona dla

niej matką bardziej niż ktokolwiek inny. Oprócz Milany, zanim spłonął Pellinor - dodała lojalnie w duchu, lecz po prawdzie ledwie to pamiętała. A Elidhu nazwała ją córką. Co to miało znaczyć? I skąd Ardina o tym wiedziała? Wyglądała przecież zwyczajnie, tak samo jak wszyscy. Co ją wyróżniało? I czym był płomień, który zabił Kulaga i Próżnego? Czy naprawdę pochodził od niej? Czy to dlatego polowali na nią Próżni? Nagle oczami duszy ujrzała wyraźny obraz Dernhila, z twarzą jaśniejącą entuzjazmem i palcem na karcie książki... Zastanawiała się niespokojnie, co mieli na myśli Cadvan i Silvia, tak lekko mówiąc o miłości, o ścieżkach serca. Zginął przeze mnie - pomyślała ze smutkiem. Dlaczego? Kim ja jestem? I czy kiedykolwiek się dowiem?

Zastanawiała się, czy zdołają dotrzeć do Norlochu, a jeśli nawet im się uda, to czy odnajdzie tam odpowiedzi na dręczące ją pytania. Nie miała pojęcia, co właściwie czuje do Cadvana. Wiedziała, że ufa mu jak żadnemu innemu mężczyźnie w życiu, może z wyjątkiem ojca, którego ledwo pamiętała, ale tak naprawdę nie rozumiała dlaczego. Może dlatego, że Silvia także mu ufała? W głębi ducha wiedziała jednak, że to coś więcej. Przypomniała sobie, jak stanął przed nią w oborze po raz pierwszy - zdawało się, że od tej chwili minęły całe lata, choć w istocie upłynęło zaledwie parę miesięcy - jego oblicze, poszarzałe z wyczerpania, wrażliwe i, jak teraz pomyślała, smutne. Nawet wtedy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby w niego zwątpić. Myślała o jego surowej, ruchliwej twarzy, o tym, jaki był zdeterminowany i samotny i jak nagle jego rysy rozjaśniał żywy, ciepły uśmiech... Kim dla niego była? Narzędziem Światła, istotą o niepojętej mocy... Z pewnością nie tylko. Co właściwie robiła, zmierzając wśród niebezpieczeństw wraz z tym człowiekiem do Norlochu, miejsca, o którym nic nie wiedziała? A jeśli się mylił? Czy wówczas ją porzuci?

Wciąż niespokojna narzuciła koc na ramiona i wstała z łóżka. W ciemności, trzymając się ścian, powędrowała do komnaty, w której zjedli posiłek, a potem do drzwi frontowych. Otwarły się bezszelestnie pod naciskiem dłoni. Boso wyszła na ganek. Wysoko pośród gwiazd widać było połowę tarczy księżyca. W górze przepływały ciemne strzępy chmur, lecz nie czuła wiatru. Zwinęła się w kłębek na stojącej na werandzie wyściełanej kanapie i owinęła ciasno kocem dla ochrony przed chłodem, po czym znów spojrzała w niebo, witając gwiazdy niczym starych przyjaciół: rozkołysany Pas Melchara, Wielką Łódź i samotną gwiazdę Ilion, lśniąca niczym przejrzysty kryształ nisko nad horyzontem. Ich niewypowiedziane piękno ukoilo jej niepokój i została tam, aż nie zdając sobie sprawy, zasnęła spokojnie; tak zastał ją rano Cadvan, z twarzą i ustami przesłoniętymi falą włosów. Gdyby mogła zobaczyć jego twarz, dostrzegłaby czułość, którą rzadko okazywał. Pochylił się nad nią i delikatnie odgarnął jej włosy. Poruszyła się, wymamrotała coś, ale się nie ocknęła. Wpatrywał się w nią jeszcze

parę sekund, a potem z uśmiechem wrócił do domu, pozostawiając ją w spokoju, by przebudziła się sama, kiedy słońce wzejdzie dość wysoko, aby oświetlić jej twarz.

*

Później tego samego ranka Farndar, jeden z łuczników, którzy ich schwytali, zjawił się na progu i powiadomił Cadvana, że znów opuszcza Rachidę, zmierzając do południowych granic królestwa. Przemawiał do nich z nowym szacunkiem.

- Zyskaliście łaskę naszej pani - rzekł do Cadvana. - Rzadko przybywają tu obcy. Za mego życia nigdy się to nie zdarzyło.

Maerad stała obok, próbując zrozumieć rozmowę. Słowa w Mowie w dziwny sposób wymykały się z jej pamięci, wydawało się, że nigdy nie zdoła się jej nauczyć i władać nią jak ci ludzie, w zwyczajny sposób. Z jakiejś przyczyny czuła się przez to jeszcze bardziej obca, nawet wobec samej siebie. W końcu Farndar zwrócił się ku niej i skłonił uprzejmie; odpowiedziała ukłonem i odszedł.

- Chciałabym móc zrozumieć tych ludzi - rzekła do Cadvana, kiedy zniknął. - Dlaczego nie mogę nauczyć się Mowy? Oni przecież nie są bardami, prawda?

- Nie - odparł Cadvan - nie spotkałem tu jeszcze barda. Dhyllowie byli jedyną rasą posługującą się Mową jako własnym językiem: ten lud musi się od nich wywodzić. W ustach osób niebędących bardami Mowie brak mocy bardostwa. W istocie ci tutaj porozumiewają się osobliwym dialektem, nadal jednak potrafię ich zrozumieć.

- W takim razie czemu nie mogę się jej nauczyć? - Maerad usiadła, marszcząc brwi. - Bez kłopotu uczę się innych rzeczy. Ale gdy tylko słyszę słowo w Mowie, zapominam je. Ucieka mi z pamięci.

- Nikt nie rozumie, w jaki sposób Mowa budzi się w umysłach bardów - wyjaśnił Cadvan. - Możliwe, że umyka przed tobą, póki nie przybędzie na własny sposób.

- Wątpię, bym kiedykolwiek się jej nauczyła.

- Nauczysz się - pocieszył ją. - Na razie w tobie śpi.

- A jeśli się mylisz?

Cadvan zmierzył ją obojętnym spojrzeniem i usiadł obok.

- Zawsze istnieje możliwość, że się mylę. Ale ani ty, ani ja nie powinniśmy się tym martwić. Róbnymy to, co trzeba, na co wskazują nam wiedza i domysły, a jeśli cię to pocieszy, rzadko się zdarza, bym całkiem pobleździł. Uważam, że jesteś Przepowiedzianą, i mam ku temu mocne powody, najlepszych z nich jednak nie potrafię wyjaśnić, bo łączą się z wewnętrzną Wiedzą, której sam nie jestem do końca świadom. Do Wiedzy nie wolno podchodzić niecierpliwie, podobnie do Mowy, stanowiącej jedną z jej największych tajemnic.

- Ale o Żywiołowcach nie wiedziałaś - zauważyła złośliwie.

- No tak - zgodził się. - Nie wiem wszystkiego. Nikt nie wie i tylko głupcy tego pragną. - Przyjrzał się jej uważnie, po czym dodał łagodnie: - Nie siedź taka smutna i nadąsana, Maerad. Trudno być kimś naznaczonym poza własnym wyborem i wolą i wieść życie odrębne od innych. Nawet bycie bardem jest trudne, jeśli twój ród do nich nie należy; bycie Przepowiedzianym to los jeszcze trudniejszy. Jednak oferuje ci niezwykłości i piękno tego świata!

Jakiś czas Maerad milczała. Zawsze żyłam osobno - pomyślała. - Nie to mi wadzi. W końcu odezwała się stłumionym głosem:

- Czy tobie było trudno, kiedy odkryłeś, że jesteś bardem?

Cadvan westchnął i spuścił wzrok.

- Tak - rzekł. - Moi rodzice to ludzie prości. Jak pamiętali, w rodzinie nigdy nie pojawił się bard. Często tak bywa. Mój ojciec był szewcem w Lirigonie. Jeśli trzeba, nadal umiem uszyć parę porządnych butów! Byłem najmłodszym dzieckiem i ciężko przeżyli to, że ich opuściłem, wyruszając w świat, którego nie pojmowali. A także kiedy nie starzałem się jak oni. Moi rodzice zmarli, gdy ja wciąż czułem się młodo. Bracia i siostry pomarli dawno temu. Nie mogłem uleczyć ich ze starości.

- Ale nawet wśród bardów żyjesz jakby osobno - zauważyła Maerad. - To znaczy, swobodniej czujesz się w towarzystwie karczmarzy i kupców niż w szkołach.

Cadvan posłał jej przenikliwe spojrzenie, a potem wybuchnął śmiechem.

- Dziwnie się czuję jako przedmiot obserwacji. Lubię o sobie myśleć jak o oku, które patrzy i znika niepostrzeżenie. To oczywiście nieprawda... A jednak możliwe, iż jakaś część mnie żałuje, że nie przypadło mi zwyczajne życie i że nie zostałem szewcem jak ojciec. Moi rodzice byli dobrymi ludźmi. Ale los zdecydował inaczej! I tak naprawdę nie żałuję, choć czasami czuję lekki smutek.

- Dlaczego więc... - zaczęła Maerad, on jednak jej przerwał.

- W ten sposób cały dzień będę odpowiadał na twoje pytania - oznajmił i wstał. - Myślę, że powinniśmy rozejrzeć się po Rachidzie. Farndar twierdził, że możemy swobodnie poruszać się po mieście, i nie mogę się już doczekać, by je zwiedzić. Nie zdołamy uciec - od razu zabłądzilibyśmy w lesie - więc lepiej wykorzystajmy swój pobyt tutaj.

Maerad miała właśnie spytać, dlaczego już jako bard zajął się wyszukiwaniem Mroku. Przypomniała sobie błysk na jego twarzy, który dostrzegła, kiedy w nią wnikał, i wzmianki Dernhila o tragedii w młodości Cadvana. Powoli zaczynała już odgadywać. Po namyśle jednak uznała, że lepiej nie pytać. Wątpiła, by odpowiedział.

*

Po niebezpieczeństwach i niewygodach podróży Rachida stała się miłą przystanią. Całymi dniami odpoczywali, jedli i wędrowali po mieście. Za dnia dostrzegali, że przesłania je złocista mgielka, stopniowo też narastało w nich osobliwe wrażenie, że wędrują przez czas będący równocześnie chwilą obecną i niewiarygodnie odległą. Cadvan uważał, że Rachidę oplata potężne zakłęcie maskujące rzucone przez Ardinę. Było to miasto niezwyklej urody: każdy przedmiot, od garnków i mis po dziecięce zabawki i tkaniny, wyróżniał się pięknem. Rachidanie jadali z glinianych glazurowanych naczyń zdobionych drobnymi wizerunkami kwiatów, węży bądź ptaków i ubierali się w stroje subtelnie farbowane i doskonale skrojone. Nawet posiłki przygotowywali niczym dzieła sztuki.

Mieszkańcy Rachidy byli przyjaźni i szczodrzy; Cadvan i Maerad bez trudu znaleźli sobie przyjaciół. Zapraszano ich na obiady do wielu domów i pokazywano najróżniejsze cuda: drzewo jarzębinowe, wierne w najdrobniejszym detalu, wyrzeźbione z pojedynczego odłamka alabastru, i naszyjnik z wielu misternie rzeźbionych ogniwek wyrzezanych z jednego kawałka jeleniej kości, jedwabną szatę mieniącą się wszystkimi barwami zachodu słońca na powierzchni rzeki utkaną z pojedynczej nici. Rachidanie uwielbiali podobne wyczyny, świadczące o niezwykłych umiejętnościach i zdolnościach, lecz ich radości w żaden sposób nie zabarwiała chciwość. Cadvan i Maerad odmawiali przyjęcia wielu cennych podarunków, ofiarowywanych tylko z powodu ich zachwytu, tłumacząc, że nie zdołają ich z sobą zabrać. Mimo to całkiem sporo rzeczy pojawiło się w ich domu.

Kiedy nie jadali w towarzystwie, posiłki przynosił im do domu młody mężczyzna, Idris. Co nietypowe dla tubylców, niezwykle interesował się światem poza granicami miasta, którego nie oglądał nikt z jego pobratymców. Mimo odosobnienia większość napotykanych w mieście ludzi nie interesowała się tym, co leży poza nim. Nazwali Rachidę Pępkiem Świata i uważali, że w swym mieście znajdą wszystko, czego mogliby pragnąć. Idris słuchał w skupieniu opowieści Cadvana o dalekich grodach, a jego oczy błyszczały. Gdy jednak Cadvan spytał, czy chciałby je odwiedzić, młodzian pokręcił głową.

- Nie chcę - rzekł. - Czyż mógłbym bowiem znaleźć gdzieś skarby większe niż tutaj?

Maerad i Cadvan dostrzegli mądrość w jego słowach, lecz po paru dniach zaczęli irytować się opóźnieniem. Pani Ardina wciąż ich nie wzywała.

- Nigdy nie odwiedziłem miejsca tak oderwanego od świata - zauważył Cadvan po wyjściu Idrisa. - Zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle pozwolą nam odejść. Być może ceną wtargnięcia jest pozostanie tu na zawsze, a nam nie wolno tego uczynić.

Maerad oszacowała, iż od ich spotkania minęły ponad dwa miesiące, co oznaczało, że

był teraz koniec kwietnia bądź początek maja. Tak niewiele czasu! - pomyślała ze zdumieniem. Lata spędzone w Gilmanowym Siole należały teraz do zupełnie innego życia, były jedynie złym wspomnieniem, zatartym przez odległość; nawet pobyt w Innailu wydawał się bardzo dawny. A teraz znaleźli się tu, uwięzieni poza czasem niczym owady w bursztynie. Wyrzała przez okno na fontannę szmerzącą miło w ciepłym powietrzu. W pokoju panował idealny spokój, nie odczuła jednak podobnego wewnątrz siebie. To nie było jej miejsce.

- Mam nadzieję, że nie - odparła. - Czas już, byśmy ruszyli w drogę.

*

Siódmego dnia ponownie wezwano ich do Nirhelu, tym razem udali się sami do wielkiego dworu. Kiedy weszli do sali, królowa Ardina już na nich czekała, siedząc na czarnym krześle.

Maerad zamrugwała. Zapomniała już o tym, jak wielkie wrażenie wywiera uroda Ardiny, jak mocno porusza jej spojrzenie. Tym razem królowa spłotła włosy w długi srebrny warkocz przetykany perłami; na czole nosiła prosty srebrny diadem zwieńczony pojedynczym kamieniem księżycowym.

- Cadvanie z Lirigonu i Maerad z Pellinoru - rzekła, wstając na powitanie.

- Myślę, żeście odpoczęli i zakosztowali gościnności mego miasta.

- Dziękujemy ci, królowo Ardino - odrzekł Cadvan. - Istotnie, wypoczęliśmy i okazano nam wiele łaski, oglądaliśmy też niezliczone piękne rzeczy. Rachida to naprawdę miasto cudów, którymi może radować się zbolełe serce.

Ardina wskazała im krzesła.

- W pełni zasługuje na miano Pępka Świata - powiedziała. - Lecz widok owych cudów ma swoją cenę. Prawo Rachidy głosi, że nikt, kto do niej trafił, nie może odejść. W ten sposób zachowujemy naszą tajemnicę i czystość, w innym wypadku mogłoby ją skazić zło świata zewnętrznego.

Maerad westchnęła głośno. Tego właśnie lękał się Cadvan. Patrząc na królową, dostrzegła w niej niezłomną wolę: była piękna, owszem, niczym jasny alabaster więżący w sobie promienie księżyca, lecz surowa i nieugięta jak stal.

Cadvan przyjął to spokojnie.

- Tak też przypuszczałem. A jednak proszę, abyś wyjęła mnie i Maerad spod tego prawa. Gdyby dotyczyło to tylko naszych osób, spędzenie reszty życia wśród twego serdecznego i szczodrego ludu nie stanowiłoby bynajmniej kary. Ale tu chodzi o coś więcej. Niesiemy z sobą brzemień przeznaczenia, które obejmuje wszystkich żyjących, i nie możemy tu zwłóczyć. Jeśli zabronisz nam odejść, będziemy musieli uczynić to wbrew twojej woli.

- Wówczas zginiecie.

Oczy Ardiny spoglądały surowo i chłodno.

- Mimo wszystko będziemy zmuszeni spróbować - odparł Cadvan. - Nasza misja jest takiej wagi, że nie mamy wyboru. Czy chciałabyś, by mówiono, że pani Ardina wspomogła Mrok?

Królowa spojrzała na niego wyniośle.

- Prosisz mnie o wielki dar - rzekła. - Tak wielki, że sama prośba jest zuchwalstwem. Zgadząc się, zaryzykowałabym zniszczenie wszystkiego, co kocham. Rachida jest dla mnie wielką wartością, a mój lud cenię ponad wszystko. Dlaczego zatem miałabym się zgodzić? Cóż to za brzemień, o którym mówisz?

Cadvan milczał, jakby zbierał się na odwagę. Maerad mocno odczuwała siłę woli królowej: była niemal gotowa zaniechać wyprawy jedynie dlatego, że tak życzyła sobie Ardina.

- Pani Ardino, wierzę, że pamiętasz Bezimiennego, który zniszczył cały Imbral i Lirion - rzekł w końcu Cadvan.

Królowa poruszyła się lekko; zdawało się, że wejrzała głęboko we wspomnienia.

- Dobrze pamiętam Sharmę z czasów, nim jeszcze uzyskał moc - odparła. - Uważałam go wtedy za skrytego i niemilego człowieka, niegodnego względów wielkich bardów Afinilu, mimo jego zdolności. Tak też im powiedziałam. I to się potwierdziło. Jak sądzisz, czemu odeszłam w serce Calicideru? Czemu ogłosiłam podobny zakaz?

- Nie wiem, czy słyszałaś przepowiednie, że jego ostatnie zwycięstwo nie było najgorsze. Od dawna powiada się między bardami z Annaru, że Bezimienny powróci i jego następne przyjście będzie najmroczniejsze, bo zniszczy wówczas wszystko, co piękne i wolne, wypali lasy, zatopi w Mroku wszelkie pozostałe przyczółki Światła. Nie sądzisz chyba, że klęska czegoś go nauczyła? I czy uważasz, o pani, że nawet ty ze swą wielką mocą zdołasz zachować tu Światło, jeśli cały Annar legnie w gruzach, a bardowie zostaną pokonani? Jego ostatnie zwycięstwo nie było pełne. Światło przetrwało nie tylko tutaj, ale też ukryte w Siedmiu Królestwach; i tak w końcu panowanie Bezimiennego dobiegło końca, a jego moc osłabła. Mówią jednak, że jeśli następnym razem zwycięży, jego zło i potęga pozostaną niewzruszone aż do czasu, którego nie potrafią objąć myślą śmiertelnicy. I powiadam ci, pani Ardino, że Dhyllowie byli rasą najbardziej przezeń znieawidzoną i ją właśnie najbardziej chciał zniszczyć. Myślę, że jeśli zdobędzie podobną moc, tym razem nie przeoczy Rachidy.

W jego słowach dźwięczały taka siła i takie przekonanie, że Ardina spuściła wzrok, a po jej twarzy przemknął cień zwątpienia.

- Mów dalej - rzekła i spojrzała na niego bystro. - Przepowiednia ta może być prawdziwa. Co ci jednak wiadomo o powrocie Bezimiennego? Mówisz, jakby powstawał już teraz.

- Uważam, że powstaje teraz - odparł z mocą Cadvan. - Tak mi przynajmniej pokazano. - Odetchnął głęboko i podjął: - Przed tą zimą bardowie z Norlochu wysłali mnie z misją daleko na północ. W drodze powrotnej schwytał mnie jeden z twych pobratymców, ten, który zamieszkuje górę nazywaną Landrostem. Dawno temu został zwiedziony i skażony przez Bezimiennego. To czarnoksiężnik o wielkiej, złowieszczej mocy, lecz nawet on pozostaje niewolnikiem potęgi Mroku.

- Wiem, o kim mówisz - wtrąciła Ardina. - Nie wymawiam jego imienia.

- Wtrącił mnie do swych lochów. - Przez chwilę Cadvan milczał. - Nie wspomnę o tym, co tam przeszedłem. Lecz w swej dumie przechwalał się przede mną nadejściem Mroku. W sali tronowej ma sadzawkę, podobną do twojej, pani, lecz stanowiącą jej złe odbicie. Nie mieszka tam Światło, lecz nieopisany Cień. W lustrze tym można oglądać prawdziwy obraz rzeczy. Chciał zapewne, bym umarł z rozpaczy, pokazał mi zatem zbieranie sił w Dén Ravenie i narastanie zepsucia w siedliskach Światła oraz zło zasnuwające Annar niczym trujący dym. A w końcu wyjawiał, że Bezimienny powrócił.

- Narzędzia Mroku od zawsze kłamią - zauważyła szybko Ardina.

- Istotnie, pani - przytaknął Cadvan - lecz pośród bardów nazywają mnie Prawdomówcą, bo mam dar poznania, co jest kłamstwem, a co nie, i od dawna przywykłem do podstępów Mroku. To, co mi pokazał, nie było kłamstwem. Nie mógł liczyć na to, że zdoła mnie dręczyć fałszywymi obrazami bądź zwodniczym cieniem, i dobrze o tym wiedział.

Przez długi czas w sali panowała cisza. Ardina trwała w zamyśleniu. Maerad przyglądała się Cadvanowi z nowym podziwem: do tej pory nie wspominał o Landroście, prócz jednej przelotnej wzmianki podczas pierwszego etapu wyprawy do Innailu. Teraz dostrzegła wyraźniej, co miał na myśli, mówiąc o dziwnym przypadku, jaki doprowadził do ich spotkania. Zastanawiała się, jak przeżył i jak udało mu się uciec, lecz Ardina o to nie spytała.

- Nie powiedziałaś mi o brzemieniu, które dźwigacie - rzekła w końcu.

Cadvan, który do tej pory wbijał wzrok w dłonie, uniósł głowę. Jego twarz powlekł cień bolesnych wspomnień.

- Istnieje jeszcze jedno proroctwo, wspomnienie zachowane w pieśni bardów, choć teraz zapomniane i mało znane - rzekł. - Mówi, kto się pojawi, kiedy Bezimienny zacznie rosnać w siłę przed swym najmroczniejszym powstaniem. To Przepowiedziany, Jedyny. I

powiadają, że Przepowiedziany pokona Bezimiennego i powali go, udaremniając najpotężniejszy atak na Światło.

- A czy proroctwo mówi też, jak to się stanie? - dopytywała się Ardina.

- Nie.

- A kim jest ów Przepowiedziany?

- Uważam, że to Maerad z Pellinoru. Dlatego właśnie wyruszyliśmy razem do Norlochu nieudeptanymi, ukrytymi ścieżkami, by umknąć oczom Mroku, który ścigał nas niemal do granic twego królestwa. W Norlochu bowiem kryje się mądrość i wiedza, które pozwolą nam rozwiązać tę zagadkę.

Ardina długą chwilę patrzyła badawczo w twarz Cadvana. Tym razem wytrzymał jej wzrok. W końcu odwróciła głowę i westchnęła.

- Niemal przypominasz mi króla Ardhora - rzekła ze smutkiem - tak wielka jest twa odwaga i szczerłość. Wolałabym, by było inaczej, stawiasz bowiem sprawę na ostrzu noża i cokolwiek zdecyduję, zawsze czyha niebezpieczeństwo.

Odwróciła się do Maerad i spoglądając w te nieludzkie oczy, dziewczyna ujrzała ze zdumieniem bezdenną otchłań współczucia i smutku. Nagle królowa Ardina wydała się jej nie odległą postacią rodem z legendy, lecz kruchą śmiertelniczką, jak ona sama.

- Dostrzegam na tobie piętno losu, siostrze - powiedziała cicho. Z nagłym dreszczem Maerad pojęła, że Ardina mówi do niej w języku Elidhu, nie w mowie Annaru. - Wyczułam je, gdy po raz pierwszy ujrzałam twoją twarz. Nie wiem, co ci powiedzieć, bo na razie wciąż śpisz, niczym lilia drzemiąca zimną pod ziemią; a jednak wewnątrz ciebie żyje ogień niezrównanej jasności, który rozkwitnie w swoim czasie. Nie wiem, co to oznacza i co mówi, i lękam się w głębi serca, że nieważne, jak na to spojrzę, zwiastuje to kres mego ludu.

- Nie mów „kres” - odparła Maerad w tym samym języku, zaskakując siebie samą, miała bowiem wrażenie, że wewnątrz niej odezwał się inny głos. - Powiedz raczej „nowy początek”.

- Być może. Lecz to mimo wszystko pewien koniec. I możliwe też, że zguba, której się lękamy, osiągnie nas, choćbyśmy walczyli z nią ze wszystkich sił. Lepiej jednak walczyć, niż dać się pokonać, nie stawiając oporu.

A kiedy królowa przemawiała, Maerad wydało się, że obraz faluje przed jej oczami. Ponownie ujrzała migoczącą Elidhu w lesie, jej obraz nałożony na postać potężnej królowej. Z nagłym zdumieniem uświadomiła sobie, że Ardina i Elidhu z lasu to ta sama osoba. Wstrzymała oddech, spoglądając w żółte oczy władczyni.

- O tak, siostrze - powiedziała Ardina, przyglądając się jej uważnie. - Dobrze widzisz.

Jestem zarówno królową, jak i Elidhu, tu i tam, nieposkromionym płomieniem i ogniem na palenisku, zapomnieniem i pamięcią. Jesteś moją krewniaczką. Obserwowałam cię, lecz nie wspominaj jeszcze o tym, ludzie bowiem są niecierpliwi i nie rozumieją.

Cadvan wodził oszołomionym wzrokiem od jednej kobiety do drugiej. Królowa zerknęła na niego i wstała.

- Cadvanie z Lirigonu - rzekła w języku Annaru - wiem, że powiedziałeś mi prawdę. Och, jakże podsyciłeś mój smutek! Nie sądz, iż izolacja oznacza, że niewiele mi wiadomo o losach Annaru; posiadam własne zwierciadło świata, jak słusznie odgadłeś. Miałam nadzieję pozostać niewidziana i jak wszystkie fałszywe nadzieje dodawała mi ona otuchy. Nikt nigdy jednak nie powie, że pani Ardinie brak śmiałości i że szuka schronienia w wymówkach tchórzy.

Umilkła, ponownie rozważając coś w myślach.

- Wyjawię wam teraz moją decyzję. Jako jedyni z wszystkich wędrowców, którzy się tu zapuścili, możecie bez przeszkód opuścić me królestwo. Zgadzam się na to, bo wiem, że mówisz prawdę, i podróżujesz z moją krewniaczką, a także ponieważ musimy zewrzeć szyki przeciw wspólnemu wrogowi i nie dać się rozproszyć. Proszę jedynie, abyś nie wspominał nikomu o wizycie tutaj. Co więcej, udzielę wam wszelkiej możliwej pomocy i wyznaczę przewodnika, który zawiedzie was bezpiecznie do granic Calicideru, gdyż w puszczy jest wiele mrocznych miejsc, których lepiej unikać.

Cadvan wstał i skłonił głowę.

- Dziękuję ci, pani Ardino. Wiem, jak wiele kosztuje cię ta zgoda. Zaiste, jesteś potężną królową i ustalasz sprawiedliwe prawa.

Wyglądał, jakby chciał rzec coś jeszcze, ale nie zdołał.

- Żegnajcie zatem - powiedziała Ardina. - Maerad z Pellinoru, niechaj towarzyszą ci moje najlepsze życzenia. Oby twój los okazał się łagodniejszy od mego. Na znak pokrewieństwa proszę, abyś to przyjęła. - Zdjęła z palca cienką złotą obrączkę w kształcie lilii; kwiaty łączyły się z sobą cudownie misternym splotem. Maerad wzięła ją niezręcznie, zupełnie zaskoczona. - Noś to na pamiątkę Ardiny - dodała królowa. - Dostałam ją dawno temu od tego, którego kochałam. Twoja przyszłość jest niepewna i nie mogę rzec nic, co by ci pomogło. Jesteś wyjątkowa i niebezpieczna, dlatego też szuka cię zarówno Mrok, jak i Światło. Być może odkryjesz, że twój los nie wiąże się ani z jednym, ani z drugim. Możliwe, iż przekonasz się, że największe niebezpieczeństwo istnieje wewnątrz ciebie samej. Jedno tylko widzę jasno: masz wielkie serce, ale odnajdziesz je wyłącznie poprzez równie wielki ból. Oto mądrość miłości; wątpliwy to dar. Ja jednak zniosłam wiele cierpień i pozostałam

otwarta, niezgorzkniała.

Maerad ponownie popatrzyła w oczy królowej; wydało się jej, że spojrzenie Ardiny przeszywa ją w najwrażliwszym miejscu, zadając ból. A przecież chętnie przyjęła tę radę. Nie mogła długo znieść wzroku królowej, toteż skłoniła głowę, zastanawiając się nad znaczeniem słów Ardiny, którego nie pojmowała.

- Tobie, podróżny i Prawdomówco - Ardina zwróciła się do Cadvana - nie daję nic poza mym błogosławieństwem. Droga twa będzie mroczna, wątpię jednak, byś o tym nie wiedział. I pamiętajmy, że światło rozkwita najjaśniej w najciemniejszych miejscach.

- Błogosławieństwo Ardiny to dar niemały - powiedział Cadvan. - Raz jeszcze dziękuję ci, pani. Słusznie twój lud opiewa cię jako Sok Drzewa Życia!

Ardina uniosła dłoń na pożegnanie, a potem złociste światło zajaśniało wokół niej. Zamrugali i gdy znów spojrzeli, zniknęła.

- Tak właśnie wyglądały dni chwały Dhyllów - rzekł Cadvan po długiej ciszy i westchnął ciężko. - Całe życie będę wdzięczny za to, że pozwolono mi na nie spojrzeć. A jednak radość ta niesie z sobą wielki smutek.

Kiedy wrócili do domu, Maerad zorientowała się, że znów zaczął się jej okres. Przeklęła go w duchu i ruszyła do siebie, by się tym zająć. Dopiero gdy grzebała w pełnej ubrań sakwie, pojęła nagle, że nie czuje skurczów. Przykucnęła, zastanawiając się - czyżby Ardina je złagodziła? Przypomniała sobie przejmujące spojrzenie, które zdawało się równocześnie raną i gojeniem, bezlitosne i pełne współczucia, niczym skalpel chirurga. Tak czy inaczej, bóle minęły i nigdy już nie miały jej doskwierać.

Zastanawiała się też nad tym, co powiedziała jej Ardina. Mimo złowieszczonego tonu słowa te niosły dziwną otuchę. Wydało jej się, że królowa jak nikt inny zrozumiała jej wątpliwości i lęki, a także samotność. I ta jedna chwila zrozumienia ukoїła zamęt i w jakiś sposób sprawiła, że Maerad poczuła się mniej samotna. Zawsze będzie nosić pierścień królowej, tak jak klejnot, który podarowała jej Silvia - jako oznakę miłości.

*

Następnego dnia nie bez żalu zaczęli szykować się do opuszczenia Rachidy. Najwyraźniej mieszkańcy poznali już decyzję Ardiny; wyglądało na to, iż całe miasto wie, że wyjeżdżają, toteż wczesnym rankiem zastali czekające na ganku stopy świeżych zapasów. Wciskano im mnóstwo darów, lecz Cadvan z uśmiechem odmawiał ich przyjęcia, tłumacząc, że mogą wziąć jedynie odrobinę, by nie przeciążyć koni.

Tego wieczoru mimo wielu zaproszeń zostali w domu i wieczorowali samotnie. Czuli niewypowiedzianą potrzebę przygotowania się do czekającej ich podróży. Idris zjawił się z

jadłem i pożegnał z przygnębioną miną. Widząc to, Cadvan podarował mu swoją srebrną broszę, gwiazdę Lirigonu. Chłopak objął ich oboje i odszedł we łzach.

- Nie chcę stąd wyjeżdżać - powiedziała ponuro Maerad, gdy zasiedli do wieczerzy - choć wiem, że musimy.

- Nigdy jeszcze obcy nie przyjęli mnie tak ciepło i serdecznie. - Cadvan nalał im obojgu po kielichu wina. - Odwiedziłem wiele miejsc bardziej majestatycznych niż to, lecz żadne nie dorównało czarowi Rachidy. Oto kolejne zagrożone piękno. Pomyśl o tym, co już uczyniła Ardina, by ochronić swój lud; wątpię jednak, aby zdołali jeszcze długo zachować swą izolację, nawet jeśli pojną każdego podróżnego, który zapuści się w te lasy. - Melancholijnie grzebał w talerzu. - Już i tak lękamy się o losy zbyt wielu.

Następnego ranka zbudzili się wcześniej i ubrali w podróżne stroje. Wkrótce potem spotkali przewodników, którymi okazali się wcześniejsi strażnicy, Imund i Penar.

- Skoro przywiedliśmy was tutaj, przypadł nam obowiązek waszego uwolnienia - oznajmił Penar, obejmując ich z uśmiechem.

Poprowadzili konie przez miasto, niechętnie stawiając każdy krok. Maerad rozglądała się zachłannie, marząc o tym, by całe to piękno na zawsze odcisnęło się w jej pamięci. Przed nimi leżała nieskalana Rachida, wciąż wilgotna od porannej rosy. A gdy na ulicach rozległ się stukot końskich kopyt, wokół otwarły się okna, ludzie do nich machali, a jasnowłose dzieci wybiegły, by po raz ostatni poczęstować zwierzęta łąkociami, po czym towarzyszyły im, śmiejąc się i krzycząc, zupełnie jakby ich odjazd stanowił okazję do zabawy.

Powoli wspięli się na zachodnie zbocze doliny, pozostawiając za sobą domy. Już na górze Maerad odwróciła się, by spojrzeć po raz ostatni, nim na zawsze opuści Rachidę. Promienie wschodzącego słońca muskały dachy, które lśniły niczym kute srebro, światło miodową mgiełką opadało łagodnie na ulice i ogrody, podkreślając jasne barwy drzew, kwiatów i domów, tak że zdawały się świeże, nieskażone. A jednak już teraz miała wrażenie, że między nią a Rachidę opadła migotliwa zasłona i że nawet z tej odległości miasto pozostało już tylko w pamięci, jako złociste marzenie o nieosiągalnym pięknie.

CZEŚĆ CZWARTA

NORLOCH

Rośnie Lilia z krzaku Róży
Rośnie Róża z piennej Fali,
Trójjęzyczny Ogień burzy
Edil-Amarandh ocali

Falsz i prawda wraz w Płomieniu
Co wśród czarnej Nocy płonie
Prawda i fałsz wraz w Imieniu
Co dojrzewa w Światła łonie

Gdzie na Pianie Róży korzeń?
Czy bez pędu Lilia tonie?
Kto przywrócić Pieśń nam może?
Gdzież jest Harfa? Z czyjej Dłoni?

Z Kantyczek Pela z Norlochu

XVII

VALVERRAS

Podążali ścieżką wiodącą na zachód, przemierzając nieśpiesznie kwitnące łąki, drzemiące pod rozłożystymi gałęziami drzew. Słońce świeciło ciepło i Maerad pomyślała, że niedługo nastanie lato. Obawa przed niebezpieczeństwami grożącymi podczas podróży, zapomniana pośród błogiego spokoju Rachidy, powróciła, nękając jej umysł. Po raz pierwszy od wielu dni przyśnili jej się ścigający ją Próżni.

Według Imunda znajdowali się już niedaleko granicy królestwa. Prowadził ich do rzeki, którą zwali Cir; Cadvan był pewien, że to struga znana mu jako Cirion. Rzeka rozdzielała się na północy na dwa strumienie: Cir i Ciri, które ponownie łączyły się na południu. Strumienie obejmowały ramionami wielką wyspę w kształcie liścia, której sercem była Rachida, i wyznaczały granice królestwa, choć rachidiańskie patrole zapuszczały się na południe aż po Usk. Kiedy dotrą do Ciru, przewodnicy ich opuszczą. Jeśli podążą wzdłuż niego na południe, w końcu ujrzą miejsce, gdzie wpada do Usku, który zasilony jego wodami przecina puszcze, wynurzając się w końcu na równinach zachodniego Annaru. Stamtąd pozostanie im osiemdziesiąt staj na południe, do Norlochu.

Później tego samego dnia dotarli do rzeki, rwącej bystro między stromymi brzegami w serii niewielkich kaskad. Przewodnicy udzielili im ostatnich rad i ostrzeżeń przed tym, na co mogą się natknąć po drugiej stronie: pajakami ptasznikami, wielkimi jak dwie pięści, olbrzymimi pijawkami, dzikimi kotami i innymi niebezpiecznymi stworami. W tej części puszczy nie znano natomiast łąków ani goromantów.

- Jest stara ścieżka biegnąca brzegiem Ciru. Po dniu marszu dociera do Ciri, a po kolejnych trzech do Usku - oznajmił Penar. - Pamiętajcie, aby pozostać na tym brzegu Ciru, później bowiem staje się głęboki i nie da się przez niego przepawić. Ścieżka unika większości zagrożeń, lecz gdy dotrzecie do Usku, znajdziecie się poza zasięgiem naszej wiedzy. Obecnie nie zapuszczamy się poza Cir. Możliwe, że teraz mieszkają tam łąki. Będziecie musieli zachować czujność.

Przewodnicy pożegnali się z nimi, unosząc wysoko ręce w geście pozdrowienia, a potem zawrócili i zdumiewająco szybko zniknęli wśród drzew. Maerad i Cadvan jakiś czas

stali, odprowadzając ich wzrokiem, potem z westchnieniem ruszyli na zachód. Po raz pierwszy od wielu dni dosiedli Darsora i Imi i spokojnie przeprawili się przez rzekę. Po drugiej stronie światło, choć nadal jasne, zdawało się jakby wyblakłe. To ono przede wszystkim świadczyło o tym, że opuścili bezpieczne schronienie miasta Ardiny i znów samotnie wyruszyli w świat.

Po paru godzinach dotarli do miejsca, gdzie łączyły się oba strumienie. Dalej nurt zagłębiał się pomiędzy stromymi brzegami i od tego miejsca droga stała się trudniejsza. Chwilami ścieżka niemal całkowicie zniknęła i podążali wzdłuż rzeki z nadzieją, że dalej znajdą wyraźniejszy trakt. W końcu między drzewami pojawił się jego cień, tylko po to, by znów zniknąć. Mimo wszystko jechali całkiem szybko: zarówno Maerad, jak i Cadvan czuli, że muszą się śpieszyć, i popędzali konie.

Po trzech dniach jazdy bez przeszkód dotarli do Usku, który łączył się z Cirionem i odtąd rwał bystro między skalistymi brzegami, często natrafiając na kolejne kaskady, które pokonywał z donośnym rykiem. Ścieżka nadal wiodła pośród drzew, musieli jednak zwolnić. Gdyby nie niepokój dręczący Maerad, podróż upływałaby niezwykle spokojnie: w puszczy czuli się zupełnie oderwani od wszelkich ludzkich spraw. Nie dostrzegli ani śladu pajaków ptaszników, dzikich kotów ani goromantów, nocami słyszeli jedynie żaby, świerszcze i szelest małych żyjatek. Las wydawał się opuszczony i pusty, nieco ponury: drzewa porastała gruba warstwa mchów i pnączy, zwieszających się z gałęzi i jeszcze bardziej przesłaniających światło. Nawet dźwięki rozbrzmiewały stłumione: końskie kopyta uderzały głucho o gnijące liście, a ich głosy milkły szybko w wilgotnym powietrzu. Przepływali wśród drzew niczym duchy.

Maerad spojrzała z powagą na szumiącą obok rzekę.

- Jak sądzisz, kiedy wydostaniemy się z puszczy? - spytała.

- Myślę, że za parę dni - odparł Cadvan. - Mam wrażenie, że las zaczyna się przerzedzać.

Na te słowa dziewczyna rozpromieniła się: niekończące się drzewa zaczynały ją nużyć. Jak przewidział Cadvan, późnym popołudniem piątego dnia po rozstaniu z Imudem i Penarem, nie zetknąwszy się z niczym groźniejszym od leśnych pajaków, dotarli do zachodniej granicy Calicideru.

Puszcza nie miała wyraźnego końca: drzewa po prostu rosły coraz rzadziej i rzadziej, aż w końcu zupełnie zniknęły. Maerad i Cadvan wyjrzel na rozległe równiny opadające ku horyzontowi, pokryte licznymi pagórkami, zagłębieniami i skalnymi wzniesieniami, od czasu do czasu tworzącymi wysokie wzgórza rzucające ku nim długie cienie. Niebo wydawało się

olbrzymie. Nad horyzontem wisiały leniwe strzępy różowych i fioletowych chmur, przesłaniające zachodzące słońce, którego długie promienie barwiły twarze podróżników czerwienią. Usk nadal płynął po lewej, pomiędzy granitowymi głazami wyglądającymi, jakby w pradawnych czasach rzucili je tu olbrzymi, porośniętymi plamami barwnych porostów i puszystych mchów. Nie dostrzegli żadnych śladów ludzkich osad. Na swój sposób kraina ta była równie pusta i ponura jak ta, którą opuścili. Maerad poczuła się nagle bezbronna, odsłonięta w świetle i przestrzeni.

- Za każdym razem, kiedy jestem w lesie - rzekła do Cadvana, zatrzymując się obok niego - nie mogę się doczekać chwili, gdy go opuszczę. A potem, kiedy tak się dzieje, pragnę jedynie wrócić między drzewa! Mam wrażenie, jakby wszystko mnie śledziło. - Mrużąc oczy, spojrzała w niebo. - Nawet chmury.

- Dotarliśmy na pustkowia Valverras - oznajmił Cadvan. - Istotnie, też się tak tu czuję. O tym miejscu krążą dziwne opowieści.

Maerad spojrzała na ponury krajobraz i zadrzała.

- Nie powtarzaj mi ich - poprosiła. - Na pewno są okropne.

Valverras, jak wyjaśnił Cadvan, to rozległe pustkowia, ciągnące się między lasem a wybrzeżem, w pobliżu morza przechodzące w labirynt bagnisk i mokradeł. Rozdzielały na pół tę część Północnego Annaru. Gdyby teraz skierowali się dalej na północ, po jakichś stu stajach natknęliby się na rzekę Lir, wokół której skupiały się wioski i miasta Lirhanu. Bliżej na południe płynęła rzeka Aldern, o równie gęsto zaludnionych brzegach. Norloch leżał niemal dokładnie na południe, około osiemdziesięciu staj w linii prostej. Przed sobą mieli królestwo Ileadh - ojczyznę Dernhila - które zajmuje wielki półwysep na zachodzie; nieco na północ od niego leżał Culain.

- Gdybyśmy nie musieli się tak spieszyć, miło byłoby odwiedzić tutejsze szkoły - rzekł Cadvan, patrząc z końskiego grzbietu na pustkowia. - Culoir w Culainie i Gent w Ileadh są równie piękne jak Innail, to szlachetne ośrodki Światła, choć różniące się od siebie tak jak wszystkie szkoły; myślę, że spodobałyby ci się. Potem moglibyśmy popłynąć łódką z Gentu na wyspę Thorold, a tam odwiedzić targi jedwabiu w Bus i pospacerować po sosnowych lasach na górskich zboczach - niepodobnych do żadnych innych - napawając się ich swobodą i ciszą. A potem może uprosilibyśmy kapitana, aby wziął nas na pokład jednego ze szlachetnych annarskich okrętów, i pożeglowali do zatoki Mithrad, przybywając o świcie, by móc ujrzeć z nabrzeża promienie wschodzącego słońca, padające na białe wieże Norlochu. To jeden z najwspanialszych widoków w Annarze - nieważne, jak wiele razy go widzę, zawsze zapiera mi dech w piersiach. Norloch wyrasta wprost ze stromych urwisk rzędami coraz

węższych murów, aż do najwyższej ze wszystkich wież, Machelinoru, Wieży Żywego Płomienia. Jej wierzchołek jest pełen gracji, jak czubek drzewa, i pokryty złotem i kryształem tak, że słońce odbija się w nim niczym ogień.

Przez chwilę milczał, Maerad przyglądała mu się. Oczy Cadvana spoglądały w dal, jakby dostrzegał odległe krainy.

- A co potem? - spytała.

- Co potem? - Spojrzał na nią z uśmiechem i nagle powrócił do rzeczywistości. - Najpierw musimy zrobić to, co trzeba, w Norlochu. To nasze zadanie. Wierzę, że na szali spoczywa los Annaru i Siedmiu Królestw, a ty możesz ją przeważyć. Ale póki nie zostaniesz mianowana pełnoprawną bardką, nie zyskamy pewności. No i jak cię mianować? To pierwszy krok i pierwsza zagadka. Kto wie, co będzie dalej?

Istotnie, kto? - pomyślała Maerad. A co, jeśli nie jest tą, za którą ma ją Cadvan? Czy to będzie koniec jej nauki? Co wówczas pocnie? Cadvan jednak mówił dalej.

- Być może, jeśli los okaże się dla nas łaskawy, po wszystkim będziemy mogli nieśpiesznie wyprawić się do Lanorialu przyjemnymi gośćmi. Tam pokażę ci ogrody Il Arumedh, posadzone na tarasach tak, że opadają kaskadami w dół górskiego zbocza, które mieni się wielkimi plamami kolorów. To jeden z cudów tego świata. Wiosną ich zapach uderza do głowy równie mocno jak wino - westchnął. - Mam w tych miejscach wielu przyjaciół, których zbyt długo zaniedbywałem. Zawsze posyłało mnie coraz dalej i dalej i musiałem podróżować mrocznymi drogami, miast rozkoszować się pięknem świata.

W jego głosie zadźwięczała tęsknota, której Maerad wcześniej nie słyszała. Nie odpowiedziała, zastanawiając się z nowym ukłuciem zazdrości, za kim tak bardzo tęsknił. Jakiś czas stali w milczeniu, pozwalając koniom skubać trawę. W końcu Cadvan znów westchnął.

- Sądzę jednak, że o ile nie zawodzi mnie zdolność przewidywania, nie tam się skierujemy - powiedział nieco szorstko. - Nasza droga będzie bardziej niebezpieczna. Być może któregoś odległego ranka, jeszcze niewidzialnego poza cieniami świata, zapuścimy się tam i będziemy wędrować wśród pachnących ogrodów Manunerilu i Har. Cóż - chwycił w dłoń lejce - pojedźmy poszukać jakiegoś miejsca na nocleg. Jutro zastanowimy się, jak się przeprawić przez Usk. Jakieś czterdzieści staj stąd biegnie bardowski gościniec, jest tam też bród; potem trakt okrąży moczary i rozwidła się; jedna odnoga wiedzie do Lirigonu, a druga do Culoru; Gościniec Południowy prowadzi wprost do Norlochu. Wolałbym jednak nie zbaczać tak daleko z naszej drogi i jeśli się uda, unikać ubitych gościńców.

Następnego dnia podążyli na zachód brzegiem Usku, szukając przeprawy. Rzeka rwała zbyt szybko i była za głęboka, by ryzykować próbę przepłynięcia; w niektórych miejscach brzegi wznosiły się zbyt stromo, by choćby próbować z nich zejść. Maerad nie podobało się w Valverras, otaczające ją ponure pustkowia działały przygnębiająco. Nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że ktoś ich obserwuje, choć ani ona, ani Cadvan nie dostrzegli nawet śladu żywych stworzeń, poza pustułkami krążącymi wysoko na niebie i spłoszonymi królikami, umykającymi w dali.

Późnym rankiem Imi nastąpiła na kamień, który wbił jej się w kopyto, i okulała. Maerad zaklęła, zeskoczyła z siodła i uniosła nogę klaczy, by się jej przyjrzeć. Swym małym sztyletem wydłubała kamień, ale pozostała po nim ranka i Imi wciąż kulała, Maerad zaś wolała jej nie poganiać, by nie pogorszyć sytuacji. Gdy dotarli do miejsca, w którym brzegi opadały nieco łagodniej, zatrzymali się na popas. Cadvan opatrzył kopyto Imi, łagodząc ból, a potem Maerad zanurzyła je w rwącej wodzie. Mimo to klacz nadal kulała i Maerad zaczęła się martwić, że Imi zrobiła sobie poważną krzywdę. Kulawy koń bardzo by ich spowolnił, a stracili już ponad trzy tygodnie w Wielkiej Puszczy. Dręcząca Maerad niecierpliwość przewyższała nawet tę Cadvana; złościło ją każde opóźnienie, kipiała irytacją, podczas gdy Cadvan z niewzruszonym spokojem przyjmował wszystkie przeszkody. Jego pogoda jeszcze bardziej drażniła Maerad. A potem, późnym popołudniem, zaczęło mżyć. Przebyli jeszcze kawałek, lecz wkrótce zrobiło się zbyt ciemno. Rozbili obóz w cieniu granitowej iglicy, wciąż po niewłaściwej stronie rzeki; do tej pory Maerad kipiała już zduszoną wściekłością.

- Jak długo jeszcze będziemy wałęsać się niczym psy w głuszy? - wymamrotała, przełykając jęczmienną polewkę. - Mam już tego dosyć. I Imi także. Musi odpocząć.

- Póki nie dotrzemy do celu - odparł Cadvan. - Co w sprzyjających okolicznościach nie powinno potrwać zbyt długo. - Wyciągnął długie nogi, przyglądając się Maerad z pogodnym rozbawieniem. - Mieliśmy wielkie szczęście, że zdołaliśmy się przeprawić przez Wielką Puszczę cało i zdrowo. Choć zgadzam się, z czasem głusza traci swój urok.

- Urok nie jest słowem, którego bym użyła - odparła Maerad. - Żałuję, że nie zostałam w Rachidzie. Nie żeby na końcu podróży czekał na mnie jakiś dom. Równie dobrze mogłam zamieszkać tam.

- Nie, teraz możemy już tylko iść naprzód. - Cadvan pochylił się, patrząc na nią uważnie. - Wiesz, że musimy dotrzeć do Norlochu.

- Ale nie chcę - dąsała się Maerad. - Nigdzie nie chcę jechać.

- Miałaś już wybór - powiedział łagodnie Cadvan. - Gdybyś zechciała zostać w Innailu bądź w Rachidzie, nie powstrzymałbym cię. Nie mógłbym. Podobnie jak ja, słuchałaś swego

wewnętrznego głosu. Wiedziałaś, że stawką jest nie tylko twój los, ale też wielu innych. Pomyśl o swoim śnie. A może o nim zapomniałaś?

- Też mi wybór. - Maerad z irytacją wyskubywała kępki trawy i rzucała je na ziemię. Jej brwi ściągnęły się gniewnie, tworząc prostą linię.

- Wiesz, że to prawda.

- Co to za różnica być pionkiem Światła czy pionkiem Mroku?

Zapadła cisza.

- Różnica jest ogromna - oznajmił miękko Cadvan. - Choćby taka, że dla Mroku istotnie jesteś tylko pionkiem, dla Światła natomiast wolną ludzką istotą. Możesz sama popełniać błędy, a nawet podejmować niewłaściwe decyzje. Możesz wybierać, choć trudno ci w to uwierzyć.

- Niezła mi wolność.

- To różnica między oddaniem a niewolą - wyjaśnił Cadvan. - Pomiędzy dążeniem do tego, na co liczysz i w co wierzysz w głębi serca, i czymś, do czego zmuszają cię inni.

Maerad, która była już niewolnicą i wiedziała, że jej obecne życie, choć trudne, wygląda zupełnie inaczej, nie znalazła odpowiedzi. Nie wiedziała, czemu próbuje pokłócić się z Cadvanem, ale on wyraźnie nie zamierzał się na nią złościć, po chwili zatem umilkła, wbijając wzrok w ogień. Siedziała naburmuszona tuż poza kręgiem światła, czubkiem buta kopiąc kępkę trawy. A potem, ponieważ to Cadvanowi przypadła pierwsza warta, skuliła się pod kocem i zaskakująco szybko zasnęła.

*

Następny dzień okazał się równie bezowocny, choć pogoda zaczęła się poprawiać i przynajmniej poczuli na twarzach ciepłe promienie słońca. Imi nie kulała już tak mocno, ale wędrowali ostrożnie, w obawie że wysiłek opóźni gojenie się rany. Po jakimś czasie Maerad zapomniała o wcześniejszym ponurym nastroju, zatopiona w rytmie jazdy, lecz wrażenie, że są obserwowani, nie ustępowało. Nie wspomniała o nim Cadvanowi, ale często czuła mrowienie na karku, jakby ktoś krył się za jej plecami; wówczas obracała szybko głowę i niczego nie widziała. Zaczęła już sądzić, że kamienie igrają z nimi, zamieniając się w skalne potwory, które ją ścigają, tylko po to, by kiedy spojrzy na nie, stać się niewinnymi głazami. Dopiero trzeciego dnia zdołali przeprawić się przez Usk i w końcu mogli skręcić na południe.

*

I tak zaczęła się ciężka wędrówka przez Valverras. Cadvan prowadził, kierując się słońcem i gwiazdami; na ich oczach sierp księżycy stawał się coraz węższy i węższy, aż w końcu zamienił się w rąbek i zniknął, po czym znów powrócił. Dni stawały się coraz cieplejsze, choć

zdarzało się, że niebo zasnuwały chmury i do trudów wędrówki dołączała ulewa. Każdego dnia Imi kulała coraz mniej, ale nie sprawiało to wcale, że poruszali się szybciej. Mogli pokonać najwyżej dziesięć mil dziennie, a od rzeki Aldern dzieliło ich ponad trzydzieści staj. Teren uniemożliwiał szybką jazdę: grunt był nierówny, zasłany skalnymi odłamkami, pełen zdradzieckich dziur, które mogły uwięzić czy nawet złamać nieostrożną końską nogę. Wśród mizernej trawy rosły gęste osty i łopiany, wszędzie wokół widzieli też pnącza o szarawych liściach, cuchnące nieświeżą rybą. Kiedy się zatrzymywali, smród gęstniał, wypełniając im gardła, a jeśli obozowali w pobliżu, nie mogli pozbyć się woni ze swych ubrań. Często natrafiali na niewielkie kotlinki, w których zbierała się mulista woda, i obozowali wśród bagiennych roślin. Czasami nocą Maerad widywała w oddali dziwne światelka, niesamowite błękitne iskierki, które migotały i znikwały tylko po to, by kusząco rozbłysnąć ponownie, znacznie bliżej ich obozowiska.

- Ogniki bagienne - wyjaśnił Cadvan. - Nie zwracaj na nie uwagi. I nigdy za nimi nie podążaj!

- Czemu? - spytała ciekawie, obserwując je. Ich widok zdawał się niemal hipnotyzować.

- Zaprowadzą cię wprost na bagna. Albo w jeszcze gorsze miejsce. W tych okolicach znajdziesz wiele kurhanów, grobowców pradawnych ludów, i nie wszystkie są puste.

Valverras niszczył duszę w inny sposób niż Moczarowiska - pomyślała Maerad. Na moczarach wyczuwała rozpacz, niekończący się lament. Valverras wydawał się dziwnie wrogi i choć nigdy nie dostrzegła niczego złowieszczonego, im dłużej podróżowali, tym bardziej stawała się nerwowa. Szyja zaczynała ją boleć od nieustannego oglądania się przez ramię.

Cadvan znów zaczął udzielać jej nauk, także po to, by zająć czymś myśli, choć nie wyciągali instrumentów; zalegająca na pustkowiach nieprzyjazna cisza zdawała się odpychać muzykę. Zaczął też ją uczyć władania mieczem. Maerad odkryła, że jest mniej surowym nauczycielem niż Indik. Cadvan chwalił ją, mówiąc, że uczy się pilnie, ma szybki refleks, a jej celność i umiejętności rosną wraz z pewnością siebie. W końcu pewnego dnia, ku uciesze nauczyciela, zdołała go rozbroić.

- Nie walczysz elegancko, jesteś jednak szybka i bardzo silna jak na swój wzrost - oznajmił, dysząc ciężko i podnosząc miecz. - W starciu to da ci szansę. Może więcej niż szansę. Najważniejsze jednak, byś nie przeceniała swoich zdolności.

- I nie bała się uciec - dokończyła Maerad z uśmiechem.

- Zawsze rozsądniej jest nie walczyć, jeśli nie ma takiej potrzeby - przytaknął Cadvan.

- Ale gdybyś musiała walczyć, powinnaś umieć się bronić. Jeszcze zrobimy z ciebie wojowniczkę! A teraz zaczynamy.

*

W ten sposób podróżowali jakiś tydzień, aż pewnego dnia na horyzoncie przed sobą ujrzeli smużkę dymu. Widok ten zaskoczył Cadvana.

- O ile nie myłę się poważnie w swoich obliczeniach, od Aldernu wciąż dzielą nas co najmniej dwa dni drogi. Nie znam żadnych osad na tym brzegu rzeki, a nie jest jeszcze dość sucho, by doszło do pożarów łąk, które czasami zdarzają się w tych okolicach.

- Może ktoś inny podróżuje przez pustkowia, podobnie jak my? - podsunęła Maerad.

- Może - mruknął Cadvan.

Zboczył lekko na wschód i tej nocy nie pozwolił rozpalić ogniska. Na zmianę pełnili straż. Następnego dnia ponownie zobaczyli dym w porze posiłku, nieco bliżej, a gdy zapadł zmierzch, słup dymu wzbił się w niebo po ich prawej stronie, najwyżej trzy mile dalej.

- Ktokolwiek to jest, nie ukrywa się - zauważyła Maerad.

- Każdy, kto znalazł się na tych pustkowiach, się ukrywa - nie zgodził się Cadvan. - Dlaczego tu niby jesteśmy? Bez wątpienia sądzą, że nie ma nikogo, kto mógłby ich zauważyć.

Tej nocy rozbili obóz w głębokiej dolince, pod osłoną dwóch wielkich głazów, które chyliły się ku sobie pod ostrym kątem, tworząc naturalny dach. Maerad pełniła pierwszą wartę. Usiadła na skraju kotlinki, spoglądając na milczące wzgórza i płonące nad nimi gwiazdy. Była bardzo zmęczona, ale przywykła już do zmagania ze znużeniem; aby zabić czas, posłała myśli ponad pustkowia, zastanawiając się, czy zdoła usłyszeć głosy innych wędrowców. Niczego nie usłyszała. Nad Valverras zalegała przejmująca cisza, zakłócana jedynie szumem wiatru w trawie i jego świstem wśród kamieni. Maerad poczuła jednak, że zaczyna ją ogarniać nieokreślona groza. Poruszyła się niespokojnie, twarda ziemia zrobiła się bardzo zimna, na trawę opadła rosa, a jej nogi zdrętwiały i zeszywniały.

Trzy godziny po zachodzie słońca na niebie zapłonął półksiężyc, rzucając na ziemię lodowaty blask. Maerad myślała właśnie, że czas już obudzić Cadvana, kiedy coś usłyszała. Natychmiast wyostrzyła myśli i posłała je w ślad za owym dźwiękiem. Ledwie różnił się od wiatru, zdawało jej się jednak, że słyszy głosy krzyczących mężczyzn i może też płacz dziecka. Stopniowo dźwięki stawały się głośniejsze. Słuchała, niezdolna nawet drgnąć, z włoskami zjeżonymi na skórze. A potem usłyszała krzyk (Krzyk kobiety - pomyślała) oraz cichy szczepek metalu i kolejne krzyki.

Nagle Maerad poczuła, że się dusi, jakby tkwiła zamknięta w ciasnej przestrzeni, w trumnie, świat przed jej oczami pociemniał. Ogarnęła ją niepojęta zgroza, jak gdyby coś

bezpośrednio groziło jej życiu, coś złowieszczonego, szukającego jej na wyciągnięcie ręki... A pod grozą kryło się jeszcze inne uczucie, znacznie trudniejsze do określenia: połączenie rozpacz, tęsknoty i przejmującej czułości, wzbierające w najgłębszych pokładach jej pamięci.

Krzyk stawał się coraz wyższy i wyższy, a potem urwał się i zapadła cisza. Maerad odkryła, że kuli się, zasłaniając rękami oczy. Serce waliło jej w piersi. Usiadła, dysząc ciężko i próbując nad sobą zapanować. Stopniowo wzrok powrócił, przekonała się, że spogląda w jasne, beznamietne gwiazdy, płonące nad pustą, skalistą równiną. Przerazona nasłuchiwała kilka minut, próbując wychwycić jakikolwiek dźwięk świadczący o tym, co się wydarzyło, lecz cisza zdawała się jeszcze głębsza niż poprzednio.

Obudziła Cadvana i powiedziała mu, co usłyszała. Natychmiast przyłożył ucho do ziemi; leżał tam tak długo, iż sądziła już, że znów zasnął, w końcu jednak wstał.

- Słyszałem konie - oznajmił. - Całkiem sporo, osiem, może dziesięć, jakieś pięć mil stąd. Oddalają się od nas. Nie śpieszy im się. Nie słyszałem nic więcej.

- Ale co się stało?

- Nie wiem - powiedział Cadvan. - Możemy być pewni, że nic dobrego.

Maerad poczuła nagłą falę zmęczenia i uświadomiła sobie, że cała dygocze. W jej umyśle wciąż dźwięczały echa grozy owego krzyku. Cadvan przyjrzał się jej uważnie.

- Na razie idź spać, Maerad. Tak czy inaczej, do rana nic nie zdziałamy.

Potyając się, zeszła na dno kotlinki i położyła się, wbijając wzrok w wiszący nad nią kamienny dach. Wąski promień księżyca połyskiwał srebrzyście na skałach na skraju dolinki, poza tym jednak wszystko spowijała czerń. Po jakimś czasie Maerad zapadła w niespokojny sen, nękana dziwnymi, nieskładnymi koszmarami.

Otworzyła oczy o wschodzie słońca. Cadvan nie obudził jej na trzecią wartę, pozwalając przespać resztę nocy. Usiadła w pełni przytomna i zobaczyła, jak Cadvan parę stóp dalej szykuje śniadanie. Konie dreptały sennie w dolince, skubiąc mizerną trawę, ich oddechy parowały w porannym powietrzu.

- Cadwanie, co teraz zrobimy? - spytała, podchodząc do niego.

- Zrobimy? - powtórzył. - To znaczy?

- Musimy się dowiedzieć, co zaszło. Ci, ci ludzie... Ktoś został ranny.

- Rano nie widziałem ognia. I myślę, że już nie zobaczę. Przez całą noc nic więcej nie słyszałem.

W milczeniu jedli śniadanie, zatopieni w myślach.

- Musimy zobaczyć, czy zdołamy cokolwiek zrobić - oznajmiła w końcu Maerad. -

Może moglibyśmy pomóc?

Cadvan, mrużąc oczy, spojrział w niebo.

- Nie sądzę - powiedział. - Stracilibyśmy co najmniej połowę ranka, nim odszukalibyśmy obóz. I nic nie wiemy o tych ludziach ani dlaczego ich zaatakowano. Możliwe, że pokłócili się między sobą. Być może - według mnie to najbardziej prawdopodobne - to obóz bandytów, a w takim razie wmaszerowalibyśmy wprost do gniazda szerszeni. Nie możemy sobie pozwolić na nowe kłopoty.

- Może i nie - rzuciła buntowniczo Maerad - ale nadal musimy to sprawdzić. Może ktoś wciąż tam jest? Może jest ranny?

Zadrżała, przypominając sobie poprzednią noc. Nie potrafiła wytłumaczyć Cadvanowi, dlaczego musi odnaleźć ów obóz, po prostu wiedziała z żelazną pewnością. Jakieś echo owej niezwyklej tęsknoty, którą poczuła w samym sercu przerażenia, wciąż dźwięczało w niej niczym odgłos dzwonu: tyle że dzwonu, który miał stopniowo cichnąć, rozbrzmiewał coraz głośniejsze i głośniejsze, aż w końcu zagłuszył wszelkie inne dźwięki.

- Mówiłem ci już, całą noc nic więcej nie słyszałem. Myślę, że wszyscy żywi już dawno odeszli. W promieniu wielu mil nie słyhać żadnych kroków ani uderzeń kopyt.

- Tym bardziej warto sprawdzić - upierała się Maerad. - Jeśli nikogo tam nie ma, niczym nie ryzykujemy.

Cadvan zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

- Nadal mówię, że tego nie zrobimy. Niebezpieczeństwo jest zbyt duże, Maerad.

- Słyszałam krzyk kobiety.

- Sądzę, że w promieniu wielu mil od nas nie ma nikogo żywego - powtórzył Cadvan.

- A gdyby nawet, co moglibyśmy zrobić? Przywiązać tę osobę do juków? Maerad, mówię ci, nie możemy tego zrobić, nic to nie da, a może bardzo zaszkodzić.

- A ja powtarzam, że musimy - Maerad przykucnęła na ziemi, przeżuując twardego suchara. - Co takiego powiedziałaś, kiedy uleczyłaś tamtego chorego chłopca? „Czasami musimy dokonać trudnego wyboru i nasz wybór może zakończyć się źle, ale i tak jest konieczny”. To właśnie teraz czuję.

Cadvan niecierpliwie wypuścił powietrze.

- Maerad, rozumiem, co czujesz. Ale nie mogę pozwolić na takie ryzyko. Jest zbyt wielkie.

- Jakie ryzyko? - Spojrzała na niego przeciągle, a on spuścił wzrok, z początku nie udzielając odpowiedzi.

- Maerad, powietrze tu jest gęste od zła. Nie pomyślałaś, że duchy mogły cię oszukać,

sprawić, że usłyszałaś coś, co się nie wydarzyło, aby wciągnąć cię w pułapkę?

- To było prawdziwe. - Maerad wiedziała to z absolutną pewnością.

- Nadal jednak odradzam. Wyczuwam w tym wielkie niebezpieczeństwo.

Maerad wstała.

- W takim razie pojedę sama - oznajmiła.

- Nie pojedziesz. - Cadvan także wstał, na jego twarzy dostrzegła rzadki u niego gniew. - Zrozum mnie dobrze, Maerad. Jeśli będę musiał przywiązać cię do Imi, to to zrobię.

- W takim razie będziesz musiał zawlec mnie krzyczącą aż do Norlochu. - Maerad straciła cierpliwość, lecz jej głos brzmiał cicho, niebezpiecznie. - A ja nigdy, przenigdy ci nie wybaczę. Cała ta gadanina o wyborze. To tylko słowa, nic więcej. Robimy to, co ty każesz, wtedy, kiedy chcesz. Teraz mówię ci, czego ja chcę, i nie obchodzi mnie, co powiesz, bo się mylisz.

Zaczęła siodłać Imi rękami drżącymi z wściekłości, łzy oślepiły ją tak bardzo, że ledwie dostrzegała sprzączki. Cadvan obserwował ją, stojąc bez ruchu.

- Maerad - powiedział.

Milczała, odwrócona do niego plecami.

- Maerad, przepraszam. Nadal to odradzam; odczuwam wielki lęk. Ale myliłem się, sprzeciwiając się głosowi twojego serca. Pojadę z tobą. Mówię tylko, że nie możemy szukać dłużej niż jeden dzień. W głębi serca czuję, że straciliśmy ich już zbyt wiele. Kończy nam się czas.

Maerad przerwała na chwilę pracę i skinęła głową, po czym znów wróciła do siodłania Imi. Wciąż nie była w stanie mówić, choć atak wściekłości minął. Teraz czuła się jedynie bardzo zmęczona i przygaszona. Nie wiedziała, skąd wziął się przymus zbadania słyszanego nocą dźwięku, ale nie potrafiła się od niego uwolnić.

Razem dosiedli koni i rozpoczęli powolną jazdę w stronę, z której wczoraj dostrzegli słup dymu. Nie mieli niczego prócz własnych wspomnień, nawet najmniejszych wskazówek. Po paru godzinach Maerad uznała, że nie mają szans odnaleźć niewielkiego obozu na tych pustkowiach; z łatwością mogli go minąć, nie zauważyć ukrytego w jednej z licznych dolinek, i mogli tak krążyć w kółko godzinami, szukając bezowocnie w niewłaściwej okolicy. Dręczył ją coraz większy niepokój, wzdygała się na każdy dźwięk, zarażając swą nerwowością Imi, zacisnęła jednak zęby i szukała dalej. Cadvan cały czas milczał.

Już miała się poddać, kiedy jej towarzysz zawołał coś, wskazując ręką. Obejrzała się przez ramię w lewo i zobaczyła stojące kilkaset jardów dalej dwa wozy z surowego drewna, stojące pod osłoną jednej z wysokich skałek. Jeden się przewrócił, drugi był przechylony. Nie

dostrzegła żadnych oznak życia. Zawrócili i powoli ruszyli w ich stronę. Maerad poczuła nagłą, niespodziewaną niechęć.

Niewątpliwie był to obóz. Pomiędzy wozami ujrzeli pozostałości ogniska, ziemia pod popiołem wciąż była ciepła, wokół leżały rozrzucone i potrząskane osmalone garnki. A potem Cadvan zapuścił się za wystającą z ziemi skałę i wrócił szybko z ponurą miną.

- Są tam - powiedział. - Na twoim miejscu bym tam nie szedł.

Maerad głośno przełknęła ślinę, a potem z nagłą determinacją powoli okrążyła skalny występ. Musiała zobaczyć sama. Cadvan jej nie zatrzymywał.

Widok uderzył ją niczym cios w brzuch. Nawet brutalność życia w Gilmanowym Siole nie przygotowała jej na podobną przemoc. Zaczęła się krztusić, zrana nagłym zimnym potem. Było ich czworo: dwaj mężczyźni, kobieta i małe dziecko. Zawleczono ich i porzucono w tym miejscu, wszystkich twarzą ku niebu. Byli potwornie okaleczeni, wokół ciał już zaczynały zbierać się muchy. Maerad szybko odwróciła twarz i odeszła.

W milczeniu rozejrzeli się po obozie.

- Może powinniśmy zajrzeć do wozów - zaproponowała łamiącym się głosem.

Wewnątrz wozy okazały się dokładnie splądrowane. Nie weszli do przewróconego, jedynie zajrzeli do środka. Wszędzie wałały się narzędzia i dobytek właścicieli, na podłodze ujrzeli porozbijane butelki oleju, rozrzucone ziarno i marynaty. W głębi wozu mieściły się wąskie prycze; napastnicy rozpruli sienniki, wyrzucając na ziemię końskie włosy i siano, którymi były wypchane. Kiedyś wozy były przytulne i ciepłe, obwieszane kolorowymi tkaninami, teraz podartymi i brudnymi, ozdobione rzeźbionymi ręcznie bibelotami i drewnianymi zabawkami. Maerad podniosła kotka z czarnego drewna i przytrzymała na dłoni.

- Kto mógłby zrobić coś takiego? - spytała.

- Nie wiem - odparł ciężko Cadvan. - Nigdy tego nie zrozumiem. Nigdy nie pojmowałem.

Nagle Maerad ujrzała w głowie obraz Próżnych, o oczach połyskujących złowieszczą czerwienią.

- Myślisz, że to... Próżni?

- Próżni napawają się cierpieniem innych - twarz Cadvana nie wyrażała niczego. - Zapelnia to pustkę w nich samych. - Maerad zadrżała, myśląc o trupach. - Możliwe, że to nas szukali - dodał. - Nie możemy tu zostać.

Pochylili właśnie głowy, aby wyjść z wozu, gdy usłyszeli cichy odgłos przypominający kichnięcie. Oboje natychmiast wyteżyli zmysły. Dźwięk dochodził gdzieś z wnętrza wozu. Zawrócili, szukając ponownie. Wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek mógł

się ukryć w tak ciasnej przestrzeni. Cofnęli się aż do pryczy, nadal jednak nie dostrzegali żadnej możliwej kryjówki, a dźwięk się nie powtórzył. Zupełnie jakby wszystko wstrzymywało oddech. Cadvan stanął nieruchomo, nasłuchując. Potem podszedł do jednego z łóżek i zrzucił na ziemię pozostałości siennika. Pod spodem tkwiła deska. Zdawało się, że to jedynie podstawa łóżka, on jednak obejrzał ją ostrożnie i w końcu znalazł niewielki zatrzask przy wezglowiu. Nacisnął go i unosząc deskę, ukazał ukryty pod spodem wąski schowek, równie długi jak prycza i wysoki najwyżej na stopę. Z ciemności patrzyło na nich dwoje przerażonych oczu. To był chłopiec.

Przyglądali się sobie wstrząśnięci, potem Maerad pochyliła się, żeby pomóc mu wyjść. Chłopiec wydał z siebie odgłos przypominający spłoszone zwierzątko i skulił się w ciemności.

- Nie zrobimy ci krzywdy - rzekła miękko. - Przyszliśmy pomóc.

Znów wyciągnęła rękę, próbując wyciągnąć chłopaka ze schowka. On jednak przywarł desperacko do skraju pryczy. Cały czas milczał. Maerad zaczęła mruczeć kojąco i wreszcie chłopak puścił deski, pozwalając się unieść. Runął przed nimi na ziemię i zaczął szlochać gwałtownie, jego ciałem wstrząsały niepowstrzymane spazmy. Z oczu nie płynęły łzy. Cuchnął moczem, twarz miał brudną, umazaną kurzem. Cadvan dźwignął go i wyniósł z wozu na światło.

Na zewnątrz przekonali się, że chłopczyk ma może dwanaście lat, ciemne włosy, niebieskie oczy i ciemnooliwkową skórę. Był boleśnie wychudzony, pod skórą twarzy widzieli sterczące kości. Cadvan znalazł cebrzyk i szmatkę, nabrał wody z pobliskiego stawu. Delikatnie umył twarz chłopca. Potem wrócił do wozu i znalazł mu ubranie: koszulę, spodnie oraz sweter zrobiony na drutach z surowej koziej wełny, a do tego płaszcz z solidnej tkaniny w stylu zmarkańskim, ozdobiony wyszytymi wokół kaptura i rękawów podobiznami osobliwych zwierząt. Starannie zdjął stary strój dziecka i ubrał je, myjąc przy okazji. Chłopiec wciąż milczał, obojętnie przyjmując zabiegi Cadvana, zaprotestował jedynie, gdy ten spróbował odwiązać wiszący na sznurku woreczek na jego szyi. Stopniowo przestawał się trząść.

- Mówisz po annaryjsku? - spytał Cadvan, dokończywszy dzieła.

- Tak.

Chłopiec wbijał wzrok w ziemię, nie patrząc na nich. Mówił tak cicho, że ledwie go usłyszeli.

- Doskonale. Na imię mam Cadvan. To jest Maerad. Podróżowaliśmy w pobliżu i zeszłej nocy usłyszeliśmy krzyki, toteż zaczęliśmy szukać waszego obozu i tak właśnie

znaleźliśmy ciebie. Nie mamy złych zamiarów.

Chłopiec głośno przełknął ślinę.

- Czy było was tylko pięcioro? - spytał Cadvan.

Chłopiec przytaknął. Wydawał się zupełnie bezbronny, młodą twarz wykrzywił grymas grozy i rozpacz. Znalezione ubranie było na niego za duże, bosa stopy wystawały z męskich spodni podwiniętych i podwiązanych kawałkiem sznurka.

- Jak masz na imię? - spytała Maerad.

- Hem - odparł chłopiec. Poruszył się i wyprostował. - Na imię mam Hem.

- Co tu się stało?

Hem znów wbił wzrok w ziemię. Maerad zagryzła wargę, żałując, że spytała. Po jakimś czasie jednak odezwał się.

- Przyjechali konni - rzekł. - Schowałem się pod łóżkiem, ale nie było czasu... Nadjechali w ciemności. Zabrali gdzieś wszystkich, usłyszałem, jak krzyczą i płaczą, a potem...

Zapadła długa cisza, Maerad i Cadvan wymienili spojrzenia. Chłopiec znów zadrżał gwałtownie i odetchnął głęboko.

- Nie wiem, co się stało - rzekł. - Słyszałem, jak Sharn i Nidar walczą, a potem Mudil zaczęła krzyczeć i krzyczeć. Myślę, że najpierw zabili małą. Myślę, że wszyscy nie żyją - przemawiał głucho, bez wyrazu. - Nie wiem, jak długo siedziałem w łóżku. Nie wiedziałem, czy tu nie wrócą. Myślałem, że znów przyjadą i mnie zabiją.

Ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać, zwiwając się w ciasny kłębek. Maerad przysunęła się ostrożnie i objęła go ramionami. Nie odepchnął jej, zamiast tego wtulił się w nią; czuła, jak jego wątłym ciałem wstrząsają szlochy. Zamknęła oczy i tuliła go bardzo długo. Podobnie jak ona był sierotą i jak ona pozostał sam na okrutnym świecie, bezdomny, pozbawiony krewnych. Lecz coś wewnątrz niej, coś głębszego niż litość poruszyło się na widok owego obcego chłopca.

W końcu Hem przestał szlochać, usiadł wyprostowany i lekko odsunął się od niej, wycierając rękawem twarz. Maerad rozejrzała się wokół. Cadvan zniknął, Darsor i Imi skubały trawę nieco dalej. Zerknęła w niebo. Południe już dawno minęło, wkrótce będą musieli ruszać w drogę albo spędzić tu noc. Chciała opuścić to miejsce jak najszybciej. Zastanawiała się, czy powinna poszukać Cadvana, wołała jednak nie zostawiać chłopca samego.

- Jesteś głodny? - spytała.

Hem skinął głową i pociągnął nosem. Maerad podeszła do Imi, wyciągnęła z torby

kilka sucharów i owoców. Poczęstowała go także medylem i patrzyła, jak zajada łączywie. Wciąż jadł, kiedy Cadvan wrócił i usiadł z nimi, krzyżując nogi. Minę miał ponurą, lecz przemawiał łagodnie.

- Hem - rzekł - musimy wkrótce ruszać. Jeśli chcesz, zabierzemy cię z sobą. Cała twoja rodzina nie żyje. Nie zdołałem ich pochować, ale zrobiłem, co mogłem, by ochronić ich ciała przed wronami i dzikimi psami.

Chłopiec patrzył na niego bez słowa.

- Chciałbyś zobaczyć? - spytał Cadvan.

Po lekkim wahaniu Hem pokiwał głową.

- Nie są moją rodziną - rzekł, podnosząc się powoli.

- Kim zatem są? - spytał Cadvan, chłopiec jednak nie odpowiedział.

Maerad poszła za nimi; okrążając skałę, przywołała całą swą odwagę. Cadvan zepchnął zwłoki do szczeliny między skałą a ziemią, głębokiej na jakieś cztery stopy. Chłopiec przyglądał im się bez słowa.

- Jak się nazywali? - spytał bard.

- Mudil - odparł Hem. - I Sharn, i Nidar. Mała miała na imię Iris.

Cadvan skłonił głowę.

- Spoczywają tu szczątki Mudil, Sharna, Nidara i Iris - rzekł. - Oby Światło strzegło ich dusz i oby znaleźli spokój poza Bramą.

Przez chwilę stali we troje w milczeniu z pochylonymi głowami, ciszę zakłócał jedynie świst wiatru wśród kamieni. Cadvan pchnął głaz w stronę szczeliny, by ją zamknąć; Maerad pomogła mu, po chwili dołączył do nich Hem - wkrótce zdołali całkowicie zasypać trupy.

*

Potem nie mieli już nic do zrobienia. Hem wszedł do przewróconego wozu i wkrótce potem wyłonił się z niego, wsuwając jakieś przedmioty do woreczka wiszącego na sznurku na jego szyi. Nie znaleźli żadnego prowiantu, poza tym Maerad pomyślała, że i tak czułaby się dziwnie, jedząc strawę należącą do martwych. Zatrzymała małego drewnianego kotka. Cadvan posadził Hema przed sobą na Darsorze i ruszyli w drogę.

Jechali długo w noc, poruszając się cicho jak cienie w niepewnym świetle księżyca. Wszyscy chcieli możliwie jak najbardziej oddalić się od owego samotnego miejsca i upiórów gwałtownej śmierci. Maerad pomyślała o Dernhilu, zamordowanym przez Próźnych, i wzdragneła się. Nie mogła się pozbyć widoku zameczzonej rodziny, ciśniętej między kamienie niczym śmiecie. Żałowała, że to widziała.

XVIII

POŁAMANE ZĘBY

Hem był najbardziej milczącą ludzką istotą, jaką Maerad zdarzyło się spotkać. Jechał z Cadvanem, bo Imi brakowało sił, by unieść dwie osoby, i przez cały dzień nie odezwał się ani słowem. Cadvan także często milczał, lecz jego milczenie zdawało się spokojne, zamyślane, czasem abstrakcyjne; Hem był spiętym kłębkim nerwów, czujnym i ostrożnym pod nierówno przyciętymi włosami. Chwilami wydawał się znacznie starszy niż swoje dwanaście lat: zdarzało się, że jego twarz przybierała wyraz zdumienia życiem, jak u starca, który oglądał zbyt wiele okropieństw, a przecież po chwili znów wyglądał niczym mały chłopak. Nocą związał się i kopał, czasami budził z koszmaru z krzykiem, póki Maerad bądź Cadvan nie uspokoili go, gładząc czoło. Przyjmował ich pomoc i pieszczoty, ale pasywnie, bez śladu wdzięczności; jadł to, co mu dawali, i odpowiadał na pytania, sam jednak nie podał z własnej woli nawet najmniejszej informacji.

Maerad odkryła, że ją fascynował: jednocześnie niepokoił i przyciągał. Po raz pierwszy w życiu była w stanie pomóc człowiekowi w stanie gorszym niż ona sama i przez to poczuła się silniejsza i pewniejsza siebie. Przepęłniały go jednak dziwne napięcia i mroczne lęki, których nie pojmowała i których przejmująca czerń czasem nieco ją przerażała. Zastanawiała się, o czym chłopak śni, i kilka razy nawet go pytała, ale nigdy nie odpowiadał. Litowała się nad jego strachem, czujnością w oczach, świadczącą o bolesnej przeszłości. Lecz przede wszystkim było w nim coś, czego nie potrafiła określić, jakby blask, który ją zdumiewał.

Maerad i Cadvan uznali, że rozsądniej będzie milczeć na temat bardostwa, toteż następnego wieczoru zrezygnowali z lekcji. Trudno było rozmawiać, kiedy chłopak siedział obok, a nie mogli przecież mówić o nim. Maerad próbowała pytać go o jego przeszłość, ale nie chciał się otworzyć. Dowiedzieli się, że ludzie w wozach byli rodziną - dwaj bracia, żona jednego z nich i ich dziecko - i że należeli do Pilanelu, ludu wędrownego, który nigdzie nie osiada, lecz żyje w swoich wozach i podróżuje karawanami od miasta do miasta, pracując jako minstrele, druciarze, szewcy czy pomocnicy rolni. Cadvan odgadł to już wcześniej. Hem oznajmił, że był z nimi niecały rok, ale nie wspominał o swym wcześniejszym życiu, poza

tym, że jest sierotą i zabrali go z dobrego serca, bo nie miał się gdzie podziać.

- Co właściwie robiliście w samym sercu Valverras? - spytała Maerad.

Chłopak milczał, patrząc przez siebie i przeżuując żdźbło trawy.

- Jak się tu dostaliście? - zapytał Cadvan.

Maerad sama się nad tym zastanawiała: jak zdołali zawlec dwa ciężkie wozy na pozbawione szlaków pustkowie. Hem zerknął na nich z ukosa.

- Mieliśmy silne konie, czwórkę - rzucił wzgardliwie. - Nie było aż tak trudno. Tamci je ukradli.

- Wiesz, kim byli?

Chłopak zerknął na nich ponownie spod rzęs; wyglądał, jakby nie zamierzał odpowiedzieć. W końcu jednak rzekł niechętnie:

- Tak.

- No to kim?

- Mrocznymi bardami. Polowali na nas. Sharn uważał, że w Valverras będziemy bezpieczni. - Splunął na ziemię. - Sharn był głupcem.

- Mroczni bardowie? - powtórzyła Maerad, patrząc na Cadvana i myśląc o Próżnych. - Kto to?

- Ludzie sądzą, że to panicze. - W głosie chłopaka zadźwięczała wzgardliwa nuta. - Ale ci, którzy mają oczy, widzą, czym są naprawdę.

- A czym są naprawdę? - chciał wiedzieć Cadvan.

Hem odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy, a Maerad dostrzegła na jego wychudzonej twarzy wspomnienie dawnej grozy. Cadvan wzdrygnął się lekko, po czym pochylił się i ujął dłoń chłopca.

- *Ke an de*, Hem? - rzekł łagodnie.

Hem podskoczył gwałtownie i zerwał się na równe nogi. Gdyby Cadvan nie zareagował w mgnieniu oka, chłopak zanurkowałby w ciemność i zapewne nadal uciekał jeszcze godzinę później.

Cadvan chwycił go i przytrzymał. Hem walczył rozpaczliwie, kopiąc go w łydki i gryząc w rękę, lecz bard nie ustąpił. W końcu rzucił: - *Lemmach!* - i chłopak zamarł równie nagle, jak wcześniej podskoczył, a potem opadł mu w objęcia, dysząc ciężko. Cały ten czas nie wydał z siebie nawet najłżejszego odgłosu. Maerad ze zdumieniem obserwowała całą scenę.

- Nie zrobimy ci krzywdy, Hem - powiedziała. - Obiecuję. Obiecuję. - Wyciągnęła rękę i odebrała Cadvanowi chłopca. Niemal dorównywał jej wzrostem, usiadła niezgrabnie z

Hemem na kolanach, obejmując go w pasie. - Obiecuję - powtórzyła.

Hem odwrócił głowę, uciekając przed jej ręką, ale nie wrywał się.

- W takim razie czemu tak gadacie? - spytał ostro. - To wiedźmia gadka.

Cadvan wciąż stał, rozcierając ugryzioną rękę.

- Nie, Hem - odparł. - Myślę, że ją rozumiesz, prawda? Może trochę cię przeraża, gdy przemawiają do ciebie zwierzęta?

Chłopiec desperacko pokręcił głową, ale Maerad wiedziała, że kłamie.

Znów na niego spojrzała. Z nagłym wstrząsem uświadomiła sobie, że ów „blask”, który tak bardzo ją zdumiewał, to znak, że chłopiec ma Dar, podobnie jak ona; i podobnie jak ona niemal nic o nim nie wie. Cadvan kręcił głową, przechadzając się niespokojnie tam i z powrotem.

- Jeśli znajdę w głuszy kolejnych małych bardów, to chyba przestanę podróżować - rzekł w końcu. - Nie zamierzam otwierać szkoły. - Usiadł obok nich, wbijając wzrok w chłopca. - Hem, wierz mi, nie jesteśmy mrocznymi bardami. Myślę, że miałeś na myśli tych, których my nazywamy Próżnymi. A jeśli tak, nie wiem, dlaczego was ścigali. Nigdy nie słyszałem, by porywali młodych bardów, choć przypuszczam, że to niewykluczone. Nie mam pojęcia, dlaczego mieliby prześladować Pilanelów. Wiedz jednak, że polują też na Maerad i na mnie i tak samo jak tobie zależy nam, by ich unikać. A jeśli pomagając ci, zwiększymy grożące nam niebezpieczeństwo, wołałbym wiedzieć dlaczego.

Potał ręką włosy tak, że sterczały na wszystkie strony, a potem ukrył twarz w dłoniach.

Przez chwilę cała trójka milczała. Potem Hem wstał niezgrabnie z kolan Maerad i usiadł, krzyżując nogi. Popatrzył na Cadvana, który obserwował go uważnie, gotów zareagować szybko, gdyby chłopak znów próbował ucieczki.

- Nie wydajecie się... źli. - Hem zawiesił głos, a potem dodał pośpiesznie.

- Zacząłem rozumieć wiedźmią gadkę dwa lata temu. Musiałem to ukrywać, inaczej by mnie utopili. A potem w domu zjawił się mroczny bard: on wiedział i próbował mnie zmusić, zmusić, żebym... - urwał, a jego twarz wykrzywiła się z wysiłku. W końcu wyszeptał: - Próbował mnie zmusić, żebym z nim pojechał, a kiedy nie chciałem, zagroził, że im powie, a oni mnie zabiją. A kiedy śmiał się ze mnie, czułem, jakby wbijał we mnie noże. I uciekłem.

Maerad spojrzała na Cadvana kompletnie oszołomiona, lecz twarz barda pociemniała.

- Nie musisz w tej chwili opowiadać nam o wszystkim. Możesz później, jeśli zechcesz. Ale, Hem, bardzo zależy mi na informacji, skąd pochodzili ci Próżni, ci mroczni bardowie, i dlaczego ścigali rodzinę Pilanelów. Czy chodziło im o ciebie? Czy o coś innego?

Chłopiec pochylił się nisko.

- Nie, nie chodziło im o mnie. Sharn ukradł im coś i chcieli to odzyskać. A potem się wystraszył i dlatego przybyliśmy do głuszy. Nie wiedzieli o mnie.

- Jesteś pewien?

Chłopiec przytaknął. Cadvan ujął go pod brodę i zmusił, aby Hem spojrzał mu w oczy; chłopak patrzył na niego wyzywająco i w końcu bard wypuścił go, nadal z posępną twarzą.

- Co takiego ukradł, że Próżnym tak bardzo na tym zależało?

- Nie wiem.

Maerad znów pojęła, że Hem kłamie, ale Cadvan nie naciskał. Hem poinformował ich, że Próżni pochodzili z Imrath, niedaleko Aldernu, i że było ich pięciu. Przybyli jakiś rok wcześniej i żyli niczym lordowie w domu Laramana, burmistrza. Chodzili po mieście, udając ważniaków. Ludzi dręczyły choroby i inne problemy, toteż nie zwracali na nich uwagi, ale Hem rozpoznał ich natychmiast. Nie chciał powiedzieć, co Sharn im ukradł ani dlaczego, i nie wspominał więcej o swych wcześniejszych kontaktach z Próżnymi. Jego odpowiedzi zaniepokoiły Cadvana, który jednak nie naciskał.

- Dlaczego w niego nie wnikniesz? - spytała gwałtownie Maerad, obserwując w napięciu całą rozmowę.

Cadvan błyskawicznie uniósł wzrok.

- Wbrew jego woli?

- Czemu nie pozwolisz Cadvanowi w siebie wniknąć, Hem? - Maerad popatrzyła prosto w twarz chłopca, on jednak uciekł przed jej wzrokiem.

- Nie wpuszczę żadnej obłej wiedzy, żeby mieszała mi w głowie - syknął, spinając się, jakby znów zamierzał uciec. - Słyszałem, co robią ludziom.

Cadvan spojrzał wymownie na Maerad, która poddała się.

- W takim razie nie będziemy w ciebie wnikać, Hem - rzekł miękko.

Chłopak najwyraźniej mu uwierzył i odprężył się.

Tej nocy niewiele już rozmawiali. Wkrótce Maerad skuliła się z Hemem pod kocem i zasnęła. Chłopak leżał nieruchomo, w końcu zapadł w sen, lecz we śnie wiercił się, skręcał i krzyczał, póki nie objęła go i nie przytuliła do siebie. A potem uspokoił się i oddychał cicho obok.

*

Przez większość następnego dnia jechali mozolnie pod górę i w końcu dotarli do szczytu potężnego wzniesienia. Po drugiej stronie ziemia opadała szeroką doliną, której środkiem

płynęła srebrzysta nie rzeki. Aby do niej dotrzeć, musieli opuścić osłonę skalistych wzgórz i pokonać zbocze porośnięte jedynie krótką trawą i wrzosami, wśród których od czasu do czasu sterczały wielkie głazy. Stojąc na skalistej półce, Cadvan powiódł wzrokiem dokoła. W oddali nic się nie poruszało; nawet gdyby przez pustkowia przebiegł królik, zobaczyliby go.

- Musimy przeprowadzić się przez tę dolinę, a trudno będzie zrobić to niepostrzeżenie, jeśli ktoś ją obserwuje - oznajmił Cadvan. - Rzeka przed nami to Aldern. Po jej drugiej stronie za tamtym wzniesieniem znów natkniemy się na osady. To bogata kraina, pełno w niej gospodarstw i miast, a przynajmniej taka była kiedyś. Jedyna droga prowadzi przez ten most.

Maerad, mrużąc oczy, ujrzała maleńki most przecinający rzekę oraz drogę wijącą się przez dolinę i dalej, na drugą stronę. Nie widziała i nie słyszała niczego, prócz krążących wysoko, rozkrakanych wron, nagle jednak poczuła nową falę grozy.

- Myślę, że nieprzyjaciel obserwuje most - oznajmił Cadvan.

Wycofali się z półki i zjedli posiłek za skałą. Było już późno, cienie się wydłużały, w powietrzu czuli chłód. Cadvan spojrzał na chmury.

- Możliwe, że dopisze nam szczęście - powiedział. - Chyba wkrótce zacznie padać.

Dokończyli posiłek i czekali na zachód słońca. Tuż po tym, jak zapadło za horyzontem, z nieba lunął deszcz: ciężka nawałnica, która w mgnieniu oka przemoczyła ich do szpiku kości, a potem zmroziła powiewami okrutnego wiatru. Wkrótce zapadła nieprzenikniona ciemność; było tak wcześnie, że księżyc jeszcze nie wzeszedł, a niebo jedynie odrobinę różniło się od czarnego wzgórza. Cadvan odczekał jeszcze godzinę, podczas której kulili się załóżnie pod skałą, próbując uniknąć najgorszych fal ulewy, a potem poprowadził ich w głąb doliny. Kiedy pokonywali szczyt skalnego grzbietu, powiew wiatru o mało nie zbił ich z nóg.

Poruszali się powoli, prowadząc konie, w obawie że pogubią się w ciemności i że któryś z wierzchowców może potknąć się o kamień. Hem siedział na grzbiecie Darsora, nędznie opatulony płaszczem - bosa stopy miał zimne jak lód. Było tak ciemno, że niemal musieli wymacywać przed sobą drogę. Stopniowo jednak oczy Maerad przywykły i zaczęła dostrzegać niewyraźne kształty i sylwetki przed stopami. Po jakiejś godzinie wiatr nieco osłabł i nie kąsał już tak boleśnie, choć deszcz nadal lał się miarowymi kaskadami. Maerad ze zmęczenia kręciło się w głowie, przejmujący chłód otępił wszystkie zmysły.

W końcu dotarli na dno doliny. Słyszała przed sobą szum rzeki, choć jej nie widziała. W ciemności lekko zoczyli z drogi i musieli skręcić w prawo, by odszukać przeprowę, w końcu jednak znów znaleźli się na trakcie, dającym nieco ukojenia nogom. A potem odgłos ich kroków się zmienił i Maerad zrozumiała, że maszerują przez most. Zerknęła w bok i

ujrzała pędzącą w dole wodę, lekkie, szarawe migotanie pomiędzy nieprzeniknioną czernią brzegów. Wiatr znad powierzchni rzeki niósł świeży chłód.

Most był szeroki i kamienny, nazywano go Edinur i zbudowano wiele stuleci wcześniej, w czasach wielkiego budowania w Annarze. Obecnie rzadko korzystano z gościńca i gdyby Maerad zdołała go zobaczyć, uznałaby, że obraca się w ruinę. W najwyższym miejscu łuku wyrzeźbiono podobiznę kobiecej twarzy: jej włosy opadały kamiennymi falami ku szarej jak skała wodzie pod szerokim łukiem, lecz twarz niemal zupełnie się zatarła, a pukle włosów zamieniły się w płytkie wyżłobienia. Mimo to most Edinur wciąż trzymał się mocno i bezpiecznie przepawili się na drugą stronę, po czym ruszyli dalej gościńcem w górę. Maerad zorientowała się dopiero, gdy powierzchnia pod jej stopami znów się zmieniła, i odkryła, że powrócili na zbocze. Wspinaczka okazała się łatwiejsza niż schodzenie, bo wciąż podążali gościńcem i rzadziej się potykali. W połowie drogi wzeszedł księżyc bliski pełni, chmury rozstały się, przepuszczając migotliwe światło ułatwiające wędrówkę, Cadvan jednak obejrzał się nerwowo i zaczął ich poganiać.

Po północy dotarli na szczyt wzgórza. Deszcz zupełnie ustał, zrobiło się jednak zimniej i znów zerwał się wiatr, mroząc ich do kości.

Przed sobą Maerad widziała czarne sylwetki drzew. Zeszli nieco z traktu i znaleźli czarny, ociekający wodą zagajnik, w którym odpoczęli. Było jednak tak zimno, a oni byli tak przemoczeni, że żadne nie zdołało zasnąć, jedynie drzemali niespokojnie. Konie rozdygotane stały blisko siebie, kuląc ogony między nogi. Hem tak bardzo zeszywniał z zimna, że trzeba go było zsadzić z Darsora; głośno szczął zębami. Cadvan masował mu stopy, póki nie wróciło w nie nieco życia. Wszyscy napili się też medhyłu i trunek ich ogrzał, w żaden sposób nie mogli jednak osłonić się przed wiatrem, który atakował zagajnik, strząsając na nich deszcz kropel z obciążonych liści.

- Witajcie w Edinurze - rzekł ironicznie Cadvan. - Może kiedy słońce wstanie, zrobi się nieco lepiej? A może nie. Nie jestem pewien, co tu zastaniemy.

*

Słońce wzeszło, z początku niechętnie, wysyłając przed siebie blade zorze, w których świat wyglądał jeszcze bardziej ponuro i zimno. Potem jednak wyłoniło się spomiędzy chmur i jasne promienie rozżłociły mokrą ziemię, odbijając się oślepiającym blaskiem w kałużach. Rozejrzeli się dokoła. Obozowali w niewielkim bukowym lasku; z miejsca, w którym schronili się w nocy, widać było gościniec. Cadvan skierował się głębiej między drzewa i znalazł szeroką polanę, skąpaną w jasnym słońcu. Tam przebrali się w suche ubrania, rozkładając mokre rzeczy, aby wyschły. Hem kulił się pod kocem; nie miał zapasowych

strojów i wyglądał, jakby dopadła go choroba. Cadvan zbadał go zatroskany i dał mu jeszcze trochę medhyłu, po którym chłopiec przestał szcząkać zębami, a jego twarz odzyskała nieco koloru. Wszyscy byli szarzy ze zmęczenia, bez słowa zjedli skąpe śniadanie. Maerad czuła się zbyt zmęczona, żeby gryźć. Wszystko ją bolało, a chłód na dobre osiadł w kościach, tak że sądziła, iż już nigdy się go nie pozbędzie. Wyglądało jednak na to, że słońce zamierza wynagrodzić im swą wcześniejszą nieobecność - z każdą chwilą robiło się goręcej. Ich ubrania parowały w trawie, Maerad odprężyła się, czując na ramionach ożywcze ciepło. Hem zaczynał wyglądać lepiej, nie uniknął jednak przeziębienia i kichał bez przerwy.

Cadvan poprosił Maerad, by pełniła wartę, i zniknął, kierując się z Darsorem w stronę drogi. Siedziała sennie w słońcu, szczęśliwa, że nie musi nic robić i nigdzie się ruszać. Hem ubrał się z powrotem, wstydliwie ukryty za krzakiem, a potem wyciągnął się pod kocem i zasnął. Po jakiejś godzinie Cadvan wrócił.

Rozmawiali z Maerad cicho, by nie obudzić chłopca. Cadvan pojechał traktem do wioski pięć mil dalej i rozmawiał z paroma osobami. Obcych niechętnie tu witano, przyjmowano nieufnie i podejrzliwie, uznał zatem, że nierozsądnie będzie zatrzymać się w gospodzie. Słyszając to, Maerad poczuła, jak ściska jej się serce, bo nie mogła się już doczekać noclegu w łóżku. Mieli przeprowić się przez Edinur nocą, unikając spotkań z ludźmi. Cadvan zdecydował trzymać się gościńca, zamiast ryzykować dalsze opóźnienia. A chłopiec wszystko komplikował.

- Z początku sądziłem, że znajdziemy gospodarstwo, w którym chętnie go przyjmą - powiedział. - Teraz jednak wiemy, że ma Dar, i nie możemy go zostawić; powinien przejść szkolenie barda, a my winniśmy zabrać go do szkoły, gdzie uleczą go i zapewnią mu wykształcenie. Poza tym wie, że jesteśmy bardami, i gdyby poszedł własną drogą, wieści mogłyby dotrzeć do Próżnych, nie wątpię bowiem, że ci, których nazywa mrocznymi bardami, to w istocie Próżni. Obawiam się, że tymczasem jesteśmy na niego skazani. Najbliższa szkoła to właśnie Norloch.

- Nie, nie możemy go zostawić - zgodziła się Maerad, patrząc na skuloną we śnie postać. - Powinien zostać z nami.

- Maerad, fakt, że go znaleźliśmy, nie daje mi spokoju. To ty poczułaś wezwanie, nie ja, i nie wierzę, że to był przypadek - oznajmił Cadvan. - W jakiś sposób chłopak wiąże się z naszym losem. Wygląda jak jeden z Pilanelów; jeśli to prawda, jego lud przybył dawno temu z dalekiej północy, ze Zmarkanu za rzeką Lir. To pradawna rasa, mądra i szlachetna, choć nie dba o bogactwa i domy z kamienia. Z ich szeregów wywodziło się wielu wspaniałych bardów, choć z czasem sporo spraw poszło wśród nich w zapomnienie. A jeśli topią

wszystkich obdarzonych Mową, to wiedza wśród nich naprawdę podupadła.

- Cadvan położył się na wznak, zakładając ręce pod głowę. - Myślę, że Hem ma za sobą ciężkie życie, cierpiał więcej niż jakiegokolwiek dziecko i obawiam się, że po takich przeżyciach trudno mu będzie nam zaufać, jeśli w ogóle zdoła. Z tobą i tak nie poszło mi łatwo - uśmiechnął się do niej.

Maerad odpowiedziała uśmiechem i ból pozostawiony przez wcześniejszą kłótnię, który dokuczał jej niczym siniec, w końcu zniknął. Nagle poczuła się lekka - pierwszy raz, odkąd przekroczyli granicę Valverras.

- On kłamie, wiem - powiedziała. - Ale go lubię. Jest w nim coś, zupełnie jakbym go знаła... I tak bardzo mi go szkoda. Jest taki młody i taki zagubiony.

- Tak - odparł Cadvan, dodając w duchu, że pod wieloma względami Hem niewiele różni się od Maerad. - Lecz mimo to kryje też w sobie ciemność, której należy się strzec. Chciałbym wiedzieć, co robił z Próżnymi. Sądzę, że nie jest z nami szczery, i obawiam się, że może naprowadzić ich na nasz trop. Albo że polując na niego, natkną się na nas.

- Ale on przed nimi ucieka - przypomniała Maerad.

- Lecz czemu? - nie ustępował Cadvan. - To mnie dręczy, Maerad. Nie mogę pozbyć się myśli, że chłopak jest dla nas zagrożeniem.

*

Nieco później obudzili Hema i przygotowali skromny posiłek z suszonego mięsa i owoców. Cadvan kupił w wiosce świeży chleb, przyjęty ze szczerą radością; Maerad pomyślała łakomie o posiłkach, jakimi częstowano ich w Innailu i Rachidzie, i ponownie pożałowała, że nie mogą spędzić nocy w wygodnej gospodzie.

Cadvan poinformował Hema o ich planach nocnej podróży i chłopak przytaknął obojętnie. Kiedy słońce skryło się za horyzontem, spakowali juki i dosiedli koni. Cadvan ponownie posadził Hema przed sobą. Wypoczynek dodał im sił, lecz chłopakowi wciąż dokuczało przeziębienie, cały czas wycierał nos rękawem, póki Cadvan nie wręczył mu dużej chustki.

Był piękny letni wieczór, jakże różny od wczorajszej burzy, ciepłe powietrze pachniało, a gwiazdy płonęły im nad głowami, rzucając na drogę słabe cienie - to te same gwiazdy, w które Maerad tak często wpatrywała się samotnymi wieczorami w Gilmanowym Siole, gdy na nędznym kuchennym podwórku dodawała sobie otuchy grą na lirze. Lecz jakże inaczej patrzyło się jej w nie teraz, gdy wiatr swobody rozwiewał jej włosy! Choć ścigana i bezdomna, kiedy przypominała sobie Gilmanowe Siolo, nie mogła powstrzymać radości na myśl o tym, że jest wolna. Wciąż wydawało się jej to cudem.

Cwałowali lekko przez senną dolinę, mijając pola i samotne domy. W blasku gwiazd kraina wydawała się przyjazna i spokojna; w wielu oknach płonęły lampy, na polach pasły się krowy i konie, za mijanymi bramami czekały psy. Z ziemi wznosiły się fale zapachu trawy i kwiatów, uwalniane w chłodne nocne powietrze przez krople rosy. Maerad odprężyla się w rytm końskich kroków.

*

Podróżowali tak przez trzy dni, pokonując około trzydziestu staj. Cadvana ucieszyły ich postępy.

- Zbliżamy się do końca naszej podróży - oznajmił. - Wkrótce dotrzemy do doliny Norlochu i tam będziemy bezpieczniejsi. Światło jest tam mocne i Próźni nie ważą się wędrować otwarcie.

Na myśl o Norlochu Maerad poczuła znajome połączenie podniecenia i obawy. Czy w tej wyniosłej cytadeli Światła zostanie uznana za godną? A jeśli bardowie Norlochu zgodzą się uczynić ją pełną bardką, czy znów zostanie sama na tym świecie? Pod tymi pytaniami krył się głębszy lęk, który ledwie umiała wyrazić: ta sama mdląca groza, która ścisła jej serce za każdym razem, kiedy myślała o swym losie bądź przeznaczeniu, o którym wspomniała Ardina. Groza, która nawiedziła jej proroczy sen i wezbrała w niej, kiedy Dernhil wręczył jej pergamin Lanorgila. Czy boję się samej siebie? - zastanawiała się w duchu. - Czy też tego, czym nie jestem i być nie mogę?

Podczas dalszej jazdy na południe, gdy pierwsza ulga towarzysząca temu, że w końcu mogli poruszać się swobodnie, osłabła, Maerad zaczęła sobie uświadamiać, że w Edinurze nie dzieje się najlepiej. Czasami przejeżdżali przez wioski otoczone aurą melancholijnej pustki, jakby nikt już w nich nie mieszkał, choć z początku sądziła, że po prostu wszyscy ludzie śpią. A potem, drugiej nocy natrafili na osadę, w której co drugi dom był spalony do gołej ziemi. Wyglądała jak krajobraz po bitwie. Ponure smugi unoszonego wiatrem popiołu snuły się pośród zwęglonych szkieletów budynków, w powietrzu nadal wisiał smród spalenizny, choć ogień już dawno zgasł. W ruinach kręciły się stada psów, na wpół oszalałych z głodu; na widok koni zaczęły chóralnie ujadać i zawodzić, atakując, póki Cadvan nie przegonił ich paroma słowami w Mowie. Spięli wierzchowce, by jak najszybciej zostawić za sobą ruiny, i w końcu wypadli galopem na pachnącą słodko nocną łąkę.

- Co się stało z tymi ludźmi? - spytała Maerad. - Czy mieli tu wojnę?

- W pewnym sensie - odrzekł Cadvan. - W pewnym sensie.

Wyraźnie nie miał ochoty wyjaśniać dalej, jakby serce za bardzo ciążyło mu w piersi, i Maerad, czując narastającą rozpacz, która zdawała się gromadzić w otaczającym ich

powietrzu, nie naciskała.

Pośród cieni dostrzegła objawy poważnej choroby toczącej krainę. Za dnia byłyby wyraźniejsze. Cadvan jej o tym nie wspomniał, lecz mieszczanie, z którymi rozmawiał, poinformowali go, że Edinur nawiedziła biała plaga, i ta informacja, bardziej nawet niż obawa przed spotkaniem z Próżnymi, przekonała go do podróży nocą i unikania wszelkich obcych. W zburzonych domach wybuchła choroba. Zostały z rozmysłem spalone - przez przerażonych sąsiadów chcących wypalić zarazę, ocalałych mieszkańców bojących się dotknąć i pogrzebać leżące wewnątrz trupy albo nawet chorych w ostatnim ataku obłędu i rozpacz.

Biała plaga pojawiła się w Annarze zaledwie dwadzieścia lat wcześniej, z początku na południu. Jej wybuchami nie kierował żaden logiczny wzór: pojawiała się w danym regionie i w szybkiej, straszliwej fali śmierci wybijała większość mieszkańców, a potem znikła bez śladu na lata, dopóki nie ożyła gdzie indziej. Stopniowo stawała się coraz powszechniejsza i Cadvan podejrzewał w duchu, że sprowadzili ją Próżni, by osłabiła potęgę Annaru.

Najbardziej narażeni byli ludzie młodzi i silni; czasami w mieście, które dotknęła zaraza, nie pozostawał nikt w wieku od 18 do 30 lat. Wszyscy zarażeni białą plagą umierali trawieni gorączką i szaleństwem. Nazywano ją tak, bo w miarę rozwoju choroby oczy zarażonych zasnuwała mgiełka podobna do katarakty, posrebrzająca całą tęczówkę. U ofiar w końcowym stadium z wychudzonych twarzy spoglądały upiorne ślepe oczy. Szanse przeżycia były niewielkie, a większość tych, którzy nie umarli, oślepla, chyba że mieli akurat wielkie szczęście i trafili pod opiekę znakomitego uzdrowiciela. A w Edinurze nie działało zbyt wielu uzdrowicieli, choć od Norlochu dzieliło go zaledwie kilka dni jazdy.

Hem trzymał się z boku. Najwyraźniej odpowiadało mu ich towarzystwo, choć na każdą wzmiankę Cadvana o Norlochu w oczach chłopaka błyskał strach. Cadvan i Maerad zauważyli to i ukradkiem obserwowali go uważnie: nie chcieli, by uciekł w sprzyjającej chwili, może podczas rozbijania obozu albo szukania źródła, z którego mogliby napełnić bukłaki. Zwłaszcza Maerad nie chciała, by umknął; zaczynała mieć wrażenie, że Hem w jakiś sposób do niej należy. Tak jak Silvia zapełniła bolesną lukę pozostawioną po śmierci matki, tak chłopak zastąpił jej nieżyjącego brata Caia. Cadvan żałował chłopca - który siedział w milczeniu, zamknięty w kręgu własnych rąk, ze zwieszoną głową, pogrążony w tajemniczych wspomnieniach bądź rozmyślniach - i kiedy odzywał się do niego, przemawiał bardzo łagodnie. Nie zdołał jednak dowiedzieć się niczego o dzieciństwie Hema, a o świcie każdego dnia był zbyt zmęczony, by naciskać: utrzymywał bardzo szybkie tempo, bo chciał jak najprędzej dotrzeć do Norlochu. Kiedy Maerad kładła się spać, zawsze tuliła do siebie chłopca. Hem nigdy nie protestował, a leżąc przy niej, spał spokojniej, jakby jej dotyk

przeganiał nocne zmary.

Pełniąc wartę, Cadvan często przyglądał się dwójce swoich podopiecznych: jasnoskórej dziewczynie i smagłemu chłopcu, których czarne włosy plątały się z sobą w trawie; dwójce piskląt Światła, połączonych niezrozumiałą zachcianką losu. Choć oboje bardzo się różnili, było w nich coś, co ich łączyło, pewne niewypowiedziane porozumienie. Nie wynikało ono jedynie z faktu, że oboje zostali sierotami i musieli przetrwać sami na świecie, w którym nikogo nie obchodziło, czy przeżyją, czy umrą, ani piętno ich wspólnego Daru.

Towarzystwo chłopca sprawiało, że ponownie dostrzegł młodość Maerad - gdy tak leżeli razem, wyraźnie widział, że jej twarz nie straciła jeszcze do końca dziecięcych rysów. Kiedy Cadvan przyglądał się dwójce śpiących, w jego oczach wzbierał wielki smutek; spoglądał na nich z czułością i roztargnieniem, jakby jednocześnie widział obrazy z daleka bądź z odległej przeszłości: może wspomnienie własnego minionego dzieciństwa, gdy spał niewinnie w towarzystwie braci i sióstr i nie miał pojęcia o istnieniu Próżnych, kłopotów i rozpacz.

*

Czwartego dnia w Edinurze ponownie rozbili obozowisko w kotlinie pod osłoną drzew. Przejeżdżali teraz przez rzadziej zaludniony teren, południowy skraj Edinuru, za którym dalej rozciągały się bezludne wzgórza. Coraz rzadziej widywali czarne sylwetki domów na zboczach, a osady dzieliły od siebie coraz większe odległości. Maerad przyjęła to z ulgą: mijane sioła dławiły jej ducha. Wzgórza ciągnęły się przez jakieś dziesięć staj, a za nimi leżała wielka dolina Norlochu, której środkiem płynął Aleph, najszersza rzeka w Annarze. Miasto stało dumnie na wybrzeżu, wznosząc się wysoko ponad żyznymi deltami Alephu, który u ujścia rozdzielał się na dziesiątki szerokich strumieni i wpadał do zatoki Mithrad pośród moczarów gęsto porośniętych namorzynami. Następnej nocy powinni dotrzeć na wzgórza i jeśli dopisze im szczęście, o świcie kolejnego dnia znajdą się w dolinie.

Cadvan nie wyjaśnił tego Maerad, w obawie że Hem uciekłyby na wieść, iż znalazł się tak blisko. Najwyraźniej wszystko związane z bardami budziło w chłopaku głęboką grozę. Maerad jednak wiedziała, że zbliżają się do końca długiej podróży, i nad jej podnieceniem zaczął dominować strach. Po życiu spędzonym w niewoli, we władzy małostkowego tyrana, nawet Innail wydawał się onieśmielający, a co dopiero Norloch, najwyższa stolica bardów. I wszystko, czego dowiedziała się przez, ostatnie trzy miesiące, nie mogło tego zmienić.

*

Kiedy następnego wieczoru wyruszyli w drogę, zmienił się wiatr. Z zachodu powiało

chłodem, niosącym z sobą zmianę pogody i gnającym po niebie chmury. Księżyc wyłonił się zza horyzontu wielki i nabrzmiały, opatulony w czarne łachmany chmur. Cadvan powęszył w powietrzu i ciaśniej owinął się płaszczem, zapinając go tak, by okrył również Hema. Darsor niespokojnie uderzył o ziemię kopytem.

- Czekaj nas ciężka noc - oznajmił bard. - Im dalej zajedziemy, tym lepiej.

Przez chwilę stał w milczeniu, posyłając myśli w noc. Potem, zadowolony z faktu, że nie usłyszał niczego niepokojącego, trącił kolanami Darsora. Wielki czarny wierzchowiec skoczył naprzód, Imi podążyła w ślad za nim.

Parę godzin później zaczęło mżyć, lecz deszcz nie przeszkadzał w podróży, a jazda nie pozwalała zmarznąć. Maerad nie naciągnęła kaptura na głowę; cieszyły ją smagnięcia zimnego wiatru na twarzy, rozwiewającego za nią włosy. Znajdowali się już na wzgórzach, zostawiając za sobą ostatnie domy. Czasami na mijanym szczycie Maerad dostrzegała kształty samotnych kamieni, wbijające się w niebo niczym złowrogie palce, poza tym jednak wzgórze przepływały czarnym oceanem, pełnym mrocznych fal. Księżyc wznosił się wyżej i całkiem zniknął za chmurami, dostrzegali jedynie słaby blask na drodze przed nimi, przecinającej prostą linią rozfalowaną pustkę. Maerad odnosiła wrażenie, jakby w ogóle się nie poruszała, lecz siedziała na grzbiecie Imi niczym statua, a wzgórze płynęły obok, gnane gwałtownymi powiewami wiatru.

Nie odzywali się. Wokół nich przycisła się zasluchana cisza, niedopuszczająca żadnych słów. Maerad zadrżała: chłód zaczynał boleśnie kąsać, naciągnęła zatem kaptur i opatuliła się ciaśniej płaszczem. Czowała, że zbliża się kolejna menstruacja, co czyniło ją wrażliwszą na zimno: jej ciało zdawało się dziwnie kruche, jak zrobione ze szkła. Cadvan jeszcze bardziej popędził konia. Znowu zaczęło padać, tym razem mocniej, a potem księżyc wyłonił się z ukrycia, tak że droga rozsrebrzyła się przed nimi - pasmo wilgotnego blasku ciągnące się bez końca w dal pomiędzy mrocznymi ramionami wzgórz.

W najciemniejszej godzinie nocy Maerad zobaczyła, że droga przebiega przez wysokie wzgórze, biegnąc ciasno pomiędzy dwoma wysokimi kamiennymi zboczami i niknąc wśród cieni. U wylotu szczeliny, na szczycie obu zboczy stały kamienne słupy, niczym dwa strzaskane kłby, tworzące bramę bez sklepienia. Gdy się zbliżyli, Cadvan zwolnił i zrównał się z Maerad. Ujrzała bladą twarz Hema wyglądającą spod płaszcza: oczy miał ciemne, przytomne.

- Nazywają to przejście Połamanymi Zębami - oznajmił Cadvan. - To złe miejsce, a nie mamy czasu, by je okrążyć. Lepiej przejechać przez nie za dnia, choć nawet wtedy jest dość ponure. Jak zawsze, musimy wybrać pomiędzy dwoma niebezpieczeństwami. Bądź

czujna i trzymaj dłoń na rękojeści miecza; uważaj na wszystko i wyostrz zmysły.

Kiedy dotarli do bramy, Maerad poczuła, że dręcząca ją groza narasta, zjeżyły jej się włosy. Cadvan zatrzymał się, nasłuchując; słuchała wraz z nim, ale dobiegał ją tylko świst wiatru.

- Myślę, że w Zębach przygotowano na nas zasadzkę - powiedział cicho Cadvan. - Musimy wybrać mniejsze zło: stawić czoło temu, co nas czeka, albo zaczekać na nich tutaj.

Dobrył Arnosta i klinga zadźwięczała lekko w ciszy. Maerad zawahała się, a potem zacisnęła palce na rękojeści Irigana i zważyła go w dłoni. Nagle usłyszała w pamięci echo kąśliwych słów swego nauczyciela fechtunku, Indika: obyś miała szczęście. Nie czuła, by szczególnie jej dopisywało.

Powoli ruszyli ku bramie. Imi parsknęła, dygocząc pod nią, gdy wkroczyli w czarny cień wzgórza. Gdy minęli kamienne słupy, Maerad miała wrażenie, jakby ktoś przewiązał jej oczy chustą: nie widziała przed sobą niczego, nawet ciemnych sylwetek Cadvana i Darsora. Odetchnęła głęboko, by poskromić strach, i powoli ruszyła naprzód. Stopniowo jej oczy przywykły i zaczęła dostrzegać niewyraźne zarysy cieni pośród cieni. Wszędzie wokół wyczuwała przyczajoną złą wolę, jakby była myszą przekradającą się obok kota, który czeka milczący, nieruchomy, aż ofiara znajdzie się w zasięgu jego pazurów. Szczelinę wypełniała przejmująca groza, którą poprzednio czuła podczas walki z łakami Landrostu, tu jednak było gorzej, znacznie gorzej.

Maerad nasłuchiwała, boleśnie wyęzając zmysły, słyszała jednak tylko ciężką ciszę. Kamienne ściany po bokach wznosiły się coraz wyżej i wyżej, tętent kopyt odbijał się od nich głuchym echem, jakby sam dźwięk umykał przed kamieniem.

Kiedy atak w końcu nadszedł, rozegrał się szybko i bez ostrzeżenia.

Coś błysnęło, zdawało się jednak, że to błysk mroku, nie światła, eksplozja czarnej energii, która nadeszła nagle z góry i z przodu. Cadvan odpowiedział natychmiastową świetlną błyskawicą, nieznośnie jasną w ciemności. Przez sekundę Maerad zobaczyła, że droga przed nimi kipi od wilczych cieni o złowieszczych, ogniście czerwonych oczach. Pośród nich stała wyniosła postać w płaszczu i wysokim hełmie, a za nią zakapturzeni jeźdźcy; wilcze stado kręciło się wokół ich wierzchowców. Cienie cofnęły się przed rozbłyskiem światła, a Cadvan, jaśniejący białym ogniem, uniósł wysoko miecz. Darsor wierzgnął i zarżał, uderzając powietrze kopytami. W tym momencie Imi, dotąd sparaliżowana strachem, szarpnęła się w bok i podskoczyła, zrzucając Maerad na ziemię. Maerad usłyszała, jak klacz umyka drogą. Podniosła się szybko, przywierając do kamiennej ściany i dysząc ze zgrozy.

Cadvan nie opuścił miecza. Choć nadal płonął jasnym, czystym ogniem, siedział nieruchomo na grzbiecie Darsora, jak zahipnotyzowany, i z dreszczem zgrozy Maerad uświadomiła sobie, że jej towarzysz nie może nawet drgnąć. Ciemny kształt ruszył ku niemu; gdy się zbliżył, przekonała się, że jego oblicze nie jest ciemne, lecz migocze złowieszcym blaskiem, który nie oświetlał niczego poza nim samym.

To nie był Próżny, lecz coś starszego, znacznie groźniejszego i bardziej złowrogięgo.

Maerad skuliła się przy kamiennej ścianie. Ten stwór był nieskończenie bardziej przerażający od Kulaga, zwykłego potwora. Wyczuwała boleśnie złowieszcą inteligencję, odrażającą wolę. Czuła, jak skupia się na Cadwanie, zbierając siły, by go powalić. Jej myśli zawirowały i wzdrygnęła się, o mało nie tracąc przytomności, oszołomiona wrażeniem wrogości i odpychającej dumy, przez niezliczone lata przekutej w mordercze ostrze - nieskończenie zgorzkniałej, nieskończenie okrutnej, zimniejszej niż jakikolwiek lód.

To był mór, przywołany z Otchłani. Jego twarz miała niezdrowy odcień czegoś, co od dawna nie żyje, zamiast oczu pozostały w niej tylko puste otwory, w których kryła się nieprzenikniona ciemność. A jednak zdawał się widzieć. W szczelinie unosił się grobowy smród, lodowaty i ohydny. Maerad usłyszała, jak Hem z trudem łapie powietrze.

Mór zbliżył się do Cadvana, dorównując mu wzrostem, mimo że bard dosiadał konia. Zatrzymał się i przemówił śmiertelnie chłodnym głosem, na którego dźwięk Maerad ogarnęła tak wielka odraza, iż miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

- Kto zakłóca sen Sardora? - spytał, a potem roześmiał się i jego śmiech okazał się jeszcze straszniejszy niż głos. - Cóż to za łotrzyk waży się przekroczyć próg mojej komnaty, sądząc w swej niezmierzonej głupocie i próżności, że nadal krępują mnie łańcuchy?

Za jego plecami jeźdźcy zbliżyli się nieco i Maerad odkryła, że to Próżni. Było ich pięciu. Utrzymywali łaki na wodzy, chłuszcząc je okrutnymi pejcami tak, że skomlały i skowyczały.

- Chyba wiem - rzucił drwiąco jeden z nich. - To wielki Cadvan z Lirigonu. Słyszałem, że krąży po kraju bez lęku, gwizdząc na naszego Pana, wierzy bowiem, że jest wielkim bardem i może się sprzeciwić nawet władzy Najwyższego. W swej arogancji czyni to od lat, niestety, nie możemy mu jednak pozwolić, by wędrował dalej.

- Nie - dodał drugi. - A teraz ukradł coś, co należy do mnie. Jego bezczelność najwyraźniej nie zna granic. Moglibyśmy spytać, czemuż to wielki Cadvan, rozpieszczony ulubieniec Norlochu, zadaje się z kimś takim. Najwyraźniej bardzo nisko upadł.

Na te słowa wszyscy Próżni roześmiali się, lecz wysoki stwór stał bez ruchu i milczał.

W końcu Maerad usłyszała głos Cadvana, choć ten nadal się nie poruszył.

- Może i zdarzało mi się nisko upaść - mówił niewyraźnie, jego głos brzmiał, jakby dochodził spod wody, lecz z każdym słowem nabierał mocy - ale moje wspomnienia różnią się od twoich. Ja sądzę, że najniżej upadłem, kiedy poznałem ciebie, Likudzie, niegdyś z Culainu, i że obecnie dotarłem na takie wyżyny, na które nie sięga twoja zamulona wyobraźnia.

Próżny syknął i wzdrygnął się, jakby Cadvan go zranił.

- Pożałujesz tych słów, Cadvanie z Lirigonu - rzekł tonem, od którego Maerad przeszedł dreszcz. - Sprawię, że będziesz miał dużo czasu, by ich żałować.

Światło wewnątrz Cadvana płonęło coraz jaśniej i jaśniej, nadal jednak się nie ruszało. Maerad, przyciśnięta do kamienia, jakby próbowała się w nim ukryć, myślami dodawała mu sił, błagając w panice, by choć drgnął. On jednak siedział jak posąg, wysoko unosząc miecz, Darsor także stał jak wyciosany z kamienia.

- Dostanę to, co do mnie należy - oznajmił Próżny zwany Likudem i podjechał do Cadvana.

Maerad zobaczyła, jak Hem skręca się w zastygłych objęciach barda, tkwił tam jednak uwięziony i nie mógł uciec. A potem z rozpaczliwym szarpnięciem wysunął się i runął z konia. Zerwawszy się z ziemi, umknął drogą. Próżny od niechcenia uniósł rękę i posłał za nim błyskawicę mroku, trafiając go w plecy, tak że chłopak potknął się, runął i znieruchomiał.

- Ze szczurami łatwo się rozprawić - rzekł z pogardą Próżny. - Ale co z królem szczurów? To już zupełnie inna kwestia.

Uniósł pejcz i smagnął Cadvana przez sam środek twarzy. Bard zachwiał się w siodle, na policzku wystąpiła ogniście czerwona pręga. Arnost wypadł mu z dłoni i z brzękiem uderzył o kamień.

- Z tak ohydny robactwem należy rozprawić się bez pośpiechu, nie sądzicie, przyjaciele? Na jakąż zatem karę zasłużył ten renegat, morderca, zdradziecki szpieg? Myślisz, że zapomnieliśmy, Cadvanie, z jakim zapałem studiowałaś tajemnice Mroku? Myślisz, że tanio zapłacisz za podobną zdradę? Męki jednej nocy nie wystarczą. Nie. - Próżny podjechał bliżej do Cadvana, w jego oczach płonęła zimna nienawiść. Splunął mu w twarz. - Nie jedna noc, lecz niezliczone noce agonii, póki umęczony umysł nie stoczy się w otchłań obłędu i nie zdoła znieść własnych myśli, krzycząc samotnie w mroku, na zawsze odcięty od Bramy. A nawet to nie wystarczy. - Ponownie smagnął Cadvana na odlew w twarz i światło płonące wewnątrz barda przygasło. Próżny zamachnął się raz jeszcze, pejcz świsnął w powietrzu, uderzył z trzaskiem i blask Cadvana zniknął bez śladu. Bard runął bez zmysłów na ziemię. A potem Próżni wypuścili łąki, które ruszyły naprzód, wyjąc morderczo.

Maerad patrzyła bezradnie, skulona wśród cieni, odrętwiała ze zgrozy i z rozpacz. Patrzyła, jak Cadvan spada z grzbietu Darsora i z mdlącą nieuchronnością koszmarnego snu upadek jego zdawał się trwać całymi godzinami. W końcu uderzył o ziemię i legł bez ruchu u stóp konia, jego pokrwawiona twarz jaśniała blado w mroku. A kiedy spadał, wydało jej się, że widzi coś jeszcze: swego ojca także padającego, z głową zmiażdżoną ciosem maczugi, a za nim wieże Pellinoru, walące się wprost w ryczący ocean płomieni.

Na ten widok załapała ją fala smutku i rozpacz. Teraz zostałam tylko ja - pomyślała. - Co mogę zrobić? Cadvan był nieprzytomny, może nawet nie żył, Hem leżał martwy za jej plecami. A teraz widziała przed sobą własną śmierć. Zrozpaczona i samotna wstała, nieświadoma łez płynących po policzkach. I gdy tak stała, ujrzała czymś innym niż oczy, że łaki pędzą ku Cadvanowi i Darsorowi i za moment ich dopadną. Nagle fala żalu zamieniła się we wszechogarniający gniew i zupełnie jakby ów gniew zerwał zasłonę, wewnątrz Maerad ożyła nowa świadomość. Mimo rozpaczliwej sytuacji poczuła szaleńczą, palącą radość. Krew śpiewała jej w żyłach niczym srebrny ogień. W końcu pojęła swoją moc i wiedziała z radością, jakiej doświadcza się tylko w snach, co ma robić. Wyciągnęła przed siebie obie ręce i wykrzyknęła:

- *Noroch!*

Drogę rozjaśniły białe płomienie, rzucające na twarze Próźnych potworne cienie. Łaki odpowiedziały ogłuszającymi wrzaskami i skowytami. Wszystkie płonęły, biały ogień przebiegał im po grzbietach i przeskakiwał z boku na bok, a one ujadły i wyły jak szalone, umykając przed płomieniami. Konie Próźnych wierzgały, krzycząc ze zgrozy, i cofały się drogą, oddalając się od Cadvana. Sami Próźni brutalnie szarpali wodze, tak mocno że z pysków zwierząt ściekała krwawa piana, próbując zmusić je, by skierowały się z powrotem w stronę Maerad. Wbijali wzrok w czerń poza falą ognia, usiłując odnaleźć jego źródło, lecz mała postać Maerad, przyciśnięta do kamiennej ściany, nikła pośród roztańczonych cieni, rzucanych przez ogniste inferno. Zanim zdołali ją zobaczyć, posłała przed siebie potężny jęzor białego ognia, strącając Próźnych z siodeł.

Nie miała czasu, aby zdumieć się tym, czego dokonała. Mór nadal stał niewzruszony - potężny, wrogi cień - i w tym momencie ją dostrzegł, ona zaś poczuła potęgę jego złowieszczej woli, która wcześniej z żelazną siłą podporządkowała sobie Cadvana. Przez sekundę Maerad sądziła już, że jest zgubiona, napierająca na nią mordercza moc zmusiła ją do schylenia głowy, wówczas jednak ujrzała bladego Cadvana, leżącego bez ruchu na ziemi, i gniew rozgorzał w niej z nową mocą. Szybciej niż myśl uderzyła szaleńczo, całą swoją siłą, i zobaczyła przez moment mora przesytego jakby błyskawicą. Stwór wydał z siebie straszny

piskliwy wrzask, zwijając się wśród płomieni, a potem zniknął sprzed jej zdumionych oczu. I nagle wokół zapadła cisza, którą zakłócał jedynie cichy trzask płonących w górze gałęzi i jej własny ochryply oddech.

Osunęła się na kolana, na dłuższą chwilę świat wokół pociemniał. Potem przypomniała sobie o przyjaciółach i poczołgała się w stronę leżącego na drodze Cadvana; nogi trzęsły jej się zbyt mocno, by mogła wstać. Darsor nadal stał obok, zlany potem i rozdygotany, nie porzucił jednak przyjaciela i lekko trącił go pyskiem.

- *An de anilidar, Darsor?* - spytała.

Mowa przychodziła jej równie naturalnie jak oddech, jakby zawsze nią władała.

Wierzchowiec zwrócił ku niej swą wielką głowę i dmuchnął jej na dłoń. Potem przemówił, jak gdyby w jej umyśle, a ona zrozumiała.

- *Nic mi nie jest* - odparł. - *Ale mój przyjaciel ucierpiał. Myślę, że żyje, lecz oddycha bardzo słabo.*

Maerad pogładziła czoło Cadvana. Było mokre od krwi i potu. Jedno oko miał podbite i zapuchnięte, na lewym policzku pozostały krwawe pręgi w miejscu, gdzie rzemień wbił się w ciało. Nie wiedziała, co robić. Rozpaczliwie pożałowała, że nie dysponuje umiejętnością uzdrawiania. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy zdoła wspomóc go swą nową mocą, ale nic wewnątrz niej nie poruszyło się w odpowiedzi; czuła się kompletnie pusta. Zaczęła obmacywać ostrożnie jego twarz i ciało, lecz nie wyczuła żadnych złamań. Proszę - błagała w duchu - proszę, ocknij się. Siedziała tam bardzo długo, gładząc twarz Cadvana, on jednak nawet nie drgnął i w słabym świetle wyglądał upiornie blado. Cieszyła ją obecność Darsora; nigdy jeszcze nie czuła się równie samotna. Nie bała się. Ale nadal znajdowała się w głuszy, Cadvan był nieprzytomny, a ona nie wiedziała, gdzie się podziewa Imi, Darsor zaś nie zdołałby ponieść całej trójki.

I nagle, w jednym rozbłysku, przypomniała sobie o Hemie. Obawa o los Cadvana sprawiła, że kompletnie o nim zapomniała. Zaczęła szukać go wzrokiem na drodze. Natychmiast wypatrzyła drobną sylwetkę na ziemi, leżącą z rozrzuconymi rękami i nogami, ciśniętą mocą błyskawicy. Wstała i podeszła do niego chwiejnie, zastanawiając się, czy zginął. Odwróciła go i głowa chłopca poleciała do tyłu, zwisając bezwładnie. Przez moment była pewna, że nie żyje, potem jednak przycisnęła mu ucho do piersi i usłyszała słabe bicie serca. Potrząsnęła nim łagodnie, jakby spał, i ku jej uldze chłopiec otworzył oczy. Spojrzał jej w twarz ze śmiertelną grozą, a potem wzdrygnął się i cofnął.

- Nie, Hem, już w porządku - rzekła. - Wszyscy Próżni nie żyją. Wszystko minęło. - Wbrew własnym słowom poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

- Minęło? Jak? - spytał słabo chłopiec. Potem usiadł. - Kłamiesz - dodał.

- Nie da się zabić mrocznych bardów.

- Ależ da się - odparła Maerad. - Właśnie to zrobiłam.

Hem przyglądał jej się z niedowierzaniem, potem spojrzął przed siebie. Wciąż było za ciemno, by cokolwiek wyraźnie zobaczyć, lecz na gościńcu dalej za Darsorem dało się dostrzec niewyraźne plamy: trupy Próżnych i ich wierzchowców. Odwrócił się do Maerad, patrząc na nią z podziwem i zdumieniem.

- Co się stało z Cadvanem? - spytał.

- Jest ranny - odparła. - Próżni go zranili. - I znów odkryła, że płacze; zniecierpliwionym gestem otarła łzy. - Musimy się stąd wydostać. A ja nie wiem, gdzie jest Imi. Uciekła. Dasz radę iść?

Hem wstał powoli.

- Tak - rzekł.

- Musisz mi pomóc - rzuciła. - Sama nie dam rady podnieść Cadvana.

Razem wrócili do Cadvana i Darsora. Koń spojrzął na nich pytająco.

- Posadzimy na tobie Cadvana - oznajmiła Maerad w Mowie. - Mógłbyś nam pomóc?

- *Uklęknę* - odparł koń - *a wy będziecie musieli go przytrzymać, żeby nie spadł.*

Cadvan był ciężki i bezwładny, nawet po uklęknięciu Darsora potrzebowali dużo czasu, by wsadzić go na koński grzbiet. Maerad zagryzła wargę; cały czas obawiała się, że jeszcze bardziej go zranią. Przewiesili go przez siodło jak trupa, z głową z jednej strony i stopami z drugiej, a potem Darsor dźwignął się z ziemi. Maerad podniosła Arnosta, niepewna, co z nim zrobić; w końcu znalazła pochwę Cadvana i ukryła w niej miecz. A potem Maerad, stąpając z jednej strony konia, i Hem z drugiej, ruszyli powoli gościńcem. Minęli Próżnych; dziewczyna odwróciła twarz, by na nich nie patrzeć; i bez tego wiedziała, że wszyscy nie żyją, nie czuła potrzeby, by się przyglądać. Hem natomiast wpatrywał się w bezkształtne płaszcze i rozrzucone kości i jeszcze po chwili odwracał głowę, jakby nie wierzył, że coś takiego mogło się wydarzyć. Nie dostrzegli ani śladu łaków.

Po niecałej półgodzinie Maerad ujrzała przed sobą szare nocne niebo po drugiej stronie szczeliny. W końcu wynurzyli się z niej na otwarte wzgórza i poczuła na twarzy czysty, rześki wiatr. Księżyc zniknął za smugami chmur, pomyślała, że wkrótce nastanie świt. Była bardzo zmęczona, ale w kościach czuła nową sprężystość i wiedziała, że w razie potrzeby mogłaby maszerować całą noc i następny dzień, nie zważając na znużenie. Po jakiejś mili zarządziła popas i wraz z Hemem ostrożnie zdjęli Cadvana z grzbietu Darsora, i położyli na trawie. Ściągnęli też jego sakwę. Maerad znalazła w niej bluzę, którą wsunęła mu pod

głowę jak poduszkę. Kiedy go na niej układała, z nagłym lękiem odkryła, że twarz Cadvana zbladła jeszcze bardziej. Obawiała się, że bard umiera, potem jednak pojęła, że to pierwsze zwiastuny świtu, posyłającego na pola nocy zwiadowców, którzy powlekli wzgórze jasną szarością.

- Darsorze - powiedziała - Imi uciekła.

- *Nikogo nie można winić za to, że dał się ponieść strachowi w obliczu podobnych nieprzyjaciół* - odparł Darsor.

- Ja jej nie winię - rzekła Maerad. - Zastanawiam się jednak, jak zdołamy ją znaleźć. Mógłbyś jej poszukać?

Darsor zamarł bez ruchu, oglądając się na wzgórze i wężąc w powietrzu.

- *Daleko uciekła, spłoszona* - powiedział. - *Będzie jej wstyd. Mogę ją tu wezwać, jeśli zajmiesz się moim przyjacielem.*

- Zajmę - przyrzekła Maerad. - To także mój przyjaciel.

Darsor uderzył kopytem o ziemię, potem lekko trącił Cadvana pyskiem, jakby chciał mu wyszeptać coś do ucha. Następnie ruszył i Maerad przekonała się w końcu, jak szybko potrafi biegać: pędził gościńcem niczym czarna strzała, a tętent jego kopyt brzmiał jak grzmot.

*

Maerad z Hemem siedzieli na poboczu, patrząc, jak słońce wschodzi ponad wzgórzami. Stopniowo świat zapelniał się kolorami, wokół nich rozdzwiewał chór ptasich głosów i groza umknęła. Cadvan nadal się nie poruszał. Maerad wyjęła z juków nieco prowiantu, zjedli z Hemem, a potem wodą z bukłaka nasaczyła rąbek płaszcza, by móc przemyć rany barda. Teraz wyglądały jeszcze gorzej: twarz miał paskudnie posiniaczoną i pokaleczoną. Jeden z rzemieni o włos chybił oka, rozdzierając skórę pod nim, przynajmniej jednak rany przestały już krwawić. Fakt, że Cadvan wciąż nie odzyskał świadomości, przerażał ją: oceniała, że od jego upadku musiały minąć co najmniej cztery godziny, a przez cały ten czas nawet nie drgnął. Zaczęła grzebać w jego worku i odnalazła miksturę, którą potraktował jej własne skaleczenie. Posmarowała nią ranę.

- Może daj mu trochę medhyłu? - zaproponował Hem.

Wyciągnęła butelkę i unosząc głowę Cadvana na kolanach, wcisnęła mu szyjkę między zęby i zwilżyła płynem usta. Większość wyciekła mu po brodzie. Gdy to robiła, wiszący na jej szyi klejnot opadł i dotknął twarzy Cadvana. Maerad niecierpliwie podrzuciła głowę, by go odsunąć, ale Hem ją powstrzymał.

- Popatrz! On świeci!

Spuściła wzrok i przekonała się, że klejnot istotnie jaśniej białym ogniem, który zdawał się płonąć w jego głębi. Przypomniała sobie Silwię, łagodną uzdrowicielkę, od której go dostała. Z całego serca pożałowała, że nie ma jej z nimi.

- Spróbuj może potrzeć go tym albo co - podsunął Hem. - Może to kamień uzdrawiający?

Maerad przyłożyła klejnot do czoła Cadvana i zaczęła delikatnie pocierać go nim po twarzy. Proszę - powtarzała w myślach - proszę, obudź się. Nie była pewna, czy to nie złudzenie wywołane promieniami słońca, wydało jej się jednak, że twarz Cadvana lekko poróżowiała. Zachęcona, spróbowała ponownie. Po jakimś czasie upewniła się, że to nie iluzja. A potem, ku jej radości, powieki barda zatrzepotały i spojrzał jej prosto w twarz.

- Maerad - rzekł. Jego oczy znów się zamknęły.

- Cadvan? - rzuciła łamiącym się głosem.

- Na Światło, ależ mnie boli głowa. Przypuszczam, iż znaczy to, że nie umarłem - znów zamknął oczy. - Gdzie jesteśmy?

- Gdzieś na wzgórzach - odparła. - Po drugiej stronie Połamanych Zębów. Darsor pobiegł poszukać Imi. - Miała ochotę rozplakać się z ulgi, uznała jednak, że dość już płakała tego ranka, i zdusiła łzy. Cadvan leżał w milczeniu, zaciskając powieki. Potem z jękiem usiadł i objął głowę dłońmi. - Chcesz może medhyłu? - Maerad podsunęła mu butelkę.

Pociągnął długi łyk i napój najwyraźniej dodał mu sił. Zaczął grzebać w jukach, wyciągnął niewielką flaszeczkę i napił się z niej.

- Czyściec i inne zioła łagodzące ból - wyjaśnił, zerkając na Hema i Maerad. Pomacał palcami twarz. - Widzę, że już mnie posmarowałaś.

- Pamiętałam, jak opatrzyłeś moją ranę maścią - odparła Maerad - ale nie wiedziałam, jak cię obudzić. - Głos znów jej się załamał. - Potem jednak Hem powiedział, że to może być kamień uzdrawiający, toteż spróbowałam potrzeć cię nim i się obudziłeś... - Urwała, z całej siły walcząc, by nie wybuchnąć płaczem.

Cadvan spojrzał na nią, spróbował się uśmiechnąć i skrzywił z bólu.

- Cóż, już się obudziłem. Bardziej przytomny nie będę. Ostatnie, co pamiętam, to chłostającego mnie Próżnego, a za jego plecami upiora z otchłani, falangę łaków i kolejnych Próżnych; upiór mnie unieruchomił i nie mogłem nic zrobić. Wyglądało to bardzo źle. A potem pamiętam mnóstwo koszmarnych snów.

Zadrzał i umilkł; Hem i Maerad popatrzyli po sobie i czekali.

- Pewnie znów ocaliłaś mi życie? - odezwał się w końcu Cadvan. - To już trzy razy. Zaczynam się zastanawiać, jak przetrwałem bez ciebie.

- A jak przetrwałeś? - zaśmiała się Maerad.

- Pewnie dzięki szczęściu - mruknął. - Choć możliwe, że życie w twoim towarzystwie jest po prostu niebezpieczniejsze. Powiedz mi zatem, Maerad, co zrobiłaś?

Maerad opowiedziała im, co dokładnie zaszło, Cadvan usiadł wyprostowany, jego oczy lśniły. Hem słuchał w milczeniu, jego twarz skrywał cień. Kiedy skończyła, bard ścisnął jej dłoń.

- A zatem w końcu uzyskałaś Mowę! W ostatniej chwili... Maerad, nigdy nie słyszałem o bardzie, który poraziłby upiora, rozrywając go na kawałki. Nie upiora z otchłani. Masz moc, której nie pojmuję. Przypomnij sobie Kulaga w lasach niedaleko Ettinoru. I wygląda na to, że Mrok też nic o niej nie wie.

Dłuższą chwilę siedział w milczeniu, zatopiony w myślach.

Maerad i Hem podali mu skromny posiłek. Cadvan przeżuwał ostrożnie, starając się nie naciągać skóry twarzy, i pociągnął kilka łyków z bukłaka z wodą.

- Przypominam sobie, jak wpadliśmy w zasadzkę - oznajmił, nie przerywając jedzenia.

- Połamane Zęby uważa się za złe miejsce, ale to tylko miejsce spotkań łaków, z którymi łatwo się rozprawić. No, dość łatwo. Nawet z Próżnymi poradziłibyśmy sobie. Nie spodziewałem się jednak upiora, i dobrze wiemy, co się dalej stało. - Uśmiechnął się melancholijnie. - Nie przeprawiliśmy się przez Edinur tak niepostrzeżenie, jak pragnąłem. Mrok ma wiele sług. Chyba że ktoś pozostawił ślady, którymi mógł za nami podążać.

- Spojrzał na Hema, nagle jego twarz przybrała surowy, zimny wyraz. - Nie sądzę, że możesz mnie okłamać. Nie zdołasz. Myślę, Hem, że czas już, byś powiedział mi, kim jesteś.

XIX

HEM

Hem zwiesił głowę. Maerad dostrzegła, że jego policzki płoną rumieńcem - nie wiedziała: wstydu czy upokorzenia.

- Nie sądzę, by Hem... - zaczęła, ale Cadvan jej przerwał.

- Ani ty, ani ja nic nie wiemy o Hemie. Teraz chciałbym się dowiedzieć. I chciałbym poznać prawdę.

Hem milczał ze spuszczoną głową. Maerad spojrzała na niego z litością i odwróciła wzrok.

- Mów! - rzucił szorstko Cadvan.

- Uciekłem od mrocznych bardów - rzekł Hem tak cicho, że Maerad ledwie go słyszała.

- To wiem - odparł niecierpliwie Cadvan. - Chcę się dowiedzieć, co u nich robiłeś. I dlaczego cię ścigali. Chcę wiedzieć, kim jesteś.

Powoli, po kawałku, zaczęła się przed nimi odsłaniać historia Hema. Jak twierdził, był sierotą i jeszcze dwa miesiące wcześniej mieszkał w sierocińcu w Imrath, głównym mieście Edinuru. Niewiele mówił o swym tamtejszym życiu, lecz twarz Cadvana pochmurniała coraz bardziej. Znał te miejsca; miejsca gdzie trafiały dzieci, na których nikomu nie zależało i gdzie trzymano je w strasznych warunkach. Jeśli były okaleczone, niedorozwinięte bądź słabe, nie dostawały dość jedzenia i zwykle umierały na chorobę wywołaną głodem i osłabieniem. Kiedy dorosły dostatecznie, by pracować, wynajmowano je za opłatą na rzecz sierocińca albo sprzedawano w niewolę. W dawnych czasach dziećmi pozbawionymi opieki zajmowali się bardowie, lecz w miejscach, które opuścili, powstawały owe małe, cuchnące więzienia przyjmujące sieroty, a teraz, z powodu białej plagi, było ich bardzo dużo.

W miarę poznawania historii Hema pytania Cadvana stawały się coraz mniej surowe. Chłopiec powiedział im, że kiedy miał dwa lata, przywiózł go do sierocińca na koniu człowiek w czarnym płaszczu. Oprócz tego nic więcej o sobie nie wiedział. Nie miał pojęcia o swym życiu przed sierocińcem, ale pocieszał się myślą, że może jest synem księcia bądź wielkiego pana i pewnego dnia mężczyzna w płaszczu powróci, by go zabrać. Był dumnym

dzieckiem, nie przyznawał się do cierpienia, ale gdy tak mówił, przed Maerad otworzyła się panorama ponurych, pozbawionych miłości dni i samotnych nocy pełnych strachu i serce ścisnęło jej się z litości.

Mowa przebudziła się w nim, gdy miał dziesięć lat. Kiedy próbował ukraść kotce jedzenie, ta syknęła na niego.

- Co powiedziała? - spytała ciekawie Maerad.

- Powiedziała, że jestem kupą mysiego łajna i że kiedy zasnę, wydrapie mi oczy.

Uciekł i ukrył się przerażony, potem jednak przywykł i zaczął rozmawiać z ptakami, najprzyjaźniejszymi ze wszystkich zwierząt. Opowiadały mu o krainach leżących daleko na południu, gdzie słońce całymi dniami świeci ciepło, a drzewa uginają się pod ciężarem cudownych, słodkich owoców. Hem marzył o wyprawie do owych magicznych krajów i postanowił, że kiedy dorośnie i zostanie wysłany na farmę, ucieknie. Nie śnił już o powracającym po niego jeźdźcu, odrzucił te wizje jako dziecięce bajania. Inni zauważyli, jak rozmawia z ptakami, i zaczęli nazywać go czarownikiem, wspominali nawet o tym, że go utopia, przywiążą do nóg ciężkie kamienie i wrzucą do rzeki - to samo czynili z innymi obdarzonymi Mową. Musiał się zatem ukrywać i rzadziej rozmawiał z ptakami, bo w sierocińcu trudno było znaleźć ustronne miejsce, stał się też jeszcze większym samotnikiem.

A potem pewnego dnia wezwano go do Malik, kobiety o zimnych oczach, zarządzającej sierocińcem. Obok niej stał mężczyzna w kapturze i czarnym płaszczu. Oto spełniło się dawne marzenie Hema, on jednak przerażony cofnął się pod ścianę, bo ręce mężczyzny były białe i kościste i nie widać było jego twarzy. Malik jednak nie bała się, traktowała gościa jak wielmożnego pana. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, uśmiechnęła się do Hema.

- Hemie - rzekła - to jest twój wuj. W końcu powrócił z dalekich krain i chce cię zabrać. Masz szczęście.

Hem uniósł wzrok, ale nie zdołał przeniknąć spojrzeniem pod kaptur.

- Pozbieraj swoje rzeczy, chłopcze - poleciła Malik. - Wracasz do domu.

Hem nie miał nic do zabrania, toteż stał w milczeniu przed dwojgiem dorosłych, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Potem zawieziono go na koniu do domu Laramana, burmistrza Imrathu. Była to piękna rezydencja, najwspanialsza w mieście, i przez jakiś czas Hem czuł się szczęśliwy, bo sądził, że jego marzenia się spełniają. Pierwszy raz w życiu miał dość jedzenia, wygodne łóżko do spania i nikt go nie bił.

Laraman traktował go chłodno, lecz tolerował jego obecność, byle tylko nie musiał z nim rozmawiać. Był najważniejszym człowiekiem w Edinurze i traktował cały region jak

swoje prywatne księstwo, narzucając wysokie podatki i surowe prawa. Wyglądało na to, że pięciu mężów w czarnych płaszczach to jego słudzy, choć Hem odnosił wrażenie, że Laraman się ich boi, i wyglądało raczej na to, że to oni mówią mu, co ma robić.

- Oznajmili, że są mrocznymi bardami i że ja też mógłbym nim zostać - powiedział. - Mówili, że są najpotężniejsi ze wszystkich bardów i jeśli stanę się jednym z nich, nigdy nie umrę i zostanę wielkim panem. Pewnego dnia jeden z nich przebił drugiego mieczem, a ten zraniony stał, jakby nic się nie stało. Spytałem, czy znam już wiedźmią mowę, ale odparłem, że nie, i się nie przyznałem. Z początku myślałem, że im to wystarczy, ale potem...

Hem mówił swobodnie, zupełnie jakby, kiedy już raz zaczął, z ulgą otwierał się przed nimi. Urwał jednak, a jego twarz sposepniała; wyglądał teraz bardzo młodo i bezbrinnie.

- Potem? - powtórzył surowo Cadvan.

- Chcieli, żebym zaczął naukę.

Zapadła długa cisza. Hem wbijał wzrok w ziemię. Kiedy znów się odezwał, przemawiał monotonnym, zduszonym głosem.

- Obudzili mnie w środku ciemnej nocy, podczas ostatniego nowiu, dwa tygodnie temu. Zabrali mnie na dół, na dziedziniec. Palił się tam ogień, ale miał dziwny kolor, zielone płomienie, które strzelały wysoko w górę i nie migotały. A jeden z bardów miał, miał... - znów urwał.

- Nie nazywaj ich bardami, Hemie - powiedział łagodnie Cadvan. - To nie są bardowie. To jedynie Próżni.

- Miał z sobą małego chłopca. Znałem go, to był Mark z sierocińca. Młodszy ode mnie, ale czasami bawiliśmy się razem - Hem pociągnął nosem. - Lubilem go - znów urwał. - Mark płakał i wrywał się z objęć tamtego, nie miał na sobie ubrania. A oni dali mi czarny nóż i kazali go zabić.

Zapadła głucha cisza. W końcu Maerad przerwała ją niemal szeptem.

- I zrobiłeś to?

- Próbowali mnie zmusić - oznajmił Hem. - Mówili, że mnie pobiją i że nie dostanę nic do jedzenia i zamkną mnie w pokoju. A potem śmiali się ze mnie, to było okropne, mówili, że w przeciwnym razie wbiją nóż we mnie, i przyłożyli mi go do gardła, ale, ale... nie mogłem. A potem oni... Nie, nie, nie mogę o tym mówić. - Ukrył twarz w dłoniach. - Oni go zabili. To było straszne. I powiedzieli, że następnym razem, jeśli tego nie zrobię, to samo spotka mnie.

Hem płakał, łzy ściekały mu po twarzy, tworząc małe strumyki w pokrywającym ją brudzie. Maerad i Cadvan czekali. Po jakimś czasie przestał płakać, choć jego pierś nadal

unosila się i opadała gwałtownie.

- Zamknęli mnie w pokoju i tego dnia ani następnego nie dostałem nic do jedzenia. A jeszcze następnego bar... Próżni wyszli, wszyscy inni też i ktoś okradł dom. To był Sharn. Znalazł mnie w moim pokoju i zabrał z sobą.

- Co jeszcze ukradł? - spytał Cadvan.

- Och, pieniądze i inne rzeczy, które mógł sprzedać. Kamienie.

- Jakie kamienie?

- Drogocenne, nadające się na handel. Powiedział, że się ukryje, póki nie ucichnie zamęt, a potem pojedzie na południe i sprzeda je na targowiskach, zarabiając fortunę. Pomyślałem, że to dobrze i że pojedę z nimi na południe, może znajdę miejsca, o których opowiadały ptaki. Dlatego właśnie znaleźliśmy się w Valverras - urwał, a jego usta znów wykrzywił grymas smutku. - Byli dla mnie dobrzy. Powiedzieli, że jestem jednym z nich.

Cadvan ujął chłopca pod brodę, tak jak wcześniej, i Hem spojrzał mu prosto w oczy. Po długiej chwili bard uśmiechnął się, Maerad odetchnęła z nagłą ulgą. Była pewna, że tym razem Hem nie kłamie.

- Dlaczego Próżni cię nie znaleźli, kiedy zaatakowali Pilanelów? - spytała.

Hem zadrżał.

- Słyszałem z daleka, że nadchodzą - powiedział. - Wiedziałem, że się zbliżają, powiedziałem Sharnowi, ale mnie wyśmiał, mówił, że jestem głupi i tylko to sobie wyobraziłem. Wtedy się schowałem. Pilanelowie myśleli, że uciekłem na pustkowia. A potem zjawili się Próżni... - urwał. Po jego twarzy przebiegł cień, gdy przed oczami stanęło mroczne wspomnienie. - Wszystko słyszałem - wyszeptał. - Chcieli wiedzieć, gdzie jestem, i Sharn powiedział, że mnie sprzedali, a później, że uciekłem. A potem oni... oni zabili małą i ich torturowali, i Sharn krzyczał, że uciekłem. Ale myślę, że Próżni zrobili to dla... dla zabawy. I powiedzieli, że i tak mnie znajdą, po czym odjechali ze śmiechem.

Jakiś czas cała trójka siedziała w milczeniu. Maerad przypomniała sobie żalosne ciała i szybko odepchnęła te myśli.

- Hem - Cadvan przemówił głosem pozbawionym wszelkiej surowości - nie przypuszczam, żebyś miał przy sobie te kamienie...

Chłopak z wahaniem zdjął noszony na szyi woreczek i rozsypał rzemyk. Ze środka wysypały się trzy błyszczące czarne kamienie z wyrzeźbionymi na nich wyszczerzonymi, złowieszczymi twarzami, a także poczerniały srebrny drobiazg.

- Pomyślałem - wyjąkał - że mógłbym je sprzedać na targu, tak jak mówił Sharn, i pojechać na południe. Były też inne kamienie, ale Próżni musieli je zabrać. - Spojrzał na

trzymane na dłoni przedmioty i podał je bardowi.

- Medalion jest mój - dodał dziwnie wyzywającym tonem, jakby obawiał się, że mu nie uwierzą. - Jego nie ukradłem. - Zacisnął na nim palce.

Bard wziął kamienie i poturlał na dłoni, śmiejąc się cicho.

- Och Hem, Hem, Hem. Nie masz pojęcia, co to. Owszem, mógłbyś je sprzedać na targu, ale tylko tym, którzy wiedzą, jak z nich skorzystać.

- Co to takiego? - spytała ciekawie Maerad.

- Czarooka. Próżni musieli je tam zostawić na wypadek, gdyby ktoś wrócił do wozu. Pewnie sądzili, że to będziesz ty, Hemie. Przypuszczam, że nie mogli uwierzyć własnemu szczęściu, kiedy my się zjawiliśmy. Teraz są beużyteczne, nie pozostała w nich żadna moc. Podejrzewam, Maerad, że zeszłej nocy zniszczyłaś wszystko pochodzące z Mroku w promieniu kilku mil. Powiadam ci jednak, Hemie, że gdybyśmy przejechali przez Edinur w blasku słońca, z trąbami i heroldami zapowiadającymi nasze przybycie, nadal nie pomogłoby to Próżnym tak bardzo, jak ci mali szpiedzy podróżujący z nami. Wszystko, o czym mówiliśmy, wszystko, co robiliśmy, stało przed nimi otworem, dopóki były przy nas. Wiedzieli dokładnie, gdzie jesteśmy, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy. Zastawili na nas piękną zasadzkę i tym razem Cadvan z Lirigonu miał z niej nie umknąć. - Kolejno cisnął kamienie między wzgórze.

Maerad powróciła niespokojnie myślami do ich rozmów z ostatnich kilku dni.

- Ostatnio o niczym szczególnym nie wspominaliśmy - rzekła niepewnie.

- Nie - przytaknął Cadvan. - Na szczęście. No cóż, Hemie, wszystko dobre, co się dobrze kończy, ale ta przygoda o mało nie zakończyła się bardzo źle. Wręcz tragicznie.

Hem spuścił wzrok, jego policzki załał rumieniec. Cadvan poklepał go po ramieniu.

- Wybaczam ci, że przez ciebie o mało nie zginęliśmy albo jeszcze gorzej - spróbował się uśmiechnąć i syknął z bólu. - Ale pamiętaj, lepiej nie tykać przedmiotów z Mroku. Stworzono je wyłącznie do złych celów. - Hem przytaknął, przełykając ślinę. - Pozwolisz, że obejrzę twój medalion?

Chłopak niechętnie podał mu przedmiot i Cadvan zbadał go uważnie. Maerad zerknęła na niego ciekawie: tak bardzo poczerńiał, że srebro niemal nie świeciło, z jednej strony widniał na nim jakiś dziwny wzór, z drugiej niezrozumiały napis. Popatrzyła pytająco na Cadvana i zobaczyła, jak jego twarz tężeje w szoku. Zerknął szybko na nią z dziwną miną, a potem znów wbił wzrok w medalion. Kilka razy bez słowa obrócił go w dłoniach.

- No co? - spytała Maerad, kiedy cisza przeciągnęła się nieznośnie.

Hem obserwował ich oboje z mieszaniną oszołomienia i lęku.

Z początku Cadvan nie odpowiedział.

- Maerad - rzekł wreszcie - jak dobrze pamiętasz swojego ojca?

Dziewczynę zaskoczyło to pytanie.

- Niezbyt dobrze - odparła. - Odrobinę. A czemu?

- Pamiętasz, jak wyglądał?

Cadvan przyglądał jej się z dziwnym naciskiem, posłusznie zaczęła więc przywoływać wspomnienia, zastanawiając się, co go gryzie.

- Był wysoki. I miał długie czarne włosy. Myślę, że oczy miał szare albo niebieskie, nie pamiętam... - Odgarnęła włosy z twarzy i rozejrzała się po pustych wzgórzach. Krew zaczęła jej tętnić z dziwnym, bolesnym wyczekiwaniem. - Dlaczego?

- Czy wiedziałaś, że Dorn był jednym z Pilanelów?

- Z Pilanelów? Nie, ja... - Spojrzała na Cadvana i na Hema, a serce ścisnęło jej się nagle.

Cadvan wciąż wpatrywał się w nią z owym niezwykłym naciskiem.

- Maerad, czy widziałaś, jak zginął Cai?

- Wszystkich zabili - zaczynała ją ogarniać panika. - Wszystkich oprócz mnie i Milany.

- Ale nie widziałaś jego śmierci?

- Nnnie... - boleśnie wykręciła palce. - Nie, nie widziałam... jak go zabili...

Cadvan podał jej medalion.

Uniosła go na dłoni i potarła palcami. Z początku nie wydawał się niczym szczególnym, był taki brudny. Ale kiedy przyjrzała się bliżej, odkryła, że zdobi go misterna podobizna kwiatu: lilii. Kalii. Tej samej, identycznej jak na jej broszy.

- To symbol Pellinoru, Maerad - oznajmił cicho Cadvan. - Ta ozdoba to starożytna pamiątka. Od pięciuset lat nie robi się znaków szkół w formie medalionów.

Maerad obróciła w palcach wisior. Na jego odwrocie widniał napis w piśmie Nelsora, ale ze zdenerwowania nie mogła go odczytać.

- Co tu jest napisane? - wyszeptwała.

- Piszą tu: *Ardrost Kami. Minelm le caraë.*

- Ród Karn. Minelm mnie zrobił. - Maerad przykucnęła jak ogłuszona. Ród Karn.

- Mógłbym go dostać z powrotem? - Hem wyciągnął rękę. - Już skończyliście? Jest mój.

Wyrwana z zamyślenia Maerad odruchowo sięgnęła ku niemu.

- O co chodzi? - spytał.

- Ród Karn to mój ród, Hemie - oznajmiła. Patrzyła na niego, myśli galopowały jej w głowie tak szybko, że ledwie zdołała je ogarnąć.

- I co z tego? To mój medalion - wyrwał jej go i schował z powrotem do woreczka. - Należy do mnie.

- Tak, do ciebie. - Maerad nie wiedziała: śmiać się czy płakać. - Ale do mnie także. Bo widzisz, ród Karn to moja rodzina.

Hem, zaskoczony, popatrzył na nią.

Cadvan przyglądał im się w milczeniu.

- Macie te same oczy - rzekł. - Kiedy się wie, łatwo to zauważyć - pogładził dłonią czoło. - Żałuję, że jestem taki słaby. I taki zmęczony. Teraz chyba widzę.

- Ale co? - Gniew na bladej, napiętej twarzy Hema ustępował miejsca oszołomieniu. - To jakaś sztuczka?

Przez moment zmarszczył czoło, jakby miał się rozplakać, i uniósł pięści do oczu niczym mały chłopczyk. Maerad pragnęła go uściskać, tak jak to czyniła odruchowo, odkąd go znaleźli, ale nagle obezwładniła ją dziwna nieśmiałość. Przez chwilę cała trójka siedziała w milczeniu.

- To żadne sztuczki, Hemie - oznajmił Cadvan. - Myślę, że możesz być bratem Maerad. Jesteś w odpowiednim wieku. I wyjaśniałoby to, dlaczego Próżni chcieli cię dostać. Mogli cię porwać po splądrowaniu Pellinoru.

Maerad powoli otrząsała się z szoku.

- To dlatego tam, w Valverras, musiałam to sprawdzić. - Potrząsnęła głową, próbując wyjść z oszołomienia. - Hemie, ja wiem, że to prawda. To znaczy, że jesteś moim bratem i tak naprawdę nie nazywasz się Hem. Twoje właściwe imię to Cai - nadal wpatrywała się w niego. - Myślałam, że nie żyjesz.

Sama nie wiedziała, co czuje: niedowierzanie, gniew, radość, zachwyt, smutek: wszystkie te uczucia przelewały się wewnątrz niej. Cadvan patrzył na nią surowo; nagle przypomniała sobie zaskoczona, że jest ranny. Odetchnęła głęboko, by się uspokoić.

- Zastanawiałem się - rzekł w końcu. - Zastanawiałem się, dlaczego w podobnych okolicznościach natknąłem się na dwójkę młodych bardów. Podczas wszystkich moich podróży ani razu nie natrafiłem nawet na jednego. Zdawało się, że to coś znacznie więcej niż przypadek. I często rozmyślałem, co takiego przyciągnęło cię do owych wozów. Wówczas sądziłem, że moc zła; z pewnością nie wróżyło to najlepiej, toteż chciałem trzymać się od nich jak najdalej niemal równie mocno, jak ty je sprawdzić. Ale może było to coś głębszego, zew krwi. Nawet jeśli, jak podejrzewam, Mrok maczał w tym swoje palce, jak już mówiłem,

nie pojmuję, czym jest miłość. Podobne więzi wykraczają poza jego zamysły. Pamiętam Dorna, Maerad, a Hem to bez wątpienia Pilanel. To by wyjaśniało, dlaczego Próźni tak się nim interesowali. Ale mogę się mylić.

- Nieczęsto się mylisz. - Maerad uśmiechnęła się cierpko, powtarzając coś, co powiedział dawno temu w Innailu.

- Nie - Cadvan odpowiedział lekkim uśmiechem. - Nieczęsto się mylę. Pamiętaj jednak, że kiedy się mylę, to bardzo. Ta świadomość chroni mnie przed podejmowaniem pośpiesznych osądów. Ozdoba z kalia zdaje się potwierdzać to, co podejrzewam, coś, co może ty sama wiedziałaś. Nadal jednak winniśmy zachować czujność, to może być pułapka. Nie wiemy, czy medalion naprawdę należy do Hema.

- Pułapka? - Maerad z roztargnieniem zerknęła na chłopca. - Myślę, że wiemy, jak wyglądała pułapka. I nie zadziałała. - Hem siedział zgarbiony, odwrócony od nich, nie poruszał się. - Ja wiem, że to mój brat - oznajmiła gwałtownie. - Dlaczego Próźni go porwali? Czy on jest Jedynym?

- Hem nie jest Jedynym - odparł ciężko Cadvan. - Jego Dar zupełnie nie przypomina twojego.

- Ale nadal nie wiesz na pewno, że to ja - przypomniała.

- Nie - nie zgodził się Cadvan. - Jestem niemal pewien. A jeśli Hem to faktycznie Cai, zwiększa to jeszcze moją pewność. Oznaczałoby to, że Próźni wiedzieli coś, o czym my nie mieliśmy pojęcia. Możliwe, iż domyślali się, że Jedyny ma się urodzić Milanie i Dornowi. Nie wiem, jak to odkryli. Ale uważam, że wybrali niewłaściwe dziecko.

Maerad zadrżała. To mogła być ona... W porównaniu z życiem Hema, Gilmanowe Sioło wydawało się całkiem przyjazne. W dzieciństwie nigdy nie musiała stawić czoła grozie Próźnych i przez jakiś czas miała nawet matkę. Ale Hem - Cai - ledwie wyrósł z niemowlęctwa, kiedy zniszczono ich życie. Nigdy nie zaznał dobroci.

Podkradła się do niego i objęła go mocno, a on przywarł do niej konwulsyjnie, ukrywając twarz w jej płaszczu. Siedzieli tak razem w milczeniu, niezdolni wykrztusić choć słowa. Cadvan odwrócił wzrok. Po jakimś czasie Hem wypuścił Maerad i głośno wydmuchał nos.

Bard wstał, osłaniając dłonią oczy i patrząc w dal. Zerknął na Hema i Maerad.

- Nadal musimy wydostać się ze wzgórz, a dzień już mija - przypomniał. - Nie chciałbym spędzić kolejnej nocy poza murami, nawet jeśli mamy ochronę Maerad Nieprzewidywalnej, a głowa pęka mi z bólu. Gdzie jest Darsor?

Podczas ich rozmowy słońce wzniosło się wysoko, powoli zbliżało się południe. Był ciepły letni dzień. Wzgórza ciągnęły się wokół nich, zielone i pogodne, spowite lekką mgiełką, zewsząd dobiegało miłe brzęczenie pszczół. Nie widzieli ani śladu Darsora. Hem miał pod oczami ciemne kręgi, wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć ze zmęczenia.

- Wy, Pellinorczycy, powinniście trochę odpocząć - oznajmił Cadvan. - Ja nawet gdybym chciał, nie mógłbym zasnąć, za bardzo boli mnie głowa. Będę wypatrywał Darsora.

- Pellinorczycy? - Po twarzy Hema przemknął cień uśmiechu. - Nie pamiętam wszystkich tych nazw.

- Będziesz musiał sobie przypomnieć - oznajmiła Maerad z udaną srogością.

- No to mnie zmusz - Hem posłał jej łobuzerskie spojrzenie, którego wcześniej u niego nie widziała. - Założę się, że nie zdołasz.

Mój brat - pomyślała zdumiona Maerad.

Położyli się i Hem po niecałej minucie zasnął. Umysł Maerad był zbyt pobudzony, by spać, w końcu usiadła, patrząc na Cadvana, który odwrócił się ku niej z lekkim uśmiechem na pokaleczonej twarzy, po czym znów zaczął wodzić wzrokiem po horyzoncie. Siedziała milcząca, rozmyślając o wydarzeniach ostatnich dwóch godzin. Wciąż była oszołomiona po serii wstrząsów: najpierw zasadzka, później uzyskanie Mowy, potem odkrycie brata. Jej myśli nie potrafiły skupić się na niczym zbyt długo, przeskakiwały z tematu na temat, przywołując w głowie kalejdoskop obrazów: Cadvana spadającego bez zmysłów z grzbietu Darsora, złowrogą twarz upiora, medalion Hema...

Z nagłym niepokojem przypomniawszy sobie radosne uniesienie, które spadło na nią, gdy podczas bitwy pod Połamanymi Zębami w pełni uzyskała Dar. Czowała się wtedy niezwyciężona i nieskończenie niebezpieczna; moc, która przez nią przepływała, wydawała się bezkresna, jakby wystarczyło zaledwie kiwnąć palcem, by całe miasta zawałyły się na jej rozkaz. Uczucie to oszałamiało, ale też budziło lęk. Nagle usłyszała znów słowa Ardiny, które padły podczas ostatniego spotkania: *Możliwe, iż przekonasz się, że największe niebezpieczeństwo istnieje wewnątrz ciebie samej. Czy miała na myśli właśnie tę niepokojącą radość?*

Po jakiejś godzinie zobaczyli, jak Darsor wylania się spomiędzy Połamanych Zębów, tuż za nim podążała Imi. Wielki rumak pogalopował do Cadvana i położył mu głowę na ramieniu.

- *Obawiałem się o ciebie, mój przyjacielu* - powiedział Darsor. - *Sądziłem, że po raz ostatni jechaliśmy razem.*

- Ja też tak myślałem - odparł Cadvan i pogładził szyję konia. - Ale okazało się

inaczej.

- *Dziewczyna już jest wielkim magiem* - rzekł Darsor. - *A to zaledwie młode źrebię. Kim się stanie, gdy dorośnie?*

- Tylko Światło to wie - powiedział Cadvan.

Darsor pochylił się i dmuchnął w ucho Maerad. Imi nadal trzymała się z tyłu, ze spuszczoną głową. Jej bok pokrywały białe smugi zaschniętego potu, wydawała się niepokieszona. Dziewczyna podeszła do niej i zarzuciła jej ręce na szyję. Imi obwąchała ją, strzygąc uszami:

- Już w porządku - powiedziała Maerad do klaczy.

- *Wreszcie nauczyłaś się mówić!* - Imi cofnęła się i parsknęła, potem znów skłoniła głowę. - *Przepraszam, że uciekłam.*

- Tak było lepiej - Maerad pogładziła ją. - Co mogłabyś zrobić? A teraz wróciłaś, i to najważniejsze.

- *Długo musiałem jej szukać* - wtrącił Darsor. - *A potem nie chciała ze mną pójść, bo tak bardzo się wstydziła. Ale już tu jest.*

- Ucieczka przed podobnym wrogiem to żaden wstyd - oświadczył Cadvan. - Nawet najpotężniejszych może dopaść popłoch. Teraz już wszystko dobrze i musimy stąd odjechać. Dziś będziemy wieszczać do syta, zgoda?

Darsor uniósł głowę i zarżał głośno, budząc Hema, który usiadł, pocierając rękami oczy. Niemal natychmiast dosiedli koni i powoli ruszyli prostym gościńcem.

*

Po godzinie ścieżka zaczęła piąć się w górę, a potem zobaczyli, że wzgórze niczym zielona fala wznoszą się ku wyższemu grzbietowi poszarpanych kamieni. Dwie godziny po południu dotarli do szczytu owego wzniesienia, zwanego Raur na Nor, Ognistą Koroną Norlochu. Droga przebijała się przez skały, wiodąc dalej prosto jak strzała, tak jak stulecia wcześniej ułożyli ją bardowie z Annaru. Jechali wąskim jarem, sto stóp nad ich głowami wznosiły się szczyty Korony, rzucając na nich głębokie cienie. W godzinę później niespodziewanie wyjechali wprost na słońce.

Stali wysoko, spoglądając na szeroką dolinę ciągnącą się na wiele staj na południe i zachód. Droga opadała w samo serce doliny Norlochu, której zbocza i tarasy widzieli przed sobą. Wśród nich dostrzegli maleńkie sylwetki domów, stogów i stodół, a czasami ciemniejsze plamy nieokolonnych murami miast i lasów.

- W tej osadzie jest gospoda Hardellach - w głosie Cadvana znać było zmęczenie. Wskazał ręką miasteczko przycupnięte przy zboczu wzgórza, oddalone o jakieś pięć mil. -

Minęło wiele lat, odkąd odwiedzałem te strony, ale kiedyś prowadził ją Colun z Gentu. Mam szczerą nadzieję, że wciąż tak jest. Dalej, nad morzem, widać światła wieży Machelinoru, najwyższej wieży Norlochu. Musimy tam dojechać i będziemy mogli odpocząć.

Odpocząć - pomyślała Maerad. To najpiękniejsze słowo, jakie kiedykolwiek słyszała.

Daleko na południu widzieli rzekę Aleph, wijącą się leniwie między polami, połyskującą w promieniach popołudniowego słońca niczym olbrzymi złocisty wąż drzemiący na zielonej murawie. Hem, oszołomiony, wyjrzał spod płaszcza Cadvana, jakby sądził, że dotarli do bajecznych królestw południa. Z niezrozumiałą zgrozą Maerad wypatrzyła w dali biały przebłysk światła, małeńki, lecz jasny jak gwiazda, a za nim migotliwą błękitną mgiełkę, która zapewne musiała być morzem. Po raz pierwszy zobaczyła przed sobą Norloch, cytadelę Białego Płomienia, najwyższe miasto bardów, i serce zabiło jej szybciej w piersi.

DOM NELACA

Cztery dni później dotarli na rozległe łąki Carmallachen w sercu doliny Norlochu. Teraz wreszcie ujrzeli przed sobą Norloch, wysoki i biały, wyrastający z zielonych pól, i Maerad zachłysnęła się z zachwytu: nawet z tej odległości był większy i bardziej pański, niż sobie wyobrażała. Cytadela wznosiła się wysoko seria zwieńczonych blankami murów, jej wyniosłe smukłe wieże sięgały ku niebu wdzięczne niczym lilie, ale też dumne, nieustępliwe, surowe. Na samym szczycie wieża Machelinoru odbijała promienie słońca niczym kryształ i całe miasto przypominało jasną koronę zwieńczoną żywą gwiazdą. Poza cytadelą ciągnęła się niebieska równina - być może niebo albo morze drzemiące pod letnią mgiełką. Maerad wydało się, że słyszy dobiegający z dali cichy dźwięk dzwonu.

Od pułapki przy Połamanych Zębach jechali bardzo szybko. Maerad była wyczerpana po bitwie z upiorem, ale nie mieli czasu na popas. Jedną noc spędzili w gospodzie Hardellach; tam bard Colun zszył rany na twarzy Cadvana. A potem, wczesnym rankiem, rozpoczęli morderczy galop przez dolinę Norlochu.

Gdyby Maerad nie oglądała wszystkiego przez mgłę zmęczenia, zapewne byłaby zachwycona. Pogoda dopisywała, słoneczna, lecz niespecjalnie upalna, nad ich głowami ciągnęło się czyste błękitne niebo, czasami z góry dobiegał słaby świergot skowronka szybującego wysoko na ciepłych powietrznych prądach, choć Maerad go nie widziała. Wokół nich ciągnęły się spokojne żyzne ziemie, drzemiące w promieniach słońca; mijali wiele kamiennych domów otoczonych bujnymi ogrodami, zbudowanych na szczytach wzgórz.

Droga wiodła cały czas w dół, mijając łąki pełne wysokich traw, opadające tarasami, często oddzielonymi od siebie srebrzystymi strumieniami i obsadzonymi zagajnikami buków, wiązów bądź brzoź. Pasły się na nich stada białych krów albo czarnogłowych owiec, czasami dostrzegali senne konie odganiające machnięciami ogona muchy. Wokół domów z szarego kamienia ciągnęły się niewielkie, okolone żywopłotami pola obsiane jęczmieniem, pszenicą bądź żytem, których kłosa pęczniały już w promieniach letniego słońca, albo ciemnozielonymi rzędami buraków czy kapusty, groszków rozkwitających różem i bielą; wszędzie też widzieli zielone sady jabłoniowe, migdałowe i mieszane. Czasami droga wiodła

przez niewielki las i na ich twarze padał chłodny, rozedrgany cień, niosący miłą ulgę po upale. Widywali sporo ludzi: rolników z wozami, dzieci bawiące się bądź skupione na jakimś zadaniu, kobiety wędrujące z wielkimi wiklinowymi koszami, a raz pasterza z psami gnającymi wielkie stado owiec, które wypełniło drogę niczym rozbeczana chmura. Kilka razy mijali też jeźdźców w płaszczach: Maerad przypuszczała, że to bardowie.

Kiedy rankiem czwartego dnia dotarli do prostego gościńca, wiodącego przez łąki Carmallachen, spięli konie do cwału. Od czasu do czasu w dali po lewej stronie dostrzegali błysk słońca na powierzchni rzeki Aleph. Cadvan, mrużąc oczy, spojrział w niebo.

- Myślę, że pogoda wkrótce się pogorszy - oznajmił. - Zmienia się wiatr.

Gdy późnym popołudniem dotarli do murów Norlochu, większą część nieba zasnuły ciemne chmury, gnane zimnym wiatrem. Chylące się ku zachodowi słońce zniknęło za wałem chmur, zalewając ziemię ciemnożółtym światłem, w którym wszystkie przedmioty nabrały surrealistycznej ostrości, zupełnie jakby cały świat wstrzymywał oddech. Oglądane z bliska miasto wznosiło się oszałamiająco wysoko; Maerad wyciągnęła szyję i odchyliła głowę - miała wrażenie, jakby cały ten masyw lada moment miał zawalić się na nią, miażdżąc ją ciężarem kamiennych bloków. Gościniec wiódł do wysokiej bramy, wykutej z czarnego żelaza, pozbawionej ozdób poza wielkimi srebrnymi zawiasami w kształcie zakręconych promieni. Nad bramą wznosiła się kamienna wieża z dzwonnica z białego kamienia, w której wisiał olbrzymi dzwon z brązu.

- Straż zamyka bramy o zachodzie słońca. Zdążyliśmy w ostatniej chwili - rzekł Cadvan. - Wysłałem ptasią wiadomość do Nelaca, ale możliwe, że zjawiliśmy się przed nią. Mam nadzieję, że nas oczekuje. - Bez uśmiechu odwrócił się do Maerad; jaskrawoczerwone ślady pejcza wciąż przecinały mu twarz, a oko okalał czarny siniec. Wstrząśnięta odkryła, jak bardzo jest blady i wycieńczony. - Jeśli choć trochę znam się na pogodzie, dziś wieczór będzie paskudna burza.

Przejechali pod łukiem bramy, wkraczając w głęboki cień. Słońce zaczynało już znikać. Przed nimi ciągnęła się szeroka aleja ze stojącymi wzdłuż niej wielkimi kamiennymi budynkami najróżniejszych rodzajów: Dziewiąty Krąg Norlochu. Po drugiej stronie Krąg opadał ku kamiennej przystani, ciągnącej się pod czarnymi urwiskami, lecz Cadvan poprowadził ich w przeciwną stronę, w górę, do Ósmego Kręgu. Na aleję spadły pierwsze wielkie krople deszczu. Maerad zadrżała, mocniej otulając się płaszczem.

Cadvan jechał coraz szybciej - wyraźnie pragnął dotrzeć do domu Nelaca, nim rozpęta się burza; Maerad odnosiła wrażenie, że gna go coś jeszcze, ale nie potrafiła odgadnąć co. Nie mieli czasu, by zatrzymywać się i podziwiać widoki, zapamiętała jednak niewyraźnie szerokie

ulice oświetlone wielkimi lampami, rzucającymi jasny blask na wspaniałe rezydencje, budowle i gospody. Mrok zapadał bardzo szybko, a kiedy słońce w końcu zaszło, usłyszała ogłuszający dźwięk: dzwon Norlochu oznajmiał nadejście nocy i zamknięcie bram. A potem, jak się zdawało niemal natychmiast, zapadł głęboki zmrok. Krople deszczu padały coraz częściej, słyszała też odległe grzmoty. Wkrótce nad ich głowami miała się rozszaleć burza.

Konie jechały szybko w górę, pokonując kolejne dziewięć poziomów zygzakami, tam i z powrotem, od bramy do bramy. Norloch zbudowano wiele stuleci wcześniej pod skalną iglicą, która wznosiła się ponad siedemset stóp od przystani, otoczona stromymi urwiskami. Po jednej stronie skała opadała pionowo do morza, po drugiej nieco łagodniej aż na równiny Carmallachen. I właśnie na tym zboczach zbudowano miasto. Kręgi Norlochu w istocie były półkręgami, coraz mniej regularnymi w miarę zbliżania się do równiny, ich mury ciągnęły się od urwiska do urwiska. W Dziewiątym Kręgu mur kończył się przystanią, niewielką, okoloną skałami zatoczką o wąskim ujściu i szerokim kamiennym nabrzeżu.

Pierwotną skalną iglicę wyprostowano i wydłużono, obecnie tworzyła niemal niezdobytą fortecę, z jednej strony chronioną przez morze, z drugiej przez bagna i trzęsawiska rzeki Aleph. Do dziewiątej bramy dało się podjechać wyłącznie z północy; poza nią jedyną drogę do miasta zapewniało morze poprzez wąskie ujście portu, trudne w nawigacji i mieszczące zaledwie jeden statek naraz. Pod miastem ciągnęły się sięgające głęboko w skały jaskinie i groty, w których przechowywano zapasy niezbędne do wykarmienia mieszkańców w razie wielomiesięcznego oblężenia. Miejski garnizon mieszkał w Trzecim i Czwartym Kręgu; tworzyły go kompanie nieugiętych wojowników, liczące tysiące mężów. Nawet w czasach Maninaego, kiedy Norloch już dawno miał za sobą dni świetności, wciąż pozostawał dumny i wyniosły.

Aż do Czwartego Kręgu nikt ich nie zatrzymywał, dopiero tam zastąpił im drogę mężczyzna w srebrno-niebieskiej liberii cytadeli. Maerad ukryła się pod kapturem, w nagłej obawie, że jej nie przepuszczą; zauważyła, że Hem całkowicie zniknął pod fałdami płaszcza Cadvana. Kiedy jednak żołnierz rozpoznał barda, skłonił się nisko i odstąpił na bok, a oni przejechali dalej; podobnie wyglądało to przy każdej wyższej bramie. Gdy przekroczyli ostatnią i znaleźli się w Pierwszym Kręgu, w końcu rozpętała się burza. Jaskrawa błyskawica na ułamek sekundy oświetliła ostrym blaskiem najwyższą cytadelę, a potem lunął deszcz. Maerad ujrzała migotliwe białe mury, sięgające wysoko w ciemność, i ulice obsadzone drzewami, obecnie kołyszącymi się i szarpanymi porywami wichury, a także wysokie cokoły, na których ustawiono postaci, niektóre pozłoczone i jaśniejące w mroku, inne czarne. A potem zasłona deszczu przesłoniła wszystko.

- Już niedaleko! - krzyknął przez ramię Cadvan. - Ale pośpiesz się! Tylko mnie nie zgub!

Pocwałował naprzód. Imi, wzdrygając się nerwowo po każdej błyskawicy, podążała tuż za Darsorem - mimo latarni oświetlających ulice łatwo byłoby go zgubić podczas ulewy, wśród rozedrganych cieni. W końcu, ociekając wodą, dotarli do domu, którego szukał Cadvan. Ujrzeni przed sobą gładką wysoką ścianę, w której osadzono wysokie dwuskrzydłowe drzwi, ozdobione rzeźbami wokół framugi. Cadvan zeskoczył z siodła i pociągnął zamontowaną w murze niewielką żelazną dźwignię; Maerad domyśliła się, że łączy się ona z dzwonkiem. Czekali, kuląc się pod ścianą i próbując ukryć się przed wichurą. Miała wrażenie, że trwa to wieki, w istocie jednak minęło niewiele czasu, a potem drzwi się otwarły i stanął przed nimi stary brodaty mężczyzna z lampą w dłoni, odziany w gruby szary płaszcz.

- Kto tam? - zawołał, wyglądając w ciemność. - Na Światło, to przecież Cadvan! Co ty tu robisz? Wejdźcie, wejdźcie, to pogoda niedobra nawet dla szczurów!

Zaproszeni gestem do środka poprowadzili wierzchowce na duży, brukowany dziedziniec. W końcu mur osłonił ich od wiatru, choć deszcz nadal lał strumieniami, odbijając się strugami od dachów. Mężczyzna zamknął za nimi drzwi.

- Nelacu! - Cadvan objął starszego mężczyznę. - Jak dobrze cię widzieć!

Maerad zdumiało nagle wyczerpanie i szarość na jego twarzy, jakby dotąd trzymał się jedynie dzięki sile woli, a teraz, dotarwszy do celu, był na skraju załamania. Stary mężczyzna cofnął się, przytrzymując ramiona Cadvana, i przyjrzał mu się bystro.

- I ciebie też dobrze widzieć, Cadvanie, drogi mój przyjacielu. Tęskniłem za tobą. Ale widzę, że mocno ucierpiełeś - skinieniem głowy wskazał Maerad i Hema. - Zanim zaczniemy rozmowę, schrońmy się przed tą pogodą. Chodźcie. - Poprowadził ich przez dziedziniec w stronę stajni. - Najpierw musimy się zająć zwierzętami.

Kiedy znaleźli się pod dachem, Maerad odetchnęła z ulgą, wciągając w nozdrza ciepłą, spokojną woń siana i koni. Bez słowa pośpiesznie rozsiedłali i wyczyścili wierzchowce, pozostawiając je w wygodnych boksach przy pełnych żłobach. Potem Nelac poprowadził ich biegiem przez dziedziniec i kolejne wysokie drzwi do obszernego holu.

Choć ściany zrobiono z gładkiego kamienia, oświetlonego słabym blaskiem srebrnej lampy wiszącej z sufitu, pomieszczenie sprawiało wrażenie bogactwa: z murów zwisały się ciężkie zasłony ze złotego brokatu, Maerad ujrzała też wiele drzwi. Niektóre stały otworem, światło z leżących za nimi pomieszczeń wylewało się na kamienną posadzkę, słyszała też liczne głosy i dobiegające z dala trele fletu. W holu zdjęli płaszcze; byli tak przemoczeni, że u ich stóp zebrały się niewielkie kałuże. Cadvan, chwiejąc się na nogach, oparł się o ścianę.

- No proszę! - Nelac powiódł wzrokiem po ociekającej wodą grupce. - A kim jest ta dwójka?

Cadvan machnął lekko ręką, zbyt wyczerpany, by przejmować się formalnościami.

- To Maerad i Hem, to znaczy Cai z Pellinoru.

Brwi Nelaca uniosły się ze zdumienia, jego dziwnie przenikliwy wzrok spoczął na sekundę na twarzy Maerad.

- Maerad, Hemie, to jest Nelac. Mój dawny nauczyciel i bliski przyjaciel.

- Musimy poszukać wam suchych ubrań - oznajmił Nelac. - Brin! - zawołał w głąb korytarza i zza drzwi wyłonił się ciemny przysadzisty mężczyzna. - Brin, mamy niespodziewanych gości. Mógłbyś przygotować im pokoje? Trzy. I potrzebuję dla nich ubrań, jak najszybciej. Mężczyzna, kobieta i chłopiec. - Tamten kiwnął głową i zniknął bez słowa. - Tymczasem chodźcie do moich komnat - zaprosił Nelac. - Tam jest ciepiej.

Podobnie jak Malgorn i Silvia, Nelac mieszkał ze swymi uczniami. Jego pokoje mieściły się na dole, tuż przy obszernym holu wejściowym, za wysokimi gładkimi drewnianymi drzwiami. Zaprowadził ich do dużego salonu, który po mrocznym korytarzu wydał im się bardzo jasny. Nie urządzono go z aż takim przepychem: cały pokój wypełniały stoliki, wygodne krzesła i fotele, a także półki uginające się pod ciężarem książek i najróżniejszych instrumentów, za wielką żelazną kratą paleniska płonął ogień. Jedną ścianę, pozbawioną jakichkolwiek półek, wymalowano osobiście, tak że zdawała się wychodzić na las zamieszkały przez cudowne stworzenia i ptaki. Znajdujące się po drugiej stronie pokoju drzwi z szybkami wiodły do ogrodu, teraz jednak widzieli za nimi tylko mrok i burzę. Maerad rozglądała się z otwartymi ustami; nagle ujrzała wysokiego czarnoskórego mężczyznę, który wstał im na powitanie z twarzą stężałą ze zdumienia. Zamrugła zaskoczona: to był Saliman.

- Cadvan! - wykrzyknął. - Co tu robisz, u licha? Skryty z ciebie człek, nie powiedziałeś mi, że się tu wybierasz. Mogliśmy podróżować razem. Zabrałeś też Maerad? A to kto?

Cadvan zachwiał się w drzwiach.

- Cóż za szczęśliwe spotkanie, Salimanie - rzekł cicho. - Podejrzewałem, że cię tu zastaniemy.

Potyając się, ruszył przez przedpokój i niemal upadł na wyściełany fotel przy kominku. Maerad zobaczyła, że dygocze.

- Widzę, że nieźle dostałeś w kość. - Saliman na widok złego stanu przyjaciela szybko otrząsnął się z szoku. - Jesteś biały jak płótno! Kto cię walnął w oko? Nie mówiąc już o śladach bicza. Zaczekaj, przyniosę ci coś do picia! - Uniósł brew, patrząc na Nelaca, który

przypadła i podszedł do kredensu, na którym stało kilka karafek. - Może laradhel?

Cadvan skinął głową. Saliman nalał mu kieliszek złocistego trunku, po czym zerknął na Maerad i Hema i napełnił jeszcze dwa.

- Siadajcie, siadajcie - rzucił Nelac.

Maerad i Hem nadal tkwili niepewnie w wejściu. Maerad ruszyła w stronę sofy stojącej pod malowaną ścianą i usiadła, prosta jak struna, na samym brzeżku. Hem dreptał tuż za nią. Saliman wręczył jej kieliszek i pociągnęła łyk, patrząc z ukosa na chłopca, który z początku zakrzuszył się głośno, a potem wychylił cały trunek. Po jej ciele przebiegła fala ciepła, poczuła, że się odpręża.

- Tak już lepiej - Nelac spojrział na Maerad. - Czy dobrze usłyszałem? Cadvan mówił, że jesteście Maerad i Cai z Pellinoru? Domyślam się, że jesteście bratem i siostrą?

- Bratem? - Saliman popatrzył na Hema, który odpowiedział śmiałym spojrzeniem.

- Tak, to mój brat. - Wypowiadając te słowa, Maerad nadal czuła się dziwnie nierzeczywiście.

Nelac zdumiony pokręcił głową.

- Pellinor! Choć teraz, gdy się przyjrzeć, mogę odgadnąć, kim była twoja matka, Maerad. Z pewnością to Milana z Pierwszego Kręgu. Jesteście podobne jak dwie krople wody. Dorna nie znałem tak dobrze, ale Cai wrodził się w niego. Oboje macie oczy ojca.

Hem poruszył się - Maerad nie potrafiła stwierdzić, skrzepowany czy zadowolony.

- Mam na imię Hem - oznajmił ostro, a potem nerwowo przełknął ślinę, jakby obawiał się, że może oberwać za to, iż odezwał się niepytany.

Nelac uniósł brwi, ale nie skomentował. Zamiast tego spojrział na Cadvana, który wbijał wzrok w ogień i, jak się zdawało, zupełnie ich nie słuchał. Maerad podążyła za jego spojrzeniem. Zaczynał ją ogarniać niepokój. Nigdy dotąd nie widziała barda w takim stanie. Nawet gdy zaszywano mu rany w gospodzie, kiedy cierpiał nieznośny ból, nie był tak upiornie blady. Wyglądał jak śmierć. Nelac najwyraźniej podzielał jej obawy, podszedł do Cadvana i ukląkł przed nim. Cadvan uniósł ciężką głowę.

- Co ci się stało, mój przyjacielu? - spytał łagodnie gospodarz.

Ujął Cadvana pod brodę i popatrzył mu prosto w oczy. Maerad odniosła wrażenie, że Cadvan nagle stał się dziesięcioletkiem, udreńczonym dzieckiem, błagającym bez słowa o pomoc, i wzdrygnęła się na ten widok. Do tej pory nie miała pojęcia, jak bardzo cierpiał. Przez ostatnie cztery dni wydawał się bardziej ponury niż zwykle, ale przypisała to skutkom bicza i znużeniu. Teraz jednak widziała jego zraniony umysł, załamany po bitwie na wzgórzach. Z nagłą obawą uświadomiła sobie, że od tej pory znosił nieustające katusze, a ona

niczego nie podejrzewała.

- To był upiór - oznajmił ochryple Cadvan. - Upiór z otchłani, Nelacu. Poraził mnie. Nic nie mogłem zrobić.

Maerad usłyszała, jak Saliman ze świstem wciąga powietrze.

- Upiór! - Ze zdumieniem spojrzął na Maerad i Hema. - Jak to możliwe, że wciąż żyjecie?

Cadvan machnął ręką.

- Maerad... - wymamrotał.

Nelac, głęboko zaniepokojony, gwałtownie uniósł wzrok.

- Nie czas na pytania - uciął. - Możesz na nie odpowiedzieć później.

Położył dłoń na czole Cadvana i Maerad, zapatrzona, ze zdumieniem ujrzała, jak otacza go srebrzysta poświata, coraz mocniejsza i jaśniejsza. Zamknął oczy. Po krótkiej chwili dłoń Nelaca jaśniała bardziej niż cokolwiek w pokoju, a sam bard wydawał się postacią utkaną z czystego blasku, istotą z powietrza i światła, a nie z ciała. Bardzo, bardzo daleko, a może bardzo głęboko w umyśle Maerad usłyszała ulotną muzykę - pomyślała, że to dzwonki bądź czyste głosy, lecz tak naprawdę nigdy dotąd nie słyszała niczego podobnego. Powieki Cadvana zatrzepotały i opadły, jego twarz przybrała wyraz głębokiego spokoju.

Hem siedział obok Maerad z otwartymi ustami, w palcach ścisnął zapomniany kieliszek. Nie mieli pojęcia, jak długo gapili się zafascynowani, a potem Nelac odetchnął głośno i cofnął rękę, świetlista muzyka zaczęła cichnąć, słabnąć i w końcu umilkła.

Cadvan z westchnieniem otworzył oczy i odchylił się w fotelu, patrząc w sufit. Nelac podniósł się powoli i Maerad po raz pierwszy uświadomiła sobie, że jest stary, nie potrafiła zgadnąć, jak bardzo. Wyglądał na niezwykle zmęczonego. Nalał sobie laradhelu i usiadł bez słowa.

- Co to było? - pisał Hem ze zdumieniem i lękiem i Maerad aż podskoczyła. - Co on zrobił?

Nelac spojrzął na chłopca, rozbawiony mimo zdumienia, lecz to Saliman odpowiedział.

- Młody Hemie, właśnie oglądałeś największego uzdrowiciela w Annarze i Siedmiu Królestwach, demonstrującego swoją pełną moc. Miej baczenie! To rzadki widok. I wspaniała inspiracja dla młodych bardów. Starych także - uniósł kieliszek w stronę gospodarza.

- Czy Cadvanowi nic nie będzie? - spytała nieśmiało Maerad.

Odrętwiała ze zdenerwowania: dlaczego nie zauważyła, jaki był słaby? Ponownie z podziwem pomyślała o wytrzymałości Cadvana; doprowadził ich tak daleko...

Nelac westchnął.

- Nie - odparł. - Ale mało brakowało. Jeszcze kilka godzin i może nawet ja nie zdołałbym mu pomóc. Musiałem dotrzeć głęboko, by go uleczyć. Ale owszem, teraz nic mu nie będzie. Co do reszty, potrzebuje jedynie snu. - Spojrzał na Hema i Maerad. - Powiedziałbym, że wy dwoje także. Maerad, nie wiem, co się wydarzyło. Dostrzegam już, że to okrutna historia. Chwilowo jednak zostawimy ją; zdążymy porozmawiać jutro. Nie macie aby ochoty na kąpiel, kolację i długi sen?

- Kąpiel! - Nagle Maerad ogarnęła przemożna, fizyczna tęsknota. - Byłoby cudownie! Nie brałam kąpieli od... od czasu Innailu.

Ktoś zastukał do drzwi i do środka wszedł Brin, majordomus Nelaca.

- Pokoje są przygotowane, panie - rzekł.

- Świetnie! - Nelac wstał. - W takim razie możesz wykąpać się od razu, jeśli chcesz, młoda Maerad. I ty także, Hemie.

- Kąpiel? - Hem znów wyraźnie się wystraszył. - Co to jest kąpiel?

- A może i nie - Nelac uśmiechnął się z wielką życzliwością. Hem wyraźnie ogromnie go bawił. - Nie jest obowiązkowa, choć raczej wskazana. Salimanie, zechciałbyś zabrać tych młodych ludzi na górę? Ja muszę trochę posiedzieć. Cadvan dotrze tam później, kiedy będzie gotów.

*

Maerad zabrała swą sakwę z holu, a potem Saliman poprowadził ich przez kilka pięter do pokoi gościnnych. Oszołomiona wędrowała pogrążonymi w półmroku korytarzami. Dom Nelaca okazał się wielki i imponujący, wysokie sklepienia niknęły pośród cieni, a wokół framug drzwi i okien wyrzeźbiono runy i symbole. Saliman wyjaśnił, że to pradawne uroki, zapewniające mądrość i dostatek mieszkańcom. Urządzono go oszczędnie, lecz bogato, Maerad często dostrzegała pośród cieni przebłysk złota, barwnego gobelinu albo wspaniały biały posąg, stojący na podeście. Mijali wiele drzwi, zza których dobiegały szmery rozmów, dźwięki strojonych instrumentów bądź samotne głosy ćwiczące gamy, często też spotykali ludzi, zgadywała, że uczniów Nelaca; część z nich zatrzymywała się, odprowadzając zdumionym wzrokiem niespodziewanych gości. Maerad zastanawiała się, jak wiele osób mieszka w tym domu. Zaczynała rozumieć, co miała na myśli Silvia, mówiąc o Innailu jako o skromnej siedzibie. W głębi ducha wołała przyjazne domostwo Silvii niż te wspaniałości, które wydały jej się chłodne i ponure.

- A zatem Hem z Pellinoru czy Cai z Pellinoru... Jak naprawdę masz na imię? - spytał po drodze Saliman.

- Hem - odparł stanowczo chłopak. - Mam na imię Hem.

- Czy Cadvan znalazł i ciebie? Co się tu dzieje?

Maerad nie wiedziała, jak odpowiedzieć, zastanawiała się, czego chciałby Cadvan. Bard zerknął na nią i wybuchnął śmiechem.

- Wszystko w porządku, Maerad. Nie musisz mi nic mówić. Później dowiem się wszystkiego od Cadvana. Ale to doprawdy niepojęte! Dwoje ocalałych z Pellinoru!

- A ty skąd pochodzisz? - spytał niegrzecznie Hem. - Założę się, że nie z tych okolic. Salimana wyraźnie bawił równie mocno jak Nelaca.

- Nie, Hemie. Przybyłem z Turbanska na południu.

- Na południu? - Twarz chłopca pojaśniała z zachwytem. - Naprawdę pochodzisz z południa?

Wargi Salimana wygięły się lekko.

- W istocie. Z krainy granatów, małą i pomarańczową większych niż twoja głowa!

To na jakiś czas uciszyło Hema, który patrzył na towarzysza oczami wielkimi jak spodki. Szli dalej w milczeniu, póki nie dotarli do kolejnego szerokiego korytarza. Saliman otworzył pierwsze drzwi i zajrzał do środka.

- To wygląda na twój pokój, Maerad. Rozgość się.

Komnata Maerad była większa i wyższa niż jej pokój w Innailu, miała białe kamienne ściany osłonięte prostymi białymi zasłonami. Kamienną posadzkę ocieplał szkarłatny dywan zdobiony misternym wzorem. Otulone kotarami łóżko ustawiono pod ścianą, przy oknie ujrzała wyściełaną ławę, na której ułożono bogatą czerwoną suknię i inne stroje. Na niewielkim kominku wesoło trząsał ogień.

- Łazienka jest tu, w głębi - wyjaśnił Saliman.

Maerad przekroczyła próg i odwróciła się, by mu podziękować, lecz bard zdążył się już oddalić i pokazywał Hemowi jego pokój. Chłopiec gawędził z nim swobodnie; najwyraźniej polubił Salimana, a przynajmniej nie czuł wobec niego tak wielkiego lęku jak przed Nelakiem. Maerad cicho zamknęła drzwi, odłożyła sakwę i usiadła nieruchomo na ławie. Włosy opadły jej na twarz, wciąż wilgotne po burzy; odrzuciła je, patrząc na krople deszczu bębniące o czarne okno. Wkrótce wykąpie się i przebierze, ale najpierw musiała się rozpakować.

Szybko wyjęła swój dobytek, lirę oparła o skrzynię, a małego kota i trzciny flet ułożyła na kominku. Kiedy uniosła flet, w blasku ognia na jej palcu błysnęła obrączka ze złotych lilii i Maerad przypomniała sobie Ardinę, Elidhu i królową, która w różnych postaciach wręczyła jej oba dary: chłopski instrument i wspaniałą pierścień. Po raz pierwszy

zastanowiła się, co mogą znaczyć.

Była pewna, że Ardinę niewiele łączy ze Światłem, ale też z całą pewnością królowej nie można nazwać złą. Była czymś poza ludzkimi prawami - swobodnym, osobliwym i niebezpiecznym - a jednak nazwała Maerad krewniaczką... Dziewczyna, poruszona tymi myślami i zbyt zmęczona, by je kontynuować, położyła książkę Dernhila na stoliku obok lampy w kształcie lilii. Przez sekundę wpatrywała się w nią ze smutkiem, nagle przypomniała sobie wyraźnie poważną twarz poety pochylonego nad biurkiem i piszącego coś szybko. Zasmucona powróciła do wypakowywania. Nie wiedziała, co począć z bronią i kolczugą, kiedy jednak zajrzała do skrzyni, przekonała się, że jest tam dość miejsca. W środku leżało więcej miękkich, ciepłych strojów jak te, które nosiła w Innailu, a drewno pachniało słodko, przesycając tkaniny zapachem.

Zabrała z ławy szkarłatną suknię, utkaną z cienkiej, bardzo miękkiej wełny, i ruszyła w głąb korytarza w poszukiwaniu łazienki. Nikogo tam nie było, nalała zatem gorącej wody do wanny, dodając hojnie olejków, i z błogą radością zanurzyła się w niej. Przez jakiś czas po prostu odpoczywała, oczyszczając umysł ze wszystkich myśli prócz czystej rozkoszy, jaką daje ciepła woda. Uznała jednak, że lepiej nie zwlekać ponad miarę, toteż na długo przed tym, kiedy naprawdę miałyby ochotę, wyszła z kąpeli, ubrała w szkarłatną szatę i wróciła do siebie.

Wobec szalejącej na dworze burzy pokój wydawał się bardzo ciepły i przytulny. Wyczerpana po ostatnich kilku dniach ciężkiej jazdy nie miała ochoty w ogóle się ruszać; siedziała przy oknie, słuchając wichury ciskającej strumienie deszczu o szybę i podziwiając rozjaśniające noc jaskrawe błyskawice. W końcu znalazła się w Norlochu, była jednak zbyt zmęczona, by myśleć, czy nawet czuć choćby cień tryumfu; przede wszystkim dręczył ją dziwny, uporczywy niepokój. Norloch był wspaniały, szlachetny i ją onieśmielał, bardzo polubiła także Nelaca. Skąd zatem dręczące ją wątpliwości?

*

Saliman poprowadził Maerad i rozziwanego Hema na dół, do jadalni, gdzie na stole przygotowano posiłek. Hem miał teraz na sobie prostą bluzę z błękitnej wełny i niebieskie bryczesy z grubej bawełny, którymi zastąpił obszarpane łachmany, ubranie jednak było na niego za duże i nadal stąpał boso. Wyraźnie też zrezygnował z kąpeli.

- Będziemy musieli poszukać ci czegoś, co pasuje, prawda, Hem? I jakichś butów... - Saliman obejrzał go uważnie. Hem, zaskoczony, podniósł wzrok: wyraźnie cieszył się z ciepłego stroju i Maerad miała wrażenie, że nigdy nie posiadał własnych butów. - I muszę też zapoznać cię z rozkoszami kąpeli.

- O nie! - chłopak gwałtownie pokręcił głową. - Dobrze mi tak, jak jest.

- Pewnie pod warstwą brudu jesteś zupełnie innego koloru - zauważyła z namysłem Maerad.

- Tak, biały jak dziewiczy śnieg - dodał drwiąco Saliman. - Włosy ma pewnie jasne.

Hem zgarbił się i bez słowa pomaszerował naprzód. Maerad spojrzała z uśmiechem na Salimana.

- Jeśli naprawdę chcesz go wypucować, czeka cię trudne wyzwanie.

- Nie ugnę się - Saliman bohaterskim gestem zadarł głowę. - Nawet Hem nie onieśmieli Salimana z Turbanska!

Cadvana nie było przy stole; Nelac oznajmił, że się położył. Maerad była bardzo głodna, lecz czarne fale zmęczenia zalewały ją raz po raz i miała wrażenie, że jeśli wkrótce się nie położy, po prostu zaśnie przy stole. Hem zajadał łapczywie i nie potrafił ukryć niedowierzania, gdy zaproponowano mu dokładkę. Kiedy nieśmiało poprosił o jeszcze i dostał, jego niedowierzanie stało się wręcz komiczne. Maerad uznała, że pochłonął niewiarygodne ilości stawy: najpewniej się pochoruje. W czasie, którego potrzebowała, by opróżnić jeden talerz, chłopak zjadł co najmniej cztery razy tyle co ona.

Podczas posiłku Saliman ani Nelac nie pytali o ich przygody. Saliman opowiadał historie ze swego ojczystego kraju; jego silne, smukłe dłonie muzyka kreśliły w powietrzu obrazy, zęby błyskały bielą w uśmiechu. Hem siedział zafascynowany, przeżuując głośno, głowę wypełniały mu wizje wież o złotych dachach, owocowych targowisk, straganów z jedwabiem i dziwnych, egzotycznych zwierząt. Nie mógł oderwać wzroku od Salimana, a kiedy ten dostrzegał spojrzenia chłopaka i uśmiechał się, Hem rumienił się gwałtownie i udawał, że rozgląda się po pokoju.

Jadalnię Nelaca wypełniało wiele osobliwych przedmiotów: kryształowa kula, w której wyrzeźbiono niezwykle runy, dziwne, misterne instrumenty, być może służące do pomiarów bądź obserwacji, a także regał wielkich, oprawnych w skórę ksiąg, których tytuły wytłoczono złotem na grzbietach. Na ustawionym pod ścianą stole piętrzyły się sterty pergaminowych zwojów i papierowych rękopisów. Na jednej półce zebrano kolekcję różnych minerałów: kwarcu i ametystu, szlifowanego agatu, jadeitu i bursztynu. Kolejna mieściła wielkie, egzotyczne morskie muszle, ozdobione dziwacznymi szpikulcami i rogami, pokryte plamkami brązu i różu, a także doskonałego łodzika o misternych zwojach, delikatnych jak papier. Złocona lampa w górze rzucała przyjazne światło. Maerad przypomniała sobie gabinet Dernhila: ten pokój wydawał się jeszcze bardziej zabałaganiony, lecz w podobny sposób, jakby ów chaos miał w sobie ukrytą celowość.

- Wybaczcie mi nieporządek w moich prywatnych pokojach - rzekł Nelac, dostrzegłszy spojrzenia Hema. - Nigdy nie mam dość miejsca do pracy, toteż bałagan rozlewa się po wszystkich pomieszczeniach.

- Dla mnie to nie wygląda na nieporządek - odparła Maerad, po czym wbrew sobie zarumieniła się.

Nie potrafiła zachowywać się swobodnie w obecności Nelaca, choć nie budził w niej lęku. Nie przypominał nikogo, kogo wcześniej знаła, i czuła, że Nelac wykracza poza jej doświadczenie: nawet Ardina nie onieśmiała jej aż tak bardzo. Może to dlatego, że Ardina jest trochę do mnie podobna - pomyślała. I to właśnie miała na myśli, mówiąc o pokrewieństwie. Mimo wszystko jednak chciała się dowiedzieć, co u Cadvana.

- Czy Cadvan dobrze się czuje? - spytała, gdy skończyła jeść.

Oczy Nelaca były ciemne i pozbawione wieku, a spojrzenie, które skierował w stronę Maerad, niemal równie głębokie jak u Ardiny.

- Niedługo odzyska siły - oznajmił. - Musiałem użyć całych swych mocy uzdrawiających, ale naprawiłem to, co w nim pękło, jakby nigdy nie odniósł ran. To więcej niż zaklęcie naprawcze. Teraz dolega mu jedynie wyczerpanie, je zaś uleczy długi wypoczynek.

- Ale co mu było? - zerknęła na Nelaca i znów wezbrał w niej niepokój. - Nie wiedziałam, że cokolwiek go dręczy, to znaczy poza zmęczeniem i śladami bata...

Oczy Nelaca przepełniało łagodne zrozumienie i Maerad spuściła wzrok. Jego wnikliwość krępowała ją.

- Cadvan to bard o niezwyklej sile woli - odparł przyjaźnie, uśmiechając się lekko, jakby na jakieś odległe wspomnienie. - Jeśli pragnie coś ukryć, niemal niemożliwe jest odkrycie tego. Kiedy tu dotarliście, był na granicy śmierci. Został powalony i złamany pod naporem złej woli, choć przywołał na pomoc całą swą moc. Dla barda to straszliwy wstrząs, tym większy, im potężniejszy bard. A Cadvan jest wielkim bardem. I choć fizyczne rany się zabiłiły, duszę dręczyła choroba odbierająca siły.

Maerad siedziała w milczeniu, wstrząśnięta myślą o tym, że Cadvan mógłby umrzeć. Do tej pory miała go za niezniszczalnego.

- Muszę przyznać, że przepełnia mnie ciekawość - dodał Nelac po chwili milczenia. - Jak to możliwe, że nie zginęliście wszyscy? I zastanawiam się, kim był ów upiór. Minęło wiele stuleci, odkąd słyszano o nich w Annarze.

Ciałem Maerad wstrząsnął dreszcz, oczami duszy znów ujrzała złowieszczą postać upióra.

- Mówił, że ma na imię Sardor - odparła.

- Sardor? - Twarz Nelaca spochmurniała. - Spętano go dawno, dawno temu. Kiedyś nawiedzał Połamane Zęby na wzgórzach Edinuru, tam leżał jego kurhan; lecz bardowie oczyścili go po Ciszy i pozostał tylko jego cień. Mroczne wspomnienie dawnego zła, lecz jedynie wspomnienie. Domyślałam się, że tam właśnie was zaatakował. Kiedyś, w mrocznych czasach, był potężnym królem. Złe to wieści, że podobne zło znów krąży po ziemi.

- Nie sądzę, by nadal krążyło - odparła słabo Maerad. Teraz trzęsły się jej ręce, w uszach miała ogłuszający szum. - Poraziłam go, a on zaczął się palić i zniknął.

Nelac i Saliman wpatrywali się w nią zdumieni.

- Poraziłaś go? - w głosie Salimana dźwięczało głębokie niedowierzenie. Spojrzał na Nelaca, który wpatrywał się w Maerad poważnie spod krzaczastych brwi.

Dziewczyna poczuła nagle, że nie zniesie dłużej niedowierzenia bardów, nie teraz, nie tutaj, nie tej nocy. Splotła dłonie, by powstrzymać ich drżenie.

- Nikt tego nie widział - powiedziała. - Cadvan był nieprzytomny. Sądziłam, że Hem nie żyje. Nikt nie widział, jak to robię. Ale zrobiłam. Możecie mi wierzyć bądź nie - uniosła wyzywająco głowę i dostrzegła spokojne spojrzenie Nelaca. Patrzyła mu w oczy, nie dając się onieśmielić. W końcu poruszył się, odwrócił wzrok i przesunął dłonią po czole. Ku zdumieniu Maerad wydawał się nieskończenie smutny.

- Wierzę ci - rzekł.

XXI

NARADA PRZYJACIÓŁ

Przez długi czas Maerad unosiła się pośród mgieł i oparów snu; tuż przed nią rozkwitały bezsensowne obrazy: cytadela podobna do Norlochu, lecz maleńka i zamknięta w szklanym dziecęcym zabawka, drzewa wędrujące do morza i Hem zjadający nienaturalnie wielkie winne grona. Nagle westchnęła głośno: tuż przed nią pojawił się Próżny i sięgnął ręką ku jej przegubowi. Chwycił ją, a ona nie mogła się poruszyć ani odezwać. A potem Próżny zniknął i w swym śnie, tak jak dawno temu w Innailu, wleciała w górę niczym ptak, ponad krainę Annaru. W oddali promienie zachodzącego słońca dotykały wierzchołków wschodnich gór i obronnych murów wielkiego miasta na zachodzie, miasta, w którym teraz rozpoznała Norloch; między nimi płynęła rzeka Aleph niczym wąż ze stopionego złota. I znów czarna mgła zaczęła zasnuwać ziemię, i Maerad usłyszała czyjś lament, a potem głos wykrzyknął „Spójrz na północ”. Poczuli narastającą panikę, widząc zbliżający się groźny cień. A potem, jak wcześniej, wraz z mroczną grozą nocnego koszmaru pojawił się martwy głos. Wstrząśnięta i ogłuszona zrozumiała, że posługuje się Mową, lecz Mową odmienioną i zniekształconą tak, że nie przypominała już języka wzniosłości i piękna, lecz stała się pusta i zła, a jej moc - odwrócona. „Znów jestem - przemówił głos - lecz nikt nie znajdzie mej siedziby, żyję bowiem w sercu każdego człowieka”. A potem zaczął się śmiać i ów śmiech sprawiał jej ból, aż wreszcie skręcając się i szamocząc w łóżku, Maerad wymknęła się z macek koszmarnego snu i ocknęła. Usiadła rozdygotana, rozglądając się wokół. W sypialni panowały cisza i spokój. Przez szybki okna do środka wsączało się słabe światło, malując wnętrza srebrzystym blaskiem. Powiodła dokoła wzrokiem, upewniając się; wszystko było na miejscu: jej lira, książka, flet, prezent od Elidhu...

I kiedy tak siedziała na łóżku, próbując bez powodzenia uwolnić się od wszechogarniającej zgrozy, usłyszała ciche pukanie do drzwi. O mało nie wyskoczyła ze skóry.

- Maerad?

To był Hem.

- Tak?

W uchylonych drzwiach pojawiła się głowa chłopca.

- Maerad, mogę spać z tobą? Mam złe sny... A pokój jest taki wielki i ciemny.

Kiwnęła głową i blady, rozczochrany Hem bez słowa wśliznął się do łóżka obok niej. Położyła się, obejmując ramionami jego chude, kościste ciało. Po paru sekundach zasnął, pochrapując, i wkrótce Maerad także osunęła się z powrotem w czarny, pozbawiony marzeń sen.

*

Otworzyła oczy. Widziała przed sobą jedynie biel, po której tańczyło złote pasmo światła. Obserwowała je zafascynowana. Miała wrażenie, że trwa to bardzo długo; powoli uświadamiała sobie, że patrzy w sufit. Muszę być w Innailu - pomyślała, ale tamtejsze sufity wykańczano kamieniem, nie białym tynkiem. Nagle wspomnienia powróciły gwałtowną falą i usiadła.

Hem, przycupnięty w kącie, zajadał właśnie bułkę.

- Spisz jak stary pies - mruknął. - Od wieków czekam, aż się obudzisz. Siedzę tu kilka godzin.

- A która jest teraz? - Maerad przeczesła palcami włosy.

- Trzy godziny po południu - chłopak odgryzł kolejny kęs bułki. - I do tego chrapiesz.

- Jak się czuje Cadvan? - Maerad spuściła na ziemię stopy i zaczęła szukać ubrania.

- Nie wiem. - Hem wzruszył ramionami. - Pewnie śpi tak jak ty.

- Wyjdź, żebym mogła się ubrać.

- Dobra. - Znów ruch ramion. - Na dole czeka jedzenie, jeśli masz ochotę. Musiałem tu wrócić po ciebie; Saliman martwi się, że zabłądzisz.

Maerad cisnęła w niego poduszką, a on wymknął się z pokoju.

Już ubrana podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Dzień był jasny i pogodny, zupełnie jakby nocna burza wyszorowała niebo do czysta. Ponad dachami niższych kręgów widziała Carmallachen i leżącą dalej dolinę Norlochu. Podziwiała właśnie ów widok, gdy nagle z dreszczem, który wstrząsnął całym jej ciałem, przypomniała sobie sen. Obraz ten wzbudził falę mdłości, która przepłynęła przez nią od koniuszków palców stóp aż po czubek głowy. Maerad przytrzymała się stołu; było jej niedobrze, kręciło jej się w głowie. Dziesięć minut później poważna i milcząca dołączyła do Hema i ruszyła na dół.

*

Cadvan i Saliman siedzieli w salonie Nelaca, pogrążeni w rozmowie. Kiedy Maerad i Hem weszli do środka, obaj unieśli głowy. Cadvan nadal był bardzo blady, jego twarz znaczyły cienie: pręgi po smagnięciach, pokryte maleńkimi, krzyżującymi się szwami, odcinały się

ostro od jasnej skóry, a siniec otaczający podbite oko zaczynał blednąć w widowiskowej palecie kolorów zachodzącego słońca. Lecz śmiertelne zmęczenie, które tak bardzo wstrząsnęło Maerad zeszłej nocy, zniknęło.

- Dzień dobry - powiedział Cadvan - choć spora jego część już minęła. Ja sam też dopiero niedawno wstałem!

- Witam - odparła Maerad. Tak bardzo ucieszył ją widok Cadvana w normalnym stanie, że do oczu napłynęły jej łzy. Zamrugła, przepędzając je, i zerknęła w stronę jadalni. - Hem mówił, że jest tu jedzenie.

- Hem i jedzenie! - Saliman wywrócił oczami. - Nigdy nie widziałem, by istota ludzka potrafiła tak dużo zjeść. Odkąd wstał z łóżka, chyba ani na chwilę nie przestał przeżuwać.

- Jestem głodny - oburzył się Hem. - Co w tym złego? - Zniknął w jadalni.

- Jak się czujesz? - spytała nieśmiało Maerad.

Cadvan uśmiechnął się do niej po raz pierwszy od wielu dni.

- Doskonale, moja młoda bardko - rzekł. - Poza kilkoma swędzącymi szwami. Jestem pewien, że dla odmiany wyglądam gorzej, niż jest w istocie. Idź, posil się. Wkrótce zjawi się Nelac; w tej chwili prowadzi lekcje. Musimy wszyscy porozmawiać.

Maerad zjadła śniadanie - z Hemem, który bezwstydnie wyjaśnił, że musi dotrzymać jej towarzystwa - i wróciła do salonu. Cadvan i Saliman rozmawiali właśnie o podróży tego ostatniego do Norlochu.

- Nie miałem tak wielu przygód jak ty - Saliman zerknął na poranioną twarz Cadvana. - Nie widziałem upiorów. Ale trzech Próżnych zaatakowało mnie na rozstajach i choć ich przepędziłem, zabili moją klacz, Dimę. Wciąż po niej boleję. Nosiła mnie od siedmiu lat. Nie spodziewałem się takiego zagrożenia w samym sercu Annaru! Toteż dotarcie tu trwało dłużej, niżbym chciał. Kupiłem innego konia, ale nie tak świetnego jak mój, śpieszyło mi się jednak i nie miałem czasu na targi.

W tym momencie powrócił Nelac. Przez wielkie okna do środka wlewały się strumienie słonecznego blasku; gospodarz otworzył je, wpuszczając świeże powietrze. Maerad wyjrzała na zewnątrz: zobaczyła klomb wielobarwnych kwiatów, które sięgały aż szmaragdowozielonego trawnika, i westchnęła z zachwytu.

- Większość moich kwiatów przetrwała burzę - oznajmił stojący za jej plecami Nelac. - Ale niestety nie zawilce! Najmniejsze tchnienie pozbawia je płatków, a były tak piękne w tym roku.

Odwróciła się do niego z uśmiechem i nagle onieśmielenie, które w niej budził, minęło. Zamiast szlachetności dostrzegła w nim łagodność, a pod nią smutek, który

wyczuwała u wszystkich bardów i który czasami ją zdumiewał, bo tak często bez najmniejszego ostrzeżenia przechodził w radość. Uświadomiła sobie nagle, że jest bardzo podobny do Cadvana, a potem przypomniała sobie, że obaj wywodzą się z tej samej szkoły.

Przez jakiś czas bardowie rozmawiali. Hem siedział na podłodze zasłuchany i przeżuwał coś bez przerwy, od czasu do czasu znikając w sąsiednim pokoju, by uzupełnić zapasy - zupełnie jakby się bał, że całe to jedzenie zniknie w ciągu godziny, jeśli natychmiast go nie pochłonie. Nelac i Saliman zasiedli w wielkich fotelach przy wygaszonym kominku, Maerad zajęła miejsce obok Cadvana na kanapie pod malowaną ścianą. Hem przysiadł u jej stóp.

Cadvan opowiedział Nelacowi o tym, jak znalazł Maerad w Gilmanowym Siole, o ich ucieczce z Innailu i o śmierci Dernhila z rąk Próżnych, o której Nelac wiedział już od Salimana. Ten ostatni ze smutkiem pokręcił głową.

- Utrata Dernhila to bolesny cios - rzekł - i tak niespodziewany! Kiedy wyjeżdżałem, cały Innail pogrążył się w żałobie; Silvia była niepokieszona. - Serce Maerad szarpnęło się na wzmiankę o Silvii, oczyma ducha ujrzała jej twarz pociemniałą z rozpacz. - Po co Próżni mieliby atakować Dernhila? - ciągnął Saliman. - Może to zemsta, Cadvanie? Czy sądzisz, że ma to coś wspólnego z Maerad?

- Możliwe, że jedno i drugie - odparł ponuro Cadvan.

Następnie zrelacjonował im spotkanie z Próżnymi i Kulagiem i wreszcie zasadzkę upiora. Ze względu na obietnicę złożoną Ardinie nie wspominał o Rachidzie. Hem milczał, zamyślony, i jadł. Nelac ani Saliman nie przerwali, słuchali w napięciu z poważnymi minami. Czasami Saliman zerkał na Maerad z niemal nabożnym zdumieniem.

- Kulag sam w sobie jest już dość niezwykły - rzekł, kiedy Cadvan skończył opowieść.
- Ale zniszczenie upiora...!

- Nie wiemy, czy został zniszczony - doprecyzował Nelac. - Choć tak to wygląda. Nigdy nie słyszałem o bardzie, który zdołałby dokonać czegoś więcej, niż tylko przegnać upiora do Otchłani.

- A nawet to wymaga silnej woli - dodał Cadvan. - Owszem, kryje się w tym coś, co nie do końca rozumiemy.

Wszyscy spojrzeli na Maerad.

- W takim razie czemu ty nie mogłeś go przegnać? - zapytała Cadvana. - Wszyscy twierdzą, że jesteś wielkim bardem.

Cadvan westchnął.

- Powinienem był móc to zrobić. Ale przyznaję ze wstydem, że dałem się zaskoczyć.

Śpieszyło mi się i podjąłem błędną decyzję: sądziłem, że poradzę sobie z Próżnymi i łakami. Mimo iż było ich pięciu, uznałem, że to możliwe: ryzykowne, ale nie aż tak bardzo, jeśli zachowam czujność. Upiór to jednak zupełnie inna sprawa - uśmiechnął się cierpko. - Nawet jeśli tobie wydaje się drobiazgiem.

- No cóż - Maerad zarumieniła się lekko. - Nie wydawał mi się wcale drobiazgiem, po prostu w ogóle o tym nie myślałam. Wszystko to po prostu ze mnie wypłynęło. Od tego czasu jestem bardzo zmęczona - dodała pośpiesznie.

- Nic dziwnego - Saliman uśmiechnął się. - Ja sam przez tydzień nie wstałbym z łóżka.

- Zastanawiam się... - zaczęła Maerad i urwała.

- Nad czym, o moja wybawicielko? - chciał wiedzieć Cadvan.

Maerad znów zarumieniła się na ten żart.

- Zastanawiałam się, czy Landrost cię nie zranił i czy dlatego... - zająknęła się i umilkła.

- Landrost istotnie mnie zranił - odparł Cadvan. - I nie władałem pełnią swojej mocy. Ale to nie tłumaczy pochopnych decyzji i wynikających z nich błędów. Obwiniam się i faktycznie jestem winny, a to surowy wyrok, Maerad, bo wydarzenia o mało nie potoczyły się zupełnie inaczej, a ich rezultat mógł być katastrofą nie tylko dla nas, lecz dla wielu innych ludzi. - Maerad przez moment dostrzegła na jego twarzy niewzruszoną surowość i zadrżała; pomyślała, że wolałaby, żeby Cadvan nigdy jej nie oceniał, jeśli uczyni coś złego. Potem jednak to wrażenie zniknęło, a on mówił dalej. - Jeśli ma to w ogóle jakąś dobrą stronę, to tę, że w końcu uzyskałaś Mowę. A być może mogło to nastąpić jedynie w tak dramatycznych okolicznościach. Skrywałaś ją bardzo głęboko.

- Owo głębokie ukrycie bywa oznaką wielkiego Daru - wtrącił Nelac. - Pamiętacie Thorondila z Culoru? Uzyskał Mowę dopiero w dwudziestym pierwszym roku życia.

- To nie wszystko - oznajmił Cadvan i opowiedział im o pergaminie, który Dernhil wręczył Maerad i w którym Lanorgil opisywał swój proroczy sen, a także o lirze Maerad, skrywanym skarbie Pellinoru.

Na prośbę Nelaca pobiegła do swej sypialni i przyniosła jedno i drugie. Stary bard z czcią ujął w dłonie lirę, obracając ją w palcach.

- Tak, Cadvanie, masz rację - rzekł w końcu, trącając lekko struny, które zadźwięczały cicho w odpowiedzi. - Istotnie, to dhylicka robota. Przepiękny, doskonały instrument. Cóż za wyważenie!

- Miałem nadzieję, że zdołasz odczytać to pismo wokół krawędzi - rzekł Cadvan. - Ja w ogóle nie rozpoznałem liter.

Nelac przyjrzał mu się uważnie.

- Nie - rzekł w końcu. - W Afinilu posługiwano się wieloma pismami, a ja nie znam ich wszystkich. To pismo runiczne, a w nich jeden symbol może zawierać w sobie cały poemat. Bardzo trudno je rozszyfrować, jeśli zaginie klucz. Możliwe jednak, że to jedynie imię twórcy i fragment pieśni.

Znów pogładził lirę i oddał ją Maerad, która wsunęła instrument z powrotem do futerału, prezentu od Cadvana. Traktowała ją z większą niż zwykle ostrożnością: dla niej była cenna jak zawsze, lecz obecni bardowie przyglądali się jej z nabożnym zachwytem.

- To jest pergamin, który dał mi Dernhil.

Wręczyła go Nelacowi, a ten z namysłem przebiegł wzrokiem po literach.

- Odczytuję to jako zapowiedź prawdziwego imienia przepowiedzianego Jedynego. - Cadvan spojrział pytająco na Nelaca. - A ty jak myślisz?

- *Odnajdźcie i czcijcie Ognistą Lilię, dziecko losu, które zakwita jasno w mroku i długo śpi w ciemności, bo z jej korzenia rozkwitnie na nowo Biały Płomień wówczas, gdy zdawać się będzie, że jego nasienie zostało nieodwracalnie zatrute.* - odczytał głośno Nelac. - Hm - zerknął na Maerad i z powrotem skupił wzrok na pergaminie. - Z całą pewnością nie chodzi tu o lilię Pellinoru, lecz o prawdziwe imię, które, jak mawia się czasem, przybywa „z mroku”. *Zważcie na Znak i nie bądźcie ślepi! W imię Światła i w trosce o Mowę, której korzenie leżą w Drzewnej Pieśni ożywiającej wszystko.* „Drzewna Pieśń”? Od dawna już o niej nie słyszałem.

- Wiesz o niej? - Cadvan pochylił się naprzód, jego oczy pojaśniały. - To wskazówka, coś związanego z Żywiołowcami. Jest coś jeszcze. Maerad, opowiedz im o Elidhu.

Maerad posłusznie opisała spotkanie z Elidhu w Magilesie i wyrecytowała pieśń, którą tam słyszała. Saliman i Nelac słuchali w absolutnej ciszy, a ona, wyczuwając ich zdumienie, napawała się historią. Hem uniósł głowę, zasluchany, z otwartymi ustami, po raz pierwszy zapomniał o jedzeniu. Przypomniała sobie ową dziwną świadomość, że Ardina i Elidhu to jedno i to samo. Nie wolno im było jednak wspomnieć o Rachidzie i nawet Cadvanowi nie zdradziła tajemnicy królowej.

- Krew Żywiołowców w rodzie Karn! To zaskoczyło nawet mnie! - powiedział w końcu Nelac. - Ale bez wątpienia masz rację, jest jakiś związek. Muszę pogrzebać głęboko w pamięci, by go odnaleźć. Drzewna Pieśń to pradawna tradycja, wywodząca się z Afinilu, od dawna skryta w cieniu. Ma związek z Mową. W jakiś sposób wiąże się z Przepowiedzianym, ale nie do końca pamiętam jak... Istnieje tyle pieśni o Przepowiedzianym, a wszystkie to zagadki.

Nagle w salonie zadźwięczał piękny tenor.

Rośnie Lilia z krzaku Róży

Rośnie Róża z piennej Fali,

Trójjęzyczny Ogień burzy

Edil-Amarandh ocali

Maerad, zdumiona, uniosła wzrok. To był Saliman - nigdy wcześniej nie słyszała, jak śpiewa.

- Co to było? - spytała.

- Fragment *Kantyczek* Pela - wyjaśnił. - Napisanych tuż po Wielkiej Ciszy. Ognista Lilia wydaje się dość jasna, jeśli za wskazówkę posłuży nam proroctwo Lanorgila. Co do róży, to ród Karn.

- Naprawdę? - zdumiała się.

- Jego symbol to róża - wyjaśnił Cadvan. - Dzika róża. - Zamyślony zmarszczył brwi.

- Nie pomyślałem wcześniej o *Kantyczkach* - rzekł. - Trójjęzyczny? Z pewnością oznacza to Mowę, annaryjski i język Elidhu - spojrzał na Nelaca, jego twarz jaśniała podnieceniem.

- Sugerujesz, że Maerad jest Przepowiedzianą? - Brwi Nelaca uniosły się tak wysoko, że niemal zniknęły wśród włosów.

- Tak, tak, tak, oczywiście, że tak - Cadvan z roztargnieniem rozmyślał na głos. - Fala. Co to takiego? Może znaczyć tak wiele...

- Cadwanie, to bardzo poważne twierdzenie! - odparł Nelac. - Mówisz poważnie?

Cadvan spojrzał mu prosto w oczy.

- Nigdy w życiu nie byłem poważniejszy - rzekł. - Znasz to powiedzenie? Potrzeba budzi Światło. Wątpisz w obecną potrzebę?

Nelac odpowiedział niewzruszonym wzrokiem. Powoli przytaknął i westchnął. Odwrócił się do Maerad i jego spojrzenie wniknęło głęboko w jej umysł, znacznie bardziej przenikliwie niż poprzedniej nocy. Wzdrygnęła się zaskoczona. W salonie zapadła nagła cisza. Nagle bard uczynił dziwny gest, powoli jego głowa opadła na pierś, a prawa dłoń uniosła się do karku i ścisnęła go. Siedział tak jakiś czas, a Cadvan i Saliman wpatrywali się w niego oniemiałi.

W końcu Nelac unióśł głowę.

- Tak, wierzę, że Maerad jest Jedyńą - rzekł. - Uważam, że dobrze odgadłeś. - Znów westchnął, spoglądając na nią z ogromnym współczuciem.

Gapiła się bez słowa, tak bardzo chciała spytać, skąd wie; krew śpiewała jej w uszach.

- Myślę, że masz nam więcej do powiedzenia - dodał Nelac.

- Owszem - odparł Cadvan. - Lecz zastanawiam się, co oznacza fala.

- To oczywiście znak Światła - wyjaśnił Nelac. - A także symbol muzyki i, tak się składa, Szkoły Amdrithu. Może także oznaczać po prostu morze. Ma zbyt wiele znaczeń, by ją na razie zrozumieć.

- Później w *Kantyczkach* pojawia się też „piana”.

- Hm, istotnie - Nelac zmarszczył brwi. - Elidhu często kojarzono ze spienioną grzywą fali, bo umieli przybierać różne postaci. To oczywiście bardzo dalekie skojarzenie - zamyślony zmarszczył czoło. - Teraz przypominam sobie, czym jest Drzewna Pieśń. To starożytne określenie Mowy, z czasów Afinilu. Oznacza coś, co wykracza poza słowa. A także pieśń, ponoć napisaną, gdy bardowie pierwszy raz zjawili się w Annarze, w której zawarto tajemnicę Mowy, lecz Mądrość głosi, że to zagadka, której nie zdołał rozwiązać żaden z bardów, od dawna zaginiona. Nawet w pierwszych dniach po Ciszy, kiedy bardowie zaczęli odnajdywać sporo z tego, co wcześniej zniknęło, wielu twierdziło, że nigdy nie istniała.

Zapadła głucha cisza.

- No to jak ją znajdziemy? - spytała Maerad.

Nelac posłał jej ostre spojrzenie.

- Nie wiem - przyznał. - Ale sądzę, że musisz to zrobić - popatrzył pytająco na Cadvana. - Co jeszcze masz nam do powiedzenia?

- Pozostaje kwestia Hema albo Caia - oznajmił Cadvan.

Hem poruszył się, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

Cadvan rozpoczął historię tego, jak odnaleźli Hema, jego dzieciństwa w sierocińcu i odkrycia medalionu. Tym razem Nelac i Saliman wypytywali go dokładniej, a potem zwrócili się do Maerad.

- Wiem, że to mój brat - odruchowo przysunęła się bliżej chłopca. - Chyba wiedziałam o tym jeszcze przed tym, nim się dowiedziałam. Gdzieś w głębi.

- Możliwe, że w swym zrozumiałym pragnieniu odzyskania brata pomyliłaś się - rzekł łagodnie Nelac. - Jak dotąd jedynym dowodem jest medalion i powierzchowne podobieństwo do Dorna. Próżni mogli podrzucić mu symbol szkoły, by oszukać innych.

- Nie, jest mój - wtrącił gwałtownie Hem. - Miałem go już, kiedy tam trafiłem. Zawsze go miałem.

Maerad rozpoznała w nim zawziętość kogoś, kto nie miał niczego. Czowała dokładnie to

samo do swej liry, jedyne skarbu, symbolu dawnego życia w Gilmanowym Siole.

- To wciąż nie znaczy, że nie mogli ci go podrzucić Próżni - oznajmił Saliman. - A pod nieobecność innych dowodów...

Maerad objęła ramieniem Hema i przytuliła go mocno.

- Tak - Nelac skłonił głowę, głęboko zamyślony. - Tak. I oczywiście wiemy, że można zapisać w czyjejś głowie fałszywe wspomnienia. Próżni bardzo lubią tę sztuczkę. Pewność może nam dać jedynie wniknięcie.

- Ja w niego nie wniknę - rzekł szybko Cadvan. - Z Maerad było już aż nazbyt ciężko.

- W takim razie ja to zrobię - rzekł Nelac. - To znaczy, jeśli Hem się zgodzi.

Hem wbijał gniewny wzrok w dywan.

- Ja nie kłamię - rzucił zduszonym głosem.

- Wiem - powiedział Nelac. - Tego, w co wątpię, nie mógłbyś uczynić świadomie. Ale musisz wiedzieć, Hemie, że w nikogo nie wnika się tu wbrew jego woli. Twoja zgoda bardzo by nam pomogła.

Zapadła długa cisza.

- No dobrze. - Choć rozgniewany, Hem sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się rozplakać. - Wniknij we mnie, skoro mi nie wierzysz!

Wstał i wybiegł do ogrodu.

- Przestraszyliście go! - rzuciła gniewnie Maerad, posyłając Nelacowi wrogie spojrzenie, i ruszyła za chłopcem. Stał pod kwitnącym drzewem, wpatrując się wściekle w klomby.

- Hem! - zawołała cicho.

- No co? - Nie odwrócił się.

Maerad nie wiedziała, co powiedzieć.

- Nelac... Nelac nie chce cię skrzywdzić - rzekła w końcu. - Cadvan we mnie wniknął. To nie boli. A kiedy mi to zrobił, zraniłam go.

- Ja nie kłamię - wykrztusił zduszonym głosem. - Tobie to dobrze, nikt nie mówi, że ci nie wierzy.

- To nie do końca prawda. - Maerad powróciła myślami do rady w Innailu. - Poza tym nie robi tego teraz. No chodź, wracajmy.

Hem nadąsany odwrócił się na pięcie, spuszczać wzrok. Maerad wzięła go za rękę, lecz on ją odtrącił, ale poszedł w ślad za siostrą do pokoju. Cadvan, Saliman i Nelac siedzieli w milczeniu.

- Hem, przepraszam, jeśli cię wystraszyłem - rzekł gospodarz z powagą. - I

przepraszam, że w ciebie wątpię. To, o czym rozmawiamy, jest tak ważne, że nie możemy pozwolić sobie na brak absolutnej pewności.

Hem przytaknął i głośno przełknął ślinę.

- Mogę jednak obiecać, że wnikanie cię nie zaboli - ciągnął Nelac. - Po wszystkim zaś zamówię specjalną ucztę, wyłącznie dla ciebie, by ci to wynagrodzić.

Hem przytaknął ponownie, tym razem lekko rozpogodzony.

- Wcale się tego nie boję - rzekł ze wzgardliwą miną. - Chcesz to zrobić od razu? - spytał po chwili ciszy. - Mój umysł jest gotowy.

Saliman uśmiechnął się szeroko i pacnął go lekko.

- Czy jest coś, czego nie zrobisz dla jedzenia, łobuzie? - spytał. - Najpierw musimy skończyć tutaj.

- Możemy to załatwić nieco później - Nelac ukrył uśmiech. - A potem, rzecz jasna, będziemy musieli zdecydować, co z tobą począć.

- Począć? - Twarz Hema natychmiast zachmurzyła się z powrotem.

- Musisz pójść do szkoły.

- Och.

- Niestety, wątpię jednak, by Norloch cię przyjął.

- Nie, pewnie nie - zgodził się Cadvan. - Zapomniałem o tym.

- O czym? - Maerad gwałtownie uniosła wzrok.

- Z niewiadomych przyczyn kandydaci z ludu Pilanelów nie znajdują tu miejsca - w głosie Cadvana dźwięczała pogardliwa nuta. - Szkoła powinna przyjmować wszystkich obdarzonych Darem, tu jednak twierdzi się, że ponieważ Norloch to serce Światła, jedynie najlepiej urodzeni mogą dostąpić zaszczytu pobierania tu nauk.

- Ale przecież Hem pochodzi z rodu Karn! - zaprotestowała Maerad. - Sam mówiłeś, że to jedna z najszlachetniejszych rodzin!

- Owszem - zgodził się Cadvan - lecz nawet jeśli zyskamy absolutną pewność, trudno będzie przekonać innych o prawdziwości słów Hema. Zwłaszcza tutaj. Myślę też, że Hem byłby szczęśliwszy w innej szkole.

- Może w Turbansku? - zaproponował Saliman.

- W Turbansku? - Twarz Hema nagle pojaśniała. - Naprawdę mógłbym tam pojechać?

- Jeśli zechcesz - odpowiedział Saliman. - Mógłbym cię zabrać. Wkrótce stąd wyjeżdżam.

Maerad poczuła nagle bolesne ukłucie: czyżby tak szybko miała znów stracić brata? Hem najwyraźniej pomyślał to samo.

- Czy Maerad też pojedzie z nami?

- Może - mruknął Cadvan. - Jeśli nie, z całą pewnością złoży ci wizytę.

Te słowa wyraźnie pocieszyły chłopca.

- Nad przyszłością Hema zastanowimy się w najbliższych dniach - zdecydował Nelac. - Mamy kilka możliwości. Ktoś o tak nietypowym życiorysie musi starannie dokonać wyboru. Zgadzam się, że Norloch to niewłaściwe miejsce. Ale jakże szybko płynie czas! Słońce już chyli się ku zachodowi. Muszę przemyśleć wszystko, co tu dziś powiedziano. Zgadzamy się zatem, iż wierzymy, że Maerad jest Jedyną.

Cadvan skinął głową.

- To poważne twierdzenie - podjął Nelac. - I nie możemy liczyć na to, że przekonamy innych, póki jej nie mianujemy i nie poznamy jej imienia. Przyjmuję proroctwo Lanorgila, był przecież jednym z największych znanych jasnowidzów. Bardzo bym się zdziwił, gdyby Maerad nie okazała się Jedyną, ale musimy się zastanowić, co będzie dla niej najlepsze. I dla nas wszystkich. Nadal jest bowiem bardzo młoda i nie poznała swoich mocy. Brak jej też wykszolenia niezbędnego przy podobnych zdolnościach. A to może być niebezpieczne. - Urwał, jego spojrzenie ponownie omiotło twarz Maerad, która zadrżała, nagle zawstydzona; przypomniała sobie z obawą dziwną radość, jaką poczuła, kiedy zniszczyła Kuląga i upiora. - Sądzę też - dodał Nelac - że będziemy mieli poważny problem z przekonaniem Pierwszego Kręgu, aby zgodził się na jej mianowanie.

- Nawet po tym, co tu dziś powiedziano? - zdumiał się Saliman.

Nelac spojrzał na niego spod ściągniętych brwi.

- Od jak dawna nie odwiedzałeś Norlochu, Salimanie? Od pięciu lat? A ty, Cadvanie? Co najmniej od roku? - Obaj przytaknęli. - Muszę wam zatem powiedzieć, że Enkir zakazał nauczania kobiet.

- Co takiego? - zdziwili się obaj bardowie.

W tym samym momencie Maerad, zapomniawszy, że Cadvan już jej o tym mówił, spytała:

- Kto to jest Enkir?

- Enkir to pierwszy bard - wyjaśnił Nelac. - Obaj wiecie, że od pewnego czasu w swych pismach występował przeciw kobietom. Trzy lata temu zabronił uczenia ich walki mieczem i wręcz. Pod koniec zeszłego roku wydał edykt głoszący, że kobiety nie mogą uczyć się na bardów.

- Ale to niesprawiedliwe! - wybuchnęła Maerad.

- To dowód jego władzy - ciągnął Nelac. - Od śmierci Nardila, cztery lata temu, nikt

nie był w stanie go utemperować. Ja sam oczywiście robię, co mogę, ale wraz z kilkoma innymi jesteśmy stale przegłosowywani podczas rady. Wiele lat minęło, odkąd w Pierwszym Kręgu zasiadała kobieta. Nie podoba mi się to. Coś jest nie tak z tutejszą Równowagą i robi się coraz gorzej.

- Enkir jest dumny i ambitny - wtrącił Saliman - dobrze to pamiętam. Ale nie wydaje mi się, by był złym bardem.

- Może nie złym - odparł Nelac - lecz obdarzonym żelazną wolą. Jest pewien, że postępuje słusznie, i potrafi przekonać o tym innych. Sprzeciwianie mu się może drogo kosztować.

- Trudno mi uwierzyć, by zszedł na złą drogę, choć nie mam dla niego ciepłych uczuć - rzekł Cadvan. - Wiele działał w służbie Światła.

Zapadła cisza, bardowie milczeli, zatopieni we własnych myślach, a Maerad poczuła, że znów ogarnia ją niepokój.

- Zeszłej nocy miałam sen - oznajmiła gwałtownie. - Był... - urwała, znów wezbrały w niej mdłości i musiała zaczekać, aż miną.

- Sen? - zainteresował się szybko Cadvan. - Zapomniałem wspomnieć o jej proroczym śnie w Innailu - dodał pod adresem pozostałych dwóch.

Nelac uniósł wzrok.

- Czy zdolności tej dziewczyny nie mają granic? - spytał z ironią.

- Był ten sam. Tyle że tym razem go zrozumiałam.

Maerad zrelacjonowała oba sny, walcząc z mdlącym wspomnieniem grozy, i ponownie bardowie słuchali w absolutnym skupieniu. Nelac stopniowo zaciskał dłonie na poręczach fotela, aż pobiełały mu kostki.

- Rozumiem - rzekł cicho, kiedy skończyła.

- Co takiego rozumiesz, Nelacu? - spytał szybko Cadvan.

- To z całą pewnością wiesz sen i ma zbyt wiele wspólnego z proroctwem Lanorgila, by mi się to spodobało - odparł. Maerad spuściła głowę, aby ukryć grymas na twarzy; było jej niedobrze. - „Spójrz na północ!” Zastanawiam się, co to znaczy. Wydaje mi się, Maerad, że jeśli w istocie to ty masz szukać Drzewnej Pieśni, musisz szukać na północy. Ale to także ostrzeżenie. Zbyt wiele rzeczy nie pasuje. Uważam za niezbędne, by Maerad została mianowana jak najszybciej, abyśmy wiedzieli z całą pewnością, że to ona jest Jedyną. Jutro poproszę o zwołanie rady.

- Ja też tak uważam - dodał z powagą Saliman. - Robi się jednak późno i zmęczyły mnie długie rozmowy. Chyba już czas napić się wina.

*

Po narodzie Maerad zapragnęła odetchnąć świeżym powietrzem, toteż Cadvan pokazał jej Pierwszy Krąg. Wpatrywała się w budynki, podziwiając pełne wdzięku wieże, w większości okrągłe, choć niektóre miały osobliwe kształty, dziewięciobądź siedmioboczne; dachy niemal wszystkich wyłożono złożonymi dachówkami. Wokół okien i drzwi wyrzeźbiono dziwaczne twarze, niektóre groteskowe, inne zdumiewające urodą, i inskrypcje w starożytnych runach. Zbudowano je z białego kamienia połączonego tak zręcznie, że niektóre wyglądały jak wyrzeźbane z pojedynczego bloku, a pod białymi murami rosły drzewa anarech, które można spotkać w zaledwie kilku miejscach Annaru. Anarechy były wysokie i smukłe, miały czarną korę i długie liście, srebrne od spodu i ciemne z wierzchu, tak że gdy falowały w powiewach wiatru, wyglądały niczym fontanny ruchomych świateł i cieni. Właśnie kwitły i po nocnej burzy ulice poczerwieniały od szkarłatnych płatków.

Poza tym w Norlochu nie rosło zbyt wiele zieleni: cytadela była surowa, odrzucająca zwykle ozdóbki. Coś w niej nie dawało Maerad spokoju, z początku jednak nie potrafiła tego określić: potrzebowała czasu, by zrozumieć. Nigdzie nie słyszała głosów dzieci. Żadne dziecko nie śmiało się na ukrytym dziedzińcu ani nie bawiło między domami; ludzie rozmawiający na ulicach byli dorośli i poważni, dostrzegła też zaledwie kilka kobiet. Podobnie jak dom Nelaca, Norloch był wspaniały i piękny, ale też wydawał się zimny, bardziej świadom swego majestatu niż energii i ciepła ludzkiego życia.

Cadvan jednakże, przywykły do wspaniałości Norlochu, zamyślił się głęboko.

- Cieszę się, że Nelac i Saliman zgadzają się z tym, co o tobie sędzę - powiedział podczas spaceru. - To mnie pociesza. Sam jestem przekonany, inni jednak mogą to uznać za tak szalony pomysł, że trzeba by czegoś więcej, niż wszystkich odnalezionych przez nas znaków. Fakt, iż mi uwierzyli, daje nadzieję, że Pierwszy Krąg zgodzi się cię mianować.

- A jeśli to zrobią i nie okażą się Jedyńą? - spytała z nadzieją Maerad. Ta myśl uwolniła jej serce od przygniatającego ciężaru.

- W takim razie się myślę, nic więcej - odparł Cadvan z uśmiechem. - Będę mógł zabrać cię do dobrej szkoły, może Gentu, bo to niedaleko stąd. Tam dokończyłabyś nauki.

Maerad zastanawiała się chwilę; przypomniała sobie, co mówił Dernhil o kontynuacji nauki. Bardzo chętnie zobaczyłaby jego szkołę.

- A ty byś tam został? - spytała, choć z góry znała odpowiedź.

Zerknął na nią szybko z nieprzeniknioną miną.

- Przez jakiś czas, póki byś się nie oswoiła.

- To podobałoby mi się najbardziej - oznajmiła tęsknie Maerad. - Gdybym nie była

Jedyną i mogła nauczyć się porządnie pisać i czytać. Może Hem też mógłby tam przybyć? Te wszystkie inne sprawy nadal wydają mi się idiotyczne. - Przypomniała sobie rymowaną, którą zaśpiewał Saliman „Edil-Amarandh ocali”. Co niby mogłabym zrobić?

- Nikt z nas nie wie, co może zrobić - odparł Cadvan. - Może nie jesteś Jedyną, choć nawet Nelac święcie w to wierzy. Może to faktycznie idiotyczne? Wkrótce się przekonamy, tak czy inaczej.

Dalej szli już w milczeniu.

*

Kiedy Maerad wróciła ze spaceru, Hem poprosił, aby przysłała na jego badanie. Ponieważ ciekawiło ją, jak wnikanie wygląda z zewnątrz, chętnie się zgodziła.

- Zazwyczaj nikt tego nie ogląda - rzekł z powątpiewaniem Nelac. - Wnikanie to czynność bardzo osobista. Ale też zazwyczaj nie wnika się w dziecko.

Ponownie znaleźli się w salonie Nelaca, przez okna do środka wpadały promienie późnopołudniowego słońca. Hem stał zwrócony plecami do gospodarza, wyglądając na ogród.

- Wolałbym, żeby Maerad tu była - rzekł.

Mimo buńczucznej miny nie potrafił ukryć nerwowości w głosie i serce Maerad ścisnęło się z litości. Co będzie, jeśli wnikanie udowodni, że Hem nie jest jednak jej bratem? Nadal czułabym do niego to samo - pomyślała. W jakiś sposób byli z sobą związani.

- Oczywiście, że tam będę, jeśli zechcesz - odparła ciepło, zerkając z ukosa na Nelaca. Bard przytaknął.

- Tak będzie uczciwiej - rzekł łagodnie. - A teraz jest całkiem dobra pora. Czekanie to zwykle najgorsza część każdej męki. Zgadza się, Hemie?

Hem przytaknął ponuro; wyglądał jak prowadzony na ścięcie. Nelac zaprowadził ich do pokoju, którego Maerad wcześniej nie oglądała; uznała, że to jego gabinet. Był znacznie większy niż pokój Dernhila, od podłogi po sufit wypełniony książkami; posadzkę przykryto ciemnoniebieskim kobiercem, a okna wychodziły na ten sam ogród co okna salonu. W kącie tkwiła wielka złożona harfa, wyrzeźbiona na podobieństwo smoka, a obok niej stało ciężkie dębowe biurko. Podobnie jak we wszystkich prywatnych komnatach Nelaca wszędzie wały się pergaminy, zwoje i sterty papierów, pomiędzy którymi błyskały osobliwsze przedmioty: figurki z alabastru i jaspisu, modele statków i instrumentów muzycznych, rzeźbione misternie z błyszczącego drewna i kamienia. Potem jednak Maerad skupiła uwagę na Hemie i Nelacu. Tak jak uczynił to Cadvan w Irihelu, Nelac poprosił, by chłopiec stanął przed nim, i położyli sobie ręce na ramionach. Z lekkim wstrząsem Maerad odkryła, że Hem niemal dorównuje

wzrostem Nelacowi. Chłopak zerknął na nią nerwowo, a ona mrugnęła porozumiewawczo. Głośno przełknął ślinę i spojrzał w oczy barda.

- A teraz, Hemie - rzekł tamten w Mowie - odpręż się.

Wymamrotał kilka słów, których Maerad nie dosłyszała, i zaczął lśnić tym samym jasnym światłem jak wówczas, gdy uleczył Cadvana. Tym razem jednak nie było ono tak jasne, bardziej przypominało łagodną poświatę, słabą jak blask gwiazdy. Maerad odniosła wrażenie, że światło zbiera się także wokół Hema, tyle że jego blask miał inną barwę, nieco bardziej złocistą. Świetlisty promień zdawał się łączyć ich oczy, choć kiedy zamruwała, nie była pewna, czy naprawdę go zobaczyła, czy też jedynie wyobraziła sobie z powodu napięcia, z jakim wpatrywali się w siebie.

Hem sprawiał wrażenie pogrążonego w transie: oczy zamgliły mu się, jakby nie widział niczego wokół siebie. A potem zacisnął dłonie na ramionach Nelaca, przez sekundę zdawał się walczyć, jego twarz śmiertelnie pobladła. Maerad nie widziała oblicza starego barda, bo stał zwrócony do niej plecami. Nerwowo zagryzła wargę: czy Hemowi nic się nie stało? A potem, znacznie szybciej, niż oczekiwała, Nelac pochylił się naprzód i ucałował czoło Hema, po czym wypuścił jego ramiona. Dłonie chłopca opadły z ciała barda; Hem zachwiał się, jakby ze znużenia, i światło w obydwu zgasło.

- Dobra robota, Hemie - rzekł miękko Nelac. - To bardzo trudne.

Hem usiadł ciężko na podłodze. Twarz wciąż miał bladą, lecz bardziej otwartą niż kiedykolwiek przedtem. Spojrzał na Maerad i ku jej zdumieniu zarumienił się.

- Widziałem cię - powiedział. - To znaczy przypomniałem sobie ciebie. Wcześniej nie pamiętałem. Byłaś bardzo mała, ale mnie wydawałaś się wielka. Wyglądałaś zupełnie tak samo. - Urwał, a w jego oczach odbijała się nieznośna rozpacz. - Ojciec mnie trzymał - jego twarz posmutniała, ukrył ją w dłoniach i Maerad zobaczyła, że trzęsą mu się ramiona. Nagle dostrzegła prawdę w słowach Nelaca o osobistym wymiarze wnikania: był to smutek zbyt intymny, by mogła go oglądać nawet siostra.

Odwróciła się do gospodarza, czując, jak po ciele rozlewa jej się fala ulgi. Teraz wątpliwości zniknęły, Hem był bez wątpienia jej bratem. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się denerwowała.

Nelac sprawiał wrażenie zmęczonego, jakby długo i ciężko pracował.

- Tak, to prawda. Hem jest twoim bratem - rzekł, dostrzegając jej spojrzenie. - Bardzo się cieszę, że się na to zgodził. Dzięki temu zyskałem pewność. Im więcej mamy pewności w tych ciężkich czasach, tym lepiej. - Zaczął rozglądać się w poszukiwaniu krzesła i usiadł, przesuując dłonią po oczach. - Nie jestem już taki młody jak kiedyś. Wnikanie w czyjaś

duszę jest męczące. Doskonale rozumiem, dlaczego Cadvan nie chciał sprawdzać Hema. Chłopak kryje w sobie wiele bólu - westchnął ciężko.

Maerad stała przed nimi, skrępowana, czując się jak intruz.

- Może coś ci przynieść? - spytała w końcu. - Coś do picia?

Nelac uśmiechnął się słabo.

- Chętnie przyjmę kieliszek laradhelu. Dziękuję, Maerad.

Z ulgą wyszła z pokoju. Przyniosła dwa kieliszki, jeden postawiła na podłodze obok Hema, a potem zostawiła ich samych. Czuła, że nie powinna tam przebywać.

*

Tego wieczoru Hem nie zjawił się na kolacji: po wniknięciu poszedł do siebie i nie wrócił. Saliman uniósł brwi.

- Musi być naprawdę zmęczony, skoro opuszcza posiłek - zauważył. - Cadvan mówi, że wnikanie poszło dobrze?

- Tak, potwierdziło wszystko, o czym wcześniej rozmawialiśmy - odparł krótko Nelac.

- Teraz nie ma już wątpliwości.

Maerad wydało się, że nadal wygląda na znużonego.

Następnie Nelac poinformował ich, że poprosił, by rada spotkała się następnego dnia po południu.

- Enkir bardzo chciał wiedzieć, co takiego ważnego masz do powiedzenia, że wymaga obecności całej rady. - Zerknął na Cadvana. - Odparłem, że przynosisz wieści z północy.

- To w sumie prawda - rzekł Cadvan. - I tak się składa, że bardzo ważne.

- Dodałem też, że Saliman przyniósł wiadomości z kręgu Turbanska wymagające rozważenia przez wszystkich bardów. Nieco trudniej było mi uzyskać zgodę na obecność Maerad. Gdybym powiedział, że chcemy przyprowadzić dziewczynę, odmówiłby z miejsca. Ostatecznie wyjaśniłem, że Cadvan chce zabrać z sobą ucznia. Nawet on nie odważy się jej wyrzucić na oczach całego Kręgu.

- Muszę tam iść? - spytała Maerad ze ściśniętym sercem. Miała nadzieję, że ją to ominie.

- Twoja obecność jest kluczowa - rzekł Nelac. - Sami muszą poczuć twój Dar. Zatem tak, obawiam się, że musisz.

Maerad skrzywiła się. Wcale nie zachwyciła jej perspektywa spotkania z Pierwszym Kręgiem Norlochu.

- Sugeruję też stanowczo, abyśmy ani słowem nie wspomnieli o Żywiołowcach i o lirze Maerad - podjął Nelac. - Uważam, że na razie winniśmy jedynie poinformować ich o

naszym wniosku, że Maerad jest Jedyką, i wyjaśnić dlaczego.

- Zgadzasz się. - Saliman wytarł talerz kawałkiem chleba i spałaszował łączywie. - Wystarczy wzmianka o Elidhu, a co bardziej powątpiewający bardowie natychmiast nas wyśmieją. Nie widzę też powodów, żeby wspominać o Hemie. Tylko nasza trójka wie, kim jest naprawdę, i jedynie mieszkańcy tego domu są świadomi jego obecności. Myślę, że wspomnienie o nim tylko skomplikowałoby sprawę.

- W tym domu nie ma szpiegów, jeśli to chciałeś zasugerować - odparł Nelac. - Ale rozumiem, co masz na myśli.

- Zainteresowanie Próżnych osobą Hema wzmacnia nasze argumenty - zaprotestował Cadvan.

- Owszem, ale sądzisz, że uwierzą, iż zdołałeś znaleźć dwoje bardów z Pellinoru? - odparł Saliman. - Kulag, upiór i starcie z Landrostem powinny wystarczyć i dać im do myślenia. Część kręgu uzna zapewne, że i tak nieco koloryzujemy, przedstawienie zbyt wielu cudów naraz byłoby błędem. Należy działać ostrożnie.

- I nie wspominać o Drzewnej Pieśni? - spytał niepewnie Cadvan.

- Myślę, że nie - orzekł Nelac. - Zdecydowanie nie. To może poczekać do czasu, gdy udowodnimy, że Maerad jest Jedyką. Na razie musimy tylko nalegać na jej mianowanie w tak wyjątkowych okolicznościach. To już dostatecznie trudne zadanie. Jest kobietą, to przede wszystkim, i nie przeszła właściwego szkolenia.

- Wszystko sprowadza się do frakcji - wyjaśnił Maerad Saliman. - Musimy działać ostrożnie. Jeśli to Nelac, Cadvan i ja przedstawimy całą historię, zostanie uznana za próbę przejęcia władzy przez Nelaca.

- Ale czemu? - spytała oszołomiona Maerad.

- Bo Nelac był mentorem nas obu, kiedy byliśmy bardzo młodzi - wyjaśnił Saliman. - Uznają zatem, że stoimy po jego stronie. Pozostaje też problem tego, iż kobieta mogłaby być Jedyką. Enkir uzna to za bezpośredni atak na swoją osobę. A dla niektórych samo to wystarczy, by całkowicie odrzucić nasze argumenty.

- Ale czy to nie jest ważniejsze niż podobne rozgrywki? - zdziwiła się.

Cadvan westchnął niecierpliwie.

- Och, jakże nie znoszę polityki.

- Ty, mój przyjacielu - Saliman wycelował w niego kawałkiem chleba - nigdy nie uznawałeś polityki. To twój podstawowy problem. Ja natomiast pochodzę z południa, gdzie polityka to prawdziwa sztuka. Byłoby lepiej, Nelacu, gdyby inny bard przedstawił naszą sprawę.

- Myślałem o tym - przyznał Nelac - ale nie odważę się opisać historii Maerad nikomu z Kręgu. Może Caregalowi, nie potrafię jednak odgadnąć, jak by zareagował. Nie ma też pewności, czy zachowałby dyskrecję. Całkiem możliwe, że wieści wkrótce dotarłyby do wszystkich i zostały zlekceważone jeszcze przed naszym spotkaniem z radą. Musimy przedstawić naszą sprawę w pełni i jasno wobec całego Kręgu, pozbawionego uprzedzeń i plotek. To nasza jedyna szansa.

Jakiś czas wszyscy siedzieli w milczeniu.

Cadvan pokiwał głową.

- No dobrze, zgadzam się - rzekł. - W tej chwili najważniejsze jest mianowanie Maerad. Jutro zatem!

Uniósł kieliszek, pozostali poszli w jego ślady.

Maerad uczyniła to wolniej niż pozostali. Na myśl o Radzie zrobiło jej się niedobrze ze strachu. Jutro rozstrzygnie się jej los, a bynajmniej nie czuła się na to gotowa.

XXII

PIERWSZY KRĄG NORLOCHU

Hem był zajęty cały ranek; po śniadaniu Maerad już go nie widziała. Saliman zabrał go gdzieś.

- Kąpiel, strzyżenie i stosowny strój, a w ogóle go nie poznasz - szepnął podczas posiłku.

- Mocno wzięłeś sobie do serca jego los - odparła z uśmiechem.

- Istotnie - Saliman nagle spoważniał. - Lubię twojego Hema, choć to niesforna małpiatka. Kiedyś będzie z niego dobry bard, jeśli tylko nauczy się tego, co trzeba. Równie dobrze może zacząć od razu.

W miarę jak zbliżało się spotkanie rady, która miała się zebrać po uderzeniu popołudniowego dzwonu, Maerad czuła coraz większą nerwowość. Nie miała nic do roboty: Hem, Saliman, Cadvan i Nelac gdzieś zniknęli. Spacerowała po Pierwszym Kręgu, złapała się jednak na tym, że niczego nie dostrzega; zawędrowała do biblioteki, ale zanadto onieśmieliły ją surowe spojrzenia bibliotekarzy, by mogła dobrze się rozejrzeć, a poza tym pomieszczenie przywołało wspomnienia Dernhila, które mąciły jej już i tak rozbiegane myśli. Brin, majordomus Nelaca, przyniósł jej posiłek do pokoju, bo nikt jeszcze nie wrócił. Potem próbowała trochę poczytać, lecz nie zdołała się skupić. Pół godziny przed radą była taka zdenerwowana, że ledwie mogła mówić.

Cadvan poradził, by ubrała się odświętnie i założyła miecz i broszę. Samotna w sypialni, naciągnęła długą szkarłatną suknię i drżącymi palcami splótła włosy w warkocz. Ledwie zdołała przypiąć broszę do tkaniny, a gdy spróbowała założyć pas z mieczem Iriganem, upuściła go i aż podskoczyła, gdy z brzękiem uderzył o ziemię. Kiedy Cadvan zastukał do drzwi, odziany w srebro i czerń, z mieczem u boku, tylko raz spojrział w jej bladą twarz i mocno ucisnął dłoń.

- Maerad, nawet gdyby spotkanie z radą do niczego nie prowadziło, ty w niczym nie zawinisz - rzekł. - Pamiętaj o tym! Nie wszystko zależy od Pierwszego Kręgu!

Maerad uśmiechnęła się słabo w odpowiedzi. Cadvan przyjrzał jej się nieco uważniej.

- To tylko bardowie - powiedział łagodnie. - Dlaczego tak bardzo się boisz? Miałaś już

do czynienia z bardami i znacznie gorszymi istotami. Daj spokój, to nie jest Maerad, którą znam!

Przytaknęła, starając się przybrać odważną minę. Zerknęła w poznaczoną bliznami twarz Cadvana: z uniesioną głową stawiał czoło śmierci. Grupa starszych bardów z pewnością nie była aż tak przerażająca. Poczowała lekką otuchę, nadal jednak nie potrafiła zapanować nad głębszą obawą w piersi ani drżeniem kolan. Miała nadzieję, że suknia ukryje dygotanie nóg. Bez słowa, z odczuciem zgrozy podążyła za Cadvanem w głąb korytarza. Kiedy mijali na schodach uczniów Nelaca, odwracała twarz, by nie musieć odpowiadać na ich powitanie. Nie ufała własnemu głosowi.

Saliman dołączył do nich na dole i razem skierowali kroki do wieży Machelinoru, najwyższej i najpiękniejszej w mieście wyniosłych, pięknych wież. U jej podstawy stał samotny budynek zwieńczony kopułą: Kryształowy Dwór Machelinoru - weszli do niego szerokimi, inkrustowanymi złotem drzwiami dokładnie w chwili, gdy wysoko nad nimi zadźwięczał odmierzający czas dzwon.

Już w środku Maerad na moment straciła dech w piersiach: powitał ją oślepiający rozbłysk światła i odczucie ogromnej mocy. To było centrum Światła w Norlochu, w całym Annarze, a jego moc tętniła jej w uszach tak głośno, że zakręciło jej się w głowie. Potrząsnęła nią, próbując oczyścić myśli, i rozejrzała się dokoła.

Znalazła się w najpiękniejszej sali, jaką zdarzyło jej się oglądać. Posadzkę ułożono z polerowanego kamienia - perłowobiałego, różowego i czarnego, ozdobionego wokół złotymi inkrustacjami w kształcie runów. Zwieńczenie sufitu zrobiono z kryształu, światło przenikało także przez okna osadzone wysoko w subtelnie zdobionych białych ścianach, wypełniając przestrzeń blaskiem. Pod ścianami ustawiono czarne postumenty, a na nich osobliwe posągi; niektóre bez wątpienia przedstawiały bardów, inne postaci o nieziemskiej urodzie, z wyglądu ledwie ludzkie. Wykonano je z brązu, marmuru bądź wyrzeźbiono z pojedynczych kryształów, wszystkie ozdobiono jasnymi złoceniami, w których odbijały się migotliwe promienie światła. Na drugim końcu sali ujrzała kolejne złote drzwi, przybrane misternymi rzeźbami ptaków tańczących pośród płomienistych drzew. Te drzwi były zamknięte; za nimi kryły się kręte schody wiodące na wieżę Machelinoru, wznoszące się bez przerw tak, że ktoś, kto wspiąłby się na sam szczyt, znalazłby się tysiąc stóp nad łąkami Carmallachen. Ci obdarzeni wzrokiem bardów mogli stamtąd, spoglądając na wschód, ujrzeć całe królestwo Annaru, aż po Osidh Annovę, albo zwracając się na zachód, wędrować wzrokiem ponad niezmierną taflą oceanu. W ten właśnie sposób Pierwsi Bardowie Annaru obserwowali wiele z tego, co działo się w krainie i Siedmiu Królestwach. Z tej właśnie przyczyny wieżę

nazywano także Dancsel albo Dalekopatrzącą, choć w północnej Mowie słowo to mogło oznaczać także zimne serce.

Lecz wzrok Maerad powędrował ku środkowi sali, gdzie podłoga wznosiła się, tworząc kolisty podest, na którym ustawiono wielki okrągły stół wyrzeźbiony z czarnego kamienia. Stół i okalające go kamienne krzesła były zupełnie proste, pozbawione jakichkolwiek ozdób. Na blacie ustawiono kielichy ze złota i złocisty dzban, a pośrodku tkwił olbrzymi naturalny kryształ adamantu, który jako jedyny ze wszystkich zgromadzonych tu przedmiotów pozostał nietknięty ludzką ręką; światło w sali przenikało przez niego i załamywało się na ścianach migotliwymi tęczkami, a w jego sercu płonął biały ogień.

W miarę jak cała trójka zmierzała powoli w stronę stołu, dręczące Maerad niepokój i zgroza narastały. Miała wrażenie, że idą bardzo długo, a stopy ciążyły jej nieznośnie.

Przy stole ujrzała dziewięć postaci. Gdyby nie promieniujące z nich poczucie mocy, zdawałyby się maleńkie niczym krasnale w olbrzymim przestworze sali. Owo wrażenie potęgi narastało z każdym krokiem. Ludzi zebrało się znacznie mniej, niż przygotowano krzeseł, toteż każdy bard siedział samotnie pomiędzy pustymi miejscami. Maerad przełknęła ślinę i zerknęła na Cadvana: twarz miał nieprzeniknioną. Zaszło jej w ustach i musiała zwalczyć nagły, irracjonalny impuls nakazujący uciec z tej sali, z Pierwszego Kręgu, z całego Norlochu. Nadal szła naprzód.

W końcu dotarła do najwyższego stołu Pierwszego Kręgu Norlochu. Wraz z Cadvanem i Salimanem stanęła przy nim, podczas gdy dziewięciu bardów kręgu przyglądało im się w milczeniu. Maerad była pewna, że w absolutnej ciszy, która wypełniła dwór po tym, jak echa ich kroków ucichły, wszyscy słyszą donośne bicie jej serca. Wbiła wzrok we własne stopy, rozpaczliwie próbując pozbierać rozszałane myśli. Zupełnie jakby moc przenikająca Kryształowy Dwór nie pozwalała jej widzieć ani myśleć; cała jej świadomość rozplątywała się w pulsującym sercu Światła.

Usłyszała, jak ktoś wstaje i przemawia. To musi być Enkir, Pierwszy Bard - pomyślała. Jego głos brzmiał czysto i lodowato.

- Witajcie na Radzie Pierwszego Kręgu Norlochu, Salimanie z Turbanska i Cadvanie z Lirigonu - rzekł, a potem w jego głosie pojawiła się nowa nuta ledwie skrywanej pogardy bądź złości. - A kimże jest ta, którą odważyliście się tu przyprowadzić, w samo najświętsze sanktuarium Światła?

Maerad usłyszała, jak stojący u jej boku Cadvan odezwał się pewnym siebie tonem.

- Moi panowie, bardowie z Pierwszego Kręgu, chciałbym przedstawić wam moją uczennicę, Maerad z Pellinoru.

Kiedy wymówił jej imię, Maerad niechętnie uniosła wzrok.

Tuż przed nią, po drugiej stronie stołu stał wysoki chudy bard, odziany w białe szaty. Patrzył prosto na nią, a jego nozdrza pobierały z wściekłości. Miał groźny haczykowaty nos, ogromne ciemne oczy, a od nosa aż po kąciki ust biegły głębokie bruzdy. Czoło, wysokie i białe, także pokrywały podobne zmarszczki. Jego twarz - dumna, inteligentna, bezlitosna jak jastrząb w chwili, gdy opada prosto na królika - była jednocześnie zimna, nienaturalnie chłodna, a pod owym zimnem Maerad wyczuwała gorycz okrucieństwa. Tak właśnie po raz pierwszy ujrzała Enkira, pierwszego barda Norlochu, i gdy ich oczy się spotkały, zakręciło jej się w głowie, kolana ugięły, a wzrok pociemniał.

Znała tę twarz. Już ją widziała.

Świat wokół rozpadł się na kawałki tańczące w wirze oderwanych od siebie obrazów. Maerad upadła na ziemię - nie docierała do jej świadomości ani obecność Cadvana i Salimana, pochylających się nad nią niespokojnie, ani pełne konsternacji pomruki innych bardów.

Wieże Pellinoru płonęły.

*

Sama ciemność zdawała się krzyczeć. Wypełniał ją chaos dźwięków: ryk płomieni, trzask pękającego drewna i kamieni, wrzaski, szcęk metalu o metal. Maerad zacisnęła powieki, lecz hałas nie ustawał. Zaszlochała w panice. Ktoś ją niósł. Jej matka. Wtuliła twarz w jej ramię, wdychając ciepły matczyzny zapach, maskujący ostry smród dymu i kolejny, nieznanym i znacznie gorszy - odór krwi. Szarpało ją w górę i w dół; to bolało.

- Nie płacz, Maerad - wyszeptała jej do ucha matka. - Bądź dzielną dziewczynką.

Maerad spojrzała w twarz matki, jaśniejącą bielą w ciemności. Milana się nie bała. Jej czoło i policzki pokrywała sadza, minę miała ponurą, pełną rozpacz i żalu. Ale się nie bała. Była twarda i piękna jak diament. Maerad przełknęła łzy.

- Co się stało z tatusiem? - wyszeptała.

Twarz matki wykrzywił grymas bólu.

- Opowiem ci później.

Ale Maerad wiedziała, co się stało z jej tatą. Widziała, jak runął pod ciosami mieczy tuż pod murami Pellinoru, gdy okrutni ludzie wtargnęli przez bramę z ognistymi gałęziami i czarnymi mieczami.

- A gdzie jest Cai?

- Z Branarem - wykrztusiła Milana. Branar był przyjacielem ojca Maerad. - Spotkamy się z nimi w jaskiniach Linar. Bądź dzielna, malutka. Musimy być bardzo cicho.

Wkrótce Milana biegła zewnętrznymi ulicami Pellinoru: wąskimi, brukowanymi, złowieszczo pustymi uliczkami. Trzask płomieni przycichł, nadal jednak rzucały na nie migoczące czerwone cienie. Najwyższa wieża Pellinoru płonęła. Kroki kobiety brzmiały bardzo głośno, odbijając się echem od ścian.

- Muszę cię postawić - powiedziała po jakimś czasie - bolą mnie ręce. Dasz radę biec?

Maerad przytaknęła i Milana chwyciła jej dłoń, po czym ruszyły razem. Maerad miała wrażenie, że w jej pierś wbijają się dziesiątki noży, lecz wciąż biegła.

Za każdym razem, gdy docierały do zakrętu, Milana zatrzymywała się i spoglądała za róg, a potem pędziły ulicą, nikogo jednak nie spotkały. Gdzie byli wszyscy? Maerad za bardzo się bała, by płakać. Palce Milany wpijały jej się w dłoń; dziewczynka próbowała nią potrząsnąć, by rozluźnić uchwyt, lecz matka nie reagowała.

W końcu dotarły do celu: niewielkich solidnych drzwi w zewnętrznym murze Pellinoru, których Maerad nigdy wcześniej nie widziała. Dotąd pozostawały ukryte pod zasłoną bluszczu; Milana szybko odsunęła pędy i majstrując przy pasie, wyciągnęła pęk żelaznych kluczy. Zaczęła je przeglądać, dysząc, w końcu znalazła właściwy, włożyła go do dziurki i obróciła oburącz. Odsunęła rygle i pchnięciem otworzyła drzwi. Rozwarły się z donośnym skrzypieniem; zaskoczona Milana rozejrzała się szybko. Nikogo tam nie było. Zaciągnęła Maerad na zewnątrz i zamknęła za sobą drzwi.

Ktoś jednak czekał na nie po drugiej stronie.

- Dokąd to się wybierasz, Milano z Pellinoru? - W ciemności majaczyła wysoka postać. Milana zamarła i przyciągnęła Maerad bliżej. Dziewczynka usłyszała zgrzyt metalu, gdy matka dobyła miecza. Głos zaśmiał się miękko.

- Nie sądz, że jakkolwiek klinga zdoła mnie zranić.

- Enkir... - w załamującym się głosie Milany brzmiała ulga. Kobieta wyprostowała się i otaczającą ich ciemność rozjaśnił srebrzysty blask, promieniujący z jej ciała. - Co ty tu robisz?

- Spytałem: dokąd się wybierasz? - powtórzył ochryple Enkir.

Maerad wyrzała spod płaszcza matki: światło padało na barda, toteż widziała rysy jego twarzy obwiedzione srebrem. Oczy niknęły w ciemności, na twarz padały czarne plamy cienia.

- A co cię to obchodzi? - spytała ostro Milana. - Czyżbyś był ślepy? Głuchy? Nie wiesz, co się tu dzieje?

- Przypuszczałem, że spróbujesz tędy uciec. Zdążyłem już poznać tajemne drogi Pellinoru - Enkir pochylił się, patrząc Milanie w oczy. - Chcę dostać twojego syna.

Natychmiast. Gdzie on jest?

Maerad, stojąca blisko matki, poczuła jak ta sztywnieje. Nie odpowiedziała, lecz otaczające ją światło pojaśniało. Opuściwszy miecz, Milana uniosła ręce i Maerad usłyszała w głowie pomruk jej mocy. Poczowała odpowiedź woli Enkira - przypominało to zderzenie dwóch mieczy, starcie dwóch mocy wstrząsnęło jej ciałem. Milana cofnęła się o krok, patrząc ze zgrozą.

- A więc to ty ich tu wpuściłeś! - krzyknęła ochryple. - Zdradziecki głupcze!

Znów wyciągnęła ręce i świetlista błyskawica przeszła Enkira. Przez moment zdawało się, że mężczyzna upadnie, pozbierał się jednak i powoli ruszył ku niej, patrząc zimno.

- Nie, Milano - odparł z okrutnym uśmiechem. - To ty jesteś głupia. A twoje mizerne bardowskie moce nie mogą się równać z moimi. Mógłbym cię zmiażdżyć jak mrówkę - pochylił się i syknął groźnie. - Ech wy, bardowie, bajający niczym dzieci o Równowadze i mamrocący swe bezsensowne piosnki, wasze czasy dobiegły końca. Widziałem przyszłość, wiem, jak wygląda. Tylko obdarzeni rozumem przetrwają.

- Oszalałeś! - wykrztusiła Milana.

Potem jednak Enkir chwycił Maerad, wrywając ją z objęć matki tak nagle, że ta rozorała paznokciami dłoń córki. Maerad krzyknęła, palce mężczyzny wbijały się w jej ramię niczym stal. Poczowała coś zimnego na szyi i znów krzyknęła. Enkir przyłożył jej klingę do gardła.

- Gadaj, gdzie jest chłopiec - rzucił. - Albo poderżnę dziewczynie gardło.

- Nie wiem - odparła z desperacją Milana. - Nie wiem, gdzie on jest!

- Śpieszy mi się! Nie rób ze mnie durnia. Wiesz, gdzie on jest. Wiem, że nie w Pellinorze. - Enkir przycisnął ostrze mocniej i Maerad poczuła, jak przecina skórę; po szyi spłynęła jej strużka krwi. - Gadaj albo dziewczyna zginie.

Milana stała przed nim, biała i nieruchoma, światło wewnątrz niej gasło.

- I tak zabijesz nas obie - stwierdziła chłodno po długiej chwili ciszy. - Nie. Nie powiem ci.

Maerad spojrzała na nią rozpaczliwie. Czyżby matka zamierzała pozwolić, by zginęła?

Enkir zawahał się, jakby nie wiedział, co począć. Potem zaśmiał się cicho. Maerad przeszedł dreszcz.

- Nie, Milano, nie zabiję cię - odparł. - Nie zamierzam też zabić chłopaka. Wypuszczę nawet dziewczynę. Daj spokój, potrafię być rozsądny.

Milana splunęła na ziemię.

- Tyle jest warte słowo zdrajcy!

- Nie zabiję cię, pozostawienie ciebie przy życiu mnie zabawi. To cię powinno pocieszyć. Mógłbym nawet zarobić kilka groszy - Enkir umilkł. - I będziesz mogła zatrzymać córkę. W przeciwnym razie zginie ona powoli w straszliwych męczarniach, na twoich oczach.

- Nie! - krzyknęła Maerad. - Nie pozwól mu mnie skrzywdzić!

Twarz Milany wykrzywiła się w bolesnym grymasie rozterki.

- Oddaj mi ją! - rzuciła nagle.

- Powiedz, gdzie jest chłopak! - Jeszcze mocniej przycisnął ostrze i ponownie skaleczył Maerad, która się rozpląkała. Rozpaczliwie patrzyła na matkę, przerażona, że tamta nie powie, że pozwoli, by ten człowiek ją zabił.

Nagle ramiona Milany opadły.

- Zabrano go do jaskiń Linar. Nie wiem, czy tam jest. - Na moment przestała nad sobą panować i ukryła twarz w dłoniach.

Zapadła chwila straszliwej ciszy, potem Maerad poczuła, jak żelazny uchwyt Enkira rozluźnia się; mężczyzna pchnął ją w stronę matki. Potykając się, podbiegła do Milany i przywarła do jej nóg, szlochając histerycznie.

- Widzisz, Milano? - odparł cicho Enkir, a jego głos ociekał złośliwym tryumfem. - Dotrzymałem słowa. A teraz chcę się przekonać, czy ty dotrzymałaś swego.

Podszedł bliżej i chwycił Milanę pod brodę, zmuszając, by spojrzała mu w oczy. Maerad w panice uniosła wzrok. Co on robił z jej matką? Z oczu Enkira tryskały czerwone płomienie, a Milana wyraźnie nie mogła się poruszyć, stała jak zahipnotyzowana jego płonącym wzrokiem, dygocząc. Nagle osunęła się na ziemię, a otaczające ją światło zgasło. Maerad stała drżąca obok Milany, wpatrując się w oszołomieniu w wysokiego mężczyznę. Pochylił się nad nieruchomym ciałem kobiety, jego twarz błyszczała od potu. Kompletnie nie zwracał uwagi na Maerad, jakby w ogóle jej tam nie było.

- To twój koniec, Milano z Pellinoru - rzucił, dysząc ciężko. - Kryje się w tym pewna nauka. Jakże łatwo was złamać, mizerni słabeusze!

- Otarł twarz dłonią i splunął na ziemię. - Będzie z ciebie niewolnica. Niezbyt dobra.

Kopnął ciało Milany, uśmiechając się tak wrogo, że przerażona Maerad ukryła twarz, w uszach czuła ryk - jej świat wirował, rozpadał się, wirował...

*

Na policzku czuła chłód marmuru. Ktoś delikatnie gładził ją po czole, powtarzając jej imię. Ryk w uszach zaczął ustępować. Maerad poruszyła się.

- Ocknęła się - rzekł głos.

Należał do Cadvana. Dziewczyna nie podnosiła powiek, rozpaczliwie próbując nad sobą zapanować. Przypomniała sobie, że jest w Kryształowym Dworze Machelinoru, na radzie, i w końcu odkryła, co się stało z jej matką.

Enkir, Pierwszy Bard Norlochu! Całe jej jestestwo zawrzało nienawiścią. Zdrada, zdrada...

Jak mogła zapomnieć? Odpowiedź stanowił ból, jaki zadawało jej to wspomnienie. Utkwiło głęboko, w najmroczniejszej części jej umysłu. Gdyby pozwoliła sobie o tym pamiętać - o bezlitosnym złamaniu woli Milany, złu promieniującym z Enkira, jej własnej dziecięcej grozie - z pewnością by oszalała. Teraz jednak wiedziała i nie oszaleje. Pozwoliła, by jej głowa opadła w udawanym omdleniu. Od jak dawna była nieprzytomna? Co teraz?

- Może uderzyła głową o podłogę?

Głos Salimana rozbrzmiewał w pobliżu. To znaczy, że wszystko zdarzyło się zaledwie chwilę wcześniej, może parę sekund. Zaczekała, aż jej myśli uspokoiły się nieco, i poruszyła się z jękiem.

Ktoś wsunął jej dłoń pod głowę i ją uniósł. Zatrzepotała powiekami i ujrzała tuż przed sobą twarz Cadvana. W dłoni trzymał kielich pełen wody.

- Wypij to - polecił.

Posłusznie pociągnęła łyk i usiadła.

- Ja... bardzo przepraszam - powiedziała. - Sama nie wiem, co się stało.

Poczucie mocy, które wcześniej ją oszołomiło, nie zniknęło, ale nie zaćmiewało już jej umysłu. Czowała się całkowicie świadoma, być może myślała jaśniej niż kiedykolwiek wcześniej. Przede wszystkim postanowiła, że nie może pozwolić Enkirowi zorientować się, iż go rozpoznała. Zapewne nie uczyni to żadnej różnicy: bez wątpienia podpisywał już w głowie wyrok śmierci na nią. Wystarczyło do tego samo jej imię.

Powoli podniosła się z posadzki, a potem odwróciła się w stronę stołu bardów i skłoniła. Dostrzegła Nelaca po lewej, patrzył na nią zatroskany.

- Proszę bardów Pierwszego Kręgu i ciebie, Enkirze, Pierwszy Bardzie, abyście wybaczyli mi moją słabość - rzekła. - Oszło mi mnie zaszczyt przebywania tutaj. - Jej głos brzmiał spokojnie i pewnie, Cadvan zerknął na nią zaskoczony.

- W takim razie usiądź proszę - warknął Enkir.

Spojrzała mu w oczy, ukrywając swe uczucia pod maską uprzejmej pokory, on patrzył na nią zimno. Uświadomiła sobie, że tu, na oczach Pierwszego Kręgu, nic jej nie może zrobić, nie ujawniając swojej zdrady. Zajęła miejsce przy stole pomiędzy Salimanem i Cadvanem i rozpoczęła się rada.

Saliman przemówił pierwszy, opowiedział o narastających naciskach na Suderain: ciągłym nękaniami przez siły Mrocznego Maga, Imanka z Dén Ravenu, atakach coraz częstszych i silniejszych.

- Z trudem stawiamy mu czoło, a nasz upadek otworzy mrocznej armii drogę do całego Annaru - oznajmił. - Zatem Krąg Turbanska przysłała mnie, abym prosił o pomoc. Od zimy podróżowałem po północnym i wschodnim Annarze i sądzę, że pomoc nie nadejdzie. Wasze granice już są zagrożone. Mimo to jednak proszę.

Skinął głową i usiadł.

- Rozważymy to - odparł Enkir. - Dziękuję ci, Salimanie z Turbanska. A teraz ty, Cadvanie z Lirigonu. Słyszymy, że przynosisz wieści z północy.

Mówiąc to, zerknął na Maerad, która mimo swego zdecydowania zadrżała.

Cadvan opowiedział najpierw o swym schwytaniu i późniejszej ucieczce od Landrosta.

- Uważam, że wnioski są oczywiste - zakończył. - Z tego, co widziałem w sali tronowej Landrosta, jestem pewien, że Bezimienny rzeczywiście powrócił i że najnowsze problemy nękające Annar są w istocie, jak się obawialiśmy, efektem jego strategii.

Wokół stołu rozległ się głośny szmer.

- Ja nadal nie jestem przekonany. - Enkir spojrzał na Cadvana z wyraźnym niesmakiem. Maerad powiodła wzrokiem pomiędzy dwoma bardami: czy rzeczywiście byli do siebie podobni? Gdzieś wewnątrz niej przebudziła się straszliwa wątpliwość, zmagająca się z pamięcią, próbując przypomnieć sobie coś, co powiedzieli Próżni... - Lecz oczywiście istnieje wiele pomniejszych mocy Mroku, które bardzo by chciały, abyśmy w to uwierzyli. Sam przyznajesz, że byłeś osłabiony, powątpiewam zatem w twój osąd. Jak możesz być pewien, że cię nie zwiedziono, Cadvanie z Lirigonu?

- Jeśli można mnie nazwać Prawdomówcą, to, co widziałem w sali tronowej, było prawdą. Powiedz mi jednak, Enkirze z Norlochu - Maerad dostrzegła w jego oczach drwiący błysk - dlaczego jesteś taki pewien, że on nie wróci? Czyż Mądrość nie mówiła zawsze, że to pewne?

- Mądrość podlega wielu interpretacjom, dobrze o tym wiesz, Cadvanie z Lirigonu - rzekł Enkir. - W tej materii doradzam ostrożność.

- Próżni otwarcie podróżują drogami Annaru, szkoły są zagrożone bądź ulegają zepsuciu, wróg napiera na nas ze wszystkich stron, w krainie budzą się od dawna spętane lęki, a ty doradzasz ostrożność? - rzucił ostro Cadvan.

- Co masz na myśli? - spytał jeden z bardów. - Saliman wspominał o Próżnych...

- Nie dokończyłem jeszcze mojej opowieści, Taredzie - odparł Cadvan.

- Błagam, wysłuchajcie mnie cierpliwie. Zanim wyprawilem się do Pustego Królestwa na wschód od Annovy i zostałem schwytany przez Landrosta, udałem się zgodnie z instrukcjami na północ, do Zmarkanu. Przemierzyłem go z zachodu na wschód i słyszałem wiele pogłosek o problemach i niepokojach. Wielu ludzi - nie wszyscy są przecież głupcami - powiadało, że przebudziła się tam mroczna moc, pradawna siła. Podążyłem za pogłoskami do źródła, jak najdalej na północ. Tam właśnie na pustkowiach rozlewa się cień. Ujrzałem z daleka szczyty jego fortecy i poczułem śmiercionośny dech. Widzę tylko jedno wyjaśnienie: odstępcę Elidhu, Lodowy Czarnoksiężnik, Król Zimy we własnej osobie przebudził się z długiego snu i pragnie odzyskać władzę nad północą.

W sali zapadła zdumiona cisza.

- To być nie może! - rzucił niski bard po prawicy Cadvana. - Króla Zimy przepędzono poza kręgi tego świata dawno, dawno temu - pokręcił głową.

- To być nie może, Caragalu, a jednak jest - Cadvan zwrócił się ku niemu. - Tak jak Bezimienny powraca, mimo iż niektórzy mówią, że wrócić nie może.

Caragal przytaknął ze smutkiem.

- Płomień cały czas słabnie - rzekł. - Z tym nie mogę się spierać.

- I wreszcie - podjął Cadvan - dotarliśmy do sedna mej opowieści. Wydaje się bowiem pewne, jak już mówiłem, że wszystkie znaki, które obserwowaliśmy przez ostatnie lata, tak jak się obawialiśmy, to nasienie Bezimiennego, który szykuje się do najokrutniejszego ataku na Światło. I, co gorsza, zawarł sojusz z Królem Zimy; podejrzewam, że to sam Bezimienny sprowadził go z powrotem.

- Istnieje wiele rodzajów cieni - rzucił drwiąco Enkir. - W swym strachu nie możemy od razu myśleć o najgorszym.

- Jestem przekonany o jego powrocie - oznajmił Cadvan. - I uważam, że jeśli nie zaczniemy działać już teraz, nie wykonamy właściwego kroku, zginiemy.

- Kroku? Dokąd? - Enkir uśmiechnął się, a Maerad pomyślała, że to uśmiech równie lodowaty jak blask zimowych gwiazd na oszronionej tafli. - Zawsze byłeś impulsywny, Cadvanie z Lirigonu, i gotów rzucić się naprzód tam, gdzie mądrzejsi mogliby przystanąć i dostrzec otchłań.

- Twierdzisz, że kłamię? - Cadvan sprawiał wrażenie spokojnego, niemal pogodnego, lecz Maerad wyczuła wzbierający w nim wszechogarniający gniew.

Zapadła pełna napięcia chwila, potem Enkir znów się uśmiechnął.

- Jakżebyś śmiał powiedzieć coś podobnego - odparł gładko. - Twierdzą jedynie, że

to, co sugerujesz, wygląda niezmiernie nieprawdopodobnie. Król Zimy, Bezimienny: podobne postaci to cienie z dziecięcych bajek. Sądzę, że mimo swego godnego pochwały entuzjazmu mylisz się, Cadvanie z Lirigonu.

Obraza zawarta w tych słowach była czytelna i Maerad dostrzegła lekki rumieniec na policzku Cadvana. Jej towarzysz spojrzał Enkirowi prosto w oczy i wytrzymał jego spojrzenie; zdawało się, że zmagają się z sobą, choć żaden nawet nie drgnął. Wstrzymała oddech. Istotnie byli podobni, choć nie potrafiła określić natury tego podobieństwa. Serce zabiło jej boleśnie w piersi. W końcu starszy bard ustąpił i odwrócił wzrok.

- Twoja arogancja doprowadzi cię do upadku, Cadvanie z Lirigonu - rzekł głosem ociekającym lodowatą furią. - Nie trzeba jasnowidza, by to przepowiedzieć.

Zapadła pełna skrępowania cisza. Dziewięciu zajęło się uważnym oglądaniem własnych paznokci, z jednym wyjątkiem: Nelaca, którego twarz zdradzała irytację - Maerad nie potrafiła stwierdzić: na Cadvana czy Enkira. W końcu Caragal się poruszył.

- Myślę, Enkirze, że powinniśmy uważniej pochylić się nad tą historią. Mnie samego niepokoją ruchy Próżnych.

- Jest jeszcze coś - wtrącił Cadvan. - Nie opowiedziałem jeszcze do końca o tym, co mnie spotkało, a wiążą się z tym niezwykle ważne wieści.

Maerad spojrzała na niego prosząco, błagając w duchu, by umilkł, by nie wspominał o swoich podejrzeniach, że to ona jest Przepowiedzianą, by nie zdradzał jej Enkirowi. Błędnie uznawszy to za zdenerwowanie, uśmiechnął się do niej pocieszająco, a potem rozpoczął opowieść o ich przygodach. Serce Maerad ścisnęło się w piersi, coraz zimniejsze i zimniejsze. Widziała, jak Enkir posyła jej spojrzenia, a w każdym z nich kryła się śmierć. Jak Cadvan mógł tego nie zauważyć?

Nagle, porażona własną głupotą, przypomniała sobie to, co dręczyło ją wcześniej. Cadvan znał jednego z Próżnych, którzy zaatakowali ich w Połamanych Zębach na wzgórzach Edinuru. Likud. Tak się nazywał. Co takiego powiedział? „Myślisz, że zapomnieliśmy, Cadvanie, z jakim zapalem studiowałaś tajemnice Mroku?”

Maerad przestała słuchać, pograżając się w mrocznych rozważaniach. Czyżby Cadvan też był zdrajcą? Miała wrażenie, że dusza w niej umiera, lecz z ponurą determinacją podążyła tym tropem. To zdrada zabiła jej matkę; jeśli nie zachowa ostrożności, ją także może doprowadzić do śmierci. Może Cadvan i Enkir rywalizowali z sobą w służbie Mroku, może tu właśnie kryło się prawdziwe źródło ich wrogości? A jeśli tak, znalazła się w pułapce: miała stać się nagrodą dla jednego z nich, do czasu kiedy przestanie być użyteczna.

Nagle poczuła się niewiarygodnie samotna, bardziej niż kiedykolwiek, nawet w

najgorszych czasach w Gilmanowym Siole. Została zupełnie sama. Tak jak zawsze, odkąd zabito jej matkę: zabito dwukrotnie - pomyślała z goryczą, raz uczynił to Enkir, a raz Gilman. Nie, miała Hema, przynajmniej miała Hema. Teraz musi go znaleźć i wydostać się z Norlochu, poza zasięg władzy Enkira. Czy mogła zaufać Cadvanowi? Zawsze mu ufała... Może jednak przyjaźń, którą jej okazywał, była jedynie oszustwem, kłamstwem, które miało poddać ją jego mocy? Tak naprawdę jak dobrze go znała?

Teraz jednak Enkir przemawiał ostro, z niedowierzaniem. A może wściekłością?

- I żądasz, abyśmy uwierzyli, że ta dziewczyna, która zaledwie trzy miesiące temu była zwykłą niewolnicą, ta dziewczyna, która - jak przyznajesz - ledwie potrafi czytać, która nie ma nawet dość sił, by bez omdlenia wkroczyć do Kryształowego Dworu, jest Jedyną, którą przepowiedziano?

- Przedstawiłem wam dowody - odparł spokojnie Cadvan. - Są bardzo przekonujące i uważam, że winniśmy przynajmniej przyznać, że brzmią prawdopodobnie. Tak czy inaczej, musimy ją mianować, aby zyskać pewność.

Saliman, który przez całą opowieść Cadvana wbijał wzrok w stół, teraz uniósł głowę.

- Myślę, że być może Mrok jest bardziej skłonny do działania niż my i szybciej dostrzeże grożące sobie niebezpieczeństwo - rzekł. - Uważam, że zabronienie tego stanowiłoby poważny błąd. Ja także wysłuchałem dowodów i wierzę, że Cadvan ma rację. Nalegam, byście poważnie podeszli do jego słów.

- Że Bezimienny powraca, Król Zimy się budzi, a Przepowiedziany pojawia się w ciele nędznej dziewczki? - Oczy Enkira rozbłysły groźnie. - Przynosisz nam tu niezłą historyjkę, bez dwóch zdań. Powinieneś zostać trubadurem, Cadvanie z Lirigonu, i podróżować po wioskach, strasząc chłopów. Tu jednak to nie zadziała. - Zapadła ciężka cisza, Enkir posłał Maerad kolejne spojrzenie pełne niesmaku. - Nie sądz, że nie dotarły do mnie wieści o tym twoim... odkryciu - podjął. - Nie masz monopolu na informacje, Cadvanie z Lirigonu. Jeśli zamierzałeś mnie zaskoczyć, to się pomyliłeś. Zdumiewa mnie jedynie twoja bezczelność.

Maerad nagle ujrzała w myślach wrogo wykrzywioną Helgar podczas narady w Innailu. Teraz miała pewność, że to ona wysłała Enkirowi wiadomość o tym, co tam zaszło. Może Helgar, bardka Ettinoru, też była Próżną?

Nie potrafiła tego ogarnąć... A moc Światła pulsująca w sali znów stawała się coraz potężniejsza, mącąc myśli. Maerad czuła pulsowanie, zwiastujące ból głowy.

- Jestem przekonany o prawdziwości tych twierdzeń - oznajmił Nelac, odzywając się po raz pierwszy. Pozostali bardowie zwrócili się ku niemu, słuchając z uwagą. - Mianując ją, ryzykujemy niewiele, a lękam się, co może się stać, jeśli tego nie uczynimy. Ja także zalecam,

abyśmy się na to zgodzili. Nalegam, by jak najszybciej mianować Maerad z Pellinoru.

- Prawdziwa zdrada kryje się w tych, którzy próbują nas zwieść fałszywymi lękami, osłabiając właściwą czujność - odparł Enkir groźnym tonem. - Muszę spytać, dlaczego stajecie przed nami w tej sprawie akurat w tak trudnym czasie.

Po jego słowach zapadła pełna napięcia cisza.

- Moja wierność Światłu nie podlega wątpliwości, zastanawiam się, dlaczego ją podważasz - powiedział cicho Nelac. - Sugeruję, abyś przemyślał to raz jeszcze, Enkirze.

- To nie twą wierność kwestionuję, Nelacu - Enkir nie potrafił dłużej ukryć wrogości.
- Wiem jednak, że masz ogromną słabość do Cadvana z Lirigonu. Być może moglibyśmy wybaczyć upodobanie mentora do dawnego ucznia, lecz wszyscy wiemy, że przeszłość Cadvana jest nieco... mętna.

Na te słowa Maerad uniosła wzrok. Czyżby była ślepa? Raz po raz ludzie sugerowali, że w przeszłości Cadvan uczynił coś podejrzanego... Czemu dotąd tak lekkomyślnie nie zwracała na to uwagi?

- Nie wątpię w dobrą wolę Nelaca - przemówił ciemnowłosy bard siedzący obok niego. - Mimo to sędzę, podobnie jak Enkir, że opowieść Cadvana nie brzmi wiarygodnie. - Kilku bardów przytaknęło. - Jest wiele innych możliwych wyjaśnień nękających nas nieszczęść. To jest najbardziej fantastyczne.

Enkir posłał Nelacowi gniewne spojrzenie.

- Nielatwo jest zostać Bardem Białego Płomienia. Sama myśl o wyniesieniu tak wysoko równie niedoświadczzonego chłopca byłaby oburzająca, nie mówiąc już o dziewczynie. Zabraniam tego. Nie będę dalej tracił czasu na dyskusje: podjąłem już decyzję. Teraz zajmiemy się innymi poruszonymi tu sprawami i obmyślimy dalsze posunięcia.

Powiódł wzrokiem wokół stołu, kolejno patrząc w oczy każdego z Bardów Pierwszego Kręgu. Jedynie Nelac, Caragal, Tared i jeszcze jeden bard, którego Maerad dotąd nie słyszała, pokręcili głowami.

- Pięciu przeciw czterem. Zostałeś przegłosowany, Nelacu. Pierwszy Krąg zdecydował. - Enkir spojrział na Nelaca tryumfalnie. - Prośba została odrzucona.

Maerad obojętnie słuchała dyskusji. Mianowanie zupełnie przestało ją interesować. Czowała gniew wzbierający w gardle, nienawiść do wszystkich tych mężczyzn, a przede wszystkim do Enkira - Enkira, największego ze zdrajców. Pomyślała, że nie pasuje do okrągłego stołu; powinien zasiadać na najwyższym tronie z podwładnymi klęczącymi u jego stóp.

Wszyscy bardowie wstali i skłonili się. Maerad, Cadvan i Saliman bez słowa opuścili

Kryształowy Dwór. Słyszała za plecami, jak członkowie Kręgu znów zajmują miejsca, a ich głosy podnoszą się w dyskusji.

Maszerowała tępo ulicami Pierwszego Kręgu, nie dostrzegając otaczającego ją piękna. Robiło jej się niedobrze od własnych myśli. Uznała, że nie zniosłaby tego, gdyby Cadvan okazał się zdrajcą. Ale jak miała mu zaufać?

XXIII

STARE BLIZNY

- To była prawdziwa klęska - rzekł z niesmakiem Saliman. Odpiął miecz i oparł o ścianę. - No cóż, najpierw najważniejsze. Koniecznie muszę się napić.

Całą drogę powrotną do domu Nelaca odbyli w głuchej ciszy. Maerad, zatopiona w myślach, ledwie dostrzegała obecność obu bardów.

- Łyk porządnego piwa dobrze by nam zrobił - odparł Cadvan. - Jeśli poprosisz Brina, pewnie znajdzie coś w kuchni.

- Zobaczę, co da się zrobić - Saliman wyszedł z pokoju.

- Przykro mi - Cadvan uśmiechnął się krzywo do Maerad. - Wiedziałem, że trudno będzie przekonać Pierwszy Krąg, przyznaję jednak, że zaskoczył mnie ich głęboki opór przeciw twojemu mianowaniu. Sądziłem, że przynajmniej zasieję w nich trochę wątpliwości tym, co powiedziałem.

Maerad zmierzyła go wzrokiem, co wyraźnie go zdumiało.

- To jeszcze nie koniec świata - ciągnął. - Są inne możliwości. Kiedy Nelac wróci, zastanowimy się, co począć dalej. Najlepszym możliwym wyjściem byłoby mianowanie cię na oczach bardów Annaru. Tego jednak surowo nam zabroniono. - Cadvan usiadł na fotelu przy kominku i także odpiął miecz. - Siądź, Maerad - machnął ręką - i nie bądź taka ponura. To nie twoja wina, że nam się nie powiodło.

Maerad uniosła wzrok i spojrzała wprost na niego. Po raz pierwszy Cadvan dostrzegł jej furię i przez sekundę niemal go oszołomiła. Podniósł się z fotela.

- Na Światło, Maerad, co się stało? Po prostu nie udało nam się przekonać kilku bardów. Zgadzam się, to mocny cios, ale...

- Gdzie jest Hem? - Głos Maerad zabrzmiał zimno i twardo.

- Nie wiem. Pewnie w kuchni.

- Pójdę go poszukać - odwróciła się na pięcie, lecz Cadvan chwycił ją za rękę i obrócił, wbijając wzrok w twarz. W końcu przemówił cicho.

- Co jest nie tak, Maerad? Co ci się stało?

- Może cię nie potrzebuję - Maerad wpatrywała się w niego nienawistnie. Nie, tym

razem nie da się wziąć podstępem.

- Czyś ty oszalała? - Twarz Cadvana pobladła, szramy po ciosach bicia odcinały się ostro od skóry. Przez sekundę wola Maerad osłabła.

- Nie - znów pomyślała o Próżnym Likudzie pod Połamanymi Zębami i zawziętość powróciła. - Proszę, puść moją rękę.

- Co cię opętało? - zdumiał się Cadvan. - Dokąd chcesz udać się sama? Myślisz, że ty i Hem mielibyście jakąkolwiek szansę, skoro szukają was Próżni w całym Annarze?

Maerad skrzywiła się ze wzgardą i uwolniła z jego uchwytu.

- Wcześniej jakoś sobie radziłam - rzekła. - Może pójdzie mi lepiej, jeśli nie będę podróżować w towarzystwie jednego z Próżnych.

Krew odpłynęła z policzków Cadvana, jego ręka opadła bezwładnie. Przez parę sekund milczał oszołomiony. Potem spojrzał jej prosto w oczy i przemówił cicho w Mowie:

- *Il ver umonor imenval kor, dhor Dhillarearedë niker kor...*

Słowa wniknęły w umysł Maerad łagodnie niczym deszcz, ona jednak skrzywiła się, jakby ją zraniły.

- Na wszystko, co razem wycierpieliśmy, na zaprzysiężoną więź, jaka łączy cię ze mną jako twym nauczycielem, i głębszą więź przyjaźni, nakazuję, żebyś mi powiedziała: co ci się stało, Maerad z Pellinoru?

Stała przed nim oniemiała, przemożne podejrzenie i lęk walczyły w niej z innymi wspomnieniami: pierwszym spotkaniem z Cadvanem w oborze i instynktownym zaufaniem do niego; wieloma dniami jazdy; wspólnymi żartami; twarzą Cadvana, niewinną i otwartą we śnie bądź porażoną przez Próżnych albo jaśniejącą światłem, gdy nieulekłe stawiał czoło Kulagowi i upiorowi. Odwróciła głowę, walcząc z mdłościami.

- Przeszedłeś na stronę Mroku - rzekła głucho. - Zdradziłeś Światło. Nie mogę już z tobą zostać - spojrzała mu w twarz, a on spuścił wzrok. - Zaprzeczasz temu?

- Nie - odparł. - Nie mogę zaprzeczyć. - Maerad spodziewała się, że będzie protestował, i jej słowa kompletnie go zaskoczyły. - Nigdy nie byłem Próżnym, ale... robiłem rzeczy, których nie powinienem był robić. Zapłaciłem za to, Maerad. I nigdy cię nie zdradziłem.

- Zatem czemu to przede mną ukrywałeś?

Odwrócił wzrok przed jej pełnym jadu spojrzeniem.

Zapadła długa, bolesna cisza.

- Maerad - rzekł w końcu Cadvan. - Do tej pory powinienem ci być opowiedzieć. Nie chciałem niczego ukrywać. Ale to bolesne wspomnienia i może... może chciałbym, aby ci,

którzy mnie nie znają, nie okazywali mi zawsze nieufności. Zaniedbałem tego obowiązku. I za to przepraszam.

- W takim razie powiedz mi teraz. - Głos Maerad wibrował niczym napięta struna.

- Usiądź - poprosił łagodnie.

- Nie.

Nadal wbijała w niego wzrok, czekając, aż przemówi.

Cadvan wzruszył ramionami, rozejrzał się po pokoju, jakby chciał pozbierać myśli, a potem siadł.

- To w sumie prosta historia - zaczął z nutą goryczy. - Byłem młodym bardem Lirigonu, świeżo mianowanym, arogancko zadufanym we własną moc i mimo talentu nieświadomym wielu spraw. W szkole pojawił się inny bard, niemal dorównujący mi zdolnościami, i zostaliśmy rywalami. - Zawiesił głos i westchnął. - Czy też, dokładniej rzecz biorąc, ja uważałem go za rywala. On wcale tak nie myślał.

- Jak miał na imię?

- Na imię miał Dernhil z Gentu. - Maerad wzdrygnęła się, lecz Cadvan na nią nie patrzył. - I stało się, że w swej dumie nie mogłem znieść potencjalnego rywala, zastanawiałem się zatem, jak go pokonać. W wolnych chwilach studiowałem Mroczne Sztuki, uważając, jak wielu młodych i niemądrych, że samo zainteresowanie nimi nikomu nie może zaszkodzić. Ostrzeżenia są dla ludzi o mniejszych zdolnościach. Nawiązałem nawet w sekrecie kontakt z bardem wygnanym za praktykowanie Mrocznych Sztuk, choć wówczas nie wiedziałem jeszcze, że to Próżny.

- Likudem - domyśliła się Maerad.

Cadvan zerknął na nią.

- Tak, Likudem. Kiedy Dernhil pokonał mnie w pojedynku, potężnie zranił moją próżność. Chciałem zrobić coś, co dowiodłoby raz na zawsze, że dysponuję mocą większą od niego. Uznałem, że jedyny sposób to dokonanie magicznego czynu, na który on nigdy by się nie odważył, bo, jak sądziłem, nie dorównywał mi śmiałością. Wezwałem go w miejsce, które obaj znaliśmy, do gaju pod Lirionem, i tam zamierzałem zademonstrować mu swoje moce.

Milcząc, wbił wzrok w ziemię.

Maerad nieświadomie cofnęła się w głąb pokoju, teraz przycupnęła na brzegu fotela, jak najdalej od Cadvana.

- I co zrobiłeś?

- Wezwałem stwora z otchłani.

- Co? Jakiego stwora?

- Strzygonia. - Cadvan prawie jej nie dostrzegął, zatopiony w ponurych wspomnieniach. - Podobnego do upiora, lecz nie tak potężnego. Nie miałem dość sił, by go utrzymać, i złamał moje zaklęcie.

Bard umilkł, Maerad czekała, aż znów się odezwie. Kiedy to zrobił, wyglądał, jakby z trudem wydobywał z siebie słowa.

- Strzygoń o mało mnie nie zabił. Ciężko zranił Dernhila. Ma... Miał bliznę od ramienia po biodro, pozostałość tamtego spotkania. Stwór zabił zaś pewną bardkę, przyjaciółkę dość wierną bądź niemądrą, by tam być, choć wiedziała, co planuję, i próbowała mnie przekonać, abym tego nie robił. - Umilkł z udręczoną miną.

- Co się stało później?

- Musiałem odesłać strzygonia. W końcu to zrobiłem. Trwało to bardzo długo, bo byłem ranny i najpierw musiałem wyzdrowieć, a potem go znaleźć. Po wszystkim o mało mnie nie wygnano. Przez jakiś czas zabroniono mi wstępu do wszystkich szkół. To Nelac i Dernhil mnie ocalili. Długo przekonywali innych - znów umilkł. - I dlatego...

- Dlatego co? - spytała już łagodniej Maerad.

Cadvan przez chwilę milczał, usiadł prosto, patrząc jej w oczy.

- Maerad, to dla mnie bolesne wspomnienia. Powiem ci więcej, jeśli chcesz, ale wolałbym się w nie nie zagłębiać. To wszystkie moje kontakty z Mrokiem. Od tego czasu ze wszystkich sił służyłem Światłu i Równowadze, pilniej niż jakikolwiek znany mi bard. Przysięgam ci to na wszystko, co dla mnie święte.

Maerad przytaknęła powoli. Odwróciła się od niego i jakiś czas rozmyślała o tym, co jej opowiedział. Teraz rozumiała jego niechęć do towarzystwa innych. Pożałowała młodego barda, którym był.

- Kim... Kim była ta, która zginęła?

Przez chwilę sądziła, że Cadvan nie odpowie. Kiedy to uczynił, jego głos zabrzmiał głucho.

- Na imię miała Ceredin. Była bardzo młoda, bardzo piękna i kochałem ją. Wspaniała bardka, może nawet potężniejsza ode mnie. Z całą pewnością mądrzejsza - oprócz goryczy Maerad dosłyszała w jego głosie cierpienie i nadal żywą rozpacz. Przez sekundę emocje Cadvana przeniknęły przez nią niczym promień słońca przez szkło i ujrzała w myślach Ceredin: ciemnoooką, smukłą dziewczynę, tak samo dumną i nieugiętą jak kiedyś Milana. - Zawsze będę nosił na barkach ciężar jej śmierci - dodał ochryple Cadvan i Maerad usłyszała coś dziwnego w jego głosie. - Nie potrafię tego sobie wybaczyć.

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. Po raz pierwszy użyła swego Daru:

wtargnęła w jego świadomość, tak jak o mało nie uczyniła tego owego dnia, dawno temu, kiedy w nią wniknął. Poczula, jak Cadvan wzdryga się na ten nagły kontakt, a potem go przyjmuje, opuszczając wewnętrzne bariery chroniące jego jaźń. Przez krótki, gorący moment czuła się, jakby była Cadvanem, znała jego wspomnienia, tęsknoty i żale i odczuwała ból tak mocno jak własny. Szukała tylko tak długo, jak musiała, nie mogła znieść podobnej bliskości. Potem odwróciła się i ponownie wyjrzała na ogród.

Mroczny nastrój, który opanował ją od spotkania rady, powoli ustępował, jak gdyby słońce budziło się po długiej mroźnej nocy. Jednocześnie poczuła olbrzymie zmęczenie.

- Przepraszani cię, Cadvanie - powiedziała cicho, nadał spoglądając na ukwiecone rabaty. - Przepraszam, że w ciebie wątpiłam. Nie mogłam nic poradzić, kiedy... - urwała.

Spowiedź Cadvana przegnała z jej głowy wizje Kryształowego Dworu. Teraz wspomnienie powróciło, lecz zamiast grozy poczuła nowe zdecydowanie. Jej omdlenie wywołała ciemność wewnątrz płomienia, była absolutnie pewna, że Mrok ją wyczuł, próbował zniszczyć, oszołomić, opętać umysł. Skaził ją beznadziejną rozpaczą, a wszystko wokół wydawało się nieczyste. Nie mogła pozwolić, by spotkało ją to ponownie.

- A teraz - słowa Cadvana wyrwały ją z zamyślenia - możesz mi powiedzieć, co tak na ciebie wpłynęło.

Jego głos znów brzmiał normalnie i przypomniała sobie, co mówił o nim Nelac: „Jeśli pragnie coś ukryć, niemal niemożliwe jest tego odkrycie”. A jednak Cadvan pozwolił jej ujrzeć to, co skrywał. Jego pokora i ufność wstrząsnęły nią. Spróbowała uporządkować myśli.

Opowiedziała Cadvanowi, dlaczego zemdłała i czego dowiedziała się o Enkirze. Nie mogła ukryć dźwięczących w głosie nienawiści, pogardy i odrazy wobec jego zdrady, a kiedy mówiła, z każdym słowem czuła coraz większe pragnienie zemsty. Cadvan siedział obok, słuchając w napięciu, nie przerywał, choć jego twarz coraz bardziej posępniała. Kiedy Maerad skończyła, wstał i podszedł do okna, wyglądając na ogród, zwrócony do niej plecami.

- Sądziłam, że zdradziłeś mnie Enkirowi - wyjaśniła Maerad. - Nie rozumiałam, jak mogłeś nie wiedzieć.

- Przysięgłbym na własne życie, że Enkir nie jest Próżnym. - Cadvan odwrócił się ku niej, pokręcił głową, jakby próbował się otrząsnąć. - Maerad, nie potrafię ci wyjaśnić, jak trudno w to uwierzyć. Enkir jest ambitny i zimny, zgoda, i za nim nie przepadam, nie zgadzam się też głęboko z wieloma jego decyzjami. Był jednak szlachetnym bardem, człowiekiem o wielkiej wiedzy i mądrości, i jest Pierwszym Bardem Kręgu. Zdziałał wiele w służbie Światłu, dokonał wielkich czynów i był gotów na każde poświęcenie. Jak to możliwe? Jak zdołał ukryć swoje plany i działania przed tak wieloma bardami? Bo żaden z

zasiadających przy stole nie jest głupcem, którego łatwo oszukać.

Maerad milczała. Wyraźnie widziała w Enkirze okrutnika, przeżartego złem i jadem. W jej oczach nie wydawał się szlachetny.

- Może inni bardowie są tacy jak on - rzekła w końcu.

Cadvan zerknął na nią szybko, ale nie zaprotestował. Siedzieli razem, pogrążeni w ponurych rozmyślaniach, póki nie szczęknęła klamka - Maerad aż podskoczyła. Do środka wszedł Saliman, a za nim smukły urodziwy chłopak niosący dzban piwa. Maerad z początku wzięła go za jednego z uczniów Nelaca, dopiero po chwili pojęła, że to Hem.

Saliman powiódł wzrokiem od Maerad do Cadvana, chłonąc atmosferę pokoju.

- Co się tu wydarzyło? - spytał, a gdy żadne z nich nie odpowiedziało, uniósł brwi. - Cóż, tak czy inaczej, pozwólcie przedstawić sobie Caia z Pellinoru, który nadal upiera się, by nazywano go Hemem.

- Witaj, Hemie - wbrew sobie Maerad się uśmiechnęła. Hem patrzył na nich z osobliwą mieszaniną dumy i nieśmiałości. Włosy miał umyte i przystrzyżone, pozbawione warstwy brudu okazały się znacznie jaśniejsze niż przedtem. Przywdział elegancki strój w stylu Norlochu: błękitne spodnie z grubego jedwabiu i szkarłatną tunikę z długimi rękawami, uszytą z tej samej cieniutkiej wełny co suknia Maerad, a także wysokie buty z miękkiej czarnej skóry. Wyraźnie skrępowany przeszedł przez pokój i postawił dzban na kredensie.

- Wyglądasz bardzo ładnie - dodała.

Hem przytaknął, niemal się zarumienił i usiadł szybko obok niej.

- Saliman kazał mi wziąć kąpiel - rzekł. - Nie było nawet tak okropnie.

- To całkowita przemiana - Cadvan przyglądał mu się uważnie. - Teraz faktycznie wyglądasz jak szlachetny syn rodu Karn.

Hem spłonął rumieńcem.

Saliman nappełnił cztery szklanki. Wręczając je Cadvanowi i Maerad, spojrzał na nich ciekawie, ale o nic nie pytał.

- Moglibyście przynajmniej pogratulować mi mojej magii - rzekł, siadając.

- Gratuluję - odparł ironicznie Cadvan.

Pociągnął duży łyk piwa i w pokoju zapadła cisza.

- Gdzie jest Nelac? Spóźnia się. Potrzebujemy go tutaj - wybuchnął nagle. Potrząsnął głową, wciąż oszołomiony. - Salimanie, jest znacznie gorzej, niż sądziliśmy. Ciemność wypełnia najwyższy tron władzy, sam Biały Płomień. Co teraz pocniemy?

*

Maerad uświadomiła sobie, że jest już późno: rada trwała ponad trzy godziny, a oni siedzieli

pogrążeni w rozmowie w salonie Nelaca, patrząc, jak za oknami zapada zmierzch. Cadvan opowiedział Salimanowi o jej wizji, a choć bard z południa posmutniał, nie wyglądał na zaskoczonego.

- Cadvanie, od dawna powtarzałem, że Światło na północy gnije.

- Ale w samym sercu? - nie mógł uwierzyć Cadvan.

- O tak, jest źle - odparł Saliman. - Miałem nadzieję, że nie aż tak źle. Ale to mnie nie zaskakuje. Takie mamy czasy. Pomyśl o śnie Maerad.

Obaj bardowie coraz bardziej niepokoili się przedłużającą się nieobecnością Nelaca i Maerad zaczęła się bać. Czowała, że coś się dzieje. Z narastającą zgrozą patrzyła, jak na dworze wydłużają się cienie.

- Teraz Enkir będzie musiał działać szybko - uznał Saliman. - I myślę, że w tym leży nasza nadzieja. Co musiało przebiec mu przez głowę, kiedy ją przedstawiłeś, Cadvanie? Oto Maerad z Pellinoru! Mogłaby zburzyć całą wzniesioną przez niego budowlę. Sądzisz, że to zaplanował? Widziałaś, Maerad, że o mało się nie zdradził. A sądzę, że Enkir starannie obmyśla swe plany, z dużym wyprzedzeniem, aż do najdrobniejszego szczegółu. Zlekceważył Maerad. A to ona jest Jedyną! Myślę, że to nim wstrząsnęło. Zrobi coś nierozważnego.

- Może - mruknęła Maerad. - Ale podejrzewam, że ma szpiegów. Możliwe, że nie zaskoczyliśmy go tak bardzo, jak sądzisz.

- Myślisz o Helgar? - wtrącił Cadvan krążący niecierpliwie po pokoju. - Tak, uważam, że nie wolno nam go nie doceniać. Mrok cały czas wyprzedza nas o dwa kroki: choć sądzę, iż nasze twierdzenie, że to Maerad jest Jedyną, kompletnie go zaskoczyło. Mrok pod wieloma względami zaślepią jego własna natura; jest wiele rzeczy, których nie rozumie. Enkir nie podejrzewa, że kobieta może mieć taką moc. I nie wie, a przynajmniej nie przypuszczam, by wiedział, że odnaleźliśmy Hema. Ale zgadzam się, Salimanie. Teraz zacznij działać szybko. Przypuszczam, że spróbuje się nas pozbyć już teraz, nim cokolwiek zrobimy. Musimy uciekać z Norlochu. Wszyscy.

- Dokąd się udamy? - Hem wyprostował się, patrząc z lękiem na Salimana i Cadvana.

Ten ostatni przystanął.

- Sądzę, że nie powinniśmy uciekać razem. Będziemy ścigani. Musimy się rozdzielić.

Przez sekundę Hem sprawiał wrażenie wstrząśniętego, ale pozbierał się wyraźnym wysiłkiem woli, udając twardego. Nie chce zachowywać się jak dziecko - pomyślała Maerad z nagłym współczuciem. Ale przecież nim jest. Objęła go ramieniem i przyciągnęła do siebie.

- Cadvan ma rację - rzekła cicho. - Ale to trudne.

- Najlepiej byłoby - zaczął ostrożnie Cadvan - gdyby Saliman zabrał Hema na

południe, a ja ruszę na północ z Maerad. Uważam bowiem, że musimy się tam udać i że Maerad nadal potrzebuje mojej opieki. Tak, Maerad?

Spojrzał na nią z bolesnym powątpiewaniem. Maerad spokojnie popatrzyła mu w oczy. Wahala się długą sekundę, a potem powoli przytaknęła. Poczula, jak zalewa ją fala jego ulgi, i nagle ogarnęło ją uczucie, którego nie potrafiła nazwać.

Obok niej Hem zmagął się z radością na wieść, że uda się na południe z Salimanem, i smutkiem rozstania z siostrą. Maerad powoli uświadomiła sobie jego obecność i spojrzała mu prosto w twarz. Mimo wysiłków chłopca po jego policzku spłynęła łza.

- Hej, bądź dzielny, braciszku - wyszeptała. - Spotkamy się jeszcze, wiem, że tak. I pomyśl tylko: wcześniej ode mnie zobaczysz wodospady Lamaru!

Hem, nie ufając własnemu głosowi, przełknął głośno ślinę i pokiwał głową.

Saliman popatrzył na niego z głębokim współczuciem i powiedział:

- Skoro Maerad twierdzi, że znów się spotkacie, myślę, że tak będzie. I być może w istocie wodospady Lamaru nieco ci to wynagrodzą, choć żadne piękno nie może ukoić rozpacz po utracie tych, których kochamy - Hem zamrugał i uniósł głowę. - Cadvan ma rację - dodał Saliman - ale najpierw musimy wydostać się z Norlochu. Podejrzewam, że nie będzie to łatwe.

- W takim razie powinniśmy się spakować - wtrąciła Maerad. Spojrzała na swą suknię. - I nie mogę pojechać w takim stroju.

- Tak - zgodził się Cadvan. - I to jak najszybciej.

Ulżyło jej, że ma coś konkretnego do zrobienia po tylu rozmowach. Po kwadransie spotkali się na dole, odziani w podróżne stroje. Hem dźwigał sakwę, którą dostał wcześniej od Salimana, identyczną jak ta Maerad. Cisnęli bagaże w kąt i znów usiedli, czekając w napięciu.

Zaledwie dziesięć minut później, choć wydało się, że minęła godzina, drzwi otworzyły się nagle i do środka wpadł Nelac.

- Wreszcie! - Cadvan odwrócił się szybko. - Nelacu, mamy wieści...

Gospodarz rozejrzał się bystro po pokoju.

- Doskonale, wszyscy tu jesteście - rzekł. - Chyba wiem, jakie to wieści, Cadvanie. Czy dobrze zgaduję, Maerad? Ujrzałaś ciemność wewnątrz płomienia, a ona ujrzała ciebie.

Maerad zapatrzyła się w niego zdumiona. To był Nelac, którego nie znała: wszystkie oznaki wieku jakby zniknęły, przemawiał z władcą pewnością siebie.

- Mamy bardzo mało czasu - oznajmił pośpiesznie. - Krąg pękł i nie wiem, co się wydarzy. Rozmawiałem z Amdrithem, kapitanem straży, i myślę, że nie wszyscy posłuchają rozkazów Enkira, gdyby ich wezwał. To nam da nieco czasu. Ale niewiele.

- Co się stało? - Cadvan miał ponurą minę.

- Enkir oskarżył mnie o zdradę - oznajmił Nelac. - A także tych, którzy głosowali przeciw niemu podczas rady. Pragnął uwięzić nas wszystkich. Krąg się na to nie zgodził. Ale został przegłosowany zaledwie jednym głosem i w moim sercu przebudził się lęk, Cadvanie: jak głęboko sięga ciemność? Obecnie Enkir przebywa w wieży, ogarnięty mroczną furją, zaraża innych bardów strachem i trucizną podejrzeń. Wasza czwórka musi opuścić Norloch, natychmiast, póki jest jeszcze czas. - Jego wzrok spoczął na bagażach leżących w kącie. Nelac kiwnął głową. - Widzę, że sami to zrozumieliście.

- Czekaliśmy na ciebie - wyjaśnił Cadvan. - Wszystko już gotowe - zatrzymał się nagle. - Wiesz, że Enkir brał udział w splądrowaniu Pellinoru?

Nelac, zdumiony, zerknął na Maerad.

- Nie - odparł. - Ale widzę już, że Enkir to potworny zdrajca, przeciwnik Wiedzy i Światła. Nie, nie jest Próżnym - dodał, unosząc rękę, gdy Maerad otworzyła usta, by zadać pytanie. - Zbyt wiele ma dumy, by tak się zniewolić. Nie jest też Bezimiennym we własnej osobie udającym barda - dodał, uprzedzając kolejne pytanie. - Pragnie raczej wykorzystać Mrok do własnych celów i uzyskać władzę absolutną. Skrywa się w samym sercu Światła, snując zaprzańcze plany. Mdli mnie na myśl, że wcześniej tego nie dostrzegłem. - Nelac wyglądał, jakby chciał splunąć ze wzgardą. - Ale w swej arogancji zapomniał o potędze Mroku, który przeżarł go, choć Enkir sądził, że potrafi nim pokierować. Przebiegły głupiec!

Postać barda zalśniła blaskiem rzucającym cienie w pograżonym w półmroku pokoju. Nie było to jednak pogodne światło, które wcześniej widziała Maerad - migotało z wściekłości.

- Chodźcie jednak, nie mamy czasu na dyskusje o zdradzie. Musimy się zastanowić, dokąd was wysłać.

- Już to zrobiliśmy - oświadczyła Maerad. - My z Cadvanem pojedziemy na północ, Saliman zabierze Hema na południe. Uznaliśmy, że tak będzie lepiej.

Nelac spojrzął ponad jej głowę w nieokreśloną dal.

- Tak, jeśli dobrze odczytaliśmy znaki, ty musisz udać się na północ - rzekł w końcu. - To przynajmniej jest jasne. I musisz odnaleźć Drzewną Pieśń. Nie wiem jak. Światło cię poprowadzi. Lecz twoja droga jest mroczna, a ja jej nie widzę.

Następnie poinformował ich, że załatwił już Maerad i Cadvanowi miejsca na rybackim kutrze, który odpłynie, gdy tylko dotrą do portu.

- Należy do rybaka Owana, mojego starego przyjaciela z Thoroldu, który zwrócił się do mnie dzisiaj - rzekł. - Czekał w przedpokoju, kiedy wróciłem do domu. Szczęśliwy traf:

powierzyłbym mu własne życie. Zamierzałem posłać do niego was wszystkich, widzę jednak teraz, że lepiej, by Hem i Maerad nie podróżowali razem. Uważam bowiem, że Hem jest równie ważny dla Światła jak Maerad, choć nie potrafię orzec, co musi zrobić.

- A co z Darsorem i Imi? - chciała wiedzieć Maerad.

- Pomyślałem o tym - odparł Cadvan. - Pojadą nimi Saliman i Hem. Kiedy znajdą inne wierzchowce, mogą odesłać nasze do Gentu. Darsor poniesie mojego przyjaciela, jeśli go o to poproszę.

- Ale jak mamy się wydostać? - wtrącił Saliman. - Nawet najlepszy koń w całym Annarze, a wiem, że Darsor zasłużył na to miano, nie poradzi sobie wobec zamkniętej bramy!

- Dla ciebie to nieco łatwiejsze, przyjacielu. O ile mi wiadomo, Enkir szuka Cadvana i Maerad, nie Salimana - powiedział Nelac. Zdjął z palca pierścień i wręczył ciemnoskóremu bardowi. - Ozdobiono go symbolem Białego Płomienia, na ten znak strażę otworzą bramy. I pamiętajcie, że Enkir nie wie o Hemie: to wielkie szczęście, że nie wspomnieliśmy o nim podczas rady. Powiedz im, że wiesz pilną wiadomość od Kręgu do Suderainu. Wysoka brama w Dziewiątym Kręgu będzie zamknięta; zapadł już zmierzch. Będziesz musiał opuścić miasto wrotami posłańców.

- Zatem powinniśmy już ruszać? - spytał Saliman.

Hem odetchnął głęboko i wstał.

- Tak, powinniście już iść - odparł Nelac. - Nie wiem, jak szybko zdołają zamknąć wszystkie bramy.

Saliman podniósł swą sakwę, gestem nakazując Hemowi, by uczynił to samo, i bez słowa cała piątka ruszyła do stajni. Darsor na widok Cadvana parsknął na powitanie, bard pogładził go, szepcząc coś do ucha, i osiodłał pośpiesznie. Maerad ucałowała Imi w nos i założyła jej uprzęż. Potem zebrała siły, szykując się do rozstania.

Ucałowała Salimana w oba policzki. Bard z powagą spojrzał jej w oczy.

- Oby dopisało ci szczęście - rzekł. - Jesteś dzielną kobietą. Niechaj Światło zawsze na ciebie pada, Maerad z Pellinoru!

Zarumieniała się, słysząc nieoczekiwany komplement. Potem odwróciła się do Hema i z całych sił przycisnęła go do piersi. Kiedy znów się zobaczą?

- Znajdziesz Drzewną Pieśń - oznajmił Hem z powagą. Maerad spojrzała na niego zaskoczona, a chłopiec mimo zdenerwowania uśmiechnął się do niej z udawaną śmiałością. - Wiem, że znajdziesz, Maerad. Czuję to tutaj. - Uderzył się pięścią w pierś.

Być może - pomyślała Maerad - ale nie wiem nawet, czym ona jest... Zmusiła się, by odpowiedzieć uśmiechem, a potem podsadziła Hema na Imi, która stała cierpliwie, czekając,

aż chłopak usadowił się w siodle. W końcu uśmiechnął się z góry do siostry, nagle zachwycony.

Maerad chciała powiedzieć tak wiele rzeczy, ale nie potrafiła znaleźć słów. Hem w płaszczu i wysokich butach, dosiadający konia, nagle wydał jej się znacznie bardziej dorosły. Poza tym był pod opieką Salimana. Miał równie duże szanse jak każdy z nich. Lecz myśl o rozstaniu rozdzierała jej duszę.

- Żegnaj, przyjaciółko - rzekła do klaczy. - Dobrze strzeż mego brata.

- *Twojego brata?* - Zaskoczona Imi zastrzygła uszami.

- Tak - odparła Maerad.

- *Będę go pilnować* - obiecała klacz.

- Będę tęsknić! - Maerad poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Otarła je niecierpliwie; zbyt wiele rozstań...

A potem, aż nazbyt szybko Darsor i Imi ruszyli naprzód przez brukowany dziedziniec. Nelac otworzył przed nimi wysokie zewnętrzne drzwi i wyrzwał na ulicę. Była pusta.

- Jedźcie już - rzekł. - Oby Światło dodało wam skrzydeł!

Konie pogalopowały naprzód. Po paru sekundach skręcili za róg i zniknęli. Troje bardów jeszcze chwilę stało w drzwiach, patrząc w dal. Maerad spuściła głowę, zmagając się ze smutkiem.

XXIV

UCIECZKA

Nelac zamknął drzwi wejściowe i zasunął rygiel. Brin wyłonił się z domu z dwoma mocno zbudowanymi uczniami i zaczęli barykadować wrota ciężkimi i długimi sztabami.

- Ale co z nami? - zdumiała się Maerad.

- Będziemy musieli wydostać się inną drogą - odparł Cadvan. - Pod cytadelą.

Maerad nie odpowiedziała. Wydarzenia toczyły się zbyt szybko. Rada, a potem straszliwa scena z Cadvanem i teraz rozstanie z Hemem... Była tak zmęczona, a noc dopiero się zaczęła. Przygaszeni powrócili do salonu Nelaca, nagle sprawiającego wrażenie bardzo pustego.

- A teraz najważniejsze - oznajmił Nelac. - Przed waszym wyjazdem Maerad musi zostać mianowana. Jest tylko jeden sposób: droga Białego Płomienia. Po tym, czego się dowiedziałem, nie zaufałbym żadnej innej.

- Droga Białego Płomienia? - Jego słowa kompletnie zaskoczyły Maerad. Nie spodziewała się tego.

- To pradawna tradycja - wyjaśnił Cadvan. - Jeszcze z Afinilu. Samo jądro rytuału. W dzisiejszych czasach niewielu potrafi go poprowadzić. Na szczęście Nelac należy do tego grona. - Nagle uśmiechnął się do Maerad swym rzadkim, promiennym uśmiechem, jakby wszystkie cienie nagle odeszły i w jego duszy wezbrała wielka radość. - I w końcu zapanujesz nad swoim Darem, Maerad.

Popatrzyła na niego niepewnie, groza powróciła niczym powiew mroźnego wiatru. Obawiała się ukrytej w niej mocy, choć czuła, jak ta rośnie. Odczuła też nagłą przemianę, jakby ciężkie wrota zatrzęsły się na zawsze i nie mogła już zawrócić.

Niecałe pół godziny później ukryta przed oczami ciekawskich w prywatnym ogrodzie Nelaca Maerad z Pellinoru została Bardką Białego Płomienia. Nad jej głową płonęło pole gwiazd otaczających wąski sierp księżyca, cienie drzew i kwiatów słały się nieruchomo na srebrzystej trawie. Maerad uniosła głowę, pozwalając, by blask gwiazd padł na jej twarz. Już się nie bała.

Stała samotnie pod kwitnącym drzewem anarech, odziana w strój podróźny. Na piersi

nosiła broszę przedstawiającą lilię Pellinoru, w dłoni trzymała jarzębinową różdżkę. Cadvan stał dziesięć stóp dalej, zaciskając dłonie, nieruchomy jak skała.

Nelac wyłonił się z domu, w zmęczonych dłoniach niósł Biały Płomień. Maerad patrzyła w zachwycie, jak się zbliża; płomień zdawał się wystrzelać z jego rąk i rozświetlać od dołu twarz, pogrążając oczy w głębokich kałużach cienia. Kiedy gospodarz do niej dotarł, skłonił głowę.

- Maerad, młodsza bardko z Pellinoru, witam cię - rzekł w Mowie.

Maerad ukłoniła się w odpowiedzi.

- Czy przyjmiesz Biały Płomień, ślubując szczerze wierność Światłu? - spytał Nelac.

- Przyjmę Biały Płomień, ślubując szczerze wierność Światłu - odparła Maerad i wyciągnęła przed sobą poziomo jarzębinową różdżkę.

Nelac przyłożył do niej Płomień i gałązka zajęła się ogniem. Maerad oparła się pokusie upuszczenia jej i trzymała niewzruszenie, podczas gdy Płomień przebiegał po drewnie do jej palców i ogarnął dłonie. Nie bolało; zamiast tego po jej rękach i ciele przebiegło niezwykle, gwałtowne mrowienie, jakby całą ją spowił ogień. Zamiast gorąca czuła chłód, był to jednak chłód, który rozszerzał się i migotał do rytmu z ogniem. Czuła się bardziej żywa niż kiedykolwiek przedtem, zupełnie jakby jej krew przebudziła się z długiego snu. Z zachwytem i zdumieniem spojrzała w oczy Nelaca. A potem, zmysłem niebędącym słuchem, usłyszała głos nienależący do człowieka, lecz wydający się mową samych gwiazd. *Elednor*. To było jej prawdziwe imię. Ognista Lilia. Tak jak głosiło proroctwo.

Po krótkim czasie płomienie zamigotały i zgasły, lecz mrowienie pozostało, a przygaszone barwy ogrodu i łagodny blask gwiazd wydawały się jaśniejsze, niż mogła znieść.

- Przeszłaś przez Biały Płomień i nie spłonęłaś - oznajmił Nelac. - Witaj, Maerad z Pellinoru. Jesteś w swym sercu, umyśle i samym jestestwie bardką Białego Płomienia. - A potem w jej umyśle dodał: - *Samandalamë, Elednor Edil-Amarandh na, Eled Idhil na, Idhil Agalena na*. Witaj, Elednor z Edil-Amarandhu, Lilio z Róży, Rózo z Piany.

Pochylił się i ucałował jej czoło, a potem Cadvan powitał ją tymi samymi słowami i pocałunkiem. Maerad spojrzała na gałązkę jarzębiny, którą wciąż trzymała w palcach; różdżka spłonęła niemal na popiół, lecz jej dłonie pozostały białe, bez śladu oparzeń.

Nelac odebrał jej różdżkę i pogrzebał pod anarechem. Potem bez słowa wrócili do środka. Pokój, który opuściła zaledwie dziesięć minut wcześniej, wydał jej się zmieniony: kolory były głębsze i mocniejsze, przedmioty pełne znaczeń. Omal nie wzdygnęła się przed mocą swego postrzegania. Rozejrzała się, zamrugła i otrząsnęła.

- Nie wiedziałam, że tak będzie - rzekła.

- Nikt nigdy nie wie, jak ułoży się przyszłość - odparł z lekkim rozmarzeniem Cadvan, jakby wspominał coś z własnej przeszłości.

Odrobina blasku płomienia wciąż pozostała przy skórze Maerad i siedząc w pokoju, dziewczyna migotała lekko. Cadvan spojrzał na nią z zachwytem; wydało mu się, że zaczyna rozumieć więź, o której wspominała Ardina.

- Nie wszyscy bardowie przechodzą przez Biały Płomień - powiedział Nelac. - Nie wszyscy mogą. Dobrze się spisałaś, Maerad - spojrzał na nią z powagą. - Prawdziwa bardka. I, jeśli mogę dodać, nieodrodna córka swej matki!

*

Maerad nie miała czasu wchłonąć wszystkiego, co się wydarzyło. Do salonu dobiegły krzyki z ulicy, słabe i odległe, i daleki szczełk broni. Znacznie bliżej w przedpokoju wybuchł zamęt. Nelac szybko uniósł głowę.

- Zaczęło się, przyjaciele.

Maerad westchnęła i zmusiła się do skupienia na chwili obecnej. Musieli uciec z Norlochu. Saliman i Hem z pewnością wydostali się już z cytadeli i zmierzali na południe. Ujrzała ich postaci oczyma ducha, jakby z wielkiej wysokości, galopujące przez noc łąkami Carmallachen. Teraz oni z Cadvanem muszą uciec.

Brin wbiegł do salonu, wyraźnie poruszony.

- Panie! - zawołał. - Coś jest nie tak. Ludzie burzą się na ulicach! Z okna na piętrze widziałem żołnierzy.

- Wiem, Brinie - odparł spokojnie Nelac. - Właśnie żegnam się z gośćmi. Pamiętaj, że nawet biała gwardia nie może wyważyć drzwi zewnętrznych: zamyka je coś więcej niż żelazo. I proszę, jeśli zdołasz powstrzymać uczniów od paniki, musimy ich ewakuować do niższych kręgów. Wkrótce wrócę. Jeśli trzeba, znasz drogę do Piątego Kręgu.

Brin przytaknął i wyszedł.

- To moja prawa ręka - Nelac uśmiechnął się słabo i przez sekundę oparł o ścianę. Po raz pierwszy od powrotu z rady wydawał się stary i zmęczony. Ile ma lat? - zastanowiła się nagle Maerad. Cadvan mówił coś o trzech zwykłych żywotach... Lecz Nelac wyrwał ją z zamyślenia. - Teraz czas, abyście odeszli oboje. Zabiorę was do wyjścia; droga prowadzi prosto, nie możecie się zgubić. I tam was zostawię. Zdołacie się obronić. Ja mam na głowie inne troski.

Cadvan i Maerad chwycili sakwy i ruszyli za Nelakiem. Przeprowadził ich przez wielką sień, potem w lewo, w kolejny szeroki korytarz i przez olbrzymią kuchnię, obecnie zupełnie pustą. Na samym końcu ujrzeni wąskie ciemne schody i ruszyli nimi w dół. Nelac

przywołał światło i Maerad przekonała się, że znaleźli się w nisko sklepionej piwnicy, ciągnącej się bez końca. Aż po sufit wypełniały ją równe rzędy baryłek, szklanych butelek, beczek i napęczniałych worków ziarna. Pod ścianami ustawiono półki, uginające się pod ciężarem owoców i warzyw: jabłek, rzep, marchwi i innych, a ze sklepienia zwieszały się warkocze cebuli i czosnku oraz długie, wonne pęta suszonej kiełbasy. Powietrze było chłodne i nieruchome, lecz suche. Maerad wciągnęła w płuca ostre wonie i nagle przypomniała sobie, że nie mieli czasu zjeść. Nelac poprowadził ich do niskiego korytarza po drugiej stronie, tam pokonali kolejne schody i skręcili w lewo, w następny korytarz, z którego na boki wiodło kilkoro solidnych dębowych drzwi. Tu ściany były mniej wygładzone, powietrze zaczęło cuchnąć wilgocią i pleśnią, jakby rzadko z tego miejsca korzystano. Gospodarz przystanął przy drzwiach na samym końcu, odpiął od pasa pęk kluczy i otworzył zamek. Bardowskie światło przeniknęło za próg, lecz Maerad ujrzała jedynie kilka szarych kamiennych stopni, ginących w nieprzeniknionej ciemności.

- To tutaj - oznajmił Nelac. - Ten korytarz prowadzi na urwiska w dole, stamtąd wystarczy przejść po skałach, by znaleźć się w porcie. Odpływ potrwa następnych sześć godzin, toteż nie będziecie musieli płynąć. Myślę, że Enkir nie wie o istnieniu tego przejścia, ale nie mam pewności. Są też inne, nie tak sekretne, prowadzące do niższych kręgów. Zapewne spodziewa się, że użyjecie jednego z nich. Nie wierzę, by zablokowano przed wami wyjście, ale nie jestem pewien co do portu. Do tej pory zamknięto już cytadelę, a wątpię, by Enkir zapomniał o morzu. Bądźcie czujni - urwał i potarł dłonią czoło.

Cadvan spojrzał na niego z napięciem.

- Nelacu, wolałbym, żebyś poszedł z nami - rzekł. - Boję się o twój los w tym miejscu.

- Nie, Cadvanie - gospodarz uśmiechnął się z powagą. - Jestem za stary na podobne przygody. Nie będę cię okłamywał, moje serce przepelniają obawy. Nastaly mroczne dni, ale jestem tu potrzebny.

Cadvan nie spierał się, lecz jego twarz posmutniała jeszcze bardziej.

- A teraz słuchajcie uważnie - ciągnął Nelac. - Łódź Owana nazywa się Biała Sowa. Ma czerwone żagle z białym symbolem. Kapitana poznacie łatwo, jest wysoki i ciemnowłosy, jak inni Thoroldecy. - Kiedy mówił, Maerad ujrzała w głowie wyraźny obraz: ciemną, pogodną twarz o oczach szarych jak morze. - Obiecał, że będzie na was czekał na końcu urwiska w porcie; wie, jak wyglądacie. Udajcie się tam najszybciej, jak to możliwe. Można mu zaufać. - Spojrzał kolejno na Cadvana i Maerad. - Cała moja nadzieja będzie wam towarzyszyć. Róbcie to, co musicie. Mrok nie może wygrać.

W Maerad wezbrała nagle miłość do tego starca, łagodnego, mądrego i jakże

ludzkiego, a przecież surowego i silnego niczym skała. Zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała w policzek. Nelac, choć lekko zaskoczony, uśmiechnął się.

- Żegnaj, młoda bardko - powiedział.

- Do zobaczenia, Nelacu - wyszeptała Maerad, wciąż obejmując go mocno. - Dziękuję.

Wypuściła go i cofnęła się o krok.

- Gdzie Światło na straży, mróz życia nie zwarzy - oznajmił Nelac. - Zapamiętajcie to. Korzenie Drzewnej Pieśni sięgają bardzo głęboko, a nowe pędy wyrastają w miejscach, gdzie najmniej się ich oczekuje. Bądźcie czujni. - Maerad pokiwała głową. - Żegnaj, Cadvanie.

Cadvan uściśnął go bez słowa. A potem oboje z Maerad przekroczyli próg, a Nelac zamknął za nimi drzwi. Dziewczyna usłyszała zgrzyt klucza w zamku.

Przez sekundę otoczyła ich nieprzenikniona ciemność. Powoli w mroku rozkwitł bladosebrzysty blask. Pochodził z Cadvana, bard jednak nie poruszył się. Patrzył przed siebie nic niewidzącym wzrokiem.

- Wątpię, czy jeszcze zobaczę Nelaca - rzekł głucho - choć wiedziałbym, z pewnością wiedziałbym, gdyby umarł... - W jego głosie dźwięczało napięcie, bolesna wątpliwość; przez moment Maerad nie odpowiadała.

- Nie wiesz, co się wydarzy - przypomniała w końcu niezręcznie. - A Nelac jest silny.

- Tak. - Cadvan westchnął ciężko i odepchnął złe myśli. - Łatwiej byłoby utrzymać światło, gdybym miał laskę. Rzadko ich używam, ale na dłuższą metę się sprawdzają. Może będziemy się zmieniać; nie chciałbym zbyt wyczerpany dotrzeć do celu. Nie mam pojęcia, co znajdziemy na drugim końcu.

Maerad spojrzała przed siebie. Korytarz wykuto w szorstkiej skale, przed nimi ściana skręcała i niknęła w ciemności. Stopnie były strome i wąskie, opadały w dół niekończącą się spiralą przez samo serce góry. W powietrzu wisiała wilgoć, było zimno; zadrzała i ciaśniej otuliła się płaszczem.

Rozpoczęli długą wędrówkę w dół. Na ścianie nie było uchwyty ani poręczy i Maerad nieustannie bała się, że się potknie i spadnie. W miarę jak posuwali się naprzód, robiło się coraz wilgotniej, od czasu do czasu po ścianach ściekały strużki wody, a mokre schody były niebezpiecznie śliskie. Po jakiejś półgodzinie Maerad przejęła zadanie oświetlania drogi i natychmiast zrozumiała, co miał na myśli Cadvan: było to bardzo męczące, gdy musiała podtrzymywać w umyśle poświatę, jednocześnie koncentrując się na schodach i na tym, by się nie pośliznąć.

Czuli przenikające przez skałę, zniekształcone wibracje. Raz minęli najwyraźniej

cienką ścianę, oddzielającą ich od komnaty bądź innego korytarza, bo z drugiej strony dobiegł ich wyraźny pomruk głosów pogrążonych w rozmowie ludzi.

- Szczyt Norlochu to labirynt podobnych tuneli - wyjaśnił Cadvan. - Wielu z nich używa się jako magazynów bądź tajemnych przejść z jednego domu albo kręgu do innego. Wątpię, by ktokolwiek znał je wszystkie.

Maerad zastanawiała się, co się dzieje nad ich głowami w cytadeli. Od czasu do czasu słyszała słaby huk, a kiedy posłała w dal myśli, nasłuchując, dobiegły ją echa krzyków i tupot stóp na kamieniu, nie rozumiała jednak, co to wszystko znaczy.

Schody zdawały się ciągnąć bez końca i powoli zaczęły ją boleć nogi. Chłód zagnieździł się w jej kościach, zmęczyła ją ciemność i niskie sklepienie z ciężkiego kamienia, nieustanna świadomość narastającego ciężaru nad głową. Ciągłe zakręty spiralnych schodów wywołały dziwne zawroty głowy, cały czas musiała skręcać w tę samą stronę, aż zaczęła przypuszczać, że zanim dotrą na dół, jej ciało przywyknie do tego na dobre i już nigdy nie będzie umiała pójść prosto. Zacisnęła zęby i szła dalej.

Kiedy wreszcie schody się skończyły, kolana Maerad drżały, a uda piekły nienaturalnym napięciem po pokonaniu tak wielu stopni. Zatrzymała się gwałtownie, patrząc na Cadvana.

- Muszę odpocząć - oznajmiła. - Tylko chwilkę.

- Nie będę protestował - odparł Cadvan. - Nie znoszę schodów.

Położył sakwę na ziemi i usiadł. Grunt był mokry, skrajem tunelu płynęła wąska strużka wody, korytarz ciągnął się w skale przed nimi i niknął w ciemności. Maerad poszła w ślady towarzysza i wyciągnęła przed siebie nogi, masując zbolące mięśnie. Teraz poczuła coś nowego, słabą słońą woń wyczuwalną w martwym powietrzu.

- Jesteśmy prawie na miejscu - oznajmił Cadvan. - Wkrótce się stąd wydostaniemy.

Nie odpoczywali długo. Po zaledwie kilku minutach Cadvan znów wstał i zarzucił torbę na plecy. Maerad podążyła za nim prostym tunelem, który opadał lekko. Teraz wędrówka okazała się znacznie łatwiejsza, toteż maszerowali szybko, coraz większy niepokój dodawał im sił; Szli tak około kwadransa, a potem słońa woń stała się mocniejsza i Maerad ujrzała w dali słabiutki blask gwiazd, choć nie widziała wylotu tunelu, i usłyszała huk fal oraz towarzyszący mu nieustanny szum morza. Tunel nie przypominał już wykutego ludzką ręką korytarza, lecz naturalną jaskinię, piasek tłumiał odgłos ich kroków, a ściany w pobliżu wyjścia niebezpiecznie zbliżały się do siebie. Musieli się schylać coraz niżej i niżej, aż w końcu maszerowali zgięci niemal wpół. Potem nagle grunt pod nogami zaczął wznosić się stromo, ostatnie kilka kroków musieli się wspinać, aż w końcu precyzyjnie się przez wąski

szyb i znaleźli na stercie potężnych głazów, śliskich od glonów.

Kilkanaście stóp niżej fale zalewały brzeg, masę czarnych skał połyskujących słabo wilgocią. Noc była pogodna i jasna, Maerad wciągnęła w płuca słone powietrze, rozkoszując się tym, że zostawiła za sobą ciasne, duszne, martwe korytarze. Czarne bazaltowe urwiska Norlochu wznosiły się nad nimi, a nad wodą przed sobą ujrzała wąskie cyple portu, gwiazdną lukę pomiędzy bezświetlnymi kamiennymi ścianami.

Teraz wystarczyło już tylko ostrożnie pokonać skały, starając się nie potknąć w ciemności ani nie osunąć w słoną wodę wypełniającą każdą szczelinę. Była to nużąca, czasami męcząca wędrówka, powoli jednak okrążyli podstawę urwiska i wkrótce Maerad widziała już przed sobą wielkie kamienne nabrzeże. Niestety, usłyszała także dobiegające z wody krzyki i odgłosy zbrojnej walki, a potem nagle w dali rozbłysło czerwone światło. Płomienie.

- Walczą w Dziewiątym Kręgu - wyszeptał jej do ucha Cadvan. - Mam nadzieję, że Owan wciąż na nas czeka!

- Nelac mówił, że powierzyłby mu własne życie - odparła Maerad, zastanawiając się, co zrobią, jeśli Owan już odpłynął, spłoszony tym, co działo się w Norlochu.

Nadal zsuwali się ze skał, aż w końcu znaleźli się u podstawy nabrzeża. Z boku dostrzegli schody i zaczęli wspinać się po nich w milczeniu. Tuż przed ich szczytem Cadvan wyciągnął rękę, by ją zatrzymać, i ostrożnie wysunął głowę ponad krawędź. Potem wezwał ją gestem i wczłógali się na kamienne molo.

Dalej, na przystani walczyły grupki ludzi, groteskowo oświetlone przez płomienie. Trzy łodzie cumujące przy przeciwległym brzegu zatoki płonęły, ich odbicia migotały na powierzchni fal niczym krew.

- Pała statki! - mruknął Cadvan. - Enkir jest bardzo dokładny.

Maerad nie widziała wyraźnie, co się dzieje w porcie, słyszała jednak brzęk mieczy, straszliwe krzyki i wrzaski. Zamknęła oczy; za bardzo przypominało to spalenie Pellinoru. Nie mogła sobie pozwolić, żeby o tym myśleć. Nie teraz.

Kulili się skryci w cieniu grubego pala cumowniczego i przynajmniej chwilowo nikt ich nie zauważył. W pobliżu kilka łodzi cicho trącało pomost. Cadvan niespokojnie przebiegł po nich wzrokiem. Do której zmierzali? Wszystkie wyglądały na opuszczone. Niedaleko, lecz jak na gust Maerad w stanowczo zbyt dużej odległości, cumowała łódź o czerwonych żaglach, lecz z tego miejsca nie mogli odczytać jej nazwy.

- Myślę, że to musi być ta - skinął głową w stronę łodzi. - Maerad, potrafisz teraz rzucić zakłęcie kryjące, prawda? Zrób się niewidzialna. Nie chcemy, by nas zauważono. Nie

widzę tu żadnych bardów, choć trudno stwierdzić w takim zamieszaniu.

Maerad na moment skupiła umysł; nigdy dotąd nie używała zaklęcia kryjącego, ale okazało się to całkiem łatwe. Cadvan uniósł brwi, a ona kiwnęła głową, potem oboje wstali i pobiegli.

Dotarli już niemal do łodzi, dość blisko, by ujrzeć sowę w locie wymalowaną bielą na żaglach i trap poruszający się na kamieniu, kiedy usłyszeli krzyk. Zobaczył ich bard.

- Stać! - wysoki mężczyzna z maczugą i ognistą pochodnią w dłoniach puścił się ku nim pędem. - Stać! Kto idzie? Nikt nie ma wstępu na przystań z rozkazu Pierwszego Barda!

Wciąż byli zbyt daleko, by ryzykować ucieczkę. Maerad usłyszała, jak Cadvan klnie pod nosem. Zaklęcie kryjące nie jest w stanie oszukać barda, ale może zdołają się zamaskować. Odwrócił się do mężczyzny, wsuwając dłoń pod płaszcz i chwytając rękojeść miecza.

- Litości, panie! - zajęczał z akcentem, którego Maerad nie знаła. - Ja i mój chłopak nie chcemy zginąć!

Kaptur skrywał mu twarz, Maerad naciągnęła mocniej własny.

- Powinniście byli zejść z nabrzeża godzinę temu - dwaj inni mężczyźni dołączyli do pierwszego.

- Nie wiedzieliśmy - odparł Cadvan. - Utknęliśmy...

- To bardowie - odezwał się głos zza pleców pierwszego mężczyzny. Tamten wysunął pochodnię bliżej, zerkając w twarz Cadvana. Maerad przesunęła się za niego, próbując się ukryć w migotliwych cieniach.

- Bardowie, panie? - powtórzył Cadvan.

- Sprowadź Enkira - polecił głos. - Myślę, że to oni.

Trzeci mężczyzna odbiegł.

Najwyraźniej było już za późno na podstęp. Dwaj pozostali bardowie ruszyli naprzód, by ich chwycić, krzykiem wzywając pomocy. Cadvan dobył Arnosta i odskoczyli. Pierwszy mężczyzna upuścił pochodnię i chwycił oburącz maczugę.

W tym ułamku sekundy Maerad rozejrzała się rozpaczliwie. W porcie tłoczyły się dziesiątki walczących żołnierzy, nie wiedziała jednak, kto walczy z kim. Kolejni biegli ku nim. Ujrzała białą plamę twarzy wyglądającej zza burty łodzi i znikającej w mroku. Owan. A zatem ich nie porzucił. Bez namysłu dobyła własnego miecza i stanęła ramię w ramię z Cadvanem, cofnęli się do pala, oparci o niego plecami. Za nimi połyskiwała czarna toń.

- Chcesz mnie zabić, Gast? - rzekł Cadvan do pierwszego mężczyzny, a ostrze Arnosta zaślniło niebezpiecznie. - Na twoim miejscu jeszcze bym się zastanowił.

- Zamilcz, zdrajco! - ryknął tamten. - Teraz czeka cię tylko śmierć.

Gast uniósł maczugę i rzucił się ku nim. Cadvan i Maerad odskoczyli na bok i cios trafił w pał, krzesząc iskry. Błysnęła klinga i Gast runął na ziemię, z jego szyi i ust wypływała ciemna krew. Wstrząsnął nim spazm, a potem znieruchomiał. Maerad przez moment patrzyła na niego, wstrząśnięta tą szybką śmiercią, lecz ktoś inny zaatakował ją mieczem. Odparowała cios i śmignęła ku Cadvanowi, który brutalnie odepchnął żołnierza, a potem lewą ręką nakreślił wokół nich ścianę Białego Płomienia - żołnierze zniknęli za nim. Teraz Maerad i Cadvana otaczał płomienisty półokrąg.

Towarzysz odwrócił się do niej. Ogień oświetlał jego twarz tak, że szramy po biczu odcinały się ostro od białej skóry.

- Od łodzi dzieli nas zaledwie trzydzieści stóp - rzekł. - Naszą jedyną nadzieją jest się tam przebić, a nie zdołamy dokonać tego mieczami, jest ich zbyt wielu. Jeśli oboje utrzymamy wokół nas mur, może nam się uda.

Maerad przytaknęła, dysząc głośno. Spoza srebrnych płomieni słyszała krzyki licznych żołnierzy. Chwyciła dłoń Cadvana, złączając z nim umysł, i płomienie wystrzeliły wyżej, jasne i zimne. A potem krok za krokiem ruszyli skrajem nabrzeża w stronę łodzi. Zrobili zaledwie kilka kroków, gdy poczuła nacisk przeciwzakłęcia; płomienie przygasły i zniżyły się i dostrzegła za nimi rozmazane sylwetki żołnierzy. Naparła mocniej i znów wystrzeliły w górę.

- Jest tam więcej niż dwóch bardów - stwierdził Cadvan. Na jego czole perlił się pot. - Wyczuwam co najmniej pięciu. Myślę, że nam się uda, Maerad. Trzymaj się.

Powoli, morderczo powoli przesuwali się w stronę łodzi. Maerad czuła, jak całe jej ciało płonie z napięcia. Odważyła się zerknąć przez ramię: rybacka łódź nadal kołysała się spokojnie na wodzie, pozornie opuszczona. Dwadzieścia stóp, dziesięć, niemal dotarli do celu. W głowie pulsowało jej nieznośne napięcie woli, ale wiedziała już, że się uda.

A potem przerażająco szybko płomienie zgasły. Maerad zachwiała się oszołomiona: zupełnie jakby rozdeptała je olbrzymia stopa. Cadvan kurczowo ścisnął jej dłoń, drugą ocierając pot z czoła, i posłał przed siebie kolejny mur, aby zyskać kilka cennych sekund. Maerad zamrugnęła, próbując coś zobaczyć. Widziała czerwone rozmazane plamy pochodni i masę niewyraźnych ciemnych kształtów, lecz przed nimi pojawiło się coś innego, nowa, wcześniej nieobecna moc.

- Enkir - wydyszał Cadvan. - To Enkir! Jest jak upiór!

Jak upiór - pomyślała Maerad, a jej myśli pędziły ponaglone strachem. Ale nie jak upiór: ta moc nie miała w sobie koszmaru grobu, lecz tę samą żywą, jadowitą wrogość, jaką

poczuła w Kryształowym Dworze. Widziała postać Enkira zaledwie piętnaście stóp dalej, nie większą niż krążący wokół żołnierze, ale moc wezbrała wokół niego niczym potężny cień, tak że zdawał się górować nad nimi jak ohydny, przerażający olbrzym. Żołnierze rozbiegali się przerażeni, lecz Maerad prawie ich nie dostrzegła.

Opór Cadvana słabł i niczym potężny cios w twarz poczuła moc woli Enkira, okrutnej i niewzruszonej. Ścisnęła kurczowo dłoń towarzysza i w panice posłała ognistą strzałę, żałując z głębi serca, że nie potrafi zapanować nad mocami, które bez wątpienia posiadała.

Enkir jedynie uniósł dłoń i strzała pomknęła w niebo.

Maerad przypomniała sobie nagle, co w Innailu powiedział jej Indik; zdawało się, że od tamtej chwili minęły lata. „Kluczem jest inteligencja. Nie jesteś dość silna, by być głupia. Myśl!” Przelknęła ślinę i uniosła głowę.

Enkir stał teraz bez ruchu. Atakujące ich czarne fale nieco osłabły. Uniósł rękę, gromadząc wokół siebie przerażającą moc ciemności. Maerad dostrzegła zmysłem pochodzącym z głębi jej umysłu, że przeciwnik czerpie ze źródła poza sobą. Poczuła ucisk w uszach. Zamierzał zmiażdżyć ich oboje jednym uderzeniem.

Z nagłym ukłuciem w żołądku uświadomiła sobie pogardę zawartą w tym geście. Z tą samą pogardą zniszczył kiedyś jej matkę. Zerknęła szybko na Cadvana, a on pochwycił jej myśl. Niemal niedostrzegalnie przytaknął. Spletli razem dłonie, czekając ponuro przez niekończące się sekundy, podczas gdy moc wzbierała, osiągając niemal nieznośny poziom. Powietrze wibrowało dźwiękiem podobnym do zgrzytu umęczonego metalu.

W końcu Enkir zadał cios. Dokładnie w tym momencie Maerad i Cadvan wznieśli razem tarczę podobną do ognistego zwierciadła. Przez ułamek sekundy zawisła, płonąc w powietrzu przed nimi, a potem pocisk Enkira uderzył ją jak młot. Tarcza rozprysła się na dziesiątki ognistych, wielobarwnych odłamków, a Cadvan i Maerad polecili do tyłu, z trudem utrzymując się na krawędzi pomostu.

Lecz pocisk do nich nie dotarł; odbił się i trafił w Enkira. Głośno chwyając powietrze, Maerad pozbierała myśli i posłała w ślad za nim salwę ognia. Ostre błyski oświetliły scenę na pomoście serią krótkich obrazów, odcisniętych przez ogień na jej powiekach. Mężczyzna w pobliżu upuścił miecz i tarczę i runął na kolana, osłaniając dłońmi oczy w geście rozpaczki bądź grozy. Inni walczyli szaleńczo, jak opętani. Na ziemi leżały co najmniej cztery nieruchome ciała, lecz Maerad nie dostrzegła ani śladu Enkira.

A potem wraz z Cadvanem odwrócili się i ile sił w nogach pobiegli naprzód, pokonując kilka ostatnich stóp dzielących ich od trapu i łodzi.

Owan leżał płasko na pokładzie, zatykając rękami uszy. Kiedy wskoczyli do środka, wzdrygnął się, ale przekonawszy się, kto to, ruszył ku nim. Cadvan wciągał już za sobą trap.

- Nie śpieszyliście się - zauważył kapitan.

- Szybko! - wydyszała Maerad.

Owan z pozornym spokojem, choć w istocie poruszał się bardzo prędko, podszedł do burty i odcumował łódź.

- Przydałoby mi się trochę pomocy z wiatrem - rzucił lakonicznie przez ramię.

Cadvan przyglądał się kapitanowi przez sekundę, w końcu zrozumiał, co miał na myśli. Wówczas uniósł ręce i przemówił. Maerad wciąż się zastanawiała, o co prosił Owan, gdy usłyszała w powietrzu szept pierwszej, narastającej bryzy. Żagle załopotwały i wydeły się. Łódź zaczęła odpływać od nabrzeża.

Szybciej, szybciej, błagam, szybciej! - pomyślała Maerad, wyglądało jednak na to, że Owan nie zamierza się śpieszyć. Wkrótce zostawili za sobą inne łodzie. Kapitan dał sygnał Cadvanowi i żagle wydeły się mocniej, łódź zaczęła rwać przed siebie przez fale w stronę ujścia portu.

Maerad obejrzała się na brzeg. Nie widziała, co się dzieje, ale czuła, że Enkira już tam nie ma, jego straszliwa obecność zniknęła. Czy go zabili? Nie potrafiła stwierdzić. Cios, który przeznaczył dla nich Enkir, pozostawił po sobie absolutny chaos. Powietrze wibrowało od krzyków, żołnierze najwyraźniej walczyli z sobą. Jak dotąd nikt jeszcze nie zauważył maleńkiej łodzi wymykającej się z przystani.

Cadvan podszedł bliżej i stanął obok niej.

- Nieszczęsny Norloch! - powiedział.

- Tak - szepnęła Maerad.

Zacisnęła dłonie na relingu, by powstrzymać ich drzenie po bitwie. Cadvan zerknął przez ramię ponad wodą.

- Cieszę się, że płyniemy do Thoroldu - rzekł. - Może dlatego, że jest wyspą, zawsze pozostawał jednym z najbardziej niezależnych królestw. Jeśli Pierwszy Krąg wyda nakaz naszego ujęcia, tam najpewniej go zignorują.

- Nakaz? - Odwróciła się i spojrzała na Cadvana okrągłymi ze zdumienia oczami.

Bard wzruszył ramionami.

- To bardzo prawdopodobne, Maerad. Połała się krew. I o ile Pierwszy Krąg nie zostanie odtworzony pod kierownictwem Nelaca, co wydaje się mało realne, jesteśmy teraz banitami. Dziś wieczór narobiliśmy sobie potężnych wrogów.

Maerad, przygaszona, pochyliła głowę. Zastanawiała się parę minut, czy ma dość sił,

by uciekać zarówno przed Światłem, jak i przed Mrokiem. To zbyt trudne... Sądziła dotąd, że Norloch będzie kresem ich podróży, wyglądało jednak na to, że to zaledwie początek kolejnej ucieczki, tym razem w nieznaną, a jej los pozostawał bardziej niepewny niż kiedykolwiek wcześniej.

- Żałuję śmierci Gasta - dodał po chwili milczenia Cadvan. - Nie był złym człowiekiem, jedynie zblądził. Robił to, co uważał za słuszne.

Zamierzał cię zabić - pomyślała Maerad, ale nie powiedziała tego głośno.

- Dobrze go znałeś? - spojrzała mu w twarz.

Oczy miał ciemne ze smutku.

- Nie, niezbyt dobrze. Pochodził ze Szkoły Desoru - na chwilę umilkł. - Wojna domowa to paskudna sprawa, Maerad. Przyjaciół walczy z przyjacielem, ci, którzy powinni być sojusznikami, stają się wrogami. Miałem nadzieję, że nigdy jej nie zobaczę. Ale takie nastały czasy.

Patrzyli ponad wodą, nasłuchując odrażających bitewnych krzyków, które powoli cichły w dali.

- Myślisz, że Enkir nie żyje? - spytała nagle Maerad.

- Chciałbym tak sądzić - odparł. - Ale nie mam pewności, a to zapewne znak, że jednak przeżył. Czerpie swą moc z ponadludzkiego źródła i to mogło go ochronić. A jeśli Enkir żyje, lękam się o Norloch. Nadal jest Pierwszym Bardem, najpotężniejszym bardem Annaru, i jeśli przeżył, wykorzysta do swych celów chaos dzisiejszej nocy.

- Ale może Nelac mógłby go powstrzymać?

- Możliwe. Lecz, tak jak mówił, jak głęboko sięga ciemność? Kiedy ludzie się boją, są gotowi zrezygnować niemal ze wszystkiego w zamian za złudzenie bezpieczeństwa. Tylko Nelac wie, jak dogłębnie Enkir zdradził Światło, a Enkir oskarżył go już o zdradę. Nelac pomógł nam uciec, a ja zabiłem co najmniej jednego barda. Nie trzeba być złym, żeby dać się zwieść - głos Cadvana brzmiał ponuro. - Ciężar dowodów może przeważać słowa Nelaca.

- Ale czy rada nie potrafi stwierdzić, jaka jest prawda? - rzuciła z nagłym ogniem Maerad. - To przecież bardowie! Czy bardowie nie powinni wiedzieć?

Cadvan obdarzył ją znużonym uśmiechem.

- Prawda nie jest tak prosta, Maerad. Sama dobrze o tym wiesz. Wszystko zależy od punktu widzenia, wraz z nim prawda się zmienia. Sądzisz, że tak łatwo opisać działanie Światła? Skąd każdy z nas ma wiedzieć, czy dokonuje słusznych wyborów?

Maerad pomyślała o Norlochu, najwyższej cytadeli bardów, obecnie, jak się okazało, ośrodku ciemności, a potem o wcześniejszym wyznaniu Cadvana, i umilkła. Przepelił ją

nagły niepokój. Sądziła, że Światło i Mrok łatwo odróżnić, niczym noc i dzień, ale Cadvan zdawał się mówić, że wcale tak nie jest, że pewność to jedynie ułuda.

- Myślisz, że dobrze postępujemy? - spytała w końcu.

Z początku Cadvan nie odpowiedział, w końcu westchnął.

- Tak, myślę, że tak. A przynajmniej dokładamy wszelkich starań, kierując się naszą skromną wiedzą. Lecz czasami pozostaje nam tylko wybór między złym a gorszym.

A potem Owan wezwał Cadvana do siebie, prosząc o dalszą pomoc z wiatrem, i bard zostawił Maerad samą przy relingu, w ponurym zamyśleniu wpatrzoną w płonące miasto.

*

W miarę jak łódź przecinała zatokę, ciągnąc za sobą białe odkosy, odgłosy walki cichły i Maerad słyszała już tylko skrzypienie żagli i szum fal. Długo wpatrywała się w cytadelę, a jej ręce i nogi stopniowo przestawały dygotać.

Statki w porcie nadal płonęły, rzucając na wodę złowieszczy blask. Z ukłuciem rozpacz dziewczyna dostrzegła, jak ogień ogarnia wyższe kręgi. Pierwszy Krąg zdawał się płonąć. Pomyślała o Nelacu; mówił, że zabiera swoich uczniów na niższy poziom. Z pewnością nie pozostali dotąd w Pierwszym Kręgu. Miała gorzką nadzieję, że Enkir nie żyje. Może wówczas Krąg zostanie odtworzony.

Mimo wszystkich wydarzeń ostatnich kilku godzin czuła się, jakby jej krew płonęła życiem. Była zmęczona, zmęczona do szpiku kości, ale bynajmniej nie senna. Powoli, patrząc na rozszerzające się wody, zaczęła się odprężyć i po raz pierwszy powróciła myślami do swego mianowania: do fali ognia, która przeszła przez nią, odmieniając jej istotę. Teraz była już inna. Była Ognistą Lilią, Elednor z Edil-Amarandhu.

Siedząc na pokładzie, spoglądała w niebo. Tam wysoko płonął Ilion, samotny i jasny, taki sam, jaki oglądała z Gilmanowego Siola. Pomyślała o Hemie: gdzie był teraz? Czy on także spoglądał w rozgwieżdżone niebo, myśląc o niej? I może jej matka, Milana, także to robiła, może ona również szukała wzrokiem jasnego klejnotu Ilionu pośród konstelacji i myślała o nim jak o swojej gwiazdzie?

Tu, na ziemi - pomyślała Maerad - ludzie pracują w znoju, cierpią i umierają. Czy choćby cząstka tego bólu dociera do Ilionu? Zastanawiała się, czy gwiazdy mogą wyczuć wibracje ludzkiej radości i zachwytu, smutku i rozpacz. Czy gwiazdy wiedzą, czym jest dobro i zło? Czym są dla nich Mrok i Światło? Przypomniała sobie słowa Ardiny do Cadvana: „Światło rozkwita najjaśniej w najciemniejszych miejscach”. Może tak daleko od ludzkich spraw z chaosu wyłonił się kolejny porządek, kolejna konieczność, i nawet zło stawało się częścią większej muzyki?

Patrząc w niebo, Maerad czuła bijące w ciele serce i krew krążącą po nawet najdrobniejszych żyłkach i naczyniach. Miała wrażenie, jakby po raz pierwszy w życiu w końcu zrozumiała misterne powiązania pomiędzy wszystkim, nieskończenie złożoną i piękną sieć. Pomiędzy maleńką kulą swego oka a odległą gwiazdą czuła cienką, jaśniejącą nić, jedną z nieskończonych więzi, które łączyły z sobą żywych i umarłych, to, co bliskie i dalekie, maleńkie i olbrzymie w nieustannie zmieniającym się i odnawiającym świecie.

I kiedy to zrozumienie wezbrało w niej, dręczące ją lęki powoli zniknęły. Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, bez smutku pomyślała o matce. Ujrzała ją oczami duszy, wysoką, niezłomną i piękną: Milanę, Pierwszą Bardkę Pellinoru. Teraz byłaby dumna ze swej córki.

Maerad z nagłą radością odetchnęła słodkim nocnym powietrzem. Tej nocy, pomyślała, nie obchodzi jej, co przyniesie przyszłość, jakie czekają ją niebezpieczne podróże i straszliwe niebezpieczeństwa. Tej nocy chwila obecna w zupełności jej wystarczyła.

DODATKI

1. Kilka uwag na temat wymowy

Większość rzeczowników annaryjskich wywodzi się z Mowy i zazwyczaj ma podobną wymowę. W słowach trzysylabowych i dłuższych akcent zwykle pada na drugą sylabę, w słowach dwusylabowych (np. lembel, czyli niewidzialny) akcent pada na pierwszą. Istnieje kilka wyjątków w nazwach własnych; np. Pellinor i Annar wymawia się z akcentem na pierwszych sylabach.

Pisownia jest zazwyczaj fonetyczna.

A - jak w mata. Ar rymuje się z bar.

Ae - długi dźwięk, jak w maj. Maerad wymawia się Maj-rad.

Aë - dwie sylaby wymawiane odrębnie, brzmiące jak aj-i. Maninae wymawia się Mani-naj-i.

Ai - rymuje się z lej. Innail wymawiamy Innejl.

Au - fonetycznie. Raur brzmi jak Maur.

E - jak w cel. E na końcu wyrazu jest zawsze wymawiane, np. *remane* (chodzić) ma trzy sylaby. Czasami wskazuje to dodatkowy umlaut *ë*, oznaczający także, że akcent w danym słowie pada na samogłoskę, np. *ilë* (my) - w wymowie pierwsze i czasami niemal zanika.

Ea - dźwięk dwusylabowy wymawiany osobno, jak ej-ah. Inasfrea (spacerować) brzmi zatem: in-as-frej-ah.

Eu - wymawiamy oj, jak w woj.

I - jak w pisz.

Ia - dwie samogłoski wymawiane oddzielnie, i-a.

Y - słabe a, jak w ma.

C - zawsze twarde k, jak w koń, nigdy ć, jak w cień.

Ch - miękko jak w słowie dach, nie czas.

Dh - spółgłoska pomiędzy twardym d i twardym angielskim th. W naszym języku nie ma odpowiednika, najbliższe to angielskie twarde th. Medhyl wymawia się medh'l.

S - zawsze miękkie, jak w sok.

Uwaga: nazwa Dén Raven nie wywodzi się z Mowy, lecz z języków południowych. Wymawia się Don Raa-wen.

2. Krótka historia Edil-Amarandhu

Trudności z datowaniem niezwyklej cywilizacji Edil-Amarandhu czy nawet określeniem jej dokładnego geograficznego położenia są doskonale znane. Oceny badaczy znacznie różnią się od siebie, określając datę jej tajemniczego zniknięcia na od dziesięciu do stu pięćdziesięciu tysięcy lat przed rozpoczęciem ostatniej ery lodowcowej. Pierwotne teorie, uważające *Pisma annaryjskie* za potwierdzenie powtarzających się relacji, zawartych w dziełach Platona, *Mabinogionie* i innych opisach zniszczonej przez potop Atlantydy, już dawno zdyskredytowano, ponieważ Edil-Amarandh wydaje się znacznie starszy, niż sugerują owe teksty, i zupełnie odmienny kulturowo. Niektórzy jednak zakładali, że kontynent Edil-Amarandh mógł zatonać pod falami Atlantyku na zachód od wybrzeży Afryki i Europy, tak jak wcześniej sądzono o Atlantydzie¹. Mimo wszystko obszerne dostępne materiały pozwalają opracować szczegółową historię Annaru i Siedmiu Królestw².

Bardowie posługiwali się dwoma podstawowymi kalendarzami: rachubą Afinilu (oznaczoną literą A) i kalendarzem annaryjskim bądź norloskim (oznaczonym literą N). Oba były w powszechnym użyciu w całym Edil-Amarandzie. Wydarzenia opisane w *Darze* rozegrały się w roku N945, co oznacza 945 lat po Odrodzeniu Światła pod rządami Maninaego.

Zgodnie z *Kronikami* Istara z Norlochu (N398), z których wywodzą się niniejsze rozważania³, historia Annaru i Siedmiu Królestw dzieli się na trzy ery (Wielkiej Cisy nie uważa się za erę).

Era Żywiółowców

Era Żywiółowców zakończyła się około tysiąca lat przed założeniem Afinilu, czyli jakieś pięć tysięcy lat przed rozpoczęciem akcji niniejszej opowieści. Tym samym w czasach Odrodzenia większość informacji popadła w zapomnienie, a te, które przetrwały, były fragmentaryczne i nieobiektywne. Jednakże po założeniu Afinilu nieliczni Żywiółowcy, którzy pozostali, zrelacjonowali wiele z wydarzeń owej ery⁴, dzięki czemu spora część pieśni i historii została zachowana w tradycjach bardów, choć ponownie jedynie szczątki owej wiedzy przetrwały zniszczenie Afinilu przez Bezimiennego.

Żywiółowcy (inaczej Elidhu) byli nieśmiertelni; nazwę swą zawdzięczają szczególnej więzi łączącej ich z naturalnymi mocami przyrody, takimi jak: ogień, woda, powietrze, ziemia, słońce, księżyc i pływy. Często kojarzono ich z poszczególnymi regionami bądź miejscami, takimi jak rzeki czy góry. Po Wojnach Żywiółów wielu Elidhu powróciło do swych czystych postaci i nie widziano ich więcej jako istot materialnych, choć część

pozostała jako widzialne duchy. Żywiołowcy mogli przybierać dowolne kształty i w czasach Afinilu często odwiedzali miasto w przebraniu ludzi, ucząc się od Dhyllów Mowy, pieśni i muzyki, która cieszyła ich najbardziej. Najsłynniejszą z owych Elidhu, którzy stali się częścią ludzkiego świata, była pani Ardina. Po zdobyciu przez ludzi dominacji i popsuciu się stosunków między obiema rasami, za co w znacznym stopniu odpowiadał Bezimienny, większość przybrała swoje formy podstawowe i rzadko się pokazywała. Nie znamy ich dokładnej liczby.

Najważniejsze wydarzenie Ery Żywiołowców to pojawienie się Lodowego Czarnoksiężnika, Arkana, który przybył z północy i okrył Edil-Amarandh wieczną zimą. W owych czasach Żywiołowcy wypiętrzyli część górskich łańcuchów Edil-Amarandhu, Osidh Elanor (Góry Świtu) i Osidh Annova, próbując zagrozić drogę Arkanowi. Wszystkie żywe istoty cierpiały, a ludzie niemal zniknęli z powierzchni ziemi. Lodowy Czarnoksiężnik został odparty i w końcu obalony przez sojusz części Żywiołowców i ludzi z Edil-Amarandhu pod przewodnictwem Elidhu Ardiny i króla Ardhora. Ostatnia wojna z Arkanem wstrząsnęła całym kontynentem: morze zalało dawne lądy, a w miejscu niegdysiejszych mórz wypiętrzyły się ziemie⁵. Kiedy wojna dobiegła końca, linia brzegowa była zupełnie zmieniona i przyjęła obecnie znane kształty.

Choć zapisano część ówczesnej historii ludzkiej i pieśni (na przykład legendę o Nercanie, zachowaną w *Zwojach Lira* w Bibliotece Lirigonu), nie notowano dat. Niewielkie wspólnoty mężczyzn i kobiet żyły w osadach na wschód od Osidh Annovy, a w okolicach obecnej rzeki Lir osiedlił się dumny, silny lud, którego potomków zwiemy Dhyllami.

Era Zaranja

Po wojnach Dhyllowie zasiedlili tereny na północy, później nazwane Lirionem i Imbralem. Podobno w owych czasach w Edil-Amarandzie po raz pierwszy pojawili się Dhillarearë. Niewiele jednak pozostało przekazów z czasów przed założeniem Afinilu. Okres ten nazywany jest Przedświtem albo Inelą.

Era Zaranja rozpoczyna się od założenia Afinilu około tysiąca lat po zakończeniu Wojen Żywiołów. Afinil był pierwszym miastem zbudowanym i zamieszkanym przez Dhillarearë, choć nie byli oni bynajmniej jedynym żyjącym tam ludem. Miasto założył wielki bard Nelsor, który między innymi wynalazł litery i jako pierwszy zapisał oraz skodyfikował Mowę. Przez ponad cztery tysiące lat wynalezione przez niego pismo pozostawało w powszechnym użyciu pośród bardów⁶.

Afinil nigdy nie był miastem królów, lecz bardów. Leżał pomiędzy Lirimalem i

Inchanem, głównymi miastami królestw Lirionu i Imbralu - nikt nie wie, gdzie dokładnie, wiadomo jednak, iż było to na brzegu jeziora ponoć tak głębokiego, że nawet za dnia odbijały się w nim gwiazdy: Ilimicanu albo Lustrzanego Stawu. Afinil sławiono jako najpiękniejsze miasto kiedykolwiek wzniesione w Edil-Amarandzie; stał się ośrodkiem najwyższej wiedzy i kultury. Istniały tam dwory śpiewaków i biblioteki, a także sławne ogrody i tarasy: od rozchodzących się z nich woni powietrze pachniało w promieniu wielu mil.

Był to pierwszy wielki rozkwit Światła. Afinil dobrze prosperował przez wiele lat, a wraz z nim rozwijały się otaczające go ziemie. Bardowie zaczęli podróżować po całej krainie i w wielu miejscach znajdowali sobie podobnych: zwłaszcza w Turbansku na południu, pradawnym mieście założonym przed końcem Ery Żywiołowców, oraz w krainach na zachodzie, wzdłuż wybrzeża Edil-Amarandhu. Ludzie zasiedlili także ziemie na wschód od Osidh Annovy i na tamtejszych żyznych terenach założyli królestwo Indurainu.

Pierwsze oznaki kłopotów pojawiły się w roku A1567, kiedy Sharma, król Dén Raveanu, niewielkiego górzystego kraju na południu, wyprawił się do Afinilu i zażądał nauki, oferując w zamian złoto i klejnoty. Bardowie, którzy cenili tego typu przedmioty jedynie ze względu na ich piękno, roześmiali się i zgodzili uczyć go za darmo. „Czymże jest zimny blask klejnotu obok żywego Światła? - spytał Geldhor, Pierwszy Bard Afinilu, kiedy Sharma zwrócił się do niego. - Nie, zatrzymaj swe kamienie”. Dumnego i niecierpliwego Sharmę głęboko uraziły łagodne drwiny bardów, ukrył jednak gniew i skupił umysł na nauce⁷.

Bardzo szybko okazało się, że to najbardziej utalentowany bard, jaki pojawił się w Afinilu od czasów Nelsora. Zajmowało go zwłaszcza tworzenie przedmiotów władzy, a także tajemnice więzów i krępowania. Bardzo interesował się Arkanem, Lodowym Czarnoksiężnikiem, i wiele czasu spędzał na rozmowach o owej wojnie z przybywającymi do Afinilu Elidhu, skrywał jednak swoje zamiary. Dopiero później wydało się, że Sharma pragnął stać się nieśmiertelny i równie potężny jak Elidhu, których nie da się zabić. W Afinilu byli tacy, jak choćby pani Ardina, których zaniepokoiły pytania Sharmy i którzy nie ufali jego ambicjom, odradzając udzielania mu nauk. Bardowie jednak nie widzieli powodu, dla którego mieliby skrywać mądrość przed tak pilnym uczniem, i zlekceważyli te obawy.

Kiedy Sharma stał się najpotężniejszym bardem w Edil-Amarandzie, powrócił do własnego królestwa. Wówczas to rzucił zaklęcie wiążące, dzięki któremu odrzucił własne imię i nigdy nie miał przejść przez Bramy Otchłannego Bezkręgu Śmierci⁸. Było to wielkie bluźnierstwo: nigdy wcześniej żaden bard nie rzucił wyzwania Prawom Równowagi. Odrzucenie imienia i odepchnięcie śmierci zapoczątkowało straszliwe wojny, które zakończyły się pięćset lat później upadkiem Afinilu oraz całkowitym pokonaniem i

zniszczeniem Lirionu i Imbralu, a także całej zgromadzonej tam mądrości i piękna.

Odkąd Sharma odrzucił swoje tajemne imię, nazywano go Bezimiennym. Zgromadził wokół siebie zwolenników, którym obiecał życie bez końca i absolutną władzę. Wielu bardów przeszło na jego stronę, zdradzając Światło; ci stali się Mrocznymi Magami, określanymi mianem Próżnych, pozostały z nich bowiem jedynie skorupy dawnych bardów. Bezimienny zawarł także sojusz z pozostałościami Elidhu, którzy nienawidzili Światła i lękali się go, a zwłaszcza z Elidhu Karakiem, który zawładnął krainą Indurainu, na wschód od Osidh Annovy, po tym jak armie Bezimiennego zniszczyły królestwo i wymordowały bądź uwięziły wszystkich żyjących tam Dhyllów.

Kampania Bezimiennego, zmierzająca do obalenia Światła w Annarze, zakończyła się sukcesem w roku A2041, kiedy jego wojska pokonały ostatni rozpaczliwy sojusz Lirionu i Imbralu na równinach Firman, niedaleko rzeki Findol. Klęska ta stała się końcem Ery Zaranja i początkiem Wielkiej Cisy.

Wielka Cisza

Wielka Cisza trwała od A2041 do A3234. W owym czasie światło przetrwało jedynie w ukryciu, na ziemiach, które później nazwano Siedmioma Królestwami: wzdłuż wybrzeża Edil-Amarandhu i na południu. Bardowie nie budowali miast ani osad, żyli w znoju, nieustannie zmagając się z Mrokiem, nie udało im się jednak obalić Bezimiennego, póki w A3157 nie zjawił się Maninae, dziedzic Laurelina. Maninae, bard, zjednoczył opór w Siedmiu Królestwach i po wielu latach - których dzieje są zbyt złożone, by je tutaj zrelacjonować - udało mu się strącić Bezimiennego z tronu i przywrócić Annarowi Światło. Wówczas został pierwszym królem Norlochu i pierwszym władcą całego Annaru.

Wtedy to wprowadzono nową rachubę czasu, kalendarz annaryjski, zwany także rachubą norloską.

Odrodzenie

Po przywróceniu pokoju Maninae założył cytadelę Norlochu, stworzył też system szkół. W Annarze i Siedmiu Królestwach założono ich dwadzieścia pięć, a sieć gościńców pozwalała swobodnie przemieszczać się między nimi. W owych czasach ludzie zasiedlali kolejne obszary Annaru, choć pośrodku krainy nadal pozostały rozległe obszary dzikiej głuszy; Edil-Amarandh na zawsze pozostał kontynentem gęściej zaludnionym na obrzeżach niż w centrum.

Kultura bardów ponownie przeżywała rozkwit, przywrócono wierzenia i zasady

Afinilu. Maninae przykładał też jednak wielką wagę do strategii wojennych i kultura Norlochu, w odróżnieniu od Afinilu, pozostała kulturą walki. Afinil bowiem nigdy nie był miastem królów, a choć wszystkich bardów rutynowo szkolono w sztuce władania mieczem, nigdy nie darzono jej specjalną estymą.

Odrodzenie trwało trzysta lat. Potem nastął okres konsolidacji, zwany Latami Średnimi, w którym wszystkie sztuki rozkwiły w pokoju i harmonii. Około roku N720 pojawiły się pierwsze zwiastuny niepokojów, był to także czas ostatniego króla, potem bowiem następcy tronu rozpoczęli wojnę o sukcesję i w walkach tych ród władców Norlochu wyginał bezpotomnie. Siedem Królestw zerwało bliski sojusz z Norlochem, odzyskując autonomię.

Odtąd bardowie władali samodzielnie w Norlochu, dołączając do potęgi Białego Płomienia potrójne berło królów Norlochu, a po zniszczeniach wywołanych wojną o sukcesję uznano, że tak będzie lepiej i że bardowie, ograniczeni przysięgami służby Światłu i Równowadze, będą rządzić rozsądniej. Byli jednak tacy, którzy twierdzili, że stanowi to naruszenie Równowagi, wskazywali również, uważając to za kolejną oznakę upadku, iż w Norlochu, w odróżnieniu od większości innych szkół, kobietom nie powierzano już władzy.

Przez następnych dwieście lat widać było coraz wyraźniej, że w Annarze źle się dzieje. Fortecę Dén Ravenu odbudowano, czarodziej Imank wypowiedział wojnę Suderainowi, choć południowe królestwo stawiało mu zaciekle opór. Pojawiły się też inne oznaki zachwiania Równowagi: biała plaga, wcześniej niespotykana, zaczęła pustoszyć kolejne regiony Annaru; niektóre szkoły oderwały się od swych ludów, żądając wysokiej dziesięciny i wzbraniając swych usług, co spowodowało ogromną utratę prestiżu bardów w wielu regionach Annaru, a czasami wręcz nieskrywaną, otwartą wrogość. Coraz częściej widywano łaki i inne sługi Mroku i po raz pierwszy od czasu Odrodzenia w Annarze pojawili się Prózni. Co bardziej niepokojące, część bardów zaczęła donosić o zakłóceniach w samej Mowie, jednak nie potrafili ich oni dokładnie określić, lecz głęboko ich one niepokoiły; mówili, iż odnoszą wrażenie, że Mowa traci pradawną czystość. Jednak dopiero gdy w roku N935 splądrowano i spalono Szkołę Pellinoru, a po niej w ciągu następnych czterech lat Baldh i Jerr-Niken na południu, pierwsi bardowie zaczęli sugerować, że Bezimienny w końcu powrócił.

3. O Annarze i Siedmiu Królestwach

Annar, zwany także Królestwem Wewnętrznym, stanowił największą część kontynentu Edil-Amarandhu; zazwyczaj pod tym mianem rozumie się ziemie na południe od rzeki Lir, na

zachód od Osidh Annovy (Gór Ziemi) i na północ od Pustyni Agabańskiej.

Siedem mniejszych państw, zwanych Siedmioma Królestwami, tworzyło luźny pierścień wokół zachodniego wybrzeża Annaru: od północy były to: Lirhan, Culain, Ileadh, wyspa Thorold, Lanorial, Amdrith i Suderain. Suderain leżał blisko krainy Dén Raven - czasem zwanej Utraconym Królestwem - zatrutych ziem stanowiących twierdzą Bezimiennego, nadal dających schronienie Próżnym i ocalałym sługom Bezimiennego, nawet po klęsce z rąk Maninae Wielkiego i odrodzeniu Światła w Annarze⁹.

Po upadku Bezimiennego Maninae po raz pierwszy zjednoczył Siedem Królestw pod władzą jednej osoby, dając początek długiemu okresowi pokoju. Był on osobą niezwykłą - zarówno królem, jak i bardem, choć jego bardowska moc nie była aż tak wielka i kiedy objął rządy, poprzysiągł już się nią nie posługiwać. Poza jeszcze jednym wyjątkiem, królowie i królowe Norlochu nigdy nie byli bardami; uważano to za kluczowy element Równowagi.

Władza monarchy nad Siedmioma Królestwami była niezwykle ograniczona i przyznawana dobrowolnie, nie zaś egzekwowana siłą. Sytuacja ta bardziej przypominała sojusz państw-miast i otaczających je regionów autonomicznych. Wyraźnie świadczy o tym fakt, że jedyną nazwą całego kontynentu był niezwykle archaiczny Edil-Amarandh, wywodzący się jeszcze z czasów przed Erą Zaranja, i że rzadko się nią posługiwano. Jedność Edil-Amarandhu wynikała bardziej z wpływów bardów niż z jakiegokolwiek przymusu pod władzą królów. Bardowie byli także gwarantem względnie swobodnej hierarchii Edil-Amarandhu: ponieważ bard mógł pochodzić skądkolwiek, nawet z najuboższej rodziny, uważano za coś całkowicie zrozumiałego - i nader częstego, zwłaszcza w pierwszych wiekach po Odrodzeniu - że nawet najniżsi mogą sprawować władzę nad mędrcami¹⁰.

Regiony zwano królestwami, w istocie jednak nie były ani nimi, ani państwami w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Wynikało to z podwójnej władzy: bardów i warstwy rządzącej, dzielących się zwierzchnictwem nad różnymi ludami, i ze względu na złożoną naturę rządów nie dopuszczało do powstania władzy absolutnej. W miarę upływu lat układ ten ewoluował, tworząc skomplikowany system polityczny i społeczny, odmienny w każdym regionie, złożony z wzajemnie powiązanych i zależnych struktur autonomicznych. Jak się zdaje, w wielu fesse - regionach otaczających szkoły - i na innych obszarach istniały odmiany demokracji: namiestników wybierano w powszechnym głosowaniu, wszyscy dorośli po dwudziestym piątym roku życia, niezależnie od pozycji społecznej, mieli prawo głosu. Jedynie monarchia pozostała dziedziczna i wielu bardów uważało ją za formę prymitywną, wywodząc z owego „grzechu pierworodnego” jej nieuchronny kres¹¹. Trzeba jednak przyznać, że monarchia mimo swej ograniczonej władzy zapewniała królestwom pokój przez

kilka wieków, zanim upadła po wojnie domowej.

Ów podwójny system - który jedynie powierzchownie przypomina średniowieczny podział władzy na świecką i duchową, Kościoła i państwa, choć porównania bywają kuszące - w społeczności Dhyllów uważano za idealny. Bardowie i zwykli ludzie żyli i pracowali razem, ku obopólnym korzyściom i satysfakcji. Praktyka czasami odbiegała od ideału, zdarzało się też, że spory bądź rywalizacje doprowadzały do kłótni, a nawet wojen, czasem pomiędzy bardami i monarchami, czasem między konkurującymi z sobą regionami. Wszelkie tego typu wydarzenia mędracy uważali za zepsucie Światła¹².

4. Mowa: kilka uwag ogólnych

Mowa, podstawowy atrybut barda i najważniejsza tajemnica Wiedzy, to temat, który przyciągał przez stulecia wiele najtęższych bardowskich umysłów¹³. Mnóstwo zatem o niej napisano, a my możemy tu przedstawić zaledwie skromny szkic.

Mowa w ogólnym zarysie przypominała język, istniały jednak kluczowe różnice. Wprawdzie dało się jej nauczyć (była na przykład pierwotnym językiem ludu Dhyllów), lecz w ustach osób, które poznały ją poprzez naukę, a nie przez Dar, nie miała bardowskiej mocy.

Bardowie posługiwali się nią w rozmowach o sprawach najważniejszych, bo uważano, że w Mowie nie da się skłamać. W istocie nie jest to prawda: Próźni posługiwali się Mową i mogli kłamać, choć ich wersje Mowy nie uważano za właściwą i czasami nazywano ją Mroczną bądź Czarną Mową. Pozostawała także kwestia tych, którzy zyskali Mowę, ale nigdy nie posiadli Wiedzy Światła i - co ważniejsze - nigdy nie poznali swych bardowskich czy też tajemnych imion (zwanym także prawdziwymi imionami). Takie przypadki zazwyczaj kończyły się tragicznie, ponieważ ludzie ci nie byli w stanie właściwie zrozumieć i opanować swych mocy, a tym samym rozwinąć w pełni Daru. Zdarzało się to rzadko, choć coraz częściej, w miarę jak szkoły popadły w niesławę po upadku monarchów Annaru. Zdarzali się też ludzie obdarzeni bardzo skromnym Darem. Takie osoby mogły pełnić funkcję wiejskich czarownic (stąd nazwa „wiedźmia gadka”) i zazwyczaj władały ograniczoną i zniekształconą wersją Mowy, o zaledwie kilku słowach władzy, choć czasami potrafiły zyskać znaczącą, mimo że ograniczoną moc. Nie uważano tych ludzi jednak za bardów, bo nie poznali całej Mowy ani swoich imion. W konsekwencji czasami nazywano ich Nienazwanymi, czego nie należy mylić z Bezimiennym, który odrzucił swoje imię.

Wszystkie te przypadki pokazują, że zdobycie Mowy nie było bynajmniej tak proste, jak mogłoby się wydawać. To, że mogli się jej nauczyć ludzie pozbawieni Daru, sugeruje, iż jej moc - wbrew twierdzeniom wielu bardów z Lat Średnich - nie kryła się w samych

słowach, lecz wyrażała tajemnice kosmosu poprzez związki składniowe i wibracje wymowy, z których bardowie czerpali swą wyjątkową siłę¹⁴. Głównym argumentem przedstawianym na rzecz potęgi zawartej w samych słowach było niezwykle znaczenie przypisywane imionom w Mowie i imionom bardów. Prawdę zapewne stanowi połączenie obu argumentów, tak jak sugerowali inni bardowie.

Bardowie jako jedyni nosili tajemne imiona, a imię barda było i pozostało podstawową tajemnicą, którą jak dotąd rozwiązano tylko częściowo. Jedyne kompletny zapis ceremonii mianowania i nazwania występuje w *Zagadce Drzewnej Pieśni*¹⁵ i bardziej potwierdza niż podważa kluczowe znaczenie owego rytuału. Inne pisma wskazują, że najważniejszych sekretów nie zapisywano, lecz przechowywano je w „pierścieniach żywej pamięci”. W tekście *Drzewnej Pieśni* autorzy uznali za konieczne bronić swej decyzji opisanie ceremonii, argumentując, że ponieważ mrok powalił całe lasy Wiedzy, „niezbędne jest za chowanie nawet w tak prymitywny sposób wciąż znanych nam sekretów, na wypadek gdyby Wiedza bez reszty zniknęła z powierzchni ziemi”¹⁶.

Wygląda na to, że imię barda było czymś znacznie ważniejszym niż zaledwie mianem bądź wyznacznikiem statusu czy pochodzenia: stanowiło istotę barda, a jego osiągnięcie - oznakę dojrzałości właściciela i zdobycia pełnej mocy. Ci, którzy znali tajemne czy też prawdziwe imię barda, mieli nad nim władzę, toteż imion strzeżono pilnie i zdradzano je jedynie najbliższemu w geście najwyższego zaufania. Nigdy nie słyszano, by ktoś odrzucił swoje imię - do czasów zaklęcia wiążącego Sharmy - i uważano to za największe bluźnierstwo. Sharma z Dén Raveny pozostaje jedynym bardem, któremu udało się tego dokonać. Próżni nie posługiwali się swymi imionami, ale nie mogli odrzucić ich w pełni, a ci, którzy znali imiona Próżnych, nadal mogli ich zniszczyć.

Ponieważ Mowy nie uczono się w zwykły sposób i nie podlegała ona tym samym przemianom bądź wpływom kulturowym co inne ludzkie języki, pozostała bardziej niezmienna niż one. Bardowie z najróżniejszych regionów bez problemów porozumiewali się z sobą, przemawiając w Mowie, mimo dzielących ich przepaści kultury i tradycji. Trzeba jednak dodać, iż istniały odmiany Mowy; choć wywodziła się z jednego pnia, różne środowiska sprawiały, że rozwijała się w odmienny sposób. Istniała na przykład wyraźna, choć niewielka różnica między Mową Afinilu a tą z czasów Maerad, ta ostatnia zaś w Mowie Salimana, pochodzącego z dalekiego południa jej krainy, słyszała coś, co można nazwać odpowiednikiem regionalnego akcentu.

Ludzie dysponujący Darem posługiwali się Mową we wszystkich Sztukach Wiedzy: stanowiła klucz do uzdrawiania, do pieśni - które bardzo ceniono jako źródło Wiedzy - i

wszystkich zaklęć, a także badań - astronomicznych, przyrodniczych - które w dzisiejszych czasach uważamy za naukę. Bardowie w odróżnieniu od nas nie czynili rozróżnienia pomiędzy sztuką a nauką, uważając je za części jednej i tej samej Wiedzy. Mowa pozwalała osobom dysponującym Darem rozmawiać ze zwierzętami i (rzadziej) z roślinami. Nie trzeba było używać jej na głos; bardowie mogli posługiwać się nią skutecznie jedynie poprzez myśli. Stąd właśnie wynika najważniejsza i najtrudniejsza różnica między Mową a innymi językami: subtelności jej oddziaływania jako środka komunikacji myślowej. Choć były niezwykle istotne, nie da się ich tu wyjaśnić, możemy jedynie przywołać popularny wśród bardów paradoks „w sercu Mowy leży cisza”. Stanowi to także powód, dla którego, mimo iż bardowie stworzyli bardzo wyrafinowaną kulturę pisaną, nadal preferowali przekazy ustne i naukę na pamięć.

5. O bardach: historia, społeczność, kultura

Historia¹⁷

Powszechnie uważa się, że ludzie dysponujący Darem, zwani Gwiezdnymi Ludźmi (Dhillarearë) albo Pieśniarzami, po raz pierwszy pojawili się w Wewnętrznym Królestwie pod koniec Ery Żywiołowców, jakieś pięć tysięcy lat przed wydarzeniami opisanymi w *Darze*. Z tamtych czasów nie pozostały żadne zapiski ani rachuba lat; pierwsze kroniki pochodzą dopiero z okresu założenia Afinilu podczas Ery Zaranja, ponad tysiąc lat po zakończeniu Ery Żywiołowców. Tradycja głosi, że gdy Żywiołowcy wycofali się, przybierając swe postaci naturalne, „część ich mocy rozproszyła się i przybrała ludzką postać, i tak we wszystkich miejscach, w których wcześniej mieszkali, pojawili się Gwiezdni Ludzie. Nazwano ich tak, ponieważ w ich oczach płonął odległy ogień, jakby sami pochodzili z gwiazd, zachwycali się też ich blaskiem i w odróżnieniu od innych ludów, nienawidzących i przeklinających ciemność, kochali noc i uważali ją za uświęconą”¹⁸.

Oczywiście istniały też inne podania, a wśród nich popularna teoria, że bardowie przybyli z zachodu na krótko po tym, jak straszliwe Wojny Żywiołów odmieniły Edil-Amarandh. Według innej wersji najpierw pojawili się na północy, zmuszeni do migracji na południe z ziem obecnie zamieszkałych przez wędrowny lud Zmarkan. Prawda kryjąca się pod owymi konkurującymi teoriami, które zyskały popularność po Odrodzeniu, jest zapewne taka, że wielu bardów z Annaru uważało więzy łączące ich z Żywiołowcami, choć sięgające daleko w przeszłość, za wstydlive. W Annarze bowiem traktowano Żywiołowców podejrzliwie od czasu sojuszu Lodowego Czarnoksiężnika z Bezimiennym. To właśnie ten sojusz doprowadził do klęski Recabarry, królowej Lirionu, i Laurelina, ostatniego króla

Afinilu, oraz do okropności, które po niej nastąpiły: rzezi Dhyllów, zrównania z ziemią Lirionu i Imbralu i rządów tyrańcy w Wewnętrznych Królestwach, okresu zwanego później Wielką Ciszą.

Odrodzenie monarchii i bardów opisywano wielokrotnie. „Historia upadku Bezimiennego jest długa, ciężka i bolesna, wiele fragmentów owej opowieści nie powróciło z Mroku - zapisał Ghoran z Desoru. - Często rozmyślałem o tych, którzy z nim walczyli w samotności, lęku, bez nadziei, wiedząc, że ani słowo o ich odwadze nie przetrwa do nowego świtu. Przez wiele pokoleń kraj jęczał w niewoli, a powiernicy Światła umykali i ukrywali się w odległych krainach, przechowując sekrety Wiedzy, mądrości, pieśni i Mowy. Aż w końcu z zachodu, gdzie w ukryciu przetrwał ród Laurelina, ostatniego króla Imbralu, przybył władca. Maninae w koronie światła z najdalszych głębi czasu przejął swe pełne dziedzictwo i ogromnym poświęceniem i cierpieniem pokonał siły Bezimiennego, tak że krainy Annaru zostały w końcu wyzwolone z niewoli i przywrócono Równowagę. Był to czas wielkiej radości”¹⁹.

To Maninaemu przypisuje się założenie szkół (Libridha) w całym Annarze i decentralizację wpływów bardów: „I w owym czasie Maninae postanowił obrąć na swą siedzibę Norloch, osadę leżącą na południu Annaru, u ujścia rzeki Aleph. Zbudował tam wielkie i piękne miasto i mianował Krąg najwyższych bardów, tam też w pokoju zamieszkał z królową Marwą. Nie chciał jednak, by mądrość i pieśń pozostały w ukryciu i tajemnicy, dostępne jedynie wybranym kapłanom. Postanowił, że bezpieczniej będzie przechowywać Wiedzę w wielu ośrodkach, toteż rozkazał założyć szkoły w całym Annarze”²⁰.

Dwadzieścia pięć szkół we wszystkich regionach Edil-Amarandhu stało się wkrótce ośrodkami nauki i kultury. W pewnym sensie było to jedynie przypieczętowanie sytuacji, która ukształtowała się już wcześniej: wspólnoty bardów istniały we wszystkich Siedmiu Królestwach, do których przegnano ich podczas Wielkiej Ciszy, i odegrały znaczącą rolę w obaleniu Bezimiennego.

Norloch rozkwitał jako ośrodek rządów w Annarze, będąc zarówno centrum władzy, jak i najwyższą szkołą Światła: dwóch władz, które na tym etapie zostały oficjalnie rozdzielone, po tym jak Maninae zrezygnował ze statusu barda.

Spoleczność

Nie tylko pochodzenie bardów pozostaje okryte mgłą tajemnicy, lecz także powód, dla którego Dar pojawiał się w danej osobie. Dziedziczenie i rodzina nie stanowiły gwarancji: Dar mógł zaginać w danym rodzie, choć wcześniej objawiał się w nim często i z wielką mocą,

i pojawić się w rodzinie, w której wcześniej nie występował. Ta cecha wywarła przemożny wpływ na społeczno-polityczną organizację Annaru i Siedmiu Królestw²¹.

Spółeczności bardów, zarówno z tej przyczyny, jak i z powodu ich długowieczności (bardowie żyli czasem trzy razy dłużej niż zwykli ludzie), wyróżniały się niezwykle tolerancją. W Afnilu nie znano dyskryminacji ze względu na rasę bądź płeć, a wszelkie uprzedzenia uważano za oznakę zepsucia tajemnicy bardostwa i surowo tępono. Bardowie szanowali także coś, co nazywali „drogą serca”, którą uważano za ważny czynnik zrozumienia Ciszego Białego Płomienia; wielu mistyków pisało na ten temat długie poematy, najslawniejszym z nich są *Ptaki Anakatina* Lorigy z Turbanska. Bardowie stworzyli wyrafinowaną sztukę erotyczną, choć w ogóle, nie znali idei libertynizmu i za największe misterium uważali miłość romantyczną. Miłości homoseksualnej nie uważano za zboczenie i nigdy nie prześladowano, inaczej niż w mniej cywilizowanych regionach Edil-Amarandhu. Uwieczniono ją w wielu popularnych pieśniach, choćby *Pieśni o Lamarku i Colunie*, tak jak pieśni o Amandianie i Beruldh albo Ardinie i Ardhorze opiewały miłość między mężczyzną i kobietą bądź mężczyzną i Elidhu.

Rodzenie i wychowanie dzieci także uważano za godne szacunku i - co ciekawe - kojarzono z erotyką w sposób nieznany na Zachodzie, choć jego pozostałości można odnaleźć w starożytnym greckim dziecięcym bóstwie Erosie. Długie życie bardów - sprawiające, że wychowanie dzieci zajmowało jedynie drobną jego część - skutkowało tym, że kobiet nigdy nie uważano jedynie za dostarczycielki potomstwa (jak to się działo w wielu innych tradycjach), a opieką nad dziećmi zajmowali się prawdopodobnie nie tylko oboje rodzice, ale wszyscy dorośli z danego kręgu społecznego. Rodzina stanowiła wówczas znacznie szersze pojęcie niż dzisiejsza podstawowa komórka społeczna czy nawet starszy rozbudowany ród.

Ten etos tolerancji przetrwał dłużej w Siedmiu Królestwach niż w samym Annarze, gdzie machinacje Pierwszego Kręgu w czasie Lat Średnich zapoczątkowały zakłócenie Równowagi, a wraz z nim coraz rzadsze mianowanie kobiet do Kręgu²². W roku N945 nikt już nie pamiętał kobiety barda zasiadającej w Pierwszym bądź Drugim Kręgu Norlochu i samo to stało się powodem niewybijania kolejnych. Szkoły z Siedmiu Królestw mocno opierały się tej tendencji i często krytykowały ją jako zakłócenie Równowagi²³. Mimo to od około N500 kolejni bardowie agresywnie propagowali ideologię patriarchy. Porównania spisów bardów z poszczególnych szkół ujawniają pewne interesujące prawidłowości. Wykazują, że do roku N700 członkami Pierwszego i Drugiego Kręgu Norlochu byli wyłącznie mężczyźni, a w całej szkole pozostały jedynie trzy bardki. Kontrastuje to ze szkołami, takimi jak Balladh, Pellinor i Innail, gdzie mianowanie młodszych bardów i wybór

bardów do Kręgu najczęściej odzwierciedlały rozkład demograficzny okolicznej populacji: wśród mianowanych i wybranych na pozycje władzy kobiety stanowiły zazwyczaj około 52 procent, a bardowie wywodzili się ze wszystkich klas społecznych²⁴.

Co ciekawe, w Norlochu spisy wykazują, że mianowani bardowie pochodzili najczęściej z najpotężniejszych i najbogatszych rodzin, są też dowody, że młodszy bardowie z rodzin o niższym statusie społecznym, takich jak Pilanelowie, oraz kobiety byli odsyłani do innych szkół, co ponownie naruszało zasady *Karty Szkół* ustanowionej przez Maninaego²⁵. Ta przemiana - następująca powoli, lecz nieubłaganie z upływem stuleci - rozpoczęła się od połączenia potrójnego berła monarchów z władzą Białego Płomienia, aż w końcu pod rządami Enkira z Norlochu, w czasach gdy toczą się wydarzenia opisane w *Darze*, zaczęto aktywnie zwalczać pisma kobiet, a im samym z początku zabroniono pobierania nauk samoobrony, a w końcu wszystkich Sztuk²⁶.

Kultura

Bardowie stworzyli niezwykle wyrafinowaną kulturę. Nadal nie potrafimy ogarnąć ogromnego bogactwa *Pism annaryjskich*, w których, jak się uważa, zawarto niemal całą Bibliotekę Norlochu, samą w sobie stanowiącą skarbnicę wielu dzieł z innych szkół. Tłumaczenie owych pism dotąd ledwie naruszyło powierzchnię tego, czym dysponujemy, toteż możemy przedstawić tu jedynie pobieżny szkic osiągnięć bardów. Choć niektórzy uczeni chcieliby porównywać kulturę bardów ze średniowieczną Europą, powołując się na podobne zacofanie technologiczne, znacznie bardziej przypomina ona humanistyczny renesans z jego naukową ciekawością i złożonością. Tak naprawdę jednak oba te porównania nie uwzględniają zasadniczej odmierności bardów.

Inaczej niż my, nie robili oni różnicy pomiędzy nauką a sztuką; rozejście się owych gałęzi wiedzy we współczesnym społeczeństwie zdumiałoby barda, który przywykł myśleć o nich jako o częściach jednej wielkiej Wiedzy. Jedną z istotnych przyczyn takiego stanu było to, iż ich system pojęciowy - w odróżnieniu od zachodniego - nie opierał się na kategoriach arystotelesowskich, lecz na układzie wzajemnych odniesień²⁷. I może ta fundamentalna różnica tłumaczy wysoki stopień zgłębienia przez bardów dziedzin, które obecnie nazywamy naukami złożonymi (na przykład biologii). Nauka opierająca się na doświadczeniach laboratoryjnych po prostu nie istniała, choć wiadomo, że w Szkołach Suderainu działali niezwykle zaawansowani matematycy, a bardowie z Baladhu sformułowali prawa fizyczne i posługiwali się nimi w obserwacjach astronomicznych. Byli świadomi istnienia atomów i cząsteczek subatomowych oraz opisywali materię i energię jako siły wibracji muzycznych,

wyprzedzając powstanie fizyki kwantowej i teorii strun, a bard Thorkon z Turbanska wysuwał twierdzenia, które bardzo przypominają teorię względności²⁸.

Jeszcze bardziej zaskakuje fakt, że bardowie stworzyli roboczą teorię ewolucji i doboru naturalnego, którą widać wyraźnie w wielu tekstach dotyczących gry gis, cieszącej się ogromną popularnością w ich kulturze. Wielu bardów pisało o tej grze, lecz to Intathen z Gentu jako pierwszy sformułował teorię gis jako modelu konkurujących populacji gatunków, a nawet tendencji ewolucyjnych wewnątrz jednej psychiki²⁹. Malikin z Jerr-Nikenu w N755 w swojej *Tkalni Światła* rozważała ideę dziedziczenia genetycznego, zapisując starannie obserwacje dotyczące hodowli i krzyżowania roślin ikil. Wielka zaś popularność symbolu podwójnej spirali w pismach bardów sugeruje, że mogli być świadomi istnienia podwójnej helisy DNA.

Nie może zatem dziwić to, że dysponowali wysoce zaawansowaną wiedzą medyczną, choć wiele praktyk zależało także od mocy związanych z Mową, toteż pozostają one dla nas tajemnicą. Mowa, którą bardowie uważali za podstawę swej mocy magicznej, to coś, co wciąż bardzo słabo rozumiemy. Większość ekspertów uważa, że bardowie wiedzieli o istnieniu bakterii i wirusów, niektórzy twierdzą, iż nawet je zaobserwowali; zapisy obserwacji astronomicznych dowodzą, iż mocno rozwinęli teorię i praktykę optyki, możliwe zatem, że wynaleźli mikroskopy, choć jak dotąd nie mamy na to dowodów. Wiadomo natomiast, że praktyka medyczna podkreślała znaczenie higieny w zapobieganiu infekcjom i że bardowie praktykowali szczepienia przeciw chorobom. Istniały nawet instrukcje produkcji mikstur antybiotycznych, które „tępią wdzierające się do ciała zarodniki choroby”³⁰.

Literatura i sztuka bardów zdumiewają bogactwem i różnorodnością: można w nich znaleźć wielkie arcydzieła muzyki, poezji i malarstwa. Bardowie stworzyli złożony system zapisywania muzyki, którą czcili jako sztukę najbliższą Światłu; większość dotąd rozszyfrowanych melodii brzmi bardzo „nowocześnie”. Uwielbiali też pomysłowość lingwistyczną i formalną, stosowali najróżniejsze formy poezji; ich estetyka nie dopuszczała jakiegokolwiek dogmatyzmu jako „przyćmiewającego Światło”. Jedyne przepiękne iluminacje manuskryptów przetrwały do naszych czasów jako pozostałość ich sztuki wizualnej, choć w pismach wspomina się niezwykle osiągnięcia architektury oraz opisuje freski i rzeźby, bardzo popularne we wszystkich społecznościach bardów. Jak dotąd najpełniejszym obrazem kultury bardów pozostaje *Zagadka Drzewnej Pieśni*³¹ i powszechnie uważa się, że księga ta powstała, by zwalczyć błędne opinie na temat bardów, powszechne w całym Annarze.

Niestety, najważniejsze duchowe doktryny bardów - na przykład, co oznaczało

Światło czy (poza najbardziej ogólnikowymi i niezwykle wieloznacznymi wzmiankami) jak wyglądała ich idea życia po śmierci - nadal pozostają poza naszym zrozumieniem. Częściowo sprawiła to bardowska praktyka przekazywania najważniejszych tajemnic ustnie: musimy pamiętać, że w kulturze bardów przekaz ustny i pisemny szły z sobą w parze, podobnie jak to się działo w klasycznej Grecji w czasie jej największego rozkwitu.

Należy też zrozumieć, że kluczowy koncept Światła i Równowagi nie sugeruje w żadnym razie istnienia antropomorficznej idei boga. Pomijając duchowe znaczenie przypisywane Światłu i mocne imperatywy moralne Równowagi, można jasno stwierdzić, że były one znacznie bliższe siłom przyrody niż monoteistycznym ideom karzącego i nagradzającego stwórcy³². Kuszące, choć nieco anachroniczne jest zatem stwierdzenie, że mimo swojej magii bardowie być może stworzyli jedno z najdogłębniej świeckich społeczeństw, jakie znamy.

PRZYPISY

¹ Por.: Jacintha Crowe, *Możliwe geografie*, Gondwana Press, Melbourne 1991; Lewis Spence, *Historia Atlantydy*, Ryder and Co, Londyn 1926.

² Większość informacji na temat historii Edil-Amarandhu zawdzięczam Jacqueline Allison i jej obszernej pracy *Pisma annaryjskie: Historia na nowo zapisana*, Querertaro University Press, Meksyk 1998.

³ Inne cenne źródła to *Historia Edil-Amarandhu i zamieszkujących go ludów* Lanorgila z Pellinoru (N307) oraz *Zagadka Drzewnej Pieśni* Maerad z Pellinoru i Cadvana z Lirigonu, Biblioteka Busk (N1012).

⁴ *Pieśni o Elidhu* barda Jikarrena, Afinil (A237).

⁵ *Historia Edil-Amarandhu...*, op. cit.

⁶ Fascynującą i autorytatywną analizę pism bardów można znaleźć w: Anselm Juster, *Die Urschrift von Annaren*, Bundes Studienverlag, Northeim 1999.

⁷ *Sharma, król Niczego* barda Nindara, Biblioteka Busk (A2153).

⁸ Osoby zainteresowane obszerniejszym omówieniem bardowskiej wizji zaświatów zachęcam do lektury rozdziałów IV-VI *Zgłębić Światło: Analiza porównawcza annaryjskich praktyk duchowych* pod red. Charlesa A. Jamesa, Cipher Press, Oksford 2001.

⁹ Historia Dén Ravenu patrz: Callachan z Gentu, *Kronika Czarnego Królestwa*, tłum. Jessica Callaghan, Coromandel Press, Albany 1996.

¹⁰ Pełniejsze omówienie złożonych systemów społecznych Edil-Amarandhu można znaleźć w: *Genealogie Światła: Władza w Edil-Amarandzie*, red. Alannah Casagrande, Sorensen Academic Publishers, Chicago 2000.

¹¹ Patrz: *Pieśni 54-58* z cyklu poetyckiego Salimana z Turbanska *Krąg życia* (N915).

¹² Za najpełniejszy wyraz owej idei uznaje się *Równowagę* Lilidh z Turbanska (M419).

¹³ Por. pionierską pracę Jérôme Cassona na temat Mowy: *La Parole de Edil-Amarandh*, La Deuxieme Universite, Paryż 1996.

¹⁴ Bardowie przez stulecia spierali się w kwestiach pochodzenia i mocy Mowy, jednakże najważniejsze argumenty zebrał Hulmir z Norlochu (N367) w *Świetle słów* i *Rozprawie o świętych imionach*, a także Salmira z Jerr-Nikenu w serii dialogów

zatytułowanych *Oblicza Mowy* (N456), które ponoć uległy zniszczeniu podczas splądrowania Jerr-Nikenu. Późniejsze zachowane komentarze i częściowo ocalone egzemplarze wskazują, że Salmira jako pierwsza głosiła teorię o składniowej naturze Mowy.

¹⁵ Księga druga *Zagadki Drzewnej Pieśni* Maerad z Pellinoru i Cadvana z Lirigonu, Biblioteka Busk (N1012).

¹⁶ Ibidem.

¹⁷ Patrz: *Pisma annaryjskie...*, op. cit.

¹⁸ *Historia Gwiezdnej Mowy* barda Menellina (A1464).

¹⁹ *Koniec Ciszy* Ghorana z Desoru, Biblioteka Desoru (N134).

²⁰ Ibidem.

²¹ Por. *Genealogie Światła...*, op. cit.

²² Anna C. Jones, *Kobiety z gwiazd*, Pimon and Huster, Toronto 1997.

²³ Przykład argumentów przeciwko kobietom można znaleźć w *O kobietach* Selimona z Norlochu (N808), a potępienie tego typu poglądów w *Kręgu życia* Salimana z Turbanska (N915) i *W imię Równowagi* Oron z Innailu (N960).

²⁴ *Kobiety z gwiazd*, op. cit.

²⁵ *Paur Libridha* Maninaego, króla Annaru (N23), to najważniejszy i najbardziej autorytatywny tekst dotyczący zasad działania szkół. Jego znaczenie można porównać z Wielką Kartą Swobód.

²⁶ Księga trzecia *Zagadki Drzewnej Pieśni* Maerad z Pellinoru i Cadvana z Lirigonu, Biblioteka Busk (N1012).

²⁷ Szersze omówienie tego tematu można znaleźć w: Claudia J. Armstrong, *Wiedza bez kategorii: trzy sztuki Gwiezdnych Ludzi*, Grayden University Press, Baltimore 1999.

²⁸ Thorkon z Turbanska, *Esencja Światła* (N615).

²⁹ Intathen z Gentu, *Oddychające fale gis* (N560).

³⁰ Mabul z Lirigonu, *Sztuki leczenia* (N238).

³¹ Najpełniejszą analizę *Naraudh Lar-Chanë* zawarto w: Christiane Armongath, *L'Histoire de l'Arbre-chant d'Annar*, L'Institut d'Etudes Supérieures, Nicea 1995.

³² *Zgłębić Światło...*, op. cit.